

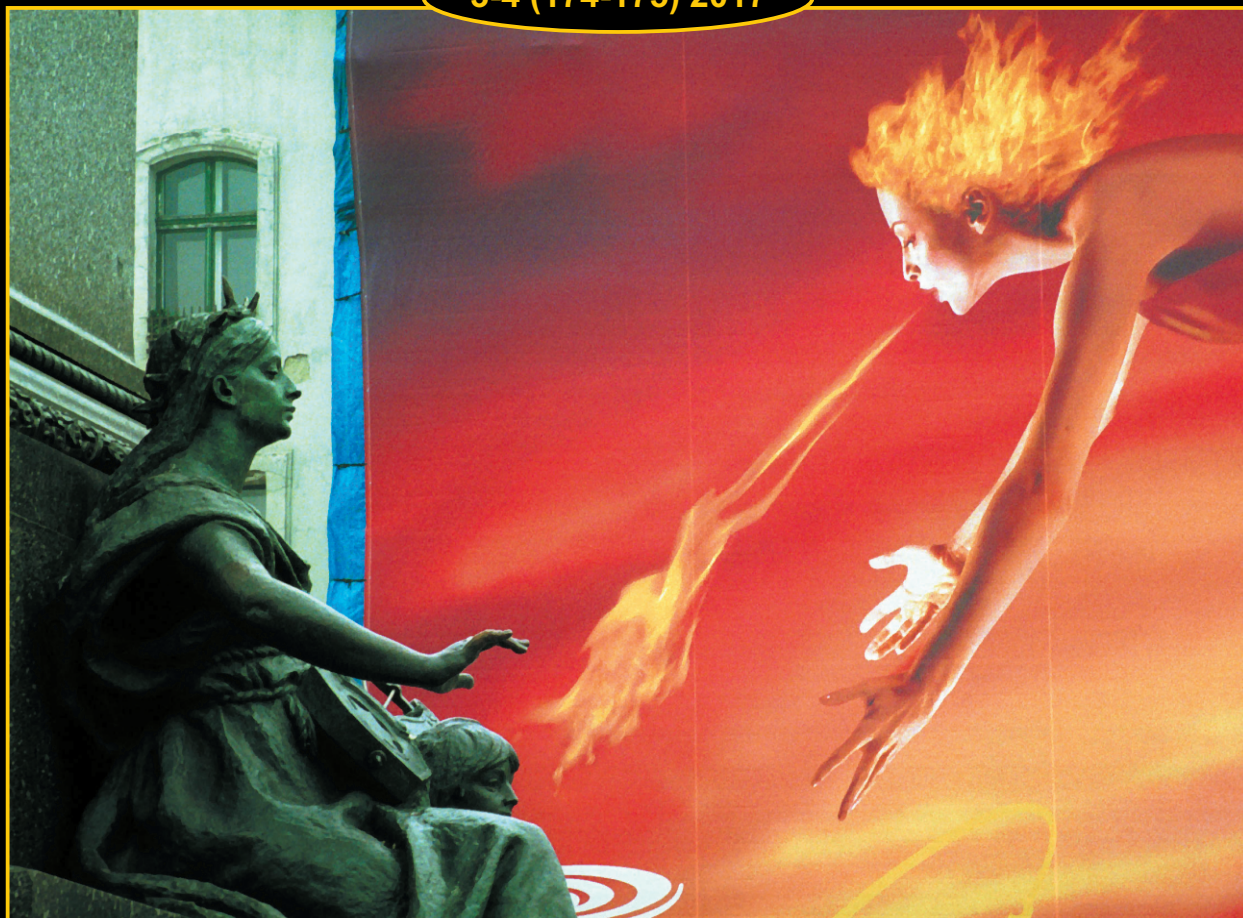
ZDANIE

„Trzech na jednego”
z JANEM WIDACKIM

Marek Zagajewski	Lech M. Nijakowski
PÓŁDEMOKRACJA-PÓŁDYKTATURA	KULTURA POPULARNA WEB 2.0
Marek Tabin	Jacek Wojciechowski
NEOSARMATYZM	Z UKRAINY
Paweł Kozłowski	Andrzej Śnioszek
UCIECZKA OD ODPOWIEDZIALNOŚCI	ZAPOMNIANA REWOLUCYJNA PROZA

Luis de Camões - SONYTY

3-4 (174-175) 2017





Pod Wawelem
HOTEL ***

Hotel Pod Wawelem *** | 31-101 Kraków, Poland | plac Na Groblach 22

tel. +48 12 426 26 26 | fax +48 12 422 33 09 | rezerwacje@hotelpodwawelem.pl | www.hotelpodwawelem.pl

*Całym sercem
pod Wawelem*

Heartfelt service in the heart of Krakow



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (174–175) 2017

OD REDAKTORA

„ZDANIE”, ukazujące się *de facto* w rytmie półrocznym, nie zawsze nadąża za zmieniającą się rzeczywistością. Ale jeśli „pospolitość skrzeczy”, nie może i nie chce uchylać się od zabrania głosu na tematy bardzo aktualne. Ten numer, podobnie jak kilka poprzednich, jest tego przykładem. Nasi Autorzy analizują zachodzące w Polsce zmiany, zwłaszcza po zwycięskich dla PiS-u wyborach i próbują wskazać zarówno przyczyny, jak i skutki tego, co się wokół nas i z nami dzieje. Zrozumieć siebie i otaczającą nas rzeczywistość pomoże Marek Tabin, opisujący zjawisko neosarmatyzmu. Marek Zagajewski pokazuje, gdzie przebiega granica między półdemokracją a półdyktaturą i jakie zachodzą między nimi relacje. Filip Ratkowski definiuje na nowo pojęcie klasy politycznej, Edward Karolczuk podejmuje polemikę z prawicową interpretacją myśli lewicowej i liberalnej, zaś Paweł Kozłowski – kwe-

stię odpowiedzialności w polityce i ucieczki od niej. Problem uchodźców i pomocy dla nich przedstawia Paweł Sękowski na naszym, polskim przykładzie, czyli z nami w roli głównej.

W tym numerze dużo o kulturze w różnych jej aspektach: od kultury wojny, poprzez popularną w wersji WEB 2.0, do Orientu i jej polskiej wykładni. Adam Kulawik czyta na nowo *Lalkę*, a Janusz Termer wskazuje miejsce Leśmiana w polskiej poezji. Ponadto, jak zawsze, recenzje, między innymi Henryka Szlajfera o książce Łagowskiego, oraz felietony.

W *Trzech na jednego* profesor-kryminolog, adwokat i polityk, czyli Jan Widacki. Trzeba przeczytać koniecznie!

EDWARD CHUDZIŃSKI

JAN WIDACKI WSZYSTKO STAJE SIĘ ŁUPEM TEJ WŁADZY (<i>Trzech na jednego</i>)	3
f.r. „KOWADŁO” DLA JANA WIDACKIEGO	12
Marek Zagajewski PÓŁDEMOKRACJA – PÓŁDYKTATURA	14
Edward Karolczuk WIDMO KOMUNIZMU, WIDMO LIBERALIZMU	21
Filip Ratkowski „KLASA POLITYCZNA” – NOWE ZWIERZĘ W OGRÓDKU	28
Marek Tabin NEOSARMATYZM, CZYLI MY NIE STĄD	33
Paweł Kozłowski UCIECZKA OD ODPOWIEDZIALNOŚCI	41
Paweł Sękowski POMOC POLSKIM UCHODźCOM: PERSPEKTYWA HISTORYCZNA	46
Marian Stępień ALLIANCE COLLEGE – POLSKA UCZELNIA W USA	50
Lech M. Nijakowski KULTURA POPULARNA ERY WEB 2.0	58
Marcin Kula REWOLUCJA – MITY – UTOPIE	64
Urszula Glensk ŚLAD PO PRL-u	67
Paweł Kozłowski KULTURA WOJNY REDIVIVUS	69
Jacek Wojciechowski Z UKRAINY	71

81 Krzysztof Mroziewicz TŁUMACZKA KULTUR	
91 Luis de Camões SONETY	
92 Eugeniusz Kabatc MŁYN NAD NAREWKĄ	
99 Adam Kulawik MOJA ZABAWA Z <i>LALKĄ</i> BOLESŁAWA PRUSA	
105 Janusz Termer <i>SPEŁNIONE NIEISTNIENIE</i> BOLESŁAWA LEŚMIANA	
111 Andrzej Śnioszek NOWA, MŁODA, REWOLUCYJNA	
114 Andrzej Wilk WIZYTA U TOMA HAYDENA	
116 Henryk Szlajfer BRONISŁAWA ŁAGOWSKIEGO DIAGNOZA CHOROBY	
120 Tadeusz Klementowicz „NAGI” KAPITALIZM	
123 Leszek Gorycki TURKIEM BYĆ	
124 Rafał Skąpski „KOWADŁO” DLA JÓZEFA HENA	
126 Rafał Skąpski W MOSKWIE Z KSIĄŻKĄ KOZYRIEWA	
128 Józef Rozwadowski AKCJA REPARACJE	
129 Krzysztof Komornicki BIAŁE RÓŻE GŁUPOTY I NIENAWIŚCI	
130 Tomasz Goban-Klas REWOLUCJA, KTÓREJ NIE BYŁO	
131 Sceptyk WYKŁĘCI Z NARODOWEJ PAMIĘCI	



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:
JAN WIDACKI

TRZECH:
EDWARD CHUDZIŃSKI
ADAM KOMOROWSKI
JERZY SURDYKOWSKI

WSZYSTKO STAJE SIĘ ŁUPEM TEJ WŁADZY

EDWARD CHUDZIŃSKI: Urodził się Pan w Krakowie, w którym rodzice znaleźli się pod koniec wojny. Skąd przybyli? Jakże są Pana i rodziny korzenie?

JAN WIDACKI: Rodzice przybyli z Tarnopola, tam jeszcze urodziła się moja starsza siostra. W Krakowie mieliśmy rodzinę, tutaj mieszkaly dwie siostry mojej babci, miały własną kamienicę, więc było się gdzie zaciepić.

ADAM KOMOROWSKI: A z Tarnopolem co rodziców i rodzinę wiązało?

WIDACKI: Dziadek był urzędnikiem państwowym, zaś jego brat prezydentem miasta. Zanim objął ten urząd był działaczem niepodległościowym, organizatorem i komendantem drużyny strzeleckiej. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Lwowskim. W I wojnie światowej służył w armii austriackiej, potem pełnił różne funkcje w Wojsku Polskim; był m.in. komendantem korpusu kadetów w Modlinie, później we Lwowie, wcześniej brał udział w obronie Lwowa i w wojnie polsko-bolszewickiej, gdzie dosłużył się Krzyża Virtuti Militari i Krzyża Walecznych. Dowodził później 51 pp. w Brzeżanach, a po przejściu w stan spoczynku został prezydentem Tarnopola. Był też posłem na Sejm. Aresztowany przez NKWD 18 września 1939 roku został zamordowany w Bykowni.

Drugi brat dziadka był księdzem, ale kariery kościelnej nie zrobił, choć doktorat obronił w Rzymie tego samego dnia co Eugenio Pacelli, późniejszy papież Pius XII. Na przeszkodzie stanęły propolsudczykowskie sympatie stryja – ówczesna hierarchia stawiała na endecję.

JERZY SURDYKOWSKI: Czy genealogia kresowa zaważyła na Pana zainteresowaniach tymi ziemiami? Mam na myśli publikacje na ich temat, a także pełnione funkcje już w III RP, m. in. ambasadora Rzeczypospolitej w Wilnie.

WIDACKI: Wychowywałem się w środowisku kresowym. Ciotki i wujkowie zbierali się, przeglądali zdjęcia, wspominali przedwojenne czasy. Jako dziecko mówiłem z akcentem kresowym, bo ten język ciągle słyszałem w domu. Moje spojrzenie na Kresy ewoluowało, od rodzinnej fascynacji do widzenia „giedroyciowego”, czyli przeszedłem długą drogę.

SURDYKOWSKI: Jak się rodzina asymilowała w Krakowie?

WIDACKI: Żle. Z kilku powodów. Krakowianie nazywali tych ze Wschodu „bieżeńcami”, którzy przychodzą, zajmują mieszkania, posady itp. Tak to w mojej rodzinie odbierano. Dlatego szukali swojego towarzystwa, do-
brze czuli się tylko we własnym gronie, takim swoistym

getcie. Trzymali się razem, bo adaptacja przychodziła im z trudem.

CHUDZIŃSKI: Czy w rodzinie były tradycje prawnicze?

WIDACKI: Ojciec ukończył prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie., ale zawodu nie wykonywał, bo był urzędnikiem państwowym przed wojną i po wojnie.

KOMOROWSKI: Jako krakowianina interesuje mnie, gdzie rodzice mieszkali?

WIDACKI: Ja się wychowałem przy placu Na Groblach, naprzeciw Liceum Nowodworskiego.

SURDYKOWSKI: Poszedł Pan do Nowodworka?

WIDACKI: No pewnie. Z nauczycieli pamiętam Jana Majdę, który będąc już doktorem habilitowanym na UJ, na starość zaczął lewitować, protestując m.in. przeciwko pochówkowi Miłosza na Skatce. Ale jako nauczyciel mobilizował nas do czytania prasy kulturalnej, do chodzenia do teatru. Widocznie wtedy jeszcze takich fobii nie miał, albo je ukrywał.

CHUDZIŃSKI: Co sprawiło, że jednak wybrał Pan prawo?

WIDACKI: Z polskiego miałem tylko dostateczny, jak zresztą większość ocen. Prawo wybrałem trochę przypadkowo. W arkuszu kwalifikacyjnym szkoła zapisała, że nie wykazuję specjalnych zainteresowań jakąś dziedziną, więc nadaję się na prawo. No to tam poszedłem.

SURDYKOWSKI: Na studiach interesowała Pana także filozofia...

WIDACKI: Wtedy po trzecim roku studiów można było studiować filozofię i z tego skorzystałem. Wykłady z filozofii starożytnej i średniowiecznej prowadził prof. Legowicz, a na proseminarium chodziłem do prof. Stróżeńskiego.

CHUDZIŃSKI: Po studiach robi Pan błyskawiczną karierę naukową. Po czterech latach doktorat, po następnych czterech habilitacja. Tymczasem ustawa dawała osiem lat na zrobienie doktoratu.

WIDACKI: Pracę magisterską pisałem u prof. Buchały, chciałem zajmować się prawem karym. Żeby jednak zostać na uczelni, musiałem pójść na staż do Katedry Kryminalistyki i tak to się zaczęło...

CHUDZIŃSKI: I tak narodził się kryminolog mimo woli.

WIDACKI: Trochę tak wyszło. Ale z czasem ta dyscyplina zaczęła mi się coraz bardziej podobać.

KOMOROWSKI: Jak to się stało, że przeniósł się Pan na Uniwersytet Śląski?

WIDACKI: Przewód habilitacyjny zamknąłem, mając 29 lat. Na Uniwersytecie Śląskim zaproponowano mi Katedrę Kryminalistyki, więc przyjąłem tę ofertę z satysfakcją. Lata 70. na UŚ-u wspominam bardzo dobrze.

SURDYKOWSKI: Kiedy wstąpił Pan do partii?

WIDACKI: Jeszcze kiedy byłem na studiach, prof. Buchała dał do zrozumienia znajomemu mojego ojca, adwokatowi, że ma wobec mnie pewne plany związane z zatrudnieniem na uczelni, ale byłoby dobrze, gdybym zapisał się do partii. Ja się przed tym wzbraniałem, wymyśliłem sobie nawet, że po studiach podejmę pracę w którymś ze schronisk górskich, bo wtedy moja pasją była wspinaczka. Wtedy ojciec zapytał: a jeśli do GOPR-u będą przyjmować tylko partyjnych, to co zrobisz? Do partii wstąpiłem mając 19 lat, a wypisałem się po pacyfikacji „Wujka” w stanie wojennym, wcześniej współzakładając na UŚ-u „Solidarność”.

SURDYKOWSKI: Szacuje się, że w latach 1980-1981 do „Solidarności” należało około miliona członków PZPR.

WIDACKI: Na Uniwersytecie Śląskim, wbrew temu, co się w całym regionie mówiło, panował duży liberalizm. Kto chciał, zajmował się tylko nauką, a inni angażowali się politycznie.

CHUDZIŃSKI: W czasach pierwszej „Solidarności” twardogłowi najbardziej doszli do głosu na Śląsku. Stawetne Forum Katowickie urosło do symbolu.

WIDACKI: Ale na uniwersytecie powstały struktury poziome jako wyraz sprzeciwu wobec dominacji aparatu partyjnego, podobnie było na innych uczelniach. Natomiast w stanie wojennym uniwersytet został mocno przetrzebiony, o czym świadczy internowanie rektora i jego zastępcy, a nawet członków Egzekutywy Komitetu Uczelnianego PZPR. Tymczasem na UJ senat się zastanawiał w tym czasie, czy pozbawić prof. Jabłońskiego doktoratu honorowego. Kiedy opowiadałem, jak to wygląda na UŚ-u, mówiono: za nas się dopiero wezmą. Ale się nie wzięli. Okazało się, że Uniwersytet Śląski nie był wcale taki czerwony, za jaki uchodził, skoro trzeba go było spacyfikować.

CHUDZIŃSKI: Kiedy otrzymał Pan propozycję z KUL-u, żeby się tam przenieść?

WIDACKI: Ja miałem trudną sytuację już wcześniej, kiedy wybrano mnie prodziekanem i odwołano z tej funkcji. Blokowano też moją profesurę. Z akt IPN-u dowiedziałem się po latach, kto personalnie był w to zaangażowany. Kłopoty mieli też moi współpracownicy. Uznałem więc, że czas się ewakuować, a w tym czasie na KUL-u tworzone prawo.

KOMOROWSKI: Jak kadrowo to oni rozwiązali, bo przecież własnej kadry, poza prawem kanonicznym, nie mieli.

WIDACKI: Przed wojną i krótko po niej prawo na KUL-u było. W stanie wojennym w sytuacji podobnej do mojej znalazło się wielu prawników i oni, jak Wiesław Chrzanowski, Adam Strzembosz, Alicja Grześkowiak czy Hanna Suchocka skorzystali z tej szansy. Wykorzystano też miejscowych „kanonistów” i w ten sposób dość szybko skompletowano kadre. Ja się w tej nowej dla mnie społeczności odnalazłem, bo KUL nie był tak endecki jak obecnie. Wtedy wykładali tu Tadeusz Chrzanowski, Krzysztof Kozłowski, Jacek Woźniakowski, Stefan Świeżawski i wielu innych im podobnych. Atmosfera tam panująca była zupełnie inna i do zaakceptowania.

SURDYKOWSKI: Czy kierowano się jakimiś specjalnymi kryteriami, przyjmując do pracy?

WIDACKI: O ile pamiętam, nie zatrudniano rozwiedzionych.

CHUDZIŃSKI: Już jako pracownik KUL-u wyjechał Pan do Japonii.

WIDACKI: Dostałem stypendium w 1985 roku od rządu japońskiego. Wcześniej miałem kontakty prywatne z prof. Nakayamą, który przebywał w Polsce też na stypendium. I on mi ten wyjazd załatwił. Przebywałem na kilku uniwersytetach, zbierając materiały do książki o przestępczości w Japonii, która – jak na ten stopień zurbanizowania – jest bardzo mała.

KOMOROWSKI: Jak sobie Pan radził z barierą języka?

WIDACKI: Języka japońskiego nie znam, porozumiewałem się po angielsku, co w środowisku uniwer-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

syteckim nie nastręczało trudności. Owocem mojego rocznego tam pobytu była książka pt. *Przestępczość i wymiar sprawiedliwości karnej w Japonii*.

CHUDZIŃSKI: Tymczasem w Polsce następuje transformacja ustrojowa. Jak to się stało, że znalazł się Pan w pierwszej ekipie, która przejmowała władzę po 1989 roku?

WIDACKI: Pod koniec maja tego roku wróciłem ze stypendium w Ameryce. Jeszcze za czasów pierwszej „Solidarności” aktywnie działałem w Społecznym Centrum Inicjatyw Ustawodawczych, które w 1989 roku się reaktywowało. Ja zajmowałem się prawem o policji i przygotowywałem projekt ustawy, która do dziś obowiązuje, oczywiście po licznych nowelizacjach. Byłem też ekspertem OKP w Sejmie, kiedy ją uchwalano.

CHUDZIŃSKI: Czy te aktywności i kompetencje przesądziły o tym, że Krzysztof Kozłowski, pierwszy niekomunistyczny minister spraw wewnętrznych zrobił Pana swoim zastępcą?

WIDACKI: Nie jestem pewien, czy to Kozłowski mnie wybrał, czy Rokita, z którym współpracowałem w Sejmie nad reformą służb specjalnych, mnie zarekomendował. Kozłowski, jak wiadomo, najpierw został zastępcą Kiszczaka w rządzie Mazowieckiego i na podstawie ustawy dezubekizacyjnej obcięto by mu emeryturę, ale tego nie doczekał. Jak został ministrem, po mszy w kościele św. Anny w Krakowie, gdzie kazania wygłaszał ks. Tischner, zaprosił mnie do pobliskiej kawiarni Zalipianek i zaproponował stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych.

KOMOROWSKI: Czy to była propozycja nie do odrzucenia?

WIDACKI: Wszystkie można odrzucić, ale wtedy mieliśmy taki inteligencki imperatyw, że trzeba. Przy-

chodziliśmy do rządu z różnych miejsc, także z uczelni, a nawet z teatru, jak Cywińska.

SURDYKOWSKI: Z KUL-u wziął Pan urlop?

WIDACKI: Nie, dalej prowadziłem zajęcia, za które nie pobierałem wynagrodzenia.

SURDYKOWSKI: No to mam pytanie do wiceministra: jak to było z niszczeniem teczek? Pytam, bo po dwóch teczkach mnie dotyczących, zawierających materiały o działalności podziemnego Stowarzyszenia Dziennikarzy, zachowały się tylko protokoły zniszczenia.

WIDACKI: Kiedy ja przyszedłem do ministerstwa, Służba Bezpieczeństwa była już rozwiązana. Resort ze starym kierownictwem znajdował się w rozkładzie. Kiszczak nadał MSW nowy statut, żeby ratować sytuację.

KOMOROWSKI: To było celowe działanie?

WIDACKI: Oczywiście. Chodziło o to, żeby jak najwięcej pozamiatać, czyli pozacierać ślady. Zlikwidowano Departament IV zajmujący się Kościołem, a jego kierownik wydał polecenie, że skoro nie ma już obiektu inwigilacji, to akta należy zniszczyć. To wszystko działo się na przełomie 1989/1990 roku. Kiedy myśmy objęły resort, niszczenie akt i wynoszenie teczek było już niemożliwe. Do dziś krążą legendy o tym, jak to Michnik i inni wchodzili do archiwum i zabierali stamtąd co chcieli. To nie tylko pomówienia, ale czyste kretyństwo. Kozłowski powołał specjalną komisję, na której czele stanął dyrektor Archiwów Państwowych, a OKP wydelegował Michnika na jej członka. I tylko oni mieli prawo do budynku archiwum wchodzić, za każdorazowym odnotowaniem tam swojej obecności. Ich zadaniem było przejrzeć inwentarze i zdecydować, jakie zasoby akt i gdzie należy przekazać. Oni mieli dostęp do inwentarzy, czyli ewiden-

cji zgromadzonych materiałów, a nie do konkretnych teczek. Opowieści o tym, że wynoszono teczkę „przy okazji” jest nieprawdą, gdyż to było niewykonalne technicznie, zważywszy jak ogromny był to zasób archiwaliów, mierzony w metrach sześciennych i kilometrach

CHUDZIŃSKI: A teczka Wałęsy, która podobno została przetrzebiona na jego polecenie.

WIDACKI: Tu się uchylam od odpowiedzi. Ja reprezentuję Wałęsę w sporze z IPN-em i z tego powodu nie mogę tej sprawy komentować. Mogę tylko powiedzieć, że w jego aktach są dokumenty fałszowane przez SB. Specjalizowała się w tym tzw. komórka legalizacyjna, działająca w Biurze Techniki MSW. Oni potrafili podrobić paszporty amerykańskie tak, że sami Amerykanie nie byli tego świadomi. Fałszowanie dokumentów w sprawie Wałęsy potwierdził sąd lustracyjny. W ostatnim czasie ustalono nawet – w sensie personalnym – sprawców tych fałszerstw, tylko ze względu na przedawnienie dochodzenie umorzono.

SURDYKOWSKI: Co Panu podlegało w MSW w ramach podziału obowiązków?

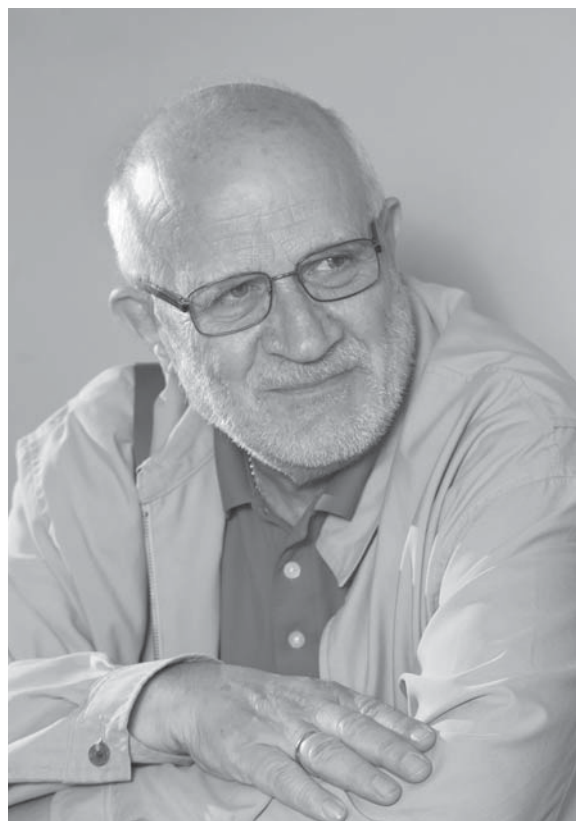
WIDACKI: W MSW podlegała mi policja, legislacja i kontakty z Sejmem. W policji pracowało wtedy ponad sto tysięcy ludzi. W resorcie obowiązywało około tysiąca aktów prawnych różnej rangi. Trzeba było to wszystko uporządkować. Zrobiliśmy to w ciągu paru miesięcy. Tych akt przez lata tyle narosło, gdyż minister wydawał wiele tzw. rozporządzeń samoistnych nie mających rangi ustawy, a potem tylko przedłużał aktualność niektórych i wydawał nowe. M.in. wydał zarządzenie, że dokumentacji z podsłuchu nie można ujawniać nawet w aktach operacyjnych. O tym nie wiedział IPN, dopiero sprawa wyszła na jaw przy okazji procesu lustracyjnego Niezabitowskiej.

CHUDZIŃSKI: Jaka była strategia postępowania wobec kadry kierowniczej Milicji Obywatelskiej, przemianowanej na Policję? To była służba mundurowa, a nie tajna czy specjalna.

WIDACKI: Musieliśmy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy stać nas – jako państwo – na likwidację tej służby i tworzenie jej od nowa. Oczywiście, że nie mieliśmy takich możliwości – kadrowych, operacyjnych i finansowych, ani nie było takiej potrzeby. Przeciwnie, w wielu pionach, zwłaszcza w zakresie przestępstw kryminalnych i gospodarczych, należało zachować ciągłość. W proporcji do nich sprawy polityczne to był niewielki procent. Rzecz jasna, wymiana kadrowa nastąpiła. Objęła ona całe kierownictwo resortu, wszystkich komendantów wojewódzkich, poza jednym niedawno mianowanym. Usunięto też wszystkich funkcjonariuszy skompromitowanych, na co były dowody, zlikwidowano Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy, czyli taką wewnętrzną „bezpiekę” oraz pion polityczno-wychowawczy. Zreformowaliśmy szkołę policyjną w Szczytnie, która uzyskała status wyższej szkoły zawodowej kształcącej na poziomie licencjatu oraz zamknęliśmy Akademię Spraw Wewnętrznych.

KOMOROWSKI: Jak ocenialiście stan zastany w policji, jeśli chodzi o zwalczanie przestępczości kryminalnej i gospodarczej?

WIDACKI: Dobrze, a nawet bardzo dobrze. Ja z tymi służbami miałem kontakt, będąc na UŚ-u. Moja katedra wykonywała ekspertyzy kryminalistyczne. Z tych kontaktów wiedziałem, że w pionie kryminalnym pracowało w milicji wielu fachowców.



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

CHUDZIŃSKI: Czy za Pana obecności w MSW zaczęła się już rodzić mafia?

WIDACKI: To jest sprawa terminologii. Zjawisko przestępczości zorganizowanej znane było w Polsce dużo wcześniej, także za komuny. Po '89 roku pojawiły się nowe możliwości w tym zakresie, z których świat przestępczy skwapliwie skorzystał. W PRL-u, kiedy nie można było wyjeżdżać za granicę, nie można było na przykład kraść samochodów w Niemczech i przemycać ich za wschodnią granicę. Wśród pierwszych gangsterów najwięcej jest mechaników samochodowych. To wokół rynku samochodowego zaczęło się tworzyć zjawisko mafii w Polsce. Potem rozciągnęło się to na narko- i seksbiznes.

SURDYKOWSKI: Na jakie lata przypadła ta druga faza?

WIDACKI: Na drugą połowę tak 90, jak kończyła się koniunktura na rynku samochodowym. Wtedy zaczęły powstawać agencje towarzyskie i wchodzić do obiegu narkotyki. W PRL-u ich nie było. Biedny Terlecki, gdy chciał mieć „odjazd”, to musiał wachać płyn *Tri*, przeznaczony do zupełnie innych celów i skutki tego widzimy do dzisiaj. Otwarcie granic umożliwiło powstanie nowych kanałów przerzutowych narkotyków.

SURDYKOWSKI: Oto zgubne skutki daru wolności.

WIDACKI: No tak, gdy były szczelne granice i kontrole, to takich zjawisk nie było.

KOMOROWSKI: Przy okazji – jest Pan za legalizacją narkotyków?

WIDACKI: Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć jednym zdaniem. Problem nie jest prosty. Prohibicja w Stanach pokazała, że zakazami się go nie rozwiąże.

KOMOROWSKI: Czyli liberalizacja przepisów, a także legalizacja przynajmniej niektórych narkotyków?

WIDACKI: Są argumenty za i przeciw. W różnych krajach ten problem próbuje się rozwiązać na różne sposoby. Jednego, skutecznego na razie nie znaleziono. W każdym razie zaostreżenie sankcji i represji nie wydaje się lekiem na to zło.

SURDYKOWSKI: **Potwierdzają to przykłady z Azji. W Tajlandii drakońskie kary i konsumpcja duża, w Birmie na odwrót – liberalizacja przepisów i malejąca konsumpcja.**

WIDACKI: U nas nie ma warunków do normalnej dyskusji na ten temat, bo na przykład zwolenników liberalizacji od razu oskarża się o deprawowanie młodzieży, a ona przecież jest przyszłością narodu, na dodatek wybranego.

CHUDZIŃSKI: **Jakie służby powołałście wtedy od nowa, wyłączając CBA, które powstało o wiele później?**

WIDACKI: Urząd Ochrony Państwa, czyli UOP. W policji powstały nowe komórki i agendy, ale formacja – jako całość – po zmianie nazwy zachowała ciągłość. Nie obojętne, rzecz jasna, bez święceń sztandarów, budynków itp. To się rozpleniło do tego stopnia, że Michał Rożek, historyk, zwrócił mi uwagę, że w dawnej Polsce hetmani nawet buław nie święcili, a my niedługo będziemy święcić pałki... Niektóre garnizony mają już po pięć sztandarów i każdy został poświęcony. Podobnie rzecz się miała z kapelanami, których chciały mieć także komendy wojewódzkie, a nawet powiatowe. Myśmy to na początku popierali, wychodząc z założenia, że policja jest częścią społeczeństwa, a ono jest katolickie i praktykujące. Nie przewidzieliśmy tylko, że wprowadzanie obrzędów i praktyk religijnych do policji przyjmie takie rozmiary, zwłaszcza po naszym odejściu.

SURDYKOWSKI: **Co zdecydowało o tym, że został Pan ambasadorem RP na Litwie?**

WIDACKI: Na jednym z posiedzeń rządu zastępowałem ministra Majewskiego i, korzystając z mojej obecności, minister Skubiszewski zaproponował mi placówki w Mińsku lub w Wilnie – do wyboru. A ponieważ rząd się właśnie zmieniał i moim szefem miał zostać Macierewicz, więc skwapliwie z tej propozycji skorzystałem, wybierając Wilno. Nominację dostałem od nowego premiera Jana Olszewskiego.

CHUDZIŃSKI: **Kazimierz Wierzyński w jednym ze swoich wierszy postawił się metaforą pola minowego dla pokazania naszych relacji historycznych z sąsiadami. Czy Litwa była dla Pana takim polem minowym?**

WIDACKI: Obejmując tam placówkę kierowałem się następującą dyrektywą. Po pierwsze, z dyskursu politycznego usuwamy historię. Niech się tym zajmują historycy. Po drugie – dla mniejszości polskiej, która jest tam dobrze zorganizowana jeszcze od czasów radzieckich, nie możemy żądać więcej, aniżeli możemy dać jakiegokolwiek mniejszości narodowej w Polsce, zwłaszcza niemieckiej. Od Litwinów oczekiwaliśmy tylko respektowania standardów europejskich. Nie popieraliśmy więc żądań mniejszości polskiej wykraczających poza te standardy. Na to miałem placet MSZ. To się skończyło wraz z dojściem SLD do władzy.

SURDYKOWSKI: **Kiedy ministrem spraw zagranicznych został Rosati, dość obcesowo ingerował w pracę ambasad, czego sam doświadczyłem.**

WIDACKI: Mnie się najlepiej współpracowało z Olechowskim, którego uważam za jednego z najlepszych ministrów spraw zagranicznych po '89 roku. Skubiszewski był bardziej wizjonerem, a Olechowski podejmował decyzje, nierzadko trudne.

KOMOROWSKI: **Jest Pan zadowolony ze swojego ambasadorowania na Litwie?**

WIDACKI: Trudno mnie samemu się oceniać, ale dobrze o mojej misji na Litwie mówili i pisali m.in. Jerzy Giedroyc, Jan Nowak-Jeziorański i Adam Michnik, choć redaktor „Kultury” paryskiej na początku traktował moją misję z rezerwą.

CHUDZIŃSKI: **Utarła się opinia, że Litwini lepiej Pana oceniają niż nasza prawica.**

WIDACKI: Gdyby było odwrotnie, bardzo bym się martwił.

CHUDZIŃSKI: **Znalazł Pan zrozumienie Litwinów dla swojej wizji wzajemnych stosunków?**

WIDACKI: Nie bardzo. Oni na przykład do Armii Krajowej mają taki stosunek, jak my do UPA. I mają po temu swoje powody. Przedmiotem kontrowersji jest m.in. Łupasza, u nas czczony, a tam oskarżany o ludobójstwo. No to myśmy dostarczyli do wielu bibliotek nasze wydawnictwa o AK, głównie PAX-u. Wydaliśmy także po litewsku antologię tekstów o działalności AK na Litwie. Słowem – byliśmy aktywni i co było można, to prostowaliśmy i wyjaśnialiśmy.

KOMOROWSKI: **Wiemy, że wielu Litwinów mówi po polsku, a jak jest ze znajomością litewskiego wśród mieszkających tam Polaków?**

WIDACKI: To się zmienia. Ja tam byłem 21 lat temu. Młode pokolenie mówi po litewsku, bo chodzi do szkół litewskich, choć na Litwie działa ponad 100 polskich szkół i Uniwersytet Pedagogiczny kształcący na ich potrzeby nauczycieli. Działa też filia Uniwersytetu Białostockiego. Mój syn chodził w Wilnie do szkoły polskiej. Większość Polaków posługiwała się wtedy językiem rosyjskim, bo język litewski stanowił barierę. Ale Litwini chętnie dawali Polakom obywatelstwo bez znajomości języka, w przeciwnieństwie do Łotyszy i Estończyków.

CHUDZIŃSKI: **Czy zetknął się Pan z żywotnością idei krajowej na Litwie, która miała tam piękne tradycje: Romer, Abramowicz, a pod koniec życia także Miłosz uważał się za krajowca.**

WIDACKI: Nie, to już była idea martwa, bo zabrakło ciągłości. Młoda polska inteligencja wychowała się w Litewskiej Republice Radzieckiej i o ruchu krajowym na ziemiach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego nie wiedziała.

SURDYKOWSKI: **Kiedy byłem konsulem generalnym w Nowym Jorku, przyjechał do Ameryki pan Ciechanowicz, by zbierać pieniądze na powstanie polskie na Litwie. Udało się nam go spacyfikować dzięki współpracy z „Nowym Dziennikiem”. Czy wiedział Pan o tym?**

WIDACKI: Ciechanowicz był deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR i docentem naukowego ateizmu. Swego czasu złożył projekt utworzenia Wschodniopolskiej Republiki Rad, w skład której miały wchodzić ziemie należące przed wojną do Polski, a obecnie do Litwy, Białorusi i Ukrainy. Natomiast co się tyczy wywołania

powstania, to on w prasie polskiej na Litwie, dotowanej z Polski, dawał za wzór Polakom bośniackich Serbów.

SURDYKOWSKI: *Gdyby KGB było trochę sprytniejsze, to by miało Bośnię na Litwie, a drugą na Ukrainie.*

WIDACKI: Jak zaczęły się ruchy niepodległościowe na Litwie, KGB sugerowało takie rozwiązanie: Litwa odda się w granicach sprzed 1939 roku, a Polsce oddaje Wileńszczyznę. Obliczone to było na odpowiednią reakcję w obydwu krajach, bo przecież znaleźliby się zwolennicy i przeciwnicy takiego rozwiązania i w efekcie szansa na dwie wojny domowe. Gdyby się udało je wywołać, Stany Zjednoczone nie miałyby innego wyjścia jak poprosić rozpadający się Związek Radziecki o zrobienie porządku w tej części Europy. Ale Gorbaczow tej propozycji KGB nie poparł i rozwój wypadków potoczył się inaczej. Niestety, wśród działaczy polskich na Litwie było więcej ludzi tego pokroju co Ciechanowicz, którzy stali się narzędziem polityki rosyjskiej, nie zawsze zdając sobie z tego sprawę. Ale niektórzy świadomie współpracowali z KGB i tam szukali wsparcia dla swoich pomysłów politycznych mających zapewnić bądź większą autonomię Wileńszczyzny w ramach państwa litewskiego, bądź jej powrót do Polski.

CHUDZIŃSKI: *Część naszych rodaków akceptowała ten sposób myślenia i to daje do...myślenia.*

WIDACKI: Warto też pamiętać, że przedstawiciele ludności polskiej byli – w stosunku do swojej liczebności – nadreprezentowani w KGB, MSW i w aparacie partyjnym. Spośród całej populacji polskiej mniejszości, która liczyła 8 procent, w tych instytucjach Polaków było dwukrotnie więcej. To się da wytłumaczyć. Polacy, będąc mniejszością, mieli poczucie nierówności. W czasach sowieckich w tych sektorach i służbach mogli łatwiej zrobić karierę. W analogicznej sytuacji znaleźli się Żydzi w powojennej Polsce, którzy też byli nadreprezentowani w aparacie partyjnym, Służbie Bezpieczeństwa i w pionie politycznym wojska.

KOMOROWSKI: *Co jest obecnie głównym przedmiotem sporu w stosunkach polsko-litewskich? Pisownia nazwisk?*

WIDACKI: Przygotowując traktat doszliśmy wspólnie do wniosku, że tego problemu rozwiązać się nie da po myśli każdej ze stron. Zgodziliśmy się co do brzmienia, a pisownię miała określić odrębna umowa. W MSZ ktoś zaproponował pisownię nazwisk w transkrypcji angielskiej, ale tego pomysłu nawet Litwinom nie przedstawiłem, bo był niedorzeczny. Od tamtego czasu, a minęło przeszło 20 lat, myśmy nie przedstawili żadnego projektu w tym względzie licząc, że zrobią to Litwini. Oni nie chcą się zgodzić na pisownię polską, bo boją się, że wtedy mieszkający tam Rosjanie chcieliby pisać swoje nazwiska rosyjskim alfabetem.

SURDYKOWSKI: *Litwini to jest mały naród, a my nie chcemy zrozumieć, jak ważny jest dla nich język ojczysty, choć niewątpliwie nastręczający jeszcze więcej komplikacji niż nasz.*

WIDACKI: Ja wielokrotnie o tym pisałem. Wyobraźmy sobie, że w Warszawie mieszka 20 procent Niemców albo Rosjan, a w województwie mazowieckim 60 procent. A tak to wygląda w Wilnie i jego okolicach. W traktacie nie żądaliśmy obcojęzycznej pisowni miejscowości, bojąc się, że mniejszość niemiecka zażąda tego na Opolszczyźnie. A potem przystąpiliśmy do Unii,

na Opolszczyźnie, na Podlasiu czy Łemkowszczyźnie pojawiły się nazwy dwujęzyczne i Polska się z tego powodu nie rozpadła. Litwinom trzeba to cierpliwie tłumaczyć, a nie tupać nogą. Za mojego tam pobytu dwujęzycznym nazwom sprzeciwiało się 55 procent Litwinów, a po zaostreniu kursu przez Sikorskiego przeciwko jest 90 procent. Taki osiągnęliśmy efekt.

CHUDZIŃSKI: *Jednak obecne stosunki Polski z Litwą są mimo istniejących różnic dużo lepsze niż przed wojną.*

WIDACKI: Ja kiedyś kupiłem na rynku staroci numer „Kuriera Wileńskiego” z 1938 roku, zawierający ultimatum rządu polskiego. Dałem go oprawić i podarowałem ówczesnej litewskiej Pani Ambasador z przesłaniem: jak Litwini będą narzekać, że nasze wzajemne stosunki są złe, to im pokaż ten numer na dowód, że były gorsze.

SURDYKOWSKI: *Pan, podobnie jak ja i obecny tu Adam, w MSZ zaliczany był do tzw. uliczników, czyli ludzi wziętych do dyplomacji z ulicy. To się zaczęło za Skubiszewskiego. On wiedział, że poza ministerstwem nie znajdzie profesjonalistów, ale szukał osobowości, czyli ludzi mających coś do powiedzenia na ogół w dwóch lub trzech językach i coś sobą reprezentujących. Natomiast zawodowy dyplomata w krajach demokratycznych zna nierzadko pięć języków, ale w żadnym nie ma zbyt wiele do powiedzenia ponad to, co mu każą. Osobiście uważam, że rezygnacja z tego kryterium w doborze kadr do MSZ jest błędem. A Pan jak sądzi?*

WIDACKI: To była słuszną polityką kadrową także z tego względu, że powodowała przewietrzenie tego resortu. Na korytarzach MSZ widywało się sfrustrowanych urzędników, którzy musieli kilka lat przesiedzieć w centrali, żeby ponownie wyjechać na placówkę, bo taka była procedura. Ale spotykałem też dyplomatów z nowego zaciągu, którzy znakomicie się przystosowali do rutynowych zachowań i bez oporów wchodzili w buty swoich poprzedników. Z mojego doświadczenia i obserwacji wiem, że ambasador może nic nie robić, byle przysyłał do centrali inteligentnie napisane sprawozdania i raporty, w których tłumaczy, że nic zrobić się nie da. I wielu tę sztukę posiadało, co obecnie, kiedy nie prowadzimy żadnej polityki zagranicznej, jest zapewne bardzo przydatne.

CHUDZIŃSKI: *Po powrocie z Litwy jeszcze bardziej angażuje się Pan w politykę. Za pierwszych rządów PiS-u współorganizował Pan Ruch Obrony Demokracji, był aktywny w Partii Demokratów i w koalicji z SLD zasiadał w Sejmie, miał Pan też w swojej biografii epizod związany ze Stronnictwem Demokratycznym, które przetrwało transformację...*

WIDACKI: To jakieś nieporozumienie, zaraz wyjaśnię. Pośłem zostałem w wyniku zawarcia koalicji przez SLD i Demokratów PI. Tę koalicję SLD wypowiedziało po jakimś czasie i wtedy podjęliśmy w kilka osób współpracę z SD, zakładając w Sejmie Koło Demokratów, jednak do tej partii formalnie nie należałem! Pod koniec kadencji wstąpiłem do Klubu SLD, bo trzyosobowe koło w Sejmie, do którego należałem, nic sensownego nie może zrobić, to jest czas stracony.

CHUDZIŃSKI: *W Wikipedii piszą, że otarł się Pan też o Ruch Palikota.*

WIDACKI: Napisać wszystko można, niekoniecznie zgodnie z prawdą. Po rozpadzie koalicji Lewica-Demokraci w następnych wyborach SLD zaproponowało mi

kandydowanie do Sejmu z drugiego miejsca na liście w Krakowie. Odmówiłem i wtedy przysłał mi sms-a Palikot, czy zgodziłbym się kandydować z ich listy. Też odmówiłem, natomiast kiedy po wyborach zorganizował w Sejmie zespół ekspertów, zgodziłem się wejść w jego skład, ale nie pojechałem na żadne spotkanie tego zespołu. Jednak na prośbę Palikota napisałem wniosek o postawienie Ziobry przed Trybunałem Stanu. Innych związków z Palikotem nie miałem.

CHUDZIŃSKI: Czy planuje Pan powrót do czynnej polityki?

WIDACKI: W dojrzałych demokracjach jest podział na tych, co tworzą wizje, wielkie projekty społeczne i na tych, co działają na co dzień w polityce. U nas te role się mieszają i dlatego mamy sytuację, że wielu polityków nie potrafi się z polityką rozstać. Tymczasem ich asystenci i sztaby młodych ludzi, którzy u ich boku dojrżeli, nie dostają szansy samodzielnego zaistnienia. To prowadzi do wyjałowienia polityki. Ja, gdybym nawet jeszcze raz został posłem, w tej roli już bym wiele nie zdziałał. Jeżeli mi czas na to pozwoli, to chciałbym bardziej uczestniczyć w debacie publicznej jako autor, a nie jako zawodowy polityk.

KOMOROWSKI: Zjawisko starzenia się w polityce występuje nie tylko w Polsce. Długowiecznych polityków latami zasiedziały w parlamentach mamy wielu w Niemczech, Włoszech czy Francji.

WIDACKI: Ja bardziej miałem na myśli rozróżnienie polityków na ideologów i działaczy, tam ten podział jest bardziej wyraźny.

SURDYKOWSKI: A Pan widziałby się w jakiej roli?

WIDACKI: Wykorzystując moje doświadczenia i czynną obecność w polityce przez wiele lat, chciałbym ją ludziom objaśniać.

CHUDZIŃSKI: Czy temu służy publicystyka, którą Pan dość intensywnie uprawia?

WIDACKI: Jako czynny adwokat i nauczyciel akademicki nie mam na tę działalność zbyt dużo czasu, ale chętnie ją podejmuję. Z tego powodu jakiś czas temu zawiesiłem moją współpracę z „Przeglądem”, ale ostatnio podjąłem ją na nowo.

KOMOROWSKI: Czy jako autor nie ma Pan poczucia, że pisanie dzisiaj staje się coraz bardziej anachroniczne?

WIDACKI: W dobie internetu i mediów elektronicznych rola słowa pisanego, a zwłaszcza drukowanego maleje. Kiedyś przekaz w komunikacji międzyludzkiej szedł z góry w dół, elity i autorytety były dla ludzi wzorem, a dziś w internecie przekaz idzie w poziomie: od kretyna do kretyna.

SURDYKOWSKI: Jesteśmy prawie 30 lat po transformacji. Czy można było pokierować nią inaczej, czyli – czy mogliśmy osiągnąć więcej, ku zadowoleniu większej liczby ludzi?

WIDACKI: To zależy od przyjętej filozofii. Zawsze można było zrobić lepiej.

CHUDZIŃSKI: W tej sali podobną rozmowę odbyliśmy kiedyś z nieżyjącym już prof. Kowalikiem. Jego koncepcja socjaldemokratyczna, nawiązująca do wzorów skandynawskich, była alternatywą dla neoliberalnego planu Balcerowicza. Wybraliśmy jak wybraliśmy i mamy to, co mamy. Około 40 procent społeczeństwa znalazło się w strefie ubóstwa i to jest główna baza społecznego poparcia dla PiS-u. Pan

w początkach transformacji znalazł się w centrum obozu nowej władzy. Jak wy to postrzegaliście?

WIDACKI: Wystarczyło pojechać za wschodnią granicę, żeby zobaczyć, jaką mieliśmy alternatywę. Natomiast wybierając wolny rynek należało go ubezpieczyć programami osłonowymi, edukację uczynić mniej podatną na wpływy Kościoła i partii politycznych. Jeszcze parę innych rzeczy zaniedbano, ale w gospodarce dla planu Balcerowicza alternatywy chyba nie było.

CHUDZIŃSKI: Rozmawialiśmy też z Kuroniem, który na dwa lata przed śmiercią ubolewał, że podżyrował jako minister pracy i polityki społecznej prywatyzację, która w praktyce okazała się złodziejską. W efekcie znaczna część majątku narodowego została rozkradziona, co demaskował za życia Lepper i niekoniecznie mijał się z prawdą.

WIDACKI: Prywatyzacja to jedno, a na wszystkich rządach po 1989 roku spoczywa odpowiedzialność za to, że nie miały odwagi powiedzieć: nie będzie żadnej reprivatyzacji, bo na nią nas nie stać jako państwo. Odiu za to spadło na Platformę, która się chyba z tego nie wygrzebie. Ten sam problem pojawił się w 1918 roku, ale wtedy nikomu nie zwracano majątków skonfiskowanych po powstaniu styczniowym i za inną działalność patriotyczną. Po '89 roku szermowano świętym prawem własności i *de facto* umożliwiono jej odzyskanie bez uchwalenia ustawy, co miało ten skutek, że dzisiaj PiS przy pomocy komisji Jakiego nabija sobie punkty. Tymczasem należało jasno powiedzieć: tak jak granice w Europie po zakończeniu wojny są nienaruszalne, tak samo w Polsce jako nienaruszalne traktujemy stosunki własnościowe, ukształtowane w wyniku przeprowadzenia reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu. To powinna mówić głośno przede wszystkim lewica.

Teraz, po setkach przekrętów w ramach reprivatyzacji, winnych szuka się wśród urzędników. Ale zapadały też prawomocne wyroki sądowe, biura notarialne poświadczają różnego rodzaju wątpliwe dokumenty uprawniające do zwrotu własności. Kto miał to weryfikować? Urzędnicy samorządowi? Państwo też mogło więcej w zakresie kontroli zrobić. Jedną ze znanych mi kancelarii adwokackich specjalizowała się w odzyskiwaniu mienia pożydowskiego. Ja im mówiłem: wy się nie boicie prokuratury, bo jest nieudolna, ale wy się bójcie Szymona Wiesenthala, bo z waszej działalności wynika, że Holocaustu nie było, skoro większość właścicieli nieruchomości przeżyła i tym majątkiem, mając nierzadko ponad sto lat, nadal rozporządza.

Z kolei przed sądami aparat państwa też wykazał zbyt mało staranności i chęci, żeby udowodnić, że w wielu przypadkach odszkodowania zostały wypłacone w ramach porozumień prawnomiedzynarodowych, że wiele nieruchomości było zadłużonych przez właścicieli, a inne zostały wyremontowane na koszt państwa. To jest cała seria błędów i zaniechań, które w rezultacie doprowadziły do naruszeń prawa i rozmaitych patologii.

CHUDZIŃSKI: Skoro już mówimy o sądach, to nie możemy profesora prawa i czynnego adwokata nie zapytać o to, co się teraz dzieje wokół wymiaru sprawiedliwości. Dlaczego ta sfera jest tak zaciekle atakowana przez rząd i okazuje się bezbronna? W rezultacie sądownictwo i prokuratura stają się lub już się stały łupem PiS-u.

WIDACKI: Wszystko staje się łupem tej władzy, która uważa, że demokracja polega na bezwzględnych rządach większości.

CHUDZIŃSKI: **Niektórzy politolodzy mówią w takich razach o demokracji totalitarnej.**

WIDACKI: Toteż trzeba ludziom tłumaczyć, że jeśli zaakceptujemy taką formę demokracji, to sejmowa większość może uchwalić wszystko, zupełnie się nie licząc z naszym zdaniem, poglądami itp. PiS szermuje tą większością, bo ma akceptację społeczną dla swych poczynań.

CHUDZIŃSKI: **Ale dlaczego ją ma?**

WIDACKI: Jeśli chodzi o sądownictwo, to ono jest zarzynane na naszych oczach, bo samo się podłożyło.

KOMOROWSKI: **No właśnie, latami pracowało na to, żeby być tak potraktowane.**

WIDACKI: Jednak z jego krytyką bym nie przesadzał. Nawet idealnie funkcjonujący wymiar sprawiedliwości produkuje miliony niezadowolonych. W Polsce zapada około 800 tysięcy wyroków rocznie w sprawach cywilnych. Co najmniej połowa nie zadowala tych, co byli stroną w procesie, bo przegrali, ale też znaczną część tych, co niby wygrali, lecz spodziewali się korzystniejszego dla siebie wyroku. PiS wykorzystuje to niezadowolenie socjotechnicznie, zamiast tłumaczyć, że taka jest natura sądów – co najmniej połowa ich klientów będzie zawsze i wszędzie ich wyroki krytykować. Podważać autorytet sądów jest łatwo, przywrócić go będzie o wiele trudniej. Napuszczanie ludzi na sądy do droga donikąd.

SURDYKOWSKI: **Jednak trudno zaprzeczyć, że sprawność i wydolność sądownictwa w Polsce jest dużo gorsza niż w wielu krajach europejskich. I to jest jedna z przyczyn społecznej frustracji i niezadowolonia.**

WIDACKI: I tak, i nie. Mechaniczne porównywanie krajów bez uwzględniania rozmaitych uwarunkowań nie wyjaśnia wszystkiego.

CHUDZIŃSKI: **Dlaczego samo środowisko sędziowskie nie wychodzi z propozycjami uzdrowienia systemu, a próby podejmowane z zewnątrz są podważane lub torpedowane, jak choćby wprowadzenie dwuzmianowości w sądach.**

WIDACKI: Wąskim gardłem jest brak wystarczającej liczby sędziów i obciążenie ich ponad miarę, a nie brak sal sądowych. Co z tego, że wprowadzimy pracę w sądach na dwie zmiany, skoro i tak nie będzie miał kto sądzić. Ważniejszym problemem jest przewlekłość postępowań. W Japonii, w olbrzymim gmachu Sądu Najwyższego pracowało za mojej tam bytności 14 sędziów, ale każdy z nich miał do dyspozycji ogromny zespół ludzi, którzy wykonywali dla niego różnego rodzaju prace przygotowawcze i pomocnicze. U nas nie każdy sędzia w sądach powszechnych ma asystenta, dlatego wykonuje tzw. czarną robotę sam, co automatycznie wydłuża czas postępowania.

KOMOROWSKI: **Może społeczeństwo nie wie o tym, co Pan mówi i całą winę przypisuje środowisku sędziowskiemu.**

WIDACKI: Ziobro szermuje też argumentem, że sądy mają niską ocenę pozytywną w granicach 30 procent. A czy inne instytucje lub środowiska, jak Sejm, rząd i politycy mają wyższą? Na tym polega ta demagogia.

CHUDZIŃSKI: **Nie zmienia to jednak faktu, że brak inicjatyw „ozdrowieńczych” w samym środowisku ułatwia Ziobrze zadanie, a ono sprowadza się do objęcia nad sądownictwem politycznej kurateli.**

WIDACKI: Musi niepokoić to, że znaczna część społeczeństwa biernie przygląda się poczynaniom Ziobry, a nawet je akceptuje. Jednak istota sprawy polega na czym innym. Otóż gwałtu na wymiarze sprawiedliwości dokonuje się przy pomocy niecznych metod. Przede wszystkim administruje się społecznym niezadowoleniem, które ma – o czym mówiliśmy – przyczyny obiektywne. Nagłaśnia się też jednostkowe przykłady negatywne, żeby napiętnować całe środowisko.

CHUDZIŃSKI: **Wypomina się też sędziom, że nie uruchomili skutecznych mechanizmów samooczyszczania, stąd projekt utworzenia w Sądzie Najwyższym Izby Dyscyplinarnej.**

WIDACKI: Sądem dyscyplinarnym dla sędziów jest Sąd Apelacyjny wskazany przez Sąd Najwyższy. Dopiero instancją odwoławczą jest ten ostatni. Tak jest teraz. To nie są sądy koleżeńskie!

CHUDZIŃSKI: **A rezultaty? Liczba sędziów usuniętych z korporacji jest znikoma.**

WIDACKI: Ziobro podporządkował sobie prokuraturę, wymienił w niej kadre kierowniczą, stworzył specjalny pion dyscyplinarny mający oczyścić tę instytucję z osób niepożądanych. I co? Na razie toczą się trzy sprawy. Może nie ma kogo wywalić?

CHUDZIŃSKI: **Ziobro z mównicy sejmowej zaatakował Krajową Radę Sądownictwa cytatem z... Rzeplińskiego, co prawda sprzed wielu lat, ale celnie punkującym słabości tego gremium.**

WIDACKI: Rzepliński należał do PZPR, nie protestował, kiedy z przyczyn politycznych wyrzucano z pracy jego kolegę Andrzeja Celińskiego za działalność opozycyjną, a teraz wyrósł na głównego obrońcę prawa i demokracji. Tak bywa...

KOMOROWSKI: **Czy ustawa dezubekizacyjna może być wstępem do rewizji bądź anulowania praw nabytych innych grup zawodowych, którym przyszło żyć i pracować w PRL-u? Zastanawiające jest, że ludzie takiej ewentualności w ogóle nie biorą pod uwagę, a chodzi przecież o utratę połowy albo i więcej emerytury.**

WIDACKI: Wielu ludzi wyrosło i podjęło pracę po 1989 roku i jest przekonanych, że ten problem ich nie dotyczy. Co więcej, w wyniku agresywnej propagandy i edukacji szkolnej jest przekonanych, że między PRL-em a dajmy na to Generalnym Gubernatorstwem większej różnicy nie było, więc niech tych kolaborantów uderzą przynajmniej po kieszeni. Nawiasem mówiąc, PiS w tej mierze kontynuuje dzieło Platformy Obywatelskiej, gdyż to ona przygotowała pierwszą ustawę dezubekizacyjną.

CHUDZIŃSKI: **Podobnie rzecz się ma z IPN-em, polityką historyczną, żołnierzami wyklętymi...**

WIDACKI: No właśnie. Myśmy stali na stanowisku, że funkcjonariusze, którzy przeszli pozytywną weryfikację, pod ustawę dezubekizacyjną nie podpadają. Tymczasem przyjęto rozwiązanie, że liczy się choćby jeden dzień przepracowany przed 1990 rokiem, nie ważne, na jakim stanowisku.

CHUDZIŃSKI: **Macierewicz chce pozbawić stopni generalskich także osoby nieżyjące, jak Jaruzelski i Kiszcak. A spośród żyjących Hermaszewskiego,**



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

notabene skoligaconego z europosem pisowskim, bo był członkiem Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego w stanie wojennym.

WIDACKI: W świetle obowiązującego jeszcze prawa stopnia generała można pozbawić tylko na podstawie wyroku sądowego. Ale PiS przygotuje ustawy, które nie tylko stopnie generalskie zabiorą nieboszczykom, lecz także sprawią, że słońce będzie się kręciło wokół ziemi.

CHUDZIŃSKI: Skoro PiS jest taki wszechmocny, to jaka jest dla niego alternatywa?

WIDACKI: W tej chwili nie ma żadnej.

SURDYKOWSKI: Mamy się z tym pogodzić? To nie jest optymistyczna perspektywa.

WIDACKI: Platforma nie jest w stanie wygrać wyborów, bo sama ma za dużo za uszami. PiS będzie to nagłaśniał i piętnował, jak w przypadku Amber Gold, katastrofy smoleńskiej i reprivatyzacji. A tymczasem PO na pierwszą linię obrony wystawia Schetynę – aparaczyka, bez charyzmy i autorytetu, bez zdolności przywódczych, a na dodatek mocno kojarzonego z ośmioletnimi rządami: marszałek Sejmu, minister spraw wewnętrznych i zagranicznych. Jedyna nadzieja w tym, że może pojawi się coś nowego, choć nie wiem, z której strony sceny politycznej. Tusk, nawet gdyby wrócił, to go zgnoją, a może nawet zamkną, bo są do wszystkiego zdolni.

KOMOROWSKI: Może jakaś nowa formacja polityczna się ukształtuje jak we Francji?

WIDACKI: Nie liczyłbym na Dudę, że stworzy jakiś blok prezydencki. Do tego potrzeba człowieka z charakterem.

CHUDZIŃSKI: A na lewicy widzi Pan coś lub kogoś?

WIDACKI: Trzeba by najpierw lewicę zdefiniować na nowo i wtedy się okaże, kto pod nią podpada. Jak na razie program socjalny lewicy realizuje PiS.

CHUDZIŃSKI: Populistom, tak się jakoś składa, blisko jest do socjalizmu, ale narodowego. A polska prawica potrafi pochylić się nad losem” zwykłych” ludzi, żeby kupić ich poparcie, czego przykładem 500 plus i obniżenie wieku emerytalnego.

WIDACKI: Trzeba liczyć też na to, że PiS się potknie o własne nogi. Niewykluczone, że pojawią się w nim ruchy odśrodkowe, czego zwiastunem mogą być weta prezydenta i manewry Gowina. Tylko na razie nie widzę nikogo, kto by to potrafił wykorzystać.

KOMOROWSKI: W istniejącej konstelacji politycznej gdzie Panu najbliższej, czyli jak by się Pan sam określił?

WIDACKI: Dotychczas stosowane etykiety zawodzą, ale jeśli miałbym się zadeklarować, to uważam się za liberalnego socjaldemokratę.

CHUDZIŃSKI: Jaki ma Pan stosunek do realnie istniejącej lewicy?

WIDACKI: Jeśli znakiem rozpoznawczym lewicy miała być Magdalena Ogórek, to winszuję Millerowi poczucia humoru.

SURDYKOWSKI: Sprawdziło się jego powiedzenie: nie jest ważne, jak prawdziwy mężczyzna zaczyna, ważne jak kończy.

WIDACKI: No i skończył Ogórkiem...

CHUDZIŃSKI: A my skończymy Gałczyńskim, czyli pytaniem: Dlaczego ogórek nie śpiewa?

Rozmawiali:

Edward Chudziński

Adam Komorowski

Jerzy Surdykowski

Kraków, 13 lipca 2017 r.

„KOWADŁO” DLA JANA WIDACKIEGO

– Dziś tym, którego postanowiliśmy uhonorować nagrodą „Kowadła” jest Jan Widacki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, wybitny prawnik, uczony i nauczyciel uczonych, obrońca w procesach o sprawiedliwość, człowiek pióra i polityk, który wie, co to jest „polska racja stanu”, jak ją rozumieć i jak jej bronić w życiu publicznym – stwierdził, otwierając uroczyste posiedzenie stowarzyszenia „Kuźnica”, jego prezes Andrzej Kurz. – A polska racja stanu to sprawa dziś szczególnie ważna, zupełnie niespodziewanie zagrożona...

Widacki, obok swej bardzo intensywnej działalności naukowej, адвокатуры i pracy literackiej, jako autor pozycji o tematyce historycznej zajmuje się publicystyką społeczno-polityczną, pisząc (swego czasu) w paryskiej „Kulturze”, potem w „Tygodniku Powszechnym”, „Gazecie Wyborczej”, a także w „Polityce” i tygodniku „Przeгляд”. Widacki jest też stałym felietonistą miesięcznika „Kraków”.

Po trzykrotnym, jak to jest w tradycji, uderzeniu młotem w kowadło przez prezesa Kurza, głos zabrał prezes honorowy Stowarzyszenia, prof. Hieronim Kubiak, któremu przypadł obowiązek wygłoszenia uroczystej laudacji...

– Mamy oto przed sobą – stwierdził m.in. – osobowość prawdziwie renesansową. Bo Widacki to profesor, wykładowca kilku uczelni i wychowawca młodych pokoleń prawników, pisarz, były wiceminister i poseł, były ambasador, konsul honorowy, adwokat i wreszcie ojciec trojga dzieci... Swój barwny życiorys opowiedział w rozmowie „Trzech na jednego”, pomieszczonej w tym numerze „Zdania”.

Autor ponad 20 książek i setek artykułów, rozpraw, gloss i recenzji. Członek wielu towarzystw naukowych, m.in. Polskiego Towarzystwa Medycyny Sądowej i Kryminologii, Towarzystwa Naukowego Prawa Karnego, Polskiego Towarzystwa Kryminologicznego, Polskiego Towarzystwa Psychiatrii Sądowej, British and European Polygraph Association... Jest też członkiem różnych redakcji (m.in. „Problemów Kryminalistyki”), redaktorem naczelnym kwartalnika „European Polygraph”, współautorem i redaktorem podręczników.

Tytuł profesora zwyczajnego otrzymał Widacki w 1988 r., od 2001 jest profesorem Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, obecnie dziekanem Wydziału Prawa, Administracji i Stosunków Międzynarodowych. Jest też dyrektorem Instytutu Prawa Karnego i Kryminologii, kierownikiem Katedry Kryminalistyki, Kryminologii i Nauk o Policji, wykładając kryminologię i kryminalistykę, prowadzi autorski wykład na temat zabójstwa i jego sprawcy. W ramach kryminalistyki zajmuje się głównie badaniami grafologicznymi, a także historią kryminalistyki i wykorzystaniem jej me-



tod do badań historycznych. Świadectwem tych prac są liczne książki, m.in. *Między sensem a musem*.

Jedną z postaci przywołanych w tej książce jest Romuald Traugutt. W pewnej chwili, pytany przez żonę: „Czy jest sens angażować się w powstanie?”, odpowiada: „Może i sensu nie ma, ale jest mus”.

To ważne stwierdzenie, wiele mówiące o zbiorowym losie Polaków, ale zaraz trzeba zacytować boleśnie aktualny komentarz samego Widackiego: „Jest czas, gdy historia musi pełnić rolę mitu, być »ku pokrzepieniu serc«. To czas niewoli, czas, gdy naród nie ma swego niepodległego państwa. Wówczas mit jednoczy, pozwala przetrwać niewolę. Ale dla narodu żyjącego w wolnym państwie mit jest szkodliwy. Nie pozwala wyciągać wniosków z błędów przeszłości, często te błędy utrwała i, co gorsza, sakralizuje”.

– Taki oto jest Widacki – profesor, którego jako laureata chciałem dziś państwu przedstawić – sumował swo-

je uwagi prof. Kubiak, przywołując jeszcze na zakończenie słowa Orwella, że historię tworzy się dwa razy – pierwszy raz kiedy się ona dzieje i drugi, kiedy ktoś przystosowuje ją do swych potrzeb. A Widacki należy do tych, którzy takim praktykom całą swoją twórczością czynnie się przeciwstawiają.

Głos zabrał także obecny na spotkaniu prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski. Odnosił się do wybitnej roli prof. Widackiego w dziele obrony prawdziwej polskiej historii, ale też zwrócił uwagę, że „Kowadło »Kuźnicy« to nagroda przyznawana od 1977 roku osobom wybitnym, które mają nie tylko znaczące osiągnięcia na niwie zawodowej, naukowej czy kulturalnej, ale także są ludźmi znanymi i szanowanymi powszechnie. – Jeśli spojrzymy na grono laureatów to stwierdzimy, że mało która z krajowych nagród może się pochwalić taką listą wyróżnionych – postaci wybitnych. Na tej liście brakowało dotąd Jana Widackiego i dziś lukę tę udało się zapełnić.

Dziękując za wyróżnienie otrzymane od „Kuźnicy”, Jan Stanisław Widacki przypomniał wprawdzie stwierdzenie ks. Tischnera, że „chwalić kogoś ponad miarę to lżyć go bezkarnie”, ale wyraził też nadzieję, że w tym przypadku nie o to chodziło. – Spotkałem na swojej drodze życia wielu ludzi szlachetnych, wartościowych, odważnych i dobrych, a lista ta byłaby bardzo długa i przez kontakty z tymi ludźmi zostałem ukształtowany. Nie tylko moje to więc zasługi...

– Zastanawiałem się też wielokrotnie – dodał – jak to się stało, że zyskałem tyle sympatii u ludzi lewicy, mało tego, że doczekałem się określenia „lewicowy publicysta” (już nie mówię o internecie, gdzie jestem regularnie nazywany „komuchem”), a przecież mam poglądy, tak sądzę, demokratyczne, liberalne, republikańskie. I nikt na świecie nie zaliczyłby tych poglądów do lewicy. Jednak jeśli u nas poglądy te są nazywane lewicowymi, to świadczy o tym, jak bardzo i jak niebezpiecznie Polska wychyliła się w prawo.

Co więcej, gdyby ktoś dziś zechciał przyjrzeć się tej XIX-wiecznej, konserwatywnej „krakowskiej szkole historycznej”, to też musiałby stwierdzić, że Bobrzyński z Koźmianem uznani zostaliby za „lewaków” za swój krytyczny stosunek do dziejów narodowych. Na razie jeszcze żaden „prawdziwy Polak i katolik” za to się nie wziął, ale to kwestia czasu.

I na zakończenie jeszcze kilka słów o „Kowadle”, które jest też bohaterem tego wieczoru. Kucie żelaza w wielu kulturach ma odniesienia kosmotwórcze. Uderzenie młota w kowadło symbolizowało zawsze kreację poprzez łączenie przeciwieństw. W kuźni po jednej stronie jest ogień, po drugiej kadź z wodą, a w środku kowadło. I kowal to co rozgrzeje w ogniu, kuje na kowadle, a potem hartuje w wodzie i to się kojarzyło z łączeniem żywiołów i kreacją. Daliście mi Państwo „Kowadło” i chciałbym z tym kowadłem stanąć między przeciwieństwami, które tak bardzo dzielą nasze społeczeństwo. Chciałbym, ale dziś niemal czuję się bezradny, choć mam nadzieję, że ta nasza bezradność nie będzie trwała wiecznie. Na szczęście każdy z nas ma swoje kowadło i niech na tym kowadle kuje to, co potrafi najlepiej.

(f.r.)

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Profesorowi
JANOWI WIDACKIEMU

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

- nieustępliwości w zmaganiach
o zrozumienie i poszanowanie
prawa przez państwo i obywatela
oraz w walce z nieprawościami,
- skupienia na polskiej racji stanu
w działalności państwowej
i znakomitej publicystyce,
- dorobku badacza i nauczyciela
w dziedzinie nauki o prawie,
zwłaszcza kryminalistyce
i kryminologii.

Kraków, 10 kwietnia 2017 r.

MAREK ZAGAJEWSKI

PÓŁDEMOKRACJA – PÓŁDYKTATURA

Eksport demokracji

Na firmamencie światowego politykierstwa, którego nie należy mylić z polityką, od pewnego czasu błyszczy postać prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa. Być może dzięki temu nasza gwiazda, rezygnując z przyjętej w języku dyplomacji elegancji, wprowadza w publiczny obieg takie „szczerze wyznania”, które nie przystoją profesjonalnemu politykowi. Mieszkańcy północnej Ameryki w czasie wysokiej oglądalności mogli 21 sierpnia 2017 roku zapoznać się z telewizyjnym wystąpieniem Trumpa z okazji szesnastej rocznicy przegranej amerykańsko-afgańskiej wojny. W jego mowie do narodu szczególną uwagę zwróciło kategoryczne stwierdzenie prezydenta USA: „Nie będziemy już używać sił amerykańskich do budowania [building] demokracji w odległych krajach, ani do przebudowy tych krajów według naszych wyobrażeń. Z tym koniec!”.

Dla wielu ludzi starszego pokolenia przytoczona formuła o „budowie demokracji” brzmi zaskakująco znajomo, jeśli zważyć, że w swoim życiu sporo nasłuchali się o „budowie socjalizmu” czy „budowie komunizmu”, a w Związku Radzieckim wyrażenia *stroitelstwo komunizma*, *stroitelstwo socializma* czy *partijnoje stroitelstwo* miały wręcz obiegowy charakter. Nie powinno także nikogo zaskakiwać, że także trumpowska „przebudowa” brzmi analogicznie, tym razem jak *pieriestrojka* z retoryki Gorbaczowa. Przede wszystkim jednak należy pokreślić, że samo hasło „budowy demokracji” zdaje się mieć wielce mylącą wymowę, jeśli zważyć, że w praktyce realnie służy jako swego rodzaju zastępna dymna dla realizacji amerykańskiej polityki światowego rozwoju kapitalistycznej gospodarki, zwłaszcza

w wersji kapitalizmu państwowego, częstokroć wprowadzanego odgórnie także za pomocą przemocowych mechanizmów politycznych.

Upowszechnianie w publicznym obiegu mylącej terminologii występowało co prawda w innej postaci, także w krajach bloku wschodniego. Dość przypomnieć stosowaną w nich terminologię, wedle której obowiązująca w nazwie kraju formuła „demokracja ludowa” uzyskała oficjalny i wręcz ustrojowy status. Trzeba przypomnieć, że w języku polskim greckie słowo „demokracja” tłumaczy się jako „władza ludu”, co automatycznie przeradza nazwę „demokracja ludowa” w absurdałne wyrażenie „władza ludu ludowa”. Tym razem w strefie rublowej skrywał się za nim kapitalizm państwowy z socjalnym ukłonem, działający w warunkach zimnej wojny pod patronatem państwa stanu wyjątkowego.

Nie da się ukryć, że bilans szesnastoletniej amerykańsko-afgańskiej wojny przedstawia tragiczny obraz. Przekraczające 30 tys. osób ofiar śmiertelnych straty wśród ludności cywilnej, w walkach zginęło ponad 31 tysięcy afgańskich żołnierzy i policjantów oraz 42 tysiące talibów i ich sprzymierzeńców, co w sumie przekracza sto tysięcy śmiertelnych ofiar. Do tych danych należy dodać straty wojsk amerykańskich – 2371 żołnierzy, 3946 funkcjonariuszy formacji paramilitarnych, firm ochroniarskich czy wolontariuszy – oraz 1136 żołnierzy wojsk sojuszników NATO, w tym 43 członków polskich sił zbrojnych. W sumie około siedem i pół tysiąca ofiar śmiertelnych po stronie atakujących sił amerykańskich.

Jeśli zważyć, że koszty wojny w Afganistanie zbliżyły się do 800 mld dolarów, to staje się zupełnie jasne, że toczy się ona przez lata niezgodnie z regułami sztuki

ki, skoro przynosi straty, zamiast być źródłem dochodu dla Amerykanów. Bilans tej wojny, a sytuacja w Iraku ma jeszcze bardziej tragiczny wymiar, doprowadziła Trumpa do logicznego wniosku, że z biznesowego punktu widzenia ta polityka nie ma perspektyw. Jednak krytyczna ocena polityki „eksportu demokracji” nie oznacza jej odrzucenia, ale co najwyżej zmianę wojennych metod jej prowadzenia na bardziej pokojowe.

Wojna w Afganistanie musi jednak zakończyć się zwycięstwem Amerykanów. Zanim dojdzie do wycofania wojsk amerykańskich w sile około jedenastu tysięcy żołnierzy, Trump postuluje zwiększenie kontyngentu o dodatkowe kilka tysięcy, w tym także z Polski. Mimo to także i tym razem nie należy oczekiwać sukcesu w wojennych operacjach w Afganistanie.

Godzi się przypomnieć, że jeszcze Barack Obama w swoim orędziu z 22 czerwca 2011 roku ogłosił rozpoczęcie zmniejszania niemal stutysięcznego kontyngentu wojskowego w Afganistanie. Wcześniej, w 2009 roku w celu dokonania przełomu wysłał dodatkowe, jak się wkrótce okazało, 30 tys. funkcjonariuszy Gwardii Narodowej, mimo że mają oni prawo działać jedynie na terenie Stanów Zjednoczonych jako swego rodzaju korpus wojsk wewnętrznych. W ten sposób na terenie Afganistanu w 2014 roku niezbyt skuteczne działania wojenne prowadziło podobno około 130 tys. żołnierzy koalicji, którzy jednak stopniowo byli wycofywani, a dowództwo afgańskie w coraz większym zakresie zaczęło przyjmować „wojskową odpowiedzialność” za swoje terytorium. W efekcie stan osobowy armii USA został radykalnie ograniczony do około 11 tys. żołnierzy, talibowie opanowywali coraz większe połacie kraju, a wojska afgańskie praktycznie utraciły zdolności bojowe. Zwycięstwo Talibanu przybliżyło się więc milowymi krokami i tej tendencji operacja Trumpa nie była w stanie odwrócić.

W tym kontekście buńczuczne zapowiedzi prezydenta USA o rychłym zwycięskim zakończeniu wojny w Afganistanie brzmią całkowicie niewiarygodnie i zaplanowane wysłanie kolejnego czterotysięcznego wojskowego kontyngentu, w tym także między innymi grupy polskich żołnierzy, w niewielkim stopniu może wpłynąć na zmianę sytuacji. Dawać wiarę deklaracjom amerykańskich prezydentów mogą jedynie ludzie naiwni, skoro jak na ironię wycofywanie amerykańskich wojsk okupacyjnych rozpoczyna się od zwiększenia ich stanu osobowego.

Standardowa odpowiedź, w luźnej formie, ważkich postaci amerykańskiego życia politycznego na pytanie „z jakiej racji czy powodu” w Niemczech lub gdziekolwiek indziej znajdują się ich wojska brzmi: – „bo mogą”. Od niepamiętnych czasów obowiązuje też, jak głoszą znawcy problemu, w polityce rządów Stanów Zjednoczonych żelazna zasada jako swego rodzaju uzupełnienie przytoczonej uprzednio formuły, że wojska amerykańskie, jeśli weszły do jakiegoś kraju, to już z niego nie wychodzą. Trzeba przyznać, że poza nielicznymi wyjątkami te reguły działają bardzo sprawnie i skutecznie.

Wolno zatem zasadnie stwierdzić, że w Afganistanie „eksport demokracji” z użyciem amerykańskich sił zakończył się niepowodzeniem, doprowadzając zarazem niestety do humanitarnej katastrofy. W tym sensie Trump słusznie zapowiedział rezygnację z polityki si-

łowego „budowania demokracji” za granicą. Czas pokaże, co z tego wyniknie, jednak już wiadomo, że parlamentarną demokrację opartą na wolnych wyborach i partyjnym reżimie rządzenia nie udało się Amerykanom uformować w Afganistanie.

Dotychczasowa praktyka polityczna zdaje się wskazywać, że u podstaw realnych rozwiązań ustrojowych nie tylko w tym kraju należy przyjąć odmienną od amerykańskiej i europejskich systemów „partyjnych demokracji”, zasadę przedstawicielstwa afgańskich plemion we władzy. W tych warunkach swoisty parlament okazuje się być faktycznie reprezentacją przywódców plemiennych z udziałem starszyny plemiennej w ramach kurialnego systemu, co oznacza, że w praktyce zbierane hurtowo przez wodzów głosy „wyborców” są grupowo przez nich wrzucane do urny. Przy bliższym wejściu polityczny ustrój Afganistanu jawi się zatem jako osobliwy konglomerat na poły dyktatorskiego i zarazem demokratycznego reżimu.

W znamiennej mowie Trumpa do narodu kluczowa formuła odnosi się do rezygnacji z „budowania demokracji” w obcych krajach, co zresztą łączy się bezpośrednio z jego krytyką amerykańskiej demokracji, której zreformowanie zapowiadał praktycznie w niemal każdym wystąpieniu w kampanii wyborczej. Sławne „osuszanie waszyngtońskiego bagna” miało zapewne oznaczać, że nadszedł czas rozwinięcia demokracji na amerykańskim politycznym polu i na tym władze powinny skupić swoją działalność, zanim zabiorą się za robienie porządków na globalnej arenie.

W mowie Trumpa zawarte jest szczere wyznanie, które potwierdza znane fakty, że w przeszłości rządy Stanów Zjednoczonych nagminnie praktykowały politykę „budowania demokracji” w rozlicznych krajach, co czyniły w wielu przypadkach z pełnym sukcesem. Początek owego zwycięskiego pochodzenia amerykańskiej demokracji w globalnej skali można datować na 1953 rok, kiedy służby amerykańskie CIA i brytyjskie MI6 doprowadziły do obalenia rządu premiera Iranu Mohammada Mosaddegha. Najkrócej rzecz ujmując, po wyborczym zwycięstwie Frontu Narodowego w kwietniu 1951 roku parlament irański jednogłośnie znationalizował Angielsko-Irańską Kompanię Naftową (obecnie *British Petroleum*), co doprowadziło do ostrego konfliktu między Wielką Brytanią i USA, których interesy reprezentował szach Reza Pahlavi, a parlamentem Iranu i jego reformatorskim rządem Mosaddegha. Brytyjczykom, także dzięki fałszywym informacjom wywiadowczym, udało się przekonać rząd USA do podjęcia w Iranie radykalnych działań wobec rzekomej groźby przejęcia rządów przez komunistów i dostaniem się Iranu w strefę wpływów ZSRR.

Tę sytuację postanowił przeciąć amerykański sekretarz stanu John Foster Dulles, który w marcu 1953 roku nakazał szefowi CIA, swemu bratu Allanowi Dullesowi, obalenie Mossaddegha. W ten sposób doszło do operacji *Ajax*, w trakcie której kosztem miliona dolarów oraz pod presją groźby prezydenta USA odsunięcia od władzy samego szacha, monarcha dekretem zdymisjonował premiera. Pieniądze poszły głównie na przeprowadzenie przez wywiad dezinformacyjnej akcji propagandowej wymierzonej w rząd, który miał rzekomo z udziałem nacjonalistów i socjalistów planować akcje wymierzone w najwyższych przywódców religij-

nych. Po ogłoszeniu dymisji premiera na ulicach miast doszło do walk między zwolennikami i przeciwnikami monarchii, część których była finansowana przez amerykański rząd.

Amerykański zamach stanu w Iranie w 1953 roku zakończył się pełnym sukcesem, a co szczególnie ważne, był pierwszą operacją obalenia demokratycznego, legalnie wybranego rządu. Idąc dalej tym tropem, kiedy w rezultacie gwatemalskiej rewolucji także demokratycznie wybrany lewicujący legalny rząd Jacobo Arbenza Guzmána swoimi reformami zagroził interesom amerykańskiej *United Fruit Company*, został rok później obalony w rezultacie zorganizowanego przez CIA kolejnego zamachu stanu.

Tak udany początek operacji specjalnych skłonił naturalnie kolejne amerykańskie elity do dalszego prowadzenia polityki obalania rządów, zamachów stanu, wojennych agresji, zabójstw przywódców, zamieszek czy buntów. Z upływem czasu zmieniały się warunki historyczne, a zatem i metody „budowania demokracji”, aż doszło do wypracowania nowoczesnej politycznej technologii organizowania „kolorowych rewolucji” czy „arabskiej wiosny”. Służby zaczęły posługiwać się bardziej pokojowymi środkami, takimi jak dyplomacja, polityczne wpływy, gospodarcze uzależnienie, wspieranie opozycji czy kształtowanie miejscowych politycznych elit.

Jednak położenie nacisku na stosowanie tak zwanej „miękkiej siły” w polityce „eksportu rewolucji” zakłada również zachowanie znaczenia militarnych wpływów w stosunkach między państwami, bowiem już sama groźba użycia wojska znajdującego się w koszarach, na poligonach, ćwiczeniach czy manewrach zasadniczo wzmacnia polityczne „pokoje” działania. Na przykład w Niemczech, chociaż nieoficjalnie mówi się o ponad 170 bazach amerykańskich wojsk, to Pentagon przyznaje się do zaledwie 33 baz, w których stacjonują 34 tys. żołnierzy armii USA. Zbędne dodawać, że znajdująca się na ich terenie broń jądrowa, licząca podobno około 20 bojowych jednostek, została tam ulokowana bez wiedzy i zgody władz niemieckich. Tak liczny i rozrzucony na całym terytorium kraju kontyngent wojskowy wymaga stosownej osłony kontrwywiadowczej, co w praktyce oznacza, że całe państwo niemieckie znajduje się pod nieustanną obcą kontrolą nie tylko przez sieć podsłuchów, ale również rozbudowaną, wszechogarniającą siatkę agenturalnych współpracowników.

Demokratyczny ład rodzi się w walce, ma wewnętrznie sprzeczny i wieloznaczny charakter. Ustrój demokratyczny jest złożonym procesem historycznym, który stanowi w pierwszej kolejności narzędzie sprawowania władzy konkretnych sił ekonomicznych i politycznych. W tym kontekście podstawowym problemem politycznym pozostaje niezmiennie kwestia, w jakim zakresie możliwe jest wprowadzanie i praktykowanie demokracji metodami demokratycznymi, czy też konieczne jest odwoływanie się do właściwych dyktaturze środków sprawowania władzy.

W tej perspektywie instytucje polityczne zdają się posiadać właściwości charakterystyczne dla swego rodzaju „wahadła”, które przemieszcza się w przestrzeni publicznej między demokracją a dyktaturą, przybierając postać swego rodzaju półdemokracji-półdyktatury. Innymi słowy, realnie funkcjonujące reżimy polityczne

sytuują się między ustrojem opartym na autentycznie wolnych wyborach parlamentarnych a sprawowaną przez wodza dyktaturą. Rzeczywistość polityczna nie układa się w proste schematy akademickie czy propagandowe, ale przybierając rozmaite realne kształty ma mieszany charakter, gdzie procedury demokratyczne łączą się z dyktatorskimi posunięciami w pełnym napięciu współdziałaniu i nieustannej konkurencji.

Demokracja „kontraktowa”

Właściwe półdemokracji-półdyktaturze mechanizmy polityczne niemal w podręcznikowym wydaniu zostały użyte w naszym kraju w „częściowo” wolnych wyborach parlamentarnych w czerwcu 1989 roku. Sekwencja zdarzeń zaczęła się Okrągłym Stołem, którego obrady, toczące się od poniedziałku 6 lutego do środy 5 kwietnia 1989 roku z udziałem pięćdziesięciu ośmiu uczestników, stały się doskonałym kamuflażem dla negocjacji – w willi na Zawracie, Magdalence, siedzibie Episkopatu i tak dalej – dotyczących „kontraktowych” wyborów do parlamentu, który uzupełniono Senatem. Przedstawiciele władz i opozycji ustalili dwie tury wyborów parlamentarnych na 4 czerwca i 18 czerwca, dając zaledwie dwa miesiące czasu na kampanię wyborczą.

Podstawą wyborczego „kontraktu” było „zagwarantowanie” sobie w Sejmie przez partyjny blok rządzącej koalicji na czele z PZPR 299 mandatów, czyli 65 procent spośród 460 foteli sejmowych. Natomiast pozostałych 161 sejmowych mandatów i 100 senackich miało być obsadzone w wyniku „konkurencyjnych” wyborów według większościowej reguły. Ukrytym założeniem tego układu było ustalenie, że przez najbliższą czteroletnią kadencję parlamentu władza będzie spoczywała w rękach koalicji PZPR-ZSL-SD pod patronatem gen. Wojciecha Jaruzelskiego jako prezydenta. Można tylko się domyślać, że porozumienie dotyczące utrzymania władzy przez PZPR na najbliższe cztery lata było zawarte na najwyższym szczeblu przez swego rodzaju triumwirat Bush-Gorbaczow-Wojtyła.

Po niemal trzydziestu latach będący wówczas szeregowym senatorem świadek tamtych wydarzeń, Karol Modzelewski trafnie przedstawił złudną wiarę ówczesnej partyjnej ekipy rządzącej w moc ordynacji wyborczej, która miała na zasadzie „arytmetycznej większości” niejako automatycznie zapewnić jej dalsze sprawowanie władzy. Jego zdaniem „wprawdzie oddano z góry ilość mandatów do dyspozycji poszczególnych partii, ale zarazem obsadzenie tych mandatów oddano do dyspozycji wyborców. Wprawdzie nie rywalizowano między ugrupowaniami, ale w obrębie ugrupowań – jak najbardziej. Wyglądało to tak, że odbyły się konferencje wojewódzkie, na których wybierano kandydatów, zgodnie ze zdrowym rozsądkiem politycznym po jednym na mandat. Po czym oddano ogółowi wyborców prawo do umieszczenia na tych listach kontrkandydatów, byleby tylko mieli legitymacje partyjne. Ci wszyscy kontrkandydaci na ogół powygrali. W związku z tym to byli ludzie, którzy czuli się lojalni nie wobec sekretarza, tylko wobec wyborców. Czyli – z góry dyscyplina polityczna podmiotów, które miały stanowić większość, była podważona”. [Modzelewski – *Werblan. Polska Ludowa*, rozmawia Robert Walenciak, Warszawa 2017, s. 523].

W efekcie doszło do politycznej katastrofy. Partia przegrała wybory do Senatu, wszystkie miejsca –

poza Henrykiem Stokłosa – objęli kandydaci Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, który także skutecznie zaangażował się w walkę wyborczą o 161 „wolnych” mandatów sejmowych. Tenże Komitet doprowadził do klęski w pierwszej turze kandydatów z listy krajowej koalicji rządzącej; spośród nich zwyciężyło tylko dwóch, przez co nie obsadzono 33 foteli sejmowych. W konsekwencji doszło do zmiany ordynacji w trakcie wyborów w celu przeprowadzenia niezapisanej ustawowo drugiej tury wyborów nowych kandydatów na liście krajowej. Wreszcie Komitet znacząco wpłynął na wyborcze sukcesy alternatywnych wobec osób posiadających oficjalne rekomendacje partyjne kandydatów w puli mandatów zagwarantowanych dla rządzącej koalicji. W ten sposób, według nieprecyzyjnych danych, 40-50 mandatów przeznaczonych dla koalicji zostało uzyskanych przy poparciu „Solidarności”.

Przebieg wyborów i ich wyniki doprowadziły do upadku dyscypliny partyjnej i w konsekwencji do rozpadu opartej na sojuszu PZPR, ZSL i SD koalicji rządzącej. Czesław Kiszczak musiał zrezygnować z funkcji premiera, ale też, mimo propagandowej hucpy, nie udało się Tadeuszowi Mazowieckiemu powołać pierwszego „niekomunistycznego” rządu, skoro w nim aż roiło się od członków PZPR często wysokiego szczebla, których posądzanie o komunizm byłoby dla nich w najwyższym stopniu obraźliwe. Na przykład można przywołać osobę Marcina Świąćckiego, niedawnego sekretarza KC PZPR powołanego na ministra współpracy gospodarczej z zagranicą, który miał zapewne ojcowskie wsparcie Andrzeja Świąćckiego, wieloletniego prezesa warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej w okresie PRL-u.

W tym kontekście godzi się wspomnieć przemilczany powojenny, znacznie bardziej „niekomunistyczny”, rząd z udziałem wicepremiera Stanisława Mikołajczyka, którego nie sposób podejrzewać o przekonania komunistyczne, chociaż jego kolegami ministrami byli liczni peperowcy.

I na koniec, uzgodniony uprzednio na najwyższym szczeblu, wybór Wojciech Jaruzelskiego na prezydenta stanął pod znakiem zapytania.

Można zatem stwierdzić z dużą dozą optymizmu, że z punktu widzenia demokracji mimo kiepskiej pozycji wyjściowej ludowładztwo odniosło w wyborach 1989 roku kilka ważkich sukcesów. Modzelewski trafnie zwrócił uwagę na kluczowy moment nowej sytuacji politycznej, gdy podkreślił kwestię lojalności demokratycznie wybranych reprezentantów wobec wyborców zamiast swoich politycznych mocodawców. Doszło do tego w rezultacie sejmowych wyborów w bloku „wolnych” mandatów, gdzie posłużono się większością ordynacją, częściowo posilując się technicznymi regułami z obszaru jednomandatowych okręgów wyborczych do Sejmu. Elity polityczne wszystkich odcieni dobrze zapamiętały tę lekcję demokracji i do dzisiaj na wszelkie pachnące JOW-ami trendy społeczne roztropnie reagują alergicznie, z pełną świadomością groźnych skutków, do jakich może doprowadzić lojalność posłów wobec swoich wyborców zamiast partyjnych aparatczyków.

Prezydent Jaruzelski

Mimo poważnych komplikacji Wojciech Jaruzelski 19 lipca 1989 roku został wybrany na Prezydenta PRL

przez Zgromadzenie Narodowe głosami 269 posłów z ramienia PZPR, ZSL, SD, Polskiego Związku Katolicko-Społecznego, Unii Chrześcijańsko-Społecznej i Stowarzyszenia PAX oraz jednego senatora z ramienia PZPR, a także dzięki głosowi kolejnego senatora, co zaskakuje, z Komitetu Obywatelskiego. Jaruzelski otrzymał więc 270 głosów na 537 możliwych i uzyskując wymaganą większość został prezydentem. Wiadomo było, że zwolennicy wyboru Jaruzelskiego będą musieli się liczyć z perspektywą łamania dyscypliny partyjnej przez wielu parlamentarzystów rządzącej koalicji, co spowoduje, iż staną się mniejszością w liczącym 460 posłów i 100 senatorów Zgromadzeniu Narodowym. Wybranie Jaruzelskiego na prezydenta wymagało uzyskania w Zgromadzeniu względnej większości 50 procent głosów plus 1, czyli w tych warunkach nieosiągalnych dla jego zwolenników 281 głosów, chociaż formalnie koalicja rządząca miała w swej dyspozycji 299 parlamentarzystów. Jednak, dzięki nieformalnemu wsparciu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i wykonaniu przez część parlamentarzystów solidarnościowej proweniencji pewnych kombinacji, Jaruzelski został wybrany na prezydenta dwoma głosami.

Karol Modzelewski po latach przyznał, iż wówczas uważał, „że bezpieczniej będzie, jak jednak Jaruzelski zostanie wybrany”. Ale nie kryje też, że jako senator nie odważył się „głosować na Jaruzelskiego, choć jak wiadomo byli tacy, którzy się odważyli oddać głos nieważny oraz, bardzo zabawne, było dwóch takich, którzy wyszli z sali. Jeden to był Marek Jurek, a drugi – Zdzisław Nowicki, senator z województwa pilskiego. I w rezultacie Jaruzelski przeszedł. [...] Uszanujmy arytmetykę, dwoma głosami przeszedł. Chociaż się mówi, że jednym. [...] W każdym razie Jaruzelski wygrał dwoma głosami, dzięki nieformalnemu poparciu dwóch parlamentarzystów OKP. Dwóch! Stelmachowskiego i Wielowieyskiego. [...] W każdym razie głosy nieważne oddali ci, którzy mieli bardzo mocne papiery w Kościele. Stelmachowski, Wielowieyski. Marek Jurek wyszedł z sali. Formalnie Jurek i Nowicki uzasadnili, że nie mogą brać udziału w wyborze, w którym jest tylko jeden kandydat” [tamże, s. 525].

Wyборы opierały się na takiej zasadzie, że do tych parlamentarzystów, którzy głosowali „za” realnie dołączali zarówno ci, którzy oddawali głosy nieważne, jak i ci spośród głosujących, którzy wychodząc z sali w ogóle nie brali udziału w głosowaniu, przez co faktycznie zmniejszali *quorum*, od którego wysokości liczono większość 50 procent głosów plus 1. W efekcie głosy korzystne dla Jaruzelskiego pochodziły nie tylko z grupy jego zwolenników, ale także od drugiej grupy parlamentarzystów oddających głosy nieważne i trzeciej złożonej z osób niegłosujących z powodu opuszczenia sali obrad. Natomiast po drugiej stronie barykady pozostali przeciwnicy Jaruzelskiego oraz wstrzymujący się od głosu uczestnicy wyborów, co powodowało z kolei podwyższenie poziomu *quorum*.

W efekcie solidny udział w wyborze Jaruzelskiego na prezydenta miało jedenastu parlamentarzystów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, którzy nie wzięli udziału w głosowaniu. W tym gronie znalazło się wielu godnych uwagi posłów, takich jak Paweł Chrupiek, Adela Dankowska, Marek Jurek, Lech Kozaczko, Jerzy Pietkiewicz, Maria Stępiak i Henryk Wujec, czy

senatorów jak Zdzisław Nowicki, Krzysztof Pawłowski, Andrzej Szczepkowski i Mieczysław Ustasiak.

Amerykańskie „liczenie głów”

A zatem ostatecznie wybór Jaruzelskiego umożliwiła postawa części parlamentarzystów OKP, którzy głosowali za jego kandydaturą lub zbojkotowali głosowanie? Jednak decydujący wpływ na bieg zdarzeń miała interwencja rządu Stanów Zjednoczonych w osobie jego ambasadora. W tym celu John R. Davies zaprosił na obiad 22 czerwca wąską grupą liderów „Solidarności” w związku z lipcową wizytą prezydenta George’a H.W. Busha, by zapewnić wybór uzgodnionej z triumwiratem, na czele z Gorbaczowem, kandydatury Jaruzelskiego na prezydenta PRL. Wobec oporu solidarnościowych gości przedstawił im szeroko stosowaną w amerykańskich kampaniach wyborczych technikę „liczenia głów” i możliwości jej zastosowania w wyborach prezydenckich w Polsce. Amerykański dyplomata przekonywał rozmówców do zorganizowania kontrolowanego bojkotu prezydenckich wyborów przez przedstawicieli solidarnościowej „opozycji” w formie wstrzymania się od głosu, czy nawet rezygnacji z udziału w głosowaniu. To stanowisko świetnie dokumentuje zaszyfrowana warszawska depesza ambasadora Davisa.

„Warszawa, 23 czerwca 1989 – ambasador Davis do sekretarza stanu w sprawie możliwych trudności z uzyskaniem w parlamencie większości głosów niezbędnej do wyboru Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta

Tajne

Od: ambasada w Warszawie

Do: sekretarz stanu w Waszyngtonie, Biały Dom, ambasada w Moskwie, ambasada w Budapeszcie, ambasada w Bukareszcie

Temat: Jak przeprowadzić wybór Jaruzelskiego nie głosując na niego i czy będzie on startował?

Streszczenie: Większość przywódców »Solidarności« jest zdecydowanie przekonana, że jeśli kraj ma uniknąć wojny domowej, Jaruzelski musi zostać wybrany na prezydenta. Są oni jednak bardzo niechętni do głosowania na niego i chętnie słuchają sugestii, jak sprawę przeprowadzić, aby uniknąć takiej konieczności. Jaruzelski nie zdecyduje się kandydować, jeśli nie będzie miał pewności, że – mimo prawdopodobnego wytłamania się niektórych posłów komunistycznych i sojuszników – wystarczy głosów do jego wyboru. W przededniu wizyty prezydenta Busha sytuacja jest niepewna i niezmiernie delikatna. **Koniec streszczenia.**

Większość liderów »Solidarności«, z którymi rozmawialiśmy w ostatnich dniach, jest przekonana (w różnym stopniu) do następujących tez:

A. Jeśli Jaruzelski nie zostanie wybrany na prezydenta, istnieje autentyczna groźba wojny domowej, która skończyłaby się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, podjętą niechętnie, ale brutalną, interwencją radziecką.

B. Wszyscy kandydaci »Solidarności« zostali zmuszeni w toku kampanii, aby publicznie obiecać, że podczas wyborów prezydenta nie oddadzą głosu na Jaruzelskiego.

C. Koalicja rządząca dysponuje wystarczającą liczbą głosów do jego wyboru. Z jej strony spotykają go

jednak nieprzyjemne niespodzianki. Prawdopodobnie będzie głosować przeciwko niemu albo wstrzyma się od głosowania z jednej strony nawet czterdziestu do pięćdziesięciu posłów ZSL i SD, a z drugiej – partyjni twardogłowi, pragnący go ukarać za poniżenie wyborcze partii.

D. Mimo że nigdy nie zawarto w tej sprawie umowy na piśmie, przy Okrągłym Stole zapadło milczące porozumienie, że »Solidarność« uzyska zgodę na wolne wybory do Senatu, a [w zamian za to] Jaruzelski na sześć lat zostanie prezydentem.

Wiele osób załamuje ręce wobec panującej sytuacji, nawet niektórzy solidarnościowi senatorowie deklarują, że jeśli jest to konieczne dla ratowania kraju, oddadzą głosy na Jaruzelskiego, chociażby oznaczało to koniec ich karier politycznych, zanim jeszcze te kariery zdążyły się naprawdę rozpocząć.

Wczoraj wieczorem zjadłem obiad w towarzystwie kilku czołowych parlamentarzystów »Solidarności«, których nazwiska nie powinny zostać ujawnione, i po krótko wynotowałem dla nich na odwrocie pudełka zapalek kilka liczb. Wprowadziłem ich również w arkana zachodniej praktyki politycznej znanej jako »liczenie głów«. Obliczenia wykonane na pudełku od zapalek wykazały, że połączone Sejm i Senat liczą łącznie 560 miejsc. Rządząca koalicja dysponuje 299, »Solidarność« 260, jest również jeden parlamentarzysta niezależny [senator Henryk Stokłosa, wybrany w województwie piłskim – przypis red.]. Kworum wymagane przy wyborze prezydenta wynosi dwie trzecie członków obu izb, do wyboru niezbędna jest większość głosów. Ergo, jeśli znaczna liczba (nawet 185) senatorów i posłów »Solidarności« zachoruje albo z innych przyczyn nie będzie mogła wziąć udziału w głosowaniu, wciąż nie zabraknie kworum do jego przeprowadzenia, a większość, jaką będzie dysponowała koalicja, wzrośnie na tyle, że tylko naprawdę masowe łamanie dyscypliny partyjnej przez jej parlamentarzystów mogłoby uniemożliwić wybór Jaruzelskiego. Solidarnościowi posłowie i senatorowie obecni podczas wyborów będą mogli bezpiecznie wstrzymać się od głosu. [Ostatecznie jeden parlamentarzysta OKP głosował za generałem Jaruzelskim, siedmiu oddało głosy nieważne, a jedenastu nie wzięło udziału w głosowaniu, co pozwoliło uzyskać większość do wystarczającą do jego wyboru. – przypis red.].

Moi rozmówcy na odchodnym stwierdzili, że wyliczenia były naprawdę interesujące, ciągle jednak pozostałby otwarty problem skłonienia wystarczająco licznej grupy parlamentarzystów, aby nie wzięli udziału w głosowaniu.

Są jeszcze dalsze komplikacje. Jeden z bliskich doradców Jaruzelskiego powiedział mi wczoraj, że generałowi bardzo zależy, aby nie »przeccołać się« do prezydentury. Ze zrozumiałych względów bardzo niechętnie przyjąłby kolejne publiczne poniżenie po porażce partyjnych reformatorów listy krajowej w pierwszej turze wyborów. W związku z tym Jaruzelski sam liczy głosy i jeśli obliczenia nie wypadną pomyślnie, może nie zdecydować się na kandydowanie” [Ku zwycięstwu »Solidarności“. *Korespondencja Ambasady USA w Warszawie z Departamentem Stanu, styczeń – wrzesień 1989.* Przedmowa John R. Davis Jr. Wstęp i wybór Gregory F. Domber. Opracowanie: Gregory F. Domber,

Mariusz Jastrząb, Andrzej Paczkowski, Paweł Sowiński. Warszawa 2006, s. 270-272].

Jak widać, ambasador USA był doskonale zorientowany, jakie nastroje u nas panują i co dzieje się w elitach władzy. „Jaruzelski jednak bardzo niechętnie – jak podkreślił Andrzej Wielowieyski – dopiero pod naciskiem Gorbaczowa i prezydenta Busha (Amerykanom zależało na unikaniu konfliktów i na ewolucyjnych zmianach) zgodził się w końcu na kandydowanie, ale wiedział dobrze, że jego sytuacja się pogarsza i że może kompromitująco przegrać, bo napotykał już sprzeciw wśród posłów koalicji rządowej” [Andrzej Wielowieyski, *Losowi na przekór*, Warszawa 2015, s. 464-465].

Przytoczona dyplomatyczna depesza dowodzi, jak dalece rząd Stanów Zjednoczonych zaangażował się w realizację planu ustanowienia Jaruzelskiego prezydentem PRL, a także jak swobodnie ambasador w końcu obcego państwa realizował politykę kadrową na najwyższym szczeblu w kraju, gdzie wypełniał swoją misję. Jeszcze nie gubernator, ale już władza i tylko można podziwiać jego bliskie kontakty z byłą opozycją oparte, jak należy rozumieć, na wieloletniej współpracy. Skoro prezydent Stanów Zjednoczonych podjął uzgodnioną z wszystkimi światami tego świata decyzję, że Jaruzelski ma być prezydentem, jego ambasador, bardziej wiarygodny niż radziecki dyplomata, otrzymał rozkaz przeprowadzenia tej operacji. I zadanie zostało wykonane przy udziale całego dyplomatycznego korpusu USA, który pracując z naszą opozycją zgodnie z ich planami i działalnością przez lata wspierał politycznych przeciwników w walce, w tym także z Jaruzelskim, o zdobycie władzy. Na tym przykładzie widać, w jaki sposób realizuje się „eksport demokracji” w nowoczesnej postaci.

Nie była to zresztą żadna polska osobliwość, ponieważ, jak należy się domyślać, jednym z elementów uzgodnionej amerykańsko-radzieckiej strategii w trakcie dziewięciu spotkań Gorbaczowa z amerykańskimi przywódcami była zamiana reżimu szefów partii rządzących w krajach radzieckiego bloku na prezydentów państw, z wynikającymi stąd jak najdalej idącymi konsekwencjami dla przemian ładu ustrojowego. Jest rzeczą jasną, że miały one w sumie antydemokratyczny charakter, czego dowodem są mniej lub bardziej autorytarne, w sensie antyludowe, metody ich wprowadzania. Bez aluzji, w naszym przypadku chodzi na przykład o tak zwane reformy Balcerowicza, a ponieważ zwykle podstawą polityki jest ekonomika, to chodziło głównie o podporządkowanie naszej gospodarki wpływom obcego kapitału, pozostawiając ochłapy z „pańskiego stołu” rodzimym kapitalistom. Tego prostego mechanizmu nasze wybitne opozycyjne umysły oczywiście nie były w stanie „ogarnąć”.

Wielowieyski wiedział, „że niektórych kolegów, chyba też Heńka Wujca, przekonywał ambasador USA John Davies, że powinni wyjść z sali albo oddać głosy nieważne i w ten sposób, nie kompromitując się głosowaniem na generała, można było mu półgłosem pomóc, bo zmniejszała się ogólna liczba, od której liczyło się niezbędne 50 proc. + jeden głos. Podobno Davies im to wyliczał długopisem na pudełku od zapalek. Byłem z nim i jego żoną Helen w serdecznej przyjaźni, ale w tym czasie ich nie odwiedzałem, co

mogłem później spokojnie deklarować historykom. Historyk prof. Antoni Dudek bowiem dość długo wmaślał mi, kiedy go czasem spotykałem, że to za namową Daviesa zorganizowałem wsparcie Jaruzelskiego 19 lipca. Nic z tych rzeczy. Byłem po prostu przekonany, że trzeba Jaruzelskiego wybrać i później z jego wsparciem robić szybciej reformy. Jeśli jednak chodzi o nasze kierownictwo, to jako wiceprzewodniczący OKP byłem w tej sprawie osamotniony, chociaż na boku niektórzy okazywali mi zrozumienie (np. Wujec)” [tamże, s. 465].

Wielowieyski po latach wspomina, że wieczorem 18 lipca, w przeddzień głosowania pojechał do Sekretariatu Episkopatu na długą rozmowę z abp. Bronisławem Dąbrowskim, z którym wcześniej się wielokrotnie konsultował. Jak pisze Wielowieyski, arcybiskup „nie miał wątpliwości: trzeba Jaruzelskiego poprzeć. Dlatego w dniu głosowania z kilkoma kolegami z Senatu – Mieczysławem Ustasiakiem ze Szczecina, Zdzisławem Nowickim z Piły i Krzysztofem Pawłowskim z Nowego Sącza (wszyscy ze środowisk katolickich) – oraz z posłami Markiem Jurkiem z RMP z Poznania i Andrzejem Miłkowskim z Huty Warszawa zaczęliśmy kolegów mobilizować. Argumentacja była prosta i jednoznaczna: minęło już półtora miesiąca od wyborów, gospodarka się rozpada i państwo wchodzi w stan rozkładu. Musimy możliwie szybko utworzyć rząd, aby ratować Polskę. Zwłoka bije w nas wszystkich, a innego kandydata na prezydenta nie mamy. Jest rzeczą znamionną, że w tej niewielkiej grupie większość stanowili ludzie o orientacji tradycyjno-prawicowej. Wiadomości od Marcina Świącickiego z PZPR-u i od kolegów z ZSL-u i SD były alarmujące: znaczna część ich posłów będzie głosowała przeciw lub wstrzyma się od głosu, ale co ciekawe 15-20 posłów z PZPR-u też nie będzie głosować na generała. Tak więc było jasne, że od naszego wsparcia zależą losy tej kandydatury” [tamże, s. 465-466].

Trzeba podkreślić, że obawy Wielowieyskiego, jak pokazały wyniki głosowania, były w pełni uzasadnione, bowiem przeciw wyborowi Jaruzelskiego na prezydenta głosowało z szeregu rządzącej koalicji 8 parlamentarzystów, 20 wstrzymało się od głosu, a co trudno uznać za przypadek – 3 było nieobecnych. Natomiast 226 parlamentarzystów z solidarnościowego Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego było przeciwko kandydaturze generała, 14 wstrzymało się od głosu, 7 oddało głosy nieważne, a 14 osób z tego grona było nieobecnych, w tym znajdujący się w zagranicznej podróży Henryk Wujec.

Wielowieyski przypomniał, że z OKP w „akcji ratowania Jaruzelskiego uczestniczyli: z Senatu marszałek Stelmachowski, marszałek senior Stomma, dwóch przewodniczących komisji: prof. Trzeciakowski oraz Andrzej Szczepkowski; z Sejmu – Henryk Wujec, sekretarz OKP (wyjechał na kilka dni za granicę), Jerzy Pietkiewicz, Lech Kozaczko, Paweł Chrupek, Witold Kulerski, Adela Dankowska i Maria Stępnia. Jest rzeczą ciekawą, że w tej walce i grze regulaminowej stanowisko parlamentarzystów, którzy się w wstrzymali od głosu, nie miało żadnego znaczenia” [tamże, s. 467].

Wielowieyski nie tylko w tej kwestii ma absolutną rację, bowiem Jaruzelski został faktycznie wybrany na

prezydenta głosami koalicji rządzącej, która „uskrobała” 269 głosów wzmocnionych ważkim głosem senatora OKP Stanisława Bernatowicza z Suwałk. W ten sposób uzyskane 270 głosów okazało się całkowicie wystarczające do objęcia przez Jaruzelskiego fotela prezydenta PRL. I chociaż dalej nie wiadomo jak w trakcie głosowania zachował się sam Wielowieyski, całkowicie niesłusznie pomniejsza on swoją wybitną rolę w tym kluczowym wydarzeniu. Wolno stwierdzić, że jego niezwykle aktywna postawa w kampanii prezydenckiej miała kluczowe znaczenie dla stworzenia odpowiedniej atmosfery politycznej w kręgach parlamentarnej elity i chociaż nie sposób precyzyjnie scharakteryzować tę sytuację znacząco wpłynęła na pomyślny dla generała wynik wyborów.

Nie wdając się więcej w detale można zasadnie stwierdzić, że Jaruzelski miał za sobą 3, słownie trzy decydujące głosy ważkich, chociaż nie nadmiernie demokratycznych promotorów: prezydentów USA, ZSRR i papieża; i to wystarczyło. Cała reszta toczących się wydarzeń, jak słusznie stwierdził Wielowieyski, to parlamentarna „gra regulaminowa” i można dodać demokratyczno-parlamentarny spektakl z właściwą mu scenografią i odpowiednią obsadą ról. Przytoczona obszerna i daleko niepełna dokumentacja biegu zdarzeń, często wstydliwie przemilczana, właśnie to zaświadcza.

Dyktatura demokracji

W tym miejscu należy przypomnieć, że nieprzypadkowo prezydent USA. George H.W. Bush przybył do Polski z wizytą oficjalną przed wyznaczonymi na 19 lipca wyborami prezydenckimi i w dniach 9-11 lipca 1989 roku przeprowadził w naszym kraju ostentacyjną kampanię promocyjną na rzecz Wojciecha Jaruzelskiego jako jedyne kandydata na prezydenta. Jak widać, rząd Stanów Zjednoczonych tak dalece zaangażował się w realizację planu ustanowienia Jaruzelskiego prezydentem PRL, że osobiście wziął udział w jego realizacji. „Jego rozmowa z gen. Jaruzelskim w Belwederze, zaplanowana na 10 minut, przekształciła się w dwugodzinne spotkanie, podczas którego Bush namawiał Jaruzelskiego, by wystartował w wyborach prezydenckich. Prezydent USA nigdy nie ukrywał, że darzy swego rozmówcę osobistą sympatią” [Andrzej Leon Sowa, *Historia polityczna Polski. 1944-1991*, s. 645]. Wtedy też zapewne Jaruzelski otrzymał od Busha stosowne gwarancje sukcesu wyborczego, który w rozmowach z Wałęsą musiał uzyskać także jego aprobatę dla przeprowadzenia tej politycznej operacji.

Konkluzje nasuwają się same. Przede wszystkim okazało się, że sztyld demokracji stanowi bardzo wygodne przykrycie dla arbitralnych, ale uzgodnionych decyzji i działań elit władzy pozornie tak przeciwstawnych państw jak ZSRR, a później Rosja, i USA.

Wiadomo, że problem demokracji sprowadza się w istocie do kwestii reprezentacji, która w świetle manipulacji procedurami w prezydenckim procesie wyborczym znakomicie zafałszowuje rzeczywisty stan nastrojów społecznych. Sedno sprawy tkwi w tym, że mimo jawnie zewnętrznej ingerencji w proces wyborczy na korzyść Jaruzelskiego przynajmniej trzech obcych państw (USA, ZSRR i Watykan) nie sposób podważyć demokratycznego charakteru wyboru Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta PRL.

Każda nowa władza, w tym także poczerwocowa demokracja, potrzebuje swego rodzaju symbolicznej „legitymizacji”, która w tym przypadku napotyka na wiele skomplikowanych problemów. „W procesie przechodzenia z PRL-u do III RP – zdaniem Andrzeja Zybertowicza – nie było świątecznego przeżycia radości końca komunizmu. Nie wyprawiliśmy mu stypy. Okrągły Stół i wybory z 4 czerwca 1989 roku sprawiły, że cały proces był płynny. Ogłoszenie przez Joannę Szczepkowską końca komunizmu, jak to dzisiaj wiemy, było ukarowane przez wpływowych ludzi. [...] Czytałem, że to było uzgodnione wcześniej, że ona pojedzie i powie to w telewizji. Nie było tak, że pojechała do studia, coś ją tknęło i na żywo na wizji to powiedziała. [...] Aktorka i teatr polityczny – spójność ról” [Andrzej Zybertowicz, *III RP. Kulisy systemu*, rozmawia Joanna Lichocka, Lublin 2013, s. 291]. Wyraźnie widać, że rozgrywający się wokół Jaruzelskiego prezydencki proces wyborczy znakomicie wpisuje się w konwencję uprawiania polityki jako spektaklu.

Andrzej Werblan zadał sobie trud przybliżonego ustalenia, jaka część dorosłej ludności naszego kraju opowiedziała się za „demokratycznym” zwrotem czerwcowym. Z jego obliczeń wynika, „że za listą KO „S” opowiedziało się 36 proc. elektoratu. Dużo mniej niż połowa dorosłej ludności kraju. Nawet jeśli do tego dodamy kilka procent głosujących na inne niż Solidarność ugrupowania opozycyjne, ale i tak wynik będzie poniżej 40 proc” [Modzelewski – Werblan. *Polska Ludowa*, dz. cyt., s. 528].

Zatem zwycięski obóz „solidarnościowy” został wyniesiony do władzy przez widoczną mniejszość naszego społeczeństwa, która uzyskała w demokratycznych wyborach zadowalający dla siebie, ale nadmierny zakres władzy. W efekcie ta mniejszość społeczeństwa objęła panowanie nad większością, która jej nie popierała i nie uważała za swoją reprezentację. Wbrew oficjalnej ideologii, której kanonem jest przeświadczenie, że demokracja oznacza rządy większości i szanowanie mniejszości okazało się, że rządy demokratyczne sprawują się w praktyce do sprawowania władzy przez mniejszość nad większością, przy braku poszanowania interesów szerokich mas ludowych.

Ustrój demokratyczny, jak widać, znakomicie się nadaje do skutecznego sprawowania rządów mniejszości i chociaż wbrew pozorom te rządy nie mają większościowego poparcia społecznego, to jako dyktatura demokracji, w sensie półdemokracji-półdyktatury, funkcjonują w postaci realnego politycznego mechanizmu ustrojowego.

Zachwyca rzecz jasna opowieść ambasadora Stanów Zjednoczonych o szeroko stosowanej w jego ojczyźnie manipulacji wyborczej znanej jako „liczenie głów”, co oczywiście naturalnie kojarzy się z przypisywanym Stalinowi powiedzeniem, że „nie jest ważne, kto głosuje, ale to, kto liczy głosy”. Życie polityczne zawiera swoje sztuczki wyborcze: patent radziecki to „liczenie głosów”, amerykański – „liczenie głów”. Bezsporne, nie tylko w tym przypadku, produkt „Made in USA” jest po prostu lepszy i sprawdza się także jako towar eksportowy, także w polityce „budowania demokracji”.

MAREK ZAGAJEWSKI

EDWARD KAROLCZUK

WIDMO KOMUNIZMU, WIDMO LIBERALIZMU...

„Widmo krąży nad Europą, widmo komunizmu” – pisali w opublikowanym w 1848 roku *Maniście Partii Komunistycznej* K. Marks i F. Engels. „Gdzie jest taka partia opozycyjna, która by nie była okrzykana za komunistyczną przez swych przeciwników będących u władzy? – kpili. – Gdzie jest taka partia opozycyjna, która by z kolei nie odwzajemniła się piętnującym zarzutem komunizmu zarówno bardziej od siebie postępowym przedstawicielom opozycji, jak i swoim reakcyjnym przeciwnikom?”¹. Zapewne nawet nie przypuszczali, że ta ich trafna diagnoza pozostanie aktualna nawet półtora wieku później. Współczesnym potwierdzeniem jej słuszności na polskim gruncie jest wzajemne oskarżanie się polityków z Prawa i Sprawiedliwości i Platformy Obywatelskiej o „bolszewizm”, czyli rosyjski komunizm. Profesor Jadwiga Staniszkis, do niedawna zwolenniczka prezesa PiS, a obecnie jego przeciwniczka, zarzuca mu manipulowanie prawem i otaczanie się ludźmi należącymi kiedyś do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – nazywa to „czystym bolszewizmem”². Paweł Kukiz, pozujący na niezależnego i antypartyjnego polityka, przesunięcie przez PiS głosowań w sejmie na godziny nocne nazywa „bolszewickim traktowaniem ludzi”³, a forsowanie przez PiS ustawy medialnej określa jako „gorsze niż bolszewickie”⁴. Są to przykłady swistego licytowania się w antykomunistycznej czujności. Na polskim gruncie nie jest to nic nowego...

Profesor Ryszard Legutko już parę lat wcześniej w swojej książce pt. *Triumf człowieka pospolitego* postawił tezę o tożsamości socjalizmu (komunizmu) i liberalnej demokracji. Książka ta jest antycypacją, a zarazem wciąż służy ideologiczno-propagandowej obsłudze „dobrej zmiany”. W jego ocenie po 1989 roku

liberalizm zaczął przekształcać się w swoje przeciwieństwo: „System wielopartyjny zapomniał o wartości mnogości, parlamentaryzm stał się wehikułem tyranii w rękach ideologicznie ukonstytuowanej większości, rządy prawa zaś zmieniły się w rządy arbitralności”⁵ [Ryszard Legutko, *Triumf człowieka pospolitego*, Wydawnictwo Zys i S-ka, Poznań 2012, s.49. Przy każdym kolejnym cytacie podaję numer strony tegoż wydawnictwa, z której ów cytat został zaczerpnięty.] Zauważmy, że nie odróżnia on socjalizmu od komunizmu, lecz zgodnie z dyrektywami i praktyką Instytutu Pamięci Narodowej traktuje je jako tożsame. Pisząc zaś o komunizmie nie odróżnia teoretycznych założeń komunizmu, wyłożonych przez Marksa i Engelsa, od praktyki, która miała miejsce w Związku Radzieckim. Tymczasem sens terminu „komunizm”, „komuniści” jest zmienny historycznie; trudno ahistorycznie przypisywać Marksowi i Engelsowi cechy, intencje, pomysły XX-wiecznego ruchu komunistycznego, zwłaszcza KPZR czy KPCh. Bo choć te partie powoływały się na nich, to jednak często bezzasadnie. R. Legutko i dzisiejsi „antykomuniści” operują swoim stereotypem komunizmu (i jako ideologii, i jako eksperymentu ustrojowego) – zamiast rzetelnej wiedzy o tym nurcie. W ich ustach „komunizm” to epitet i wytrych propagandowy, a nie kategoria analityczna.

Podobieństwa socjalizmu i liberalizmu

R. Legutko dyplomatycznie przemilcza istotne różnice dzielące te koncepcje i ustroje, związane z własnością środków produkcji i podziałem klasowym społeczeństwa, skupiając się jednocześnie na cechach drugo- i trzeciorzędnych, bo to służy mu do udowodnienia tezy o zasadniczym podobieństwie obydwu for-

macji. Pomija w swoich rozważaniach kwestię własności środków produkcji, która ma zasadnicze znaczenie dla rozważań ustrojowych. Podobieństwa obu ustrojów R. Legutko widzi np. w kwestiach natury formalnej, w tym, że ich zwolennicy uznawali je za „stanowiące kres historii” [s.75]; oba, jego zdaniem, były uznawane za „bezalternatywne” [s.76]; ucieleśnienie „odwiecznych dążeń ludzkości”, doszło do „utożsamienia struktur ustrojowych z ludzkimi ideałami” [s.77]; socjalizm przypisał sobie dążenie do sprawiedliwości społecznej, a liberalizm zawłaszczył na wyłączny użytek dążenie do wolności. Socjalizm dopuścił się zbrodni, które „przekraczają ludzką wyobraźnię” [s.78]. Z kolei liberałowie z uwagi na swój dogmatyzm i pragmatyzm szukali sprzymierzeńców w „absolutyzmach oświeconych” i wdali się w długi flirt z socjalizmem. Za pomocą władzy państwowej ingerowali w „obyczaje społeczne”. Wykazali się również słabością wobec „terroryzmu” i „dyktatur lewicowych” [s.81].

Co do problemu, jakoby komunizm był traktowany przez jego zwolenników jako „kres historii”, to R. Legutko pokazuje tu swoją całkowitą ignorancję. Na gruncie katolicyzmu Joachim z Fiore dzielił rozwój historii na trzy etapy i twierdził, że nadejdzie trzeci – Okres Ducha. Miał on być okresem wolności, a ludzie mieli się kierować wyłącznie potrzebami ducha. Zniknąć miał obecny Kościół, a pojawić się Kościół duchowy, złożony ze świętych, żyjących w odrodzonych klasztorach. W Kościele tym miejsce biskupów mieli zająć duchowni z nowego zakonu. Zapanować miała wolność, doskonałość i kres wojen. W okresie tym ludziom miała zostać udostępniona Ewangelia Wieczna, pochodząca z trzeciego nieba i która, w przeciwieństwie do obecnie używanej pisanej, miała nie mieścić się w żadnej księdze i miała mieć charakter duchowy, gdyż Duch Święty wpisuje ją w dusze wierzących, a najwyraźniej w duszach praktykujących ubóstwo mnichów.

Ale teza o „kresie historii” w żaden sposób nie może być przypisywana do Marksa i Engelsa. Już na początku swojej drogi teoretycznej i politycznej poddali oni krytyce poglądy Hegla, który twierdził, że monarchia pruska stanowi kres rozwoju historii. Gdyby Marks i Engels powstanie komunizmu potraktowali jako „kres historii”, to zaprzecziliby stosowanej przez siebie w analizach metodzie dialektycznej. Również współcześni zwolennicy socjalizmu zwalczały pogląd Francis Fukuyamy, dopóki przy nim obstawał, jakoby po klęsce „realnego socjalizmu” i zwycięstwie neoliberalizmu, nastąpił „koniec historii”. Fukuyama wydawało się, że po upadku Muru Berlińskiego zatriumfowała liberalna demokracja i w sensie politycznego rozwoju dobiegła kresu. Obecnie jest mniej optymistyczny i uważa, że siły antydemokratyczne są w natarciu, a na zapowiadany „koniec” przyjdzie jeszcze poczekać...

Legutko stawia tezę, że socjalizm (komunizm) i liberalizm okazały się „utopiami” [s.82]. Przy czym utopii nie przypisuje on cechy nierealności, niepraktyczności, idealizmu czy nieuwzględniania doświadczeń ludzkości. Definiuje ją natomiast na sposób skrajnie konserwatywny: „Utopia nie jest [...] politycznym fantazjowaniem, lecz śmiałym zamierzeniem, śmielszym od innych, ponieważ stawia sobie za cel rozwiązanie wszystkich podstawowych problemów. Utopia jest [...] rozwiązaniem ostatecznym” [s.82]. O utopijność w ten

sposób może więc być oskarżony każdy ruch polityczny, który wysunie żądanie chociaż trochę radykalniejsze od innych. Ostateczne uniknięcie zarzutu utopijności możliwe jest tylko wówczas, gdy nie będzie się chciało wprowadzać żadnych zmian czy reform – coś na kształt perpetuum mobile konserwatyzmu. Gdyby zachować ścisłą wierność tradycji, na którą często powołuje się profesor Legutko i odrzucić te utopie, to robotnicy pracowaliby po szesnastu godzin dziennie, ludzie baliby się inkwizycji i wierzyliby w płaskość Ziemi, obowiązywałby zakaz zrzeszania się w związki zawodowe, a podczas wyborów stosowanoby cenzus majątkowy i cenzus wykształcenia. Natomiast Marks i Engels zajmowali zupełnie przeciwną do Legutki postawę. W zakończeniu *Manifestu Partii Komunistycznej* przy omawianiu problemów strategii i taktyki pisali, że „komuniści popierają wszędzie każdy ruch rewolucyjny przeciw istniejącym stosunkom społecznym i politycznym. We wszystkich tych ruchach wysuwają oni jako podstawowe zagadnienie ruchu zagadnienie własności, bez względu na to, czy przybrało ono bardziej lub mniej dojrzałą postać”.

W krytyce liberalizmu profesor Legutko miesza argumenty słuszne z niesłusznymi. Jego zdaniem utopijny jest zarówno liberalizm ekonomiczny ze swym hasłem „wolnego rynku”, jak i liberalizm polityczny, że swą wiarą w wolność i liberalną demokrację. Mając krytyczny stosunek do liberalizmu politycznego, przypomina, że na utopijność demokracji zwracali uwagę już Platon i Arystoteles. „Demokracja nie miała tak oczywistych związków z myśleniem utopijnym jak liberalizm” [s.87]. Już w starożytności, a tak jest i obecnie, „był to ustrój bałaganiarski, mieszący prawa, samoniszczący i niszczący co wybitniejszych przywódców i obywateli” [s.88].

Ryszard Legutko odrzuca tezę, że lekarstwem na niedostatki socjalizmu byłoby wprowadzenie go w większym zakresie, i tezę, że lekarstwem na niedoskonałości demokracji jest zwiększenie zakresu jej oddziaływania. W związku z tym zadaje pytania, jak mu się wydaje, retoryczne: „Dlaczego, skoro zgadzamy się, że demokracja ma wady, miałyby się one zmniejszyć przez więcej demokracji? W jaki sposób więcej demokracji ograniczy na przykład demokratyczną wulgarność albo promowanie przeciętności, albo osłabienie obyczaju, albo rozrost legislacji, albo upartyjnienie sfery publicznej? Jeśli wzrost znaczenia mas doprowadził do wulgaryzacji kultury, to dlaczego jeszcze większy wzrost znaczenia tej samej grupy miałby prowadzić do uszlachetnienia kultury? Jeśli demokracja wprowadza kolejne grupy w sferę polityczną i daje im wpływ na legislację, co prowadzi do legislacyjnego nadmiaru, to dlaczego zwiększenie liczby tych grup i zwiększenie ich wpływu miałyby zrodzić legislacyjną wstrzemięźliwość?” [s.95]. Zwróćmy uwagę, że demokracja kojarzy się R. Legutce wyłącznie z „demokratyczną wulgarnością”, „legislacyjnym nadmiarem”, „panowaniem przeciętności”, a wzrost znaczenia mas jego zdaniem „doprowadził do wulgaryzacji kultury”. W ten sposób prof. Legutko otwarcie napisał, co myśli o tych, o głosy których tak usilnie zabiegał, starając się o wygodny fotel w Parlamencie Europejskim. Trudno o jaśniejsze wyrażenie ahistorycznej krytyki demokracji w ogóle i pogardy dla suwerena...

Podobnie jest, zdaniem profesora, z leczeniem wypadzeń socjalizmu poprzez jego rozwój.

Zauważmy, że obydwa te twierdzenia nie niosą żadnego racjonalnego przekazu treściowego, są raczej wyrazem deklaracji politycznej stronnictwa, proroczej wiary w słuszność swoich poglądów i uprawiania płytkiej propagandy.

Według R. Legutki socjalizm i liberalną demokrację łączy silna „skłonność do ideologii” [s.189], co oddala ich od kontaktu z rzeczywistością. „Ideologia, która miała wskazywać na realne źródła idei – interesy, funkcję w strukturze władzy, społeczne uformowanie, biologiczne warunki – stała się siłą niezależną, mającą władzę nad umysłami ludzkimi przez stworzenie klimatu światopoglądowego przymusu, ubezwłasnowolniającą umysły ludzi, skłaniającą ich do robienia i mówienia rzeczy sprzecznych z tym, co im ta sama ideologia pierwotnie przypisywała. Mężczyźni są feministami, heteroseksualiści zwolennikami homoseksualizmu, Europejczycy krytykami europocentryzmu, filozofowie wrogami *logosu*, moniści propagatorami pluralizmu i multikulturalizmu” [s.202]. Socjaliści i liberałowie rozbijają tradycyjne wspólnoty społeczne – naród i rodzinę. Podporządkowują swoim celom system prawny.

Dziwnie brzmią te słowa w ustach przedstawiciela siły rządzącej, która po dojściu do władzy w 2015 roku dała aż nadto przykładów, jak dla umocnienia swego panowania tworzyć prawo, oparte na swoich wartościach i ideologii, nawet nocą...

Trudno oprzeć się wrażeniu, że głównym celem, do którego mierzy R. Legutko nie są abstrakcyjne konstrukcje intelektualne, ale jak najbardziej konkretna Unia Europejska, którą uznaje za źródło wszelkiego zła. Unia Europejska – konstatuje – uznała się za zwieńczenie liberalnej demokracji. Przez to „stała się ponadnarodowym strażnikiem wszystkich schorzeń liberalnej demokracji, sama będąc tych schorzeń najbardziej wymowną ilustracją. Doprowadziła swoje instytucje, struktury, działania oraz umysły ludzkie do takiego poziomu zdegradowania, że wszelkie przyszłe ruchy sanacyjne – przywracające wolność, rozsądek i mnogość – będą musiały odbywać się w mniejszym lub większym z nią konflikcie, a sama Unia coraz bardziej skazuje się w takim konflikcie na rolę *ancien régime'u*” [s.122]. Przy tak krytycznej ocenie Unii Europejskiej, można przypuszczać, że Legutko wkrótce, niczym Konrad Wallenrod, przystąpi do akcji naprawczej lub rozbijania od środka tego siedliska zła...

R. Legutko stawia zarzut, że silne poczucie wroga będące wynikiem dualistycznego postrzegania świata sprawiło, że socjalizm i liberalna demokracja doprowadziły do „niebywale wysokiego poziomu spolityzowania świata, choć jednocześnie obiecywały zlikwidowanie polityki” [s.125]. Europa Zachodnia „od pewnego czasu ma wyraźne skłonności lewicowe, w ideach lewicy, choćby mgliście ujętych, dopatruje się podstawowych treści swojej tożsamości, a w ich realizacji dostrzega plan swego spełnienia” [s.142]. Sam zaś z wyrażnie lewicową „skłonnością” pisał, że kluczowe funkcje w Unii Europejskiej pełnią ludzie, którzy nie są wybierani w wyborach powszechnych i nie ma możliwości ich odwoływania. Przy tak krytycznych poglądach obecnie nie wywołuje u niego żadnego sprzeciwu obsadzenie przez PiS swoimi ludźmi kierowniczych stanowisk w Polsce, w spółkach skarbu państwa, korporacjach,

którzy również nie są wyłaniany w wyniku wyborów powszechnych, a zyskują ogromną władzę i dochody.

Legutko pisząc o problemach międzynarodowych, abstrahuje od zimnej wojny, rywalizacji pomiędzy socjalizmem i kapitalizmem w skali światowej, rozwoju zbrojeń i groźby zagłady ludzkości. Zdaniem Legutki „zachodnie kraje, w których panował ustrój liberalno-demokratyczny, wcale nie walczyły z imperium sowieckim i nawet nie miały takich zamiarów. Układały sobie ze Związkiem Radzieckim wcale dobre relacje, uznając to państwo za kluczowego gracza i element równowagi politycznej na kontynencie, do ruchów antyrządowych w krajach komunistycznych zaś odnosiły się raczej z nieufnością, czasami nawet z niechęcią. [...] Gdyby sobie wyobrazić nieobecność Stanów Zjednoczonych na mapie politycznej świata i ograniczyć relacje ZSRR-Zachód tylko do Europy, to komunizm zapewne istniałby nadal, a państwo polskie nazywałoby się nadal Polską Rzeczpospolitą Ludową. Z punktu widzenia Europy poza krótkim okresem powojennym nie było żadnej zimnej wojny, którą można było wygrać lub przegrać” [s.219-220]. Wiodącą rolę w walce z socjalizmem i komunizmem odgrywały więc Stany Zjednoczone i Kościół katolicki.

Zdaniem Legutki, co dla wielu może okazać się szokujące i niezgodne z ich rozumieniem prawdy, po upadku realnego socjalizmu dawni jego funkcjonariusze zdobyli natychmiast sympatię zachodniej opinii publicznej, żaden rząd byłych komunistów nigdy nie został potępiony przez Unię Europejską, natomiast jej wściekłość wywołały nacjonalistyczne polskie rządy Prawa i Sprawiedliwości oraz węgierskiego Fideszu. W 2012 roku Legutko pisał: „Do tej pory komuniści są pod ochroną Unii Europejskiej, głównego nurtu, a także najbardziej wpływowych grup opiniotwórczych” [s.222]. Zdaniem Legutki decydującą rolę w walce z socjalizmem i komunizmem, i jego obaleniu nie odegrały ruchy związane z liberalną demokracją, lecz te, w których decydowały „patriotyzm, pragnienie prawdy i sprawiedliwości, przywiązanie do narodowych imponderabilii gwałconych przez komunistów, religia. Ludzie się buntowali, bo reżim odbierał im to, co było im najdroższe, a tym czymś były rzeczy znacznie bardziej związane z tradycjami narodowymi i religijnymi niż z prawem do demokratyzacji szkoły, ustawodawstwem umożliwiającym tropienie języka nienawiści czy możliwością dokonania przez nastolatkę aborcji bez wiedzy rodziców” [s.223]. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jedyną siłą polityczną spełniającą te kryteria jest w oczach R. Legutki partia Prawo i Sprawiedliwość pod przywództwem Jarosława Kaczyńskiego. Legutko zapomina, że „pragnący prawdy i sprawiedliwości patriotci”, zaczęli zyskiwać szersze wpływy społeczne dzięki mnożącym się błędom neoliberalistów i tzw. postkomunistycznej lewicy (która, jak się okazało, też jest wyznającą neoliberalizm), w procesie kapitalistycznej transformacji.

Dopiero w tym momencie można doszukiwać się podobieństw pomiędzy neoliberalami a tzw. postkomunistami spod znaku SLD [Sojusz Lewicy Demokratycznej]. Ale to jest zupełnie inna epoka historyczna, niż ta, o której pisał Legutko...

Różnice pomiędzy socjalizmem (komunizmem) a liberalizmem

Teza o tożsamości socjalizmu (komunizmu) i liberalizmu nie jest prawdziwa i nie jest tak prosta i oczywista,

jak to sugeruje profesor Legutko. Między liberałami, a komunistami istnieje zbieżność interesów u początków kształtowania się liberalizmu, kiedy głównym zadaniem jest obalenie feudalizmu, przeciwstawienie się ingerencji państwa feudalnego w gospodarkę, walka z przywilejami szlachty i z ograniczeniami cechowymi dla rozwoju produkcji. Dlatego proletariusze i komuniści popierają proponowane przez liberałów reformy i głoszone wówczas przez nich hasło wolności handlu i równości.

Marks i Engels przewidywali, że po zdobyciu władzy przez drobną liberalną burżuazję partia proletariacka nie będzie mogła początkowo zaproponować czysto komunistycznych posunięć i środków, gdyż nie będą jeszcze ku temu dojrzałe warunki obiektywne i subiektywne. Mając na względzie czasową wspólnotę celów i interesów – przewidywali – będzie musiała ona jednak zachowywać odrębność i własną ideologiczną tożsamość. W tym celu musi ona brać za punkt wyjścia stopień zaawansowania rewolucji burżuazyjnej, to z jakimi żądaniami programowymi i hasłami taktycznymi wychodzi liberalna burżuazja, to, jaki istnieje układ sił pomiędzy proletariatem a drobną burżuazją. Proletariat musi dążyć do rozwoju rewolucji burżuazyjnej i przekształcania jej w rewolucję komunistyczną, powinien zmuszać drobną i liberalną burżuazję, m.in. do konsekwentnego wyeliminowania feudalnych stosunków społecznych, do przekształcenia skonfiskowanej własności feudalnej we własność państwową i utworzenia w jej ramach zrzeszeń robotniczych, pozwalających na szerokie wykorzystanie nowoczesnych metod i środków gospodarowania; do utworzenia jednej niepodzielnej republiki. Reformy proponowane przez drobną burżuazję muszą służyć proletariatu za punkt wyjścia do likwidacji prywatnej własności środków produkcji. Wyjaśniając praktycznie ten problem pisali: „Powinni doprowadzić do ostatecznych konsekwencji propozycje demokratów – którzy, rzecz oczywista, będą występowali nie rewolucyjnie, ale reformatorsko – i przeobrażać je w bezpośrednie ataki na własność prywatną. Tak na przykład, jeżeli drobnomieszczenie wnoszą o wykupienie kolei żelaznych i fabryk, to robotnicy powinni żądać, aby te koleje żelazne i fabryki, jako własność reakcjonistów, były po prostu skonfiskowane przez państwo bez odszkodowania. Jeżeli demokraci proponują podatek proporcjonalny, to robotnicy żądają progresywnego; jeżeli demokraci sami proponują umiarkowanie progresywny podatek, robotnicy powinni domagać się takiego podatku, którego progresja musiałaby zabić wielki kapitał; jeżeli demokraci żądają uregulowania długów państwowych, robotnicy powinni zażądać bankructwa państwa. A zatem swoje żądania robotnicy będą musieli formułować zawsze w zależności od ustępstw i posunięć demokratów”⁷.

Marks i Engels zdawali sobie sprawę, że po obaleniu feudalizmu wspólnie z liberałami, w wyniku spodziewanej nowej fali rewolucji może robotnikom pod przywództwem komunistów nie udać się zdobyć władzy politycznej. Dlatego, aby podkreślić przeciwstawność interesów liberałów i komunistów w nowej sytuacji, *Apel Komitetu Centralnego do Związku Komunistów* z marca 1850 roku kończyli słowami: „Ale najwięcej dla swego ostatecznego zwycięstwa zrobią oni sami, gdy uświadomią sobie swoje interesy klasowe, zajmą

możliwie najrychlej samodzielne stanowisko partyjne i nie pozwolą, aby demokratyczni drobnomieszcianie swoimi obłudnymi frazesami sprowadzili ich choćby na chwilę z drogi samodzielnej organizacji partii proletariatu. Ich hasłem bojowym musi być: Rewolucja w permanencji”⁸. Widzimy więc, że Marks i Engels już u zarania działalności politycznej zdawali sobie sprawę z przeciwstawności interesów komunistów i liberałów, co było szczególnie widoczne w krajach niemieckich, gdzie utrzymywały się wyjątkowo duże wpływy feudalnych stosunków społecznych.

Komunizm nie jest możliwy bez zaadoptowania ekonomicznych i technicznych zdobyczy kapitalizmu, a władza proletariatu nie może urzeczywistnić się bez obalenia monarchii i wprowadzenia postulowanej przez liberałów republiki. Obie klasy jednak różnie to rozumiały. Przeciwiństwo liberałów i komunistów możemy ukazać na przykładzie jednego z podstawowych haseł liberałów – *równości, wolności i sprawiedliwości*.

Engels pisał, że od samego początku kształtowania się burżuazyjnych stosunków społecznych, obok burżuazyjnych postulatów równości rozumianej jako zniesienie przywilejów klasowych pojawiły się proletariackie – jako zniesienie samych klas społecznych oraz poszerzenie jej z równości politycznej na dziedzinę społeczną i ekonomiczną. „Postulat równości ma [...] w ustach proletariatu dwojakie znaczenie. Albo stanowi on, jak to jest w samych początkach [...] prymitywną reakcję przeciw rażącym nierównościom społecznym, przeciw kontrastowi bogatych i biednych, panów i niewolników, obżartuchów i głodujących; jako taki jest on po prostu wyrazem instynktu rewolucyjnego i w tym, ale też tylko w tym, leży jego uzasadnienie. Albo też postulat ten powstał w reakcji przeciw burżuazyjnemu postulatowi równości; wyprowadza on z niego mniej lub bardziej słuszne dalej idące żądania, służy jako środek agitacyjny przeciw kapitalistom za pomocą twierdzeń samych kapitalistów; w tym wypadku istnieje on i upada razem z równością burżuazyjną. W obu wypadkach rzeczywistą treść proletariackiego postulatów równości stanowi żądanie zniesienia klas. Wszelki postulat równości wychodzący poza to prowadzi nieuchronnie do absurdu”⁹. Między proletariackim, a tak istotnym dla liberalno-burżuazyjnego rozumienia postulatów równości, istnieje więc jakościowa różnica, o której Legutko woli chyba udawać, że nic nie wie, bo nie pasuje to do jego schematycznego przedstawiania swego wroga. Łączy je tylko to, że oba są wytworem rozwoju historycznego i pojawiają się w okresie oświecenia, ale nie są wieczne. Rozpatrując na płaszczyźnie ideologicznej historyczne losy postulatów równości, Engels w notatkach przygotowawczych do *Anty-Dühringa* pisał: „W ustroju komunistycznym, w warunkach zwiększonej ilości środków utrzymania, rozwój społeczny doprowadzi ludzi w ciągu kilku pokoleń do tego, że tak kategoryczne żądanie równości i prawa wyda się równie śmieszne jak dziś żądanie uznania przywilejów szlacheckich i innych wynikających z urodzenia, że przeciwiństwo w stosunku do dawnej nierówności i dawnego prawa pozytywnego, ba, nawet w stosunku do nowego prawa okresu przejściowego, zniknie z praktycznego życia, tak że każdego, kto by obstawał pedantycznie, aby wydano mu równy i sprawiedliwy udział w produktach, wyszydzą przez wręczenie podwójnej porcji. [...] Fakt,

że postulat taki doskonale nadaje się dziś do agitacji, nie czyni go jeszcze absolutnie wieczną prawdą¹⁰.

Dla Legutki tolerancja jest ideologicznym wrogiem

Wydawałoby się, że po okresie prześladowań i wojen religijnych tolerancja zadomowiła się w świadomości społecznej na trwałe. Niestety pochwała tolerancji jako organicznej części demokracji nie znalazła uznania w fundamentalistycznych poglądach Ryszarda Legutki. Pisał on: „Tolerancja jako najwyższa zasada musi ogłupiać, ponieważ jej przyjęcie osłabia refleksję nad ludzkim zachowaniem i nie pozwala go różnicować” [s.275]. Kontynuując swoją „refleksję” i sprowadzając problem do absurdu pisał dalej, że tolerancja rozciąga się „na coraz to nowe obszary i coraz to nowe zachowania. [...] Cała moc tego pojęcia polega na tym, że nie ma ono żadnych granic i można je dowolnie przesuwac, jeśli tylko umiejętnie wpisać się w liberalno-demokratyczną logikę” [s.276-277]. Dla niego tolerancja to ideologiczna formuła: „Posługiwanie się orężem tolerancji i straszakiem nietolerancji skutecznie rozbija wszystkie reguły, które mogą powstrzymać utrwalanie się ideologii liberalno-demokratycznej” [s.277]. Nie jest to pierwsze wystąpienie Legutki przeciwko tolerancji. Krytyce tolerancji poświęcił w całości wydaną w 1993 roku książkę, stanowiącą manifest jego obskurantyzmu, przybieranego w tożę przekornego sceptycyzmu i racjonalnego konserwatyzmu¹¹.

Globalizacja, wbrew zapowiedziom, nie przyniosła jednej „globalnej wioski”, ale zaowocowała wzrostem podziałów ekonomicznych w skali międzynarodowej i narodowej. Dokonywała się w drodze łamania lokalnej produkcji, lokalnych rynków, lokalnych wartości i tradycji, apelowania o daleko idącą tolerancję dla „nowego”. Ale obrona gospodarek narodowych przeciwko międzynarodowemu przepływowi kapitałów i siły roboczej przybiera często postać obrony lokalnej produkcji, konserwatywnych tradycji i wartości narodowych. Legutko i jego polityczni mocodawcy zdają się sytuować w gronie przeciwników globalizacji, choć nie wiadomo czy do końca szczerze i świadomie. W niespokojnych czasach wielu ludzi czuje się zagubionych i poszukuje ludzi mających jasne myśli i proste rozwiązania złożonych problemów. Jacek Brečko w swojej „łagodnej” krytyce poglądów Ryszarda Legutki, na którą ten nie uznał za stosowne odpowiedzieć, pisał: „Konserwatyści – tacy jak Legutko – lekarstwo upatrują w powrocie metafizyki, dogmatów, hierarchii, »myśli twardej«, krótko mówiąc, tradycyjnej wiary chrześcijańskiej, która przez wieki sprzyjała wzrostowi cnoty, poczucia odpowiedzialności za świat i ludzi”. J. Brečko wyraża przy tym „podejrzanie”, że Legutko jest „skrytym radykałem, dogmatykiem-kapłanem o mentalności mrocznej i gniewnej, skrytym inkwizytorem i konkwistadorem. W jego tekście [chodzi o książkę *Nie lubię tolerancji* – E.K.] daje się odczuć nie tylko niechęć do przerostów tolerancji (w znacznej mierze uzasadniona), ale też niechęć do tolerancji negatywnej. Krótko mówiąc, podejrzewam, że gdyby Legutko miał władzę i potęgę, to byłby skłonny nawrócić ludzkość na starą prawdę, jedyną i niepodzielną, jego prawdę”. Ironizując zaś dodawał, że gdyby skrajny konserwatyzm mógł urzeczywistnić swoje marzenia, to mógłby zawołać: „Studenti do nauki (łaciny), pisarze do pióra (gęsiego), filozofowie

do Platona i Arystotelesa, kobiety do kuchni, kościoła i dzieci”. „Takie dążenie i marzenie nie tylko pachnie stosami, ale jest też zagrożeniem dla owego czulego cywilizacyjnego termostatu, który wydaje się esencją europejskości”¹².

Nic więc dziwnego, że Legutko uznał, iż dotychczasowa edukacja nastawiona na wychowanie uczniów w duchu tolerancji, „utrwała barbarzyństwo”. Krytykuje on nawet *Powszechną Deklarację Praw Człowieka* za to, że zawiera „ten absurdalny model edukacji, drastycznie zawężający horyzont myślowy człowieka” [s.288]. Można u niego wyczytać, że to za pomocą „chamstwa” walczy się z wyzyskiem i o tolerancję. „Kiedyś chamstwo było bronią do walki z wyzyskiem i niesprawiedliwością klasową; dzisiaj jest ono narzędziem do walki z dyskryminacją i o tolerancję” [s.289]. Chamstwem jest więc zwalczanie wyzysku i niesprawiedliwości oraz walka o tolerancję – trzeba przyznać, że jest to dziwny argument, jak na członka partii która w swej nazwie ma ... „i Sprawiedliwość”.

Zarzuty wobec socjalistów i liberałów w 2012 a dzisiejsza rzeczywistość

W 2012 roku Ryszard Legutko pisał o socjalistach i liberałach w następujący sposób: „Jednych i drugich wyróżnia arogancja w stosunku do wszystkiego, co nie ma ideologicznego usankcjonowania, a co z rewolucyjnym upojeniem starają się usunąć z przestrzeni publicznej i prywatnej. Jedni i drudzy są sterylne monoideologiczni, przeraźliwie nudni, zafiksowani na jednej rzeczy, którą podnoszą nieustannie we wszystkich kontekstach i z którą wszystko im się kojarzy. Jedni i drudzy tak dalece pragną lepszego świata, że dla jego wprowadzenia chcą kontrolować całe życie ludzkie, nawet to osobiste, rodzinne czy intymne. Jedni i drudzy mogą się też poszczycić politycznymi sukcesami, jako że udało się im przejąć władzę ideologiczną nad instytucjami, prawem, a nawet nad czymś tak nieuchwytnym jak polityczna atmosfera. To oni [...] stali się tymi, którzy będąc z jednej strony przedmiotem drwin i pogardy, wzbudzając jednocześnie uczucie strachu, a w każdym razie mocne przekonanie, że pozostawanie z nimi w konflikcie jest niebezpieczne. Jedni i drudzy też – co może się wydawać zagadkowe – zdobyli największą władzę w środowiskach intelektualnych i artystycznych, choć wydawałoby się, że właśnie tam – z powodu odstręczającego prymitywizmu i intelektualnej nieporadności – powinni być przedmiotem największej pogardy” [s.218].

Z książki Legutki możemy dowiedzieć się o jego krytycznych poglądach na artystów. Jego zdaniem byli oni apologetyczni zarówno wobec socjalizmu, jak i liberalnej demokracji. „W jednym i drugim ustroju środowiska te chętnie gromadzą się w stada, surowo tępią niepokornych, entuzjazmują się idiotyzmami i są odrażająco potulni wobec tego, co uznają za imperatywy epoki i nakazy ustroju. Tchórzostwo i konformizm nazywają szlachetnością, schlebienie głupocie zaś uznają za wsłuchiwanie się w ducha czasu” [s.294].

Profesor Legutko w całej swej książce abstrahuje od społecznej istoty zjawisk i teorii, od interesów poszczególnych grup i środowisk, a koncentruje się jedynie na sferze zjawiskowej i formie. W związku z tym nie dostrzega on, że różne treści społeczne mogą mieć tę samą

formę realizacji. Jego krytyczne słowa wobec „socjalizmu” i „liberalnej demokracji” mogą odnosić się również, a może jeszcze bardziej, do polityki PiS-u po dojściu do władzy w 2015 roku i mogą posłużyć do jej krytyki. Jak bowiem rozumieć czystki kadrowe wśród dziennikarzy mediów publicznych, czy zapowiedź Jarosława Kaczyńskiego tworzenia „nowej elity”? Do tej nowej „elity” włącza się niekiedy osoby zatrudnione w niszowych wydawnictwach, naukowców bez publikacji, a funkcję doradcy ministra obrony narodowej powierza się studentowi. Informacje o tych „autorytetach” w *Wiadomościach TV* umieszcza się na tak krótko, że przeciętny widz nie może zdążyć przeczytać kim i skąd są. Publiczna dyskusja nad osobą Bartłomieja Misiewicza pokazała, że PiS niejednokrotnie stanowiska kierownicze powierza ludziom bez wymaganego wykształcenia i doświadczenia. Jednym z pierwszych kroków PiS po dojściu do władzy było opanowanie stanowisk kierowniczych w wojsku, policji i służbach specjalnych w celu łatwiejszego kontrolowania opozycji politycznej i dla chęci utrzymania władzy przez PiS nawet jeśli przegra następne wybory parlamentarne. Sparaliżowano działalność Trybunału Konstytucyjnego i zaczęto dążyć do „złamania monopolu” „kasty sędziowskiej”. Zakazując publikacji wybranych orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego PiS przejął „władzę nad prawem” i złamał zasadę trójpodziału władzy typową dla liberalnej demokracji. Terroryzuje środowisko prawnicze, powszechnie oskarża sędziów o łamanie prawa, wymuszając akceptację łamania prawa przez PiS.

W szeregi tworzonych z dużym zaangażowaniem Antoniego Macierewicza niewinnie nazywanych Wojsk Obrony Terytorialnej, Ministerstwo Obrony Narodowej zaprasza członków radykalnych prawicowych organizacji paramilitarnych. Wojska te planuje się wyposażać w „najnowocześniejszą” broń. Oficerowie ich mają stworzone ścieżki przyspieszonego awansu. Wszystko to rodzi obawy, że Wojska Obrony Terytorialnej nie będą „neutralne politycznie”, a ci szybko promowani oficerowie jako część „nowej elity” zaczną zastępować oficerów w obecnej armii zawodowej.

PiS dąży do „kontroli całego życia prywatnego” i cyklicznie próbuje całkowicie zakazać aborcji. Używając słów profesora Legutki, PiS jest „monoideologiczny”, nie można go uznać za zwolennika pluralizmu ideologicznego i tolerancji. Likwidując gimnazja zastrasza całe środowisko nauczycielskie i przejmuje kontrolę nad programami szkolnymi. W krytyce opozycji politycy PiS-u są „nudni i monotematyczni” (500+), można podejrzewać, że rozdmuchiwanie „afery reprivatyzacyjnej w Warszawie” ma za zadanie również przysłonięcie afery reprivatyzacyjnej z udziałem wspierającego politykę PiS Kościoła katolickiego. Podsycając „atmosferę strachu”, pod pretekstem, że złamano tajemnicę państwową, a właściwie z obawy czy nie zawierały kompromitujących materiałów o Jarosławie Kaczyńskim i Antonim Macierewiczu, zarekwirowano prywatne archiwa Czesława Kiszczaka i Wojciecha Jaruzelskiego. A lansowanie tezy o zamachu na samolot z polską delegacją w Smoleńsku jest wyrazem „odstręczającego prymitywizmu i intelektualnej nieporadności”.

Niedostrzegane podobieństwo PiS i PO

Podobieństwo polityki socjalistów i liberalnych demokratów rzeczywiście występuje, ale nie tylko

w formie, lecz i w treści społecznej. To co R. Legutko zamiennie nazywa socjalizmem lub komunizmem w rzeczywistości miało więcej wspólnego z kapitalizmem państwowym niż z teoretycznymi założeniami socjalizmu i komunizmu sformułowanymi przez Marksa i Engelsa. Politykę w okresie PRL-u określała nie tyle ideologia komunistyczna (czyli interesy klasy robotniczej), co raczej (zwłaszcza w ostatnich dekadach jego istnienia) interesy uprzywilejowanej warstwy zarządzającej. Tego jednak R. Legutko nie rozumie – to tak, jakby w teatrze nie odróżniał maski od twarzy aktora, albo udaje, że nie widzi problemu, a wtedy trzeba przyjąć, że radykalna retoryka w jego wydaniu jedynie mistyfikuje rzeczywistość, nazywając państwowy kapitalizm socjalizmem i komunizmem. Jeśli zaś poddamy analizie stosunki społeczno-ekonomiczne i realizowaną politykę w procesie kapitalistycznej transformacji po roku 1989, to okazuje się, że między politykami Prawa i Sprawiedliwości a liberałami z Platformy Obywatelskiej jest pełna zgodność ustrojowa, natomiast między liberałami a rzeczywistymi komunistami jest ustrojowa przepaść.

Przy okazji kampanii wyborczej, wskazując na podobieństwa i tożsamości obu partii, Jerzy Kochan pisał¹³, że PiS jak i PO są klerykalne i antyaborcyjne, są za obecnością religii w szkołach i za finansowym wspieraniem Kościoła katolickiego z budżetu państwa, za klerykalizacją przestrzeni publicznej, uroczystości państwowych, wojska, policji, szkół, przedszkoli i żłobków... a także życia kulturalnego i naukowego. Jego zdaniem obie partie w swych politycznych działaniach utrzymują degradujące cywilizacyjnie Polskę nakłady finansowe na naukę, kulturę i służbę zdrowia. Poprzez swoją politykę komercjalizacji i prywatyzacji w dziedzinie ochrony zdrowia niszczą stan pielęgniarski i stworzony w Polsce Ludowej bezpłatny system opieki zdrowotnej. W jego ocenie celem obu partii jest militaryzacja Polski. Dla przeforsowania swych wizji obie partie rozpętują rusofobiczne historie, prowadzą na wschodzie awanturniczą „politykę jagiellońską”, wpłutują nasz kraj w konflikty i wywołują napięcia międzynarodowe. Pod hasłem „dywersyfikacji” źródła zaopatrzenia w surowce energetyczne, przygotowują Polskę do ewentualnej wojny z Rosją. Wspierają tajne operacje „Gromu” i innych jednostek specjalnych, które są przeprowadzane poza jakąkolwiek kontrolą i wiedzą opinii publicznej. Wymuszają przezbieranie polskiej armii i przystosowanie jej do militarystycznej i imperialistycznej polityki USA. Prowadzą zgodną politykę wobec związków zawodowych, traktują związki zawodowe jako listek figowy dla swoich antypracowniczych działań.

Jerzy Kochan pisał również, że ewidentnym potwierdzeniem pełnej zgodności programowej i politycznej PiS i PO są przepływy kadrowe między obiema partiami. Radosław Sikorski był ministrem kluczowych resortów w rządzie PiS i PO (równie dobrze nadawał się na ministra obrony narodowej, jak i spraw zagranicznych, chociaż nie miał żadnych kwalifikacji ani doświadczeń do ich zajmowania). Michał Kamiński był rzecznikiem prasowym prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a później został sekretarzem stanu w rządzie Ewy Kopacz. Joanna Kluzik-Rostkowska była ministrem w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, a później ministrem w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Jarosław Gowin, najpierw szefował całej frakcji w PO i konkurował do przeso-

wania w PO z Donaldem Tuskiem oraz był ministrem sprawiedliwości w rządzie Platformy Obywatelskiej, a później został ministrem nauki i szkolnictwa wyższego w rządzie Beaty Szydło, kiedy Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory. Przykłady można mnożyć...

PO i PiS więcej łączy niż dzieli, a to, co ich łączy, jest bardziej istotne – obie partie instrumentalnie posługują się elementami populizmu – przy faktycznej pogardzie dla mas. Związki zawodowe są dla nich nie tylko listkiem figowym, co bardziej widoczne w polityce PiS-u, ale wręcz zawalidrogą, co z kolei widać wyraźnie w polityce PO.

Przy całym zakłamaniu, selektywnym stosunku do formalnej demokracji, równości, wolności itd., antydemokratycznym obliczu (maskowanym rytualną adoracją demokracji) Platforma jednak nie jest gotowa – jak PiS – do dyktatorskiej formy rządów, a jej obrona instytucji demokracji liberalnej (Trybunału Konstytucyjnego, „wolnych” mediów itd.) w tym sensie jest nawet szczerą. Dlatego PO zasługuje na polityczne wsparcie w obronie demokracji liberalnej – ale trzeba pamiętać o tym, aby i od niej egzekwować jej reguły naciskiem partii lewicowych, związków zawodowych, stowarzyszeń, lewicowych mediów.

Natomiast Ryszard Legutko zajmuje się w swej książce formalnymi i powierzchownymi podobieństwami między socjalizmem a liberalną demokracją. Nie dostrzega natomiast żadnego podobieństwa pomiędzy Platformą Obywatelską i Prawem i Sprawiedliwością, nie stawia nigdzie nawet takiej roboczej hipotezy, a ona wydaje się bardziej płodna teoretycznie i ma swoje konsekwencje praktyczne. Przemilcza fakt, że swego czasu miało dojść do koalicji POPiS. Dlatego wydaje się uzasadnionym przypuszczenie, że publikacja jego książki była tylko jednym z ogniw w łańcuchu działań na rzecz budowy nowej tożsamości PiS-u i utrzymaniu jego zwolenników w wyborczej gotowości.

* * *

Główna wina, bo nie nieświadomy błąd Ryszarda Legutki, polega na tym, że jako naukowiec nie przestrzega zasady konkretności analizy przedmiotu. Na odwrót, przyjął on IPN-owską wersję tożsamości socjalizmu i liberalizmu, i stanął całkowicie na pozycjach propagandysty, który ustawia je sobie niczym „chłopca do bicia” po to, aby jednym ciosem znokautować obydwa kierunki.

Socjalizm i liberalizm to zjawiska z różnych bajek, o różnej treści klasowej i manewr Legutki jest zwyczajnym intelektualnym nadużyciem lub ceną, jaką płaci naukowiec za wieloletnie związki z taką partią jak PiS. Z tego, że ślimak ma rogi i byk ma rogi – nie wynika, że oba stanowią jednakowe zagrożenie dla torreadora. Legutko uciekając od klasowej oceny tych ustrojów, zdradził zasady uczciwości badawczej naukowca na rzecz wysługiwania się propagandzie PiS. Jest zastanawiające, że w całej książce Legutki, poświęconej krytyce jego przeciwników, nie ma żadnego cytatu czy przypisu potwierdzającego tezę o zgodności socjalizmu (komunizmu) z liberalizmem. Zamiast analizy stanu faktycznego, mamy ciągi ocen i opinii narzucanych czytelnikowi. Po znanym i cenionym tłumaczu i komentatorze dzieł Platona można oczekiwać czegoś więcej niż tylko posługiwania się płaskimi analogiami.

Profesor Ryszard Legutko w całej swej książce abstrahuje od treści społecznej swoich zarzutów, od interesów poszczególnych grup i środowisk. Dlatego liderzy antypisowskiej opozycji mogą śmiało sięgać do jego książki i posługiwać się nią w krytyce polityki PiS-u. Znajdą w niej wiele cennych dla siebie myśli i sformułowań – wystarczy tylko zmienić adresata jego krytycznych słów. Ale wtedy (o ironio!!!) może pojawić się ryzyko, że profesor Legutko zostanie wyrzucony z PiS-u na bruk za „obłudę” i „kolaborację z wrogiem”.

Widzimy, że profesor Ryszard Legutko, niczym Niccolò Machiavelli, odziera politykę z moralnych szat i ukazuje jej nagi „oreź”. Problemy poruszone przez europoła mają wielkie znaczenie. Nie spotkały się one z większym oddźwiękiem społecznym w momencie publikacji książki. Ale bieżąca polityka PiS-u pozostaje w zgodzie z jego wcześniejszymi tezami. Sprawia to, że wiele jej zapisów jest bardziej zrozumiałych dla dzisiejszego czytelnika. Można też dostrzec, co dzisiaj są warte deklaracje PiS-u o tolerancji głoszone podczas zwycięskiej prezydenckiej kampanii wyborczej.

EDWARD KAROLCZUK

- 1 Karol Marks i Fryderyk Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 4, Książka i Wiedza, Warszawa 1962, s. 513.
- 2 Staniszkis o rządach PiS: to czysty bolszewizm, <http://wiadomosci.dziennik.pl/polityka/artykuly/525472,staniszkis-o-rzadach-pis-to-czysty-bolszewizm.html>, 30.04.2017.
- 3 Kukiz krytykuje nocne głosowania PiS-u. „To bolszewizm”, <https://parezja.pl/kukiz-krytykuje-nocne-glosowania-pis-u-to-bolszewizm/>
- 4 Gorąco w Sejmie. Kukiz o PiS: Nawet bolszewicy tak nie robili, <http://pikio.pl/goraco-w-sejmie-kukiz-o-pis-nawet-bolszewicy-tak-nie-robili/#>, 30.04.2017.
- 5 Ryszard Legutko, *Triumf człowieka polskiego*, Wydawnictwo Zys i S-ka, Poznań 2012, s.49.
- 6 K. Marks, F. Engels, op.cit., s. 548.
- 7 Karol Marks, Fryderyk Engels, *Apel Komitetu Centralnego do Związku Komunistów (marzec 1850)*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 7, Książka i Wiedza, Warszawa 1963, s. 298.
- 8 tamże, s. 299
- 9 F. Engels, *Anty-Dühring. Przewrót w nauce dokonany przez pana Eugeniusza Dühringa*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 20, Książka i Wiedza, Warszawa 1972, s. 117.
- 10 tamże, s. 685-686.
- 11 Ryszard Legutko, *Nie lubię tolerancji: szkice i felietony*, Wydawnictwo Arka, Kraków 1993.
- 12 Jacek Brezko, *Tolerancjonizm (Ryszarda Legutki krytyka tolerancji)*, IDEA – Studia nad strukturą i rozwojem pojęć filozoficznych, t. XXVI Białystok 2014, s. 464. <http://cejsh.icm.edu.pl/cejsh/element/bwmeta1.element.desklight-4ebb1afb-7b7f-465e-beec-6a3b-73b89860/c/27-Brezko.pdf>, 20.05.2017.
- 13 Jerzy Kochan, *Wybory: upozorowana różnica*, http://www.socjalizmteraz.pl/pl/Artykuly/?id=895/Wybory___upozorowana_roznica, 19.04.2017

FILIP RATKOWSKI

„KLASA POLITYCZNA”

- NOWE ZWIERZĘ W OGRÓDKU

Od znanego manifestu Blaire’a, który (na spółkę ze Schroederem) odwołał wszelkie tradycyjnie socjalistyczne złudzenia, socjalizm europejski osiadł na laurach wierząc w nienaruszalność podstawowych wartości wywalczonego przez pokolenia państwa dobrobytu. Potem starczyło jedno amerykańskie tąpnięcie, by nagle cała konstrukcja „welfare state” zaczęła się sypać!

A w Polsce? Cóż, po sławetnym krachu realnego socjalizmu wszyscy, ale to zupełnie wszyscy przedstawiciele klasy politycznej zaczęli uśmiechać się do gospodarki rynkowej odsłaniając przy okazji jakieś dość paskudne i ostre zębiska... Moment! Klasa polityczna? – a co to za zwierzę, które nagle wyskoczyło z rabatki z różanymi krzewami wolnego rynku i szarpie nas za nogawki?

Gdyby postłużyć się, jakże niesłusznymi dziś mark-sowskimi kategoriami, musielibyśmy uznać, że owa klasa, jak każda inna tego typu grupa społeczna, charakteryzuje się podobnym stosunkiem wszystkich jej członków do środków produkcji i w całym społecznym procesie gospodarowania zajmuje jakieś wyodrębnione miejsce.

Spójrzmy na składy rad nadzorczych państwowych przedsiębiorstw. Tam od początku każdej sejmowej kadencji zaczyna się żwawy ruch personalny, który kończy się mniej więcej w połowie kadencji, na jaką wybraliśmy naszych przedstawicieli. Potem przychodzi nowe rozdanie i zabawa zaczyna się od początku!

Identyczny proces odbywa się w przedsiębiorstwach prywatnych, tyle że jest on obdarzony przeciwnym znakiem. Do rad nadzorczych (to, rozumie się, pojęcie umowne, bo nie chodzi o robotę, ale o pensję) ewakuują się politycy strony przegranej, którzy jednak są wystarczająco silnie zakorzenieni w klasie politycznej by istniała szansa na to, że do władzy jeszcze wrócą, a więc warto w nich zainwestować.

Przyjmijmy, zatem na razie hipotezę roboczą, że owa klasa polityczna istnieje rzeczywiście, że składa się z zawodowych polityków wszelkich opcji, bo przecież gołym okiem widać, że w polityce robią dziś całe rodziny, ba, całe rodzinne klany, a osoby pominięte potrafią (jak np. niejaki Dubaniowski) dość energicznie upominać się o „swoje”.

Nasi okupanci

Już w krajach rozwiniętych mówiło się wiele o sferze usług – daleko liczniejszej niż w tzw. demouladach. Dziś okazuje się, że owa sfera usług to głównie administracja rządowa i samorządowa, słowem – biurokracja rozdęta do poważnych rozmiarów.

Fakt, że owa biurokracja jest bezpośrednim zapleczem klasy politycznej, nie wymaga specjalnego dowodu. To klasa polityczna obsadza tam swoich pociotków,

to klasa polityczna określa rozmiary urzędów, to klasa polityczna nieustannie zapowiada odchudzenie administracji, po czym tych swoich zapowiedzi nigdy nie realizuje, choć teoretycznie rzecz biorąc powszechna komputeryzacja powinna ograniczyć potrzeby w tej dziedzinie.

Przed wojną Boy pisał o *naszych okupantach* mając na myśli liczny i pazerny kler katolicki. Teraz mamy kolejną grupę naszych okupantów. Skąd się wzięli i dlaczego są nie do ruszenia? A może to po prostu ważny sygnał wskazujący na istnienie nowej postkapitalistycznej formacji społeczno-ekonomicznej?

Dziadzio Marks futurologiem okazał się kiepskim, ale analityczny opis kapitalistycznej rzeczywistości jego pióra jest nie do podważenia. Zasadnicze elementy tzw. materializmu historycznego, czyli podział dziejów ludzkości wedle dominującej formy gospodarowania – sposobu produkcji przyjmowane są nawet przez jego zajadłych przeciwników. To przecież w końcu właśnie Marks odkrył i opisał kapitalizm z jego mechanizmami gospodarczymi, a także usystematyzował następstwo formacji społeczno-ekonomicznych, wraz z obocznościami w rodzaju azjatyckiego systemu produkcji, innego niż klasyczny (dla nas) ciąg znany z Europy. Marks na własne oczy oglądał ostateczny, jak się zadawało w pewnej chwili, triumf burżuazji i systemu kapitalistycznego, dlatego poza schodzącą z pola klasą feudałów widział tylko dwie siły – kapitalistów i wyzyskiwane masy. Dla niego rzeczywistość jawiła się zerojedynkowo – albo kapitalizm jest końcem historii, albo możliwe jest zrzucenie tego koszmarnego jarzma i ustanowienie systemu sprawiedliwości społecznej.

Takie marzenie o epoce sprawiedliwości piastowali zresztą wszyscy rewolucjoniści a wraz z nimi masy, które zawsze stanowią motor i siłę energetyczną każdej burzliwej przemiany społecznej. W końcu ani Robespierre, ani Saint-Just, ani nawet Danton nie przewidywali, że rewolucja każdego z nich zakończy się ustanowieniem systemu, w którym decydującą rolę odgrywał będzie pieniądz i procent składany. Można przypuszczać, że podobne idealistyczne hasła i cele towarzyszyły organizatorom rewolucji rosyjskiej 1917 roku, a wszystko co działo się dalej, było żelazną konsekwencją procesu dziejowego.

Oto Marks zakładał, że jego „Rewolucja socjalistyczna” rozpocznie się w kraju najwyżej rozwiniętym, gdzie przesłanki nowego sposobu produkcji są najbardziej zaawansowane. Dlatego teoretycy marksizmu (z Leninem na czele) z takim trudem szukali uzasadnień dla faktu, że oto ewolucja wybuchła w kraju, gdzie, wedle klasyka wybuchnąć nie miała prawa!

A może właśnie miała prawo? Skoro tam wybuchła, może warto poszukać jej przyczyn innych niż tautologiczne nawarstwianie się sprzeczności?

W poszukiwaniu zaginionej klasy

Sercem przemysłowym Rosji – quasi-kapitalistycznym, były organizacje przemysłowe – zakłady Putiłowskie w Petersburgu, na połę rzemieślnicza Tuła, fabryki Moskwy i przemysł górniczo-hutniczy Uralu w znacznej, o ile nie przeważającej części, napędza-

ny siłą zniewolonego chłopstwa i odsiadujących karę w „minach” przestępców pospolitych i politycznych.

Klasą rządzącą była grupa ludzi, umundurowana, teoretycznie będąca szlachtą, ale w praktyce w zupełności zależna od urzędniczej struktury. Umundurowani byli urzędnicy wszystkich szczebli, pracownicy municypalnej, nawet nauczyciele, a pozostałością tego obyczaju jest jeszcze dziś obowiązujące, choć na tle obyczajów światowych egzotyczne umundurowanie rosyjskiej prokuratury.

Jednym ze skutków takiej struktury społecznej, jest wszechwładza biurokracji, a co za tym idzie – powszechne łapówkarstwo, nieomal synonim rosyjskiej administracji wszystkich epok. System był niewydolny, bo niespójny. Istniała stara szlachta ze swymi tradycyjnymi przywilejami i łatwością dotarcia do najwyższych władz, istniała grupa przedsiębiorców, powiązana często z kapitałem zagranicznym i dlatego trudna do podporządkowania. Szczególnie płynne struktury gospodarcze charakteryzowały Syberię, gdzie stosunki przypominały bezkarną eksploatację i eksterminację Indian amerykańskich.

Może to więc ten aparat państwowy zapragnął w pewnej chwili stać się demiurgiem przemian?

Grupa czy zgoła klasa, jaka ukształtowała w Rosji swoje wyraziste miejsce w strukturze społecznej, w klasycznym kapitalizmie mieści się gdzieś pomiędzy owym kapitałem a proletariatem. To ludzie pracujący, uzależnieni od dochodów wydzielonych im przez ukształtowane przez system instytucje – nie tylko państwo z wojskiem, sądownictwem i policją, ale także szkolnictwo i naukę, konglomerat bankowy, czy lepiej, finansowy, itp. W Europie byli właściwie długo niezauważalni, niejako niewidzialni po trosze dlatego, że pod wpływem genialnej (jak na swoje czasy) analizy Marksa, która wywarła przemożny wpływ (tak!) na socjologię i politologię wszelkich odcieni, uważano, że dla takiego bytu nie ma w systemie społecznym miejsca. Inaczej rzecz była widziana w krajach znajdujących się poza mainstreamem.

I tak inteligencja jako taka zauważona została najpierw w Polsce, a potem także w Rosji. W Rosji nawet syn chłopca pańszczyźnianego mógł w sprzyjających warunkach osiągnąć szczybel, który dawał mu „dworiańskie” uprawnienia i u końca kariery czekało na niego zaliczenie do tej wyższej klasy. Ta niewidzialna w rozwiniętych krajach kapitalistycznych klasa także i tam zyskiwała na znaczeniu. Ludzi poszukujących swojej szansy w strukturach państwowych czy w okolicach polityki odnajdujemy na kartach balzakowskiej *Komedii ludzkiej* i u Zoli.

We Francji i chyba generalnie w świecie zachodnim specjalną rolę inteligencji zauważył dopiero (z pochodzenia Czech) Julien Benda w głośnej pracy *Zdrada klerków* choć jeszcze traktował ją jako zbiorowe „ciało usługowe” – zaplecze panującej koncepcji intelektualnej i aktualnej władzy. Warto przy okazji zauważyć wyjątkowy awans, jaki w obrębie tej grupy stał się udziałem środowisk artystycznych i naukowych, które przecież są kwintesencją inteligencji. Jeszcze w XIX wieku malarz-artysta traktowany był jak rzemieślnik, a aktorka jak osoba lekkiej konduity. Nasz kodeks Bożewicza jeszcze nie przyznawał aktorom praw honorowych. Dziś artyści i wynalazcy,

a także najemni kapitanowie (bo to przecież nie właściciele!) przemysłu i bankowości są prawdziwymi bohaterami społecznej wyobraźni i twórcami fortun – tymi drogami właśnie, a nie przez oszczędzanie i inwestowanie w przedsięwzięcia gospodarcze (jak za czasów Carnegiego czy Forda) wiedzie droga od pacybuta do milionera.

Dlatego m.in. określanie obecnie obowiązującego także u nas systemu jako kapitalizmu wydaje się już nieuprawnione. Autorami ostatniego wielkiego kryzysu finansowego, jaki zrodził się w USA i ogarnął pół świata (z przyległościami) nie byli kapitaliści, czyli właściciele banków, ale wynajęci urzędnicy, którzy w pocie czoła pracowali na swoje premie i bonusy! I szło im fantastycznie, a nawet równie fantastycznie idzie dalej! Czy trzeba lepszego dowodu na to, że to nie kapitaliści (gdzie ich szukać? Wśród drobnych akcjonariuszy czy uczestników inwestujących na giełdach funduszy emerytalnych?), ale urzędnicy bankowi wyższego szczebla są członkami klasy panującej? Czy nie wynika to z faktu, że nowoczesne państwo z systemem fiskalnym, skomplikowanym prawem i ekologicznymi ambicjami stało się najważniejszym podmiotem współczesnego sposobu gospodarowania? Czy jego aparat nie stał się niezauważalnie najpierw klasą *en soi* a potem *pour soi*, jak ten stan (za Marksem) określał Sartre.

O konwergencji

Już w pierwszej połowie ubiegłego wieku dały się zauważyć pewne objawy zbliżania się z pozoru antagonistycznych systemów. Niezwykły potencjał, jaki objawił ZSRR w czasie II wojny światowej dał do myślenia społeczeństwu i politykom zachodnich demokracji. Bezdyskusyjne zwycięstwo Stalina w wyścigu do Berlina z jednej strony przestraszyło mieszczańskich polityków, z drugiej ożywiło ducha środowisk pracowniczych. Raymond Aron pisał: *Można lubić lub nie lubić partii komunistycznej, ale kiedy dochodzi ona do władzy, to wykazuje zmysł oszczędności zbiorowej, chęć inwestycji i zdolność narzucania oszczędności i inwestycji w wybranych dziedzinach*. Modne stały się (znane już wcześniej) pomysły pracowniczego akcjonariatu, a odpowiedzią na socjalizm stało się państwo dobrobytu.

W wojnie propagandowej między wschodem a zachodem ZSRR używał argumentu, że koszty za ów dobrobyt ponoszą kraje kolonialne lub poddane neokolonialnemu wyzyskowi. Jednak najbardziej wyrazistym przykładem tworzącej dobrobyt obywateli organizacji państwowej stały się kraje skandynawskie, które z kolonializmem nie miały nigdy nic wspólnego, natomiast rzeczywiście zastosowały socjalistyczne zasady podziału przy kapitalistycznym sposobie produkcji.

Konsekwencją procesu historycznego, właśnie nieuchronnej konwergencji systemowej miałyby być wyłanianie się nowego społeczeństwa przemysłowego. Taka była przynajmniej idea przewodnia Raymonda Arona, Jamesa Burnhama czy Walta W. Rostowa i Johna K. Galbraitha.

Na uwagę zasługują też obserwatorzy, którzy spostrzegli przewagę kompleksu wojskowo-przemysłowe-

go w USA i przewagę białych kołnierzyków nad kołnierzykami niebieskimi w amerykańskim systemie demokratycznym.

Patrząc z zewnętrznej perspektywy, w czasie swej podróży do Azji Raymond Aron podkreślał, że „Europa nie jest tak naprawdę podzielona na bloki socjalistyczny i kapitalistyczny, stanowi natomiast jednolitą cywilizacją przemysłową”, z podobnych założeń wychodził też zapewne Charles de Gaulle, gdy wygłosił w Moskwie swe słynne zdanie *Niech żyje Europa od Atlantyku po Ural* wprowadzając w konfuzję gospodarzy, dla których „Europa” kończyła się raczej na Włodawostoku.

Podobnie całościowo patrzył na rzecz Herbert Marcuse, który zrezygnował z pozornie oczywistej tezy o radykalnej opozycji socjalizmu i kapitalizmu podkreślając realnie występujące tendencje do upodabniania się wrogich organizacji społeczno-gospodarczych.

Miałoby więc następować „socjalizowanie kapitalizmu” (wątek modernizacyjny, obecny np. u Waltera Rostowa), choć Marcuse podkreślał, że następuje także socjalizacja zachodniego kapitalizmu. Wspólnym mianownikiem obu systemów jest fakt silnie rozwiniętego przemysłu i postępującej modernizacji.

Na szczególną uwagę zasługują ogromnie płodne prace Marcuse’a powstałe w efekcie jego badań sowietologicznych na Harvardzie (np. *Reason and Revolution* – 1954), które dowodziły, że realizowany w ZSRR realny socjalizm nie ma wiele wspólnego z marksizmem, a i kapitalizm regulowany przez systemy demokratyczne nie przypomina tego, który analizował Marks przed ponad wiekiem.

Nie od rzeczy będzie zauważyć, że decydujące znaczenie ma tu demokratyczna kontrola nad państwem i pośrednio nad kapitałem, a tam gdzie ona zawodzi (jak np. w krajach Ameryki Łacińskiej, które długo były w praktyce koloniami USA), kapitalizm ma swoje autentycznie zbójce oblicze.

Tymczasem w ZSRR i tzw. demouladach mieliśmy do czynienia z wymuszonymi przez sytuację usiłowaniami industrializacyjnymi, w których używano narzędzi rodem z czasów dynastii Romanowych, bo tylko takie sprawdzały się w sytuacji wielonarodowego państwa o niesłychanie zróżnicowanym poziomie społecznego rozwoju. W Rosji (a także w ZSRR) mieliśmy do czynienia z grupami ludności znajdującymi się na poziomie epoki brązu, (jeśli nie neolitu) i z obywatelami epoki industrialnej, a wspólnym mianownikiem mogła być (i zapewne dalej pozostaje) jakaś forma dyktatury. Tylko w takim systemie, mogli nomadzi przeganiać swoje renifery po kosmicznym poligonie!

Już Lenin pisał (w tzw. *Liście do Zjazdu*), że zagrożeniem dla rewolucji jest „biurokracja, którą w całości przejęliśmy od caratu i z lekka pomazaliśmy radzieckim olejem świętym”.

Nowa klasa wyzyskiwaczy

Znakomitą analizę systemu realnego socjalizmu, który wyrósł na gruncie rosyjskim i został implemen-

towany na obszarze połowy Europy, dał jugosłowiański działacz komunistyczny, do czasu przyjaciel marszałka Józefa Broz-Tito i teoretyk wczesnego tytoizmu Milovan Đilas. Pisał: „W Związku Sowieckim i w innych państwach komunistycznych wszystko stało się inaczej, niż przewidywali tak wybitni przywódcy jak Lenin, Stalin, Trocki czy Bucharin. Wydawało im się, że państwo będzie szybko zanikać (zgodnie z klasyczną, marksowską teorią rozwoju społecznego – przyp. F.R.), a demokracja wzrastać. Stało się wręcz odwrotnie”.

Đilas opisywał otaczającą go rzeczywistość, uważał nową warstwę właścicieli, „posiadającą wszystkie cechy poprzednich klas rządzących”, ale nie umiał wyzwolić się spod uroku doktryny. Uważał, że jeżeli wszystkie poprzednie klasy panujące dochodziły do władzy „dopiero wówczas, gdy formy nowego ładu były już ukształtowane w ramach starego systemu”, to „geneza nowej klasy w systemie komunistycznym stanowi odwrótność tego procesu”.

Argumentem za tym miał być fakt, że w Rosji nowa klasa uformowała się dopiero po osiągnięciu władzy, tymczasem gdy przyjrzeć się Wielkiej Rewolucji Francuskiej okaże się, że i tam klasa kapitalistów rodziła się w bólach i nie była to bynajmniej czcza formalność. W trakcie rewolucji zapoczątkowanej w 1917 r. straciła życie cała wcale liczna grupa teoretyków i myślicieli poszukujących (jak Lenin, Bucharin, Trocki czy Plechanow), intelektualnych podstaw nowego systemu. Taką ofiarą 150 lat wcześniej był np. Condorcet. Jego jedyną winą był fakt, że nie zadbał o to, by w komisji, której zdaniem było przygotowanie jakobińskiej konstytucji, znalazł się także Robespierre.

Wówczas proces kształtowania się nowej klasy trwał grubo ponad pół wieku, a za jego moment finalny można uznać opublikowanie *Kapitału* Karola Marksa – dzieła identyfikującego poprawnie i analizującego nowe mechanizmy społeczno-ekonomiczne.

Zdaniem Đilasa korzenie nowej klasy sięgają partii bolszewickiej, która wedle Lenina miała stanowić „wyjątek w historii ludzkich społeczeństw” – związek zawodowych rewolucjonistów których zadaniem jest zmienić świat – tymczasem „partia przeobraziła się w tradycyjalistyczną oligarchię nowej klasy – przyciągając tych, którzy pragną zostać jej członkami, a gnębiąc tych, którzy wyznają jakieś ideały”.

Czy zatem mamy do czynienia z odwrótnością naturalnego procesu społecznego? Rzecz jest tajemnicza, jeżeli nie przyjmie się założenia, że ową nową klasą jest państwowa, „bolszewicka” biurokracja, która weszła na miejsce historycznie ukształtowane przez biurokrację carską. Stąd od początku pojawiły się u niej nieznośne cechy – nepotyzm, klasyczne carskie łapownictwo, służalczość wobec wyżej postawionych...

Ten nowy, biurokratyczny charakter władzy ujawnia mimochodem nazewnictwo rodem z Rosji, kopiowane potem w całym obozie socjalistycznym. Oto w jakimś momencie władza znalazła się w rękach człowieka, który osadził się w centrum biurokratycznego aparatu partyjnego. Nie był charyzmatycznym przywódcą jak Lenin, ani dynamicznym organizatorem jak Trocki, ani teoretykiem jak Zinowiew, Kamieniew czy Bucharin.

Był klasycznym aparatchykiem i nawet osiągnąwszy pełnię władzy zachował zdumiewająco skromny tytuł „sekretarza”, a jedynym ustępstwem na rzecz współpracowników, którzy chcieli mieć jasność *who is who* były stosowane różnie w różnych okresach przymiotniki „pierwszy”, lub „generalny”.

Đilas znalazł w pracach zachodnich teoretyków opisy kapitalistycznej biurokracji, powołuje się m.in. na pracę Roberta Dubina *Human Relations in Administration*, jednak podkreślał zawsze daleko idące odrębności. Jego zdaniem o wyjątkowej pozycji biurokracji w systemie komunistycznym decyduje kolektywny charakter własności. Tymczasem jest już dziś jasne, że kluczowe dla zachodniego świata organizacje gospodarcze – banki, instytucje ubezpieczeniowe, koncerny paliwowe etc. dawno utraciły swój prywatny charakter i stały się łatwym łupem dla swej administracji. Faktycznymi właścicielami tych instytucji nie są przecież akcjonariusze, tylko dyrektorzy generalni. Znamienna jest też ewolucja Komunistycznej Partii Chin, która z organizacji rewolucjonistów ewoluowała w strukturę kontrolującą nową klasę wyzyskiwaczy i osiągającą na tej drodze ogromne sukcesy – oczywiście także dla swego kraju. Może to właśnie jest odpowiedzią, skąd bierze się tak spektakularny rozwój Państwa Środka?

Rewolucja – parowóz dziejów...

Dla wojującego marksisty bardzo zabawnie brzmi druga część zdania przytoczonego wyżej. Sformułowanie „chwała jej maszynistom” oznacza przecież przyznanie jakiejś wyjątkowej roli jednostce (no, ostatecznie grupie jednostek), owemu „maszyniście”, który przecież w myśl mechanistycznych teorii rozwoju społecznego pełni tylko funkcję „wyraziciela” ekonomiczno-społecznych tendencji jakie narodziły się w „bazie”. Ta wyraźna sprzeczność prowadziła do „ureligijnienia” panującej ideologii, która stanowiła moralne uzasadnienie przejęcia i sprawowania władzy przez *establiśment*.

Feudał panuje nad poddanymi zbrojny w nieukrywaną przewagę fizyczną i ideologiczną (patrz zasada wyrażona w pokoju augsburskim w 1555 roku *cuius regio, eius religio*), kapitalizm ukrył mechanizm władzy w systemie obiegu pieniądza i bardzo niechętnie odwoływał się do siły zbrojnej, aby utrzymać w ryzach obywateli. Kolejny system w swojej rosyjskiej wersji doszedł do władzy wynosząc wolność (także wolność od ucisku ekonomicznego) na sztandary i przyznając formalnie i w sferze ideowej bardzo poszerzone uprawnienia rzeszom obywateli.

Dlatego takim szokiem były dla demoludów strajki i masowe protesty, bo w warstwie „religijnej”, oznaczało to wyrażenie woli przez suwerena, jakim pozostawała formalnie klasa robotnicza. Podobne znacznie miała podejmowana co jakiś czas, niejako profilaktycznie, walka z biurokracją. Dla każdego bowiem obserwatora procesów społecznych było oczywiste, że to biurokracja posiada realną władzę i ona jest odpowiedzialna za wszystkie niedoskonałości systemu. Co więcej, to przecucie wydaje się słuszne!

Immanentną cechą wszystkich rewolucji jest fakt, że do ich powodzenia absolutnie niezbędny jest udział szerokich mas obywateli oraz smutna prawda, że żaden, ale to literalnie żaden z rewolucyjnych przywódców nie zdołał trafnie określić ani przyszłego przebiegu rewolucji, ani jej skutków. Natomiast wszystkie zrywy kończyły się po kilkudziesięciu latach próbami restauracji poprzednich „słusznych” systemów.

W istocie, te nowe wersje starego sposobu funkcjonowania społeczeństw ogromnie różniły się od swego wzorca. W Europie obie restauracje (i Stuartów, i Burbonów) zakończyły się klęską, choć Ludwik Filip robił co mógł rzucając nawet tak ważne dla burżuazji hasła *enriches-vous* (bogaćcie się) tak bliskie propagowanemu u nas hasłom niezbędnej budowy klasy kapitalistów, dla których kradzież pierwszego miliona jest zabiegiem oczywistym i moralnie obojętnym. Tymczasem polski kapitał wygląda nader marnie i ciągle wypomina się mu niesłuszne peerelowskie pochodzenie, a totalną przewagę mają międzynarodowe korporacje o biurokratycznej strukturze.

Czy polscy kapitaliści to recydywa PRL-u? Narażę się zapewne wielu, ale jestem absolutnie przekonany, że tak jest właśnie, bo inaczej być nie mogło! W procesie prywatyzacji wzięli bowiem udział ludzie przygotowani do działania w gospodarce, zorientowani w jej strukturach, znający języki i z zagranicznymi kontaktami. W większości byli to więc ludzie „komunistycznej nomenklatury”, a jeśli ktoś mi mówi, że ten czy ów był „agentem” peerelowskich służb, to pytam uprzejmie, dlaczego nie miałby skorzystać ze swej wiedzy i umiejętności, gdy te umiejętności mógł zrealizować na wolnym rynku?

To oczywiście głęboko niemoralne i niesprawiedliwe, ale kto powiedział, że kapitalizm (albo nowy ustrój, bo przecie kapitalizm mamy już za sobą), ma być sprawiedliwy i moralny? W PRL biurokrata był minister, ale też kioskarz, który pod ladą chował papierosy, sprzedawca w mięsny, a nawet hydraulik – wszyscy czerpali zyski nie z faktu, że umieli coś zrobić, czegoś dostarczyć, coś zbudować, tylko z racji zajmowanego miejsca na drabinie dystrybucji dóbr. Każdy z nich miał jakieś dojścia.

Identyczną sytuację mamy dziś w tzw. służbie zdrowia. Zyski ciągnie nie ten, co potrafi uratować czy wyleczyć człowieka, ale ten, kto załatwi przyjęcie chorego poza kolejką! Innymi słowy, być może profesor medycyny, ale przede wszystkim – biurokrata.

Prawdziwym beneficjentem „Solidarnościowej” rewolucji stała się więc w Polsce (a i w innych krajach „obozu”) biurokracja (którą na nasze potrzeby możemy nazwać inteligencją - tak, tak! To my właśnie!). I oto szerokim rzeszom urzędników, oficerów, milicjantów, pracowników aparatu partyjnego nie chciało się już dłużej podlegać kaprysom politycznych kursów i to oni właśnie zdecydowali, że nie będą „bronić socjalizmu jak niepodległości”. Przewidywali, każdy jednostkowo, na swój rachunek, że przy zmianach uda się coś uszczknąć, że stare znajomości i układy zapewnią przetrwanie i że (to przewidywania wielu nomenklaturowych dyrektorów) ich wiedza i umiejętności lepiej się sprawdzą w systemie sprawniejszym ekonomicznie, niż w partyjnych układach.

Twórcy to „filozofowie Arystotelesa”?

A zatem – istotą rewolucji październikowej w Rosji (rzekomo socjalistycznej) było przejście władzy przez biurokrację, bo tylko w tym kraju spośród państw w jakimś stopniu zaawansowanych technologicznie i znajdujących się w *mainstreamie* dziejów, biurokracja pełniła już wówczas rolę wiodącą. I podkreślam – nie znaczy to, że konkretne osoby, jednostki, rodziny czy klany stały za procesem przemian, twierdzą jedynie, że zaistniało wówczas historycznie ukształtowane miejsce dla nowej klasy panującej, jedynej, która wówczas mogła stać się demiurgiem procesu nieuniknionej modernizacji tego kraju!

I znów: jestem głęboko przekonany, że identyczne, wielce niemoralne z naszego punktu widzenia, procesy działy się w USA przez całe wieki XVIII i XIX, kiedy wyrzynano Indian i zagarniano sąsiednie terytoria (Francji, Kanady i Meksyku). Przypominam tu choćby budowę kolei Atlantyk-Pacyfik, teoretycznie przedsięwzięcia kapitalistycznego, a w istocie zadania realizowanego przez centralną biurokrację, czego dowodzi udział sił zbrojnych USA w tym procesie. Ciekawe jednak, że i tam, równoległe do Europy, do władzy doszła ta sama klasa biurokratyczna, bo od niej zależały w USA kolejne decyzje prawne dotyczące zagarniania kolejnych obszarów czy likwidacji systemu politycznego, zapóźnionego cywilizacyjnie południa USA.

Natomiast w Europie przemiany ustrojowe były oczywistą konsekwencją nacisku ruchów socjalistycznych. Tak zwane masy, doprowadzone do desperacji w początkach procesów kapitalistycznych żądały poprawy swego bytu i wkrótce, po serii wstrząsów rewolucyjnych we Francji (rewolty 1830, 1848, 1851 – tak, doprowadzenie do władzy Ludwika Napoleona też było *sui generis* rewolucją), a szczególnie po Komunie Paryskiej (1870) ciągle niedocenianym zrywem demokratycznym mas, klasa wówczas panująca zdecydowała się podjąć dyskurs ze społeczeństwem. Efektem tego dyskursu, jest bezkrwawe (jeżeli za bezkrwawe uznamy dwie wojny światowe) przejście władzy przez urzędników, „nową klasę wyzyskiwaczy” (jak chce Dżilas).

I wreszcie, co najważniejsze – kochamy gości z Doliny Krzemowej, piosenkarzy, malarzy, ludzi kina i modelki, że wybieramy ich do naszych sejmów czy senatów. To dowód, że „arystokracją – nadklasą” urzędników (czyli inteligencji) jest inteligencja twórcza (intelektualiści), za którą omyłkowo brani są celebryci, nawet tak przypadkowe osobniki jak niejaka Ogórek. Tu na marginesie przypomnę, że wszystko co obecnie działa (od komórek po technologię kosmiczną) to pomysły literatów, autorów SF od XIX wieku po dziś...

Czy to oznacza, że zbliżamy się do arystotelesowskiego ideału „rządu filozofów” i że do filozofów zaliczamy (*horribile dictum!*) piłkarzy i narciarskich skoczków? Pewnie tak, skoro Małyszowi i Dodzie ciągle, za pośrednictwem kolorowych czasopism, zadajemy sokratejskie pytanie „jak żyć”?

FILIP RATKOWSKI

MAREK TABIN

NEOSARMATYZM, czyli MY NIE STĄD

Wzajemna nienawiść między Polakami rośnie i chyba nigdy wcześniej nie była tak wielka. Wewnętrzny konflikt zaczyna wyglądać podobnie jak w Rosji porwolutyjnej albo międzywojennej Hiszpanii. Na szczęście dzięki sytuacji międzynarodowej, a także – ciągle jeszcze!!! – dzięki niezależności sądów bilans ofiar nienawiści dotychczas jest nieporównanie łagodniejszy niż na przykład w okresie stalinowskim, ale – dlaczego właściwie tak się porobiło?

A przede wszystkim: to nie jest konflikt między społeczeństwem a władzą, lecz między dwiema grupami społeczeństwa. Polityka PiS jest akceptowana przez istotną część Polaków, których wcale nie boli fakt, że jest to likwidowanie demokracji. A przecież taki konflikt – jeśli nie ulega rozwiązaniu, a raczej wzmacnianiu przez rosnącą lawinę obelg i kłamstw – jest znacznie bardziej destrukcyjny niż konflikt między społeczeństwem a władzą, do czego Polacy są właściwie przyzwyczajeni. Dlaczego nawet najbardziej skrajne pomówienia i obelgi zyskują swoich zwolenników i kolporterów? We wzajemnych obelgach coraz częściej pojawiają się wątki typowe dla propagandy hitlerowskiej, jak na przykład naturalistyczne porównywanie przeciwników do robactwa (rozgniatanego, machającego rozpaczliwie czułkami, itd.).

NPL (złoty, jednostka polskiej waluty. Ale mógłby to być także *New Polish Language*, którego przykłady właśnie cytuję w tekście, wraz z koniecznymi objaśnieniami).

Myślę, że w latach 90. ubiegłego wieku nikt w Polsce nie spodziewał się, iż usłyszy z ust urzędującego, solidarnościowego ministra z życiorysem opozycyjnym,

że „Lech Wałęsa to jeden z najgroźniejszych i najbardziej szkodliwych agentów bezpieczeństwa... to nazwisko jest symbolem zdrady” lub że grupa feministek, w większości młodych dziewczyn zostanie określona jako „ubec-kie psy” i że następnie potwarze te przejdą bez echa i istotnego sprzeciwu, wraz z setkami innych.

Nie ma konfliktów, w których 100 procent winy jest tylko po jednej stronie. Tak jest i tym razem. Z czegoś musi wynikać to, że w 1989 roku wszyscy wyborcy byli przeciwko komunizmowi, a teraz 30-40 proc. jest za komunistyczną przemalowaną na katolicki autorytaryzm. Z czegoś również musi wynikać to, że ci ludzie widzą przecież nonsens rządów PiS i powszechny brak kompetencji (nie mówiąc o kulturze!) wśród rządzących, a jednak trwają przy swych sympatiach. W tym tekście stawiam tezę, że obie strony tego konfliktu przyczyniły się do jego wybuchu. Piszę tylko o winie strony „platformerskiej” (u mnie: inteligenckiej), bo wina tej drugiej strony jest jaśniejsza niż słońce i wiele już o niej napisano. Przyjmuję więc rolę *advocati diaboli*, nie tyle broniąc pogromców polskiej demokracji, co próbując wyjaśnić, skąd się wzięli.

Podkreślam jednak, że przez cały czas chodzić mi będzie o motywację i postawy tych, którzy likwidację demokracji, czyli PiS, popierają i na PiS głosują, a nie o tych, którzy tę likwidację realizują. Opis działalności tych ostatnich, czyli czołowych kadr PiS-u, wymaga podejścia wielodyscyplinarnego, w tym medycznego, wyjaśniającego wiele zjawisk, takich jak nieumiejętność i niechęć do uczenia się, oryginalny styl politycznej jazdy po bandzie, utożsamienie chamstwa z odzyskiwaniem godności, twórcze podejście do nowomowy, wyprzedzające podejście do walki politycznej (najpierw

przeciwnikowi zarzucamy jakąś podłość, zaraz potem robimy to sami), nowoczesne rozumienie polityki jako wyłącznie walki o władzę i o wizerunek oraz sporo

W juice barach w USA... (w barach owocowych)

innych. Styl PiS-owskiej walki politycznej to zupełnie inny temat niż to, dlaczego PiS jest przez wiele osób popierany.

W polskim konflikcie strona PiS-owska jest aktywnie nienawidząca i dąży do pełnej, niedemokratycznej władzy. Oczywiście ponosi ona pełną odpowiedzialność za obecne (połowa 2017 roku) napięcie w kraju i za bezprawne działania zmierzające do państwa jednopartyjnego. Ale większość strony przeciwnej, także ci uczestniczący w protestach, zachowuje się podobnie jak szlachta czekająca niegdyś na noże Jakuba Szeli: z niezrozumieniem i zdziwieniem. „Dlaczego już nie chcecie demokracji” – pytają – „dlaczego popieracie psychopatów i kłamców?” Przeciwnicy państwa PiS trwają na pozycjach określonych stosunkowo niedawno przez Komitet Obrony Demokracji – pozycjach wyłącznego protestu tyleż słusznego, co bezpłodnego. Chciałbym tym tekstem przyczynić się do zrozumienia, że samo obrzydzenie PiS-em nie wystarczy.

Od razu się zastrzegam, że nie uważam się za „symetrystę”. Zgodnie z tym poglądem PiS – skądinąd żonglując pojęciem dobrej zmiany – popełnia te same błędy i niegodziwości co wcześniej Platforma Obywatelska. Jedni są więc warci drugich i nie ma się co awanturować, bo tacy jesteśmy my, Polacy. Otóż, po pierwsze, nie jest to pogląd prawdziwy, gdyż PiS podniósł poziom zła i głupoty w życiu publicznym na znacznie wyższy poziom, choć niewątpliwie wcześniej-rze rządy były kuźnią braku kultury politycznej, intelektualnej, obywatelskiej i moralnej. Po drugie, w ogóle nie o to mi chodzi, żeby wymierzać winy i zasługi oraz analizować „kto zaczął?”, lecz o to, że w życiu Polaków jest stale obecna pewna szkodliwa tradycja pochodząca jeszcze z XVII-wiecznego sarmatyzmu.

Iwent (event)

Neosarmatyzm. Główne przyczyny narastającego konfliktu polskiego dotyczą całego neoliberalnego świata, nie tylko Polski. Myślę tu przede wszystkim o wzroście nierówności społecznych odbieranych przez ludzi jako nieuzasadnione, gdyż nie wynikające z zasług. Także o coraz większej sztywności struktury społecznej i typowo Paretońskiej degeneracji elit, przy czym inaczej niż wiek temu nie wyłania się dla nich żadna sensowna alternatywa. Neosarmatyzm, czyli pewien odnowiony aspekt sarmatyzmu, jest natomiast czysto polskim dodatkiem do globalnych procesów powodujących utratę autorytetu elit władzy i zwrócenie się wielu ludzi ku politykom umiejącym z talentem przekonywać, że znają i kochają lud, i na pewno go uszczęśliwią.

Sarmatyzm jako ideologia powszechna wśród szlachty ukształtował się w XVII wieku. Dotyczył zarówno kultury życia codziennego, jak i przekonań politycznych bardzo konserwatywnych, a nawet gospodarki. Tą jego częścią, która dotrwała do naszych czasów i którą nazywam neosarmatyzmem, było przekonanie „potomków Sarmatów”, czyli szlachty, że „my nie stąd”.

Gwoli ścisłości: do naszych czasów dotrwały również inne elementy sarmatyzmu, na przykład zwrócenie ku przeszłości i przekonanie, że rozliczać nas będą przodkowie, a nie wnuki – poglądy znaczące, obecne również dziś w życiu kraju. Ideologowie sarmatyzmu uznali, że cała szlachta I Rzeczypospolitej pochodzi od Sarmatów, ludu pochodzenia irańskiego, który w połowie I tysiąclecia przywędrował do Europy znad Donu. Co ciekawe, współczesne metody badania migracji przez analizę DNA wcale nie wykluczają, że tak rzeczywiście było. Zwykle jednak takie najazdy kończą się roztopieniem kulturowym najeźdźców w masie ludności tubylczej, choć bywały też przypadki przeciwne (Hiszpanie w Nowym Świecie). W przypadku Sarmatów nie jest nawet jasne, czy zastali nad Wisłą jakąś ludność tubylczą, czy z czasem sami się nią stali. W XVII wieku przekonanie o ich „oddzielności”, obcości wobec tubylców, czyli ludu, w tym przede wszystkim chłopów, i naturalnej wyższości nad nimi, uzasadnianej walecznością starożytnych Sarmatów, skutecznie zjednoczyło polską, litewską i ruską szlachtę Rzeczypospolitej. Niestety, przekonania te – nieco zawołowane i pozbawione już terminologii sarmackiej – przetrwały do dziś, a ich obecna rola jest dużo mniej korzystna: dzieli, nie jednoczy. W skrócie – jest to przekonanie, że, po pierwsze, my, szlachta (dziś: inteligencja) jesteśmy nie stąd, po drugie, my jesteśmy lepsi, ergo – wszystko co jest nie stąd, jest lepsze. Jest to, nawiasem mówiąc, rozumowanie umiarkowane zgodne z regułami logiki, ale przecież w sprawach ideologicznych o logikę chodzi najmniej. Poza tym: ponieważ my jesteśmy lepsi, więc inni są gorsi.

Hepi alers (happy hours)

Po upadku I Rzeczypospolitej idea „my nie stąd” była raczej słabo widoczna, choć Bolesław Prus w *Kronikach* ją zauważa. Szlachta przekształcała się w inteligencję nie rezygnując jednak z obowiązków rycerskich. Wiele zdarzeń z okresu rozbiorów i późniejszego (powstania, budowanie niepodległej II Rzeczypospolitej, walka podczas II wojny światowej, opozycja demokratyczna w PRL) zdaje się świadczyć na rzecz tezy wprost przeciwnej niż moja: że szlachta, a później inteligencja była zawsze nastawiona bardziej patriotycznie niż reszta ludności, a więc jak najbardziej uważała się za należącą do tej ziemi. Także wiele dzieł literackich, różne elementy tradycji i obyczajowości świadczą o przywiązaniu polskich elit do ojczyzny. Ale to wszystko dotyczy okresów niewoli lub – jak w PRL – wolności zdecydowanie niewystarczającej. Prawidłowością w dziejach Polski jest przyptyw miłości do ojczyzny, gdy brakuje niepodległości oraz zdecydowana niechęć do niej, a co najmniej dystans („w tym kraju”), gdy zdarzyło się jej być suwerenną i niepodległą. Skąd się ta postawa bierze – chyba nikt tego jeszcze nie wyjaśnił. Mamy do czynienia z dwoma niezależnymi nurtami w polskiej historii. Bywa, że przeważa ten patriotyczny, a nawet powstańczy, pięknie

Meatballs z indyka (klopsiki)

integrujący i będący później źródłem argumentów dla każdej ze zwaśnionych stron. Ale codzienność w cza-

sach pokoju i rzeczywistej niepodległości to właśnie te zwalone strony.

Inteligencja była od końca XIX wieku „grupą źródłową” dla elit społecznych i politycznych; wcześniej taką grupą była szlachta. Właśnie z tej warstwy rekrutowała się znakomita większość osób należących do elity – tylko czasami, gdy z wykształceniem nie było najlepiej, skutecznie zastępowała je znajomość inteligenckich obyczajów i zachowań. Elita to grupa węższa; są to ci, którzy mają lub zasadnie spodziewają się mieć wysoką pozycję społeczną, a także władzę. Inteligencja jest grupą źródłową dla elit dlatego, że dzięki swym kwalifikacjom jest w stanie we współczesnych państwach prowadzić działalność wielkich organizacji społecznych – partii politycznych, stowarzyszeń zawodowych, organizacji przemysłowych, itp., a także aparatu państwowego. Tak było – w ograniczonych rozmiarach – także w XIX wieku, gdy inteligencja polska nie uczestniczyła w działalności państwowej. Zresztą – z powodu posiadania odpowiednich kwalifikacji inteligencja jest również w stanie przeprowadzić protestom przeciwko aktualnemu systemowi politycznemu.

Nowa inteligencja. Ekskluzywizm to skłonność do wyłączania z grupy. Na przykład elity mogą stwarzać bariery przynależności ambitnym członkom klas niższych – prawne, obyczajowe, towarzyskie, kulturowe. Skutkiem zamykania się elit na dopływ świeżych sił z tego samego społeczeństwa jest ich degeneracja i w końcu zastąpienie przez ekipę przewrotu lub rewolucji. Przeciwnością jest inkluzywizm, czyli stopień gotowości danej grupy społecznej do włączania jednostek dotychczas do niej nie należących i nadawania im praw przynależnych członkom grupy. Szlachta I Rzeczypospolitej była bardzo inkluzywna, a nobilitacje były zjawiskiem częstym. Najpierw, jeszcze w XVI wieku nobilitowanymi byli głównie Żydzi, potem przyszła kolej na mieszczan, a nawet chłopów. Sarmatyzm stworzył silną tradycję inkluzywizmu. Takie były już jego wstępne założenia: uczynić jedną grupę, szlachtę Rzeczypospolitej, z trzech różnych narodowo grup szlacheckich.

Szczytowym momentem tego inkluzywizmu był okres po 1945 roku, kiedy to w wyniku wojny znaczna część polskiej inteligencji – w tym niemal wszyscy członkowie najwyższych elit – utracili życie lub znaleźli się na stałe poza Polską. Operację stworzenia nowej inteligencji powojenne władze przeprowadziły technicznie bardzo sprawnie. Ale to nie była taka sama inteligencja. Inkluzywizm po 1945 roku polegał na tym, że:

Brajan, Dżesika (Brian, Jessica)

– do II wojny światowej istniała określona kultura post-szlachecko-inteligencka, złożona, zawierająca stopniowo coraz więcej elementów pozytywistycznych, ale wciąż mocno akcentująca patriotyzm i obronę ojczyzny;
– istniał również obraz tej kultury w oczach ludu jako przede wszystkim wielkopańskiej, pełnej lekceważenia wobec warstw niższych;

– gdy warstwa nosicieli tej kultury niemal znikła, zastąpił ją nowy, robotniczo-chłopski zaciąg złożony z ludzi, którzy zawsze chcieli „się wyrwać” ze wsi, z oficy, z biedy, z niskiej pozycji społecznej. Niektórzy wyrwali się już wcześniej, także na emigrację, pozostawiając w biedzie rodziców i mniej zaradne rodzeństwo. Ale po

1945 roku „wyrwanie się” wynikało ze świadomej polityki władz i miało charakter masowy;

– nowa inteligencja przejęła natychmiast kulturę warstwy, którą zastąpiła – jedynie jednak w tych aspektach, które znała i rozumiała, bo przejście całości z powodu braku tradycji rodzinnej było niewykonalne. Swoje obowiązki zawodowe nowa inteligencja traktowała poważnie, ale głównym z mojego punktu widzenia elementem przejętym było lekceważenie wobec tych, którzy pozostali ludem. Ta nowa wielkopańskość była społecznie pusta, nie oparta o siłę gospodarczą, polityczną czy kulturową. Ale psychologicznie miała olbrzymie znaczenie. Dla obu stron.

Kolczing (doradztwo)

Nowy inteligent patrzył na sytuację jednostkowo, nie klasowo (tu błąd marksistów). Uznał, że „się wyrwał” (a nie „wyrwaliśmy się”) i odczuwał oczywistość postępowania zgodnego ze swoją wizją klasy, do której się dostał. Nie wiedział na przykład tego, że im wyższe są umiejętności i pozycja jednostki – dawniej często te dwie rzeczy występowały w parze – tym mniej powinna ona wykazywać wielkopańskich dąsów, a więcej – poczucia służby. Nie wiedział bardzo wielu rzeczy; nie miał żadnych sensownych wzorów poza znanym z własnych doświadczeń oraz z literatury lekceważeniem i puseniem się wobec tych „gorszych”. Wiedział natomiast, że z wysokości swego inteligenckiego stanowiska będzie mógł robić to wszystko, czego ofiarą byli jego przodkowie, a może i on sam.

Inkluzywizm okresu powojennego nie polegał więc na tym, że pewna grupa społeczna włączyła do swego składu ludzi nowych, którzy przyjęli jej kulturę, ale na tym, że pewna kultura przetrwała niemal całkowitą fizyczną likwidację swych przedstawicieli, po czym pewien jej istotny aspekt został przejęty przez nowy zaciąg, a nazwa grupy i niektóre (wcale nie wszystkie!) jej funkcje przetrwały.

Cały współczesny świat rozwinięty jest strukturalnie coraz bardziej podobny do świata feudalnego (Herbert Marcuse nazywał to globalną wioską), o którym Józef Matuszewski (Tazbir, 1978, 29) napisał: „rzecz typowa dla mentalności feudalnej, gdzie nie szacunek dla innych, lecz pogarda dla niższych była cechą dominującą”. Tej pogardy i lekceważenia mamy we współczesnej Polsce bardzo wiele. Próba rozdzielania na poziomie jednostki, kiedy skłonności do okazywania pogardy wynikają z pozostałości sarmatyzmu, a kiedy z procesów ogólniejszych byłaby chyba skazana na porażkę. Dlatego poniżej zajmę się jedynie tymi zjawiskami z poziomu całego społeczeństwa, które – po roku 1989 – wyraźnie wpisują się w motywację „my nie stąd”, „prawdziwe życie i prawdziwy świat są gdzie indziej”.

Rezygnacja z rozważań na poziomie jednostki jest tym bardziej konieczna, że obie skonfliktowane grupy składają się z osób *identyfikujących się* z pewną tradycją, choć niekoniecznie *pochodzących* z tej tradycji. Jak wiadomo, wiele osób opowiadających się po stronie ludu pochodziło z warstwy inteligenckiej. W dodatku ta identyfikacja w skali życia jednostki jest zmienna, co szczególnie dotyczy elit władzy zgodnie ze znanym stwierdzeniem Lecha Wałęsy, że „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”. Personalnie mamy raczej

do czynienia z wysokim stopniem płynności i wymiany międzygrupowej. Za to trwa jak skała – *struktura*: potomkowie Sarmatów – potomkowie tubylców, lepsi – gorsi, elity – robole, lekceważący – lekceważeni, rządzący – rządzeni, mądrzejsi – głupszy, światowcy – tu-tejsi, panowie – ciemny lud, kultura – wiocha, my nie stąd – my stąd.

Jest to struktura odporna na wszelkie zmiany klasowe, cywilizacyjne czy polityczne. Jej trwałość dopuszcza jedynie zmiany nazw poszczególnych grup i zmiany deklarowanych (nie zawsze odczuwanych, a jeszcze rzadziej – sugerowanych przez teorie społeczne) przyczyn wzajemnej niechęci. Bardziej precyzyjne rysowanie struktury społecznej i takie określenia jak burżuj, biurokrata czy demokratę pojawiają się wśród ludu na skutek indoktrynacji prowadzonej przez zwolenników ideologii, że całemu złu winni są właśnie ci, a nie tamci. Zresztą te wmuszane przekonania na ogół szybko zanikają.

Większość opisów struktury społecznej tworzonych przez socjologów ma wiele walorów wyjaśniających zjawiska na poziomie teorii, ale – moim zdaniem – nie odpowiadają one treści świadomości osób z ludu. Dla nich powyżej zarysowany podział dwudzielny jest zasadniczy – może z tym wyjątkiem, że większość z nich nie słyszała o Sarmatach. Ową „lepszą” grupę będę w dalszym ciągu tego tekstu określał jako inteligencję, choć zdaję sobie sprawę, że odbiega to znacznie od dotychczas stosowanych definicji tej grupy. Zwykle jednak pierw jest się inteligentem, który dopiero potem staje się konserwatystą, socjalistą, nauczycielem lub kimkolwiek innym, kto do swej działalności w każdym razie potrzebuje inteligenckiego wykształcenia. Dla ludu „onymi” są – bez zbędnej dokładności – „ci w górze”, co praktycznie sprowadza się właśnie do inteligencji w moim, szerokim rozumieniu. O ile można mieć do powyższych uwag pewne zastrzeżenia, gdy chodzi o czasy dawniejsze, o tyle po II wojnie światowej, gdy socjalizm był doktrynalnie dążeniem do bezklasowości, „oni” to zawsze była inteligencja. Nie wyklucza to faktu, że dla znacznej części inteligencji „onymi” byli również inteligenci, chociaż inni. Ale różnicowaniami wewnątrz grupy inteligenckiej nie zajmuję się tutaj.

Parawanie (chodzi o parawany na plażach. Rzadki – na razie – przykład połączenia angielskiej fleksji z polskim rdzeniem. Czekamy na rzeczowniki: jedzenie, picie, pomniking. Ciekawie będzie przy czasownikach zwrotnych: mycing się (?).

Owa struktura jest, jak sądzę, znacznie ważniejsza dla wyjaśniania polskiej historii, przynajmniej najnowszej, niż podziały uważane zwykle za zasadnicze: klasowe i warstwowe. Te ostatnie są określane mniej lub więcej obiektywnie i dotyczą podstaw władzy. Natomiast mój podział odnosi się do tego, co jest duchową codziennością Polaków: lekceważenia, nawet agresywności na co dzień, demonstrowania władzy, nawet gdy się jej nie posiada, demonstrowania pod byle pozorem i wobec każdego spotkanego. Innymi słowy chodzi tu nie o demonstrowanie wyższości uzasadnionej (zakładając, że w ogóle takie zachowanie godzi się uzasadniać!) wyższymi kwalifikacjami lub bogactwem, lecz o zjawiska czysto subiektywne. Dawniej świadomość

bycia „lepszym”, na przykład Sarmatą, dawała uprawnień do lekceważenia „gorszych”, na przykład chłopu lub mieszczanina. W miarę rozwoju kultury lekceważenia nastąpiło odwrócenie zależności przyczynowej i obecnie fakt zlekceważenia kogoś daje lekceważącemu poczucie, że jest „lepszym”. Powszechna stała się w Polsce „kultura wyższości” polegająca – z niewielką, być może przesadą – na tym, że ciągle zaznaczanie swej wyższości jest silną i powszechną potrzebą psychologiczną, a z drugiej strony – źródłem wielu frustracji i konfliktów.

Ex occidente lux. Polska roku 1939 znajdowała się na znanej ścieżce zachodniemu kapitalistycznej linii rozwojowej. Opóźnienie w stosunku do takich krajów jak Anglia czy Niemcy było znaczne, ale kierunek zmian był ten sam. Potem nastąpiły dwa wydarzenia, które do schematu rozwojowego wprowadziły poważne zaburzenie. Jedno – to olbrzymie straty inteligencji w wyniku II wojny światowej. Była to grupa, której kwalifikacje były do rozwoju konieczne – i nagle jej zabrakło. Wydarzenie drugie, to zmiana ustrojowa roku 1945 negująca wolnorynkowy schemat rozwojowy na rzecz centralistycznego.

W rezultacie rok 1989 zastał Polskę w sytuacji, gdy różne elementy systemu społecznego nie pasowały do siebie: przemysł był o wiele bardziej rozwinięty niż efektywny, rolnictwo zacofane ale niezbyt ekologiczne, oświata (dzięki zacofaniu!!!) znacznie lepsza niż w krajach rozwiniętych, system selekcji społecznej – deklaratorywno-znajomościowy, nie merytoryczny (co miało swoje duże zalety!), nowa inteligencja sfrustrowana biurokratycznymi nonsensami i brakiem możliwości rozwoju, znacznie silniejsze w społeczeństwie poczucie swych praw niż obowiązków i tak dalej, i tak dalej. Nad tym wszystkim wisiała czapa z ideologii tym bardziej denerwującej, że nikt jej nie traktował poważnie, co w przyszłości podważyło możliwości wszelkiej propagandy ideologicznej. Taka niezgodność nie jest w historii czymś dziwnym czy szczególnym. Właściwą reakcją winien być namysł nad sytuacją i podjęcie środków reformatorskich zgodnie z potrzebami kraju. I tego właśnie zabrakło. To dla nowej inteligencji okazało się

Komputerowy geek (maniak)

za trudne, choć pokolenie wcześniej dawna inteligencja bez większego trudu poradziła sobie z zadaniem trochę podobnym: ze zintegrowaniem trzech oddzielnych państw różnych państw.

Imitacja, to jest to! Wszystkie partie polityczne działające po 1989 roku operowały w swych hasłach programowych ideologiami (neoliberalizm, chrześcijańska demokracja, monarchizm, nacjonalizm, socjalizm) powstałymi w innych warunkach, dla innych potrzeb i dla innych ludzi. Wszystkie nosiły piętno niedostosowania do sytuacji, w której znalazła się Europa pokomunistyczna. Skorzystaliśmy z okazji, żeby siedzieć cicho i nie stworzyliśmy żadnej idei politycznej dostosowanej do naszych tak przecież szczególnych warunków i potrzeb (my, Europa pokomunistyczna, w tym my, Polacy). Pojęcie potrzeb kraju w ogóle znikło, nie było używane. Zostało zastąpione przez mimikrę, chęć wtopienia się w jakąś ideologię już istniejącą, ważną i dobrą, bo nie od nas pochodzącą. Nie była to reak-

cja zaskakująca – Andrzej Walicki w książce *Zniewolony umysł po latach* zwrócił uwagę, że już po 1956 roku zamiast odrodzenia polskiego życia społecznego i kulturalnego nastąpiła fala prozachodniego snobizmu. Ideologicznie mimikra oparta była na socjalistycznym przekonaniu, że istnieje ten jeden jedyny, właściwy, uniwersalnie słuszny ustrój społeczno-polityczny, choć, oczywiście, nie jest nim socjalizm, lecz coś innego.

Z wielu możliwych kierunków mimikry największe uznanie zyskał neoliberalizm posuwający się niekiedy aż do zanegowania własnego państwa w imię globalizacji. W ramach tego kierunku zdarzały się spory, którym drugim państwem ma być Polska: drugą Japonią, drugą Koreą, drugą Portugalią, czy...i tak dalej (naliczyłem kiedyś tych drugich Polsk 14).

Walczyliśmy z fakenewsami (z kłamstwami prasowymi)

Zresztą, ten „drugizm” opierał się zawsze na bardzo powierzchownych podobieństwach i nierealnych, nie przemyślanych postulatach; był wyrazem marzeń, by wyjechać nie wyjeżdżając, a realnie – stawał się elementem propagandy, a nie jakichkolwiek usiłowań. Implementacja neoliberalizmu była pokazem założonej bezradności. Propozycje nielicznych polskich ekonomistów – na przykład Tadeusza Kowalika – oparte na założeniu podmiotowości Polski i rozwoju nakierowanego na potrzeby – zostały odrzucone. Zamiast tego transformację realizowali zagraniczni eksperci nie mający pojęcia o lokalnych uwarunkowaniach – te ostatnie zostały uznane za nieistotne, bo przecież najwspanialszy w świecie ustrój jest taki sam wszędzie i czołowi uczeni amerykańscy dadzą sobie radę równie dobrze w USA, jak w Polsce czy w Kenii. Formuła „tak jest na Zachodzie” była rozstrzygającym argumentem we wszystkich debatach.

Bezradność i chęć kopiowania (właściwie należałoby napisać: małpowania, bo to kopiowanie było zupełnie inne niż niegdyś w Japonii: bezmyślne i powierzchowne) wyzierały z całej polityki wewnętrznej. Niestety, trzeba sobie powiedzieć, że tę politykę mimikry realizowały elity nowej inteligencji. Idea przynależności Polski do świata zachodniego, powszechnie w Polsce akceptowana, w wydaniu z 1989 roku zamieniła się w postulat, by Polska myślowo nie należała do siebie, by jej po prostu nie było. Skąd u potomków dumnej szlachty to dążenie do zjednoczenia bez reszty i bez sensu z cywilizacją stworzoną nie u nas, nie przez nas, nie dla nas? Czy wystarczającym wyjaśnieniem jest fakt, że potomków dumnej szlachty wśród nowej inteligencji już od dawna nie było?

jeden z pierwszych start-upów... (nowych firm... Zauważmy, że „start-up” czyli słowo z New Polish Language jest tu rodzaju męskiego, podczas gdy „firma” - żeńskiego).

Ideologia – to jest to! Zasadniczym – moim zdaniem – błędem było nie to, że wybrano niewłaściwą ideologię – neoliberalizm – ale to, że ideologię, a nie potrzeby społeczeństwa uczyniono zasadniczym kryterium, co zresztą było powtórką po PRL. Ideologia stała się protezą sensu na co dzień i w każdej, nawet drobnej sprawie, dokładnie jak w PRL, a nie podpowiedzią ogólnych kierunków dążeń w sprawach zasadniczych.

Takie traktowanie ideologii sugeruje, że osoby decydujące o tym nie mają żadnego rozeznania w sprawach, za które są odpowiedzialne i jedyne kryterium działania, jakie przychodzi im do głowy, to ideologia. Na tej zasadzie w PRL likwidowano baby z pietruszką, a w III RP – finansowanie kultury. Wydaje mi się jednak, że nie brak kompetencji był główną przyczyną tak silnego wszechpanowania ideologii, ale szczere przekonanie, że tylko tak można dojść do trwałego i stabilnego państwa powszechnej szczęśliwości w sensie platońskim albo komunistycznym.

I znów: decyzje te podejmowali rządzący, czyli – w oczach ludu – nie wróg klasowy, nie kapitaliści, nie demokraci, nie autokraci, nie wroga partia, nie cokolwiek lub ktokolwiek inny; czasem są to „oni”, zawsze – inteligenci. Takie określenia, jak burżuj, biurokrata, czy liberał pojawiają się wśród ludu na skutek indoktrynacji prowadzonej przez zwolenników ideologii, że całemu złu winni są właśnie ci, a nie tamci. Zresztą te wmuszane przekonania na ogół szybko zanikają. W odczuciu społecznym nie Unia Wolności czy Platforma Obywatelska, ale inteligentne elity były przewodnikami na drodze ku Europie. Dla wszystkich było to oczywiste, bo właśnie inteligencja ma te umiejętności, które obecnie nazywane są kompetencjami kulturowymi. Kierunek marszu był powszechnie akceptowany, gdy chodzi o sprawy międzynarodowe: przynależność do NATO, Unii Europejskiej, niezależnienie od Rosji. Gdy jednak chodziło o ustrój wewnętrzny, ta akceptacja była dużo mniejsza, o czym wyraźnie świadczą ówczesne badania ankietowe. Stan „Zachodu” (często znacznie bardziej wyobrażony niż rzeczywisty), czyli ideologiczna mimikra, był świętym punktem docelowym, a jakakolwiek różnica była traktowana jako patologia, nonsensowne szukanie jakiejś innej drogi, gdy sprawy są oczywiste.

Swoją drogą – to jest ciekawy temat dla dobrego socjologa zachodniego: zbadać, czym różni się funkcjonowanie tego samego praktycznie zespołu zaleceń ideologicznych i prawnych (na przykład regulujących działanie wolnych mediów) tam – czyli na przykład w Anglii – i tu – czyli w Polsce. I czym różnią się rezultaty tego funkcjonowania. Bardzo byłbym ciekaw wyników takich badań.

Ta ideologiczna fiksacja była czasem zaskakująca: gdy w imię jedynie słusznej ideologii (czyli neoliberalizmu) rezygnowano z działań nakazywanych przez tę ideologię. Konkretnie: w początkach lat 90. środowiska ówczesnej Unii Demokratycznej i Kongresu Liberalno-Demokratycznego niemal oficjalnie ogłosiły, że w imię wspomagania akumulacji pierwotnej przymkną oko na przestępcze gromadzenie fortun. W ten sposób politycy uważający się za liberałów, w imię wyznawanej ideologii zrezygnowali z tego, co według doktryny liberalnej jest jednym z podstawowych celów państwa: ochrony własności przedsiębiorców.

Cover, coverować, coverowanie, coverzysta (czyt. cower. Chodzi o okładkę czasopisma)

Bezradność ideową inteligencji widać też na przykładzie wielu tekstów i opracowań pochodzących wprost z pedagogiczno-psychologicznych koncepcji świata idealnego, zwykle powstałych w krajach za-

chodnich. Mówi się w nich, że Polsce potrzeba „integralnych, pełnych, twórczych osobowości”, „twórczego podejścia do spraw kraju”, „wytworzenia atrakcyjnego modelu wspólnotowości”, „silnego przywództwa opartego na wartościach”, itd., itd. To pustostowie nie zauważa niczego wokół: ani współczesnej polskiej kultury kierowania ludźmi, ani cech systemu oświatowego, ani cech systemu wychowania, ani powszechności nastawienia elit politycznych na konflikt, nie na porozumienie. Nie zauważa nawet tego, że stawiając społeczeństwu tak piękne i dalekosiężne cele warto byłoby choć chwilę zatrzymać się na środkach do nich prowadzących. Niestety, zarysowanie odległego celu, na ogół w postaci: „ma być dobrze” uważane jest za wystarczający dowód głębi umysłowej.

W procesie tak zwanej transformacji przyjęliśmy z własnej woli pozycję uczniaka, który jest wyłącznie konsumentem wiedzy i umiejętności powstałych gdzie indziej, podlizując się przy tym ciału pedagogicznemu już naprawdę nieestetycznie. Przyjęliśmy, że wszystko co dobre i ważne, przychodzi do nas z zewnątrz, oczywiście *ex occidente*. Nie tylko dobro liberalizmu, wzory rozwoju przemysłowego czy wzory regulacji prawnych. Oczekiwaliśmy decyzji, a przynajmniej ostatecznego zatwierdzenia naszych decyzji także w takich bieżących sprawach, jak działalność ks. Rydyzka (i prosiliśmy Watykan o potępienie go), czy sporne wyniki ekspertyz (na przykład dotyczących katastrofy smoleńskiej).

Najpiękniejsze fajerwerki ever (kiedykolwiek)

Demokracja jedynie formalna. Rok 1989 uznano za zamianę „prawdziwej demokracji” na zwykłą. Powszechnie uważało się, że ta zwykła demokracja to coś znacznie lepszego i uczciwszego. (Jacek Fedorowicz pisał nawet, że w PRL słowo „prawdziwy” nabrało znaczenia logicznej negacji: prawdziwa demokracja, to znaczy brak demokracji. Na marginesie: to znaczenie słowa „prawdziwy” jest kontynuowane!). Niestety, nie zauważyłem, by po 1989 roku decyzje ważne i wywołujące duży oddźwięk w społeczeństwie były podejmowane bardziej demokratycznie niż wcześniej. Owszem, były to decyzje polityków wybranych w rzeczywistości wolnych wyborach, ale takich, w których zwykle koło połowy Polaków nie widziało nikogo wartego poparcia, a reszta wybierała mniejsze zło, a nie większe dobro. Decyzje takie, na przykład jak prywatyzacja przemysłu, reprivatyzacja wielkiej własności, lustracja, dezubekizacja, pogrom w sferze nazw topograficznych czy choćby tylko nauczanie religii w szkołach – podejmowane były i są bez względu na opinię społeczną, bez względu na szybko ujawniające się złe skutki i na ogół z wyraźnym uprzywilejowaniem niebieskich ptaków. Tendencja ta bardzo nasiliła się za rządów Prawa i Sprawiedliwości, ale powstała grubo wcześniej. Dla ludzi, którzy życie polityczne jedynie obserwują, był to na pewno punkt ujemny dla rządzących, czyli dla inteligencji.

Porzucanie języka. Język stał się jednym z głównych sposobów zaznaczania swej życiowej orientacji na wyobrażoną zagranicę. Zaraz po 1989 roku zdarzały się w języku nowopolskim również konstrukcje francuskie i niemieckie. Obecnie – niemal wyłącznie spoty-

kamy angielski. Jest to nie tylko przechwytywanie słów, także łączenie angielskiej fleksji z polskim słowem. O ile inwazja języka obcego jest zrozumiała, gdy chodzi o nie-polskie wynalazki, o tyle zastępowanie językiem obcym słów istniejących w języku polskim nawet i tysiąc lat nie może być rozumiane inaczej jak wycofywanie się z własnej kultury. Interesujące jest, że straty ponosi tu także język rosyjski, który w Polsce pisany jest wyłącznie według wyobrażonej ortografii amerykańskiej (*Katyusha*). Obecnie moda ta nie ogranicza się już do neosarmatów, jest chętnie przejmowana przez wszystkich. Czasem mam wrażenie, że Polska stała się terenem powszechnej ucieczki – od wszystkiego prócz pieniędzy.

wycontentował (usunął z tekstu)

Niebawem zupełnie zachwaszczenie współczesnego języka doczekało się ze strony językoznawców kilku interesujących i kompetentnych studiów. Myślę jednak, że mają one tę samą wadę, co niegdyśjsze studia nad socjalistyczną nowomową: mało wnioskują w przyczyny powstawania takiego zjawiska i w ogóle nie interesują się jego skutkami.

Niektóre najbardziej osłupiające przykłady współczesnej polszczyzny – wszystkie wybrane z prasy i telewizji, na ogół w ostatnich miesiącach i będące tam fragmentami polskiego tekstu – przytaczam w różnych miejscach tego artykułu.

Język jest głównym, bo najpowszechniejszym, ale nie jedynym elementem kultury porzucanym na rzecz pokracznych wyobrażeń kultury zachodniej (jeżeli w ogóle coś takiego jak „kultura zachodnia” istnieje). Dobrowolne porzucanie własnej kultury to zjawisko niezbadane przez socjologów. Szkoda, bo chyba w dziejach drugiego takiego przykładu nie będzie, a na pewno nie było.

Początek konfliktu. Dowodów na to, że PRL jedynie doktrynalnie była państwem robotników i chłopów było wiele. Było to zresztą skomplikowane: zaraz po 1945 roku wydawało się, że komuniści rzeczywiście mają na względzie przede wszystkim interesy ludu (reforma rolna, nacjonalizacja wielkiej własności). Szybko jednak okazało się, że władza jest ważniejsza, a żelazne prawo oligarchii Michelsa działa. Natomiast w roku 1980 okazało się, że doktryna socjalistyczna weszła jednak w sferę świadomości o tyle, o ile PRL był okresem z grubsza odpowiadającym zachodnio-europejskiemu *nation building*. Błyskawicznie rosnąca „Solidarność” składała się ze wszystkich grup społecznych w proporcjach odpowiadających ich udziałowi w społeczeństwie. Ci, których inteligencja uznawała za „gorszych”, potwierdzali w ten sposób swoje uczestnictwo w narodzie.

Szybko też okazało się, że dawne krzywdy nie zostały zapomniane. Już uczestnicy wydarzeń marcowych 1968 wspominali, że szokiem był dla nich stwierdzenie obojętności ze strony robotników (Siermiński, 2016, 15). W roku 1981, podczas I Zjazdu „Solidarności” inteligencja przekonała się dużo mocniej, że znaczna część „warstw niższych” nie uznaje jej przewodnictwa, po prostu jej nie chce i jej nie ufa. Ugrupowania wrogie wobec opozycji pochodzenia inteligenckiego (głównie wobec Komitetu Obrony Robotników) istniały zresztą

już wcześniej, a w stanie wojennym i później pojawiło się ich więcej, także wśród działaczy emigracyjnych. Charakterystyczną ich cechą była agresywność, czasem wręcz furia strony „prawicowej”, pojawiające się nie wiadomo skąd i dlaczego – w każdym razie nie w odpowiedzi na działalność czy na argumenty. Oficjalnie powodem wrogości miało być to, że strona prawicowa (ROPCiO) określała się jako dążąca do niepodległości Polski, zaś inteligencja (KOR) – zdaniem przeciwników – starała się jedynie o małe, nieistotne reformy. Bardzo nieprzekonujące to było, a i nieprawdziwe, bo KOR uważał obywatelskie formy działalności za drogę ku niepodległości. W każdym razie nie była to różnica, która uzasadniałaby stopień okazywanej wrogości. Ponieważ socjalistyczne państwo uważało się za lewicowe, a działacze zbliżeni do KOR-u słusznie nie traktowali wszystkich działaczy państwowych jako śmiertelnych wrogów, więc zostali przez prawicę nazwani lewicą, zresztą, nie skarżyli się z tego powodu. Pewne, ale nie zasadnicze znaczenie miał tu fakt, że niektórzy z nich rzeczywiście zaczynali swe dorosłe życie od przerwanej lewicowości, czasem nawet w ramach PZPR. Automatycznie ugrupowania zbliżone do ROPCiO stały się prawicą. I tak zostało do dziś. Moim zdaniem określenia funkcjonujące obecnie (PiS = prawica, reszta = lewica) są w znacznej mierze przypadkowe, tłumaczą się szeregiem dość incydentalnych okoliczności z przeszłości, a nie rzeczywistą treścią ideologiczną. Świetnym tego przykładem była nieistniejąca już Konfederacja Polski Niepodległej, która uważała się za wzór prawicowości, ale jej program gospodarczy był kopią PRL-owskiego centralizmu.

Konflikt ten w postaci raz mniej, raz bardziej widocznej trwał przez całą III RP. W pewnym momencie Jarosław Kaczyński uświadomił sobie jego wagę i postanowił, oczywiście jedynie w sferze propagandowej, stanąć na czele strony antyinteligenckiej. I w końcu wygrał, a stało się to niezbyt prędko, bo wyborcy widzieli, że ideowo ma on może rację, ale rządzić PiS na pewno nie potrafi. I też mieli rację.

Wspólne hot miłosne (autor tego wyrażenia chciał pokazać, że zna przymiotnik „hot”. Ale nie zna. Przetłumaczenie wyrażenia na angielski: *common hot of love* daje wyrażenie bez sensu).

Do tej pory nikt jasno nie powiedział, co właściwie jest przyczyną aż takiej ostrości tego konfliktu. Moim zdaniem chodzi o to, że inteligencja kontynuowała tradycję neosarmatyzmu i zlekceważyła resztę społeczeństwa. Przyjęła ją do narodu tylko o tyle, o ile narodu trzeba czasem bronić – na przykład w czasie wojny – ale już nie jako tych, których trzeba szanować jako współplemieńców. W rozwiniętych krajach zachodnich tego problemu nie było. Inteligencja powstawała z mieszczaństwa, które miało własną ideologię i własne cele. Inteligencja nie przyjmowała do narodu, naród tworzył się sam z istotną pomocą przemysłowców, którzy nie mieli nic przeciwko unarodowieniu chłopów, a rolą warstwy wykształconej było ideowe i oświatowe wspieranie tego procesu.

Patrząc na dzisiejszą propagandę PiS-u nie możemy zrozumieć, jak w ogóle można wymyślić coś takiego, że dopiero od wyborów 2016 zaczęła się wolna Pol-

ska, a Jacek Kuroń i Lech Wałęsa to byli ubecy, którzy przy Okrągłym Stole uzgodnili z władzami PRL kontynuację komunizmu w nieco innej formie. A jednak są ludzie, nie zakłamanymi wewnątrz, którym taki pogląd jest bliski. Niedawno przekonałem się o tym podczas rozmowy z człowiekiem, który całe swoje dorosłe życie poświęcił na działalność w ramach opozycji demokratycznej; otrzymał nawet za tę działalność wysokie odznaczenie państwowe i to nie od władz PiS-owskich, obecnie zaś jest zaprzysięgłym zwolennikiem „dobrej zmiany”. Dla niego rozróżnienie funkcjonujące oficjalnie: komuniści – prawdziwi Polacy nie ma znaczenia; jest to element propagandy PiS-owskiej. Ważne jest to, że w 1989 roku władzę objęła inteligencja, czyli zastąpiono jednych inteligentów drugimi – z jego punktu widzenia nie była to żadna zmiana. Wszystkie zmiany po 1989 były jego zdaniem nie najistotniejsze lub szkodliwe. Te pierwsze to zaopatrzenie sklepów i łatwość wyjazdu z kraju. Te drugie to przede wszystkim wyzbycie się przez państwo prerogatyw gospodarczych, oddanie w ręce prywatne tego, co większość społeczeństwa uważała za własność wspólną, oraz kontynuacja lekceważącego stosunku „lepszyc” wobec „gorszych”. (Nie brał on pod uwagę tego, że obecnie mamy już raczej w Polsce do czynienia z kulturą lekceważenia, czyli z okazywaniem go zawsze, gdy jest to możliwe, nawet przez osoby o względnie niskiej pozycji społecznej). Ten człowiek miał autentyczne poczucie, że jemu osobiście odebrano własność, choć wcześniej nie miał przecież na nią żadnego wpływu i w żaden sposób nie był traktowany jako współwłaściciel. Uważał tak dlatego, że – pochodząc ze wsi – swoją działalnością antykomunistyczną wdarł się siłą do narodu i poczuł się jego pełnoprawnym członkiem – w dodatku po roku 1989 znów, po raz któryś z rządu, zlekceważonym i oszukanym przez inteligentów.

Twój private banking (konto prywatne)

Inni wdzierali się siłą do narodu swą działalnością w ramach struktur komunistycznych. Różne były drogi, ale zawsze to zyskiwanie godności odbywało się przeciwko inteligencji. Niestety, najczęściej kończyło się na dostosowaniu się do inteligencji pod względem tej najmniej przyjemnej cechy: pogardy wobec „gorszych”. Stan ducha tych ostatnich najlepiej odzwierciedla znane hasło „TKM”. Powstało ono w czasach Akcji Wyborczej Solidarność i mówiło się wtedy, że głoszą je ci, „którzy kręcili korbą” – było to nawiązanie do prac fizycznych w wydawnictwach podziemnych. To hasło nie było bezczelnym wypychaniem się do elit ludzi, którzy na to nie zasługują. Było raczej skorzystaniem z wadliwie działającej demokracji i wypychaniem się do narodu i do współodpowiedzialności za niego. Niestety, nieudanej bo niekompetentnej, pełnej głupoty i zgodnej z przekonaniem, że nie jest ważne, jak się rządzi, tylko kto rządzi. Ale czy mogło być inaczej?

Samolikwidacja polskiej inteligencji. To wdzieranie się było o tyle stopniowo coraz łatwiejsze, że inteligencja (ta nowa!) już nie bardzo istniała. Coraz mniej jest w Polsce takich zawodów inteligencjskich, które są naprawdę potrzebne. Sprzedając koncernom znaczną część przemysłu władze, czyli inteligencja, dokonały w pewnym sensie samolikwidacji. Inteligencja techniczna

jest przecież niepotrzebna w kraju, który z własnej chęci przyjął w stosunku do innych krajów funkcję odbiorcy przestarzałych technologii oraz rezerwuaru taniej siły roboczej. Obecnie wszyscy specjaliści, nie tylko technicy, albo w ogóle nie są potrzebni albo w znacznie mniejszej skali i tylko do przystosowywania rozwiązań importowanych z krajów rozwiniętych, a nie do tworzenia własnych.

Inteligencja humanistyczna jest również niepotrzebna w świecie o idealnym, neoliberalnym ustroju. Kolejne wielkie katastrofy po 1989 roku: wielkie bezrobocie, wielka emigracja, denność parlamentu jako źródła prawa, zajmowanie się przez rządzących małymi zemstami na przeciwnikach i na PRL, katastrofa smoleńska, cyrk smoleński, początki faszystacji kraju, zrynsztokowanie życia publicznego i wiele innych wydarzeń – żadne nie spotkały się ze strony inteligencji z właściwą reakcją. Na ogół nie było żadnej reakcji, czasem była radość motywowana ideowo („dzięki bezrobociu nauczą się wreszcie cenić pracę”). Znikły też dyskusje prasowe nad ważnymi tematami, a nieliczne zauważane ważne tematy – jak na przykład społeczne usytuowanie osób homoseksualnych – są regulowane zgodnie z aktualnie posiadaną władzą z towarzyszeniem wyzwisk o treści ideologicznej.

Większość tak zwanych zwykłych ludzi zadaje sobie pytanie, po co ci inteligenci są, jeśli ich faktycznie nie ma? [W tym czasie resztki inteligencji są przekonane, że „ciemnemu ludowi” taki stan spraw bardzo się podoba. A to nieprawda.] Nie widać też ani usiłowań wyłonienia alternatywnej elity politycznej – bo obecną opozycję trudno traktować poważnie – ani usiłowań oparcia protestów rozpoczętych przez Komitet Obrony Demokracji o poważną ekipę personalną, przewodzącą im organizacyjnie. To również jest zadanie dla inteligencji, która tego jednak nie zauważa.

Poczucie porzucenia. Nie jest tak, że zbędność inteligencji jest dla ludzi jedynie beznamiętną konstatacją. To raczej stwierdzenie, czasem może jedynie niejasne odczucie, że kraj pozbawiony jest kierownictwa. TKM-owcy skorzystali z okazji i wdarli się, z marnym zresztą skutkiem, a nieporównanie liczniejsza reszta żyła i żyje w poczuciu, że nie ma elit, które są w stanie prowadzić sprawę kraju. W innych krajach – a wcześniej i u nas – wielu członków tych elit to byli ludzie pyszałkowaci, nadmiernie wynagradzani, niesympatyczni, często nieuczciwie korzystający ze swych możliwości. Podlegali żelaznemu prawu oligarchii i wszystkim innym prawom socjologicznym, opisującym jak to elity działają w końcu wyłącznie we własnym interesie. Tylko że właśnie we własnym interesie ludzie ci starali się prowadzić kraj możliwie najlepiej. A obecnie ich nie ma. Elit, które prowadzą kraj w wyśnionym i wymarzonego interesie całego ludu – też jakoś nie ma.

Poczucie porzucenia i chaosu jest tym silniejsze, że z punktu widzenia obywatela nie czującego związku z władzą rządzących obchodzą wyłącznie nierozumne klótnie, wynajdywanie lub fabrykowanie wzajemnych zarzutów i małe, osobiste zemsty na SB-kach. Atmosfera bezustannego konfliktu o sprawy dziesięciokrotnie albo wręcz nieistniejące tworzy w społeczeństwie przekonanie, że sprawami poważnymi nie zajmuje się nikt. Opozycja działa tak, by ten brak wciąż podkreślać. Niemalą rolę odgrywają tu media, dla których normalna, zawodowa działalność polityka, jeśli nawet coś takiego

się zdarzy, nie jest interesująca. Obywatelom potrzebna jest świadomość, że w ich kraju jakaś grupa ludzi panuje nad całością. Tej świadomości nie ma, więc trudno dziwić się, że głosy wyborcze padają na ludzi obiecujących, że opanują sytuację. I nic dziwnego, że w takiej sytuacji wygrywa partia, która nawiązując do PRL daje do zrozumienia, że zakończy ten jarmark uniemożliwiający rządzenie. Krytycy obecnej bierności społeczeństwa oraz wysokiej popularności PiS-u są przekonani, że chodzi tu o brak intelektualny, o niezrozumienie wśród ludu, że działania PiS-u likwiduje demokrację. Moim zdaniem ludzie popierający tę partię doskonale to wiedzą, ale doszli do wniosku, że demokracja w Polsce oznacza karczemność i głupotę, więc lepiej już, by jej nie było. A że obietnice zlikwidowania karczemności i głupoty były tylko propagandą przedwyborczą – już wkrótce wyborcy PiS to zrozumieją, jeśli już się to nie stało. Mimo że to właśnie PiS podjął pierwszą po 1989 roku decyzję wewnętrzną dotyczącą znacznej części

mystery shopping (sprawdzanie jakości obsługi)

i społeczeństwa, i powszechnie pozytywnie ocenianą, czyli 500+. Popularność Prawa i Sprawiedliwości to protest przeciwko niewidoczności inteligencji i poczuciu staczenia się kraju.

Na całym świecie, we wszystkich krajach są ludzie, o których znany polski aktor niedawno powiedział: „mieliśmy ukryte to burakostwo. I to całe nieudacznictwo, brak kultury, oglądy, inteligencji. To co tak skrzętnie ukrywaliśmy, wylało się i nami zawłascza”. Ale na całym świecie są warstwy, które temu „burakostwu” dają poczucie, że mogą być spokojni, że są ludzie, którzy wiedzą, jak prowadzić kraj. A poza tym, nigdzie na świecie ci ostatni nie wstydzą się tak tego „burakostwa” i skrzętnie go nie ukrywają, bo i tak wszyscy wiedzą, że ono jest; wstydem i prowincjonalnością nie jest jego istnienie tylko jego skrzętnie ukrywanie. Jedną z funkcji kultury wysokiej jest dawanie poczucia tym, którzy nie są jej konsumentami, że „gdzieś tam są ludzie mądrzejsi ode mnie, mogą być spokojni”. U nas takich ludzi nie widać, bo tak zrozumieliśmy demokrację. C. Wright Mills pisał o istniejącej w społeczeństwie amerykańskim wierze, że „MY jako naród możemy w decydujący sposób kształtować swoją przyszłość, ale MY jako jednostki tego nie potrafimy”. Otóż w Polsce tego pierwszego przekonania również zabrakło, bo znikli ludzie, których zawsze uważało się za odpowiedzialnych za podtrzymywanie tego świętego ognia. Inteligencja zanegowała lud na płaszczyźnie godnościowej. Uznała się za ludzi lepszych, ludzi „nie stąd”, ludzi „ponad” i w ten sposób dokonała autokasacji. Skutki tego są i będą widoczne przede wszystkim na płaszczyźnie politycznej.

MAREK TABIN

Cytaty za:

C. Wright Mills, *Elita władzy*, Książka i Wiedza, Warszawa 1961, s. 27.

Michał Siermiński, *Dekada przełomu. Polska lewica opozycyjna 1968-1970*, Książka i Prasa, Warszawa 2016.

Janusz Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1978.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

UCIECZKA OD ODPOWIEDZIALNOŚCI

Reinhold Niebuhr w swojej *Modlitwie o pogodę ducha* powiedział: „Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić. Odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić. I mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”.

Prosił o to, co w przebiegu życia ważne, a w jego kształtowaniu najważniejsze. Wiedział, że każdy z nas, a przynajmniej zdecydowana większość potrzebuje pewnej dawki pogodzenia, posiadania umiejętności pojednania ze światem takim, jakim on jest. Można ów składnik osobowości nazywać rozmaicie, zależnie od punktu wyznaczającego szerszą perspektywę. A więc to stoicyzm lub niewzbraniający się losowi fatalizm. Umieszczony w innym kontekście to determinizm, odwołujący się do jawnych lub ukrytych praw społecznego ruchu necesaryzm i obiektywizm. Świadome, a w każdym razie konsekwentne pogodzenie, w przeciwieństwie do wzmożonego sporu, sprzyja pogodzie ducha. Nie jest ono zarezerwowane tylko dla buddyjskich mnichów i może opierać się na pełnej obecności, a nie wymagać izolacji.

Amerykański etyk wskazywał, że również potrzebne jest dążenie do zmiany i wewnętrzna siła przekształcająca to dążenie w czyn. Aktywizm i zmienianie rzeczywistości mają nie mniejszą wagę niż stoicki dystans. Świat przestaje być wtedy oczywisty i dany, podlega waloryzacji. Wszak chcemy zmieniać coś zawsze na lepsze, niezależnie od tego, jak owo lepsze czy dobre definiujemy. Ta postawa, gdy nie jest niczym ograniczona, wiąże się z heroizmem, ale własnym, a nie narzucanym innym lub od nich oczekiwanym.

Zasadniczy jest element trzeci, mający stanowić naszą postawę: mądrość odróżniająca to co dane, od tego co tworzone, oddzielająca niezależną, obiektywną konieczność od tej części rzeczywistości, którą możemy i powinniśmy tworzyć. Innymi słowy, fundamentem jest rozum, a z punktu widzenia powinności i odpowiedzialności – etyka intelektualistyczna. Pracy umysłu nie może wyprzeć i zastąpić intuicja, iluminacja lub bezpośredni kontakt z transcendencją i umiejętność odczytywania jej nieodpartych nakazów. Efekty aktywności rozumu dają się wyrazić w sposób dyskursywny, a więc w tym sensie są sprawdzalne, podlegają intersubiektywnym regułom i racjonalnej kontroli.

Określanie tego co od nas zależy, oznaczanie tego co powinniśmy zmienić, co należy ulepszyć i co budować w życiu zbiorowym, jest właśnie polityką. Fundamentem polityki tak pojmowanej, jak traktowali ją Grecy, a więc zgodnie z jej postacią klasyczną. Określaną sze-

roko, będącą wyrazem twórczości odznaczającej się odpowiednim kształtem państwa – społeczeństwa. Ze świadomością, co podkreślał Platon, a później Arystoteles, złożoności, ale też współzależności wszystkich elementów polis. Nic przeto dziwnego, że w kulturze greckiej filozofia jako wiedza polityczna miała pozycję prymarną i zarazem pełniła funkcję praktyczną. Uczyla uprawiać politykę, mówiła, jak formować państwa-społeczeństwa, jednego ich obrazu, bo, przypomnijmy, „Grecy nie znali oczywistego dziś rozróżnienia państwa i społeczeństwa”.¹ Dla ateńczyków *idiotis* to nie ktoś szczególnie głupi, ale człowiek zupełnie obojętny na sprawy publiczne. Polityka zatem jako szczególny i szanowany rodzaj twórczości wchodzącej w skład kultury nic nie ma wspólnego ze współcześnie przedstawianiem jej w rozmaitych definicjach jako gry, walki, pola dążenia do władzy i jej posiadania, spektaklu z udziałem aktorów kierowanych przez reżysera, będących w tle statystów i wyrażających uznanie widzów. Polityka tak wąsko rozumiana oparta teraz na dominującym stereotypie i wynikająca z popędu władzy, a nie z potrzeby twórczości, może być jeśli nie przeciwieństwem, to jedynie uzupełnieniem tej klasycznej. Wtedy staje się instrumentem i to nie najważniejszym z bogatego zbioru wielu innych narzędzi.

Odpowiedzialność wiąże się z polityką. Ona właśnie, co przedstawił Max Weber, wyrasta z etyki odpowiedzialności. Zatem nie jest moralnie obojętna ani nie jest wymierzona przeciw moralności. Etyka odpowiedzialności ma swoistą specyfikę, zawiera na przykład odmienne treści i formułuje inne wymagania niż etyka intencji. Związek tej ostatniej z polityką bywa jedynie psychologiczny, intymny i często infantylny. Podobnie czymś innym jest etyka dawania świadectwa, etyka imponderabiliów, trwania przy zasadach bez względu na wszystkich i niezależnie od okoliczności. Można kierować się nią w życiu indywidualnym i to własnym, bez traktowania jej jako wymogu dla innych i używania do wywierania presji. Etyka odpowiedzialności – Andrzej Walicki esencjonalnie relacjonuje myśl Webera – mówi „o tym, że żaden system zrutyinizowanych zasad i reguł nie może uwolnić męża stanu od kierowania się w pewnych sytuacjach dobrem nadrzędnym, z przyjęciem pełnej osobistej odpowiedzialności za decyzje zarówno podjęte, jak i zaniechane”.² Rezygnacją, oczekujące patrzenie na innych, dymisja własna lub jeszcze mocniejszy wyraz odmowy, żadna ucieczka nie zwalniają

1 J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, Warszawa 2002, s. 29.
2 A. Walicki, *Polskie zmagania z wolnością*, Kraków 2000, s. 190.

od odpowiedzialności, a jedynie bywają przejawem absolutyzowania etyki zasad i psychologicznej potrzeby heroizmu.

Odpowiedzialność związana jest z polityką, z szerokim jej rozumieniem, sytuowaniem w kulturze. Z kształtowaniem świata ludzi, rzeczywistości tworzonej, w odróżnieniu od świata przyrody, rzeczywistości danej, choć też przecież przez człowieka zmienianej, ale nie dowolnie i nie bezkarnie.

Związek odpowiedzialności z polityką jest relacją przedmiotową. Niejako w przeciwną stronę skierowana zależność prowadzi do podmiotu. Jest nim jednostka, pojedynczy, konkretny, psycho-fizyczny człowiek. Uwikłany w rozmaite sieci wiążące go z innymi, w przynależności do grup i instytucji, osadzony w jakimś miejscu i czasie – każdy, zawsze. Ale przede wszystkim jest indywiduum. Wszelkie sugestie wskazujące podmioty zbiorowe można traktować tylko jako metafory lub ewentualnie hipostazy. Nie ma zatem odpowiedzialności narodu, społeczeństwa, klasy, rasy, elity, władzy, pokolenia lub płci. Istnieje odpowiedzialność człowieka, a nie ludzi. Człowieka, który jest istotą społeczną, a więc konsekwencje jego wyborów, działań i zaniechań mają – jak powiedziałby Kant – skalę towarzyską. Wiąza wszystkich. Podmiotem odpowiedzialności jest jednostka, ponieważ jej właśnie dotyczy wolność. Odpowiedzialność to rewers wolności. Medal ma dwie strony. Człowiek pozbawiony wolności nie ponosi także odpowiedzialności. Ucieczka od odpowiedzialności wyraża *eo ipso* ucieczkę od wolności. Erich Fromm przedstawił, jak owo dążenie formuje osobowość, jak bywa silne i do czego prowadzi. Powstają stosowne formy życia zbiorowego i ustroje, które realizację owego dążenia zapewniają. Są one mocno zakorzenione w cechach ludzi, nie wszystkich, ale częstokroć całkiem licznych. Etykę odpowiedzialności, co już powiedziałem, można uznać za częściową definicję polityki. Częściową, bo polityka ani do niej się nie sprowadza, ani w całości na niej się nie opiera. Zaś ta etyka ma zakres szerszy i zastosowanie szersze niż jedynie polityka. Częściowo tylko przystawalność obu tych sfer kultury wywołuje kłopoty, ale nie one są najważniejsze. O wiele większe znaczenie mają te związane z samą odpowiedzialnością za podejmowane lub zaniechane działania. Wszystkie one odnoszą się tak czy inaczej do przyszłości. Skutki zawsze następują później, za godzinę, dzień lub za rok. W takiej sytuacji traci zastosowanie klasyczna definicja prawdy, bowiem odsyła ona do rzeczywistości, której nie ma – jeszcze lub której w ogóle nie będzie. W dodatku myśl wyrasta z rzeczywistości społecznej i ją współtworzy, nie jest autonomiczna, co utrudnia ocenę jej trafności i przewidywanie konsekwencji. Sama przyszłość jest trudna lub niemożliwa do rozpoznania, „istnieje pewien próg widzialności, poniżej którego podmiot polityczny jest ślepy; ściślej – jest ślepy tylko dlatego, że nie istnieje nic, co by dało się widzieć”.³

Skłonność do uciekania od odpowiedzialności ma zatem głębokie źródła, choć ze zmiennym nasileniem występuje i z rozmaitymi uzasadnieniami. W poprzednich stuleciach odwoływano się do bytów mglistych i transcendentnych, czyli do Boga, z którym komunikacja, jak wiemy, nie wszystkim jest dostępna, a po-

nadto jej treść wymyka się sprawdzeniu. Wskazywano też na działanie Fortuny, która ma wobec ludzkiego życia podobnie nadrzędne właściwości. Z kolei odkrycie rzekomych praw historii nadawało długiemu upływowi czasu sens, ale odpowiedzialność redukowało do zrozumienia tych praw i stosowania się do nich. Sposobów unikania odpowiedzialności własnej, indywidualnej było więcej, sprowadzały się one na ogół do tak czy inaczej rozumianej konieczności.

Współcześnie, tzn. w ostatnim półwieczu powstały inne środki zastaniania swej odpowiedzialności. Mają one charakter rozległy i strukturalny, bo wynikają z systemowych cech powstałej w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia postaci kapitalizmu rozumianej jako gospodarka, społeczeństwo, ustrój polityczny, kultura, mentalność i ideologia. Towarzyszy temu weryfikacja przekonania formułowanego w stylistyce ugruntowanej teorii o zależności negatywnej dwóch rodzajów systemów i tworzących je form władzy. Tę zależność można zobaczyć z kilku stron, podporządkowaną dwóm szerokim perspektywom postrzegania świata społecznego i jego rozwoju. Krótko, ale i dosadnie ujął to Karol Marks w rękopisach z lat 1857–1858 (opublikowanych sto lat później): „Gdy pozbawimy rzecz jej władzy społecznej, musimy przekazać tę władzę osobom, aby sprawowały ją nad innymi osobami”.⁴ Przy czym „rzecz” znaczy tu tyle, co towar lub po prostu pieniądź. W każdym razie – jak zauważa wybitny badacz myśli autora *Krytyki ekonomii politycznej* – „zależność osobowa i bezosobowa zależność urzeczowiona pozostają wobec siebie w stosunku odwrotnie proporcjonalnym”.⁵ Marks uważał, że owa „bezosobowa zależność urzeczowiona”, a więc władza rynku, jest najważniejsza. Niewidoczna i w tym sensie abstrakcyjna, nienamacalna, przenika wszelkie stosunki społeczne, z życiem każdego człowieka włącznie. Sama ocena jest tu mniej ważna, istotna jest zawarta w tej analizie mocna alternatywa: albo rynek i władza ukryta, albo władza spersonifikowana i jawna. Pierwsza – zdaniem Marksa i jego sympatyków – jest chaotyczna i ekspansywna, druga podporządkowana jest społecznej kontroli i podlega racjonalnemu sterowaniu.

Podobny obraz, choć oznakowany przeciwnymi wartościami, malowali leseferystyczni liberałowie, a teraz, tzn. w czasie ostatniego ćwierćwiecza XX wieku i obecnie, robią to neoliberalowie. Również oni sytuują państwo, czyli spersonifikowaną władzę polityczną, w opozycji do spontanicznie rozwijającego się rynku, który żadnej władzy politycznej i administracyjnej nie powinien podlegać. Sam jest władzą najwyższą. William Paley w XVIII wieku uważał rynek za zeświecczoną Opatrzność i w związku z tym głosił, że „wolny handel to międzynarodowe prawo Boże”.⁶ Podobne rozumowanie stało się podstawą późniejszej myśli neoliberalnej. Rynek, zdaniem Fryderyka A. Hayeka, ma cechy szczególne, bo w gruncie rzeczy boskie. Choć nie jest postacią transcendencji, lecz przeciwnie: właśnie formą immanencji. Tworzy społeczeństwo wolnych ludzi i zmienia wroga w przyjaciela, gdyż jest katalektyczny.

4 K. Marx, *Grundrisse der Kritik der politischen Ökonomie*, Berlin 1953, s. 6.

5 A. Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*, Warszawa 1996, s. 73.

6 A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Kraków 2013, s. 344.

3 P. Monent, *Naissances de la politique moderne*, Paris 2007, s. 187.

Ma więc wyjątkowe walory socjalizujące i pacyfistyczne. Również epistemologiczne: rynek to w gruncie rzeczy wielki mózg, organ, który gromadzi, porządkuje i przetwarza informacje w wiedzę. Nieskończenie przewyższa możliwości intelektualne i umiejętności planisty. Holizm rynku, najgłębiej przedstawiony właśnie przez Hayeka, jest antyracjonalistyczny i antyindywidualistyczny. Rynek to „wiedza milcząca” układana, kumulowana i przechowywana przez „niewidzialną rękę”. Zupełnie jak „rozum ponadindywidualny” u francuskich konserwatystów epoki Wielkiej Rewolucji i ich późniejszych krewnych. I tu mniej ważne są oceny, gdyż ich geneza jest wtórna. Istotne jest, że rynek i polityka, a więc państwo i gospodarka także w tym sposobie myślenia to dwa człony mocnej alternatywy. Albo jedno, albo drugie, jedno przeciw drugiemu, im mniej jednego, tym więcej drugiego. Neoliberalizm, w przeciwieństwie do marksistowskiego prometeizmu, rynek sakralizuje.

W praktyce, w historii i w teraźniejszości, świat wygląda jednak zupełnie inaczej. Rynek i biurokracja służą temu samemu: chowaniu się za ich zastoną, by w ten sposób uciekać od odpowiedzialności. Stawać się niewidocznym. Między innymi, bo to nie jedyna ich rola, ale ona teraz nas interesuje.

Kapitalizm formowany po odejściu od idei (z praktyką jest inaczej) państwa opiekuńczego miał odzyskać siły vitalne i uzyskać dynamikę gospodarczą wskutek oddzielenia rynku od niekorzystnych wpływów państwa, maksymalizacji zasięgu i siły oddziaływania czynnika pierwszego, minimalizacji zakresu i kosztów utrzymania drugiego. Ogłoszono więc powrót do źródeł. Hasło takie zwykle pojawia się w okresach kryzysów, zaś same źródła są mitologizowane, a nie traktowane z historyczną i faktograficzną rzetelnością. Tak stało się i tym razem. „Rozwój kapitalizmu w krajach Europy Zachodniej i jej odrośli w XIX wieku często jest wiązany z rozprzestrzenianiem się wolnego handlu i wolnego rynku. (...) Trudno o większe rozminięcie się z prawdą. Rząd odegrał kluczową rolę...”⁷ W efekcie realizowania postulatu odrodzenia i sanacji rozwinęła się nowa postać kapitalizmu i systemu społeczno-gospodarczego odwołującego się do nadrzędności wolnego rynku. To krytycznie w formie przestrogi przedstawiony kilkadziesiąt lat wcześniej kapitalizm-kasyno, ale bardziej teraz rozbudowany i ciągle się zwiększający. Składa się w dużej mierze z korporacji, tworzy nienowego, ale wcześniej w takiej liczbie one nie występowały, ani nie miały tak dużego zasięgu, takiej siły oddziaływania ani tak dużej autonomii i władzy. Wewnętrzna struktura i sposób istnienia lokuje je w gronie instytucji totalitarnych.⁸ W imię wolności rynkowej, z nabożeństwem odnosząc się do Hayeka, same są na drodze do zniewolenia i prowadzą do niego innych. To nie pierwsza w historii tego rodzaju przypadłość. Ich działania skierowane na zewnątrz zmierzają do uniezależnienia się od wszelkiej kontroli politycznej i administracyjnej, należącej do prerogatyw państwa. Korporacje są organizacjami ponadpaństwowymi, a w każdym razie taki jest pożądaný przez nie status. Państwa w większym stopniu wyrażają ich interesy, niż ograniczają ich częst-

kowy i partykularny charakter. Współczesne korporacje nie są również realizacją kreatywnej aktywności przedsiębiorcy, zdaniem Josepha A. Schumpetera tworzącego wraz z innymi, takimi jak on „układ kapitalistyczny w postaci instytucji prywatnej przedsiębiorczości”.⁹ Przeciwnie, są przedsiębiorcą kolektywnym, a to zupełnie coś innego, zwłaszcza z wyróżnionego przez nas punktu widzenia. Korporacje stały się również wzorotwórczym ośrodkiem stylu działania wszelkich zorganizowanych społeczności. Zarządzanie typu korporacyjnego przenika wszędzie i traktowane jest jako mający naukowe podstawy szczególnie efektywny i etyczny sposób działania każdej instytucji, z rodziną, wspólnotą mieszkaniową i życiem prywatnym włącznie. Wszak nieprzypadkowo powstają dzieła pisane o zarządzaniu dzieckiem, wypoczynkiem lub własnym zdrowiem. Mają odbiorców.

Drugim, a właściwie trzecim – obok korporacji i globalizacji – filarem współczesnej gospodarki jest jej finansjalizacja. To skutek wielu czynników. Jeden z nich, niejako zewnętrzny powstał w świecie technologii w rezultacie rewolucji elektronicznej. Komputeryzacja i błyskawiczny przepływ informacji pozwoliły na dokonywanie rozmaitych operacji finansowych natychmiast i bez pokonywania jakichkolwiek barier. Innym wyrazem finansjalizacji jest zmiana pozycji sfery finansowej: zamiast niegdyś służebnej roli w postaci „smarowidła” realnych procesów produkcji i dystrybucji stała się ona pierwszorzędna. W jej obszarze powstają największe i najszybciej osiąganе zyski, a one same opłoty niczym kokon cały świat tworząc „system wyjątkowo podatny na uszkodzenia”.¹⁰ Instytucje finansowe zaczęły grać nową, główną rolę, a także same się zmieniły. Są oceniane jak przedsiębiorstwa produkcyjne, a ich zarządzanie podporządkowane jest wzorowi korporacyjnemu. Nie wymieniam wszystkiego, bowiem „cechy charakterystyczne finansjalizacji – czy kapitalizmu finansowego – obejmują szerokie spektrum i były już obszernie oraz szczegółowo analizowane przez licznych autorów”.¹¹ Jednak jest szczególnie ważna jedna z konsekwencji współczesnej ekspansji kapitalizmu finansowego: ona „spowodowała zwiększenie wynagrodzeń najwyższych kadr kierowniczych, a tym samym wzrost nierówności dochodów jednostek i gospodarstw domowych”.¹² Co narusza harmonię społeczną i podważa stabilność systemu politycznego, zwłaszcza w jego demokratycznej i socjalliberalnej postaci. Zadania polityków nabierają dodatkowego ciężaru, podobnie wzmagają się ich dążenie do unikania odpowiedzialności.

Biurokracja jako instrument i jako ośrodek władzy według jej klasycznego teoretyka, czyli Maxa Webera, „to nic innego niż racjonalna organizacja działalności ludzkiej, zastępująca rządy osób rządami bezosobowych zasad”.¹³ Jest więc podobnie jak rynek anonimowa z dążeniem do ekspansywności. Zgodnie z usta-

7 H.-J. Chang, *Ekonomia. Instrukcja obsługi*, Warszawa 2015, s. 55.

8 Por. E. Goffman, *The Characteristics of Total Institutions*, w: A. Etzioni (red.), *A Sociological Reader on Complex Organizations*, New York 1969.

9 J. A. Schumpeter, *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*, Warszawa 1995, s. 91.

10 Zob. dynamikę tego procesu między 1985 a 2008 rokiem, w: N. Ferguson, *Wielka degeneracja. Jak psują się instytucje i umierają gospodarki*, Kraków 2017, s. 97–98.

11 E. Hein, *Kapitalizm finansowy a podział dochodów. Perspektywa teorii Kaleckiego*, w: *Globalny kryzys gospodarczy po roku 2008. Perspektywa postkeynesowska. Wybór tekstów pod red. K. Łaskiego i J. Osiatyńskiego*, Warszawa 2015, s. 267.

12 Ibid., s. 267.

13 J. Szacki, *Historia...*, s. 477.

leniami i przewidywaniami wszystkich stron w miarę wzrostu racjonalności rynkowej i zwiększania się samoregulacji gospodarki zakres racjonalności biurokratycznej powinien maleć. Najpierw przecież nastąpiła jej krytyka i program eliminacji regulacji administracyjnej. W rzeczywistości materialnej, a nie nominalnej, stało się inaczej. Biurokracja wraz z rynkiem jako fundamentalne instytucje współczesnego kapitalizmu zapełniają coraz większy obszar, w którym odpowiedzialność zapada się niczym w kosmiczną czarną dziurę. Przy czym realna postać obu tych instytucji daleko odbiega od swoich idealnych typów sporządzonych niegdyś przez Smitha i Webera.

Ta odmiennosc i sama obecność są kamuflowane: w świecie słów wypowiedzianych i zapisywanych rzeczownik „biurokracja” zanika. Słowniki frekwencyjne książek anglojęzycznych odnotowują najczęstsze występowanie tego wyrazu koło 1975 roku, a później ciągle spadek jego użycia. Równolegle do językowej tendencji schyłku terminu występują procesy przeciwnie znamionujące w tym samym czasie rosnącą popularność określeń wyraźnie synonimicznych i peryfraz. Wyrażenie „roboota papierkowa” staje się coraz częstsze właśnie od tego samego okresu, w którym leksykalny powab „biurokracji” zaczyna gasnąć. W jeszcze bardziej nasilonym stopniu dotyczy to szybko zwiększającego się używania określenia „ocena wyników”.¹⁴ Owa zamiana słów kamufluje rzeczywistość, która wymaga jakiegoś oznaczania. Odpowiedni zabieg tworzący za pomocą tworzywa lingwistycznego oczekiwane nastawienie do świata jest jednym z przejawów współczesnej przemocy symbolicznej. Stanowi składnik języka tworzącego optymistyczną ideologię współczesności, zgodnie z którą „biurokratyczne struktury powinny być stopniowo zastępowane »mechanizmami rynkowymi«, »rynkowym systemem zachęt«”.¹⁵

Biurokratyzacja realnie pełni inne od oficjalnie dekretowanych funkcji. Jej rola wysuwa się na pierwszy plan, a nie przesuwana jest na margines. Nie podnosi, wbrew oficjalnym zapewnieniom, sprawności władzy. W USA, w piętnastolecie na przełomie XX i XXI wieku, według obliczeń Banku Światowego, spadły wszystkie wskaźniki jakości rządzenia, czyli: skuteczność rządów, jakość regulacji, walka z korupcją, rządy prawa. Najniższa była odpowiedzialność rządzących, czyli z innej perspektywy: najwyższy brak odpowiedzialności.¹⁶ Nieprzypadkowo. Rozrastanie się biurokracji służy systemowi politycznemu i gospodarczemu, chroniąc osoby zajmujące w nim pozycje najwyższe. Inaczej niż w idealistycznym projekcie Webera. Przeciwnie niż w neoliberalnej ideologii głoszącej maksymalizację rynkowej samoregulacji w imię wolności, wzrostu i „skapującego” ze społecznej góry dobrobytu. Biurokracja jest funkcjonalnym składnikiem neoliberalnego systemu gospodarczego. On ją tworzy i kształtuje według swoich potrzeb.

Rynek, jako centralna instytucja tego systemu i zarazem jego emblematyczny znak dąży do – co jest stwierdzeniem tautologicznym i banalnym – powszechnego utowarowienia i monetaryzacji. Dzięki temu po-

wstaje wspólny mianownik, jedna miara pozwalająca na porównywanie w dowolnych konfiguracjach wszystkich cen, które są traktowane jako obiektywne i uniwersalny wyraz wartości. Liczą się zatem na końcu cechy ilościowe, do nich trzeba sprowadzać właściwości jakościowe. W konsekwencji oznaczyć liczbami. Upřednio poszatkować, uprościć i ujednolicić działania i aktywność przekształcić w procedury. W stosunku do większości składników życia ludzkiego, indywidualnego, a tym bardziej społecznego, trzeba to zrobić z zewnątrz i na wstępie. Przygotować i przysposobić do wejścia na rynek. Dotyczy to zdrowia, kultury, nauki, czasu wolnego i zawodowego, wychowania, atrakcyjności ciała i intelektu, domu i cmentarza. Znacznie jeszcze większej liczby przeżyć, stanów i okoliczności, właściwie całego uniwersum, poza samym zarabianiem pieniędzy. To wszystko zaś należy przeformować, opracować regulaminy, oznaczyć liczbami, ustalić rankingi, sklasyfikować itp.

Robi to właśnie biurokracja, do tego tylko ona jest przystosowana. Nieodłącznie towarzyszy rynkowi, a właściwie stanowi jego fundament. Jako instytucja powołująca i utrzymująca rynek tworzy z nim związek izomorficzny, w którym nieprzypadkowo „zimne odpersonalizowane relacje biurokratyczne przypominają transakcje pieniężne”.¹⁷ Żyje i rozrasta się zarówno w instytucjach publicznych (państwowych), jak i w korporacjach, a także przenika do życia prywatnego, bo przecież nikt nie egzystuje w samowystarczającej izolacji.

Biurokracja nie tylko codziennie żywi rynek, tworząc w ten sposób dwugłowego Lewiatana. Ona go również odradza i przekształca, „każda reforma rynkowa (...) prowadzi do wzrostu biurokracji”.¹⁸ Urynkowanie praktyczne, wbrew teoretycznym zaleceniom Hayeka, dokonuje się w sposób konstruktywistyczny, a nie organiczny i spontaniczny. Zawsze w rzeczywistej historii takie było, to znaczy rynek implementowało. Mimo ideologicznych zakłęb „prawda jest taka, że wolne rynki są wytworami władzy państwa”.¹⁹ Realizacje neoliberalnej utopii są skierowane przeciw historycznym i współczesnym wartościom liberalnym. System rynkowo-biurokratyczny generuje dwie instytucje zasłaniające i pozornie znoszące odpowiedzialność. Są to instytucje najważniejsze w tym systemie. Stwarza on pozory postpolityczności, bo kamufluje władzę i chroni interesy silnych. Depersonifikuje ich widoczną postać, sugerując przy tym naturalność i oczywistość swojego istnienia. Niweluje wyraźne centrum, przekształcając je w niewidoczną sieć władzy, rozprasza i dąży do unieważnienia podmiotowej odpowiedzialności. Jest jednak tworem historycznym, a więc ani odwiecznym, ani stałym. Dokonująca się w nim ucieczka od odpowiedzialności również ma taki charakter. Mylącemu zamieraniu polityki ma sprzyjać przekształcenie jej w zarządzanie. Współcześnie, jako praktyka i nauka akademicka, stała się ona szczególnie, choć niejawnie upolitycznioną i zideologizowaną, bo służącą utrzymaniu systemowego *status quo*, formą ludzkiej umysłowej i fizycznej aktywności. Podobnie jak niegdyś sygnowane jako na-

14 Por. D. Graeber, *Utopia regulaminów. O technologii, tępotcie i ukrytych rozkoszach biurokracji*, Warszawa 2016, s. 8–10.

15 Ibid., s. 11.

16 N. Ferguson, *Wielka degeneracja. Jak psują się instytucje i umierają gospodarki*, Kraków 2017, s. 142.

17 D. Graeber, *Utopia...*, s. 190.

18 Ibid., s. 16.

19 J. Gray, *Fałszywy świat. Urojenia globalnego kapitalizmu*, Wrocław 2014, s. 37.

ukowe i obiektywne teksty marksizmu (z aktualizującymi dodatkami) w jednej części świata i nieco później prognozy liberalnego-demokratycznego (amerykańskiego) zwieńczenia historii w drugiej.

Odpowiedzialność chowa się też za samą władzą. A właściwie za przemocą, która nie ma na uwadze realizacji jakiegoś konkretnego celu, ale trwałą nadrzędność i dominację. Ma ona kilka wcieleń. Najczęstsza, a zarazem szczególnie skuteczna i rozległa, jest przemoc symboliczna. A więc nie wyrażona wprost, lecz realizowana za pośrednictwem kultury. Najczęściej języka. Nazwanie efektów podboju i ustanowienia okupacji strefą odpowiedzialności jest mniej więcej tym samym co ewentualne wprowadzenie nazwy instytucja odpowiedzialnej wolności zamiast tradycyjnie używanego rzeczownika więzienie. Narzucanie nowego słownictwa, tworzenie teraźniejszej nowomowy odnosi się do nadrzeczywistości współczesnej.²⁰ Nie pierwsze to tego rodzaju doświadczenie części obecnie żyjących pokoleń. Wyraz roszczenia zamiast uprawnienia, przywilej zamiast prawa czy wreszcie termin *Homo sovieticus* używany w zakresie tak szerokim, że ma zastosowanie do wielu innych dzisiejszych, również zachodnich społeczeństw.

Przykładów można podawać znacznie więcej, w każdym razie mają one zobrazować rozległą praktykę odgórnej transformacji języka: wprowadzanie nowych znaczeń starych słów lub ich transpozycję przy zachowaniu pozorów tożsamości. Zostaje stare brzmienie i zapis. Skoro zaś język wyraża dorobek kultury i osobowość użytkownika (między innymi myślenie), to manipulacje językowe i jego wymuszone przekształcenia mają wpływ zarówno na kulturę, jak i na osobowość.²¹ Również bezpośrednio na stosunek do świata, gdyż „poznania w odróżnieniu od umiejętności praktycznych ma charakter zdaniowy”.²² Nazwanie czegoś właśnie tak a nie inaczej, wpływa też na stosunek do odpowiedzialności: unieważnia ją, przesuwając, wybiela podmiot lub go heroizuje.

Inną formą depersonalizowanej władzy jest przemoc strukturalna, która wynika z samej budowy systemu społecznego. Dostrzegają ją feministki i krzyczą. Odczuwają ludzie starsi i nie mają siły fizycznej i woli psychicznej, by podnieść głos. Różnie zachowują się bezrobotni, chorzy, ateści i pracownicy korporacji. W każdym razie odpowiedzialność za jej istnienie jako przemoc symbolicznej również się rozplywa, traci kontury i cielesną przynależność. Istnieje wreszcie przemoc fizyczna, na ogół umundurowana, wykonująca decyzje innych lub w ogóle całego majestatycznego urzędu.

Odpowiedzialność zanika, zarządzanie wypiera osobowość, decyzje i postanowienia tracą wagę na rzecz nieuchronności automatyzmu procedur, całości i związki rozkładane są na części, specjalizacje i fragmenty. Inni zdają się kierować jednostką niezależnie od tego, kim oni są i co ich motywuje.

Narzuca się pytanie dopełnienia: dlaczego ludzie uciekają?²³ Dlaczego uciekają od odpowiedzialności

(co jest łatwiejsze do zrozumienia), skoro tym samym uciekają od wolności? Pytanie to odnoszone do kondycji ludzkiej zyskało wiele odpowiedzi, z których żadna nie jest pełna, ale zarazem każda coś przekazuje. Znamy je z tekstów filozofów, a także, później pisanych, analiz psychologów oraz badaczy patrzących z innych perspektyw. Nie ma co powtarzać, zwłaszcza że byłoby to długie i niepewne. Równie ważne jest szukanie wyjaśnienia *hic et nunc*, w którym na pierwszym planie znajduje się nie człowiek w ogóle, nie kultura naszego kręgu cywilizacyjnego, ale jest nim miejsce i czas. Kontekst społeczny i historyczny, doświadczenie zbiorowe i wspólnotowa mentalność. Zasygnalizujemy zatem możliwe wyjaśnienia zaznaczając, że ich rozwinięcie byłoby długie i rodzące kolejne pytania. A więc tylko *flash*.

Zatem zgoda na istnienie systemu, który zawiera medal z przedstawionym awersem i rewersem przypuszczalnie wynika z tego, że wszystkie żyjące teraz pokolenia wcześniej sparzyły się wielkimi ruchami społecznymi i całościowymi ideologiami. Wszystkie, jakby ich propagatorzy i entuzjaści zapomnieli o Heglu, doświadczyły „chytrości rozumu dziejowego”. Skutki realizacji tych wielkich przedsięwzięć okazały się odmienne od oczekiwanych, doświadczenia różniły się zasadniczo od obietnic zawartych w wierze. Często były przeciwstawne. Idea komunistyczna jest najjaskrawszym, ale i najbardziej bolesnym przykładem intencji i skutków. Także jednak owoce innych doświadczeń: Solidarności, globalizacji, liberalno-demokratycznego zwieńczenia historii, neoliberalnej panrynkowości itp. dla wielu były gorzkie. Istota ujawnia się na końcu. Można zatem uznać, że lepiej ponownie nie próbować. Po wojnie zwykle przez jakiś czas zaczyna panować okres domowej rekonwalescencji.

Może również dlatego, że wolność, a także odpowiedzialność nie mają stałej ceny. Ich wartości zmieniają się w historii, teraz właśnie spadły. Najsilniejszy jest chyba czynnik inny: siła władzy bezosobowej jest większa niż tej sprawowanej bezpośrednio przez ludzi, jej oddziaływanie głębsze, a ukrywanie odpowiedzialności obejmuje wszystkich. Zwłaszcza w społeczeństwach takich jak nasze, które doświadczyły wprost tyranii politycznej, a więc uznały, że jest ona jedynie groźną. Bezosobowa agresywność rynku i biurokracji zdaje się realnie nie istnieć, a w każdym razie łatwiej ją bagatelizować. Jest fizycznie nieobecna i pojęciowo nieokreślona. Nie angażuje tym samym odpowiedzialności.

Ta wszakże jest w polityce niezbędna. Odpowiedzialność, kształtowana przez kulturę i socjologię, osadzona w sumieniu hamuje absolutystyczne zapędy władzy i broni wolności. Za wielkim znawcą demokracji i wolności powtórzmy: „Nie istnieje na Ziemi żadna, sama w sobie, wyposażona w święte prawo władza, której pozwoliłbym w sposób niekontrolowany sprawować rządy”.²⁴

PAWEŁ KOZŁOWSKI

Tekst będzie publikowany w książce Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus”, która ma się ukazać w końcu 2017 r.

20 Termin „nadrzeczywistość” wprowadził Alain Besançon i stosował do analizy systemu ZSRR.

21 Por. m.in.: E. Sapir, *Kultura, język, osobowość*, Warszawa 1978, s. 96 i inne.

22 J. Huttenlocher, *Język a myślenie*, w: B. Stanosz (red.), *Język w świetle nauki*, Warszawa 1980, s. 202.

23 K. Ajdukiewicz, *Logika pragmatyczna*, Warszawa 1975, s. 88.

24 Cyt. za: K. Pisa, *Aleksander de Tocqueville*, Warszawa 1996, s. 93.

PAWEŁ SĘKOWSKI

POMOC POLSKIM UCHODźCOM: PERSPEKTYWA HISTORYCZNA

Odnosząc się do aktualnej sytuacji w Europie, tzw. kryzysu migracyjnego i debaty na temat przyszłości polityki imigracyjnej Unii Europejskiej, w dzisiejszych dyskusjach w Polsce wprawdzie nieraz poruszany jest fakt, że Polacy sami niejednokrotnie w historii byli imigrantami, jednak nawet jeśli ten argument jest uwzględniany i bywa dyskutowany, nierzadko skala i waga tego zjawiska są niedoceniane. Tymczasem Polacy bywali wielokrotnie nie tylko imigrantami w szerokim tego słowa znaczeniu, ale także uchodźcami.

W niniejszej prezentacji losów polskich uchodźców chciałbym odejść od dominującej w artykułach prasowych i na portalach internetowych konwencji, polegającej na skupianiu się przede wszystkim na losach członków rodzin żołnierzy Armii Polskiej w ZSRR (armii gen. Władysława Andersa) w okresie drugiej wojny światowej po opuszczeniu przez tę armię terytorium Związku Radzieckiego. Proponuję za to zwrócenie szczególnej uwagi na niedoceniany i stosunkowo mało znany przykład akcji opiekuńczej wobec ponad miliona polskich dipisów i uchodźców w Europie w pierwszych latach po zakończeniu drugiej wojny światowej. Jest to przykład o tyle wart uwzględnienia, iż działalność najpierw United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA), a następnie International Refugee Organization (IRO) wobec Polaków poza granicami kraju stanowi kapitalną egzemplifikację działalności społeczności międzynarodowej wobec osób, które pomimo takiej faktycznej możliwości, zdecydowały się z różnych powodów nie powracać do powojennej Polski.

Zanim przejdę do skrótego przedstawienia historii polskiego uchodźstwa ze szczególnym uwzględnieniem okresu drugiej wojny światowej i niedocenianego w tym aspekcie okresu pierwszych lat powojennych, warto zdać sobie sprawę z pewnych kwestii metodologicznych związanych z badaniami w zakresie historii i socjologii imigracji i zjawiska uchodźstwa. Zasadniczo chciałbym w tym miejscu skupić się przede wszystkim na określonych zjawiskach, ich charakterze, skali i podejmowanych działaniach wobec uchodźców polskich niż na chronologicznym i systematycznym wykładzie dziejów polskiego uchodźstwa.

Zasadniczo przyjęła się typologia wyróżniająca z jednej strony emigrację o charakterze ekonomicz-

nym (i emigrantów ekonomicznych) oraz tę o charakterze politycznym (i emigrantów politycznych). Jednak socjologowie i historycy imigracji zdają sobie sprawę z problemu z rozróżnieniem emigracji ekonomicznej od emigracji politycznej w poszczególnych analizowanych sytuacjach. Emigrant ekonomiczny przybywa w celach zarobkowych, niejako z definicji z kraju biedniejszego do kraju zamożniejszego. Emigracja polityczna jest z kolei związana z przyczynami natury politycznej. Nie jest jednak łatwo stwierdzić, czy rzeczywista przyczyna przemieszczenia bądź podjęcia decyzji o pozostaniu za granicą, była/jest wyłącznie natury „politycznej”, czy też poszukiwanie lepszych, bardziej godnych warunków życia dodatkowo wpływa na podejmowane decyzje. Niejednokrotnie mieliśmy i mamy do czynienia ze współwystępowaniem tych dwu motywacji. Tak naprawdę sytuacja każdej jednostki, każdego imigranta/uchodźcy może być w tym aspekcie zróżnicowana. Tak jak emigrant polityczny może decydować się na migrację w dużej mierze z przyczyn ekonomicznych, tak z drugiej strony emigrant ekonomiczny może stać się emigran-tem politycznym, angażując się już po przybyciu do kraju osiedlenia w działalność sformalizowanych instytucji bądź społeczeństwa obywatelskiego o charakterze politycznym – może więc podlegać procesowi „polityzacji”.

W naszej percepcji emigrantów politycznych, uchodźców z lat minionych mamy tendencję do koncentrowania się na aktywnych działaczach wychodźczych i ich losach, zapominając o „zwykłych” uczestnikach danej fali migracji, określanej mianem emigracji politycznej. Ci emigranci mieli przecież również, a nierzadko przede wszystkim, rozterki i problemy natury ekonomicznej. Nie zawsze należy się w tej jednostronnej perspektywie doszukiwać złej woli czy tendencji do ideologizacji pewnych zagadnień (choć bywa i tak) – jest to tendencja związana z charakterem źródeł, którymi dysponują badacze–historycy. W archiwach odnajdujemy przede wszystkim tych właśnie aktywnych działaczy, to oni są najbardziej „widoczni” i oni najczęściej „wypowiadają się” w zachowanych dokumentach. Także z punktu widzenia administracji kraju osiedlenia stanowią oni często grupę najbardziej obserwowaną. Tymczasem właściwie regułą jest, że przeważająca część emigracji politycznej z czasem ulega „depolity-

zacji” i skupia się na zagadnieniach życia codziennego w kraju osiedlenia. Rzecz jasna, trzeba tu uczynić pewne rozróżnienie na osiedlenie o charakterze trwałym oraz pobyt w danym miejscu o charakterze czasowym, w oczekiwaniu na dalszą emigrację.

Właściwym tematem tego szkicu są polscy uchodźcy. Kto jest uchodźcą? W skrócie można powiedzieć, że jest to osoba, która z powodu zmian politycznych w kraju pochodzenia została pozbawiona opieki ze strony państwa, albo która sama odmawia przyjęcia tej opieki i z tego tytułu potrzebuje pomocy kraju, w którym znalazła schronienie, nie przyjmując jednakże obywatelstwa owego kraju osiedlenia. Przy czym uchodźca może ale nie musi utracić obywatelstwo kraju pochodzenia. Konstytutywny dla kondycji uchodźcy jest fakt braku opieki prawnej ze strony kraju pochodzenia, nie zaś jego sytuacja prawna w aspekcie obywatelstwa. Uchodźca może opuścić kraj pochodzenia z przyczyny nie mającej nic wspólnego z jego przekonaniami politycznymi czy wcześniejszą działalnością – przyczyną może być np. przynależność do określonej prześladowanej, dyskryminowanej czy po prostu zagrożonej grupy. Termin „uchodźca” jest więc szerszy od „uchodźcy politycznego”. Nawet „uchodźca polityczny” może opuścić kraj pochodzenia nie z powodów czysto politycznych, ale np. z powodu trwającej wojny czy prześladowań o charakterze etnicznym. W każdym jednak wypadku uchodźcą jest się z racji przyczyny opuszczenia kraju pochodzenia, bądź przyczyny odmowy powrotu do kraju pochodzenia, niezależnie od późniejszego zaangażowania politycznego czy zainteresowania sprawami ojczyzny. Mimo że przekonanie o oczywistej „polityzacji” uchodźców jest często spotykane, jest to przekonanie fałszywe.

Nie istnieje żadna wiążąca definicja „uchodźcy politycznego”. Z kolei definicja „uchodźcy” została powszechnie przyjęta dopiero poprzez uchwalenie konwencji genewskiej z 28 lipca 1951 r., wraz z późniejszym Protokołem Nowojorskim z 31 stycznia 1967 r. Konwencja wraz z Protokołem stanowią, iż „uchodźcą jest osoba, która żywi uzasadnioną obawę przed prześladowaniem z powodu swojej rasy, religii, narodowości, przynależności do określonej grupy społecznej lub poglądów politycznych, znajduje się poza terytorium kraju, którego jest obywatelem i – z powodu tych obaw – nie chce lub nie może do tego kraju powrócić”.

Historia polskiego uchodźstwa jest jednak znacznie starsza. Nie sięgając do epoki nowożytnej, proponuję niniejszy przegląd rozpocząć od wzmianki o Polakach przybyłych do Francji po upadku powstania listopadowego, poczynając od 1831 roku. Jeszcze w 1831 r. około 20 000 powstańców polskich przekroczyło granicę z monarchią habsburską, a ok. 30 000 wkroczyło na terytorium podporządkowane Prusom, jednak zdecydowana większość z nich skorzystała z ogłoszonej przez rosyjskiego cara amnestii i powróciła do imperium rosyjskiego w tym samym roku. W granicach Austrii i Prus pozostało łącznie około 5 tysięcy byłych powstańców polskich, którzy zaczęli kierować się dalej na zachód, przede wszystkim do Francji. W 1832 r. we Francji było już ok. 8–9 tysięcy polskich uchodźców, składających się na tzw. Wielką Emigrację polską w tym kraju. W całym okresie francuskiej tzw. monarchii lipcowej (tj. między 1830 a 1848 r.) Polacy stanowili 78 proc. wszystkich zasiłkobiorców pobierających

allocation aux émigrés, tj. zasiłek dla „emigrantów”. Termin „uchodźca” – *réfugié* nie był wówczas jeszcze stosowany. Polacy stanowili więc zdecydowaną większość wszystkich uchodźców korzystających z pomocy francuskiej, daleko wyprzedzając Hiszpanów (13 proc. zasiłkobiorców) i Włochów (8 proc.). Do 1850 r. liczba uchodźców polskich spadła o połowę, ale ci, którzy pozostali, spotkali się z francuską pomocą i ofertą integracji w ramach społeczeństwa francuskiego. Poza Francją, po upadku powstania listopadowego kilkuset-osobowe grupy Polaków znalazły schronienie w krajach niemieckich, Wielkiej Brytanii i Belgii. Polscy uchodźcy z okresu po upadku powstania listopadowego stanowili także pierwszych mieszkańców założonej w 1842 r. z inicjatywy księcia Adama Jerzego Czartoryskiego słynnej osady Polonezköy, zwanej potocznie Adampolem.

Bez wątpienia skala zjawiska uchodźstwa polskiego była największa w okresie drugiej wojny światowej, zaś problem mas Polaków znajdujących się poza granicami kraju był niemniej palący również w pierwszych latach po zakończeniu wojny.

Już po klęsce wrześniowej dziesiątki tysięcy żołnierzy polskich przedostało się do Węgier (ok. 35 000), Rumunii (ok. 32 000) i krajów bałtyckich (kilkanaście tysięcy). Wielu Polaków decydowało się na ucieczkę do Francji, gdzie tworzone było Wojsko Polskie pod dowództwem gen. Władysława Sikorskiego. Zarówno ochotnicy do Wojska Polskiego, jak cywile, w tym znaczna liczba rodzin urzędniczych i elit przedwojennej Polski, przybywali przede wszystkim w okresie tzw. dziwnej wojny, na przełomie 1939 i 1940 roku. Po klęsce Francji w czerwcu 1940 r. większość żołnierzy ewakuowała się do Wielkiej Brytanii, jednak ponad 20 tysięcy przybyłych po 1 września 1939 r. Polaków pozostała we Francji. Jesienią 1940 r. w schroniskach prowadzonych przez uprawniony do tej działalności przez władze Vichy personel Polskiego Czerwonego Krzyża przebywało na terenie Francji południowej (nieokupowanej) prawie 3 400 obywateli polskich – cywilów, w tym 764 dzieci i młodzieży. Ponadto istniały cztery schroniska dla żołnierzy Wojska Polskiego niezdolnych do podjęcia pracy zarobkowej. Po rozwiązaniu PCK we Francji przez władze Vichy latem 1941 r., opieka wobec polskich uchodźców była kontynuowana poprzez Towarzystwo Opieki nad Polakami we Francji. Działalność Towarzystwa i funkcjonowanie schronisk były nadzorowane przez francuskiego inspektora z ramienia ministerstwa spraw wewnętrznych i pracy. Mieszkańcy schronisk otrzymywali zasiłki od lokalnej administracji francuskiej i mogli w ten sposób doczekać wyzwolenia w 1944 roku.

Mówiąc o polskich uchodźcach z okresu drugiej wojny światowej, najważniejszym zagadnieniem są bez wątpienia losy cywilów, którzy wraz z Armią Polską gen. Władysława Andersa opuścili terytorium Związku Radzieckiego. Po ewakuacji Armii Polskiej z ZSRR, utworzonej na podstawie układu Sikorski–Majski z lipca 1941 r., polscy uchodźcy w 1942 roku znaleźli się w wielu odległych punktach świata. Początkowo około 45 000 polskich cywilów znalazło się w Persji i stanowili oni niemal połowę ogółu Polaków w tym kraju. Wśród nich było około 13 000 dzieci poniżej 14 roku życia, także sieroty. W Persji powstało wiele instytucji opiekuńczych i edukacyjnych, przeznaczonych przede wszystkim dla polskich dzieci. Zajmowały się nimi katolickie zgromadzenia zakonne lub instytucje protestanckie.

Miejscowość Isfahan była nawet znana jako „miasto polskich dzieci” – przez całą drugą wojnę światową znalazło się tam prawie 2600 polskich sierot.

Władze brytyjskie poszukiwały miejsc, gdzie można by ulokować cywilów polskich z Persji, jako że pobyt Polaków w tym kraju miał być krótkotrwały. Część polskich uchodźców znalazła się w Indiach, przede wszystkim w dzisiejszym stanie Gudżarat, gdzie powstał Polish Children Camp. Z kolei w Delhi funkcjonował Komitet Pomocy Dzieciom Polskim. Była to prywatna inicjatywa polonofila, maharadży księstwa Nawangaru, zwanego „Dobrym Maharadżą”. W całych Indiach okres wojny przetrwało ponad 5 tysięcy polskich dzieci.

W 1943 r. około półtora tysiąca polskich uchodźców znalazło schronienie w Meksyku, w osiedlu Santa Rosa. Stało się tak na mocy umowy podpisanej przez rząd meksykański z rządem polskim w Londynie.

W 1942 r. ponad 11 tysięcy Polaków z Persji ewakuowano do brytyjskiej Afryki Wschodniej, tzn. do Ugandy, Tanganiki i Kenii. W wyniku dalszych, już mniejszych fal ewakuacji, pod koniec 1944 r. w Afryce Wschodniej znajdowało się ponad 13 tysięcy Polaków. Ponadto około 5 tysięcy Polaków znalazło schronienie w Rodezji Południowej, Rodezji Północnej i w Związku Południowej Afryki. Po zakończeniu drugiej wojny światowej liczba Polaków w Afryce stopniowo zmniejszała się na skutek repatriacji do Polski, bądź przesiedlania Polaków w inne miejsca świata, bardziej korzystne z punktu widzenia warunków klimatycznych i możliwości integracji społecznej. Po 1950 r. w całej Afryce pozostawało wciąż około 1000 Polaków.

Prawie 750 polskich dzieci wraz z setką opiekunów zgodziła się przyjąć Nowa Zelandia. W ten sposób powstała polska kolonia, tzw. „Mała Polska” w miejscowości Pahiatua. Uchodźcy zostali tu przyjęci całkowicie bezwarunkowo, a władze Nowej Zelandii zapewniały pełną opiekę polskim podopiecznym, ułatwiały również edukację i integrację w kraju osiedlenia. Dzieci przyjmowane były przez lokalne nowozelandzkie rodziny zastępcze na okres świąteczny, a tamtejsze ulice otrzymywały również polskie nazwy, jak choćby Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza czy Józefa Piłsudskiego. Ośrodek w Pahiatua zlikwidowano w 1949 r., ale większość przybyłych pięć lat wcześniej uchodźców pozostała w Nowej Zelandii.

Oczywiście, nie wszyscy Polacy opuścili terytorium Związku Radzieckiego wraz z armią gen. Andersa. Akcją pomocową dla tych, którzy pozostali w ZSRR zajmował się Związek Patriotów Polskich (ZPP) powołany w marcu 1943 r. ZPP stanowił główną platformę umożliwiająca zjednoczenie społeczności polskiej w ZSRR. Związek prowadził rozwiniętą akcję społeczną i kulturalno-oświatową, a więc polskie sierocińce, domy starców czy dla inwalidów, czy np. polskie chóry. Działający pod egidą ZPP Komitet do Spraw Dzieci Polskich w ZSRR kierował siecią szkół i przedszkoli polskich. Aktywiści ZPP na czele z Wandą Wasilewską, włożyli swój wkład w zwolnienie z radzieckich łagrów wielu przebywających tam Polaków. Począwszy od końca 1944 r. ZPP zajmował się przesiedlaniem ludności polskiej (w tym Żydów) na wyzwolone spod okupacji niemieckiej ziemie Rzeczypospolitej Polskiej. Działalność Związku Patriotów Polskich w ZSRR została ostatecznie zakończona w sierpniu 1946 r.

Po wyzwoleniu Europy przez armie sprzymierzone zdano sobie sprawę z problemu, który w znacznej mierze dotyczył Polaków – istnienia mas cywilów deportowanych przez okupantów w okresie wojny, w większości do pracy przymusowej w Niemczech. Wojskowe władze alianckie nazwały tę nowo odkrytą przez siebie kategorię ludności mianem Displaced Persons (DP) – „ludności przemieszczonej”, potocznie zaś nazywano ich dipisami. Do kategorii dipisów zaliczano również byłych jeńców wojennych i dezertów z Wehrmachu uprzednio przymusowo wcielonych do armii niemieckiej (przy czym decydowało kryterium narodowości). Wkrótce okazało się, że kwestia milionów dipisów w Europie w pierwszych powojennych latach stanowiła jeden z centralnych problemów społeczności międzynarodowej w tym okresie. W końcu 1944 r. w samych Niemczech znajdowało się 5 700 000 cywilnych robotników cudzoziemskich, w tym ponad 1 600 000 Polaków, którzy tym samym stanowili prawie 28 proc. ogółu dipisów w Niemczech i byli najliczniejszą, po obywatelach Związku Radzieckiego, grupą narodowościową w tym gronie. W maju 1945 r. na terytorium Niemiec znajdowało się około 1 900 000 obywateli polskich, których można zaliczyć do DP, w tym 1 200 000 w zachodnich strefach okupacyjnych. W tej liczbie 1 800 000 stanowili byli robotnicy przymusowi.

Powołana w 1943 r. międzynarodowa organizacja UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) starała się do końca swojej działalności w 1947 r. dopomóc w repatriacji jak największej liczby uchodźców wojennych i dipisów do wyzwolonych krajów pochodzenia. Z upływem miesięcy okazało się, że pewna część dipisów i uchodźców wojennych – traktowanych łącznie, z reguły w ramach pojęcia Displaced Persons – nie zamierza powracać do swoich ojczyzn, motywując to niejednokrotnie względami natury politycznej, przede wszystkim wrogością wobec nowej rzeczywistości społeczno-politycznej w Europie Środkowej i Wschodniej. Zdecydowanie najliczniejszą grupą narodową pośród wszystkich DP byli Polacy. Wprawiało to początkowo administrację UNRRA w konsternację – jako że z punktu widzenia celów tej organizacji za rzecz oczywistą uznawano chęć powrotu do kraju pochodzenia przez niezaangażowaną politycznie ludność cywilną, w większości przemieszczoną siłą przez okupanta w okresie wojennym. Rzecz jasna, większość Polaków powróciła do ojczyzny – 1 600 000 z okupowanych przez aliantów Niemiec oraz 500 000 z innych państw europejskich (wliczając około 100 000 reemigrantów, czyli emigrantów z okresu przedwojennego). Jednak pewna część Polaków odmawiała powrotu.

W 1947 r. rozwiązana została UNRRA, a powołana Międzynarodowa Organizacja do spraw Uchodźców (International Refugee Organization), która działała do 1951 r. Już jej nazwa świadczyła o nowym podejściu do kwestii mas byłych dipisów i uchodźców, którzy nie chcieli powracać do krajów pochodzenia. Obok wciąż prowadzonej, chociaż na coraz mniejszą skalę akcji repatriacji, poczesne miejsce w działalności IRO zajmowała akcja osiedlania na stałe dipisów z okresu wojennego i znacznie mniej licznej grupy wojennych uchodźców w nowych miejscach, często poza Europą. Prowadzone były również kursy językowe oraz szkolenia zawodowe, które w zamierzeniu miały zwiększyć

kompetencje, a tym samym możliwości emigracyjne podopiecznych tej organizacji międzynarodowej. IRO sprawowało również funkcje *quasi*-konsularne w stosunku do osób, które z różnych, uznanych za uzasadnione przez tę organizację względów, nie korzystały z pomocy służb konsularnych kraju pochodzenia. IRO była organizacją międzynarodową, działającą pod egidą ONZ i finansowaną przez 26 państw sygnatariuszy konstytucji IRO (ratyfikacji dokonało 18 państw), które składały się na jej budżet. Wśród państw sygnatariuszy nie było Związku Radzieckiego i innych europejskich państw demokracji ludowej, w tym Polski. Głównym płatnikiem do budżetu IRO były Stany Zjednoczone.

W latach 1947–1951 IRO zapewniała pomoc 1 619 000 uchodźców i dipisów na całym świecie, w tym 973 000 w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec. Pośród nich przez cały okres funkcjonowania IRO najwięcej było Polaków – w lipcu 1947 r. ponad 278 000, w tym ponad 120 000 uchodźców żydowskich. Drugą najliczniejszą grupą narodowościową byli Ukraińcy w liczbie ponad 98 000. Ponadto IRO zajmowała się kilkudziesięcioma tysiącami polskich tzw. *neo-refugees*, „nowych uchodźców”, czyli uciekinierów z za „żelaznej kurtyny” już po zakończeniu drugiej wojny światowej.

IRO doprowadziła do osiedlenia ponad 1 038 000 dipisów i uchodźców w różnych punktach globu, z czego grupę najliczniejszą – ponad 357 000 – stanowili Polacy. Na drugim miejscu, w liczbie ponad 113 000 byli Ukraińcy, częstokroć przedwojenni obywatele polscy. Dla porządku należy nadmienić, że w liczbie polskich uchodźców znajdowali się również uchodźcy żydowscy. W podanej wyżej liczbie wszystkich ulokowanych dipisów i uchodźców było ponad 231 000 uchodźców żydowskich (niezależnie od obywatelstwa), w tym wielu obywateli polskich.

Rzecz jasna, nie wszyscy polscy dipisi, z czasem nazywani uchodźcami, ze względu na sprzeciw wobec powrotu do Polski, byli w rzeczywistości uchodźcami politycznymi.

IRO ostatecznie zakończyło działalność w 1952 r., a jej uprawnienia przejął nowo powołany urząd Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do Spraw Uchodźców (United Nations High Commissioner for Refugees, UNHCR).

Z uwagi na opisaną wyżej skalę problemu polskich uchodźców, wydaje się, że okres pierwszych lat po zakończeniu działań wojennych zasługuje na znacznie większe niż do tej pory wyeksponowanie w polskiej świadomości. Nawet jeśli prawdą jest, że Polacy – podopieczni UNRRA i IRO w Europie w latach powojennych mieli możliwość powrotu do kraju w ramach akcji repatriacyjnej – większa część polskich dipisów zresztą z tej możliwości skorzystała jeszcze przed 1948 r., to prawdą pozostaje również fakt, że społeczność międzynarodowa od pewnego momentu (od około połowy 1947 r.) odnosiła się do pozostałych na emigracji dipisów jak do uchodźców oraz przychodziła tym Polakom z pomocą na rozmaitych polach (materialnym, zawodowym, kulturalno-oświatowym, organizacji dalszej emigracji i osiedlenia za granicą).

Odnosząc się do okresu po drugiej wojnie światowej, trzeba oczywiście wspomnieć również nowe fale uchodźców z terytorium Polski. Nie należy zapominać o Żydach polskich, którzy tuż po przetrwaniu hitlerowskiej gehenny i Zagłady, zdecydowali się ostatecznie opuścić Polskę

i szukać możliwości osiedlenia bądź w Palestynie (od 1948 r. w Izraelu), bądź w innych miejscach globu. Ruch ten nabrał szczególnego znaczenia po pogromie kieleckim z lipca 1946 r. Gdy w 1946 r. w Polsce było wciąż jeszcze około 240 tysięcy Żydów, w 1948 r. było ich już tylko 100 tysięcy, zaś w 1951 r. poniżej 80 tysięcy. Ten fragment historii łączy się bezpośrednio z dwoma innymi wątkami wspomnianymi wyżej: pośród 240 tysięcy Żydów, którzy przebywali w Polsce w 1946 r. znaczna część mogła się tu znaleźć dzięki repatriacji z ZSRR, której współorganizatorem był Związek Patriotów Polskich. Z kolei Żydzi, którzy następnie opuścili terytorium Polski, najczęściej przez pewien czas, na początku swojej uchodźczej drogi znajdowali się w obozach dla dipisów bądź specjalnych obozach dla uchodźców żydowskich na terytorium Niemiec, Austrii lub Włoch, korzystając w tym okresie w różnym zakresie z pomocy wojskowych władz okupacyjnych (w przypadku Niemiec i Austrii) oraz organizacji międzynarodowych (UNRRA, a następnie IRO).

Bez wątplenia ruchem uchodźczym był exodus około 13 tysięcy polskich Żydów w latach 1968–1971. To skutek tzw. wydarzeń marcowych z 1968 r. Najwięcej wyjazdów – oficjalnie 767 – w tym okresie nastąpiło w 1969 r. Pośród emigrantów wyraźna była nadreprezentacja osób z wyższym wykształceniem (1823) i studentów (944). Formalnie wszyscy żydowscy emigranci pomarcowi wyjeżdżali do Izraela. W praktyce do Izraela, przynajmniej w latach 1968–1969, wyjechało zaledwie 28 proc. spośród nich. Pozostali wyjechali do Danii lub Szwecji, które wiosną 1969 r. zaoferowały azyl, bądź do USA lub innych państw.

Na koniec należy oczywiście jeszcze wspomnieć o około 160 000 Polaków, którzy znaleźli się w obozach dla azylantów po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w grudniu 1981 r. Z tej liczby 100 000 osób wyjechało z kraju w okresie ostatnich 6 miesięcy przed 13 grudnia.

* * *

To co zostało powyżej wyłożone, oczywiście nie może być nieodpartym argumentem w dzisiejszych dyskusjach na temat pożądaney postawy władz Rzeczypospolitej wobec kryzysu migracyjnego, który rozgrywa się na naszych oczach w Europie. Na pewno jednak jednoznacznie wskazuje na fakt, że Polacy nie tylko sami bywali uchodźcami, ale bywali wręcz najliczniejszą grupą narodowościową pośród uchodźców oraz pośród podopiecznych społeczności międzynarodowej poza granicami swoich krajów pochodzenia w skali całej Europy – tak było w okresie pierwszych lat po zakończeniu drugiej wojny światowej.

W momentach kryzysowych polscy uchodźcy znajdowali pomoc w krajach osiedlenia lub choćby czasowego pobytu, w tym także – w okresie po drugiej wojnie światowej – pomoc organizacji międzynarodowych w osiedleniu na stałe w nowym miejscu na świecie.

Warto również zwrócić uwagę na fakt, że w historii polskiego uchodźstwa – jak w przypadku każdego uchodźstwa – nie da się wyznaczyć jednoznacznej linii demarkacyjnej między emigracją o charakterze politycznym a tą o charakterze ekonomicznym.

PAWEŁ SĘKOWSKI

(Na podstawie wystąpienia na majowej sesji „Kuźnicy” w MHMK)

MARIAN STĘPIEŃ

ALLIANCE COLLEGE

– POLSKA UCZELNIA W USA

Alliance College został usytuowany w pięknej, oddarzonej przez naturę okolicy. W połowie drogi między Nowym Jorkiem i Chicago, co dawało – bo i o tym myśleli jego twórcy – bezpieczne oddalenie od tych dwóch wówczas głównych środowisk polskiej emigracji, w których nie brakowało swarów, intryg i kłótni. Twórcy uczelni chcieli ochronić przed nimi polonijną młodzież. Ponadto takie usytuowanie szkoły było jednakowo dogodnie dla najważniejszych skupisk polonijnych, z których rekrutowaliby się jej słuchacze. Blisko mieli do niej ci, którzy przybywali z Pittsburga, Buffalo i Cleveland.

Miejscowość, która była siedzibą Alliance College rozłożyła się w lesistej okolicy, obfitującej w źródła mineralne. Obszar zajęty przez uczelnię obejmował prawie 200 akrów, częściowo zabudowanej szkolnymi obiektami, w części pokrytej lasem i stawami. Największy z nich został nazwany Polskim Jeziorem, Polish Lake. Michał Sprusiński tak opisywał tę miejscowość:

„Od jeziora Erie bodaj dwadzieścia mil jazdy na południe. Małe miasteczko Cambridge Springs, w nim polska uczelnia Alliance College. Łagodne, lesiste wzgórza południowo-zachodniej Pensylwanii. Każdy chyba, kto mieszkał tutaj przez dni parę, zachowuje w pamięci piękno krajobrazu”.¹

Miejscowość, w której usadowił się Alliance College w swej historii przybierała różne nazwy. Na początku, przez krótki czas nosiła nazwę Cummingstown, w 1822 roku zmieniła na Rockdale, w 1886 – na Borough of Cambridge, dwa lata później na Cambridgeborough, aż w końcu, w związku z odkryciem źródeł mineralnych, do których jak do kurortu zaczęli przyjeżdżać kuracjusze, utrwaliła się nazwa Cambridge Springs.

Miejscowość ta wpisała się również do historii Stanów Zjednoczonych. To tu właśnie 10 grudnia 1753 roku George Washington przekroczył French Creek, niewielką rzekę, w której dolinie rozłożyły się zabudowania i ulice Cambridge Springs. Ale wtedy nie była to niewielka rzeczka. Jej wody rozlały się szeroko, była duża powódź. Washington przekroczył ją właśnie tam, gdzie dzisiaj stoi Riverside Hotel.

Pierwsi mieszkańcy tej miejscowości pojawili się w niej na progu XIX wieku, w roku 1801. Tu w 1820 roku zatrzymał się generał Lafayette, w Cambridge House przeznaczonym dla byłych członków Armii Kontynentalnej.

W 1859 roku, gdy w Pensylwanii, w nieodległym Titusville odkryto złoża ropy naftowej, podobne wiercenia podjęto w Cambridge Springs. Ale zamiast ropy dowieziono się źródła wody mineralnej. W 1884 roku zbudowano dom zdrojowy i odtąd nastąpił szybki rozwój miasteczka.

Uległo ono dużemu nieszczęściu w 1897 roku. Wybuchł wielki pożar, spłonęły całe ulice drewnianych przeważnie domów. Pożar wybuchł 1 kwietnia. Telegram wysłany do pobliskiego Meadville z wołaniem o pomoc przyjęto zrazu jako żart primaaprilisowy.

Hotel The Riverside Inn – to do dziś działające centrum emerytów, zwane w pewnym okresie Vanadium Hotel, tu była pierwsza siedziba Alliance College.²

Zaczął się od listu Agatona Gillera, byłego członka rządu powstańczego w 1863 roku (stronniczo Białych) wysłanego do chicagowskiej „Gazety

² Historyczne informacje o Cambridge Springs czerpię z książki *Around Cambridge Springs. Sharon Smith Crisman and the Cambridge Springs Society. 2003.*

¹ M. Sprusiński, *Kuniec i inni*, „Literatura”, 18 V 1978.

Polskiej”; z apelem o zjednoczenie polskich klubów i związków. W następstwie tego apelu powstał w roku 1880 Związek Narodowy Polski (Polish National Alliance of United States of North America). Jego duchowym przywódcą był Agaton Giller.

Jednym z głównych problemów poza samopomocą gospodarczą, materialną, jakim ten Związek się zajął, było krzewienie oświaty narodowej wśród polonijnej społeczności, a zwłaszcza zapewnienie młodym pokoleniom polskim dobrego wykształcenia, wiedzy, zdolności uczestniczenia w amerykańskiej społeczności z równoczesnym pamiętaniem o własnym, polskim rodowodzie. Miała by to być placówka oświatowa, pierwsza polska szkoła świecka w Ameryce, która by była nie tylko źródłem wiedzy, ale też kuźnią charakterów, gdzie wzrastaliby przyszli przywódcy duchowi Polonii, działacze gospodarczy, społeczni i polityczni polskiego wychodźstwa.

Na Sejmie Związku Narodowego Polskiego 22 października 1903 roku powołano Komisję Oświaty i Szkolnictwa. Na jej pierwszym posiedzeniu powstał projekt założenia wyższego zakładu naukowego o polskim charakterze, który miałby spowodować awans społeczny młodzieży polonijnej w Ameryce i ocalić młode pokolenie dla polskich tradycji i języka.

„Tę jedyną, polonijną wyższą uczelnię na obczyźnie postanowił zbudować i utrzymać z drobnych opłat i składek dobrowolnych nie kto inny, lecz prosty, ale duchem obywatelskim ożywiony i potrzebę nauki rozumiejący, bezimienny wychodźca”.³

I tę ideę zrealizowano. W 1912 roku powstała Akademia Związkowa w Cambridge Springs. Pierwsze roczniki polskiej młodzieży podjęty w niej naukę 7 września, a oficjalne i uroczyste jej otwarcie odbyło się 26 października 1912 roku z udziałem prezydenta Stanów Zjednoczonych Williama Howarda Tafta. Powiedział on do zebranych:

*Rozumiem, że w dzisiejszych czasach ten instytut najlepiej reprezentuje dążenie Polaków amerykańskich do posiadania wielkiego, bogatego zakładu naukowego dla zachowania artystycznego ducha polskiego, miłości pięknej literatury i rozwoju wszelkich sztuk i nauk. Oby ta szkoła rosła w znaczenie i w siłę! Oby przechowywała ona w Polaku żyjącym w Ameryce cenne rysy charakteru jego polskich przodków! Oby umożliwiła Polakom amerykańskim wnoszenie w zbiorowe życie Amerykanina swych wysokich rycerskich i artystycznych właściwości.[...] Gdy nie będziecie dobrymi członkami swojego wielkiego narodu, który wydał Kazimierzów Wielkich, Sobieskich, Kościuszków, Pułaskich i setki innych wielkich mężów, to nie będziecie również dobrymi obywatelami tutejszego kraju.*⁴

Była to pierwsza świecka uczelnia polsko-amerykańska. W 1914 roku uzyskała aprobatę stanową. Akt inkorporacji szkoły dokonał się w sądzie powiatowym Crawford County, Meadville, Pensylwania, 16 listopada 1914 roku. Otrzymała oficjalną nazwę Polish National Alliance College. Miała też swoje godło obecne w oficjalnej pieczęci; zaprojektowane i przyjęte przez rewolucyjny rząd podczas powstania styczniowego. Przypomina, że królestwo polskie było wspólnotą

trzech narodów, które uczestniczyły zarówno w pomysłowości jak i w kłopotach państwa. W kręgu, na którym biegnie napis: Alliance College 1912 Cambridge Springs Pensylwania zawierają się trzy symbole: Orzeł symbolizujący Królestwo Polskie, Pogoń – Wielkie Księstwo Litewskie i Archanioł Michał – Księstwo Ukraińskie.

Pierwszy rok nauczania przyciągnął 326 studentów; pierwszych kilkunastu abiturientów opuściło Kolegium w 1915 roku. Była to młodzież z różnych roczników. W tym samym roku utworzono Instytut Rzemieślniczy (w 1931 roku przekształcony w Instytut Techniczny) w celu przygotowania zastępu fachowo wyszkolonych rzemieślników polskich, mechaników; by otworzyć im drogę nie tylko do zakładania własnych warsztatów, ale także do wyższych stanowisk w większych zakładach i instytucjach przemysłowych. (Warto dodać, że ten Instytut służył nie tylko polonijnej młodzieży. Amerykańskie władze wojskowe przystąpiły tu również 220 żołnierzy-weteranów pierwszej wojny światowej na przeszkolenie zawodowe ułatwiające urządzenie się w cywilnym życiu).

Uroczystym wydarzeniem była promocja pierwszych absolwentów w czerwcu 1916 roku. Z tej okazji przyjechał do Cambridge Springs Ignacy Jan Paderewski. W dużej, niedawno wykończonej auli Akademii Związkowej zasiedli przedstawiciele życia organizacyjnego i umysłowego Polonii Amerykańskiej. Z całego kraju zjechały się rodziny pierwszych absolwentów. Zgromadziła się młodzież. Paderewski wstąpił na podium i wygłosił przemówienie:

Doznaję tu dziwnie miłego wrażenia. Tysiące mil dzielą mnie od Ojczyzny, a widzę tu tyle polskich twarzy. Polska mowa rozbrzmiewa dookoła, zewsząd wieje polskości tchnienie, tak, że zdaje mi się iż wśród Polaków jestem i w Polsce jestem, w Polsce wolnej i na pozór szczęśliwej. Znikają dawne udręki cierpienia, a z ramion spada ciężar przejść tyłu i wołać każe każda myśl: Polsko, Ojczyzno ty moja, bądź pozdrowiona i błogostawiona tu i tam, na każdym kroku i w każdej godzinie.

Jestem tu pod gościnnym dachem największej świeckiej polskiej uczelni w Stanach Zjednoczonych. Znalazłem się tutaj w wesolej godzinie, bo ten akt uroczysty zakończenia roku szkolnego jest dniem nadziei wszystkich. Dla profesorów zapowiedź do zasłużonego wypoczynku, dla młodzieży rwącej się do igraszek i swobody jest dniem uciechy i skończenia trosk szkolnych, a wspomnieniem dla tych, którzy te mury opuścili. Za szczególnie zaszczyt poczytuję sobie, że odezwać się mogę w chwili tej do tych, za którymi zamknę się bramy, którzy dziś ruszą w świat szeroki.

Młodzi przyjaciele. Urodziście się z rodziców polskich, których tu przywiodło ubóstwo, długa praojców niedola i niewola. Przybyli tu po wolność, szczęście i prawo do swobodnego bytu – słowem po to wszystko, czego im Polska, ojczyzna nasza na trzy rozdarta części, nie była dać w stanie. Przybyli tu dobrowolnie, jak wygnańcy, jak tułacze.

Ale rodzona matka nie wyrzekli się nigdy i zawsze byli czuli na jej cierpienia. Niegodnym byłby, kto by im z tego zarzut śmiać czynić.

Ojcowie wasi mówić na próżno nie lubią, oni działacze wołają i oto Związek Narodowy Polski, ten dostojny oj-

³ Michał Dusza, 90 lat temu powstało w Pensylwanii Kolegium Związkowe. „Zgoda” 1 I 2002.

⁴ Cyt. za: jw.

ców waszych związek przemówił nie słowy, ale czynem ofiarnym, wspaniałym – czynem tym to polska wyższa uczelnia na wychodźstwie.

W tym czynie całe waszego życia wskazanie, cała wasza prawda i droga na przyszłość. Ojcowie wasi pragną w was widzieć dobrych tego kraju obywateli, ale nie chcą byście o Polskę zapomnieli. Miłujcie ten kraj za swobody, za gościnność, za prawa ludzkie, sprawiedliwe i wszystkim opieki udzielające.

Ale kochajcie Polskę, bo nie ma kraju, który by był kochania godniejszym.

Czujcie sztandar gwiazdzisty i gdyby zaszła tego potrzeba, stańcie przy nim ochotczo i brońcie go odważnie, do kropli ostatniej, uczciwie i wiernie jak tylko Polak bronić potrafi. Ale o Białym Orle nie zapominajcie, bo nie ma orła, co by był czyściejszym.

Młodzieży Polska. Wychodzisz dziś na długi gościniec, idziesz na pracę, na walkę, na trud, na znój, na bój. Idź w Polski imię, idź w Boga imię a zwyciężysz. Odwieczna ziemia ojców twych serdecznie ci błogostawi i niech ci Bóg szczęści.⁵

Nie wiem, czy już wtedy zaśpiewano hymn Alliance College. Możliwe, że powstał on później. Niemniej nie-
 źle będzie w tym miejscu go przytoczyć:

Alma Mater

Upon a beautiful hilltop,
 Beside the hallow'd wood.
 There stands our Alma Mater,
 Conceived in brotherhood.
 Sing praise to our Alliance,
 Her majesty proclaim.
 Our hearts and minds we give to thee,
 Alliance.
 Our hearts and minds we pledge to thee,
 Alliance.⁶

Alliance College zasłużył się już w pierwszych latach swego istnienia jako miejsce szkolenia żołnierzy, którzy mieli pospieszyć do Europy, by wesprzeć oddziały walczące o niepodległość Polski. W 1917 roku utworzono w nim szkołę podoficerów. „Malownicze miasteczko Cambridge Springs, Pensylwania, było najważniejszym ośrodkiem szkoleniowym dla Pogotowia Bojowego Wychodźstwa Polskiego w Ameryce”.⁷

Związek Sokolstwa Polskiego na zjeździe w dniach 15-16 grudnia 1913 roku w Pittsburgu podjął rezolucję, „aby z Sokolstwa Polskiego stworzyć Pogotowie Bojowe Wychodźstwa”. Realizując to postanowienie rozesłano *Listy Ochotnicze* do „gniazd sokolich” rozrzuconych w różnych miejscach Stanów Zjednoczonych. Odpowiedziało 3.500 druhów i druhen. I dla nich zorganizowano kilka dwutygodniowych kursów wojskowych dla instruktorów, w różnych miejscach kraju. A dla wybranych Zarząd Sokolstwa postanowił zorganizować dwumiesięczny kurs w gmachu Alliance College. Kurs trwał od 1 maja do 30 czerwca 1914 roku. Uczestniczyło w nim 64 kursantów, którzy po ukończeniu kursu awansowali do stopni starszych plutonowych, drużynowych i starszych drużynowych. Kierownikiem kursu był

Naczelnik Sokolstwa w Ameryce, były austriacki oficer Witold Ryłski. A profesorowie Alliance College wykładali kursantom historię, geografii, wiedzę ogólną i wychowanie patriotyczne.

Komendantem Szkoły Wojskowej Cambridge Springs był F.W. Dziób. We wspomnieniach zatytułowanych *Cambridge Springs w historii Armii Polskiej* opisuje fachowe szkolenie prowadzone przez byłych oficerów armii austriackiej, którzy uczyli musztry, posługiwanie się karabinem, kopania rowów strzeleckich, odbywania nocnych ćwiczeń.

Uczniowie Szkoły Wojskowej oficjalnie otwartej 19 marca 1917 roku dopisali. Przyjeżdżali do Cambridge Springs z różnych, niekiedy odległych miejscowości, przeważnie na koszt własny, opłacali utrzymanie i ekwipunek. Na początku było ich stu, wkrótce ich liczba doszła do pięciuset. „Kolegium ZNP było ważnym czynnikiem przy tworzeniu Armii Polskiej z Ameryki, bo pomogło do wyszkolenia około pięciuset oficerów i podoficerów, którzy później stanęli na czele trzydziestu tysięcy ochotników, jakich Polonia amerykańska posłała do walki o wolność Polski”.⁸

Departament Wojny Stanów Zjednoczonych nadesłał do Szkoły pismo datowane 22 XI 1921 ze słowami:

„This is to certify that Polish National Alliance College in a spirit of patriotism and devotion to country, rendered efficient and loyal service in connection with the World War through the establishment and operation at that institution of a unit of the students army training corps”¹⁰

Do 1924 roku Alliance College miało charakter szkoły średniej, w nazewnictwie amerykańskim – High school. W tym roku dotychczasowa szkoła średnia zaczęła się powoli przekształcać w uczelnię o charakterze Junior College.

W 1926 roku polskie Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przyznało absolwentom Kolegium Związkowego prawo wstępowania na polskie uniwersytety bez egzaminów wstępnych.

W rok później powstały dwa laboratoria, chemii i fizyki oraz biblioteka.

W 1931 roku w głównym budynku Alliance College, owym Hotel Vanadium wybuchł pożar, który zniszczył doszczętnie urządzenia, sale klasowe, laboratoria, zbiory biblioteczne, wyposażenie biurowe. Nauki jednak nie przerwano. Uczniów rozmieszczono w prywatnych domach, a za sale wykładowe służyły kościoły.

Pożar hotelu Vanadium, gdzie była główna siedziba kolegium, przyspieszył decyzję o budowie kampusu. Na łagodnym wzgórzu ponad miasteczkiem, w jego pobliżu, na terenie do miasteczka przyległym zaczęły powstawać budynki. Już nieco wcześniej stanął Kosciuszko Hall, w 1937 roku – Alliance Hall, w 1941 – Washington Hall, w którym, w 1971 roku nastąpiło otwarcie biblioteki, w 1951 roku powstają obiekty sportowe, w 1962 roku powstaje Kozmor Hall, w którym kilka pokoi zajmowały studentki, a w paru innych goszczono przyjezdnych profesorów, pisarzy z odczytami i spotkaniami ze studentami, artystów dających tu koncerty. W 1967 roku otwarto gmach Marii Skłodowskiej-Curie,

5 Nie udało mi się dotrzeć do źródła tego przemówienia. Cytuję je za książką Marka Świąckiego i Róży Nowotarskiej *Gentleman z Michigan. Polska Fundacja Kulturalna*, Londyn 1970, s. 28-29.

6 Słowa i muzyka Dr Malcolm Seagrave.

7 Wojciech Albrycht, *Kurs wojskowy w roku 1914 w Cambridge Springs, PA*. „Weteran”, maj 1962.

8 „Zgoda” 15 II 2002

9 tamże

10 tamże

gdzie umieszczono pracownie chemiczne, fizyczne i centrum komputerowe. W 1969 stanął nowy dom studencki dla dziewcząt, dla chłopców i Planetarium imienia Mikołaja Kopernika.

Te informacje świadczą o pięknym rozwoju uczelni, która w 1948 roku stała się pełnym czteroletnim kolegium, a jej prezydentem, czyli rektorem został bardzo zasłużony dla szkoły i pięknie wspomniany dr Artur P. Coleman. W 1952 roku kolegium otrzymało akredytację Middle States Association of Colleges and Schools, co oznaczało, że Kolegium Związkowe zostało dopuszczone do unii college'ów w Stanach Zjednoczonych, a jego absolwenci uzyskali prawo wstępu na uniwersytety.

Kolegium służyło własnemu regionowi i całym Stanom jako ośrodek, w którym uczono polonijną młodzież ojczystego języka, kultury własnego kraju, z którego wyszli przodkowie studiujących w College'u, jego historii, a także przedmiotów niezbędnych dla zdobycia zawodu – dzięki rozwojowi takich dyscyplin nauczania jak matematyka, chemia, fizyka, przysposobienie medyczne, technika, komputery, księgowość, zarządzanie, business, historia, psychologia, socjologia. Toteż wśród młodzieży studiującej w kolegium pojawiała się coraz częściej młodzież nie tylko polonijna, ale wywodząca się z różnych grup etnicznych, która z różnych powodów była zainteresowana odbyciem w nim studiów.

Było to – z jednej strony korzystne, dawało także korzyści finansowe, ale równocześnie byli i tacy, którzy narzekali na tę „amerykanizację” kolegium. Pojawiały się wahania co do jego zasadniczego przeznaczenia. Powstało z myślą przede wszystkim (jeśli nie wyłącznie) o młodzieży polonijnej. Z czasem jednak trzeba było od tej koncepcji odchodzić, przyjmować młodzież amerykańską nie tylko pochodzenia polskiego, choćby ze względu na potrzeby finansowe. A wobec tego oferować tej młodzieży odpowiednie przedmioty, nie tylko związane z kultywowaniem polskiej kultury i języka. Tym bardziej że nowi emigranci podejmowali naukę raczej w innych uznanych uczelniach amerykańskich. Pojawiały się więc tendencje, by – nie tracąc elementów właściwych Kolegium Związkowemu, takich jak prowadzenie przedmiotów dotyczących polski (historia, kultura, literatura, język) – uczynić z kolegium uczelnię uniwersalną oferującą wykształcenie w różnych kierunkach i zawodach.

Czy więc być wiernym przekazowi ideowemu założycieli Collegium, co znaczyło tkwić w polonijnym getcie, czy też wychodzić z niego ku ogólniejszym perspektywom przyciągającym młodzież amerykańską niezależnie od jej etnicznego pochodzenia.

Byli tacy, którzy nie mogli się pogodzić z odchodzeniem od pierwotnej koncepcji Alliance College. Jeden z jego prezydentów, dr Perciński podał się do dymisji właśnie w związku z planami reformy tej instytucji w kierunku zbliżenia jej do akademickich instytucji amerykańskich i przezwyciężenia polonijnego getta. Jerzy Giedroyc, zwolennik reform prowadzących do wychodzenia z polonijnych opłotków zamieścił w tej sprawie w artykule Edwarda Puacza, w którym było opowiedzenie się za daleko idącymi zmianami w kierunku nadania uczelni ogólnego charakteru.¹¹

11 Edward Puacz, *Kolegium Związkowe*, „Kultura” 1971, nr 7-8.

Niemniej byli i tacy, którzy ubolewali z powodu owej „amerykanizacji” kolegium. Należał do nich mieszkający w Anglii, ale czasowo przebywający w Stanach i wykładający na tamtejszych wyższych uczelniach poeta Wiesław Strzałkowski. W swoim zachowanym w maszynopisie życiorysie zanotował:

„Zdając sobie sprawę z naglącej potrzeby szerzenia naszej kultury wśród milionów Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy nieraz niewiele wiedzą o kraju swych przodków, udałem się do prezesa Kongresu Polonii p. Rozmarka, namawiając go na stworzenie polskiego uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych, tym więcej, że istniejący Alliance College, powstały pod auspicjami Paderewskiego zupełnie się zamerykanizował i nawet miał mniej wykładów z polskiego niż z rosyjskiego. Pana Rozmarka jednak dysponującego milionami te sprawy wyraźnie nie interesowały”.¹²

Ze studentami Alliance College spotykali się poeci polscy: Artur Międzyrzecki, Czesław Miłosz, Edward Stachura. Na zaproszenie Alliance College koncert w Cambridge Springs dała Barbara Hesse-Bukowska i Tadeusz Kerner, co było ważne nie tylko dla społeczności uczelni, ale również dla wszystkich mieszkańców miasteczka.

Przejawem życia naukowego była m. in. konferencja jesienią 1977 roku w Waszyngtonie poświęcona polskiej literaturze emigracyjnej z udziałem Wiktora Weintrauba, Jerzego Krzyżanowskiego, Zbigniewa Folejewskiego, Mieczysława Giergielewicza. Była to inicjatywa Alliance College i w jego siedzibie mieściło się centrum organizacyjne. Godny uwagi jest też wydany przez Alliance College biuletyn zawierający naukowe artykuły dotyczące spraw polskich. M. in. dr Darrel Sheraw opublikował ciekawy artykuł o Tadeuszu Kościuszcze w utworach angielskich poetów. Po śmierci wielkiego Polaka pisał o nim Samuel Taylor Coleridge, później sonet kościuszkowski napisał John Keats, a w pięć lat po śmierci polskiego bohatera uwagę mu poświęcił George Byron w wierszu *Age of Bronze*.

Dr Konstantin Symmons przypomniał naukowe zasługi Jana Czekanowskiego i Bronisława Malinowskiego w artykule *Polish Contributions to American Scholarship in the Area of Sociology and Anthropology*. A Thomas Monzell poświęcił uwagę Alliance College w artykule *The Polish National Alliance in History: Changing Priorities*. Harry Dembkowski zamieścił esej o prozie Wiesława Kunickiego, a Christine Marchewka o korzystaniu z dzieł Oskara Kolberga przez zespół „Kujawiaki”.¹³

Bo trzeba dodać, że młodzież Alliance College utworzyła zespół pieśni i tańca „Kujawiaki”. W jego repertuarze był folklor śląski, regionu rzeszowskiego, krakowskiego, Podhala, Łowicza. Utalentowana muzycznie i tanecznie grupa studentów Alliance College z dużym powodzeniem prezentowała w różnych ośrodkach amerykańskich polską muzykę ludową, tańce

12 Wiesław Strzałkowski, *Życiorys*. Maszynopis, s. 154. Cytowany fragment dotyczy lat podczas wojny wietnamskiej, po 1965 roku, kiedy to, jesienią autor wyjechał z Anglii do Stanów na wykłady. Pełniejsza informacja o autorze zob. W. Strzałkowski, *De profundis clamavi. Utwory wybrane. Wstępem poprzedził i wyboru dokonał Marian Stępień*, Kraków 2002.

13 Zob. *Alliance College Collection of Polish American Essays*. Cambridge Springs PA 1977.

i pieśni. Gdy spojrzysz na ich program, widać, że w zespole widnieją w dużej większości polskie nazwiska. To pokolenie wnuków, prawnuków pierwszych osadników polskich na lądzie amerykańskim.

Zespół „Kujawiaki” wystąpił w 1966 roku w Białym Domu w Waszyngtonie, za prezydentury Johnsona w czasie uroczystości Bożego Narodzenia. W 1982 przyjechał do Polski, by wziąć udział w Międzynarodowym Festiwalu Ludowych Pieśni i Tańca w Rzeszowie.

Wysiłkiem samych studentów wystawiono na terenie szkoły, a później w wielu innych ośrodkach, z dużym powodzeniem *Dwa Teatry* Jerzego Szaniawskiego w przekładzie angielskim.

Przez dziesięciolecia Alliance College z niepozornej szkoły rozwinął się w wyższą uczelnię wpisaną w system amerykańskich college'ów z uprawnieniami nadawaniem stopni Bachelor of Arts i Bachelor of Science. Ale w późniejszych dekadach przyszyły kłopoty. Malała liczba studentów. Jeszcze w roku szkolnym 1970/71 było ich prawie 600, pięć lat później, w roku szkolnym 1975/76 już tylko 350, w tym coraz mniej na wydziale sławistycznym, gdzie sprawy polskie studiowało zaledwie 25-30 osób rocznie. Największą trudnością były kłopoty finansowe. By przyciągnąć młodzież, trzeba by zatrudnić wybitnych profesorów. By ich zatrudnić, trzeba dysponować lepszymi możliwościami finansowymi. Te zaś zależą od liczby studentów opłacających studia. I tu koło się zamyka.

Toteż z niemałą pomocą pośpieszył Uniwersytet Jagielloński, który zawarł *„Umowę o współpracy pomiędzy Uniwersytetem Jagiellońskim i Alliance College”*:

*Rozumiejąc doniosłą rolę nauki
i rolę szkolnictwa wyższego
w budowaniu podstaw do dalszego
pokoju i rozwoju świata,
Rozumiejąc stale zwiększające się
potrzeby wspólnych przedsięwzięć
jednostek, odmiennych kultur i grup
etnicznych jak również odmiennych
systemów społeczno-ekonomicznych i
politycznych,*

*Uznając historyczne więzy i aktualnie
istniejące kontakty łączące*

*Uniwersytet Jagielloński, znaną na
całym świecie placówkę naukową i kulturalną,
z Alliance College, uczelnią założoną przez
polskich emigrantów i popieraną*

Przez Amerykanów polskiego pochodzenia,

*My, Uniwersytet Jagielloński, Kraków, Polska i Alliance College, Cambridge Springs, Pennsylvania, U.S.A., zawieramy porozumienie o współpracy kulturalnej, naukowej i dydaktycznej.*¹⁴

Na tej podstawie studenci Alliance College przyjeżdżali do Polski, a polscy (głównie angielsi) z Uniwersytetu Jagiellońskiego z dużym dla siebie pożytkiem spędzali dwa semestry w Alliance College. Na tym ta współpraca i opieka się nie kończyła. Uniwersytet Jagielloński słał tam również swych pracowników naukowych, by pomóc w utrzymaniu wysokiego poziomu wykładów i seminariów. Przez rok lub dłużej przebywali tam i prowadzili zajęcia ze swojej dyscypliny ciesząc się dużym zainteresowaniem i uznaniem studentów,

profesorowie UJ, wśród nich: Zbigniew Kuderowicz (filozofia), Władysław Kwaśniewicz (socjologia), Zygmunt Szweykowski (muzykologia) Wanda Pindlowa (bibliotekarstwo), piszący te słowa (kultura i literatura polska).

O częściowej poprawie w kondycji Alliance College pisał Jan Piekoszewski: „Od paru lat sytuacja uległa nieznacznej poprawie, ponieważ wspólnie z Fundacją Kościuszkowską College ten wysyła co roku paru studentów do Polski, aby po dwóch latach studiów polonistycznych na miejscu, trzeci rok odbyć na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dotychczasowe doświadczenia wykazały, że roczne studia tego typu w Polsce dają więcej aniżeli dwuletnie w Ameryce.”¹⁵

Kłopoty, z jakimi musiało borykać się kierownictwo Alliance College, wywoływały szersze zainteresowanie. Krytycznie patrzył na tę uczelnię, zwłaszcza w świetle jej finansowych trudności, Jerzy Giedroyc. W 1979 pisał o niej do Jana Nowaka-Jeziorańskiego:

„Długa sprawa, to Alliance College. Pozycja zero, a właściwie ujemna, dopłaca się do tego ogromne pieniądze co roku, zamiast stworzyć za wzorem Ukraińców ośrodek np. w Columbii za te pieniądze i Alliance College sprzedać”¹⁶.

W podróży z odczytami w kilku amerykańskich i kanadyjskich uniwersytetach (George Washington University, Princeton, Columbia, Yale, Harvard, University of Toronto) Czesław Miłosz w 1970 roku odwiedził również Alliance College w Pensylwanii. Chwalił sobie piękną podróż z Bostonu do Toronto, przez Niagara Falls, Buffalo do Irie, skąd już blisko do Cambridge Springs. Było to w czasie, gdy z myślą o losach Alliance College i jego finansowych kłopotach rodziły się różne projekty. Jerzy Giedroyc, do którego Miłosz pisał o tym polonijnym ośrodku, był za jego sprzedaniem. Miłosz z nim się nie zgadzał. Pisał w liście z 30 X 1970 roku:

„Obawiam się, że się mylisz sądząc, że sprzedaż Alliance College dałaby coś prócz zniszczenia instytucji, która bądź co bądź jest i może do czegoś posłużyć w przyszłości, jeżeli znajdą się ludzie”.¹⁷

Tak przedstawiał swoje motywy przyjęcia zaproszenia tej uczelni i swoje w niej wrażenia:

„Chociaż nie biorę udziału w sprawach polonijnych, przyjąłem zaproszenie z Alliance College i z prostej ciekawości, i ze względu na echa, że coś tam się zaczęło ruszać”.¹⁸ Zobaczył, że w tym, jak pisze, „malutkim miasteczku o 100 mil i od Buffalo, i od Cleveland, i od Pittsburga” jest coś, co zrobiło na nim wrażenie:

„Campus ogromny, ładny, budynki dobre. College (czyli 4 pierwsze lata uniwersytetu, z prawem dawania stopnia *bachelor*) utrzymywany przez Polonię ma science i humanistykę, język wykładowy angielski, większość studentów pochodzenia polskiego, mały ich procent zna polski”.¹⁹

Z dystansem krytycznym pisze Miłosz o spotkanych w Alliance College niektórych profesorach:

15 Jan Piekoszewski, *Problemy Polonii amerykańskiej*. Warszawa 1981, s. 63.

16 Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952-1998. Wybór, opracowanie i wstęp Dobrosława Platt*, Wrocław 2001, s. 505-506.

17 jw., s. 414

18 jw., s. 406

19 tamże

14 Archiwum UJ, sygn. DWZ II 177.

„Dr Gniazdowski, ekonomista z Akademii Nauk w Warszawie, starszy pan, *très bien*, który zdecydował się do Polski nie wracać, jest przykładem, na jakich ludzi może College liczyć, bo ci co potrafią urządzić się gdzie indziej, nie pójdą do takiej dziury. Wszystko tam robi Maciuszko [...] dobrej woli i zagubiony, ale w ogóle przedziwna menażeria”.²⁰

O spotkaniu dziekan nie miał Miłosz specjalnie dobrego zdania: „Dean nazywa się Szczepański, ale po polsku ani słowa, chemik, nic go humanistyka nie obchodzi”.²¹

Dłuższy opis przeznacza dla prezydenta, czyli rektora College'u, zaczynając z ironią: „...ba, cenne przeżycie. Przyjmuje nas w smokingu i zabiera na obchód domu, rok temu właśnie wybudowanego na kampusie. Niczego takiego w Ameryce nie widziałem. Mnóstwo pokoi, łazienek, barów, najnowocześniejsze gadgets, zupełnie »Mon oncle«, ujutność w najgorszym smaku, landszafty, figurki, ani jednej książki. Z wykształcenia inżynier, rozmowa po angielsku, zna polski. Ale wstydzi się, bo chłopska gwara, tzn. boi się, że nie mówi poprawnie”.²²

W rozmowie z nim rozwinął Miłosz interesującą koncepcję dotyczącą przyszłości College'u i właściwego wykorzystania jego majątku w postaci usytuowania i budynków:

„Wszystkie moje wysiłki zmierzały do tego, że by go przekonać, że powinien założyć centrum of Polish Ethnic Studies, tzn. zająć się socjologiczną historią polskiej emigracji, że nikt inny tego nie robi, że pora skończyć z polonijną pokorą i że nawet dostaliby na to pieniądze od fundacji”.²³

Miłosz odniósł się również do wysyłania studentów College'u do Polski i do umowy między Uniwersyteciem Jagiellońskim i Alliance College: „Pytali mnie, co o tym sądzę. No, cóż mogłem odpowiedzieć? Że w każdej transakcji międzynarodowej strony mają nadzieję oszukać partnera i że to zależy od doboru studentów, że trzeba obliczyć i ryzyko, i to co się zyskuje, co się traci. Że studenci, jeżeli rozgarnięci, stykając się ze swoimi polskimi kolegami, sąd sobie wyrobią. Ale że UB będzie starało się ich zwerbować”.²⁴

Bardzo był zadowolony ze spotkania ze studentami College'u. „Publiczność studencką miałem entuzjastyczną [...] Podpisałem mnóstwo egzemplarzy mojej *Historii literatury*, która tam jest już używana jako podręcznik [...] W sumie, moje wrażenie takie, że może dałoby się wsadzić tam kogoś pierwszorzędny, ale pierwszorzędny nie zechce nie tylko pieniędzy, także dlatego, że gros pracy to orka administracyjna [...]”.

20 tamże

21 tamże

22 Tamże. Stosunki panujące wśród personelu Alliance College w świetle satyrycznym graniczącym z paszkwilem przedstawiła Halina Świdzińska w książce *Absurdyści i iluzjoniści. Eseje, refleksje, rozważania*. Londyn 1981. Autorka przez pewien czas była zatrudniona w Alliance College. Jego środowisko zobrazowała jako małość rektora, intrygi między nauczającymi. Być może, że na takie jej stanowisko i opinię wpłynął fakt, że nie zatrudniono jej ponownie po zrobieniu doktoratu. Pisała bowiem: „Gdy po zrobieniu doktoratu chciałam wrócić do Kolegium, bo miałam w Cambridge Springs dom i ogród, który sama stworzyłam, nie przyjęto mnie z powrotem. Szkoda domu, który byłam zmuszona sprzedać”. (s. 117). Tu niezbędne wyjaśnienie: W Stanach Zjednoczonych doktorant na czas pracy nad doktoratem musi zamieszkać w miejscowości, w której jest uczelnia, na której mu otworzono przewód doktorski.

23 Tamże, s. 106-107

24 tamże, s. 407

czyli zmaganie się z uporem prezydenta, deana, rady nadzorczej etc.”²⁵

W opinii Miłosza o profesorach Alliance College jest dużo prawdy. Toteż, świadomi tego wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego pośpieszyli z pomocą.

Szczegóły przedstawione przez Miłosza odegrały inny niż zamierzony skutek jeśli chodzi o opinię Giedroycy. Odpowiadał poecie:

„Ten opis Alliance College byłby zabawny, gdyby to nie było takie ponure. Jakże zazdroścę Ukraińcom. Od pewnego czasu lansuję koncepcję zupełnie nierealną, ale chyba jedyną. Mianowicie by Alliance College sprzedać (to podobno wartość parumilionowa) i za te pieniądze w jednym z dużych stanowych uniwersytetów ustalić mocny ośrodek nie tylko polonistyczny, ale wschodnioeuropejski wraz z centralną biblioteką. Marzyłbym o lektoracie literatury jidysz, która zanikła i jest praktycznie niszczone przez ten głupi Izrael. W ten sposób można by zacząć produkować wreszcie inteligencję pochodzenia polskiego”.²⁶

Później jednak jakby korygował swoje stanowisko, bo pisał do Miłosza: „Może masz rację co do Alliance College i polonistyki w Stanach. Mało znam ten teren i zresztą też mam dosyć tych wszystkich Terleckich, Krzyżanowskich *et consortes*”.²⁷

Chmury nad Alliance College się zagęszczały. Komplikowały się problemy finansowe, rosło zadłużenie. Organizacje polonijne odpowiedzialne za los szkoły, to znaczy Kongres Polonii Amerykańskiej i Związek Narodowy Polski nie kwapiły się z pomocą finansową. Pozostawały obojętne na imponderabilia tradycji, patriotyzmu, wierności wobec założycieli i ich intencji. Na te sprawy byli bardzo uczuleni profesorowie od lat z uczelnią związani, pracujący w niej za niskie nawet wynagrodzenie, w przekonaniu, że dobrze służą sprawie Polaków w Stanach Zjednoczonych i nie tracąc do końca nadziei, że tak liczna przecież Polonia w Stanach Zjednoczonych zdobędzie się na ratowanie swojej uczelni. Przyjmowali nawet bez protestu konieczne wyrzeczenia, jak o tym świadczą fragmenty otrzymywanej przez piszącego te słowa korespondencji.

W liście z 10 II 1979 roku są już sygnały zagrożenia, ale górę bierze jeszcze nadzieja: „Może się uratuje Alliance College”. A w korespondencji z 17 V 1983 doniesienie o wzrastających trudnościach i ograniczeniach:

„Alliance College ma ogromne trudności finansowe – dlatego wynagrodzenie będzie według stawek za zlecane wykłady. Stałych wykładowców jest tylko 14 – resztę stanowią wykładowcy, którzy uczą 1 lub 2 przedmioty”.

W liście z 16 VI 1987: „Drogi Profesorze, Nie wiemy naprawdę, co się będzie »działo« na naszym terenie. Władze P.N.A. po wielu latach prób zlikwidowania – pochopnie zdecydowały się zamknąć Alliance. Niestety wiele spraw nie przewidziano. Są różne propozycje, ale trudne do realizacji, a tu już w lipcu trzeba zapłacić podatek w wysokości 279.000 dolarów. Jest też kilka spraw w sądzie. Dodatkowo jeszcze jest kilka spraw finansowych, do których zostały powołane władze federalne. Bardzo niemiłe niespodzianki!

25 tamże

26 tamże

27 tamże, s. 419.

Bardzo serdecznie dziękujemy za list Uniwersytetu, którego kserograf dopiero niedawno udało się nam dostać, stąd ta zwłoka w odpowiedzi, za którą przepraszamy”.

Ciągle jeszcze tliła się isierka nadziei, że kolegium można uratować. Mimo że – jak się później okazało – decyzje już zapadły, nie ustawały różne próby ratowania. W liście z 17 lutego 1988 pisano: „Nie wiadomo jeszcze, jakie losy czekają Alliance College. Jest wiele pogłosek nawet, że macierzysty kraj jest włączony w reaktywację A.C. Związek musi podjąć jakąś decyzję, bo koszty utrzymania będą sięgać pół miliona dolarów, bez żadnych dochodów w roku bieżącym”.

A jednak... Mimo protestów, wyrzeczeń i innych wysiłków, by ratować kolegium, doszło do likwidacji Alliance College. Gdy okazało się, że szkoła nie przynosi dochodu, mnoży zadłużenie, postanowiono ją zlikwidować. Decyzję tę podjęto na zjeździe Szkolnej Komisji Związkowej w Filadelfii 20 lutego 1987 roku.

Stanisław Dąbrowski, który zamieszczał artykuły broniące Alliance College przed upadkiem, w „Gwieździe Polarnej” Żale Sarmaty, w studenckim piśmie „Szaniec”, opublikował w nowojorskim „Nowym Dzienniku” artykuł *Nad kasacją Kolegium Związkowego*.²⁸ Był on obecny na – jak to określał – „pogrzebie Alliance College”. Owa „pogrzebowa uroczystość” odbyła się w czasie zakończenia roku akademickiego 17 maja 1987 roku. Do ostatnich dni absolwenci kolegium mieli jeszcze nadzieję na zapobieżeniu nieszczęściu. Zebrali się w liczbie około stu osób 10 kwietnia tego roku, by podjąć akcję ratowania swojej uczelni, do której byli bardzo przywiązani, czego dowody dawali w ciągu lat wielokrotnie. I właśnie w kolejny Graduation Day prezes Związku Narodowego Polskiego Alojzy Mazewski oficjalnie poinformował o likwidacji i sprzedaży Alliance College. Gdy zebrani słuchali jego wystąpienia, gdy mówił o „dobroczynnych nabywcach”, którzy stworzą „New Alliance College” zebrani protestowali tak głośno i długo, że Mazewski musiał przerwać swe przemówienie i „usiąść jak niepyszny”. Słowa ujęte w cudzysłow zostały użyte przez Stanisława Dąbrowskiego, który ponadto pisał w przytaczanym artykule:

„Patrzeć jednak na fakt kasacji szkoły z punktu widzenia jej wychowanków różnych roczników, zwłaszcza tych z ostatnich lat – jest to pewnego rodzaju wstrząsające wydarzenie. Naraz znika z mapy szkół amerykańskich uczelnia, w której się kształcili i do której się przywiązali. Ten sentyment drżący w sercach alumnów dopiero teraz się ujawnił”.

Najpierwszą wiadomością o tym, którą otrzymałem był telefon z Nowego Jorku. Dzwonił mój były tamtejszy student, prawie z płaczem, głos mu się załamywał; informował, że zlikwidowano Alliance College, że za dwa miesiące będzie tam już coś innego.

Gazeta „Meadville Tribune” z 2 stycznia 1991 roku przyniosła dokładniejszą wiadomość. Były Alliance College, wszystkie jego posiadłości i urządzenia w Cambridge Springs zostały sprzedane wspólnocie stanu Pensylwania za 2,25 miliona dolarów. Umowa została podpisana przez Polish National Alliance School Corporation i Department of General Services stanu Pensylwania 22 grudnia 1990 roku. Władze stanu poin-

formowały, że budynki kolegium zostają zamienione na więzienie dla kobiet na 700 osób.

Z rozmowy telefonicznej 1 sierpnia 1990 roku: „Alliance College zamknięty, biblioteka udostępnia książki na miejscu. Jacyś ludzie przyjeżdżają, oglądają, szacują. Piękny obiekt niszczy się, marnieje. Polonia – tak liczna Polonia nie może się zdobyć na jego ratowanie, na mądre użytkowanie”.

Z listu 24 grudnia 1990: „P.N.A. czeka na ostateczną decyzję gubernatora jeśli chodzi o zakup Alliance College, na więzienie dla kobiet”. Jeśli sprzedaż będzie sfinalizowana – wypisuję się z P.N.A. [Polskiego Związku Narodowego]”.

I wreszcie list pełen gorzkiej rezygnacji: „Bardzo byłam zaniepokojona o losy Alliance College – jak się okazało, słusznie. Nic nie pomogły petycje, protesty itp., aby Związek nie sprzedawał AC Stanowi Pensylwania z przeznaczeniem na więzienie dla kobiet [...] Byli inni kandydaci, podobno za mało oferowali, a stan miał kupić za 4 miliony. Okazało się, że kupił nawet za mniej. Ale, jak ktoś słusznie powiedział – lepiej sprzedać na więzienie, niż siedzieć w więzieniu”.

17 maja 1993: „Wymieniamy opinie i przeżywamy jeszcze smutne losy Alliance”.

1 czerwca 1993: „Sprawa College’u stale mi przeszkadza. Rozmawiamy na ten temat. Jeszcze przeżywamy likwidację uczelni. Miło było nam usłyszeć, że na majowym ogólnonarodowym zjeździe P.N.A. w Chicago doszli do wniosku, że szkoda, że szkołę zamknięto”.

21 czerwca 1994 roku: „W Cambridge Springs bez zmian. Więzienie kwitnie. 311 pensjonariuszek, a 170 pracowników”.

27 lipca 2001: „Jest też w Cambridge Springs Historical Museum (Federal Street) pokój poświęcony Alliance College”.

Z kartki od byłej studentki Alliance College, która przyjechała po latach do Krakowa z ekipą telewizji amerykańskiej realizującej film o Uniwersytecie Jagiellońskim: „I really appreciated your comments about Alliance College. I am still angry about what the Polish National Alliance (PNA) did to the College. And I can not forgive them”.

Losami Kolegium Związkowego interesowały się władze Uniwersytetu Jagiellońskiego. Gdy zostało ono zlikwidowane, Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego zajął w tej sprawie stanowisko, którego wyrazem jest list wystosowany do Prezesa Związku Narodowego Polskiego w Chicago, Alojzego Mazowskiego 16 marca 1987 roku:

Szanowny Panie Prezesie,

Z głębokim ubolewaniem Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego dowiedział się o podjęciu decyzji o zamknięciu Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, jedynej obok St. Mary's College w Orchard Lake polonijnej uczelni w Stanach Zjednoczonych.

Uniwersytet Jagielloński, ta Alma Mater wszystkich polskich uczelni, był zawsze szczerze zainteresowany losem Kolegium Związkowego. Przez lata służył swoich profesorów do prowadzenia tam wykładów, przyjmował licznych studentów z Kolegium na studia w Krakowie, zaopatrywał w książki bibliotekę w Cambridge Springs. Symbolem tych związków było nadanie w 1973 roku Prezydentowi Kolegium honorowego członkostwa senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Przez 75 lat swego istnienia Kolegium Związkowe było ściśle związane z historią Polski. W Cambridge Springs szkolili się ochotnicy do walki o niepodległość Polski w czasie I i II wojen światowych. Tysiące jego absolwentów zasilalo szeregi polonijnej inteligencji.

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego wyraża żal, że nie znaleziono innych możliwości rozwiązania problemów, z jakimi w ostatnich latach borykało się Kolegium. Senat apeluje również do władz Związku Narodowego Polskiego o dalsze udzielanie przez tę zasłużoną organizację pomocy w kształceniu młodzieży polonijnej, w ułatwianiu jej awansu społecznego, kulturowego i zawodowego. Senat spodziewa się, że dojdzie do ponownego rozważenia decyzji w sprawie Kolegium Związkowego i ze swej strony zgłasza gotowość Uniwersytetu Jagiellońskiego do udzielania dalszej pomocy Kolegium, także w zakresie nauk ścisłych.

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego wyraża uznanie wszystkim pracownikom Kolegium Związkowego, którzy w okresie jego istnienia nie szczędzili swych sił i umiejętności w krzewieniu w Ameryce wiedzy o historii i kulturze polskiej²⁹.

W powstałej sytuacji personel uczelni, jej studenci i absolwenci objęli szczególną opieką zbiory biblioteczne Alliance College. Niepokojono się, co się z nimi stanie po likwidacji kolegium. Zgromadzony w nim zbiór książek, czasopism, płyt, dokumentów należał do największych tego typu kolekcji w Stanach Zjednoczonych. Zawierał dokumentację polskich doświadczeń w USA, prawie kompletną polską literaturę emigracyjną powstałą po drugiej wojnie światowej. Można powiedzieć, że w tej dziedzinie biblioteka Alliance College miała rangę na skalę światową. Należało teraz zabezpieczyć jej zbiory, zapobiec ich rozproszaniu, właściwie przechowywać i zapewnić dostęp do nich wszystkim zainteresowanym. Kolekcja ta składała się z około 50 000 woluminów, 15.000 periodyków oraz map, filmów, zbiorów muzycznych, taśm z nagraniami.

Pisał o jej losach Jerzy Giedroyc:

„Wiele emocji wzbudziła decyzja o przeniesieniu do Hillman Library (University of Pittsburg) 45.000 tomów książek pozostałych po likwidacji Kolegium Związkowego w Cambridge Springs w Pensylwanii. Władze Związku Narodowego Polskiego, pod którego patronatem działało Kolegium, chciały zachować księgozbiór w całości i spośród 3 opcji – przekazanie zbiorów do Polski, do Biblioteki Muzeum Polskiego w Chicago bądź do wydziału slawistycznego w Pittsburgu – wybrały tę ostatnią możliwość jako rozwiązanie optymalne. Hillman Library posiada ćwierć miliona książek poświęconych Sowietom, Rosji, z czego 120 tys. to prace w językach oryginalnych”³⁰.

Uniwersytet w Pittsburgu przyjął odpowiedzialność za zbiory biblioteczne Alliance College. Píše o tym Erica Kridle w artykule *Pitt is Home to one of Largest Collections of Polish Books outside of Poland*³¹. Biblioteka tego uniwersytetu nosi nazwę Hillman Library. A ten uniwersytet został wybrany

dlatego na depozytariusza zbiorów biblioteki Alliance College, że miał opinię przodującego w nauczaniu i pielęgnowaniu polskiego języka, literatury i kultury w ramach jego szerokiego programu języków i literatur słowiańskich

Zbiory przejęte od Alliance College wymagały konserwacji, skopiowania, zrobienia fotokopii i przechowywania w odpowiednich warunkach klimatycznych. Tych warunków nie było w Alliance College. Prace nad konserwacją, opracowaniem i udostępnieniem tych zbiorów finansowane są przez: Polish National Alliance, The Kosciuszko Foundation, Pitt's center for Russian and East European Studies, University Library System, U.S. federal Government, Polish American Communities.

Zamknięcie i likwidacja Alliance College nie zamknęła problemu. Wychowankowie tej uczelni nie mogli i nadal nie mogą się pogodzić z decyzją władz polonijnych, które doprowadziły do zniszczenia instytucji, którą uważały za „Great masterpiece of the Polish immigration”. Podjęli działania w ramach stowarzyszenia absolwentów działającego pod nazwą Alliance College Alumni Association.

Jego członkowie w 2001 roku „spotkali się, około 200 osób, by na nowo się zjednoczyć i kultywować tradycję AC. Urządzili wystawę pamiątek, materiałów historycznych, video z występiami »Kujawiaków«, przeżycia, fotografie. Od najstarszego absolwenta z 1939 roku do ostatniego absolwentów z 1987, roku zamknięcia Kolegium”³².

Absolwenci postanowili spotykać się regularnie i kultywować pamięć o Alliance College. Uznali za możliwe powracanie do swych korzeni, odbudowanie kolegium przez stworzenie Alliance College w internecie, gdzie można by proponować kursy języka polskiego, wykłady z historii Europy Wschodniej i informować o polskich instytucjach w Stanach Zjednoczonych. Przypominano by genealogię członków Polonii amerykańskiej, ślady przodków, osiągnięcia Polaków w Ameryce. W tym celu utworzyli portal:

<http://www.alliancecollege.com>³³.

MARIAN STĘPIEŃ

29 Archiwum UJ, sygn. DWZ II 177.

30 „Kultura” 1991, s. 149.

31 „Zgoda” 1 XII 1994. Zob. też: *The Alliance College Collection at the University of Pittsburgh*, „Zgoda” 1 X 2000.

32 *Reunion set for Alliance College Grads*, „The Meadville Tribune” 7 VI 2001.

33 *Reunion 2001. Alliance College Students Travel Down Memory Lane*, „Zgoda” 1 IX 2001.

LECH M. NIJAKOWSKI

KULTURA POPULARNA ERY WEB 2.0

Radość rozrywki czy samozniewolenie?

Kultura popularna w ostatnich latach ulega intensywnym przemianom, co wywołane jest nie tylko rewolucją internetową i cyfrową, ale także transformacją globalnego kapitalizmu. Skłania to do przyjrzenia się, jaką odgrywa dziś rolę w społeczeństwie. Nie jest to wyzwanie proste. Wiele starych kategorii, na przykład podział na elitarną „kulturę wysoką” i masową „kulturę niską” stracił dziś analityczne znaczenie. Badacze nie są też zgodni, jakie będą długofalowe skutki rozpowszechnienia się nowych technologii komunikacyjnych, a zwłaszcza ich wpływ na najmłodsze pokolenia, wychowane już w sieci¹. Jednocześnie oceniając kulturę popularną często wpadamy w stare koleiny, wyznaczone przez wpływowe teorie, powstałe jednak w zupełnie innych warunkach społeczno-ekonomicznych. Wystarczy wspomnieć o koncepcji „przemysłu kulturowego”, która powstała w środowisku intelektualistów ze szkoły frankfurckiej. Do tego zbyt często w Polsce lekceważy się znaczenie badań nad kulturą popularną, które schodzą na drugi plan, gdy mówimy o podstawowych mechanizmach społecznych. Tymczasem nie da się dziś przecenić wpływu masowo konsumowanych popularnych tekstów – filmów, powieści, komiksów, blogów internetowych czy gier komputerowych – na świadomość i postawy społeczne.

W artykule tym chciałbym zatem pokrótce opisać współczesne mechanizmy kultury popularnej i zastanowić się, jaki ma ona wpływ na konsumentów. Czy jest ona niewinną rozrywką, która wypełnia nasz czas wolny? Czy też służy reprodukcji relacji władzy i dominacji, pod atrakcyjną formą skrywając cele, które przyświe-

cają propagandzie państwowej? A może jest to żywioł, który służy podważaniu podstaw władzy, szerząc treści subwersywne? Rozległość tej tematyki pozwala jedynie na ogólny rekonesans badawczy i wymaga uproszczenia niektórych zagadnień.

Kultura uczestnictwa

Kultura popularna narodziła się stosunkowo późno, bo dopiero w renesansie. Wcześniej istniała kultura elit, ograniczona do wąskiej (niekoniecznie piśmiennej) warstwy posiadaczy ziemskich, bogatych mieszczan i hierarchów kościelnych oraz masowa kultura ludowa, oparta na słowie mówionym (kultura oralna). Dopiero rewolucja Gutenberga doprowadziła do umasowienia konsumpcji dzieł kultury (pomijając wszechobecną twórczość ludową), w którą zaangażowana była szeroka (w porównaniu z wcześniejszą kulturą elitarną) rzesza konsumentów². Wcześniejsze ludowe rozrywki i twórczość wymagały współobecności twórców i odbiorców. W kulturach oralnych każde wykonanie dzieła (zaśpiewanie pieśni, snucie opowieści) było występem i prowadziło do modyfikacji treści. W renesansowych Włoszech rozwija się oparta na druku kultura popularna, gdy dzieła poszczególnych twórców rozchodzą się w znaczących nakładach i są konsumowane przez wielu mieszkańców miast, dworów i zakonów.

Jak zatem widać, analiza kultury popularnej wymaga jednoczesnego uwzględnienia przemian technologii komunikacyjnych. Wykształcenie się zdolności

¹ Por. N. Carr, *Płytki umysł. Jak Internet wpływa na nasz mózg*, przeł. K. Rojek, Wydawnictwo Helion, Gliwice 2013.

² Szerzej: E.L. Eisenstein, *Rewolucja Gutenberga*, przeł. H. Hollender, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004.

do mówienia i powstanie języka było początkiem ekspansywnego rozwoju ludzkiej kultury. Każda kolejna technologia (w szerokim, socjologicznym rozumieniu) – pismo, druk, telegraf, film, radio, telewizja, Internet itd. – prowadziła do głębokich przemian mentalnych, społecznych i kulturowych. W tym sensie rewolucja internetowa i cyfrowa, której falami jesteśmy niesieni, w wielu wymiarach powtarza przemiany z przeszłości. Istnieje wiele podobieństw między rewolucją związaną z drukiem a tą związaną z Internetem. Nawet sposoby krytykowania nowych mediów wykazują wiele podobieństw. Dotyczy to także odległej przeszłości. Sokrates narzekający w *Fajdosie* na wynalazek pisma (w platońskiej relacji) przywodzi na myśl wielu współczesnych nauczycieli, narzekających na głupotę młodzieży wychowanej w globalnej sieci.

Według potocznych poglądów Internet przełamał monopol elit na masowe nadawanie treści. W tej wizji kultura masowa oparta na dużych wydawcach książek i czasopiśmie, radiu i telewizji pozwalała nielicznym elitom kształtować przekazy, które były biernie przyswajane przez masy konsumentów, których aktywność ograniczała się do wyboru kanału telewizyjnego czy tytułu prasowego. Nie jest to jednak obraz prawdziwy. Jak pokazali medioznawcy i kulturoznawcy, także w erze mediów masowych odbiorcy zachowywali znaczący zakres autonomii i współkształtowali treści. Na przykład tzw. etnografia pokoju telewizyjnego pokazała, że oglądanie telewizji przebiegało najczęściej w małych grupach rodzinnych czy towarzyskich. Ten kontekst wpływał na odbiór programów telewizyjnych. Komentowanie programów, ich wyjaśnianie i osadzanie w znanym kontekście prowadziło do wspólnego tworzenia znaczeń. W tym sensie mówi się o tzw. folklorotwórczej funkcji tradycyjnych mediów.

Naszą wiedzę o mediach masowych wzbogaciły także brytyjskie studia kulturowe, a zwłaszcza tzw. Szkoła z Birmingham, skupiona w Centre for Contemporary Cultural Studies, powstałym w 1964 roku. Jeden z jej prominentnych przedstawicieli, Stuart Hall, rozwinął teorię kodowania i dekodowania przekazów medialnych, pokazując w jakim zakresie są one negocjowane, a odbiorcy opierają się przyjęciu narzucanych znaczeń³. Każdy słuchacz czy widz ma zatem (nawet jeśli ograniczoną) autonomię, która podważa absolutną władzę nadawców.

Pojawienie się nowych mediów oznacza przekształcenie starych, ale także reprodukcję różnych tradycyjnych procesów komunikacyjnych w nowych warunkach. Przykładem może być zjawisko „oralności wtórnej”⁴. Kultura oralna oparta jest na innych mechanizmach, niż kultura pisma. Wynika to choćby z faktu, że w kulturze oralnej nosicielami pamięci są przede wszystkim ludzie. Stąd wysoki prestiż osób starych, nie tylko jako doświadczonych praktyków, ale również jako świadków odległych czasów. Ludzka pamięć jest jednak bardzo zawodna, stąd różne praktyki mnemotechniczne, na przykład formuliczność (powtarzalność tematów i schematów kompozycyjnych). Każde wyko-

nanie utworu było występem, a pieśniarz czy bajarz dostosowywał się do widowni. Za każdym razem dzieło przybierało odmienny kształt (dopiero folklorysty je spisali, nadając im „kanoniczną” postać). Każda rozmowa była interakcją, w której przekazywana treść nie raz schodziła na dalszy plan wobec innych funkcji, np. fatycznej (zorientowanie na podtrzymywanie kontaktu między rozmówcami). Jak się okazuje, pewne schematy komunikacyjne, właściwe kulturze oralnej, odnajdujemy w zapośredniczonym przez media kontakcie. Dziś widać to doskonale w oralności wtórnej w Internecie – na forach dyskusyjnych czy w mediach społecznościowych. Nieprzypadkowo tak dynamicznie rozwija się dziś e-folklorystyka⁵.

Według wpływowego badacza Lwa Manovicha, nowe media charakteryzuje pięć cech: reprezentacja numeryczna, modularność, automatyzacja, wariacyjność i transkodowanie kulturowe⁶. Reprezentacja numeryczna oznacza, że obiekty nowych mediów są liczbami zapisanymi w postaci cyfrowej. Dotyczy to zarówno obiektów stworzonych na komputerze, jak i skonwertowanych ze źródeł analogowych (zeskanowanych książek, artykułów i zdjęć, filmów zamienionych na postać cyfrową itd.)⁷. Wraz ze spadkiem cen urządzeń służących do konwersji analogowo-cyfrowej, jest ona dostępna dla szerokiego grona internautów. Dzięki temu wiele zabytków piśmiennictwa, historycznych zdjęć i dokumentów, archiwalnych nagrań stało się powszechnie dostępnych w sieci. Każdy z użytkowników Internetu może bez większych problemów zeskanować dany tekst, a następnie rozpowszechniać go bezpłatnie na skalę globalną – dzięki takim portalom, jak YouTube czy Flickr. Internet stał się globalną biblioteką, muzeum i archiwum.

Modularność oznacza, że obiekty nowych mediów składają się z niezależnych od siebie części, na przykład popularna strona internetowa to hipertekst złożony z obrazów, filmów, elementów graficznych, tekstu, linków do innych stron itd. Modularna struktura ułatwia usuwanie elementów lub zmianę ich na inne⁸. Dzięki tej cesze, użytkownik może łatwo tworzyć nowe obiekty. Korzystając z obiektów dostępnych w sieci (filmów na YouTube, zdjęć na stronach internetowych itd.) można tworzyć nowe, bogate treściowo strony, które dotyczą nawet najbardziej niszowych zainteresowań użytkownika.

Automatyzacja oznacza, że dzięki postaci liczbowej i modularności nowych mediów wiele czynności wymagających tradycyjnie znacznych kompetencji i nakładu pracy można zautomatyzować. Dotyczy to zarówno tworzenia obiektów, jak i wyszukiwania informacji⁹. Dzięki licznym programom można nie tylko tworzyć strony internetowe, ale również upowszechniać twórczość artystyczną. Wyszukiwanie informacji nie wymaga znajomości złożonych algorytmów – są one ukryte pod przyjaznym interfejsem wyszukiwarek. Automatyzacja nie likwiduje wprawdzie wykluczenia cyfrowego związanego z wiekiem, ale znacząco je łagodzi. Szczeg-

3 Por. antologię tekstów: M. Wróblewski (red.), *Kultura i hegemonia. Antologia tekstów szkoły z Birmingham*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika Toruń 2012.

4 W.J. Ong, *Osoba – świadomość – komunikacja. Antologia*, przeł. J. Lapola, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009, s. 245-246.

5 Por. V. Krawczyk-Wasilewska, *E-folklor w dobie kultury digitalnej. Szkice i studia*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2016.

6 L. Manovich, *Język nowych mediów*, przeł. P. Cypryański, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2006, s. 83.

7 Tamże, s. 92-95.

8 Tamże, s. 95-97.

9 Tamże, s. 97-102.

gólnie przydatne okazują się Moodle (Modular Object-Oriented Dynamic Learning Environment), służące do nauczania zdalnego za pomocą Internetu.

W przypadku wariacyjności chodzi o to, że kiedyś teksty uzyskiwały ostateczny kształt wraz z ich wprowadzeniem do obiegu (wyemitowaniem audycji, wyprodukowaniem filmu, wydaniem książki, gazety itd.). Zmiana wymagała znaczących nakładów pracy, kompetencji i ponownego wprowadzenia do obiegu. Dziś obiekty w Internecie zmieniają się niemal w czasie rzeczywistym. Związane jest to z ich modularnością. „W starych mediach elementy podłączone są «na sztywno» do niezmienniej struktury, tracąc w ten sposób swą tożsamość, natomiast w hipermediach elementy składowe i struktura są niezależne od siebie”¹⁰. Wariacyjność ma czasami zaskakujące konsekwencje. Coraz częściej popularne gry komputerowe umożliwiają ingerencje użytkownika. Może on na przykład zmienić charakter postaci w grze czy wypowiediane przez nią kwestie.

Transkodowanie kulturowe związane jest z tym, że nowe media składają się z dwóch różnych warstw – komputerowej (proces, pakiet, sortowanie, dopasowywanie, funkcja, zmienna, język komputerowy, struktura danych itd.) i kulturowej (encyklopedia, opowiadanie, fabuła, wątek, kompozycja, punkt widzenia itd.). Obie te warstwy oddziałują na siebie. „W rezultacie powstaje nowa kultura komputerowa – mieszanka znaczeń ludzkich i komputerowych, tradycyjnych sposobów modelowania świata przez humanistyczną kulturę i właściwych komputerem środków przedstawiania tego świata”¹¹. Ta cecha nowych mediów prowadzi do znaczącej zmiany kulturowej.

W tym środowisku coraz większe znaczenie zyskują aktywności, które do niedawna rozwijały się w cieniu masowych, ogólnych przekazów. W szczególności rozwija się prosumpcja. Termin ten powstał z połączenia „produkcji” i „konsumpcji” i wskazuje na to, że w coraz większym stopniu konsumenci są jednocześnie producentami różnorodnych dóbr i usług¹². W tym kontekście można już wyjaśnić użyty w tytule termin „Web 2.0” – są to serwisy internetowe powstałe w XXI wieku (cezurą jest oczywiście umowna), w których kluczową rolę odgrywają treści generowane przez użytkowników. W odniesieniu do kultury popularnej oznacza to, że konsumenci nie ograniczają się do oglądania filmów czy czytania powieści. Jednocześnie angażują się w twórczość, której celem jest na przykład rozwijanie wątków ulubionych dzieł kultury, wypełnianie powieściowych luk lub też opracowywanie nowych sposobów korzystania z dostępnych dóbr. Konsumenci skupiają się w różnorodnych „fandomach” (od słów *fan* i *kingdom* – królestwo) – społecznościach fanów, których łączy ulubiony serial, gra komputerowa czy cykl powieściowy. Fani piszą opowiadania (tzw. fanfiki – od *fan fiction*), tworzą grafiki komputerowe, animacje, komiksy, utwory muzyczne, ingerują w gry komputerowe. Masową tworzą memy, które stały się dziś nie tylko elementem folkloru internetowego, ale również komunika-

cji politycznej¹³. Ich działalność, choć rodzi problemy natury prawnej, wpływa na wielkie korporacje i najważniejszych twórców. Przykładem mogą być inicjatywy J.K. Rowling, autorki niezwykle popularnych książek o przygodach Harry’ego Pottera, która uruchomiła portal www.pottermore.com.

Fandomy nie są tylko fenomenem wirtualnym, jak się często sądzi. Za najstarszy fandom uznaje się ten stworzony przez miłośników *science-fiction* – pierwszy zjazd fanów fantastyki zorganizowano w USA w 1932 roku. Również dziś wiele osób, które na co dzień uczestniczy w życiu cyfrowych wspólnot, spotyka się także na różnorodnych konwentach, zjazdach czy grach terenowych. Nie można zatem uogólniać twierdzenia, że aktywność w sieci zabija „prawdziwe” relacje społeczne. To właśnie dzięki fandomom osoby o rzadkich zainteresowaniach mogą znaleźć sobie podobnych i umówić się z nimi na spotkanie w „normalnym” świecie.

Internet i technologia cyfrowa przyczyniły się do tzw. konwergencji. Henry Jenkins – znany badacz nowych mediów i kultury popularnej – definiuje ją jako „przepływ treści pomiędzy różnymi platformami medialnymi, współpracę różnych przemysłów medialnych oraz migracyjne zachowania odbiorców mediów, którzy dotrą niemal wszędzie, poszukując takiej rozrywki, na jaką mają ochotę”¹⁴. Jest ona zarówno procesem ogólnym (napędzanym przez korporacje), jak i oddolnym (napędzanym przez konsumentów)¹⁵. Konwergencja oddolna to „nieformalny, a czasem też nieautoryzowany przepływ treści medialnych, który następuje w sytuacji, gdy konsumenci łatwo mogą archiwizować, komentować, przejmować i redystrybuować treści medialne”¹⁶. Sprawia to, że wiele tradycyjnych podziałów straciło na znaczeniu, w tym w zakresie klasyfikacji różnych typów mediów.

Logika nowych mediów wzmacniana jest przez to, że Internet postrzegany jest przez użytkowników jako specyficzna przestrzeń, w której chcą przebywać. Internet najłatwiej zdefiniować przez napędzające go protokoły, ale w świadomości współczesnych społeczeństw – nie tylko aktywnych użytkowników – uzyskał rangę wyjątkowego, czarownego miejsca¹⁷. Sprawia to, że internauci, złąknieni nawiązywania różnorodnych kontaktów w sieci, angażują się również w formy aktywności, które nie są dla nich atrakcyjne poza siecią.

Współczesna kultura popularna nie tylko umożliwia, ale również niejednokrotnie wymaga zaangażowania konsumentów w proces współtworzenia dzieła. Proces ten jest kapitalizowany przez korporacje, które nauczyły się żyć z nieodpłatnej pracy internautów. Nie powstrzymuje to ich od ścigania „piratów” za łamanie praw autorskich, choć w wielu wymiarach nie są one dostosowane do cyfrowego świata. Zresztą, jak pokazują niektóre badania, walka z „piractwem” nie zawsze prowadzi do większej sprzedaży legalnych kopii filmów czy książek. Na przykład eksperyment

10 Tamże, s. 109.

11 Tamże, s. 116.

12 Por. B. Mika, *Prosumpcja – niedoszła rewolucja*, w: P. Siuda, T. Zagłowski (red.), *Prosumpcja. Pomiedzy podejsciem apokaliptycznym a emancypujacym*, Wydawnictwo Naukowe Katedra, Gdańsk 2014 (cop.), s. 63-97.

13 Por. M. Juza, *Memy internetowe – tworzenie, rozpowszechnianie, znaczenie społeczne*, „Studia Medioznawcze” 2013, nr 4, s. 49-60.

14 H. Jenkins, *Kultura konwergencji. Zderzenie starych i nowych mediów*, przeł. M. Bernatowicz, M. Filiciak, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2007, s. 9.

15 Tamże, s. 23.

16 Tamże, s. 256.

17 Por. M. Kamińska, *Rzeczywistość wirtualna jako „ponowne zaczarowanie świata”. Pytanie o status poznawczy koncepcji*, BOGUCKI Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2007.

zespołu dr. hab. Michała Krawczyka z Uniwersytetu Warszawskiego pokazał, że sprzedaż książek wcale nie rośnie wtedy, gdy z sieci systematycznie usuwane są ich pirackie kopie¹⁸. Aktywność fanów się zatem opłaca (choć oczywiście nie w każdym przypadku). Czy to jedyny powód tak bujnego rozwoju tego zjawiska? Czy wolność, którą zyskali obywatele cyfrowego społeczeństwa jest tylko pozorem? Tym samym docieramy do punktu, w którym trzeba zapytać o władzę i kontrolę w erze Web 2.0.

Władza i opór

Rozwój kultury masowej od początku budził obawy krytyków – zarówno konserwatywnych, jak i lewicowych. Szczególne znaczenie w historii myśli społecznej miały studia badaczy ze szkoły frankfurckiej. Theodor Adorno i Max Horkheimer w *Dialektyce oświecenia* poddali bezlitosnej krytyce nowoczesną kulturę masową (a w praktyce kulturę amerykańską, z którą zetknęli się zmuszeni do opuszczenia Europy)¹⁹. Ukuli pojęcie „przemysłu kulturowego”, podkreślając tym samym zstandaryzowanie masowej produkcji kulturalnej, która miała zaspokajać najniższe potrzeby konsumentów. Kierując się logiką kapitalistycznej produkcji ta nie tylko cynicznie zaniżała jakość sztuki, nastawiając się na sprzedaż, ale także w praktyce czyniła z robotników biernych konsumentów i odciągała ich od aktywności społecznej, w tym związanej z działalnością związkową i polityczną. Kapitalistyczna kultura masowa nie tylko zatem prowadziła do zaniżania poziomu działalności kulturalnej i artystycznej, ale również wzmacniała dominację elit. Idee frankfurtyczków miały wpływ na wielu autorów i szkół²⁰.

Od tego czasu badania bardzo się rozwinęły, powstało także wiele, czasami mocno różniących się paradygmatów analizowania kultury popularnej i jej konsumentów. Dotyczy to także badania samych fanów – dziś ugruntowaną pozycję mają *fan studies*, w ramach których możemy wyróżnić rozmaite nurty i szkoły²¹. Do powszechnie przyjmowanych należy jednak założenie, że kultura popularna stanowi dziś kluczowe medium kształtowania indywidualnych postaw i przekonań. Wpływa nie tylko na jednostkową tożsamość i świadomość, ale również na pamięć zbiorową. Potwierdzają to choćby socjologowie badający świadomość historyczną społeczeństw²². Powstaje zatem pytanie, jaki jest globalny efekt kultury popularnej. Czy sprzyja ona

emancypacji i zwiększa autonomię konsumentów, czy też dzięki swej atrakcyjności jeszcze skuteczniej wzmacnia władzę i dominację kapitalistycznych elit?

Pesymiści twierdzą, że nowe technologie idą w parze z niszczeniem sfery publicznej. Jürgen Habermas już dawno zwracał uwagę, że obywatelska sfera publiczna zaczęła się rozpadać w XIX wieku, m.in. na skutek rozwoju środków masowego przekazu²³. Choć pesymiści nie zniknęli, to do historii odeszły bezkrytyczne głosy towarzyszące ekspansji Internetu, mówiące o tym, że obywatele nowego sieciowego społeczeństwa zyskają niespotykaną wolność głoszenia opinii, samoorganizacji i kontestacji. Dziś widać, że Internet przyniósł nowe formy wolności, ale i zniewolenia. Niejednokrotnie bardzo podstępne. Można się o tym przekonać na przykładzie potężnej korporacji Google, którą znamy z popularnej wyszukiwarki. Nie tylko – poprzez swoje algorytmy – decyduje ona o tym, co jest widoczne w wynikach wyszukiwania, ale również zbiera informacje o użytkownikach, które pozwalają jej na kampanie marketingowe. Facebook stał się wirtualnym domem znacznej części ludzkości, przy czym nie tylko inwigiluje on swoich użytkowników, ale nawet przeprowadza na nich eksperymenty²⁴. Obok tych zjawisk mamy do czynienia z masową inwigilacją przez państwa, obnażoną choćby przez kontrowersyjnego sygnalistę, Edwarda Snowdena²⁵. Z drugiej strony globalna sieć zapewnia platformę wymiany informacji i mobilizacji dla wielu opozycjonistów. Dobrym przykładem jest grupa hakerskich aktywistów Anonymous.

Wszystko to sprawia, że niektórzy sięgają po koncepcję Panoptikonu francuskiego filozofa Michela Foucaulta, aby opisać funkcjonowanie współczesnego społeczeństwa. Foucault wykorzystał projekt więzienia Jeremy'ego Bentham'a (w którym więzień mógł być nieustannie obserwowany, choć nie wiedział w którym momencie do tego dochodzi) do zobrazowania mechanizmów funkcjonowania władzy dyscyplinarnej²⁶. Internet stał się współczesnym Panoptikonem – każdy użytkownik, wbrew przekonaniu o anonimowości, może być inwigilowany (nie tylko przez służby specjalne), co sprawia, że zmienia swój sposób zachowania, unikając kontrowersyjnych aktywności (a przynajmniej dotyczy to tych bardziej świadomych internautów). Jak pisał Foucault, „dusza” – powstała w wyniku praktyk dyscyplinarnych – staje się więzieniem ciała. Nieprzypadkowo polska fundacja, dbająca o prawa obywateli w społeczeństwie powszechnego nadzoru, przyjęła nazwę Panoptikon²⁷.

Jaka szczególna rola w tym wszystkim przypada kulturze popularnej? Najprościej wskazać na intencjonalne działania, które mają wpłynąć na treść masowej rozrywki. Amerykańscy producenci, choć dysponują ogromnymi budżetami, nie byłoby w stanie przygotować widowiskowych filmów wojennych bez wsparcia armii,

18 L. Tomala, *Badanie: zwalczanie piractwa wcale nie poprawia sprzedaży książek*, „Nauka w Polsce. Serwis PAP poświęcony nauce”, 6 sierpnia 2017 r., <http://naukawpolsce.pap.pl/aktualnosci/news,415257,badanie-zwalczanie-piractwa-wcale-nie-poprawia-sprzedaży-książek.html> [dostęp: 7.08.2017].

19 M. Horkheimer, T.W. Adorno, *Dialektyka oświecenia. Fragmenty filozoficzne*, przeł. M. Łukasiewicz; przekł. przejr. i posł. opatrzył M.J. Siemek, Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, Warszawa 1994.

20 Por. S. Tormey, J. Townshend, *Od teorii krytycznej do postmarkizmu*, przeł. G. Maryniec i in., Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010.

21 Por. P. Siuda, *Jednostkowe aspekty bycia fanem, czyli w stronę nowego paradygmatu fan studies*, „Kultura i Edukacja” 2010, nr 4 (78), s. 74-94.

22 Por. P.T. Kwiatkowski, L.M. Nijakowski, B. Szacka, A. Szpociński, *Miedzy codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Muzeum II Wojny Światowej, Warszawa-Gdańsk 2010.

23 J. Habermas, *Strukturalne przeobrażenia sfery publicznej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007.

24 S. Gibbs, *Facebook apologises for psychological experiments on users*, „The Guardian”, 2 lipca 2014 r., <https://www.theguardian.com/technology/2014/jul/02/facebook-apologises-psychological-experiments-on-users> [dostęp: 3.09.2017].

25 Por. G. Greenwald, *Snowden. Nigdzie się nie ukryjesz*, przeł. B. Gadomska, Agora SA, Warszawa 2014.

26 M. Foucault, *Nadzorować i karać. Narodziny więzienia*, przeł. T. Komendant, Fundacja Aletheia, Warszawa 1998.

27 <https://panoptikon.org/idea>

użyczającej m.in. sprzęt wojskowy. A ta za każdym razem czyta scenariusz pod kątem przesłania filmu. Niezależne wytwórnie, które chcą wyprodukować filmy krytycznie odnoszące się do roli wojska i jego zaangażowania w konflikty zbrojne, skazani są na niskobudżetowe efekty specjalne, co oczywiście obniża szanse na sukces kinowy. Nie jest to zjawisko nowe – swego czasu producentom głośnego filmu *Nazajutrz*²⁸ odmówiono prawa do skorzystania z nagrania próbných wybuchów jądrowych, a zatem musieli oni uciec się do eksperymentalnych efektów specjalnych. Tym samym atrakcyjny film staje się medium kształtowania takich postaw i wyobrażeń o wojnie, które legitymizują państwową przemoc zbrojną. Zamiast cierpienia, brudu, chaosu i beznadziei – o których wiemy choćby ze wspomnień żołnierzy – widzimy najczęściej męską przygodę²⁹. Także w Polsce próbuje się wykorzystywać w ten sposób film, prowadząc odpowiednią politykę finansową. Efekty tej polityki pamięci są jednak mizerne – wystarczy przywołać *Historię Roja*³⁰.

Ważniejszą rolę odgrywają jednak nie tyle propagandowe manipulacje, ile raczej rozpowszechnione wyobrażenia, które wpływają na świat przedstawiony filmów i powieści oraz wzmacniają stereotypy, uprzedzenia, społeczne wykluczenie i relacje władzy. Do opisu tego procesu doskonale pasuje pojęcie „hegemoni kulturowej”, wprowadzone przez Antonio Gramsciego, a obecnie przeżywające drugą teoretyczną młodość (na przykład we wpływowej neomarksistowskiej teorii Ernesta Laclaua i Chantal Mouffe). W historii kina możemy obserwować emancypację postaci kobiet czy Afroamerykanów. Kiedyś nie odgrywali pierwszoplanowych ról, a postaci skrojone były zgodnie z negatywnymi stereotypami. Oglądając takie atrakcyjne dzieła filmowe widzowie utwierdzali się w przekonaniu, że prezentowany porządek świata jest naturalny. Kobiety realizują się jako matki i gospodynie domowe, a czarnoskórzy Amerykanie to zabawne prostaczki, które cieszą się mogąc nam usługiwać. Co więcej, nie tylko obecność pewnych postaci czy wątków ma znaczenie, ale również nieobecność (jak pokazuje historia reprezentacji homoseksualistów w kinie). Nowe fabuły i postacie potrafią prowadzić do radykalnej zmiany kulturowej. Jak zauważył John Fiske: „Rzeczony przykłady mikropolitycznego wykorzystania tekstów popularnych pozwalają nam zatem przewidywać, że fanki Madonny poczną siłę dzięki uwielbieniu dla swojej idolkę, a przez to zażądają lepszego traktowania ze strony swoich chłopaków”³¹.

Pesymistyczne spojrzenie na funkcje kultury popularnej ma dziś wielu wpływowych rzeczników. Ograniczę się do przywołania najnowszej książki Przemysław Witkowskiego *Chwała supermanom. Ideologia a popkultura*³². Analizując najnowsze popularne dzieła, powtarza on diagnozy tradycyjnych lewicowych krytyków kultury masowej. „Popkultura jest emanacją kapitalizmu, jego nieodrodnym dzieckiem, siecią, która nie

mając centrum, zachowuje jednak kształt i spójność. Utowarowanie i seksualizacja uczestniczących w niej podmiotów czynią z niej *ultimate weapon* systemu sprzedaży dóbr i usług”³³.

W tym zakresie Web 2.0 umożliwił użytkownikom podważenie tego dominującego przekazu. Fani tworzą często bardzo wywrotowe dzieła, które uderzają w dominujące wartości oryginałów. Wśród fandomów mamy do czynienia zarówno z erotycznymi lub wręcz pornograficznymi przeróbkami, jak i z próbami wykreowania nowego uniwersum, pogłębionego socjologicznie i ekonomicznie, dającego szansę na ćwiczenie alternatywnych sposobów uspołecznienia. Nie można jednak przeceniać znaczenia fandomów. Ich subwersywny przekaz dociera głównie do mniejszości konsumentów, obracających się w podobnych sieciowych rejonach. Mimo to krytyka czy satyra społeczna, zwłaszcza jeśli szerzy się za pomocą atrakcyjnych memów, może – współtworząc internetowy folklor – uderzyć boleśnie w konserwatywnych wytwórców i nadawców.

Trzeba pamiętać, że obecnie zmienia się także samo rozumienie władzy, autonomii i wolności. Na przykład, zmiana technologii komunikacyjnych doprowadziła do intensyfikacji walk symbolicznych o definicję elitarnych kompetencji, które związane są z kapitałem kulturowym, a tym samym pozycją w strukturze klasowej. Ci, którym zmiana grozi dewaluacją kapitału kulturowego, często deprecjonują w dyskursie publicznym nowe praktyki społeczne. W szczególności uznają, że poleganie na laptopie z dostępem do sieci zamiast na własnej pamięci jest formą szarlatanerii. Tymczasem rewolucja internetowa doprowadziła do zmiany form pamiętania i zapominania, a tym samym preferowanego modelu erudycji – tak jak wcześniej druk. Powszechnie krytykowana miałość kultury masowej jest też rodzajem strategii obronnej doby powszechnej informacji przyrastającej we wcześniej niewyobrażalnym tempie: „Jałowe, zbanalizowane treści nie zmuszają odbiorcy do ciągłej zmiany orientacji i preferencji, jaką wywoływać będą informacje dla niego istotne, tj. zmuszające go do innego niż dotychczasowe zachowania. [...] w trywializacji treści kultury masowej mamy do czynienia z alternatywą i zwycięską wobec postępowej idei opinii publicznej strategią mówienia”³⁴. Wynik walki symbolicznej o definicję elitarnych kompetencji nie jest jeszcze znany, ale można zakładać, że wraz z zastępowaniem przedstawicieli starych elit w instytucjach kluczowych dla standaryzowania dyskursu publicznego przez młode pokolenie „wychowane w sieci” w przeszłość odejdą także kanony i standardy uznawane dziś jeszcze za wyznacznik elitarności. Tym bardziej, że niektórzy już dziś dostrzegają przykłady pokoleniowego buntu internetautów³⁵.

Brak „normatywnej większości” w Internecie sprawia, że najmniejsza z mniejszości ma swoją niszę, „każdy gust ma swoją mniej lub bardziej globalną sieć”³⁶.

28 *Nazajutrz* [The Day After], reż. Nicholas Meyer, USA 1983.

29 Por. G. Stewart, *Digital Fatigue: Imaging War in Recent American Film*, „Film Quarterly” 2009, Vol. 62, No. 4, s. 45-55.

30 *Historia Roja*, reż. Jerzy Zalewski, Polska 2016.

31 J. Fiske, *Zrozumieć kulturę popularną*, przeł. K. Sawicka, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2010, s. 197.

32 P. Witkowski, *Chwała supermanom. Ideologia a popkultura*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2017.

33 Tamże, s. 10.

34 M. Kurowski, *Technologie komunikacji a opinia publiczna*, w: P. Chmielewski, T. Krauze, W. Wesołowski (red.), *Kultura. Osobowość. Polityka. Culture. Personality. Politics. Księga dedykowana Profesor Aleksandrze Jasińskiej-Kani*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2002, s. 358.

35 E. Bendyk, *Bunt sieci*, Biblioteka Polityki, Polityka Spółdzielnia Pracy, Warszawa 2012.

36 A. Bard, J. Söderqvist, *Netokracja. Nowa elita władzy i życie po*

Ale symboliczna władza elit rozciąga się także na pluralistyczny Internet, a to za sprawą przede wszystkim kształtowania osobistych „filtrów uwagi” użytkowników, a nie jedynie prawno-administracyjnych ingerencji w Internet³⁷. Z pozoru w pełni wolni, podążają oni ścieżkami wydeptanymi przez liderów opinii – nie tylko tych cyfrowych, ale i tradycyjnych, zabierających głos przede wszystkim w tradycyjnych mediach masowych.

Efektom tych przemian jest proces, który bywa teraz określany modnym terminem „postprawda” (było to – według kolegium redakcyjnego Słownika Oksfordzkiego – słowo 2016 roku). Chodzi tu o manipulacje, które służą mobilizacji elektoratu czy innej grupy odniesienia. Powtarzanie kłamstw, półprawd i zmyśleń tworzy przestrzeń sensów, w której poruszają się politycy, dziennikarze i obywatele³⁸. Bez wątpienia, tak bezczelne – z perspektywy starych standardów politycznych – manipulacje możliwe są także na skutek przemian technologicznych i chaosu co do sposobu weryfikowania prawdy. Widać to także po tym, jak wiele kłamstw i zmyśleń – celowo rozpowszechnianych – funkcjonuje w obiegu internetowym, a powtarzane są w nieskończoność przez internautów przekonanych o ich prawdziwości (ten stan z kolei opisuje inny modny termin: *fake news*). Można powiedzieć, że ludzie – w tym zwłaszcza politycy – zawsze kłamali. Dziś jednak, na skutek m.in. tego, że ludziom brakuje technik szybkiej i sprawnej weryfikacji informacji w sieci, na manipulacji można zbudować trwały społeczny gmach, co pokazuje kariera ruchów antyszpiegowskich czy zwolenników różnorodnych teorii spiskowych. Co ciekawe, legendy miejskie, *fake news* czy teorie spiskowe stanowią często materię, z której scenarzyści czy pisarze tkają fabułę swych opowieści. Takie dzieła, nawet jeśli stworzone dla czystej rozrywki, mogą wzmacniać paranoiczne przekonania wielu konsumentów.

Ten katalog szkodliwych zjawisk, szerzących się w erze Web 2.0 uzupełnimy jeszcze o pojęcie „faktoid”. Anthony Pratkanis i Elliot Aronson zdefiniowali je jako „stwierdzenie faktu, które nie jest poparte materiałem dowodowym, zwykle dlatego, że fakt ten jest nieprawdziwy, albo dlatego, że materiału dowodowego na poparcie tego stwierdzenia nie można uzyskać. Faktoidy są prezentowane w taki sposób, że zostają powszechnie uznane za prawdziwe”³⁹. Internet jest środowiskiem, w którym faktoidy mnożą się jak króliki w Australii, a w ich pułapkę wpadają także wykształceni internauci.

Oceniając wpływ dzieł kultury popularnej na konsumentów nie można popełniać błędu homogenizowania odbiorców. Ludzi różnią nie tylko trajektorie biograficzne, ale także kontekst kulturowy, w którym funkcjonują. A to, co dziś niezwykle istotne w globalnej komunikacji, to nieustające rekontekstualizowanie tre-

ści. Ten sam film, powieść, teledysk czy komiks będą inaczej odbierane przez osoby wychowane w różnych kulturach, mające odmienną biografię i zainteresowania. Na przykład głośna powieść Dmitrija Głuchowskiego *Metro 2033*⁴⁰, w której powstaniu współuczestniczyli zresztą fani, będąca pierwszym tomem trylogii, jest na całym świecie odbierana jako popularne dzieło *science-fiction*. Tymczasem dla rosyjskiego czytelnika staje się także krytyką rzeczywistości Rosji po upadku ZSRR, w tym patologii władzy i wszechmocy biurokracji⁴¹. Podobnie wiele dzieł *science-fiction* powstałych w PRL służyło zamaskowanej krytyce rzeczywistości, co niejednokrotnie trudno zrozumieć zagranicznemu czytelnikowi. Przykładem może być głośna swego czasu tzw. trylogia Apostezjonu, autorstwa znanego socjologa Edmunda Wnuka-Lipińskiego⁴².

Nowa wolność, nowe zniewolenie

Kształtujące się na naszych oczach społeczeństwo oparte na sieci nie jest zatem ani utopijną krainą wolności, w której internauci mogą na każdym kroku sprzeciwiać się władzy, ani dystopijnym, zamkniętym społeczeństwem powszechnego nadzoru. Jak w przypadku każdej zmiany historycznej mamy do czynienia z walką o władzę na każdym poziomie. Nowym formom kontroli przeciwstawiają się innowacyjne strategie oporu, które prowadzą z kolei do transformacji mechanizmów władzy i dominacji. Podobnie nie da się jednoznacznie ocenić roli kultury popularnej. Może ona odgrywać zarówno rolę propagandową, legitymizując obowiązujące relacje władzy i dominacji, jak i wspierać mniejszościowe fandy, poszukujące wyrazu dla swego protestu. Zamiast globalnie potępiać lub wychwalać kulturę popularną ery Web 2.0, należy się zatem nauczyć jej używać tak, aby szerzyć własne idee i budować koalicje dla projektów zmiany społecznej. Aby głosić radykalne poglądy nie trzeba ograniczać się do awangardy. Cytowany już John Fiske zauważył: „Istnieje w istocie więcej dowodów na skuteczność sztuki popularnej na poziomie mikro niż sztuki radykalnej na poziomie makro”⁴³. Jedno jest pewne – innowatorzy społeczni, którzy lekceważą potęgę kultury popularnej, niejednokrotnie skazani są na porażkę.

LECH M. NIJAKOWSKI

kapitalizmie, przeł. P. Cypryański, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2006, s. 229.

37 Por. J. Kulesza, *Ius internet. Między prawem a etyką*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2010, s. 218-264.

38 Por. E. Bendyk, Dyktatura kłamstwa. Polityka i postprawda, „Antymatrix II. Z dziennika kogniwojaka”, 10 września 2016 r., <http://antymatrix.blog.polityka.pl/2016/09/10/dyktatura-klamstwa-polityka-i-post-prawda/> [dostęp: 3.09.2017].

39 A. Pratkanis, E. Aronson, *Wiek propagandy. Używanie i nadużywanie perswazji na co dzień*, przeł. M. Szuster, Wydawnictwo PWN, Warszawa 2003, s. 93.

40 D. Głuchovsky, *Metro 2033*, przeł. P. Podmiotło, Wydawnictwo Insignis, Kraków 2010.

41 Por. M. Griffiths, *Moscow after the Apocalypse*, „Slavic Review” 2013, Vol. 72, No. 3 s. 481-504.

42 E. Wnuk-Lipiński, *Wir pamięci. Rozpad połowiczny. Mord założycielski*, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o., Warszawa 2010.

43 J. Fiske, *Zrozumieć...*, s. 199.

MARCIN KULA

REWOLUCJA – MITY – UTOPIE¹

Rewolucja jest efektem myślenia utopijnego, nosicielką utopii i matką utopii. Jest także matką mitów, które zresztą trudno oddzielić od utopii. Wszystko to potwierdziło się w polskiej przemianie lat 80.

Fundamentalnym elementem rewolucyjnej mitologii jest uznanie przeżywanych wydarzeń (a z późniejszej perspektywy wydarzeń przeżytych) za „godzinę zero”. Tymczasem rewolucje są często i w znaczącym stopniu skonsumowaniem przemian już zachodzących, nie raz nawet zaszłych, także przedłużeniem dawniej występujących tendencji ewolucyjnych. W Polsce bardzo ważny był rok 1956. Od tego momentu rozpoczęły się wielkie zmiany – dokonywane niekoniecznie z dobrej woli komunistycznego establishmentu, a w każdym razie nie tylko z niej. Częściowo wynikały one z głębszych procesów społecznych, a częściowo z tego, że aparat partyjno-państwowy poczuł się przymuszony do choćby pewnych przekształceń. Po 1956 r. terror był już nieporównywalny z panującym w okresie stalinowskim, Kościół – mimo ograniczeń – zyskał relatywnie szerokie możliwości działania, indywidualne chłopstwo w praktyce nie było już kolektywizowane, dopuszczono nieco prywatnej inicjatywy i przedsiębiorczości, zezwolono na ograniczone kontakty z Zachodem, z czego skorzystała m.in. humanistyka, z ekonomią włącznie. Bardzo ważnym elementem poprzedzającym definitywny kryzys systemu były okresowe buntury społeczne – same będące skutkiem jego słabnięcia, ale zwrótnie go podminowujące, mimo doraźnych przegranych.

Drugim elementem mitologii wyczuwanym w dyskursie na temat polskiej przemiany jest domniemanie, że walczyliśmy od zawsze – i to od razu o wielki cel. Tymczasem projekty rewolucyjne miewają bardzo różnie określany rozmach. Wiele rewolucji zaczyna się nie od postulatów fundamentalnej zmiany świata, ale od postulatów jego naprawienia, postawienia z powrotem na nogi, wymiany paru belek w dachu. Nieraz jednak szybko okazuje się, że wszystko jest przegniłe. W Polsce niewątpliwie część ludzi od początku serdecznie nienawidziła komunizmu i odmawiała mu legitymacji, ale nawet wśród nich najpewniej mało kto myślał, iżby była szansa wyeliminowania tego ustroju w dostrzegalnej perspektywie. To dopiero zdawało się utopią! Projekt stopniowo rozwijał się i wcielał w życie.

Kolejny element mitologii to domniemanie, że zwyciężyliśmy w walce – i to zwyciężyliśmy sami, własną siłą. Elementem tego mitu jest wiara, że to Polacy obalili komunizm, prawie utorowali drogę światu, obalili ład jałtański itd. Takie stanowisko nie dziwi. Francuzi lata całe byli (a może wciąż są?) dumni ze zdobycia praktycznie niebronionej Bastylli. Każdy kraj jest dumny z własnego wybicia się na niepodległość i źle toleruje przypomnienie, że może przynajmniej okoliczności międzynarodowe sprzyjały takiemu osiągnięciu. Tymczasem w rozważanym wypadku warto pamiętać, że komunizm się rozkładał, a PZPR się rozsypywała. Nie byłoby też źle pamiętać o nazwisku Gorbaczowa i o tym, co się działo za wschodnią granicą. ZSRR w 1989 r. już nie chciał bronić „bliskiej zagranicy”. Nieco później przystąpił do redefiniowania imperium – choć

¹ Wystąpienie na konferencji Fundacji Stefana Batorego *O krytyce III RP. W rocznicę 1989.*

Ukraina, niestety, znalazła się wewnątrz niego także według nowej definicji, zgodnie z głębokim myśleniem carskiej Rosji.

Obrona *ancien régime'u* w Polsce była faktycznie słaba, choć oczywiście pamiętam, że niejednego z przeciwników lub nawet przeciętnych ludzi ten reżim zdążył jeszcze uderzyć. Nie neguję też ofiar i cierpień wielu naszych współobywateli. Nawet w stanie wojennym paradoksalnie pozostało wszakże dużo przestrzeni do poruszania się pomiędzy tym wystawnym na ulice żelastwem. Dyskurs gen. Jaruzelskiego był już bardziej autorytarny i polsko-ratunkowy niż komunistyczny. Aparat partyjno-państwowy już bardziej troszczył się o własny los niż o komunizm, a to była fundamentalna różnica. Okrągły Stół stanowił formę ustępstwa ze strony aparatu. Zaslugą gen. Jaruzelskiego było *notabene* to, że swoim ludziom wskazał tę drogę, zapanował nad nimi, a własną obecnością dał im gwarancję przetrwania – dzięki czemu nie bali się ustąpić.

Dalszy element mitologii to przyjęcie, że wszyscy stawialiśmy opór, wręcz walczyliśmy. Wszyscy słuchaliśmy RWE i czytaliśmy paryską „Kulturę”. Byliśmy duchowo wierni Rządowi RP na uchodźstwie, a w ogóle wszyscy go dostrzegaliśmy i postrzegaliśmy jako rząd. Przeciwników eliminuje się ze zbioru „wszystkich” jako antynaród – więc tym bardziej można posługiwać się terminem „wszyscy”. Otóż takie postawienie sprawy jest po prostu bzdurą. Wyraża się w nim nie tylko uniwersalna okoliczność, że liczba kombatanów wzrasta w miarę oddalania się od wydarzenia ocenianego *ex post* pozytywnie, zaś o własnym funkcjonowaniu ongiś w ramach dziś ganionego systemu łatwo się zapomina. W rzeczonym postawieniu sprawy znajduje też odbicie natura realnego socjalizmu. Wobec braku funkcjonowania w nim kryteriów oceny i osiągnięć człowieka właściwych dla kapitalizmu oraz w obliczu haseł komunistycznych, każdy mógł wierzyć, że mu się wiele należy. Skądinąd socjalizm – jak wiadomo – w szerokim zakresie źle działał i wielu potrzeb nie zaspokajał. W konsekwencji każdy – od góry do dołu – mógł mieć o coś pretensje. Słyszalem o PRL-wskim dostojniku, któremu na głowę kapąło i mówił, że „oni” nie potrafią naprawić dachu. Słyszę dziś o antykomuniście, któremu było ciężko w PRL-u – jeśli dobrze rozumiem – przede wszystkim dlatego, że miał trudności z budową domku (wierzę!). W odróżnieniu od kapitalizmu, w komunistycznej PRL sytuacja nie była traktowana jako mniej czy bardziej „od natury dana”, zaś władze wręcz same deklarowały własną odpowiedzialność za wszystko. Przedstawały się jako monopol. *Ergo*, nawet dosyć banalne trudności życia codziennego były traktowane jako stworzone przez system, zaś granica jego odpowiedzialności, w wielu sprawach skądinąd rzeczywistej, bywała rozciągana na wszelkie zło i niewygodę. W konsekwencji dziś każdy może mówić, że cierpiał. Prawie wszystko było związane z systemem, więc ludzie cierpieli nie od konkretnego pracodawcy, od konkretnego egzaminatora na uczelni, od złego funkcjonowania zarządcy sklepu, czy w końcu z powodu sytuacji ekonomicznej... lecz od ustroju.

Z kolei przyjęcie stanowiska, że już nawet nie tylko wszyscy cierpieliśmy, ale wręcz wszyscy

walczyliśmy, ułatwia naturą ruchu kontestacyjny. Był on bardziej ruchem niż oddziałem bojowym. Ponieważ jednocześnie podanie pomocnej dłoni, a nawet umiarkowane formy uczestnictwa nie pociągały wielkiego ryzyka, więc granica uczestnictwa zamazywała się; dziś tym bardziej zamazuje się w społecznej pamięci. Nawet bez wyraźnego kłamstwa łatwo dziś mówić, że uczestniczyło się w walce z komunizmem.

Oczywiście bardzo wielu ludzi systemu nie lubiło, wielu chodziło do kościołów – co mogło być formą dystansowania się wobec reżimu. Ale wielu też w niedzielę szło na mszę, a w poniedziałek na zebranie partyjne. Wielu ludzi mogłoby odnieść do siebie wierszyk o pewnym bojowniku o wolność i suwerenność: „Mama mówiła: nie wierz nikomu, więc on ulotki rozrzucał w domu”. Znakomita większość ludzi z komunizmem współdziałała, nawet jeśli często bez przekonania i dystansując się na różnych odcinkach. Podział na „nich” i na „nas” był bardziej symboliczny niż realny. Stawał się realny okresowo – ale rzeczywisty przebieg granicy nawet w momentach pozornie wyraźnych był sprawą skomplikowaną. Za Gierka PZPR liczyła ponad 3 mln. członków, a dla pełnego zrozumienia tej liczby trzeba pominąć w rachunku niemowlęta i w praktyce chłopów. Wiem, że nie były to 3 mln. zwolenników ustroju, ale trudno mi też uwierzyć w 3 mln. Wallenrodów. Nastroje i motywacje były różne i zresztą zmienne – podobnie jak poza PZPR, gdzie z kolei niejedyn bezpartyjny jak najbardziej *de facto* podtrzymywał system. W tego typu systemie termin „podtrzymywanie” jest zresztą trudny do zdefiniowania.

Każda rewolucja z jednej strony wierzy w jedność swoich sił, a z drugiej wietrzy zdradę wewnątrz i z zewnątrz. Wiara w swoim czasie, że jesteśmy jednością („Solidarność!”), miała pewne cechy prawdy w obliczu wspólnego wroga. Skądinąd podziały zarysowywały się w ruchu już stosunkowo wcześniej. Inaczej być nie mogło w tak liczny skupisku. Potem jedność już żadną miarą nie mogła się wszakże utrzymać. Jednocześnie wroga zabrakło, a przegrany stał się marginesem lub/i zamięszał ogonem ślady po sobie. Z kolei wietrzenie zdrady i ciągłego podejrzwania przeciwnika o spiskowanie było o tyle ciekawe, że towarzyszyło dyskursowi wielkiej siły (10 mln!) i – jak bieg dziejów pokazał – prawie zupełnemu brakowi przygotowań na wypadek, gdyby podejrzenia w kwestii grożącego niebezpieczeństwa stały się ciążące.

Rewolucje traktowane jako „godzina zero” przynoszą też wiarę, że w następnych godzinach będzie lepiej. Gdyby strajkującym w Stocznii ktoś powiedział, że wielkie zakłady stracą rację bytu, że będzie bezrobocie, że ceny mieszkań poszybują bezlitośnie, że „Solidarność” da błogostawieństwo dla takich zmian... pewno by nie uwierzyli. Ponieważ po ruchach rewolucyjnych na ogół oczekuje się zbyt dużo, więc często korelatem sukcesu jest frustracja. Oczywiście trudno odróżnić jej czynniki sprawcze, wynikające z przeżytej rewolucji, od czynników sprawczych rodzących się w nowej sytuacji, czy też wynikających z trwających elementów sytuacji zastanej. Motyw frustracji z powodu wyników przemiany jest jednak na ogół silny (przecież zrobiliśmy tak wielką rewolucję, a trwa tak dużo rzeczy złych...).

Myślenie zabarwione frustracją też staje się głębą dla mitotwórstwa. Powtarza się, że jesteśmy wielkim, europejskim narodem – co inni powinni to zrozumieć poczynając od przyznania nam, że to myśmy obalili komunizm. Mawia się, że polska historia była wyjątkowa, bezgrzeszna, zaś Powstanie Warszawskie godne upamiętnienia nie tylko z uwagi na ożywione dobrymi intencjami ofiary, ale z każdego wyobraźlanego powodu. Wszystko to świadczy o jakichś wielkich kompleksach – bo przecież nawet takie demonstrowane kompleksy wyższości faktycznie wynikają z kompleksów niższości.

Pojawia się założenie, że przemiana nie została dokończona i trzeba ją dokończyć. Przecież to łatwe, tylko wciąż ktoś sypie piasek w tryby. Trzeba wyeliminować byłych TW, potem dzieci, a nawet wnuki komunistów (także te, które buntowały się lub nawet siedziały). W ogóle to trzeba wyeliminować każdorazowych rządzących... aż do momentu, gdy sami głosiciele takich poglądów jako rzekomo jedyni prawowici spadkobiercy przemiany obejmą władzę. Trzeba stanąć naprzeciw Pani Rektor Uniwersytetu Warszawskiego i tłumaczyć swego czasu, że należy przeprowadzić nieprzytomnie pomyślaną lustrację profesury.

Powyższy przegląd można uzupełnić jeszcze o wiele utopii odcinkowych, na przykład:

- że ma sens tylko i wyłącznie prywatna własność, że tylko i wyłącznie wolny rynek... co stanowiło (stanowi) rozumowanie czarno-białe, które przypominało (przypomina) odwrotność myślenia komunistycznego;
- że cały naród jest katolicki, a w rezultacie przemiany można było pożądać powstania katolickiego państwa narodu polskiego;
- że jak się zwiększy nieprzytomnie liczbę studentów, wprowadzi na uczelniach ocenę parametryczną i punkty za każde kichnięcie (by nie powiedzieć gorzej), gdy w sumie wprowadzi się współzawodnictwo pracy (odpowiedniki tablic honorowych już zaistniały w różnych instytucjach)... to poprawi się stan nauki polskiej.

Bieg życia sfalsyfikował przynajmniej część tych utopii, ale w okresie bliższym przemiany owe były jak najbardziej żywe.

Zarysowany przegląd można też uzupełnić o anty-utopie. Pojawiły się tezy, że wszystko jest złe i tylko złe. Powiedziano, że nic nie działa, że Polska stanowi kondominium, że Kościół jest atakowany, że chce się pozbawić Polaków wspaniałej historii np. przez reformę jej nauczania, że znów dominują jacyś „oni”. Elementem takiego myślenia jest nie dostrzeganie, że jakiś fragment rzeczywistości nawet w tym samym obszarze rzeczywistości może być negatywny, a inny pozytywny, wręcz z punktu widzenia tych samych, a tym bardziej różnych ludzi.

Ujednoliciąca wizja negatywna jest niemądra, ale rozsądniej byłoby nie tylko ją krytykować i uważać za produkt robaczywego myślenia, lecz zastanowić się, na jakim podłożu ona powstaje. Wśród przyczyn sygnalizowanego podejścia są chyba głębsze socjologiczne: zmiana pokoleniowa oraz zmiana punktu odniesienia dla dziś wschodzącego pokolenia (takim punktem nie jest już komunizm!). Są też przyczyny bardziej doraźne czy okazjonalne. Czyż np. klasa polityczna, a przy-

najmniej jej obraz, jaki Polska ogląda za pośrednictwem telewizji, nie sugeruje zaimka „oni”? Czy wyższe uczelnie w rozkroku pomiędzy tradycyjnym konserwatyzmem oraz trudnymi do akceptacji reformami minister Kudryckiej rzeczywiście nie dawały powodów do niepokoju? Czy bezrobocie absolwentów nie pcha ich ku postrzeganiu III RP jako jednej wielkiej klęski? Czy funkcjonowanie służby zdrowia nie wzbudza najpoważniejszego niepokoju?

Lepiej rozpatrywać takie pytania i szukać wyjścia z trudności, niż prowadzić do wzmocnienia szeregów zwolenników sygnalizowanej antyutopii. To są bardzo groźne zjawiska. One otwierają drogę demagogom. Prowadzą do preferowania w wyborach powszechnych rozwiązań w oczywisty sposób bezsensownych – dla zaprotestowania przeciw wszystkiemu – lub wręcz groźnych. Za mojej pamięci bodajże w São Paulo (Brazylia) znacząca liczba wyborców dopisywała na kartkach wyborczych imię słonia właśnie kupionego przez miejscowe zoo – wyrażała w ten sposób, co myśli o świecie polityków. Stołń nie zwyciężył, ale – by sięgnąć do mocnego przykładu Hitler w swoim czasie stał się beneficjentem podobnego mechanizmu.

Kolejna antyutopia to pogląd, że za komunizmu było lepiej. Niewielu jest głosicieli takiego mitu, ale u niejednego człowieka pojawiają się wspomnienia jakoby mieszkania były tanie, do lekarza był dostęp, oświata stała na wyższym poziomie (robiliśmy porządną maturę, uczyli nas dobrzy profesorowie...). Na ogół takie wizje przyjmuje się bez dyskutowania, czy to wszystko naprawdę dobrze działało i nie zważając na nieraz jednocześnie i u tych samych ludzi pojawiającą się kolejną antyutopię – czyli przesadnie czarną wizję komunizmu. Wizja okresu stalinowskiego jest często rzutowana na całość PRL. Nie jest to prawdziwe, nawet jeśli trudno zaprzeczyć, że betonowa struktura ustroju trwała bez zmian, a wielu ludzi też tkwiło w jej ramach „na dziobie okrętu” (jak w *Słowie o Stalinie* Broniewskiego). Nie trzeba też podkreślać, że brak powodów, by miniony ustrój chwalić. Zachodziła jednak w PRL już wyżej wspomniana ewolucja. Wykształcenie za PRL – by posłużyć się tym przykładem – nie było *summa summarum* jedynie produkcją „wykształciuchów”. Nawet negatywne traktowanie *en bloc* całej humanistyki jest nieprawdziwe i niesprawiedliwe.

Badania komunizmu i przemiany to wciąż temat dla historyków. Wiele zostało zrobione – aczkolwiek z większymi rezultatami w zakresie faktografii niż konceptualizacji. Może, pogłębiając dotychczasowy dorobek, ktoś podejmie badania nad myśleniem utopijnym w Polsce przed, w trakcie i po rewolucji, tu ledwo i subiektywnie zarysowanym. Będzie warto wtedy pamiętać, że – co może nie wynika z tej wypowiedzi – myślenie utopijne nie jest *a priori* negatywne. Bez niego świat by stanął. Utopie inspirują, pytanie tylko w jakim kierunku. Pytanie także o stopień, w jakim służą inspiracji, a w jakim przesadzają realne życie – co już bywa groźniejsze.

MARCIN KULA

URSZULA GLENSK

ŚLAD PO PRL-u

Czy PRL był państwem totalitarnym? Panowała w nim monopolistyczna ideologia, istniała jedna partia ściśle powiązana z aparatem władzy, media były podporządkowane rządowi, gospodarką zarządzano centralnie – są to cechy państwa totalitarnego (zgodnie z definicją Friedricha i Brzezińskiego).

Niemniej PRL był polską wersją systemu reżimowego, w gruncie rzeczy jego miękką formą. Brutalne prześladowania polityczne były skierowane przeciwko wąskiej grupie zaangażowanych opozycjonistów, reszta społeczeństwa miała się zadowolić pozorami normalności – a to koncesjonowany teatr pokpiwający z władzy, a to swoboda ambony, a to niepisany traktat władzy ze społeczeństwem, że oto wszyscy musimy się dostosować do ograniczeń narzucanych przez Moskwę, bo jeżeli wielki brat się zezłości, może być tylko gorzej.

Po latach represyjny charakter PRL jakby przestał nas obchodzić, czy jakoś specjalnie interesować. Wyrosło nowe pokolenie, które ma problemy z rozszyfrowaniem akronimu „PRL” (wiem to, ponieważ uczę studentów).

Starsze pokolenie domaga się jeszcze swoich zadośćuczynień, ale w ostatnich latach stało się zakładnikiem rozgrywek politycznych, które zupełnie nie służą ani zadośćuczynieniu, ani sprawiedliwości. Sprowadzają refleksję na temat Polski Ludowej do akt IPN-u i szantażów politycznych. Takie rozliczenia do niczego nie prowadzą, natomiast są paliwem indywidualnych karier (ileż opasłych tomów wyprodukowali historycy w IPN) i sensacji opartej na łowach archiwalnych. Fatalnym przykładem takiej działalności jest najnowsza książka Joanny Siedleckiej (*Biografie odtajnione*), skądinąd zdolnej reporterki, która opowiedziała swoim czytelnikom, jakie były erotyczne historie pisarzy, posługując się tajnymi podsłuchami bezpieki. I w ten sposób po raz drugi zwiktyimizowała represjonowanych pisarzy, za nic mając zasadę dyskrecji wobec tzw. „akt wrażliwych”. Odtajniła biografie, ale łózkowe. I to wszystko w imię świętej idei rozliczeń z PRL. Siedlecka z em-

fazą pisze o tym we wstępie książki, uważając swoje „wykopki” IPN-owskie za powinność wobec wnuków. Szkoda, że przy okazji nie pomyślała o wnukach swoich bohaterów, którzy może niekoniecznie chcą dowiadywać się o ekscesach erotycznych swoich przodków, znanych pisarzy.

Jednak nie wszystkie tomy rozliczeniowe, których autorzy przeszukują archiwalia z tamtego czasu, żerują na taniej sensacji. Przykładem udanej i odkrywczej książki jest reportaż Cezarego Łazarewicza *Żeby nie było śladów*. Autor relacjonuje historię Grzegorza Przemyka, warszawskiego maturzysty, zakatowanego na komisariacie milicji na Jezuickiej.

Już wówczas, w połowie 1983 roku była to bardzo głośna sprawa, ponieważ matka chłopca, Barbara Sadowska – poetka i działaczka Komitetu Prymasowskiego – była opozycjonistką i szybko udało się przekazać mediom na Zachodzie informację o śmiertelnym pobiću chłopca. Zanim milicja zdążyła zastraszyć i spacyfikować świadków, Radio Wolna Europa upubliczniło wiedzę o katowaniu na komisariacie.

Pomimo tego, że śmierć Grzegorza Przemyka była jednym z najgłośniejszych dramatów politycznych ostatniej dekady PRL (obok śmierci Pyjasa i Popiełuszki), to książka Łazarewicza pewnie każdemu czytelnikowi uświadamia, jak niewiele o tej historii wiedzieliśmy przed lekturą. Podobne odczucia można mieć po przeczytaniu reportażu ęsne Seierstad *Jeden z nas* o Andersie Breiviku. Norweska pisarka również przebiega przez ponurą faktografię, wobec której przekazy medialne wydają się mieć głębię czytanki z elementarza.

Z punktu widzenia techniki pisarskiej dokument Łazarewicza jest przykładem narracji, utrzymującej zainteresowanie odbiorców od pierwszej do ostatniej strony. Reportaż zaczyna się od rekonstrukcji sekwencji zdarzeń z komisariatu i z kilkudziesięciu dramatycznych godzin po pobiću. Gdyby to była fikcja, można byłoby powiedzieć, że książka ma konstrukcję filmów Hitchcocka – najpierw trzęsienie ziemi, a potem napięcie konsekwentnie rośnie. Spośród innych nominacji

do tegorocznej Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za Reportaż Literacki, ta książka błyszczy logiczną sekwencją opowieści, spójną konstrukcją i przemyślaną koncepcją całości.

Dzieło Łazarewicz wiele mówi o mechanizmach rządzących Polską sprzed transformacji politycznej. Książka o Grzegorzu Przemyku nie ogranicza się do studium przypadku. To jest opowieść o deprawacji władzy, o mechanizmach rządzących reżimowym państwem. Umiejętność uchwycenia metod działania i sprowadzenie ich do konkretnego doświadczenia nadaje wielką wartość tej publikacji.

Łazarewicz pokazuje, w jaki sposób odbywało się zastraszanie świadków. Katowanie Przemyka widział zatrzymany razem z nim przyjaciel, drugi nasłuchiwał odgłosów z komisariatu, stojąc pod oknem. Dlatego po zabójstwie prawie trzystu funkcjonariuszy było zaangażowanych w inwigilację głównego świadka. Jego ojciec został zastraszony do tego stopnia, że zaczął współpracować z służbami. Działal przeciwko własnemu synowi i matce zabitego chłopca. Złożył Sadowskiej wizytę, podczas której straszył ją, że napisze do Komitetu Prymasowskiego list z informacją o jej „nieobyčajnym” prowadzeniu się. Działal na zlecenie SB.

Proces osaczania, zastraszania, doprowadzania świadków do depresji i prób samobójczych budzi przerażenie. Dość powiedzieć, że tajniacy prowadzili obserwację Sadowskiej z założeniem, że jeśli będzie wychodziła z domu pijana, to należy ją zatrzymać i zawieźć na Izbę wytrzeźwień, aby zdeprecjonować ją w oczach opinii publicznej. Zresztą wizerunek pijanej, niezbornej życiowo i dysfunkcyjnej matki udało się po części utrwalić w wyobrażeniach postronnych obserwatorów. SB przeprowadziło wywiady z mieszkańcami całego bloku, w którym mieszkała, aby znaleźć kompromitujące materiały i wykorzystać je przeciw kobiecie – aż 200 rozmów z sąsiadami. Wszystko po to, aby zastraszyć i unieszkodliwić matkę oplakującą śmierć syna, ponieważ nagle stała się niebezpieczna dla władzy.

Cały ten wysiłek służb miał na celu ochronienie zomowców odpowiedzialnych za śmiertelne pobicie. Aparat państwa musiał ich chronić, nie można było ich postawić przed sądem, trzeba było pokazać innym funkcjonariuszom, że nie zostaną osamotnieni, kiedy przytrafi im się coś podobnego. Zakon nie porzuca swoich członków, nawet gdy mają kłopoty. Pokaz politycznej bezkarności miał swoje konsekwencje, zabójcy księdza Popiełuszki dopiero przygotowywali plan uprowadzenia, ale czuli się bezpiecznie w strukturach siłowych reżimowego kraju.

Natychmiast po przedostaniu się do opinii publicznej informacji o śmieci maturzysty, stworzony został specjalny zespół do spraw kontroli informacji, który miał propagandowo opanować sytuację.

Powołani zostali również akademicy eksperci, których celem było wyjaśnienie, że pobicie chłopca nie nastąpiło na komisariacie. Usłużni eksperci – profesowie uniwersytetu – znaleźli się. Jednym z nich był dyrektor Instytutu Psychologii UJ Włodzimierz Szewczuk, drugi to Józef Borgosz z Wojskowej Akademii Politycznej. Uzasadnili, dlaczego Przemyk nie został pobity na komisariacie, dali glejt władzy, stworzyli alternatywny plan wydarzeń. Co więcej, przyczynili się do wskaza-

nia fałszywych sprawców, czyli pracowników Pogotowia Ratunkowego. Niewinni sanitariusze zostali realnie skazani. Jeden z nich trzykrotnie usiłował popełnić samobójstwo. Przy okazji rozhułano też akcję propagandową przeciwko pracownikom Służby Zdrowia.

Robiono również „porządek” w prokuraturze. Zbyt dociekliwych prokuratorów, którzy nie wierzyli w niewinność milicjantów odsuwano od pracy. Jeden z nich – Franciszek Rusek – został wysłany przez Radę Państwa na przymusowy urlop.

Służby państwa sięgały po różne techniki manipulacyjne. Rozpowszechniano fałszywki propagandowe na temat środowiska Sadowskiej – seria artykułów prasowych i wypowiedzi Jerzego Urbana jako rzecznika rządu robiły zamęt wokół sprawy i oczerniały świadków. Aby zneutralizować zainteresowanie opinii publicznej wypuszczono taśmy, które miały kompromitować Wałęsę, a były nagraniem niezbyt eleganckiego języka używanego z rozmowach z bratem. Nagranie zrobiono podczas internowania Wałęsy w Arłamowie.

Łazarewicz dobrze oddaje atmosferę pierwszej połowy lat osiemdziesiątych – ideowców stawiających wszystko na jedną kartę, bezwolny tłum i chwiejącą się, ale wciąż bezwzględną władzę. Brutalnych zomowców i przypadkowych uczestników zdarzeń.

Jest coś szczególnie niepokojącego przy lekturze tej książki. Czytamy co prawda wartko napisaną relację zdarzeń sprzed 35 lat, ale czytamy ją w Polsce rządzonej przez PiS. I nagle okazuje się, że metody PRL-owskie zaczynają odżywać. Potrzebni są odpowiedni prokuratorzy – znajdują się prokuratorzy wyznaczeni przez ministra. Potrzebni są eksperci do obalenia Trybunału Konstytucyjnego – znajdzie się prof. Bogusław Banaszak, który napisze, co ma napisać, a potem dostanie synekurę w Komisji Weneckiej w miejsce odwołanej Suchockiej. Trzeba taśm – będą taśmy i emitowanie ich treści w *Wiadomościach*. Trzeba skompromitować niewygodnych przeciwników – postawimy im zarzuty prokuratorskie. Potrzebna tuba propagandowa – zrobimy porządek na Woronicza i przegniemy TVP.

I jeszcze jedna zasada – naszych winnych nigdy nie zostawimy samych. W Zakonie musi być bezpiecznie, bo inaczej funkcjonariusze zaczną się bać i nie będą robili tego, czego się od nich oczekuje.

Bij, „żeby nie było śladów” mówił na komisariacie jeden milicjant do drugiego. A jednak zostali. Reportaż Cezarego Łazarewicza *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka* odkrywa wiele śladów tamtej przeszłości. I – co ważniejsze – ujawnia mechanizmy działania reżimowej władzy.

Kiedy czytałam tę książkę, nie opuszczało mnie przykre odczucie, że znowu wokół mnie nastaje stan wojenny. Tym razem miękki stan wojenny wprowadzony przez wychowanków tamtego systemu. Nie przez przypadek ważni funkcjonariusze dzisiejszego państwa PiS pobierali nauki w prokuraturze lat osiemdziesiątych. Nie przez przypadek jego główny kreator jest wychowankiem Stanisława Ehrlicha, prominentnego prawnika PRL-u, ale... despotyczna władza zawsze zostawia ślady.

URSZULA GLENSK

PAWEŁ KOZŁOWSKI

KULTURA WOJNY

REDIVIVUS

Trzy okoliczności, a właściwie trzy procesy, zmniejszają teraz wagę pokoju. Faktycznie jest ich więcej, ale na te właśnie zwracam uwagę. One się wzmagają, podobnie jak tężeje wręcz wybuchowy system (lepiej byłoby tu określenie: dramat) gospodarczy świata. Ten ostatni tutaj pomijam, choć go widzę. Duży ma rozmiar.

Wojny rodzą się w ludzkich głowach. Pokój tkwi w nich również. W innych lub kiedy indziej. Gdy zmienia się mentalność, rozwijają odpowiednie postawy, kształtuje nastawienie, to powstaje odpowiedni klimat do walki i wojny. Niezależnie od roli racjonalnych czynników. Taki nastrój panował zarówno przed pierwszą, jak i przed drugą wojną w Europie. Przypomnijmy Ernsta Jüngera, który w *Stalowych burzach* opowieść zaczyna następująco: „Potomkowie epoki stabilności, tęskniliśmy za czymś niezwykłym, za wielkim niebezpieczeństwem. Wtedy to porwała nas wojna jak rausz. Ruszaliśmy w deszczu kwiatów, róże i tętniąca krew wprawiała nas w nastrój upojenia. Wojna wszak musiała nam to dać: wielkość, moc, odświętność. Marzył nam się męski czyn, radosny bój strzelców na kwiatnych łąkach zroszonych krwią”. Autor i wielu jemu podobnych czekali z utęsknieniem na wyjście z domowej nudy, ceniłi moc poezji, a nie powszedniość prozy, chcieli się pozbyć monotonii życia, pragnęli święta i pulsującej kultury rycerskiej. Nazywali to cywilizacją i europejskością. W mocnej dawce mogła im to zapewnić, ich zdaniem, tylko wyczekiwana, cenna wojna.

Teraz w głowach wielu bywają odmienne myśli, poza nimi są okoliczności niepowtarzalne. Ale nie wszystkie. Coraz częściej te niby nowe do tego samego co stare skłaniają i tą samą drogą prowadzą. Walka i sakralizacja wojny ożywia się ponownie. Uwniosła

podlegające jej życie, nadaje mu sens i wyznacza cel. Co prawda chyba nikt nie planuje współcześnie realizacji rycerskiego mitu. Teraz wojna ma być przygodą, zabawą, źródłem uznania, grą, w której racja jest określona i przypisana. Wyrazem przebiegłości, wyższości moralnej i sprawności intelektualnej. To wydarzenie ubarwiające egzystencję, podobne do wakacyjnej turystyki i panującej obecnie „kultury dla zabicia wolnego czasu”. Tyle że ma być ono intensywniejsze i bardziej wznieście.

Rycerskość zastąpiona jest przez waleczność, a właściwie bitność, cechę traktowaną jak cnotę, właściwość ogólnie dostępną, a więc demokratyczną. Uważaną za samo się uzasadniającą. Takie obrazy, żywe dzieła tworzą rozmaite rekonstrukcje historyczne, ekspozycje nasycone właściwą dydaktyką, wyprawy do lasu lub kanałów ludzi odpowiednio oznakowanych i ubranych w stosowny kostium. Tam okazują oni swoją niezłomność, a później oglądają relacje z frontu i szukają w nich swojej twarzy. Powstają muzea, które pokazują chwalebny heroizm, ale nie informują, kto przegrał, dlaczego zginął i nie zadają pytań z jakich powodów to wszystko było i po co. Rycerskość zakłada osobiste, bezpośrednie uczestnictwo. Teraz tego też nie ma. Nastrój budują jedni, a walczyć mają inni, młodszy. Dzieci i wnuki sąsiadów. Rycerskość zastąpiło hasło patriotyzmu, który musi się realizować w walce. To jego jakoby naturalna postać istnienia. Naród wymaga w obecnej aurze ciągłego poświęcenia, odnawiania i scalania. Krwią, z której wyrosną kwiaty.

Stworzenie z wojny wartościowego elementu życia, korzystnie je intensyfikującego i nadającego mu smaku jest zmianą najgłębszą. Niewidoczną jak

smog, ale wdychaną mimo przekroczenie alarmowego poziomu.

Wojny wynikają również z recepcji świata, są konsekwencjami wyobrażeń i obrazów mających go przedstawić. W gruncie rzeczy one go nie tyle wyrażają, co tworzą. We współczesnym obrazie o tej tematyce dominantą kompozycji jest postać wroga. Obecność mającego zabójcze zamiary nieprzyjaciela, a przynajmniej wywołującego niepokój obcego. Obraz taki, jak każde dzieło sztuki, nie powstaje sam, nie wyrasta siłą biologicznej żywotności. Ma swojego określonego twórcę, choć jest on zbiorowy. To mocno teraz podekscytowane towarzystwo polityczno-medialne, bohema intelektualna naszych czasów. Ona prosto i przejrzyście znakuje świat, który po rozpadzie poprzedniego układu związanego z istnieniem ZSRR rzeczywiście ulega deregulacji i stał się amorficzny. W tym pejzażu na pierwszym planie umieszczono wroga, on nas określa. Są wygrani i przegrani, zagrożenie przenika wszystko, walka nadaje wartość naszemu zbiorowemu życiu, ma wypełniać indywidualną egzystencję i jest obowiązkiem. Nadrzędnym, czyli moralnym, rzecz jasna. Intensywne zagrożenia uzasadniają potrzebę obecności istniejącej władzy i państwa z dominującym ośrodkiem wykonawczym. Sugerowane jest jego wzmocnienie. Dobro wspólne staje się namacalne, podobnie jak polityka, a narastający wysiłek jej personelu nabiera cech heroizmu. Pokazowy nieprzyjaciel musi znajdować się blisko i wywoływać lęk. Elita polityczno-medialna przekształca go, rozszerza i używa do swoich celów jako siły mobilizującej społeczeństwo, które, pozbawione socjalnych instytucji państwa, ma stać się etnonarodem.

Tak przedstawiany jest nie tylko świat, ale również bliższe kręgi, w tym osobisty. Konkurencyjność i rywalizacja tworzone przez obecną postać rynkowo-bankowej gospodarki przenika do codziennych doświadczeń ludzi. Obecność wrogów obniża wagę przyjaciół, interesy i celowość wypierają z życia bezinteresowność, zarządzanie zajmuje miejsce tworzenia, przebiegłość zaufania, biurokracja demokracji, a biurokracja i ustanawiana arbitralnie i narzucana hierarchia kształtujące się spontanicznie więzi.

Każdy wróg ma swój stereotyp, który go kondensuje i stabilizuje. Także zaślania, w takiej iluzjonistycznej scenografii niemożliwe staje się również poznanie samego siebie. By tego dokonać, a przynajmniej próbować, trzeba z niej wyjść, co jest trudne. Nie ma miejsca. Współczesność grodzona jest murami i zasiekami, gdyby je wszystkie ustawione w wielu przestrzeniach połączyć, to powstałby ciąg widoczny z kosmosu. Planeta skala tego krajobrazu ma nieprzypadkowy charakter, mury i ogrodzenia są owocami globalizacji.

Te dwie formy: wojennej mentalności i nieprzyjacielskiego świata mają swoje podpisy. Robione w odpowiednim języku, który zarówno w postaci lingwistycznej jak i pojęciowej formuje i jego użytkownika, i przedmiot. Mamy zatem „misje pokojowe”, „strefy odpowiedzialności”, „ustanawianie pokoju”, „budowanie państwa demokratycznego”. Odnajdujemy się walecznością, a wojny toczymy, jak zawsze, sprawiedliwe, konieczne, wyzwolenie i uprawnione. Jeśli jakąś wywołujemy, to tylko aksamiatą, którą, niestety niecnym przeciwnik przekształca w ostrą. Wrogowie okrążają nas za pomocą wojen hybrydowych, których narzędziem może

być wszystko, np. cła na jabłka lub kontrola jakości rury wydechowej. Taki język ugruntowuje poczucie niewinności, oddziela nas od nieprzyjacielskiego świata, zarazem wzmacnia patriotyczny wysiłek i poświęcenie.

Trzeci składnik wspomnianej trójcy ma odmienny charakter. Jest rzeczowy. To technika wojskowa, a więc środki wojenne. Nowe, które wojnę przybliżają.

Zmienia się tzw. broń masowego rażenia i kształtuje nowy do niej stosunek. Kiedyś, bez mała do końca ubiegłego wieku była wyraźna granica, wręcz odstęp oddzielający broń atomową od tradycyjnej, czyli konwencjonalnej. W przypadku broni chemicznej przełamano ją wielokrotnie, choć nie na stałe. Odrębność atomowej zachowano dłużej. Także istniała tabuizacja jej użycia, a to niebagatelna okoliczność, może w praktyce najważniejsza. Teraz rzeczy się mają inaczej. Różnica między tą bronią a konwencjonalną staje się niejasna i maleje. Pociski uranowe z jednej strony, a z drugiej bomby kasetowe i podciśnieniowe nie są jedynymi tego rodzaju przykładami, od dawna znanymi. Dalej postępuje proliferacja, czyli zwiększa się liczba rąk czekających blisko odpowiednich kluczy i przycisków, a także mnożą się potencjalne powody użycia w pełni swojej siły. Również miniaturyzacja i doskonała precyzyjność redefiniują i zmieniają funkcje tej broni. Staje się ona bardziej normalną jedną z wielu rzeczy w kulturze wojennej.

Nie mniej ważne są inne zmiany. Zabijanie szybko się odpersonifikowuje. Szczególnie cenione jest robienie tego z powietrza. Helikoptery w zwarcich lądowych zajęły miejsca czołgów i transporterów. Rakiety latają wysoko lub nisko, daleko i blisko, a także celnie trafiają. Drony są sterowane niczym zabawki, z daleka, wygodnie i bez ryzyka. Co najwyżej można jakiś stracić, ale i dostać nowy. Broń oddziałująca bezpośrednio na mózg i nerwy aktualnego przeciwnika przestaje być jedynie częścią rozbudowanej wyobraźni literatów. Stosowana jest już od jakiegoś czasu broń działająca w cyberprzestrzeni, specjaliści potrafią nią zniszczyć startujące rakiety, wirówki i inne drogie militarne urządzenia.

Odpersonalizowanie zabijania upodabnia uczestnictwo w wojnie do gry. Zwyciężają reguły triumfatora. Początkowo komputerowe zabawy miały służyć symulowaniu rzeczywistego świata, teraz dzieje się odwrotnie: wzorcami są gra i ekran, a ludzie i realne wydarzenia ich dopełnieniami. Duża transformacja. Niemniej, zmiana jest innego rodzaju. Granica wojennego zabijania wyznacza stosunek do życia, biologiczny lęk przed jego utratą i kulturowy respekt dla życia w ogóle. Ma ono pierwszorzędą wartość. Gdy ktoś, najczęściej motywowany silnie religijnie, uznaje jego jedynie podrzędny charakter, to bariery znikają. Może bez hamulców wysadzić siebie w powietrze po to, by unicestwić innych, zniszczyć cały kraj, a także, dla czego by nie – świat. Życie ma bowiem wartość mniejszą od modlitwy.

Te, a także inne zmiany techniki mają sens głębszy. Stanowią materialny fundament nowej kultury wojny. Towarzyszą mentalności wojownika i są podkładem obrazu wrogiego świata. Nie zauważyliśmy, staraliśmy się nie dostrzec trzęsienia ziemi. Ono jednak nastąpiło i trwa. A podczas trzęsienia ziemi węże wypelzają na powierzchnię.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

JACEK WOJCIECHOWSKI

Z UKRAINY

Funkcjonuje u nas obiegowe przeświadczenie o naszym fatalnym położeniu geopolitycznym oraz o wynikających z tego powodu narodowych dramatach i nieszczęściach. Nie sposób zaprzeczyć. Jednak nie jest prawdą, jakoby zły los dokuczył najbardziej w całej Europie akurat nam. Są jeszcze inni, w sytuacji znacznie gorszej. Wśród nich właśnie Ukraińcy, których jest o 10 milionów więcej niż nas, a na niepodległość wybijają się z najwyższym trudem i dopiero od niedawna (trudno odnosić się do Rusi Kijowskiej), bowiem aktywnie mniej więcej od 100 lat.

Jeżeli po Rosji krąży przekonanie, że świat jest jednolity, złośliwie i agresywnie antyrosyjski, to na Ukrainie zdaje się przeważać opinia, że świat o Ukrainie w ogóle nigdy nie myślał, toteż nie mógł jej zapamiętać, bądź o niej zapomnieć. Światowe kamery rzadko bywały i nie częściej są w tamtą stronę kierowane. A jeśli w ogóle, to na krótko oraz powierzchownie.

Własne ukraińskie dzieje oraz ich fragmentaryczna dokumentacja też nie sprzyjają dobremu samopoczuciu – z powodu permanentnego rozdarcia – ani nawet spójnej narodowej tożsamości. Wahadło balansuje pomiędzy chaosem i zagubieniem a szczególnymi formami nacjonalizmu, bywa że bezrefleksyjnego i agresywnego. Z nastawieniem już to przeciwko wszystkim, albo/oraz po ukonkretnieniu: według koncepcji trzech wrogów – stale obecnej od czasów postpetlurowskich.

Ta trójka to Rosja, Polska oraz Niemcy. W takiej zapewne kolejności hierarchicznej – jakkolwiek rusofilskich Ukraińców są miliony, a Rosjan na Ukrainie nie mniej – ewentualnie taktycznie zmienianej, stosownie do okoliczności, ale na krótko. Palmę pierwszeństwa zapewniają Rosji zdarzenia historyczne (w tym tragedia Wielkiego Głodu i eksterminacja ukraińskiej inteligencji) oraz aktualne, a także pamięć o licznych zamachach skrytobójczych. Wśród najgłośniejszych: zabójstwo Jehena Konowalca (23.05.1938 w Rotterdamie) przez agenta NKWD, również Stepana Bandery (15.10.1959

w Monachium) przez wysłannika KGB, a wcześniej Semen Petlury (26.05.1926 w Paryżu) przez żydowskiego terrorystę o niejasnych powiązaniach.

Jeżeli – biorąc pod uwagę nasze wzajemne uprzedzenia, niechęci, a nieraz nawet wrogość – chce się mniej więcej racjonalnie spojrzeć na ukraińskie wydarzenia obecnie, to jednak trzeba o tym wszystkim wiedzieć. I ostrożnie, ale bez awersji odnieść się do tamtejszych prób wybijania się na autentyczną niezależność. Jeżeli w dzisiejszej rzeczywistości jest to gdziekolwiek w ogóle możliwe.

Bowiem Ukraina z najwyższym trudem usiłuje powstać z kolan. To może się udać, jakkolwiek żadnej pewności nie ma. Trudno zatem pozostawać wobec tego w obojętności, chociaż nadmiernie skwapliwy, jednoznaczny oraz bezkrytyczny aplauz też może być ryzykowny i niepotrzebny.

Zaś przesłanki tego zainteresowania, obok ogólnych ale mocno sloganowych, etyczno-politycznych, są i chyba powinny być również interesowne – o czym trzeba mówić bez hipokryzji. To wszak duży kraj w bezpośrednim sąsiedztwie, toteż wzajemne relacje są niezwykle ważne. Ale poza tym nikt przecież nie powiedział, że występujące tam dramaty nie mogą wydarzyć się gdziekolwiek indziej.

Dlatego dobrze jest wiedzieć. I z taką intencją sygnalizuję tu garść opinii oraz refleksji, wydobytych z tamtejszego, bieżącego piśmiennictwa.

WTARGNIĘCIE

Dmitrij Tymczuk, Jurij Karin, Konstantin Maszowiec, Waczesław Gusarow, *Wtórzenie w Ukrainu: Chronika rosyjskiej agresji*. Kijew, Brajt Star Publishing, 2016, 240 s., ilustr. ISBN 978-966-2665-85-7. (Gruppa „Informacijnoje Soprotiwlenije”).

Przebieg rosyjskiej interwencji na Ukrainie – agresji półjawnej oraz dywersji skrywanej – opisało w in-

interesującej książce czterech autorów z ukraińskiego zespołu *Informacjonnoje Soprotiwlenije*, przynależnego do społecznego ruchu *Centrum analiz wojskowo-politycznych*, które istnieje od 2008 roku. Wszyscy oni to pułkownicy rezerwy ukraińskiej armii, a D. Tymczuk jest także członkiem parlamentu w Kijowie. Tekst ma wybitnie rzeczowy charakter, z wysoce klarownym sposobem eksplikacji i daje pojęcie o tamtejszych wydarzeniach, przede wszystkim militarnych. Politycznych refleksji jest mniej – i to chyba dobrze.

Jednak ostrożność w odbiorze wydaje się nieodzowna. Bo to jest publikacja oczywiście propagandowa oraz *wojująca*, napisana po rosyjsku, zatem nastawiona na odbiór szeroki i różnorodny. Nie podejrzewam przeinaczania faktów, natomiast tonacja oraz ukierunkowanie komentarzy – chociaż nie przesadne – są jednoznaczne. O separatystach pisze się jako o terrorystach, a Janukowycz to zdaniem autorów bandyta. Trwa tam wojna, więc nie ma zdziwienia, ale jednostronność opinii jest ewidentna. A przecież nie wszyscy tam podzielają ten punkt widzenia.

Zdaniem autorów, przedsięwzięcia dywersyjne wobec Ukrainy i ewentualnie inwazyjne w kilku wariantach Moskwa szykowała już od dawna. Stopniowo podrzucając dywersantów ze specnazu, następnie innych wojskowych oraz mobilizując swoich miejscowych zwolenników, których tam sporo było i nadal jest. Z czasem bardzo pomocny okazał się Janukowycz i – jak napisano – cała jego *banda* zarówno w postępowaniu celowym, jak i przez nieudolność. W istocie to on spowodował, że w chwili agresji aparat bezpieczeństwa okazał się niewydolny, a liczni funkcjonariusze (także urzędnicy) przechodzili na stronę separatystów. Inna sprawa, że statystyczny ukraiński milicjant zarabiał wtedy równowartość 300 dolarów miesięcznie, a rosyjski (więc potem i prorosyjski) 1200 dolarów, tak więc zmiana przynależności była ułatwiona.

Praktyki zdrady albo uników nie były odosobnione. W Odessie zastępca komendanta milicji po prostu nawiał do Rosji, natomiast na Krymie wyżsi dowódcy ukraińskiego garnizonu masowo pobierali zwolnienia lekarskie. Nie tylko z tego powodu, w pierwszej fazie walk dowodzenie ukraińskimi operacjami wojskowymi było nieporadne, a koordynacja przedsięwzięć bliska zeru. Jak do tego dodać prorosyjskie nastawienie cerkwi, a w niektórych regionach także licznych mieszkańców – w Donbasie aż 70 proc. – to efekty obronne nie mogły być dużo lepsze. Kiedy w Doniecku, już separatystycznym, przeprowadzono później badania socjologiczne, 93,5 proc. respondentów uznało za agresora w konflikcie... Ukrainę! Nic zatem nie jest tak proste ani oczywiste, jak to się czasem wydaje.



Część terytoriów (połowę?), zagarniętych początkowo przez Rosjan i separatystów, z czasem odzyskano, ale na innych zajętych obszarach utrzymał się status quo. Na jak długo? Odpowiedzi nie ma. Występując 28 września 2015 roku w ONZ Władimir Putin dał wyrazie do zrozumienia, że o wycofaniu się nie może być mowy. Oczywiście – nie po to zdecydował o tak ryzykownej interwencji, żeby potem wycofywać się rakiem. Ale kiedyś, mimo butnych deklaracji, z Afganistanu Rosjanie wyszli jednak w niesławie, toteż nigdy nic nie wiadomo. Jednak autorzy nie mają złudzeń i twierdzą, że skutkom oraz rozszerzaniu się agresji może zapobiec tylko ukraińska demonstracja siły. W końcu to wojskowi.

Ich zdaniem, na pomoc Zachodu nie ma co liczyć, bo świat nie rozumie ukraińskiej sytuacji, no i woli nie drażnić Rosjan,

jeżeli nie musi. Widać to po zadowolonych minach negocjatorów w Mińsku – chociaż strona rosyjska tylko udaje, że przestrzega postanowień – i po sposobach postępowania europejskich polityków oraz innych oficjeli. Przyjeżdżają wszak na rosyjskie zaproszenia na Krym, odnotowano nawet wizytę posłów PiS-owskich, zaś europejska federacja piłkarska UEFA chętnie przypisała do Rosji krymskie kluby piłkarskie. Zresztą nawet w polskim internecie jest notka, że Krym to... *jednostka administracyjna Rosji*. Więc chyba autorzy mają rację.

Największą stratę polityczną, wizerunkową, gospodarczą i społeczną przyniosła Ukrainie aneksja Krymu (2,5 miliona mieszkańców), *jakoś tam* poparta 16 marca 2014 roku w miejscowym referendum. To było wydarzenie bez precedensu i porażające upokorzenie. Ale separacja Donbasu – w samym Doniecku mieszka blisko milion osób – nastawionego zresztą bardzo prorosyjsko, oraz Ługańska (420 000 mieszkańców) też miała i nadal ma dramatyczne skutki polityczne i ekonomiczne. Mimo że wszystko razem obejmuje ok. 10 proc. mieszkańców całej Ukrainy.

Natomiast nie udało się Rosjanom projekt połączenia separatystycznych regionów w jedną autonomiczną Noworosję – z wielu powodów. Także wobec kłótni lokalnych przywódców. Również siły wojskowe separatystów nie są w pełni zjednoczone, mimo że ich skład w 40 proc. stanowią Rosjanie z Federacji, głównie wojskowi oraz zaciężni najemnicy. Autorzy są zdania, że dwa odrębne separatystyczne regiony Donbasu oraz Ługańska to jednak mniejsze zło niż zespólna Noworosja.

Poza tym nie udało się Rosjanom dywersja w wielkim Charkowie – 1,5 miliona mieszkańców i jeszcze 250 000 przesiedleńców z terenów *oderwanych* – niezależnie od wyraźnej tam rezerwy wobec ukraińskich władz i coraz gorszych warunków egzystencji, zwłaszcza zaś wzmożonej przestępczości. Jak też

ukraińską pozostała milionowa Odessa, na przekór inspirowanym prowokacjom, w których, niestety, ginęli ludzie. Szczególnie perwersyjną dywersją rosyjską była tam antysemicka kampania, rzekomo rozpętana przez mieszkańców, lecz mistyfikację zdemaskowano stosunkowo szybko.

W aneksji Krymu, oprócz miejscowych oddziałów prorosyjskich, a także specnazu, brały udział regularne formacje rosyjskiej armii, w łącznej sile 19 000 żołnierzy. Drugie tyle czuwało przy granicy, a w pogotowiu była jeszcze Flota Czarnomorska. Po stronie ukraińskiej jako taki opór stawiała jedynie straż graniczna, nie liczna i słaba, więc cały rejon Rosjanie opanowali bez trudu. A stacjonujące tam odtąd siły rosyjskie liczą ok. 25 000 wojska.

Z kolei podczas walk w Donbasie obok granicy warowały 80-tysięczne dywizje rosyjskie, na zaanektowanym terenie znalazło się zaś 45 000 żołnierzy z ciężkim sprzętem bojowym. Teraz życie toczy się tam w trybie szczególnym. Kwitnie kontrabanda (również w Ługańsku) oraz niebываłe łapownictwo, a handluje się wszystkim: nawet przepustkami do Rosji i na Ukrainę.

W ukraińskich regionach odseparowanych od reszty kraju Moskwa próbuje wprowadzić elementarne reguły normalności. Implementowano więc rosyjski model edukacji oraz rosyjskie programy szkolnego nauczania. Następuje reanimacja życia kulturalnego, jeżeli to jest możliwe i kreuje się separatystyczne zrzeszenia twórców oraz animatorów miejscowej kultury. Zaś najintensywniej eksplodowały prorosyjskie media propagandowe. Utworzono cztery stacje TV, dziewięć radiowych, dziesięć internetowych portali i dwadzieścia gazet – wszystko finansowane przez Rosjan i stosownie ukierunkowane.

Aktualnie w obu tych regionach rosyjsko-separatystyczne siły wojskowe liczą ok. 33 000 ludzi. To niema-



ło, zważywszy że terytorium nie jest rozległe. Ich aktywność nie zamiera – rozmaite prowokacje i nieoczekiwane ostrzały są na porządku dziennym.

Rosjanie, początkowo kategorycznie zaprzeczając obecności wojsk federalnych na Ukrainie, ostatnio spuścili nieco z tonu – w tym sensie, że negują to formalnie, ale na oczywiste dowody już nie reagują kłamstwami. Ewentualnie podpowiadając *ochotniczy*, wolnowerbunkowy charakter niektórych formacji rosjopochodnych. Tymczasem według szacunków tylko 30 proc. tego wojska stanowią obywatele Ukrainy.

Oprócz wymiennych (przychodzą-odchodzą) związków taktycznych oraz specnazu, Moskwa wysłała na Ukrainę zawodowych specjalistów wojskowych, a zwłaszcza obsługę nowoczesnej broni. Bo to jest poligon doświadczalny dla nowych konstrukcji, dostępny zatem wyłącznie dla Rosjan. Miejscowych nie dopuszcza się bezpośrednio do tego sprzętu, bo zresztą nie mają o nim większego pojęcia.

Szczególną tajemnicą (choć teraz to już poliszynela) zostały objęte mobilne wyrzutnie rakiet *Grad* oraz *Buk*, dlatego strona rosyjska tak szła w zaparte zaprzeczając, jakoby miała cokolwiek wspólnego ze strącaniem samolotów pasażerskich oraz wojskowych na dużych wysokościach. Lecz bez najnowszego sprzętu (wyłącznie rosyjskiego; Ukraińcy takiego nie mają) byłoby to wykluczone. Zresztą jak było naprawdę, opowiadali co bardziej gadatliwi separatyści.

O wiele przytomniej niż ktokolwiek inny autorzy tej książki zwrócili uwagę na nowy, szczególny oraz wyjątkowo groźny przejaw obecnej wojny, nazywanej *hybrydową*. Jest nim mianowicie totalna dywersja informacyjna, bezwzględna cyberwojna, nie tylko hakerska, jeszcze skuteczniejsza niż ostrzał i bombardowania. Rosjanie przygotowali ją i realizują wyjątkowo sprawnie, Ukraińcy zaś dopiero szukają sposobów zaradczych (o czym za chwilę), przegrywając na razie tę bitwę na całej linii.

A rozpoczęła ją Rosja już dawno, stosując wszystkie możliwe warianty perswazji, demagogii i formy eksploikacyjnej agresji, w jasno wytyczonych celach. Jednym z głównych była i jest rerosjanizacja Krymu. Rozpętano mianowicie gigantyczną kampanię dowodząc, że Krym zawsze był rosyjski (co na to Tatarzy?) oraz opluwając N. Chruszczowa za włączenie półwyspu do sowieckiej wtedy Ukrainy. To propagandowo poskutkowało – również w wymiarze międzynarodowym.



Jednak ostatnio (sygnalizują autorzy) zmieniła się trochę tonacja propagandy rosyjskiej – retoryka jest mniej agresywna. Również w wojskowej taktyce separatystów widać ważne zmiany. Zamiast zmasowanych ataków formacji dużych, teraz bywają napaści niewielkich grup na małe cele. Czyżby więc główne zamierzenia Moskwy zostały już osiągnięte i odtąd następuje przymiarka do *trwania*? O tym w książce nie napisano, a z Krakowa jest za daleko, żeby oceniać.

Jeden z zasadniczych celów inwazji, mianowicie aneksja Krymu, został osiągnięty. Mimo że brakuje

bezpośredniego połączenia lądowego z Rosją, a nawet z obydwoma separatystycznymi regionami. Dlatego zresztą podjęto budowę gigantycznego mostu (19 km) z wybrzeża krasnodarskiego (Rosja) do Kerczu (Krym), przez mierzeję Tuzła. Czy ktoś zdecydowałby o takiej inwestycji, planując dalszą inwazję?

Dokonała się też częściowa, osłabiająca destabilizacja ukraińskiego państwa, jednak do rozpadu kraju nie doszło. Nie pozwoliła się również Ukraina zapędzić z powrotem do rosyjskiej strefy wpływów. Zatem nie wiadomo, czy Rosja nie porwie się na kolejną awanturę. Co wtedy świat ewentualnie na to? – czy też uzna permanentny stan niepewności za satysfakcjonujący?

INWAZJA INFORMACYJNA

Biblioteka w realizacji dzierżawotwórczej informacyjnej polityki, red. T. Dubas, L. Sisina, O. Fedorenko, J. Szłapak. Kijów: Nacjonalna Akademia Nauk Ukraini, Nacjonalna Biblioteka Ukraini im. W. I. Wernadskiego, 2016, 324 s. ISBN 978-966-02-7909-4.

Do współgrającej z militarną agresją na Ukrainę, inwazji informacyjnej Rosjanie przygotowywali się bardzo starannie, według najlepszych standardów profesjonalnych. A mieli i mają po temu stosowne środki oraz narzędzia, także doskonale wyszkolonych informatyków (nie tylko hakerów), bardzo dobrych medioznawców, zaś do przedsięwzięć praktycznych zapędzili również specjalistów z zakresu socjologii oraz nauki o informacji. Nic zatem dziwnego, że w stosownym czasie ich przewaga propagandowa okazała się miazdząca i miejscowy, rachityczny blok ukraińskiej informacji publicznej zdeorganizowali bez większego trudu. Dopiero po fakcie Ukraińcy zaczęli szukać sposobów na przeciwstawienie się, ale na razie nie widać znaczących postępów, poza projektami rozmaitej użyteczności. Jednak nie mam złudzeń, że podobnie zachowaliby się inni. To przecież dopiero ingerencja zewnętrzna w prezydenckie wybory w USA, niektórym – nie wszystkim! – nieco otworzyła oczy.

Nie warto opowiadać bajek: u nas też nie byłoby lepiej. Wprawdzie ostatnio nasz resort cyfryzacji dał sygnał, że ma niejaką świadomość zagrożeń, ale od świadomości do przedsięwzięć zaradczych droga jest daleka i kręta. Oto odbyło się w Polsce już dziesięć konferencji *naukowych* (?) na temat bezpieczeństwa informacyjnego kraju, jednak ich produktywność jest żadna, bowiem nie udało się zdefiniować... pojęcia cyberprzestrzeni. No to jak dojść do koncepcji cyberbezpieczeństwa? Teoretycy mają niebawem zdolność zerowania wszystkiego, co nawinie się pod rękę. Tymczasem, mówiąc metaforycznie, można śmiało obejść się bez definicji wychodka, natomiast potrzebne jest miejsce, żeby zrobić kupę.

Ostatecznie dwie centralne instytucje ukraińskie (a także inne), mianowicie Akademia Nauk oraz Biblioteka Narodowa w Kijowie poświęciły informacyjnej samoobronie baczniejszą uwagę. Zorganizowały przedmiotowe konferencje oraz wydały specjalną książkę – do której tu się odwołuję – jednak nie można powiedzieć, że to jest już autentyczny krok do celu. Raczej pół kroku i to wstępnego.

Sama książka jest tak okropna, że aż wstyd. Wydana zgrzebnie, jak ulotka na piwnym festynie, zaś edytorsko katastrofalna! To jest (przepraszam) wydawniczy *bajzel*: w jednej książce dwie książki, lecz jedna prawie nieoznaczona, większość pozbieranych tam tekstów ma po kilku autorów, ale nie wiadomo kto napisał który fragment, żadnych indeksów nie ma, referencjalnej ciągłości brakuje również, natomiast po kilka razy napisano o tym samym. Redaktorzy pili jeno piwo? Horror: tego nie da się *normalnie* czytać. Chyba że ktoś musi albo spręży się ponad miarę.

A jednak jest tam garść treści wysoce pożytecznych, lecz trzeba dobierać się do nich, jak w kopalni do grudek złota. I właśnie próbuję to zrobić. Na szerszy odbiór nie ma co liczyć, więc użyteczność dla tamtejszych (niespecjalistycznych) czytelników – mimo że tekst jest w języku ukraińskim – wydaje się bliska zeru. Ale do rzeczy.

Mimo wszystko można w tej książce to i owo wyczytać w miarę klarownie. Tak jak choćby ogólne, trafne założenie podstawowe, że komunikacja władzy ze społeczeństwem – w obu kierunkach – to konieczny warunek zachowania narodowej tożsamości i utrzymania niezależności. Wobec tego trzeba bezwzględnie stworzyć taki system krajowej informacji, który będzie odporny na dywersję oraz na zewnętrzne *dopełnienia*, paraliżujące wewnętrzny obieg informacji już to całkowicie, albo w znacznym stopniu. No tak, ale jak to zrobić?

W książce sugeruje się przedsięwzięcia trójkierunkowe, ale sformułowania są sloganowe i wysoce ogólnikowe. Potrzebna jest otóż konsolidacja systemu informacji państwowej, a także przeciwdziałanie rosyjskiej dezinformacji, a ponadto wypracowanie efektywnego serwisu informacyjnego, skierowanego na zagranicę. Niestety, brakuje konkretów. Chociaż bowiem jest wiadomość, że udało się wygenerować krajowy program zapewnienia informacyjnego bezpieczeństwa, ale bez szczegółów, więc w istocie nie wiadomo o tym nic. A pozostałe konteksty wydają się temu przeczyć.

Ale owszem: jest jeden detal konkretny. Oto od 2015 roku istnieje na Ukrainie ministerstwo polityki informacyjnej – jednak brakuje spisu dokonań. A wiadomość, że współpracuje z tym resortem 40 000 wolonta-

БІБЛІОТЕКА В РЕАЛІЗАЦІЇ
ДЕРЖАВОТВОРЧОЇ
ІНФОРМАЦІЙНОЇ ПОЛІТИКИ

riuszy, brzmi raczej niepokojąco, bo co to za współprac. I może nie warto już pytać, ilu w tym specnazowców oraz innych Rosjan.

Bardziej roboczo wygląda nawoływanie do takiej zmiany prawa, żeby zapewniało bezpieczeństwo informacji krajowej, a nie jej swobodę i suwerenność. W warunkach wojennych to niby zrozumiałe, lecz z kolei niebezpieczeństwo rządowego zawłaszczenia monopolu na informację jest ogromne. Z bieżących doniesień (już poza tą książką) wynika, że pojawił się na Ukrainie projekt ocenzurowania internetu. Nietrudno zgadnąć, co to znaczy. Jest zresztą jakiś zasadniczy błąd w rozumowaniu, żeby system informacji w pełni oraz jednolicie scentralizować i zautomatyzować, wszak wtedy dla stuprocentowego sparaliżowania całości wystarczą raptem minuty.

Oczywiście nie ma na Ukrainie bierności również w tym obszarze informacyjnym. Wyprodukowano i rozpowszechniono mnóstwo drukowanych i sieciowych materiałów *obronnych* sygnalizując tło i rzeczywisty przebieg wydarzeń; zwołuje się konferencje, powstały specjalne fora dyskusyjne. Jednak skuteczność tych przedsięwzięć nie wygląda na wysoką. Także nakierowanych zewnętrznie – wyliczanka jest różnorodna i długa – bowiem echa ukraińskiego nieszczęścia dowodzą raczej mizernego rozeznania sytuacji. U nas takich materiałów chyba nikt nie widział.

Przy okazji, już na potrzeby wewnętrzne ujawniły się jeszcze rozmaite niedostatki, także w nazewnictwie. No bo jak racjonalnie określać wydarzenia? Pisz się *wojna hybrydowa* albo *wojskowy konflikt*, ale to nie oddaje istoty rzeczy. Separatystów bez ce-regieli nazywa się *terrorystami* lub wręcz *bandytami*, natomiast na Rosjan określić jest dużo więcej, ale oględniejszych. Jednak już o mieszkańcach zbuntowanych regionów zaleca się mówić i pisać ostrożnie, z założeniem, że nie całkiem są winni sytuacji. W szczególności pojawiły się postulaty, żeby darować sobie pogardliwe określenia *Ługanda* bądź *Ługambia* (z genezy rasistowskie), które jednak zdążyły się już rozpowszechnić.

Problemy nawet w tym zakresie liczy się w tysiące, bo to jest duży kraj. Pojawiło się oto pytanie, jak ucywilizować i skoordynować informację polityczną – już niezależnie od infiltracji zewnętrznej – kiedy funkcjonuje tam ponad 260 partii politycznych i każda wciska się do internetu. Ich nazwy oraz proveniencje są niekiedy wielce osobliwe (tak jak u nas w 1990 roku), a prezentacje demagogiczne. Dlatego pojawiły się zachęty do filtrowania, cenzurowania i *porządkowania* politycznej informacji przynajmniej w wersji digitalnej. Ale to byłyby kroki bezwzględnie antydemokratyczne.

W książce spisano wiele różnych pomysłów zarówno luźnych, jak też realnych, mimo że częstokroć już realizowanych lub postulowanych do wdrożenia niebawem. Oto Biblioteka Narodowa w Kijowie stara się ogarnąć, zarejestrować, zindeksować oraz wypromować ukraińskie czasopisma i gazety lokalne oraz regionalne. Jednak poważną barierą użytkową stanowi mizerny tam dostęp do internetu (poza dużymi miastami), a biblioteka wszystko realizuje przez sieć elektroniczną.

W podobnym trybie i z oczywistą intencją próbuje się również poprawić jakość możliwie wszystkich do-

niesień informacyjnych. Jak napisano – także ze szczególnym nastawieniem na przesiedleńców, lecz akurat temu nie ufałbym nadmiernie. Przekonanie bowiem, że uciekinierzy z terenów objętych walkami zabierali ze sobą przede wszystkim laptopy, to czysta abstrakcja. A swoją drogą, za granicą chyba nikt nie zdaje sobie sprawy, że Ukrainę ogarnęły nieszczęścia migracyjne w niewiele mniejszym stopniu niż Europę Śródziemnomorską.

Natomiast sugestią ewentualnie najtrafniejszą, jest odpowiedź, żeby nastawić się na intensyfikację informacyjnej praktyki regionalnej, bo taka nie podda się całościowo żadnej dywersji. W tym duchu podjęto ponadto gromadzenie informacji z Donbasu i Ługańska, bo to wszak nadal jest Ukraina. A z kolei Biblioteka Narodowa zabrała się kompleksowo za rozpowszechnianie i promowanie różnych materiałów z dziejów Ukrainy zakładając, że na tym trzeba oprzeć fundamenty świadomości narodowej.

Pisze się też o konieczności wielowarstwowego i całościowego uporządkowania informacyjnej praktyki krajowej, ale to jest jak modlitwa albo zaklinanie deszczu. Bez identyfikacji detalicznych sposobów, bez określenia realizatorów, no i wszystko w mocno odległej przyszłości. Nawet skonkretyzowanej: do 2035 roku! Na razie więc ciągle odczuwa się chaos i zamieszanie, chociaż *jakieś* dokonania bezdyskusyjnie już są.

Przy ogólnym rozchwianiu obiegu informacji, a także wysokiej podatności sieci digitalnej na ingerencje zewnętrzne, coraz więcej opinii skłania się ku temu, żeby dobrze wykorzystać potencjał biblioteczny tworząc tam zaplecze dla funkcjonowania informacji administracyjnej, prawnej, politycznej i gospodarczej, czyli w istocie ogólnokrajowej, z szerokim (powszechnym?) dostępem.

Pomysł miałby sens, ale moim zdaniem wyłącznie wtedy, jeżeli stworzy się autonomiczne ogniwa i podsystemy bibliotecznej informacji publicznej, równoległe do systemu krajowego – dopełniające i tylko częściowo połączone. Wówczas będą odporne na pscie. Ale jeszcze przy koniecznym a fundamentalnym założeniu wzmocnienia bibliotek o materiały, kompetentny personel, technologie i stosowne programy elektroniczne. Czyli jakby od zera? Być może nie w pełni, oraz nie wszędzie. Jednak trzeba mieć świadomość, że stan ukraińskich bibliotek jest kiepski, toteż bez zasadniczej reanimacji, nie udźwigną trudu wygenerowania oraz utrzymania sprawnych podsystemów informacyjnych.

Wiedząc zapewne jak jest, niektórzy autorzy wysunęli na pierwszy plan elektroniczne warianty bibliotecznych usług, ale to nie jest dobra koncepcja. Wygląda bowiem na próbę powtórzenia scentralizowanego systemu informacyjnego, który tak łatwo ulega infiltracji. Poza tym jest to program do realizacji ewentualnie tylko w tamtejszych bibliotekach miejskich, na wsi bowiem internetyzacja bibliotek jest nikła... Trudno uwierzyć zapisowi, jakoby połowa z nich nie miała żadnego ogrzewania.

Zatem nawet w tym zakresie sytuacja jest trudna, ale również dynamiczna i zmienna. Nikt nie opuszcza rąk, a niejeden próbuje zrobić to, co jest możliwe. To niemało, natomiast wyraźnie brakuje spójnych i produktywnych koncepcji.

Tak czy inaczej trzeba szczególnie starannie przyglądać się ukraińskim wydarzeniom, doświadczeniom i dokonaniom, i przetworzyć to wszystko w użyteczną wiedzę. Nie ma bowiem żadnej gwarancji, że nie będzie powtórek gdziekolwiek indziej. A jeżeli się wie – trochę albo więcej – to można uniknąć zaskoczenia i dezorientacji.

Z DZIEJÓW EKSTERMINACJI

Olena Karakoz, *Cenzura w publicznych bibliotekach Ukrainy 1917-1939*. Kijów, Wydawnictwo Lira-K, 2015, 180 s., ISBN 978-966-2609-90-5.

W łatwym skojarzeniu z bieżącymi wydarzeniami pojawił się retrospektywny opis niszczenia w czasach sowieckich wszelkich przejawów niezależnej myśli politycznej, narodowej, naukowej, generalnie więc nieskrępowanej oraz przypomnienie fizycznej likwidacji osób myślących i wypowiadających się po swojemu, czyli niepokornie. Mechanizm był wprawdzie ogólnosowiecki, lecz na Ukrainie – po Rosji największej ludnościowo republice – przybierał wymiary i formy szczególnie ekstremalne. Wiedza o tym, zwłaszcza teraz, jest wobec tego niezwykle ważnym składnikiem nowej świadomości narodowej. Ale trzeba ją dopiero wygenerować, ponieważ dotychczas oficjalnie nie istniała, a w obiegu nieformalnym pojawiała się tylko sporadycznie szczątkowo.

Specjalną książkę, rozszerzając ten temat, napisała Olena Karakoz z Kijowa, wykonawszy wcześniej ogromną pracę rozpoznawczą oraz dokumentacyjną. Ale o pisaniu pani docent nie ma blade go pojęcia, jak zresztą wiele innych osób wychowanych już na internecie. To jest absolutny bełkot, zmagający się z logiką jak piłkarze Gibraltaru z Niemcami, bez eksplikacyjnej ciągłości, natomiast z mnóstwem powtórzeń i oceanem detali absolutnie zbędnych. No bo na sztukę pisania składa się coś więcej, niż tylko dobre intencje. Dopowieć, że i w naszych publikacjach „naukowych” (?) sposób wypowiedzi wcale nie tak rzadko przypomina monolog głuchoniemego.

Edytorsko ten tom prezentuje się o niebo lepiej niż sygnalizowany tu poprzedni. W twardej oprawie, z ilustracjami – no i jest tam przerażająca, ale bardzo potrzebna sylwetkowo-bibliograficzna prezentacja ukraińskich intelektualistów, głównie pisarzy, wymordowanych przez bolszewików. Ale żeby nie przechwalić – wykonawca „zapomniał” włączyć funkcję dzielenia wyrazów, toteż liczne linijki tekstu są katastroficznie rozspacjowane, aż trudno to czytać w sensie technicznym. Wygląda więc na to, że obciążenia postsowieckiego niechlujstwa są tam obecne nadal.

W tekście czasami klarownie, ale częściej nie, mówi się głównie o cenzurze, jednak w ogólnie „metaforycznym” ujęciu. Mianowicie o mechanizmach niszczenia wszystkiego co niewolniczo nie poddaje się władzy, czyli o mentalnej oraz fizycznej eksterminacji kompletnej. To była barbarzyńska dewastacja wszelkich wytworów niezależnej myśli i całkowita blokada myślenia kreatywnego – z likwidacją fizyczną niemal każdego, kto odważyłby się myśleć niesztampowo. W całym Związku Radzieckim doprowadzono ten proceder do monstrualnych rozmiarów, a na Ukrainie do ponadmonstrualnych.

Oczywiście, sama cenzura nie była i nie jest wymysłem sowieckim ani nawet wyłącznie rosyjskim, chociaż już w czasach carskich stosowano ją w sposób wyjątkowo brutalny, a nieraz także bardzo perfidny. Pod carskimi rządami mianowicie, w Finlandii, w Estonii, oraz

na Litwie nie było wprawdzie zakazu publikowania w językach narodowych, ale przez całe dziesięciolecia nie wolno było drukować niczego w... alfabecie łańskim. Czy nie było to szczyt obłudy?

Zaś już od czasów Piotra I drastycznie i po barbarzyńsku eliminowano wszystko co mogło przemawiać za odrębnością Małorosji, czyli Ukrainy. To znęcanie się nad ukraińską świadomością narodową osiągnęło absolutne wyżyny za premierowania P. Stołypina i – co wydaje się niemożliwe – zostało jeszcze wzmożone po rewolucji. Tak więc nawet ci, którzy u nas pamiętają import sowieckich praktyk cenzorskich do PRL, nie mają większego pojęcia, co to tak naprawdę było i ewentualnie jest. Położono „tylko” przewencyjnie łapy na prasie, mediach i książkach,

a w bibliotekach wprowadzono oszukańcze określenia „rara” albo „resy”, które w istocie oznajmiały: *paszoł won!* Ale nic ponadto.

Tymczasem na Ukrainie sowieckiej władze komunistyczne rozpętały najprzód kampanię przeciwko cerkwi (ona tam do dzisiaj jest częściowo podporządkowana Moskwie), następnie przeciw kułakom – intensywniej niż w całym kraju, bo to był przecież region rolniczy; w efekcie z głodu umierały tam miliony ludzi – a potem podjęły krwawe (to nie jest metafora!) zmagania z tamtejszym „nacjonalizmem”. Masowo oraz szczególnie zajadle niszczone „napiętnowane” książki, bo to był jednak okres dominacji druku w publicznej komunikacji – tylko nieliczne kierując na przechowanie do biblioteki w Kijowie. „Przeszkadzali” bolszewikom m. in. I. Bunin i I. Turgieniew, nawet L. Tołstoj, a z autorów dla młodzieży – F. Cooper oraz J. Verne. „Zmakulaturowano” też *Biblię*, *Talmud* i *Koran*. Ciekawostka: według zeszłorocznych badań ankietowych, za usunięciem z bibliotek tych właśnie trzech tytułów opowiedziało się



kilkadzieсят tysięcy Amerykanów. Barbarzyństwo bowiem i głupota mają charakter ponadnarodowy.

W okresie międzywojennym te dewastacyjne praktyki powtarzano w skali masowej trzykrotnie, a w wymiarze ogólnokrajowym kierował nimi „intelektualista” (!?) A. Łunaczarski. Aktywnie wspierała go Nadieżda Krupska, która wprawdzie po czasie przeraziła się efektami i zaczęła protestować, ale wtedy nie miała już nic do gadania. Owszem: w pewnym momencie został aresztowany *narkom* oświaty A. Bubnow, niby to za „dopuszczenie do wandalizmu”, ale to był jedynie kamuflaż. Stalin dużo wcześniej spisał go na straty z zupełnie innych powodów.

Zresztą po zaaranżowanym zabójstwie Kirowa w 1934 roku, represje cenzorskie i polityczno-ideologiczno-narodowościowe powróciły ze zdwojoną siłą. A na Ukrainie objęły wszystkich niezależnych intelektualistów, zwłaszcza pisarzy, lecz nawet bibliotekarzy, których masowo wyrzucano z pracy. A nieraz zsyłano do łagrów – na 6-8 lat – nikt się nie patyczkował – przy okazji konfiskując mienie. Nazwano to walką z nacjonalistycznym ekstremizmem i takie sformułowanie W. Putin teraz powtarza nadal jak mantrę.

Barbarzyński pogrom był nastawiony przede wszystkim na oryginalną literaturę ukraińską oraz na większość literackiego piśmiennictwa na ukraiński przetłumaczonego. Ten język został więc zdegradowany do poziomu kolokwialnego, a to przecież język właśnie jest głównym wyznacznikiem narodowej tożsamości.

Odtąd również cała tamtejsza nauka musiała funkcjonować wyłącznie po rosyjsku i ogólna rusyfikacja osiągnęła niebywałe rozmiary. To zresztą jest także równoległe tło aktualnych tam wydarzeń. Włącznie z symbolicznymi sporami o różne zdarzenia oraz osoby, zwłaszcza o W. Wernadskiego – pół-Ukraińca urodzonego w Sankt Petersburgu, który większość naukowego życia spędził na Ukrainie. Dzisiaj każda próba uściślenia jego narodowości wywołuje wściekłe reakcje którejkolwiek ze stron.

Ale jest w tej książce coś jeszcze. Zamieszczono tam mianowicie sylwetki 16 pisarzy ukraińskich pomordowanych przez Moskwę z powodu ich ukraińskości właśnie. Znakomity poeta **Mykoła Chwylewyj** popełnił samobójstwo, żeby po aresztowaniu uniknąć tortur. Inny poeta, **Wołodmyr Swidzinski** został spalony żywcem. Pozostałych aresztowano i rozstrzelano. A to są zaledwie wybrane przykłady.

Ukraina to nie Francja ani Zjednoczone Królestwo – intelektualiści oraz artystyczne talenty nie rodzą się tam na każdym kamieniu, a w tych okolicznościach nie ostało się ich prawie wcale. W powojennym okresie funkcjonowali w ZSRR prozaicy klasy światowej, oprócz Rosjan także innych narodowości. Wspaniały Białorusin **Wasil Bykau**, równie znakomity Estończyk **Jaan Kross**, Kirgiz **Czingiz Ajmatow**, pół-Koreańczyk **Anatolij Kim**, Abchaz **Fazil Iskander** albo Ormianin **Grant Matewosjan**. Jednak żadnego Ukraińca z tego poziomu i z tamtych lat wskazać się nie da, bowiem niepokornych i utalentowanych pozabijano, a beztalentnia oswojono, ale przy mizernych parametrach jakościowych.

To musiało pozostawić katastrofalne skutki, przecież w ten sposób dokonana się amputacja narodowej

świadomości oraz resekcja wszelkiego kreatywnego myślenia. Z wykreśleniem z ukraińskiego słownictwa pojęć: wolność, niezależność, swoboda. Kiedy teraz, po latach, przytacza się wypowiedzi ówczesnych ukraińskich nacjonalistów, to (niezależnie od treściowych ekstremizmów) uderza szokujący deficyt intelektualny. No bo kto miałby te wszystkie koncepcje przemysleć głębiej?

Nie chodzi o usprawiedliwianie, lecz o wyjaśnienie, które Ukraińcy próbują obecnie przedstawić sami sobie, bo wcześniej takiej szansy nie było. W słusznej intencji skonstruowania nowoukraińskiej, pogłębionej świadomości narodowej. Co może udać się i powinno.

MITY Z LAT WOJNY

Wijna i mif. Niewidoma druga switowa 1939-1945, red. O. Zinczenko, W. W'iatrowicz, M. Majorow. Charkiw, Książkowy Klub „Klub Simiejnego Dozwil’ia”, 2016, 272 s. il. ISBN 978-966-14-9085-6 [Ukraiński Instytut Nacjonalnoji Pam’iaty].

W aktualnej sytuacji powstała więc na Ukrainie wyjątkowo ważna i nie cierpiąca zwłoki konieczność wygenerowania świadomości narodowej po nowemu – z odkłamaniem rosyjskich i sowieckich wersji tamtejszych dziejów – bo to jest wszak jeden z fundamentów istnienia narodu. Weryfikacji szczególnej domagała się zwłaszcza przeszłość najnowsza, z okresem głównie wojennym, niebywale skomplikowanym, jak na Ukrainie prawie wszystko, a opisanym rzeczywistości pokretnie, nierzadko wręcz łgarsko, z lansowaniem wszystkich antyukraińskich fobii. W sporze z tym spetryfikowanym już przekazem powstała książka skonstruowana na podobieństwo historycznego słownika, a formułowana przez 50 rozbudowanych, przedmiotowych haseł referencyjnych – nazwanych mitami, które (zdaniem autorów) przede wszystkim należało zdezwauować.

Jak to trafnie ujęto, każdy kraj ma do dyspozycji wojenne i postwojenne opowieści, przekazy, obiegowe opinie, a także legendy i bolące rany. Ma ich mnóstwo Rosja, ma rodzimy repertuar symboli Polska, ma też Ukraina – w tym jednak szkopuł, że nie tylko i nie do końca swoje. Stąd więc ta potrzeba, żeby rozpocząć demontaż obelg i fałszów oraz rozległą demitologizację, a w to miejsce wpisać nowe opowieści, być może nawet nowe mity, ale tym razem już własne.

Książka była na Ukrainie mocno promowana i wywołała niemały rozgłos. Komentowana w niej problematyka jest rozmaitej wagi i rangi; być może tam odpowiednio ważnej, natomiast dla nas chyba nie w całości. Dlatego nie myślę odnosić się do wszystkiego.

No i oczywiście to jednak jest publikacja o charakterze propagandowym – napisana po ukraińsku i skierowana do Ukraińców. Nie wszystko więc jest dostatecznie udokumentowane i tonacja też nie zawsze pozbawiona emocji. Z jednych mitów wykluwają się niekiedy legendy kolejne, a są też charakterystyczne uniki oraz przemilczenia, niekiedy półprawdy, ale taki jest obecnie czas, taka obligacja, żeby takie komentarze pojawiły się właśnie w tej chwili.

Punktem wyjścia dla całości jest już tu sygnalizowana koncepcja trzech wrogów Ukrainy, mianowicie

Rosji, Niemiec oraz Polski, która w tamtych latach określała ukraińskie niezależne myślenie narodowe. Nam to ona nie spodoba się na pewno. Ale tak było. A czy nadal jest?

O Rosji oraz o sowieckiej władzy pisze się w tej książce z emocjonalną agresją. To już nie jest polemika, ale bardzo ostry bój, więc nie skoligacony z obiektywizmem. Odniesienia do Niemiec i Niemców są spokojniejsze, bardziej wyważone. Natomiast Polacy zostali potraktowani z wyjątkową ostrożnością, a nawet estymą – przy amputacji tematów, które wzbudziłyby wzajemnie najwyższe emocje. Nie ma zatem ani słowa o Rzezi Wołyńskiej, bo to byłoby ponad możliwość percepcji, ale nie ma też nawiązań do przesiedleńczej Akcji Wisła – zresztą nieporównywalnej, ale czasami wzmiankowanej wśród potocznych argumentów. Na podobne referencje nie nadeszła jeszcze stosowna pora. Dziś – to w ogóle nie jest dobry czas.

Tom rozpoczyna relacja z 1969 roku, kiedy to pięćdziesięciu w lesie pod Charkowem znaleźli guziki z polskimi orłami. Następnie odkryto zbiorowe mogiły rozstrzelanych polskich oficerów – o których wcześniej nikt poza sprawcami nie wiedział. Identyfikacja (czyżby oDpis?) tego zdarzenia pojawił się również w *Polityce* (nr 19/2017, s. 66-68). Władze radzieckie ukryły wówczas ten fakt bredząc, że to miejsce niemieckiego pochówku osób zmarłych podczas wojny na choroby zakaźne. I nakazały teren zaorać i zasypać chemikaliami. Ale – jak bywa nierzadko – dało znać o sobie sowieckie niechlujstwo – robiono to byle jak i prawda wyszła na jaw.

Autorom ten fakt posłużył do zgodnego z prawdą opisanie Zbrodni Katyńskiej – dla nas być może już bez rewelacji, ale nie wiem, czy dla ukraińskich czytelników nie była to nowość wstrząsająca. No bo niby skąd mieliby o tym wiedzieć wcześniej? Zaś przebieg tego nieudolnego kłamstwa stał się w książce ilustracją sowieckiego trybu kreowania oszukańczych mitów oraz serwowania kompletnych łgarstw na temat dziejów ostatniej wojny, którą na Ukrainie z radzieckiego określenia Wielka Wojna Ojczyźniana przemianowano, jak na całym świecie, na drugą wojnę światową, co zresztą Rosjanie oprotowali. Ale w Kijowie uznano, że nie aż tak bardzo była ona ojczyźniana, skoro czerwonoarmiści masowo poddawali się Niemcom, a np. samych Turkmenów służyło w Wehrmachcie aż 180 000.

Poza tym udział Ukraińców w tej wojnie wcale nie zaczął się 22 czerwca 1941 roku i nie zakończył 9 maja 1945 roku. Od 1 września 1939 roku bowiem w polskiej armii walczyło przeciw Niemcom 106 000 ukraińskich żołnierzy i oficerów. Od 17 września tegoż roku z kolei ukraińscy czerwonoarmiści walczyli z Polakami. A pra-

wie w dwa lata później znowu znaleźli się na froncie, tym razem przeciwko Niemcom. W sumie w walkach poległo ich 2,5 miliona, do niemieckiej niewoli trafiło 60 000, a do radzieckiej 20 000. Byli także w armii amerykańskiej (40 000) oraz w kanadyjskiej (50 000), w czeskim legionie generała L. Svobody i w armii generała W. Andersa.

Owszem: walczyli również po stronie niemieckiej. Jednostka Waffen SS *Halyczyna* liczyła podobno 1000 osób, ale pozaukraińskie doniesienia sygnalizują znacznie większe liczby; a były jeszcze ukraińskie bataliony SS *Nachtigal* i *Roland*. Autorzy zwracają uwagę, że z kolei rosyjskie siły kolaboracyjne liczyły najprzód 30 000 żołnierzy i korpus kozacki drugie tyle. A później rosyjski generał kolaborant Własow miał do dyspozycji 130 000 wojska, tymczasem jego równoczesny ukraiński odpowiednik, generał Szendek 38 000 osób. Tymi porównaniami, oraz sugestią że w niemieckim wojsku szkolili się przyszli strilcy UPA, autorzy próbują rozwinąć stworzoną przez sowietów legendę ukraińskich zbrodniczych formacji kolaboracyjnych. Ale to nie trzyma się kupy: nawet podane wielkości nie są klarowne. Prawda jest oczywiście skomplikowana, jednak obecne komentarze nie mają stosownej siły przekonywania. Natomiast sygnalizują, że aktualne rozdarcie wewnętrzne kraju nie jest całkowicie nowe.

Nawet sama wojna też nie skończyła się dla ZSRR – jak przyjęto – w maju 1945 roku, lecz dopiero 2 września 1945 r., po pokonaniu Japonii. Głównie za sprawą amerykańskich bomb atomowych, więc tego epizodu strona radziecka wołała nie nagłaśniać. A swoją drogą, akt japońskiej kapitulacji ze strony Armii Czerwonej podpisał ukraiński generał K. Dierewianko.

Powtórzę: wszystkie wypowiedzi w tej książce odnoszące się do Rosji, Rosjan oraz do ZSRR mają charakter więcej niż polemiczny; są napastliwe, agresywne, ostre. Nic dziwnego – taka jest wszak proveniencja oskarżeń i obelg wobec Ukraińców oraz obiegowych mitów i pomówień. Zachowała się też dramatyczna pamięć kilku wielomilionowych hekatomb głodowych, wywołanych przez sowiecki reżym. Ale przede wszystkim trwa tam wojna i w walce o świadomość ten tekst ma być kałasznikowem, a nie balsamem. Tym bardziej że adresatami są nie tylko Ukraińcy proukraińscy, lecz także ich przeciwnicy.

Jednak u nas wskazane jest odbiorcze umiarkowanie. Trzeba mieć dystans zwłaszcza do argumentacji podporządkowanej wszak konkretnym celom. No i nasz punkt widzenia nie musi, a nawet nie może być we wszystkim zbieżny.

Szczególnie ostro potraktowali autorzy klęskę wojsk sowieckich w pierwszej fazie wojny z Niemcami, zwłaszcza zaś tłumaczenie się „zdradziecką napaścią” na pokojowo nastawiony kraj. Stanowczo bowiem lan-



sują pogląd, że ZSRR był wtedy najbardziej zmilitaryzowanym państwem na świecie (a Niemcy?) oraz zonglują rozmaitymi liczbami. Ale to jest mylące: jeden mit ustępuje miejsca następnemu.

Sama liczba sowieckich czołgów, dział i samolotów nie zmienia faktu, że był to sprzęt przestarzały i na polu walki sprawiał się nie lepiej niż konnica. To zresztą widać na fotografiach. Dlatego w największej w dziejach bitwie pancerniej pod Dubnem i Łuckiem w 1941 roku poszło z dymem 5500 czołgów radzieckich, a „tylko” 950 niemieckich i dopiero amerykańska pomoc w ramach *lend-lease*, w wymiarze 19 miliardów dolarów (czemu Rosjanie do dziś zaprzeczają), umożliwiła stworzenie nowoczesnych sił pancernych i artyleryjskich.

Również lansowane nadal w propagandzie rosyjskiej rzekomo pokojowe wtedy intencje ZSRR są w książce zdemaskowane jako kłamstwo. Kiedy Stalin nie porozumiał się z Zachodem, w pakcie z Niemcami uzgodnił przecież sowietyzację Finlandii, Łotwy, Estonii, Besarabii, oraz nowy rozbiór Polski, do której Armia Czerwona wtargnęła 17 września 1939 r. Pokojowo?

Sowiecko-niemiecki flirt trwał zresztą długo. NKWD współpracowało z Gestapo, na półwyspie Kola istniała niemiecka baza wojskowa, no i ZSRR utrzymywał z Niemcami nieprzerwane stosunki dyplomatyczne, jak zresztą później także ze Słowacją oraz z rządem w Wichy.

Bardzo negatywnie pisze się też w książce o „słynnej” radzieckiej partyzantce, propagandowo niebotycznie wyidealizowanej. Bądź co bądź, partyzancki ruch oporu istniał wtedy wszędzie – również narodowy, z tym, że sowieckich partyzantów było około 180 000, więc jednak mało. Ale tekstowy sygnał jest taki, że funkcjonowali tam głównie, gdzie Niemców było niewiele, otóż to jest argument prostacki. Czerwonym leśnym zarzuca się też, że znęcali się nad lokalną ludnością, rekwirowali dobytek i żywność, a w 1943 roku zniszczyli na Ukrainie miasteczko Korinkiwka: zginęło wtedy 7000 mieszkańców. Wszystkie informacje z każdej wojny zawsze są przerażające, ale z całym tym wywodem pogodzić się jednak trudno.

No i jest jeszcze w tekście nieposkromiony atak na wylansowaną pomoc Stalina, ikoniczną legendę, na marszałka Grigorija Żukowa. Był to samorodny talent dowódczy, ale kiepsko wykształcony, zaś jako człowiek samolubny i mierny. Nie liczył się z ludzkimi stratami w bitwach, które początkowo sięgały 75 proc. stanu i ponosił dotkliwe klęski, jednak był wodzowi wierny jak pies i to go utrzymywało w kręgu zaszczytów. Rozpętał przy tym gigantyczną autoreklamę, przypisując sobie wszystkie możliwe sukcesy, również cudze – jak wyzwolenie Białorusi, mimo że dokonał tego K. Rokossowski – i wszystkie te błagi weszły do oficjalnej radzieckiej historiografii. Dlatego właśnie tak ostra na niego napaść.

Zdaniem autorów, propaganda sowiecka całkowicie załgała obraz tej wojny. Nawet liczby ofiar w ZSRR były przekłamywane. Najprzód pisano o 7 milionach, potem o 20 milionach, a w końcu o 27 milionach. Nie ma natomiast i nigdy nie było oficjalnej wzmianki o wielomilionowych ofiarach deportacji, ani o wielotyśięcznych masach żołnierzy wziętych przez Niemców do niewoli, a potem wymordowanych przez NKWD.

Tak więc powstał umiejętnie spreparowany i sprytnie wykorzystany mit radzieckiego zwycięstwa wojennego – na kanwie zwycięstwa rzeczywistego – który do dzisiaj legitymizuje rosyjskie władze i prawdopodobnie scala rosyjskie społeczeństwo. Symbolem specyficznej ciągłości może być publiczna deklaracja Władimira Putina, że jednak Józef Stalin był sprawnym menedżerem. Dlatego na Ukrainie próbuje się teraz te obieguowe przeświadczenia (tam przecież obecne również) zakwestionować.

Oczywiście, na treść tej książki składa się przede wszystkim problematyka ukraińska, w tym także ówczesne relacje z Niemcami. Otóż od jesieni 1939 roku Niemcy traktowali Ukraińców utylitarnie, jeszcze przed atakiem na ZSRR przedstawiając mgliste obietnice autonomii administracyjnej oraz wojskowej. Narodowcy spoglądali na to z nadzieją, stąd później nie mała skala współpracy, tym bardziej że w następstwie wojny z sowietami Niemcy zajęli całą Ukrainę, a tylko 17 proc. terytorium Rosji. Toteż w latach 1939-1941 S. Bandera i R. Szuchewycz postanowili z nimi współdziałać. Ale z obietnic autonomii, ani z niezależnych formacji wojskowych nic nie wyszło i kolaboracja została przerwana.

Taka jest obecnie ukraińska wykładnia prawdy, dla naszej świadomości niemożliwa do przyjęcia. No bo oto przez dwa lata po najeździe na Polskę obywatel Rzeczypospolitej Stepan Bandera ze współpracownikami urzędował w przeładowanym Niemcami Krakowie przy ul. Sarego i w „stolicy” GG spokojnie sterował ukraińskim ruchem narodowym, a nawet wydawał tutaj gazetę *Krakiwski Wiści*. O takich szczegółach zresztą nie ma w książce ani słowa. No więc to nie jest opowieść dla nas.

Dopiero kiedy Niemcy wycofali się z obietnic, Bandera zmienił nastawienie także na antyniemieckie. Został wtedy aresztowany i osadzony w obozie w Sachsenhausen. Zwolniono go po negocjacjach, ale już do końca wojny przebywał pod nadzorem i nie mógł bezpośrednio kierować ruchem. Kierownictwo przejął Roman Szuchewycz, który Niemcom uciekł.

Książka sugeruje, że trwał dwuletni okres kolaboracji aż do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, lecz potem już nie – i wszystkie w tej mierze posądzenia były prowokacją NKWD. Spreparowano nawet specjalnie fotografię Bandery w niemieckim mundurze, ale to była fałszywka. W istocie na zdjęciu jest niejaki Reinhard Gehlen, rzeczywiście łudząco podobny do Bandery.

Trochę to wszystko jest mętne, bo i czas był skomplikowany. Wychodzi na to, że o Banderze istnieją co najmniej dwie prawdy. Dla wielu Ukraińców był (jest?) głównym ideologiem i działaczem niepodległościowym. Dla nas jednak to terrorysta, kolaborant i polakożerca. Tego pogodzić nie można; ambiwalencja musi pozostać (na razie?) jaka jest.

Tym bardziej nie są dla nas do przyjęcia książkowe opinie na temat UPA. Rosjanie zawsze sugerowali i nadal tak twierdzą, że to był terrorystyczny, niemiecki twór faszystowski – i w Polsce ten pogląd w ogólnych zarysach przeważa. Natomiast autorzy podjęli dramatyczną próbą odpluskwienia tego wizerunku i zbudowania legendy narodowej armii wyzwolitej walczącej o niepodległość Ukrainy. A w tym

ideologicznym zamierzeniu kluczową rolę pełni koncepcja trzech wrogów.

UPA wykuła się w 1943 roku z połączenia organizacji OUN banderowców oraz mielnikowców i podjęła działania zbrojne. Jak napisano, głównie przeciw Niemcom. Ale ci po klęsce stalingradzkiej byli już w odwrocie, wycofywali się z Ukrainy, toteż doniesienia o starciach są enigmatyczne. Więcej napisano o handlu bronią.

Z Rosjanami UPA też toczyła walki, ale wyłącznie obronne, ponieważ (tak to sformułowano) w starciach z NKWD nie miała żadnych szans na sukces. A o zmaganiach z trzecim przeciwnikiem jest tylko jednozdaniowa sucha wzmianka – że były. I nawet nie padło nazwisko zastrzelonego pod Baligrodem generała. Natomiast wpisano do legendy bujdę, że UPA deklarowała wieloetniczność i nie prześladowała innych narodowości. Tego w ogóle nie da się skomentować.

No bo to jednak nie jest zobiektywizowana publikacja historiograficzna. W jej podstawowych intencjach mieści się rekonfiguracja narodowej mitologii oraz konstrukcja na nowo narodowej świadomości. Dlatego posługuje się „własną prawdą”, inną niż my tutaj. Wzajemnie – nie do porównania. Ale to jest tylko wyjaśnienie, a nie wytłumaczenie.

Znalazło się tam ponadto przypomnienie rzeczywistości drastycznej deportacji Tatarów krymskich do Uzbekistanu i do Kazachstanu, pod zarzutem zdrady narodowej, który sfabrykował Ł. Beria. Według rozbieżnych sygnałów, na kolaborację z Niemcami zdecydowało się ich około 16 000. Kreml zarządził więc aresztowanie 8000 oraz przesiedlenie aż 190 000 osób, nie pozwalając na powrót nawet tatarskim żołnierzom z frontu. Było ich tam zaś 17 000 ludzi, w tym dwukrotny Bohater ZSRR, pilot Achmed-Chan Sułtan. Zastosowano odpowiedzialność zbiorową (w historii świata: nie tylko wtedy i nie tylko tam) argumentując, że to sposób skuteczny i bardziej humanitarny, aniżeli rozstrzeliwanie.

Osobną ścieżkę kreowania narodowej świadomości wyznacza natomiast eksponowanie udziału Ukraińców w antyhitlerowskiej koalicji, a głównie ich roli w Armii Czerwonej i w ostatecznym zwycięstwie. Zresztą – zgodne z prawdą – stanowi to oczywistą reakcję na głośną sugestię W. Putina, że Rosja poradziłaby sobie z Niemcami również bez sił ukraińskich. Oczywiście: gadać można co się chce, ale prezydent wielkiego kraju mógłby jednak staranniej ważyć swoje słowa.

To jednak nic nowego. Pomniejszanie znaczenia innych narodowości w „rosyjskim” zwycięstwie nad faszystami zawsze następowało, przybierając niekiedy karykaturalno-ponure formy. Symbolicznym aktem tego zwycięstwa stało się wywieszenie radzieckiej flagi na Reichstagu. Napisano wtedy – i ta wersja nadal obowiązuje – że dokonali tego dwaj żołnierze rosyjscy: M. Jegorow oraz M. Katerla. W rzeczywistości udział w tym brał tam jeszcze trzeci – lejttnant O. Bierest. Ale wykreślono go z relacji, bo był Ukraińcem.

W sumie książkowy komentarz na ten cały temat jest bardzo konkretny oraz dobrze udokumentowany. Ukraińcy, w łącznej liczbie 7 milionów, stanowili 23 proc. składu Armii Czerwonej, a 2000 spośród nich było kawalerami Orderu *Złotej Gwiazdy*. Ukraińcami

byli marszałkowie S. Tymoszenko, R. Malinowski, G. Kulik, K. Moskalenko i najśłynniejszy radziecki lotnik, Iwan Kożedub, trzykrotny Bohater ZSRR. No więc tego naprawdę nie można skwitować lekceważącym sformułowaniem, od kogokolwiek miałoby pochodzić.

Natomiast odniesienia polskie są w tej książce niezbyt liczne, a nieodmiennie ostrożne, wyważone – powiedziałbym nawet, że z zamierzenia „bezpieczne”. Ogrom przemilczeń jest celowy, bo widocznie uznano to za konieczność chwili. Najwięcej miejsca zajmuje komentarz do „Katyńskiej Zbrodni”, z argumentacją oraz wykładnią taką jak u nas. Kontrowersji nie ma.

Natomiast jest ich trochę w nawiązaniach do Powstania Warszawskiego, a szczególnie do udziału Ukraińców w jego tłumieniu. Autorzy starają się zminimalizować ich rolę, ale wypowiedzi nie do końca są spójne. Potwierdzają więc, że był tam jeden ukraiński batalion 31SD pod komendą Petra Diaczenka. Twierdzą jednak, że w formacjach SS walczyło znacznie więcej Kozaków oraz Rosjan z RONA, to niewykluczone, których mieszkańcy Warszawy mieli brać za Ukraińców – i to akurat jest wykluczone.

Warszawa i Kongresówka to przecież był zabór rosyjski, toteż starsi warszawiacy doskonale odróżniali język ukraiński od rosyjskiego, więc, niezależnie od umundurowania, nie było żadnych pomyłek. Pamiętam jeńców, pojmanych na Powiślu przez AK: dla wszystkich było oczywiste, że to Ukraińcy. Oni zresztą nie zaprzeczali, a jeden nawet mówił nieźle po polsku.

Natomiast to rzeczywiście nie Ukraińcy zdławili powstanie, ani też nie zrujnowali miasta. Nie było tam również ukraińskiej dywizji *Hałyczyna* – jak sugerowały niektóre radzieckie źródła – ponieważ już wtedy nie istniała. Ukraińscy kolaboranci pojawili się na czas powstania w takich samych proporcjach, jak w innych akcjach pacyfikacyjnych. Być może nie w większych, lecz również zapewne nie w mniejszych.

* * *

Ten ogólny, mimo że szczątkowy i z konieczności ułomny rzut oka na ukraińskie dramaty wywołuje wyjątkowo ponurą i smutną refleksję. Oto nie od wczoraj los dużego narodu w sercu Europy łudząco przypomina niedolę Kurdów. Ukraińcy od dawna próbują wybić się na autentyczną niezależność i mają do tego wszelkie prawa, świat natomiast nie od wczoraj udaje, że pomaga, ale poparcie jest tylko kosmetyczne: ewentualnie w postaci zniesienia wiz wjazdowych. Wszyscy bowiem mają głównie na oku obawy, żeby konflikt nie rozlał się szerzej oraz żeby nie zainfekował innych. Więc tam już wiadomo, że trzeba liczyć przede wszystkim na siebie.

No i tak też jest. Obok zmaganiń militarnych oraz politycznych i ekonomicznych wygenerowała się również aktywna reakcja informacyjna i propagandowa z ewentualnie dobrym efektem zapewne jeszcze nie zaraz, lecz miejmy nadzieję, że może pojutrze. I przez taki pryzmat trzeba spojrzeć na te, a także inne teksty, mianowicie – zamiarów i celów do osiągnięcia. Pozostałe kryteria częściowo, być może lepiej na chwilę zawiesić.

JACEK WOJCIECHOWSKI

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

TŁUMACZKA KULTUR

Przyjmijmy, że odbiorca żyje w świecie indyjsko-hinduskim, w którym czas jest nieliniowy, a on sam posługuje się miarą o kształcie kuli. Jak mu wyjaśnić, co to jest jedność czasu miejsca i akcji w literaturze starogreckiej? Przekształcanie trudniejszego problemu w łatwiejszy, czyli upraszczanie, wiedzie przez góry trudności. Budzi krytykę. W drugą stronę – od łatwiejszego tekstu do trudniejszego – przejść się nie da, jeśli nie chcemy popaść w groteskę. Umieszczenie Sofoklesa w przestrzeni, w której czas jest kołowy, nie ma sensu. Byłoby to przekształcanie łatwiejszego w trudniejsze. Podobnie nie da się przetłumaczyć *sonaty B moll* Chopina w muzykę uznającą za dźwięk wszystkie „brudy” i charchoty. Natomiast tłumaczeniem muzyki indyjskiej na „oczyszczoną”, europejską, zajmował się Ravi Śankar, grając na sitarze. Była to udana próba tłumaczenia trudniejszego na łatwiejsze. I wcale nie wydaje się łatwe, przynajmniej w robocie.

Dramaty Kalidasy porównywane są do utworów Szekspira. Może dlatego, że na literaturę indyjską wywarł taki, jak Szekspir na literaturę europejską. Nie ma co jednak porównywać Śakuntali z *Hamletem*, bo utwór Kalidasy jest wtedy płaski. Tłumacz ma zadanie nie do wykonania.

Zabierając się do przekładania *Bhagawadgity* Wanda Dynowska stanęła na stanowisku tłumacza kultur. W przekładzie musiała przejść od świata zawikłanej kosmogonii do księgi klarownych opowieści. Zadanie karkołomne, bo wymaga uproszczeń, co w matematyce jest zaletą, a w literaturze – wadą. Skomplikowała je sobie przyjmując założenie, że podróż drogą od pokrętej mitologii do czystej poezji może być równie ekscytująca jak każda inna przygoda intelektualna na tym polu. Co to za pole?

*Mistycyzm to świadomość istnienia wyższych, niewidzialnych światów i duchowego życia; intuicyjna pewność, że istnieje jedyna, ostateczna Prawda*¹.

Appolinaire mówił coś innego:

*Mistycyzm dotyka z bliska erotyzmu*².

Zabieram się do opowiedzenia czytelnikowi kartezańskiemu o życiu Dynowskiej (nieliniowym), w przestrzeni, w której wypowiedziawszy dowolną tezę musisz pamiętać, że twierdzenie odwrotne jest również prawdzi-

we. Cóż zrobić? Pomieszać czasy i przestrzenie. Tak, szukając ekumeny chrześcijańsko-hinduskiej, postąpiła bohaterka, która w roku 1969 przepowiedziała biskupowi Wojtyłę, że będzie słowiańskim papieżem a sama pod koniec życia została buddystką i odeszła z tego świata tak, jak odchodzą dżiniści, odmawiając sobie pokarmu.

P r a

Od początku myśli ludzkiej kłócą się ze sobą dwa założenia: jedno o Pra-źródle, Pra-przyczynie i Pra-materii. I drugie, że istnieje Nienazwanosc skupiająca owe Pra, rozciągnięta poza przestrzeń i czas, która z chwilą określenia jej i przydania rodzaju przestaje być egemplifikacją Absolutu, a jako Absolut pozostaje w roli *Brahmana*, czyli wszechogarniającej duszy powszechnej, której częścią „żyje” w każdym ustroju: w człowieku, zwierzęciu, drzewie, górze, chmurze i gwiazdzie. (Tak jak w muzyce dźwiękiem może być zgrzyt, tak w kosmosie hinduizmu góra może mieć duszę).

Absolutu, który nie ma nazwy, nie określimy w hinduizmie żadnym słowem żadnego z trzech rodzajów. Zatem ucieka On nawet gramatyce, która była jedną z najważniejszych nauk dawnych Indii. Niechętnie powiemy „starożytnych”, bo to jak w przypadku języków martwych oznaczałoby zaprzeczenie skończoną, podczas gdy pojęcia i prawa hinduizmu coraz wyraźniej zbiegają się z osiągnięciami dzisiejszej fizyki. Co do czego zbiega – fizyka do mitologii czy mitologia przepowiadająca teorię względności do współczesnej fizyki? W jedną stronę idą prace teoretyków zajmujących się grawitacją kwantową. Idą wstecz, żeby dowiedzieć się, jak to wszystko zaczęło się i od czego? Czy wierzyć katolickiemu księdzu G. Lamaître i jego teorii Wielkiego Wybuchu? W drugą, naszą stronę poszły dociekania pierwotnych myślicieli z jaskiń Adżanty i Ellory, którzy na długo przed Euklidesem naruszyli jego przestrzeń. Zakwestionowali produkt wyobraźni obrabiającej informacje, których dostarczały zmysły. Postępowali jak Einstein, dla którego obraz był ważniejszy niż słowo.

Narracja dotycząca hinduizmu wymaga odejścia od przestrzeni śródziemnomorskiej i wejścia w przestrzeń Pra z czasem innego niż europejski rodzaju. Raz jest to czas zerowy, kiedy indziej – kołowy. Przestrzeń Pra ma związek z odkryciem astrofizyków, którzy ustalili, że Wszechświat, który znamy, powstał ponad 10 miliardów lat temu po wybuchu materii zgromadzonej w punkcie o nieskończonej gęstości. Przedtem mógł istnieć czas ujemny, a prędkości mogły przekraczać 300 tysięcy kilometrów na sekundę. Oznacza to, że fale

1 Anirwan we wstępie do *Antologii indyjskiej* Sanskryt, tom 1, wydanie drugie znacznie rozszerzone. Przekład Wandy Dynowskiej. Biblioteka Polsko-Indyjska (brak miejsca wydania, prawdopodobnie Madras) 1957, s.1. (Dalej będzie jako Dynowska 1).

2 Za: Czesława i Joachim Glenskowie *Myślę więc jestem. Aforyzmy, maksymy, sentencje*, Opole 1993, s. 22).

grawitacyjne mogły rozchodzić się szybciej niż światło. To znaczy – mogły być wchłaniane przez czarne dziury z prędkością szybszą od prędkości światła.

Myśl tego na razie nie ogarnia, nawet ta myśl hinduska, przeświecona duchem. Intelkt, choć w filozofii indyjskiej ustawiony na samym szczycie ludzkich właściwości, nie może ogarnąć *Brahmana*, ani – co powinno byłoby być łatwiejsze – czegoś niższego rangą od *Brahmana*, czyli Absolutu. Mimo to stara się jako *Brahma-widja* czyli „wiedza bezmiaru” albo „wiedza boska”, uczynić to, objąć nieobejmowalne. Kultura europejska poddała się ustami jej rzecznika, Hegla:

Należy pojmować niepojęte jako takie³.

Czas to zdolność przestrzeni do odnotowywania zmian. Przynajmniej w naszej kulturze. Co będzie jednak w przestrzeni, która jak *Brahman*, nie dopuszcza zmian, choć jest zarówno bezruchem jak rewolucją i równowagą? (Gdy wszystko jest Bogiem – nie ma etyki). Trzeba inaczej definiować czas. Według jednej z czterech *Wed*, *Atharwawedy*, czas jest ojcem Boga-Stwórcy. A więc punktem o nieskończonej gęstości? Czyli jednym z nerwów, jedną z tętnic *Brahmana*? Znajduje się tam, gdzie miejsce Najwyższego, którego nazywamy wiedząc, że jest Nienazywalnym.

Atharwaweda próbuje rozwiązać problem „nazewnictwa”:

*I tak Złoty Embrion powstał na początku
Ledwie się zrodził, został panem stworzeń
To on podparł Ziemię, on podparł Nieboskłon
Jakiegoż boga uczcić dzisiaj mamy?⁴.*

Nic to nie pomaga, skoro „on” pisze się małą, a Nieboskłon dużą literą.

– Kim jest Bóg?

W religiach monoteistycznych n i e mówi się o tym prawie wcale. Strach definiować. Opisać nie sposób. W judaizmie używa się akronimu JHWH.

W buddyzmie Go nie ma. Co innego w hinduizmie :

– *Cokolwiek istnieje w tym świecie jest Bogiem i w Bogu zawarte...*

– *TO, – co choć nieruchome – szybsze jest ponad myśl; TO czego nigdy nie osiągną zmysły; To co stojąc w miejscu, wszystkie je – choć są w ruchu – prześciga;*

– *Porusza się TO i nie porusza,*

– *ON, który wszystkość przenika, promienisty jest, beztęlesny, nieskończony, jednorodny, nieskalany, przez żaden cień grzechu nietknięty. ON Widzący, umysłu jest władcą, samobytnym, wszechobejmującym; ON wszystkim rzeczom, odpowiednio do ich natury, po wsze czasy miejsca wyznaczy⁵.*

Upaniszady zadowalają zarówno teologów jak i filozofów:

Na Jego to rozkaz) pra-energia różne przybiera formy: ziemi, wody, ognia (światła) i eteru (*Akasy*)⁶...

Albo:

Myśl jest wszechpotężna, posiada nieograniczoną zdolność twórczą, stwarzać może rzecz wszelką. Jak widzi wewnątrz i postanawia, tak się na zewnątrz sta-

je. Myśl jest stwórcą wszechświata, staje się – na każdym miejscu – to, co myśl wyobrazi, a wola zechce⁷...

Zachwyca Dynowską wątpliwość:

ON jeno wie, a może nie wie i ON

Jest (ona, wątpliwość – k.m.) tylko usiłowaniem oddania bezgraniczności niepojętego, o którym nie wiemy nic „któż twierdzić śmie skąd” i kiedy „pierwszy pojawił się byt?” Niepojęte, Niepoznawalne TO – tylko milczenie może stanąć wobec tej największej z tajemnic⁸.

Wieczność jest transcendentna, nieskończona i bezczasowa. Ale jeśli jest beczasowa to w opisie tej właściwości potrzebuje czasu jako odniesienia. Natomiast wszechświat jest niedoskonałą reprezentacją *Brahmana*⁹. U Newtona i czas, i przestrzeń były emanacją wszechświata absolutną. Einstein to zakwestionował dopuszczając myśl, że przestrzeń Newtona jest szczególnym przypadkiem tej przestrzeni, w której $E = mc^2$.

Tu jednak coś nie gra. Kwestionujemy stałość czasoprzestrzeni i wprowadzamy do niej stałą prędkość światła? Światło istnieje wszakże poza naszą sferą, bo dociera do nas z innych systemów gwiazdnych. Jak „leci” tam, gdzie czasoprzestrzeń są być może inne? Hinduizm rozwiązał to raz na zawsze: nie mamy jak tego nazwać, to jest określić czy opisać. Są to właściwości *Brahmana*, do których nie ma się jak dostać. Inne religie jeszcze dokładniej oddzielają wiedzę od wiary. Einstein mówił, że nauka bez religii jest ułomna a religia bez nauki jest ślepa¹⁰. Potwierdza to nowomowa – sposób porozumiewania się w sferze wiary lub ideologii:

ON, który stworzył ten widzialny poemat Życia, co nie zna uwiadu ni śmierci zaiste sam jest Poetą¹¹.

Ledwo to zacytowałem, a już trzeba powtórzyć za Haliną Marlewicz, że „Starożytne (jednak! – k.m.) Indie pozostawiły nam rodzaj literatury nieustannie podważającej nasze rozumienie tekstu literackiego”¹², co innymi słowami napisałem kilka akapitów wcześniej. Za jedną z cech poezji wedyjskiej, dla której przestrzeń euklidesowa nie jest do słuchania środowiskiem właściwym, uznajmy hipnotyzującą melodię recytacji. Literaturę tę przekazywano w hermetycznym świecie. Była literaturą przecniczą, a więc pełniła funkcje gdzie indziej nieznaną. Dała pomysł na homeopatię czyli leczenie czegoś tym samym. Służyła też *kszatrijom* czyli królom i rycerzom w ich polityce. Była brewiarzem kapłanów (*atharwanów*). Bywa też księgą Absolutu. Jak w fizyce mamy czasoprzestrzeń, tak w *Atharwawedzie* mamy słowo-kształty. Światopogląd tych – nazwijmy je po naszymu – pieśni, Stanisław Schayer, wielki polski indolog z okresu międzywojnia określał jako trój-paralelizm magiczny.

Znacznie lepiej od zwykłego badacza będzie tę poezję rozumiał mistyk, którego cechuje:

a/ żywe odczuwanie zmysłowego świata, widzenie Rzeczywistości duchowej,

b/ uznawanie potwierdzone własnym doświadczeniem jedności wszechistnienia,

c/niewstrzymany i niezależny pęd ku radości¹³.

7 Op.cit., s.226.

8 Dynowska 1, s. 408.

9 Barbara Adam Czas, Warszawa 2010, s. 107.

10 Jeremy Bernstein *Einstein* Suffolk, 1973 s. 21.

11 Dynowska 1 s. iii (wzięte z *Atharwawedy*).

12 Halina Marlewicz, wstęp do *Atharwawedy* w przekładach Cezarego Galewicza, Kraków 1999.

13 Dynowska 1 s.iv.

3 Za: Villiers d l'Isle Adam, *Ewa jutra*, Warszawa 2015, s.48.

4 Przeł. Cezary Galewicz, *Atharwaweda*, IV.2, Kraków 1999, s. 32.

5 Dynowska 1, *Iszawasja Upaniszad*, op.cit., s. 129-130.

6 Jogawaszišta, op.cit., s. 191.

Mistycy prześwieclają wyższe światy i są wielorakimi („bliźniakami”) niezależnie od swej przeszłości kulturowej.

Obcują z tajemnicą.

W hinduizmie tajemnica, o której już wspomnieliśmy w odniesieniu do Boga, dotyczy przede wszystkim rytuału:

*Każdy rytuał układany zazwyczaj przez Wielkich wi-
dzących, jest zbudowany wedle ścisłej acz tajemniczej
wiedzy i służy jako pomost, łącznik, język porozumienia
między Aniołami i ludźmi¹⁴.*

Rozważania o tajemnicy powinny być objęte tajemnicą, w przeciwnym razie naruszają jej tajemniczość. To tak, jak dotykanie Absolutu, który pod dotknięciem przepada. Wielcy malarze nie chodzą do muzeów i nie oglądają obrazów swoich poprzedników, bo boją się, iż arcydzieła pod dotykiem wzroku rozsypia się w pył. Lepiej oglądać reprodukcje. Między reprodukcją a oryginałem istnieje ta cienka granica, która mieści tajemnicę i nadzieję, że Prawda jest bardziej skomplikowana i piękniejsza od tego, co widzimy. Ciekawe, że nie odnosi się to do oka i pisma. Sonety Szekspira, jeśli to arcydzieła, nie znikają na skutek przeczytania. Ale proza Nieszekspira już tak: fascynuje czytelnika, kiedy ten jest młody. Przeczytana raz drugi po czterdziestu latach – budzi nieraz wzruszenie ramion.

Nośnikiem literatury jest Słowo.

Czym jest słowo?

W sanskrycie i symbolizmie *Wed Wak* czyli słowo to *Przenajwyższy Absolut* czyli *parabrahman* jednocześnie odbicie Słowa stwórczego – *brahmana* przejawionego; a w człowieku jego najwyższy Duch; także słowo łączące go ze światem Bogów; jedno z najbardziej tajemniczych i abstrakcyjnych Bóstw *Wed*. Utrzymuje wszystko, samo niewidzialne jak i potęga mowy w człowieku¹⁵.

„Przenajwyższy” zastępuje u Dynowskiej przymiotnik z nowomowy, który pobrzmiewa w modlitwach chrześcijańskich jako „przenajświętszy”. Słowo Duch utrzymuje wszystko? W moc sprawczą słowa wierzy się na Wschodzie bardziej, niż w Europie. Widać to choćby w świecie zaklęć. W mitologii hinduskiej aż roi się od nich. Ma swoją formułę magiczną – mantrę każdy bóg, każdy *rysz*, każdy *sadhu*. I wszyscy mają wspólne święte słowo-zaklęcie *Om*, któremu trzeba będzie poświęcić osobne miejsce, jakie zajmuje z urzędu.

Mitologia to świat zaklęć, ale także przekleństw. Ich moc, w zależności od potęgi boga, bywa przepotężna i wszechwieczna. Niekiedy nie można ich unieważnić.

Słowo to formuły modlitewne, bez których nie mogą się odbyć żadne ceremonie.

Wedy poświęcają Słowu Hymn 125 w Księdze X. Słowo opiewane w tym hymnie trzyma pod komendą wszelkie bogi, zwłaszcza mniejsze. Służy ofiarnikowi w jego modlitwie.

...Bogi do wielu mnie zaprosiły miejsc,

wiele ustanowiły przybytków,

bym weszła w nie i zamieszkała.

To ja, jedyna, człowieka pożywieniem darzę,

ja napój i żywność mu ślę;

każdy kto patrzy, oddycha i wymówione słyszy słowo,

choć o tym nie wie, że mną trwa. Słyszycie!

niech wszystkim i każdemu z osobna

prawdą się stanie com rzekła.

Zaiste tylko ja głoszę i wymawiam S ł o w o

Bogom i ludziom miłe a przyjęte radośnie.

*A gdy umituję człowieka –mędrcom potężnym go
czynię,*

Wielkim rysim, Brahmanem¹⁶...

Dynowską fascynuje obecność tych samych odkryć mistycznych u Słowackiego:

*Albowiem duch mój przed początkiem stworzenia był
w Słowie, a Słowo było w Tobie (Bogu) a jam był w Sło-
wie¹⁷.*

I pisze dalej Dynowska:

*Słowacki będąc jasno-widzem, nie powtarzał zasły-
szanych prawd, lecz je sam okiem ducha widział, nie
dziw więc, że w jego najgłębszych mistycznych dzie-
łach tak bliski jest jasnowidzom *Wed*; prawd będących
u podstaw istnienia czas nie może zmienić; każdy kto
zdola rozwinąć duchowy wzrok ujrzy je takimi samy-
mi, choć słowa, w których chce je wyrazić, mogą być
odmienne, zależne od epoki, kultury, rasy czy narodu
wieszcz¹⁸.*

Hinduizm nie byłby sobą, gdyby nie rozłożył słowa na jego atomy, czyli dźwięki i litery¹⁹. Dynowska pisze, że boginią alfabetu jest Dewi. Dokładniej – jest duszą pięćdziesięciu liter. Która Dewi? Zanim się tego dowiemy, trzeba będzie powiedzieć parę słów o alfabecie.

*Każda litera wyraża określony dźwięk i pewną funk-
cję, czy też cechę, lub atrybut życia (vriiti), którego Ona
jest Duszą. Filozofia alfabetu (matrika) sanskryckiego
jak i gramatyki jest niezmiernie ciekawa i głęboka²⁰.*

Żeby nie pozostawić jej tu gołostownej, sięgnę po utwór Gudżeratczyka Dhiro Baghata żyjącego w latach 1785-1850. Był nadwornym śpiewakiem. Zajmował się naginaniem języka do potrzeb satyry, którą zmuszał do służby filozofii. Przykładem jest utwór poświęcony literze alfabetu DA. Zacytuję początek, a resztę przyniesie antologia w drugiej części książki.

*DA stoi za Dahapana – mądrość. O, czemuż lek-
ceważysz ją i poniżasz, czynem pacząc ją i kalecząc?
Tuszysz sobie, bracie, iż dużą wiedzę posiadasz, a iluż
to ludzi upadło choć w wiedzę byli bogaci! Czyż nie
wstyd ci za nich?*

*A iluż to pozornie mądrych wpadło w sidła świato-
wości z powrotem? Na cóż przydała im się taka mą-
drość, gdy w obliczu śmierci stanęli? D h i r o po-
wiada: tylko ten kto wie czym jest ciało, a czym Duch,
może być szczęśliw radością prawdziwą²¹.*

Zwraca uwagę zwyczaj niemal kanoniczny w utworach poetyckich Indii bez względu na to, w jakim języku były tworzone. Nazwisko (czy imię) autora zamieszczone

16 Dynowska 1, s. 82.

17 Dynowska 1, s. 406.

18 Dynowska 1, s. 408.

19 W judaizmie jest to samo: w hebrajskim każda litera jest zarazem liczbą, każde słowo - uczoną kombinacją, każde zdanie - straszną formułą, które odpowiednio wymówione, z właściwym przydechem i akcentami, może poruszać góry i osuszać rzeki(...) Adonaj (hebrajskie imię Boga) jednym słowem stworzył świat, a następnie sam stał się słowem. Wg. Jan Potocki Rękopis znaleziony w Sargossie przeł. Anna Wasilewska Kraków 2015 s. 142. Rękopis przywołuję nie bez powodu. To w Rękopisie zajmuje się Potocki tym samym co Dynowska – ideą synkretyzmu mitologicznego i religijnego. Patrz Rękopis, op.cit., przyp. 2 ze str. 143.

20 Dynowska 1, s.430.

21 Dynowska 4, s. 32-3.

14 Dynowska 1 s. 401. Autorka mówi o Aniołach, których w hinduizmie nie ma.

15 Dynowska 1 s. 81.

jest n i e przed tekstem czy po nim, lecz w jego trakcie, czyli w treści. Autor przyznaje się do autorstwa i cytuje samego siebie, albowiem ma do przekazania w „podpisie” coś osobistego: jakąś myśl własną lub sentencję.

Dewi, czyli podpis indyjskim imieniem Dynowskiej, przybiera trzy kształty: fizyczny (w tym objawia się ludziom), niewidzialny (w tym jest boginią mowy) i wyższy, bez nazwy, funkcjonuje jako Dusza Wszechświata. Dewi świętych ksiąg, które Dynowska tłumaczy, to Bóg w postaci Matki. Podobnie jak *Brahman* nie ma rodzaju. Jest Pra-Świadomością, tą, która igra. Jest też straszna Kali. Natomiast w encyklopedii Dowsona²² Dewi – i tu nabierzmy powietrza na dłużej – to bogini, Maha-Dewi czyli Wielka Bogini, żona Śiwy, córka Himalajów. W *Mahabharacie* występuje pod różnymi imionami lecz szczególną rolę przydają jej *Purany*. Jako Sakti czyli kobieca energia Śiwy cechuje się dwoma charakterami – jednym, umiarkowanym i drugim – ostrym. Czczona jest zwłaszcza pod tą drugą postacią. Nosi wiele różnych imion, każde odnosi się do jej rozmaitych postaci, cech i atrybutów. W swej łagodnej formie jest Umą, „światłem” i pięknem. Gauri to bogini Świetlistą, Lśniącą. Parwati – Górską, Jaganmata – Matka Wszechświata. W strasznej postaci występuje jako Durga – Niedostępna, Kali i Sjama jako Czarna. Čandi i Čandika jako Bestia. Bhajarawi – Straszna. Tym jej postaciom poświęca się krwawe ofiary i orgie tantryczne. Ma dziesięć rąk i w każdej trzyma broń. Jako Durga jest piękną dziewczyną, dosiada tygrysa. Jako Kali lub Kalika ma czarną skórę, wstrętny wyraz twarzy, pije krew, otoczona jest przez węże, obwieszona czaszkami i obciętymi głowami. Pod każdym względem wyobraża koszmara, nie boginię. Jako Windhja-wasini czyli mieszkanka gór Windhji czczona jest w miejscu, gdzie łańcuch górski zbliża się do Gangesu w okolicach Mirzapuru. Osobom stojącym przed jej wizerunkiem nigdy nie skrzepnie krew. Jako Mahamaja jest Wielką Iluzją. W Čandimahatmja, 700-wersowym poemacie ze zbioru tworzącego *Purany*, w którym czci się zwycięstwo bogini nad Asurami, wrogimi demonami, nazywana jest kolejno jak następuje: 1.Durga, 2.Dasa-Bhudża, Dziesięciorekka, 3.Sinhawahini – Dosiadająca Lwa, 4.Mahiśamardini – Pogromczyni Mahiśy czyli Asury-byka, 5.Jagad-Dhatri - Wychowanka świata, 6.Kali – Czarna, 7.Mukta-Kesi – Rozczochrana, 8.Tara – Gwiazda, 9.Čhinna-Mastaka – Bezgłowa (w tej postaci pokonała Asurę Nisumbhę, swego syna) i wreszcie 10.Jagad-Gauri – Najśławniejsza w świecie. Nie każdą chciałaby Dynowska widzieć jako Ducha Literę. A tu jeszcze mamy u Dowsona imiona, które nadał Dewi jej mąż, czyli Śiwa: Babhrawi (Babhrui) – Hucząca, Bhagawati – Uniwersalna Jaźń, Isani – Zaborcza, Iswari – Najlepsza, Kalanjari – Mieszkanka góry Kalanjara, Kapalini – Żona nosiciela czaszek, Kausiki – Ukryta, Kirati – Góralka, Maheswari – Wielka Bogini, Mrda – Liściościwa, Mridani – Partnerka Mrdy, inne imię Parwati, Rudrani – żona Rudry, Sarwani – Wszechmocna, Śiwa – nosząca imię swego wielkiego małżonka, Trjambaki – Trójoczna. Jest też ze względu na pochodzenie zwana Adridżą, Giridżą Narodzoną w górach, Kudżą Narodzoną na ziemi, Dakśadżą córką Dakśy, Kanją – Dziewicą, Kanją-Kumari – Młodą księżniczką, dziewczicą, Ambiką – Matką, Awarą – Najmłodszą, Anantą i Nitją – Wiecz-

nymi, Arją – Szanowaną, Widżają – Zwycięską, Riddhi – Bogatą, Sati – Cnotliwą, Dakśiną – Praworęczną, Pingą – Brunatną, Ciemną, Kaburi – Centkowaną, Bhramari – Pszczolą, Kotari – Nagą, Karną-Moti – Mającą perły w uszach, Padmą-Lanćkhaną – Wyróżnioną lotosem, Sarwamangali – Zawsze dobrze wróżącą, Sakam-Bhari – Odżywiająca się ziołami, Śiwa-Duti – Poślanką Śiwy, Sinha-Rati – Jeżdżącą na lwie. Jako przywykłą do niewygód nazywano ją Aparną lub Katjajani. Jako przywódczyni chochlików nosiła imię Bhutanajaki, jako dowódczyni oddziałów niebiańskich – Gananajaki. Znała jest jeszcze jako Kamakśi – O lubieżnych oczach i Kamakhja – Pożądanie. Inne imiona odnoszące się do jej potwornej postaci to Bhadrakali – Niszczycielka ignorancji, Bhimadewi – Straszliwa, Čamunda – Morderczyni Čandy (Durgi) i Mundy (demoną zabitego przez Durgę), Mahakali – Wielka czarna, Mahamari – Wielka niszczycielka, Mahasuri – Wielka demonica, Matangi – Rycząca i dzika, Radżasi – Namiętna i Raktadanti – Z czczwonymi od krwi zębami²³.

Dynowska poznała je wszystkie bardzo dobrze. Z ich imion skonstruowała sobie pseudonim czy raczej słowny znak indyjskiej tożsamości: Umadewi. Uma Dewi. Uma to Światło. Sześć tomów Biblioteki Polsko-Indyjskiej wystarcza na objaśnienie intencji Wandy Dynowskiej. Spróbujmy podać pozostałe znaczenia semantycznego sygnału, jaki wybrała na swoje imię pierwsza polska ekumenistka chrześcijańsko-hinduska. Według Dowsona²⁴ Uma to Światło i Kropka, lecz pisze dalej: imię żony Śiwy. Wspomniana najwcześniej w *Upaniszadzie Kena*, gdzie pojawia się jako pośredniczka między Brahumą a innymi bogami, utożsamiana z Waćą (Wać – Mowa). I tu koło się zamyka, lecz Dynowska byłaby zadowolona, gdybyśmy objaśnili (za Dowsonem) co znaczy Wać. Otóż jest to po angielsku *Speech* czyli mowa, język, przemówienie, głos, wymowa. *Rygweda* przedstawia ją jako personifikację sposobu, dzięki któremu wiedza przekazywana jest człowiekowi. Powiedziano o niej, że weszła do grona *ryszich*, mędrców, spośród których mogła sobie wybrać ulubionych, żeby uczynić z nich intelektualistów lub durniów. Stworzyli ją bogowie, ale stała się królową bogów. Opisywana jest jako „śpiewająca krowa, która daje cztery rodzaje jadła i mleko”. *Brahmany* utożsamiają ją z towarzyszką Pradżapatiego (asystenta Brahmy do spraw tworzenia). W *Brahmanie Taittirija* nazwana została matką *Wed* i żoną Indry, która obejmuje sobą cały świat. W *Brahmanie Satapatha*, autorstwa *rysziego* Jadźnawalkji, najważniejszym z *Brahmanów*, występuje jako dama, która wdaje się w relacje erotyczne z Pradżapatim, a działa się to w boskim procesie tworzenia. Attaché Brahmy, ogarnięty pasją twórczą, zajął sobą wiele żon, w tym – drogą kontaktu umysłowego – Wać, która porodziła mu wody lub też – bo Dowson przyznaje, że ostatnia fraza hymnu trudna jest do przetłumaczenia – „stworzył wody świata w formie mowy”. (Płynność mowy?). W *Upaniszadzie Kathaka* rzecz jest wyłożona jaśniej. Pradżapati był wszechświatem. Wać następowała (w hierarchii) jako druga, tuż po nim. Poznał ją, zasłał w ciążę, odesłał od niego, powiła, co miała urodzić i wróciła. W *Brahmanie Aitareja* znalazła się opowieść (w *Brahmaniude Satapatha* też)

22 John Dowson, *A Classical Dictionary of Hindu Mythology and Religion*, Calcutta, Allahabad, Bombay, New Delhi 1982, s. 89.

23 Dowson, op.cit., s. 86-88.

24 Ibidem, s.325.

o Gandharwach, niebiańskich bogach znających sekrety nieba i ziemi, którzy byli bardzo wrażliwi na kobiece wdzięki. Jeden z nich skradł somę, halucynogeny nektar bogów. Wać z własnej inicjatywy przeobrażona została wtedy przez *rysich* i bogów w kobietę i poszła do Gandharwów, żeby im święty napój odebrać.

W *Atharwawedzie* występuje jako Wiradź, ta, która łśni. Jest córką Kamy, pożądaną. „Jest twoją, o Kamo, jest zwana krową, a mędrcy nazywają ją Wać-Wiradź”.

Tu zróbmy nawias, żeby zobaczyć kim była Wiradź.

Według Manu, ojca człowieczeństwa, pierwszego mędrca Arjów, bóg (Brahma) podzielił swoje ciało na dwie części. Jedna stała się mężczyzną, a druga kobietą. Z kobiety uczynił Wiradź. Ponieważ Wiradź-mężczyzna z drugiej połowy Brahmy został wcielony w Manu, przeto mędrzec Arjów uznał się za stwórcę całego świata. Wiradź-kobieta natomiast stworzyła wszelkie formy żeńskie na tym świecie²⁵.

Mahabharata również nazywa Wać matką *Wed*. Mówi się tam (w eposie), że głos Brahmy udzielony został *Wedom* (usłyszany został przez ich twórców). A wtedy pojawiła się w niebie Saraswati, bogini literatury. Od tej chwili Saraswati identyfikowana jest z panią Wać i pod różnymi imionami występuje jako żona Brahmy, bogini mądrości i elokwencji. Jest przywoływana jako muza.

Purana Bhagawata rozpoznaje ją jako smukłą i zachwycającą córkę Brahmy, po którym odziedziczyła pasję, źródło człowieczeństwa, zwane Wiradź. Jako Saraswati uosabia jedność mocy i intelektu, bez których tworzenie nie byłoby możliwe. I na koniec według *Purany Padmy* Wać to córka Dakszy (syna Brahmy), żona Kasjapy (twórcy hymnów) i matka Gandharwów i Asurów (co już wydaje się przesadą nawet jak na hinduizm, w którym w genealogii wszystko jest możliwe, ale żeby matka walczyła na wojnie z własnymi synami? A tak mamy przynajmniej w dwu różnych przekazach!).

Uma daje się rozszyfrować jako bogini niosąca samo dobro. A Dewi opisaliśmy wcześniej. Teraz trzeba opisać samą Dynowską.

Dynowska uważa alfabet sanskrycki podobnie jak poszczególne jego litery za święte instrumenty hinduskiego mistycyzmu, nawet jeśli ich epickie formy budzą niechęć czy dreszcz. To jednak, co układa się w sekwencję poetyckich imion i Umy i Dewi przypominać przecież może litanie do Matki Boskiej. Z tą różnicą, że w naszej litanii nie ma wyzwisk, a w hinduskiej, żeby była pełnią – musi być wszystko.

Wanda

Wśród imion hinduskich występuje Wandin – modlący się. I jest Wandana – modlitwa. Wandy nie ma. Ale dzięki hinduskim właściwościom człowieka imię takie możemy sobie stworzyć.

Urodzona w Petersburgu (1888), pochowana została w wodach Gangesu (1971). Młodość spędziła w rodzinnym dworze nad jeziorem Istal na Łotwie. Ojciec był adwokatem. Umarł dość wcześnie. Uczona była w domu. Dojeżdżała na lekcje uzupełniające do Wilna. Matka była zarządczynią rodzinnego majątku, gdzie używa się raczej rozumu praktycznego, ale przydarzały jej się chwile jasnowidztwa, na które „cierpiała”. Ich katolicyzm był dość „statyczny”. Jako panienka czytała *Mahabharatę* (*Bhagawadgitę*) i *Koran*. Także *Bi-*

blię. W młodości posługiwała się francuskim, włoskim, hiszpańskim, łotewskim, niemieckim, angielskim i niechętnie – rosyjskim. W życiu dojrzałym – sanskrytem, palijskim, gudżarackim, marackim (marthi), bengalskim i tamijskim. W domu bywał Tadeusz Miciński, ale do wiary w wędrówkę dusz (metempsychozę) doszła sama. Trafiła za młodu na *Filozofię ezoteryczną Indii* J.C.Chatterji'ego²⁶. Zafascynowała ją teozofia (dosł. „mądrość Bogów”) jako możliwość połączenia wszystkich religii na gruncie pewnika, iż najwyższą wartością jest Prawda, będąca czymś na kształt Absolutu²⁷.

Studiowała romanistykę na UJ. Miała być pisarką, lecz kolejne studia w Lozannie przysposobiły ją do pracy na roli. Z teozofią zetknęła się najpierw w Rosji, gdzie z Rosjankami rozmawiała na ten temat po francusku. Potem wstąpiła do Włoskiego Towarzystwa Teozoficznego, a myślała o założeniu własnego, polskiego. Tuż przed wielkimi zmianami politycznymi i historycznymi roku 1918 zawiadnęła nią odwzajemniona miłość do Szczęsnego, sąsiada z pobliskiego majątku, młodzieńca studiującego na sławnej uczelni w Dorpacie. Podczas rewolucji bolszewickiej oddział czerwonych napadł na dwór Szczęsnego, kazał mu patrzeć, jak ojciec wychodzi z płonącego domu, żeby się zastrzelić. Za parę dni Szczesny rozpoznał sprawców i mógł zemścić się, ale tego nie zrobił. Jest po oświadczeniach, z którymi pospieszył do Odessy, bo Wanda uciekła tam z matką.

W roku 1919 Dynowska działa w Warszawie jako teozofka. Jedzie na spotkanie z Anną Besant do Paryża. Jest to podówczas światowy autorytet w teozofii²⁸. Ślub odwleka się z powodu niechęci rodziny Szczęsnego, który jako ufan ginie wkrótce na wojnie polsko-bolszewickiej pod Baranowiczami.

Był na tej wojnie Izaak Babel. Opisywał chamstwo i rewolucję. „Gdzie dusza się gnieździ?” – pytał.

...straszne pole, usiane zarąbanymi, nieludzkie okrucieństwo, niewiarygodne rany, roztrzaskane czaszki, młode, nagie, białe ciała błyszczą w słońcu, porozrzucane notesy, kartki, książeczki wojskowe. *EWangelia, zwłoki w zbożu...*²⁹.

Wychowała się na pograniczu kultur, które na pobliskim Wołyniu wyrzynały się poświęconymi nożami. Może dlatego poszukiwała potem takiego styku kultur, które są sobie nawzajem życziwe.

Na Wandę – poza panią Besant – wpływ wywarł wtedy Bolesław Limanowski. I Józef Piłsudski oczywiście. Propaguje teozofię jako działaczkę, redaktorka i autorka. Idea powszechnego braterstwa jest jej wyjątkowo bliska. Ezoterycy, czyli ci teozofowie, którzy okrywali swoją wiarę tajemnicą, organizowali obozy nad Bugiem, tworząc coś, co później nazywano komunami. Byli aktywni w loży masońskiej. W latach 1926-27 Dynowska zaczęła organizować Liberalny Kościół Katolicki. Doczekała się „wyświęcenia” pierwszych polskich

26 J.C.Chatterji *Filozofia ezoteryczna Indii wedle Vedanty (Uttara Mimamsa)*, przekład z francuskiego Hanny Krzemienieckiej, Warszawa 1911. Nazwisko autora - jeśli nie zostało podane po angielsku, który jest jednym z języków urzędowych Indii - piszemy dziś Cattedzi

27 Jan Potocki: „teozofia to nauka o mądrości bożej w zestawieniu z kultem religijnym”. Wg *Rękopis znaleziony w Saragossie* tłum. Anna Wasilewska Kraków 2015 s. 434.

28 Ale też okultyzmu – patrz Chatterji (Cattedzi) (op.cit., s 37), który przywołuje artykuł Anny Besant o chemii okultystycznej w piśmie „Lucifer” z listopada 1895.

29 *Dziennik 1920 w: Izaak Babel Utwory zebrane*, tłum. Jerzy Pomianowski, Warszawa 2012, s. 102.

25 Ibidem, s. 359.

księży tego Kościoła. Działała w Zakonie Gwiazdy na Wschodzie inaczej nazywanym Zakonem Jutrzenki, który oczekiwał przyjścia kolejnej inkarnacji Wielkiego Nauczyciela Świata. Dość szybko uznano, że inkarnacja już nastąpiła i że żadne zakony ani organizacje nie są teozofom potrzebne.

Dynowska nosiła amulet miodowego koloru z chryzolit, przedmiot wielkości dłoni. Był on wcześniej własnością Bławatskiej i Besant. Chryzolit to kamień świętego Piotra.³⁰

W latach 30. przełożyła Paula Bruntona *Poszukiwania w tajemnych Indiach* oraz *Ścieżkami jogów*. Książkę tę czytał w dzieciństwie wielki reformator teatru Jerzy Grotowski, który potem zaczynał od studiowania Kalidasy a skończył, podobnie jak Dynowska, jako garstka prochów nad południowymi Indiami. Ścieżki jogów pisane z zachwytem na temat zdolności do koncentracji, sztuczek prestigitatorskich i technik medytacyjnych były wtedy literaturą odkrywczą. Dziś, kiedy wiedzę na ten temat poszerzają staranne opracowania, Brunton ze swoimi rewelacjami wydaje się raczej literaturą przygodową dla dzieci i młodzieży. Ale godzien jest wzmianki ze względu na przekład Dynowskiej. A ściślej – jakość tego przekładu dokonanego piękną polszczyzną.

W 1935 Dynowska pożegnała się z Polską i wyjechała do Adjarze³¹, koło Madrasu, dziś Čennai, gdzie miał się odbyć kongres teozofów. Poznała tam Mahatmę Gandhiego i została jego współpracownicą.

Na poszukiwaniach Dynowskiej zaważył autorytet Anny von Hahn z domu po ojcu, Bławatskiej po pierwszym mężu, wicegubernatorze Erewania. Teozofka, okultystka i spirytystka dała się poznać jako medium uczestniczące w eksperymentach ze świata zjawisk paranormalnych, a potem jako admiratorka prądów i organizacji narodowo-wyzwoleńczych w Indiach. Pisać o tym nie warto, bo Bławatska, a potem jej uczennica Besant to postaci z innego świata niż Dynowska. One były po części hochsztaplerkami, ona – kobietą uduchowioną.

Celebrowane dzieciństwo Besant i jej liczne śluby poczyniły spustoszenie w uporządkowanym systemie myślenia panien z dobrych domów odważnych na tyle, aby poprzez dialektykę wybrać się na obszary synkretyzmu. Wspierała te świętokradcze eksperymenty bramin z Kalkuty, Čatterdżi, pisząc o obecności mitu Dziewicy Niepokalanej w kulturach starożytnych³².

Idea Diewicy Niepokalanej znaną była w głębokiej starożytności. Upaniszady objaśniają pojawienie się pierwiastka macierzystego przez rozdwojenie się Samowiedzy Boskiej (Ahankara) na podmiot i przedmiot. Część obiektywna określana jest jako „Wielka Małżonka wypełniająca całą przestrzeń” oznaczając w ten

sposób Substancję Kosmiczną, dziewiczą pramateryę. Na tę materię obiektywną oddziaływa element subiektywny, czyli Samowiedza Boska (Ahankara), pierwiastek aktywny w naturze – a wynikający stąd ruch wirowy rodzi wszelkie wiry wszechświata.

Taka jest, jak się nie mylę, pierwotna idea Niepokalanego Poczęcia: Duch Święty, Pneuma, wielkie tchnienie, sprowadzające ruch w materii kosmicznej.

Wraz z tymi pierwiastkami wyłoniło się na jaw pięć sfer wszechświata. Dwie sfery wyższe (odpowiadające postaciom Bóstwa Sat i Sat-Awidja) mogą być oznaczone w stosunku do naszego systemu solarne jako sfery Ojca i Matki (według symboliki chrześcijańskiej Ojca i Syna). Sfera trzecia – mahat (Myśl Boża) może być nazwana sferą „Chrystusa – Doskonałego”. Czwarta sfera Buddhi odpowiada sferze „Chrystusowi-Dziesięciu” rodzącemu się w sercu człowieka (Manas – przedmiotowość). Znaczenie zupełne tych symbolów pojąć mogą jedynie ci, którzy zagadnienie to zgłębiali gruntownie i zasadniczo. „Narodzenie Chrystusa” w sercu ludzkim naprawdę oznacza narodzenie duchowego pierwiastku, Buddhi w człowieku, który odtąd staje się Wtajemniczonym, odróżniającym się od człowieka zwykłego³³.

Bhagawadgita

S. Radhakrishnan, podówczas (rok 1947 rok) napisał do przekładu Wandy Dynowskiej słowo wstępne, które wyjaśnia, po co Umadewi pojechała do Indii i dlaczego pozostała tam na zawsze:

Bhagawad Gita jest książką klasyczną, ukazującą kulturalnemu człowiekowi współczesności prawa duchowego rozwoju zrozumiale i prosto.

Jest to książka wznosząca się ponad wyznania i ponad Kościoły, choć należy do religijnej literatury Hinduizmu. Mówi nam o Religji jedynej, która jest podstawą wszystkich; o duszy ludzkiej w jej odwiecznym szukaniu Boga, o jej wznoszeniu się od prymitywnych do boskich form bytowania.

Każdy, kto czyta Gite – do jakiegokolwiek religii świata należy – znajdzie w niej klucz do odnalezienia duchowych prawd swej własnej religii; bowiem Prawda, o której mówi, jest wszechogarniająca.

Bhagawad Gita wzywa każdego z nas do pogłębienia myśli i rozszerzenia świadomości, lecz dróg ku celowi wskazuje wiele. Nauka jej ma uniwersalizm Prawdy i może służyć za podstawę dla powszechnej Religii Ducha.

Toteż głęboko rad jestem, iż ta ewangelia wszechludzkiej Prawdy znajdzie drogę do polskich czytelników dzięki wysiłkom i pracy Umadewi, której długi pobyt i studia jej w Indiach odpowiednio przygotowały do wniknięcia w istotę ducha Bhagawad Gity³⁴.

*Bhagawad Gita*³⁵ jest częścią Mahabharaty³⁶, czyli wielkiej opowieści o królewiczu, który przegrał w kości swoją żonę, poszedł na wygnanie, a po powrocie musiał stoczyć bitwę, aby pokonać niestłownego przeciwnika i odzyskać połowę królestwa. Czy fragment takiej baśni może być źródłem wszelkiej religii? Wiceprezydent,

30 Poza najważniejszym, Piotrem i chryzolitem gemmologia apostołska według lapidariów średniowiecznych mówiła, że Paweł to szafir, Andrzej – beryl, Jakub – chalcedon, Jan – hiacynt, Tomasz – szmaragd, Filip – sardoniks, Jakub – ametyst, Bartłomiej – jaspis, Mateusz – też sardoniks, Szymon Zelota – topaz, Juda – chryzopraz. Nie ma w tym zestawie Łukasza i Marka, ale nie ma diamentu i szafiru. A wśród apostołów brakuje Marii Magdaleny. Wg: *Apokryfy Nowego Testamentu* „Apostołowie” cz. 2 pod red. ks. Marka Starowieyskiego (brata Franciszka malarza, grafika i skandalisty), Kraków 2007, s. 1213-1214.

31 W Bibliotece Teozoficznej w Adjarze zebrano około 3 000 cennych starożytno-Indyjskich manuskryptów, a przeszło 10.000 dzieł poświęconych badaniom tych zabytków światła Wschodu. Cyt. za: Chatterji, op.cit. s. VI.

32 Chatterji, op.cit., s. 54-5.

33 Ibidem, s. 55.

34 *Bhagawad Gita Pieśń Pana*, przekład Wandy Dynowskiej Madras 1957, dalej Dynowska 2.

35 *Bhagawad* – inne imię-tytuł Krysny, *Gita* – pieśń. Można też pisać razem: *Bhagawadgita*, *Świętego Pana Pieśń*.

36 *Mahabharata* – *Maha-Bharata* – *Wielka* (opowieść o potomkach króla) *Bharaty*.

a potem prezydent Indii i autor pomnikowej *Filozofii indyjskiej* wiedział chyba, co pisał. Fundamentem religijnym ma być dialog boga Krysny z rycerzem Ardżuną. Krysna udziela rad przed bitwą, a Dynowska tłumaczy ich rozmowę w czasie, kiedy (1947) toczy się bitwa w Polsce o przyszłość czyli *dharmę* naszego kraju. Jeśli tak będziemy czytać *Bhagawad Gītę*, to wtedy okaże się, że *Pieśń Pana* jest nie tylko źródłem wszelkich wierzeń ale także metaforą doświadczeń historycznych z dobrem i złem, czyli eschatologii ludzkiej. Ze względu na trzy wojny między przyrodnymi „braćmi” – Indiami i Pakistanem *Bhagawad Gita* tak właśnie czytana jest także po jednej ze stron tego dramatycznego i ciągnącego się bez końca konfliktu.

Gandhi nauczył się sanskrytu, aby czytać *Gītę*. *Wedy*, prawdopodobnie najstarsze w dziejach świata hymny religijne, były dla niego za trudne. *Gita* zajęła mu miejsce matki, którą stracił za młodu. Píše o tym we wstępie do przekładu Dynowskiej³⁷.

Pieśń Pana skonstruowana została w sposób charakterystyczny dla gatunku *upaniszad*. Mętlík zaczyna się wtedy, kiedy nie odróżniamy zbioru *upaniszad* od jego tytułu: *Upaniszady*. To taka sama różnica jak między sonetami Szekspira a *Sonetami Szekspira*. *Bhagawad Gita* będąc częścią *Upaniszad*, to jest zbioru wydanego (zwłaszcza w Polsce) pod tym tytułem, wchodzi w skład *Mahabharaty*, która *upaniszadą* nie jest.

Tłumacząc *Bhagawad Gītę* (w takiej postaci pozostawiwszy jej tytuł) Dynowska dostrzegła związku obrzędu naszych, mickiewiczowskich *Dziadów* z rytuałami hinduizmu³⁸. Nie dziwota. Litewski bliższy był prąjczykowi niż sanskryt. Dziady mogły powędrować z Arjami do Indii. Jak Dynowska, (oraz – niech mi to będzie wybaczone – jak Jezus i św. Tomasz). Lub przywędrowały na Litwę z Indii jak *Lux ex Oriente*, bo według przekonania Indusów i naszych stereotypowych wyobrażeń – Indie są źródłem wszechrzeczy i początkiem wszelkiej kultury, co trzeba uznać za megalomańską skłonność do wywyższania się ponad początki egipskie, żydowskie i sumeryjskie.

Przechodząc do narracji połączonej z refleksją i komentarzem streścimy *Gītę* na potrzeby opowieści o poszukiwaniach polskiej ezoteryczki. Streszczenie ma charakter umowny i wybiórczy. Zawiera omówienie tych fragmentów, które wydają się głównymi łącznikami między poszczególnymi *asanami* (*figurami*, *pozycjami*) intelektualnymi.

Dla Dynowskiej *Bhagawad Gita* jest konstrukcją jogiczną, złożoną z osiemnastu intelektualnych pozycji.

Rozmowa pierwsza, zwana *Jogą rozpacz* Ardżuny, prowadzi do konkluzji, że chciwość i pogoń za rozkoszami życia królewskiego jest drogą do wojny przeciwko najbliższemu. Nie ma cięższego grzechu niż bezsensowna wojna między pokrewnymi sobie ludźmi.

Skorzy do walki co uczynili?...

W świętej księdze³⁹ ruchu Hare Krysna (dalej HK) pierwszy rozdział zatytułowany został *Obserwacja wojsk na Polu Bitewnym Kuruszeetra*. Najwyższa Osoba Boga – według komentarza do księgi – znajduje się po jednej z walczących stron. Komentator nie deli-

beruje na temat filozoficznego przesłania pierwszego rozdziału. Jeśli Bóg – Krysna bierze udział w wojnie po jakiejś stronie, to znaczy, że racje stron są właściwie rozdzielone. Tymczasem literatura tego nie potwierdza. Skonfliktowane strony mają równe powody do walki. A bohaterowie *Gity* – równe powody, aby w walce udziału nie brać. *Gita* w interpretacji Dynowskiej jest głębsza niż to, co proponuje religijny ruch Hare Krysna.

Rozmowa druga, zwana *Jogą rozpoznawania filozoficznego*, zajmuje się duszą: co to jest dusza, kiedy „ubranie” czyli ciało opuszcza? Poeta wyśmiewa obrzędy, dzięki którym liczymy na pomyślne narodziny i pomyślne śmierci. Objaśnił wcześniej, kim jest On sam, dlatego może kpić z obrzędów. Przy okazji mówi, do czego prowadzi bez-rozum.

63. *gniew mąci rozpoznawanie i uludę stwarza; do zaćmienia pamięci brak rozpoznawania wiedzy, pamięć przyćmiona do zaniku Rozumu prowadzi, a zanik Rozumu to zguba człowieka.*

Komentarz tłumaczkii: „Człowiek, który traci panowanie nad sobą i staje się niewolnikiem namiętności i nienawiści, coraz bardziej „oddala się” od swej Duszy, aż wreszcie łącznik z nią może się całkiem zerwać⁴⁰.”

Rozmowa trzecia, zwana *Jogą czynu*, zajmuje się pytaniem Ardżuny, która z dwu dróg – mądrości czy działania prowadzi do szczęśliwości duszy? I Krysna odpowiada:

7: *...człowiek, który myśli nad zmysłami panując, bezosobicie i swobodnie organami działania pełni Jogę czynu, jest zaiste godzien szacunku.*

30: *Mnie oddając czyn każdy, myślą w najwyższym Wszechduchu skupiony, od pragnień wolny i od nadziei, osobowości i wewnętrznej gorączki wyzbyty, idź w bój Ardżuno⁴¹.*

Dalej pyta Ardżuna, co pcha człowieka do grzechu? I Krysna mówi:

Żądza i gniew z namiętności zrodzone. Pożądanie. Podlegają mu czasem zmysły, umysł i intelekt. Zmysły opanuj⁴².

Rozmowa czwarta, zwana *Jogą mądrości ducha*, to pytanie Ardżuny o czas.

Wszak Tyś się później narodził, a Wiwaswat wcześniej, o Kriszno, jakże więc mam rozumieć Twe słowa, iżes jej (jogi – k.m.) u prapoczątku wieków nauczał?

Czas poprzez wcielenia cofa się retrospektywnie, dlatego Brahma może być swoim własnym wnukiem. Krysna w podobny sposób wyjaśnia tożsamość ruchu i bezruchu:

18. *Kto beczyn widzi w czynie, a czyn w beczynie, ten jest mędrce wśród ludzi największym i trwa w Jodze skupiony nawet wśród działania⁴³.*

Dynowska wyjaśnia to spokojem beczyny, który musi cechować akcję. Można ją wesprzeć spostrzeżeniem, że między myślą a zmysłem widzi Krysna konflikt, który nim nie jest, gdyż obydwie właściwości mają ten sam źródłostów, przynajmniej w języku polskim.

Rozmowa piąta, zwana *Jogą, która (prowadzi do) wyrzeczenia się czynu*, zajęta jest pytaniem Ardżuny co lepsze: zaniechanie działań czy Joga czynu?

37 Ibidem, s. XXXIII.

38 Ibidem, s. 9.

39 *Bhagawad-Gita taka jaką jest* (brak miejsca i roku wydania), s. 33-61, dalej BG.

40 Dynowska 2, s. 25.

41 Dynowska 2, s.28-30.

42 Ibidem, s. 32.

43 Ibidem, s. 40.

I Kryszna mówi coś, co jest skutkiem rozumowania zgodnego z dialektyką hinduską:

2: *Wyrzeczenie się czynów na równi z bezosobistym ich pełnieniem, do najwyższej szczęśliwości prowadzi; lecz z nich dwóch zaiste Joga czynu jest lepszą⁴⁴.*

Komentarz Dynowskiej łamie tę dialektykę dzieląc świat na dwa: w pierwszym żyje *sanjasi*, który wyrzekł się wszystkiego (i błądzi gdzieś po Himalajach), drugi to praktyk *karma-jogi*, który każdy czyn traktuje jako ofiarę poświęconą Najwyższemu. Taki rozdział powinien obudzić sprzeciw chrześcijanki, ale najwyraźniej nie budzi.

Rozmowa szósta, zwana *Jogą samoopanowania*, stara się wyjaśnić głębiej dialektyki boskiej. Pograżając się coraz bardziej w swojej logice paradoksalnej, Kryszna wyklada: bezczyn jest czynem, który czynić należy. Prawdziwe wyrzeczenie, także wyrzeczenie się wyobraźni, jest jogą.

Dalej już bez przeszkód w postaci sprzeczności napotykamy przykazania: nie gnębić ducha, kochać wszystkich, być w samotności, uwolnić się od nadziei, siedzieć prosto, wyzbyć się lęku, zachować czystość fizyczną i duchową, nie iść za daleko we wstrzemięźliwości i ascezie, znać umiar w pracy, wysiłku, jedzeniu, śnie i czuwaniu, nie tęsknić.

Lecz sprzeczność, a właściwie zdolność wznoszenia się ponad liczne pary przeciwności, umiejętność ujednolicania tego co smutne z tym co radosne, daje poczucie szczęścia w jodze.

Ardżuna na to:

Nie widzę, by Joga niewzruszonej równowagi (...) trwać mogła mieć podstawy przy ciągłym niepokoju myśli⁴⁵.

Na to Kryszna: blablabla. I ani słowa o myśli poza tym, że można ją opanować poprzez ćwiczenia i bezosobistość – nie wiadomo, co to znaczy. Nie dziwi to spięcie, gdyż w innych mądrościach hinduskich znajdujemy twierdzenie, że myśl jest najwyższą właściwością człowieka, a gdzie indziej mówi się, że utrata rozumu to największe nieszczęście. Dynowska woli nie polemizować, jednakże nie jest tego ani pewna, ani niepewna, bo mówi:

Dowolne rządzenie myślą i zatrzymywanie jej bezładnego ruchu jest jedną z podstaw Jogi, dopiero w cichej jak tafla niezmacona wód umysłowości – powiadają księżki Indii – może się odbić czyste światło Prawdy bez spaczenia, a poznanie i zjednoczenie się z Prawdą jest celem Jogi⁴⁶.

Rozmowa siódma, czyli *Joga mądrości i wiedzy*, nic nie wnosi do rozważań o mądrości i wiedzy. Jedno zdanie dotyczy myśli, czyli tego, kto postradał rozum, wskutek czego nie zbliży się do Kryszny. Całość poświęcona jest natomiast owemu zbliżeniu. Dynowska zamieszcza do tego górnolotny komentarz, z którego warto zapamiętać, że mądrość (żnana) jest rejestrowaniem informacji i obrazów, przy czym proces ten musi być przeświecony duchem. Wiedzą natomiast (*wiżna*) to analiza tych prześwieconych sygnałów.

Rozmowa ósma, czyli *Joga niezmiennego i nieograniczonego Brahmana*. W pytaniu Ardżuny mamy tu pierwsze i najważniejsze, jakie zadaje sobie człowiek i to już w dzieciństwie. Czym jest Brahman – przenajwyższe To? Kryszna radzi sobie z tym, jak umie: Praodwieczny,

Niezmienny, Ducha Najczystszy Rdzeń, Najpierwszy Ruch Twórczy, Pra-działanie. Reszta tej pieśni będącej Jogą, czyli niedefiniowalnym gatunkiem literackim, który jest jednocześnie ruchem i bezruchem, dialektyką łączącą ćwiczenie umysłowe i fizyczne, poświęcona została zachęcie do poszukiwania jedności z Nim Samym.

Dynowska wznosi się tu na wyżyny, na które nie każdy z czytelników jest w stanie dotrzeć za nią:

To-Brahman – „Tat Brahma” używa się często w Upaniszadach, najgłębszych księgach filozoficznych Indii, dla oznaczenia Samoistnego, Samobytnego, Niezniszczalnego (Akszara) Bytu, pra-źródła i pra-przyczyny wszystkości, tj. przejawionego i nieprzejawionego, widzialnego jak i niemożliwego nawet do pomyślenia czy wyobrażenia; w przeciwstawieniu do postaci (osoby) Boga przejawionej w kosmosie, która jest wszechżyciem, przenika i ożywia wszechświat zjawiony (widzialny i z niewidzialnych światów) tą nazywa się wielu imionami – Iszwara, Wasudewa, Narajana itp., co odpowiada chrześcijańskiemu pojęciu osobowego Boga⁴⁷.

Rozmowa dziewiąta, czyli *Joga najwyższej nauki i najgłębszej tajemnicy* lub *Joga mądrości królewskiej i królewskiej tajemnicy*, jest figurą (*asana*) zbyt trudną dla Ardżuny, dlatego rycerz w tej pieśni nie występuje. Kryszna zajęty jest sobą oraz sposobami autoprezentacji, dość trzeba przyznać nieskromnej:

4. *Wszechświat cały przenikam w Meją nieprzejawionej, nieuchwytej postaci; wszystkie istnienia są we Mnie zawarte lecz nie Ja w nich. (Jestem zatem Lepszy i Mocniejszy – k.m.).*

5. *...Jam istnieć opoką, Sam na niczym nie wsparty, podtrzymuję i żywię wszechstworzy, lecz Sam poza nimi trwam; Duch Mój pra-źródłem wszechistnień⁴⁸.*

To co powyżej powiedziano jest wiedzą wiedzą.

Dynowska dystansuje się w komentarzu od tej samo-prezentacji i wchodzi w dygresję, uciekając na boki od głównego wątku czyli Kryszny opowieści o sobie samym.

Rozmowa dziesiąta, czyli *Joga boskich przejawień i wcieleń*, to dalszy ciąg autoprezentacji czy – żeby wyrazić się ściślej i pozareligijnie – samochwalstwa. Z jedną uwagą przydatną komentatorowi politycznemu, który nie znajdzie czegoś podobnego ani w Biblii ani w Koranie:

38. *Jam potęgą władców i taktyką mężów stanu...⁴⁹.*

Ardżuna mówi na to: tak, przy czym owo „tak” rozciąga się na akapity 12-18, których w całości nie ma co przywoływać, bo sprowadzają się do zgody. A Dynowska w komentarzu boi się wejść w słowo Krysznie. Układa natomiast słownik terminów mitologicznych, którego hasła włączyłem do leksykonu w rozdziale 6 (i tu się nie mieszczą).

Rozmowa jedenasta, czyli *Joga wizji boskiego kosmicznego kształtu*, to dalszy ciąg nieustającej autoprezentacji. Kryszna obiecuje odsłonić setne i tysięczne a boskie kształty swojej tajemnicy. Ponieważ jest wszystkimi bogami i duchami naraz, przeto łatwo mu w superlatywach mówić o własnych walorach. Wszystko co Ardżuna widzi i czuje jest Wszechświatem uosobionym przez Krysznę. Ale widzieć może tylko boskim wzrokiem. I tę zdolność Kryszna nadaje teraz Ardżunie.

Tu wtrąca się Sandżaja, „woźnica Dhritarasztry i jego minister. Uczeń Wjasadewy (autora *Mahabha-*

44 Ibidem, s. 42.

45 Ibidem, s. 60.

46 Ibidem, s. 63.

47 Ibidem, s. 82.

48 Dynowska 2, s. 86.

49 Ibidem s. 103.

raty, uzupełniającego wcielenia Wisznu – k.m.) obdarzony mocą widzenia wydarzeń na polu Kurukszetry. Przez całą wojnę opisywał sceny z walki swemu królowi Dhritarasztrze⁵⁰. Jest narratorem, który obdarzony tą samą zdolnością boskiego widzenia opisuje Krysznę, używając najwyższych tonów religijnej nowomowy. I tu Ardżuna mówi, co widzi nowym wzrokiem, używając – jak powinien – owej wytworzonej na potrzeby artykułowania zachwyty – nowej mowy. Jest to wyznanie wiary podobne do chrześcijańskiego *Confiteor Deo Omnipotenti*. Różnica polega na tym, że w hinduizmie wierzy się na równi w bogi dobra jak i zła, a ich opis przypomina rzeźby lub malowidła staroindyjskie:

23. *W bojaźni świętej jako i ja
drży wszechświat cały, o Panie,
przed tym potężnym, zjawionym
Twym kształtem, o lic mnogości;
ust Twoich i ócz jaśnienie trwogą przejmuję.
Łona ogromem wypełniasz przestwory,
ramion wielością strop wspierasz szeroki,
a wśród groźnych Twych warg,
zęby jako miecze lśnią*⁵¹.

W odpowiedzi Kryszna definiuje czas, zajmując się nim w *Pieśni Pana* już po raz drugi:

32. *Jam jest Czas, co zniszczenie w świat niesie,
zjawiony na ziemi, by Prawu wyraz dać,
by ludzkość śmiercią razić*⁵².

Czekanie na Prawo czyli Przeznaczenie (*Dharma*), to hinduska wersja europejskiej definicji czasu, która ustala, że czas to lęk przed śmiercią. Kryszna wzywa rycerza do boju – idź i nieś Prawo i śmierć. Na to Ardżuna ciągnie czolobitny hymn.

Rozmowa dwunasta, czyli *Joga żarliwej miłości*. W tłumaczeniu Dynowskiej pytanie Ardżuny brzmi:

*Kto głębiej poznał Jogę: ten co w stałej harmonii Ciebie z żarliwością czci? Czy ten, który swe uwielbienie kieruje ku Temu co Nieprzejawione i Niezmienne jest?*⁵³

Kryszna, używając typowej dla siebie logiki sprzeczności, utożsamia Jogę z samym sobą:

2. *Tych za najdoskonalszych w Jodze poczytuję, którzy myśl całą we Mnie skupiają, i w nieustannej Jodze zjednoczenia z najwyższą wielbią mnie wiarą*⁵⁴.

„wielbią Mnie”. Chrystus o sobie, dużą literą, nie powiedziałby tego. Joga jest Kryszną, lecz nie na odwrót. Myśl przez Jogę prowadzi do Kryszny, a jak nie można przez myśl, to trzeba przez czyn. Myśl jest ponad czynem. Ponad myślą – skupienie. Ponad skupieniem – wyrzeczenie. Z wyrzeczenia pokój się rodzi. Nieprzejawionego trudno jest osiągnąć bezpośrednio. Lepiej starać się przez Krysznę, bo on jest Nim. Dynowska zwraca uwagę na czyn bezinteresowny i dostrzega w nim drogę dla Polaków.

Polacy samorzutnie wybierają bezinteresowny czyn w imię czegoś wyższego, co im jest najdroższe, nie licząc się ani ze skutkami, ani tym bardziej „plonem” dla siebie; ryzykują wszystko z życiem włącznie, bo... „nie mogą inaczej”. To jest właśnie wyraz głębokiej Karma

*Jogi. Wielka w tym tkwi tajemnica Dharmy Narodu jako całości. Czyn w imię Prawdy, bezosobistego Dobra, obowiązku lub miłości Boga (bez liczenia wszakże na Jego nagrodę) nie wiąże, a wyzwala*⁵⁵.

Rozmowa trzynasta, czyli *Joga, która pozwala odróżnić pole od jego znawcy*. Pole to obszar badania łącznie z ciałem badającego. Znawca to umysł i dusza, które analizują pole i gromadzą dane. Ardżuna chce znać różnicę między nimi, a Kryszna podaje dialektyczną postać relacji pole-znawca sugerując zarówno potrzebę jak i niemożność scalenia obydwu – w hinduizmie powiemy – wartości.

26. *...gdziekolwiek się rodzi jakiś ruchomy lub nieruchomy twór, źródłem jego jest zawsze Znawcy Pola z Polem zjednoczenie*⁵⁶.

Rozmowa czternasta, czyli *Joga, która uwalnia od trzech gun*. Kryszna naucza:

5. *Trzy są nieodłączne od Przyrody, przyrodzone jej cechy: Harmonia lub rytm, Ruchliwość i Bezwład; one to, o potężnie zbrojny, wiążą w ciele jego nieśmiertelnego Mieszkańca*.

Wiązać w ciele to znaczy wiązać we własnym ciele, ciele *gun*. *Guny* nie dają się poruszać. Nie dają swobody. Ale inaczej popatrzmy na ciało. *Guny* wiążą, czyli zamykają wszystko w ciele Ducha. Więc albo w ciele wiążącego, albo w ciele wiążanego. Tę dwuznaczność zachowuje także późniejszy przekład Marty Kudelskiej⁵⁷:

5. *Trzy są cechy przynależne naturze, o Potężno-ramienny,*

Szlachetność, namiętność i mroczność, one wiążą w ciele wiecznego ducha.

Kryszna objaśnia:

6. *Z tych Harmonia, z natury swej nieskalana i świetlista, jasnością i zdrowiem darzy, o Ardżuno bezgrzeszny, a wiąże duszę przywiązaniem do wiedzy i szczęścia rozkoszą.*

7. *Ruchliwość, o Kauntejo*⁵⁸, *z natury swej namiętną żądzę życia rodzi i za przedmiotami pogoń gorączkową, a wiąże duszę niepowstrzymaną działania potrzebą.*

8. *Natomiast Bezwład, wiedź o Bharato*⁵⁹, *iz z ciemnoty się rodzi i wszystkie dusze najbardziej zaślepią; więzy niedbalstwa i ociężałej narzuca gnuśność*⁶⁰.

Na ścieżkę doskonałości prowadzi, jak pamiętamy, wyrzeczenie się wszystkiego. Nie chcemy namiętności ani bezwładu, który może być też bezładem. To jasne. Ale wyrzeczenie się harmonii? Logika staroindyjska jest tu bezwzględna. Jeśli wszystkiego to wszystkiego.

Rozmowa piętnasta, czyli *Joga, która prowadzi do zjednoczenia z przenajwyższym duchem*. Świat tej *Jogi* daje nam kontakt z drzewem *Aswatta*, które jest czymś na kształt Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Rośnie odwrotnie niż w Biblii, korzeniami do góry. Liście to hymny *Wed*, pędy i wtórne korzenie to z kolei przedmioty rozpoznawalne zmysłami, a także pragnienia, których już powinniśmy się byli wyzbyci dzięki *Jodze czternastej*. Drzewo to można ściąć jednym ruchem. Pewnie tak samo, jak się zrywa jabłko w biblijnym Raju.

50 *Mahabharata Największy epos świata* (oprac.) Krishna Dharma przeł. Iwona Szukalska Mayapur brw s.834.

51 *Ibidem*, s. 115.

52 *Ibidem*, s. 117-8.

53 *Ibidem*, s. 128. To samo pytanie w „biblii” Hare Kryszna zapisane zostało następująco: „Kto jest bardziej doskonały, ci którzy są właściwie zaangażowani w służbę oddania dla Ciebie, czy też ci, którzy wielbią niezamanifestowanego, bezosobowego Brahmana” (wg. HK, s. 521).

54 *Ibidem*, s. 128.

55 *Ibidem*, s. 134.

56 *Ibidem*, s. 141.

57 *Bhagawadgita Pieśń czcigodnego Pana*, przełożyła, komentarzem i objaśnieniami opatrzyła Marta Kudelska, Kraków 1995, s.66.

58 Kaunteja – syn Kunti.

59 Bharata – Spełniający Wszystkie Pragnienia, Nadzieje. Imię jednego z królów rasy (dynastii) księżycowej, która rządziła krajem Arjów.

60 Dynowska 2, s. 149-50.

Ścinając, wyzbywamy się zarówno pragnień jak i więzów ze światem dwójni. Różnych dwójni: dobra i zła, radości i cierpienia, energii życia zmiennej i niezmiennej. Tam dopiero można utożsamić się z Kryszną.

Rozmowa szesnasta, czyli *Joga, dzięki której od różnymi cechy boskie od demonicznych*. Kryszna uczy:

Na świat przychodzisz z cechami, które czynią cię człowiekiem dobrym. Masz w sobie

*nieustrasżoność,
czystość i harmonię życia,
stałość w Jodze mądrości,
hojność w darach miłosierdzia,
samoopanowanie,
zdolność do składania ofiar,
umiejętność zgłębiania Ksiąg świętych,
możliwość zdobycia się na gorący wysiłek we-
wnętrzny czyli tapas (w islamie wysiłek ten nazywa się
terminem „dżihad”, który znaczy także „święta wojna”⁶¹*
– przyp. k.m.),

*prawość,
(gotowość do) nieprzyczyniania nikomu cierpienia,
(przyrodzoną) wierność prawdzie,
brak chytrości i gniewu,
skromność,
spokój,
równowagę,
wyrozumiałość,
wyrzeczenie,
brak skąpstwa i lekkomyślności,
wszechwspółczucie,
łagodność,
moc,
przebaczenie,
wytrzymość,
męstwo i hart,
czystość serca,
brak zazdrości i pychy⁶².*

Mamy tu zbiór wartości, cech i przykazań. Człowiek rodzi się, niestety, nie tylko z nimi. Czasem kiękują w dziecku obłuda, zuchwałość, pycha, próżność, zarozumiałość, złość, brutalność i bez-rozum. *Joga* prowadzi drogą, która omija świat tworzony przez cechy złe. Kryszna opisuje ich skład. Naliczymy tego poniekąd więcej niż cech przykazanych. Trzy bramy wiodą do piekła: chciwość, nienawiść i chuć.

Jak to piekło wygląda – nie wiemy. W każdym razie w hinduizmie szatanów nie ma. Co nie znaczy, że nie ma złych duchów.

Rozmowa siedemnasta, czyli *Joga, która pozwala wyodrębnić trzy wiary*. Ardżuna pyta, czy nie można być człowiekiem dobrym, jeśli odrzuca się wskazówki Ksiąg?

Kryszna wraca do trzech *gun*: harmonii, dynamiki i bezwładu, na których budowane są trzy wiary. Ludzie pełni harmonii cześć oddają Świetlistym. Namiętni wielbią geniuszy. Pograżeni w bezwładzie – mrocznym siłom przeszłości, która zaczyna się od śmierci. Wszystko dzieli się na trzy. Ludzie zharmonizowani lubią pokarm soczysty i lekki. Dynamiczni – ostry,

z przyprawami. Nieruchawi – nadgniły. *Aum Tat Sat* to zbiór opisujący trójpodział. *Aum* – jest świętą i świetlistą sylabą hinduizmu, *Tat* – to początek ofiary ludzi pragnących wyzwolenia, *Sat* – to prawda, rzeczywistość i dobro. *Asat* to ofiara bez wiary, nic nie warta.

W hinduizmie, inaczej niż w późniejszych religiach, nie ma świata czarno-białego. Uwielbienie geniusza, mimo że nie zbliża do TEGO, wcale nie musi być złe.

Rozmowa osiemnasta, czyli *Joga, która prowadzi do wyzwolenia przez wyrzeczenie*. Ardżuna pyta o różnicę między *sanjasą*, czyli odejściem od świata, a wyrzeczeniem (się).

Rezygnację z czynów będących skutkiem pożądania uważa Kryszna za odejście. Sam miał z tym kłopoty jako kochanek szesnastu tysięcy pasterek. Ale był także wcieleniem Wisznu, więc mógł być *sannjasinem* nie będąc nim.

Wyrzeczenie natomiast trojakiego bywa rodzaju. W hinduizmie wszystko jest trojakiego rodzaju (jeśli nie chce być dwoistością przeciwieństw czyli dwójni). Trojakość bierze się z Trójcy *Trimurti*: Brahma-Śiwa-Wisznu. Także z trójni *Aum Tat Sat* (*Przedwieczny w Trójcy, Byt Niewyraźalny, Bezczesny, Jedynie Rzeczywisty*). Także ze współzależności *gun* (cech) *Satwa-Radżas-Tamas* (*Harmonia-Ruchliwość-Bez(w)ład*). Także ze związku *Sat Ćit Ananda* (*Byt Mądrość Szczęście*).

Czym wobec tego jest troistość wyrzeczenia? Pierwsze – czynów płynących z wewnętrznej potrzeby nie należy zaniedbywać. Drugie – porzucanie zalecanych czynności jest bezrozumne. Trzecie – czyn obliczony na nagrodę jest złem. Wyrzeczenie wyrzeczenia to pierwsze wyrzeczenie, wyrzeczenie wyrzeczenia zaleceń to drugie, wyrzeczenie złego to wreszcie trzecie wyrzeczenie.

Dalej Kryszna dostrzega pięć sił sprawczych działania: działacz, ciało, organy, rodzaje energii i duchy kierownicze. Oraz trzy (jakżeby inaczej?) składniki czynu: poznanie, przedmiot poznawany i poznający. Poznawanie to wiedza. Bez wiedzy nie wolno działać! Impuls, narzędzie, sprawca. Wiedza, czyn i działacz. Wiedza musi być syntezą. Na analizie nie może się kończyć. Błędne założenie, ułuda, interesowność to ciemnota. Rozpoznawanie też ma trzy postacie. Dokonywane bywa w harmonii, albo w gorączce albo w bezruchu. Mamy też trzy radości. Pierwsza – osiągalna jest dzięki jodze. Druga – dzięki zmysłom. Staje się piotunem. Trzecia jest skutkiem ospałości.

Na koniec, lecz nie swoich, a moich rozważań, Kryszna poucza o cechach potrzebnych poszczególnym czterem *warnom* nazywanym później kastami. Dostrzega też naturalne ułomności, którymi obarczone są wszelkie czyny. Wreszcie starannie i szczegółowo omawia Wyrzeczenie się jako proces redukcji do postaci umożliwiającej utożsamienie się z Tym, którego uosobieniem jest on sam. Mówi o tym podsumowanie całej *Gity* z najbardziej znaną frazą Pieśni:

66. *Obowiązków zaniechaj wszech i we Mnie wejdź Ardżuno; nie troszcz się, Ja z grzechów cie wyzwolę.*

Dynowskiej bardziej odpowiada interpretacja symboliczna niż mitologiczna. Mit jednak poprzedza interpretację. A co poprzedza mit?

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

(Fragment przygotowywanej do druku książki *Indie: Sztuka wiary. Uma Devi na kongresie dusz*.)

61 Thomas Patrick Hughes, *DICTIONARY OF ISLAM BEING A CYCLOPAEDIA OF THE DOCTRINES, RITES, CEREMONIES, AND CUSTOMS, TOGETHER WITH THE TECHNICAL AND THEOLOGICAL TERMS OF THE MUHAMMADAN RELIGION* (bmw) 1888, reprint Calcutta 1988, s. 243.

62 Dynowska 2, s. 165.

LUIS DE CAMÓES

SONETY

Czas kresem jest roku, miesiąca, godziny,
Potęgi, sztuki, poranka i twierdzy,
Czas kresem chwały, ogniem dla pieniędzy,
Czas też przeklina czasu narodziny.

Czas sam znajduje boleści krainy,
Lecz nie złagodzi mojego cierpienia
Póki Ty Pani nie dasz przyzwolenia,
Choć jest on kresem dla każdej dziedziny.

Czas jasne słońce zamienia w ciemności,
Najśłodsza radość przyczyną zamętu,
Burza z pogodą chodzą pogodzone.

Toć pewien jestem, że z czasem zagości
Przychylna łagodność w piersi z diamentu
I w tym jest radość i ból tej nadziei.

* * *

Litości godnym, płacząc gdym wesoły,
Lękam się nadziei, pragnę i nie stoję,
Wszystkiego co źródłem radości się boję,
Do wiary dopuszczam zwątpienia mozoły.

Bezskrzydły latam, ślepym a prowadzę,
A czego czekam najmniej otrzymuję,
Kiedy mowę tracę najlepiej pytluję,
Z braku przeciwnika ze sobą się wadzę.

Niemożliwe możliwym się zdaje,
A dar wolności nakłada kajdany,
Gdy miejsce zmieniam na starym zostaję.

Widzialnym chciałem być nie będąc widziany,
Być pochwycony ale nie schwytany:
I także żyję na dwóch rozdierany.

Występki, fortuna i miłość gorąca
Przez one wszakże moje zatracenie.
Los i przypadki jeszcze do strzymania,
Lecz coś gorszego jest od miłowania.

Wytrzymałem wszystko, lecz ból
Tak straszne czyni spustoszenie,
Że przyszłe troski uczą mnie solennie
Nigdy już szczęścia nie szukać daremnie.

Wszystko chybione i bieg życia cały:
Sam fortunie dałem dość powodów,
By z dawnych pragnień nie zostało wiele.

Miłości poznałem zdradliwe ułudy.
Jakaż jeszcze może być nadzieja,
Że coś nasyci mojego Anioła Mściciela.

* * *

Świtanie zarazem pogodne i smutne,
Tak przepełnione żalem, troską, bólem,
Chociaż świat cały znajduje samotnym
Chciałbym by chwały zawsze było godne.

Tylko ono mieniąc się łagodne
Opada, światu niezbędnej przydając jasności
I jakby nie bacząc wcale żegna się,
Z czym po wieki złęczone na zawsze.

Tylko ono widziało łez strugi,
Co z jednych to drugich opadając oczu,
Łącząc się wezbraną popłynęły rzeką.

Ono widziało słowo tak skruszonym,
Że lubo ogień w chłód mogło zamienić
I sprowadzić wytchnienie duszom potępionym.

Przekład: Adam Komorowski

Luis de Camões (1524 – 1580) – największy poeta portugalski, autor narodowego eposu *Luzjady* (*Os Lusíadas*), w którego cieniu długo pozostawała jego poezja liryczna, w tym sonety (około 200). *Luzjady* doczekały się dwóch przekładów na język polski: Zofii Trzeszczykowskiej (Adam M-ski, 1890) i Irenusza Kani (1995). Wybrane sonety przekładali Krzyszyna Rodowska i Józef Waczków. (AK)

EUGENIUSZ KABATC

MŁYN NAD NAREWKĄ

(wprowadzenie do polskości)

*Ktokolwiek wjedziesz w narewskie strony
Od Starych Gruszek czy Suszczy,
Posłuchaj, jak biją prawosławne dzwony
I pokłoń się, proszę, puszczy.
Tam ludzie z lasem za pan brat się mają,
Nie mierząc się z dębem, kto większy.
Przed obcym jednak pierś wypinają,
By dumnie rzec: jam tutejszy!
Po rusku ktoś powie, czyli po swojemu,
Że Polsce służył od wieków,
Lecz matka ojczyzna, nie służy każdemu,
Choć święta – nie jest bez grzechu...*

Za pierwszych Sowietów

I zaczęło się.

Pierwszego września pamiętnego roku 1939 wojska niemieckie wdarły się do Polski, a samoloty Luftwaffe niemal bezkarnie pojawiły się nad terenem całego obszaru państwowego. Także nad Wołkowyskiem śledziliśmy z bratem wysoki łot niemieckiego dwukadłubowca, dopóki mama nie zapędziła nas do domu. Zwiadowcy, orzekli dorośli, bo bomb nie rzucił. Natomiast na stacji Narewka rzucił, nie czyniąc jednak większych szkód: ta jedna bomba, co spadła między przejazdem kolejowym a domem dziadka, pozostawiła po sobie ogromny lej, o którym długo mówiło się z podziwem: „O, to była tonówka!” Zapamiętałem tę głęboką wyrwę w ziemi jako pierwszy symbol wojny, kiedy po kilku miesiącach pojechaliśmy z mamą do dziadków po jakieś zasoby na święta. Fronty do nas nie dotarły, ale dotarła władza radziecka, a wraz z nią gwałtowne załamanie wszelkiego społecznego zaopatrzenia. W miastach nieustanne kolejki przed sklepami walczyły o chleb i wódkę. Wieś jednak produkowała po swojemu, a tak duże gospodarstwo jak dziadka, tym bardziej. Dopóki decyzją nowych władz dziadek nie znalazł się w klasowej kategorii „kułaka”.

Ale tymczasem z wojny wrócił wujek Aleksy – zmobilizowany do wojska w końcu sierpnia – przywożąc na pamiątkę ranę po walkach w obronie Warszawy, a zwolniony z lazaretu jenieckiego jako Białorusin. I tak już pozostało: obaj najmłodsi wujkowie coraz bardziej

angażowali się po swojej narodowej stronie, nie dając się jednak wciągnąć w polityczną białoruskość radziecką. Powrócili do szkolnictwa, gotując sobie również na przyszłość nauczycielski status wobec niepewnej swojej narodowości młodzieży. Wujek Aleksy rozwijał przy tym i swoją wiedzę. Jego żona Wołga w książce wspomnieniowej *My stwarali swaju Biełaruś* później odnotuje: „W 1940-41 hadach Aleś nastauniczau adnaczaśowa studyjaczcy litaraturu u Nastaunickim Instytucie u Biełastoku. Literatura i historia dźwie wialikija lubwi jahonaha życcia”.

Gdy uczył w Narewce moje kuzynki, wprowadzając je w nowe, językowo-literackie przestrzenie białoruskości, ja w swoim Wołkowysku też przechodziłem intensywny kurs depolonizacji: jeszcze pół roku naszej polskiej kolejowej szkoły powszechnej, a potem szkoła rosyjska w Mieście i nowy rok w nowej szkole białoruskiej w połowie drogi. Zastępy zuchów zamienili się w organizację pionierów i szkolenie ideowo-fizyczne na odznaczenie „Budź gatow!” – „Wsiегда gatow! K trudu i oboronie”. I jeszcze tego pierwszego lata obóz pionierski w Jeziorach pod Grodnem. Indoktrynacja, słowem, była silna i na swój sposób atrakcyjna, bojowe piosenki, ale też w perspektywie wyjazd do Moskwy na spotkanie z towarzyszem Stalinem, przyjacielem dzieci...

Wkrótce jednak zaczęły się pojawiać pierwsze symptomy wątpliwości. Najpierw jakby cienie na tym słońcu – co słonecznym roku. Niezrozumiała początkowo ucieczka wujostwa Martyniaków do Generalnej Guberni, a więc

pod okupację niemiecką, wszak groźniejszą niż ten nowy świat radziecki, choć dla wielu też nie do wytrzymania. Wujostwo, mając już „w dorobku” naszych kuzynków Łusię i Lubka, tuż przed wojną zbudowali na naszej ulicy sympatyczny dom, jakby w potrzebie zbliżenia się do gniazda rodzinnego, z czego nie zdążyli już skorzystać. Wujek Władek, jak wspominałem, był policjantem i dla władz radzieckich stanowił element niegodny zaufania [niebłagonadziożny], podlegający natychmiastowej deportacji. Akcja wywózkowa dotknęła później wielu miejscowych kolejarzy, czego nie rozumiałem...

I materialnie żyło się nam coraz trudniej. Bardzo mroźna zima, jaką Rosjanie przynieśli nam ze wschodu [tak się mówiło], nie ułatwiła bytu i choć ojciec nadal pracował na kolei, a mama dwoiła się i troiła, żeby wykarmić dwóch dorastających basatyków, niedostatek coraz wyraźniej zaglądał nam w oczy. Wreszcie i mama poszła do pracy na kolei, zatrudniając się jako kasjerka na dworcu, po którym przewalały się, koczując gdzie się dało, tłumy „mieszcoczników”, ubogich Białorusinów i Rosjan, przybywających z głębi państwa z charakterystycznymi woreczkami na plecach w poszukiwaniu atrakcyjniejszych, pozostałych po „pańskiej” Polsce towarów.

Na następny obóz pionierski już nie pojechałem. Narastało napięcie w stosunkach państwowych z Niemcami i mama wywiozła mnie na bezpieczniejsze wakacje do Narewki, do dziadków.

Na pierwszy rzut oka, zwłaszcza tak młodocianie rzeczy upraszczającego, wszystko tu było po staremu. W domu dziadka panował pozorny spokój, zrobiło się jakby trochę luźniej, odkąd wujek Antoni z rodziną wybył gdzieś na leśniczówkę; u Hawieńczyków przy młynie dziewczynki chodziły do szkół, choć teraz i one korzystały z wakacji, nawet młyn pracował jak gdyby nigdy nic... Ale tu właśnie na tej sielsko-anielskiej drodze najpierw się potknąłem. Wujek Filip zagadnięty o tę sytuację, tak ją zwięźle określił: „Fiedot, da nie tot.” Słowem młyn nadal robił swoje, przetwarzał zboże na mąki i kasze, ale już jako obiekt znacjonalizowany. Dla wujka Filipa znalazło się tam miejsce jako fachowca, ale wujek Antoni musiał szukać innego zajęcia. Kiedy odwiedziliśmy go któregoś dnia z ciotką Tanią, skromnym zaprzęgiem i polnymi drogami udając się za Gruszką i rzekę, wydawał się nawet zadowolony z tego „zestania” do puszczy. Mnie też ta leśniczówka w Białej Górze bardzo się spodobała, choć rodzinie wujka mniej, co zrozumiałem, gdy nocą obudziły mnie lęki przed grozą osamotnienia w tym wielkim lesie...

Dziadkowi też groziło zestanie, ale prawdziwe, na Sybir. Nie dawał się jednak zastraszyć, gdy przychodził do nas przewodniczący miejscowego sielsowietu, a otrzymawszy swoją szklaną samogonę, zapalając śmierzdzącego skręta i przyklejając go do dolnej wargi, wieszczył dziadkowi: „Ty, Jula, kułak i za Polszczy ludziej sudził...W Sibir pajedziesz...”. Dziadek przed wojną rzeczywiście był przez kilka lat sędzią ludowym w Narewce, ale jego chłopskie bogactwo dawno stęchło, toteż głośno wierzył w konstytucję radziecką, a niezbyt rolgarniętemu przedsiębiorcy na wszelki wypadek odpowiadał: „Czahoż bajacca? Sibir wiedź tożę ruskaja ziemia!”

Ale z konstytucją był jednak na bakier. Kiedyś, gdy siedziałem z nim na trawie w ogrodzie za domem, czytał mi jej wielce „budujące” postanowienia i kłął co chwila

piętrowo, aż uszy mi wędły. „Kab was małanka raznie-sła! Kab wam hetaki sabacznyj woj u nocy spać nie da-wał!”

U dziadka Konstantego na Biehlukach nie było takich problemów. Za to dostać się tam było trudniej, bo kolejowy most nad rzeką został zamknięty dla pieszych i za każdym razem trzeba było szukać brodu. U stryja Iwana coraz ciekawiej dawał znać o sobie kilkuletni Witek, z którym próbowałem się zaprzyjaźnić, ale on z oczywistych względów nie nadawał się jeszcze do określania głębokości rzecznych przejęć. A most trzeba było obchodzić z daleka, pojawiła się przed nim ochronna tablica z napisem „Zaprietnaja zona”, wyobcowując go z oswojonego terenu rzeki, łąk, lasu, a nawet kolei. Stawał się tematem moich myśli także wtedy, gdy – z braku książek do czytania – postanowiłem napisać swoją pierwszą własną, by potem móc ją czytać do woli. Niestety, wkrótce, po kilku stroniczkach zeszytu, rozsnuły się bezpowrotnie wśród nowych, groźniejszych wydarzeń.

Można by rzec, światowych wydarzeń, bo właśnie wtedy, i nie tylko tu, wojna wybuchła na całego.

Mama w drugiej połowie czerwca tamtego 1941 roku miała urlop i była z nami w Narewce. Ale jak tylko Niemcy ze swoim niszczycielskim żelastwem wtargnęły w granice Związku Radzieckiego, mama pośpiesznie nas pożegnała i popędziła na stację, by złapać jakiś pociąg do Wołkowyska. Odezwowało się w niej niewczesne poczucie odpowiedzialności, które w sytuacji zagrożenia każe człowiekowi natychmiast powrócić na swój służbowy posterunek... Rozkład jazdy od razu przestał być aktualny, a linie kolejowe zapełniły się transportami uciekinierów cywilnych i wojskowych. Gdy na stacji zatrzymał się pierwszy pociąg na wschód z ładunkiem ewakuowanych czołgów na otwartych lorach, mama wyprosiła obsługę, by pozwolono jej zabrać się z wojskiem. Ale ledwie ruszyli i przekroczyli most nad Narwią pod Siemianówką, jak eskadra niemieckich myśliwców zapolowała na nich z niskiego pułapu, rozstrzelując nie tylko hamujący ostro pociąg, ale i ludzi wysypujących się z wagonów i kryjących się wśród zagonów i krzewów. Nie wszyscy się uratowali, martwi pozostali na ziemi, żywi, w tym ranni, powrócili do pociągu, który nie został poważnie uszkodzony i po kilku godzinach jakoś dotoczył się do Wołkowyska. I utknął tam na zawsze, bo dworca już nie było i cały węzeł płonął w olejowym smogu. Mama cała i zdrowa, ale przerażona ponad wszelką miarę, szczęśliwie powróciła do domu i w jakiś nadzwyczajny sposób dała nam znać, że żyje i wszystko z nią jest w porządku. Dzielną mamą, ani chybi.

Jeszcze przez kilka dni Niemcy bezkarnie bombardowali linie kolejowe i miasta, Sowietci wycofywali się bezładnie, bateria dział przeciwlotniczych za naszym kolejowym osiedlem umilkła szybko i opuszczona w popłochu straszyla tylko reliktem kłęski. W Narewce wojsko zapełniło wszystkie drogi wokół puszczy i aż żal było patrzeć, jak szamocze się przed okrażeniem. Tabory i piechota przewalały się to w jedną, to w drugą stronę, bezhołowie trwało, dowództwo najwyraźniej zawodziło w tej „niepobiedimój” armii, o której w szkołach śpiewaliśmy bojowe piosenki: „Jeśli zawtra wojna, jeśli zawtra w pochod, my siegodnia k pochodu gotowy!” Zbita z pan-tatyku, jak teraz wokół się mówiło, w strasznym zmęczeniu i w tradycyjnym ubóstwie żołnierze całymi gromadami porzucali broń i czekali tylko na okazję, żeby „sdacca

w plen". Pewnej nocy na wzgórku od strony rzeki jakiś biwakujący oddział zastrzelił swojego oficera; robiło się groźnie i dla nas. Tedy dziadek z wujkami, wyprowadzając bydło i konia skryli się w puszczy, a ciocia Tania na następną noc powiodła kobiety i dzieci do dziadkowego lasu w Łozowym. Zapamiętałem dobrze tamten nocleg pod gwiazdami na wilgotnej, zrytej przez dziki polanie, wśród wielkiej ciszy leśnej, naruszanej jedynie bzykiem atakujących wściekle komarów. A nadstawialiśmy uszu w stronę opuszczonego domu, spodziewając się lada chwila jakiejś dzikiej strzelaniny i trzasku płonących zabudowań w bitwie uchodzących i nadchodzących hord...

Gdy po źle przespanej nocy w lesie, okropnie pocięci przez komary powróciliśmy rano na tę ruchliwa zwykle drogę Narewka-Lewkowo, zaskoczyła nas kompletna cisza i pustka. Czerwona Armia odpłynęła w stronę Wołkowyska, a jej rozbitkowie schronili się za stodołą dziadka, prosząc go, by powiadomił Niemców, gdy nadejdą, że są bez broni i poddają się bez walki. I tak się stało: wkrótce pojawili się niemieccy motocykliści i zaglądali do zagród z żądaniem mleka i jajek; niechętnie ruszyli za stodołę z bronią gotową do strzału...

Tak się skończyły dwa lata pierwszych Sowietów i zaczęły się trzy lata niemieckiej okupacji.

Pod niemiecką okupacją

Czasy to zaiste trudne, okrutne, ale okraszone u nas pewnym paradoksem. Porządek niemieckiego państwa sięgnął tu nieoczekiwanie przez zaliczenie naszych czarnoruskich ziem do Prus Wschodnich, a zatem z równie brutalną, acz bardziej stabilną [początkowo] administracją. Niestety, niemiecka „kwestia żydowska” od razu została rozwiązana z hitlerowską premedytacją: krótkotrwałym tworzeniem gett, a potem ich zbrodniczą likwidacją. Zaraz za Narewką powstał ogromny kirkut w lesie, bo rozstrzeliwano tam masowo. Niewiele Żydów uszło do puszczy, jesienne warunki nie były temu sprzyjające, ani też okoliczności organizującego się dopiero ruchu partyzanckiego.

Partyzanci i skutki ich działania to osobna z perspektywy losów większych kwestia społeczno-bytowa. Trudna, bo sprzeczna w sobie, gdy się uwzględni bezbronną sytuację ubogiej ludności pomiędzy siłami w śmiertelnym zwarcu. Kontrybucja na rzecz ruchu oporu nawet dla ledwie zipiących gospodarstw byłaby do przetrwania, gdyby nie ta druga, okupacyjna, nieustannie grożąca pacyfikacją. Moi młodzi wujkowie, Aleksy i Mikołaj, którym poświęcam teraz najważniejsze fragmenty tych wspomnieniowych rozważań, znajdowali jednak w tej w tej ciemnej, okupacyjnej nocy jakby przebłytni jutrzni, właśnie dnia nowego bez wojny, z narodową, białoruską wolnością, jak miało to już być po pierwszej wojnie narodów. Ułuda duchowej wizji wspierała się nie tylko na niemieckim szalbierstwie, ale i na sprawdzaniu czynu, w którym młodzi patrioci wymarzonej ojczyzny mieli się uzupełniać. Byli bliscy sobie, jeszcze w kawalerskim stanie, więc z ładu kawalerską szarżą rzucający się w przyszłość. Teraźniejszość dramatycznie rozdzieliła ich losy, bo gdy Aleksy oddał się misji narodowego nauczania białoruskiej młodzieży, Mikołaj z buńczuczną zapalczywością skoczył w odmęty ruchów militarnych. I zginął w nich wkrótce, gdy chciał już zrzucić z siebie ów mundur Samaachowy, który zaczął mu ciążyć tym niedoszłym świtem coraz ciemniejszej nocy. I przepadł nasz

wiejski Kola bez śladu w tym „wielkim mieście Białystok”, spiskującym na wszystkie sposoby i nacje, jak wszędzie i zawsze na pograniczu. Gdyby ktoś chciał zrozumieć więcej z tej zdradzieckiej iluzji politycznego szachrajstwa kolejnych panów naszej wschodniej krainy, odsyłam ich do głęboko poruszającego i udokumentowanego dzieła Jerzego Turonka *Białoruś pod okupacją niemiecką*.

W ów czas moja sztubacka polskość obijała się między opłotkami tej nowej rzeczywistości doprawdy jak pijane dziecko we mgle. Myśli próbowały coś tam kój, zdewastowany białoruski ogród straszyl minami, obrazy długo nie zgadzały się ze sobą, ich mozaika nie była mi zrozumiała:

– wizyta niemieckiego żandarma u wujka Filipa, znowu dysponującego swoim młynem, kończyła się przy stole z wódką i dyskusją o językach niemieckim, angielskim i amerykańskim, których podobieństwo rozmówcy życzliwie sobie przyznawali...

– przewożenie do szpitala sąsiada, który chętnie się doświadczeniem artylerzysty z pierwszej wojny usiłował wystrzelić z działą pozostawionego przez żołnierzy z drugiej wojny, co mu się udało, ale kosztem utraty wszystkich zębów, wybitych cofającą się lufą, i komentarzem złośliwych widzów: „Niczoha, niczoha, toukanicu budzie jeści”...

– pędzenie przez dziadka samogonu w lesie z nieodzownym „maciugom”, kiedy pierszak nie chciał być mocny, bo pobenzynowy bak z brahą okazał się nieszczelny i trzeba go było klajstrować czarnym chlebem w ślinie...

– także klajstrowanie przez wujka Aloszę białoruskiego szkolnictwa, a przez wujka Antona tartaku za domem dziadka, podczas gdy Niemcy puszczają z dymem puszczarskie wsie, w tym rodzinne Biehluki Kabaców...

To było doprawdy okrutne widowisko w swoim trwożnym wyrazie i treści. Byłem wtedy u dziadka Konstantego i wraz ze stryjkami Iwanem i Piecią ładowaliśmy na podwodę wszystko, co kobiety do uratowania przed zapowiedzianą pożogą przygotowały. Niewiele mogłem pomóc, jeszcze mniej Witek, ale gorączka pośpiechu udzieliła się nawet bydłu, które brodem przez rzekę przebrnęło szparko, pozostawiając przy wozie jedynie świniaka, który za Boga nie chciał wejść do wody. Nurt był słaby i woda płytka, więc ciągnąc go za uszy i ogon udało się to protestujące, rozwrzeszczane zwierzę przeciągnąć na drugą stronę. Ale bez ulgi obejrzałem się za siebie, by po raz ostatni spojrzeć z oddali na tamten gościnny, przytulny dom, posmutniały nagle, skazany na unicestwienie i na jego wypracowane w wieloletnim trudzie otoczenie: sady, stodoły, obory.

Wieczorem zapłonęło niebo, a pod nim wsie w środku puszczy – Budy, Teremiski, Pogorzelce, dom rodzinny stryjki Marii pod Białowieżą, teraz zupełnie bezdomnej, bo zagrożenie zbliżało się do Narewki i choć samo miasteczko zostało oszczędzone, wszelkie osadnictwo wokół skazano na pastwę ognia. Aż po naszą wieś Plan-ta przy stacji... Ale nie sięgając po naszą osadę za koleją – o czym przekonał Niemca z ekipy egzekucyjnej wujek Alosza, kiedy ów pojawił się w domu dziadka z niszczycielskim planem w rękę. Wieś Plan-ta kończy się na granicy linii kolejowej, wyjaśnił mu wujek po niemiecku, wspierając swoją argumentację gąsiorkiem samogonu, zatem osada Plan-ta, już za przejazdem, jak widać na

planie, tą wskazaną i skazaną wsią nie jest. Udało się: obiekty leżące za koleją zostały uratowane.

Akcję palenia wsi puszczańskich przedsięwzięto w celu ograniczenia dostępu do baz zaopatrzeniowych dla leśnych oddziałów partyzanckich, które zaczęły się mnożyć zwłaszcza wzdłuż tej linii komunikacji kolejowej, ważnym dalekobieżnym szlaku transportowym. Narastające sprzeczności lokalne zapadały mi boleśnie w pamięć, by potem ujrzeć światło dzienne w moim debiucie literackim, w opowieści *Białoruski tryptyk* z tomu *Pijany anioł*. Notowałem: „Puszcza nie chciała się ukorzyć i służyć butnym przybyszom. Tym, którzy wtargnęli zbrojnie w jej chaszcze, rzadko udawało się wyjść cało – albo śmiertelnie porażeni zostawali tam na zawsze, albo wracali pokąsani i wystraszeni bez dalszej ochoty do tej osobliwej zabawy w chowanego. Ale nie trzeba wchodzić w paszczę lwa, żeby odczuć jego drapieżność. Puszcza wysunęła gniewne pazury i oto głucho detonacje jęły wstrząsać nocą, a rano po wsiach chodziła już wieść, że partyzanci znowu spuścili z nasypu transport dalekonośnych dział w drodze na wschód”. A potem ta parafraza z wesela ciotki Tani, mojej chrzestnej, która wychodzi za mąż za Karola Dziedzika ze spalonych Bud i Teremisek. „W zadymionej izbie, nie dość rozjaśnionej przez dwie naftowe lampy, przy stole pozalewanym wódką i sosem, kołyszą się trochę nierzeczywiste figury. Dziadek, wybijając pięścią rytm swojej buntowniczej decyzji, ogłasza weselnikom i światu, że dzisiaj w swoim domu zakłada sztab partyzancki i w związku z tym rekwiruje w całej wsi kawaleryjskie konie. Mikołaj reaguje hafaśliwym śmiechem: – Ha, ha, przecież Niemcy was, tatku, jednym czołgiem jak pluskwę... – Bdziesz! – woła dziadek i szerokim zamachem ręki zrzuca ze stołu opróżnioną butelkę. – Wybili twemu Hitlerkowi zęby pod Stalingradem i cały łeb mu niedługo ukręca! – Tatko! – ostrzega ostrożnie gospodyni. – Ciszej, jeszcze kto usłyszy... Ale to Mikołaja teraz ponosi. – Pabaczmy! Pabaczmy jaszczkę, chto kamu łob skinie! – Wyciąga zza pazuchy pistolet i pali w sufit, aż tynk się sypie. – Żywie Biełaruś! – krzyczy. – Słyszycie? Żywie Biełaruś! – Żywie, żywie – odpowiadają uspokajająco zza stołu.

Ktoś nieposłusznie dorzuca: – Sawieckaja Biełaruś! – Heta nikamu nie snicca! – Dziadek wali pięścią w stół. – To jakaja? – woła zaczepnie Mikołaj. – Polskaja? – Naszaja, Kola, naszaja – wtrąca się wreszcie Aleksy. – My stwarym swaju Biełaruś!

I wtedy z daleka, gdzieś od kolei, przetaczają się echa krótkich wybuchów, a potem cała seria z maszynowej broni. – Taa... – przeciąga ktoś za stołem. – Białoruś żyje... Strzały gęstnieją. Mikołaj jakby przytomnieje, przeciąga dłonią po twarzy i ciężko przysiadła na swoim taborecie. – Bandyty – mówi niepewnie. – Partyzanci – przytakuje głos zza stołu.

Na własnej skórze odczułem to zagęszczanie się wojny, gdy któregoś dnia wracałem do domu w Wołkowysku lokalnym pociągiem. Najpierw robiły trwożne wrażenie leżące pod nasypem szkielety spalonych wagonów, sterczące kołami do góry czarne cielska parowozów, zdruzgotane samochody i działa. Potem przypominałem sobie, że tu gdzieś został ostrzelany przez niemieckie myśliwce ewakuacyjny pociąg mojej mamy... I w chwilę później moją rozmowę na ten temat z chłopakami jadącymi do szkoły w Świsłoczy przerwał huk wybuchającej pod nami miny. Gwałtowne skoki roz-

kołysanego do wywrotki wagonu i ostre hamownie pociągu nie skończyło się katastrofą, acz ciężko rannego pomocnika maszynisty wyrzuciło na przytorze. Wkrótce zorientowaliśmy się, że wybuch miny nastąpił pod parowozem, ale był zbyt słaby, by rozerwać szynę na szerokość koła: tych kilka lekkich wagonów fortunnie przeskoczyło wyrwę, nielicznym pasażerom napędzając jedynie niemałego stracha. Ale w tym miejscu miało być zupełnie bezpiecznie, wszak za nami nie skrył się jeszcze w oddali bunkier ochronny przy moście nad Narwią, a już znad horyzontu pojawiał się następny. Niemcy stamtąd przybyli śpiesznie z psami, ale daleko w las nie poszli, psy zresztą straciły trop już na mokradłach przedpola. Nasze złośliwe, dyskretne komentarze przerwał nadjeżdżający z Wołkowyska długi pociąg sanitarny. Wypełniony rannymi z frontu zatrzymał się na sąsiednim torze, by zabrać naszego rannego. Nasz kolejny cichy komentarz teraz brzmiał tak: gdyby nie błąd partyzanckich minerów, którzy podłożyli ładunek nie pod ten tor, ciężkie wagony sanitarnego transportu nie przeskoczyłyby przez wyrwę, a ranni na wschodnim froncie niechybnie dokonaliby żywota w masakrze pod Narewką...

Nawet moja z pozoru niewinna rozmowa z białoruskimi rówieśnikami z Planty, wśród których wyróżniał się Władek Boreczko [wkrótce po wojnie sam został maszynistą kolejowym], także ujawniła sprzeczności wojennych treści, silnych duchowo na tyle, by moja niedojrzała polskość łatwo mogła zgubić w ich pętlach swoje patriotyczne wątki z pieczęcią nowej obcości. Do dziś trudne to jest do zdefiniowania, ale gdy w Wołkowysku akceptowano moją obecność z katolickimi kolegami w kościele, to tylko na krótko byłem dopuszczony do uczestnictwa w tajnym nauczaniu; gdy nielegalnie zabiliśmy u nas wieprzka, ktoś z sąsiadów doniósł Niemcom i przykrości w domu były ogromne. A gdy po powrocie Sowieców z łaski dostawałem się do wojskowego klubu [„dziadzia, woźmicie mienia w kino”], by móc zobaczyć i przeżyć białoruski film *Kastuś Kalinouski*, przez moich polskich kolegów byłem traktowany jako odstępcę, wszak Konstanty Kalinowski miał być polskim bohaterem, nie białorusko-mużyckim! Ale podczas okupacji solidarnie pracowaliśmy w niemieckich obozach przeładunkowych, łamiąc wszelkie przepisy porządkowe, a za drugich Sowieców razem budowaliśmy nową polską szkołę, kryjąc utajnionych akowców. To owa solidarność skierowała mego brata Jurka do polskiego wojska, choć miał ledwie siedemnaście lat, a mnie i moich rodziców na drogę repatriacji do Polski.

I znów już nic było jak przedtem. Wszystko było przepełnione ludzką niepewnością. Nawet nasz towarowy wagon długiego pociągu repatriacyjnego, który zamienił się na cały piękny maj w dziwny, wspólny dom ludzi i dobytku. Aż zatrzymaliśmy się w Narewce i łaskawa w pokoju polskość nieoczekiwanie zgorzkniała...

Zdradzeni przed świtem

*i nie przebaczą zaiste nie w twojej mocy
przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świecie
strzeż się jednak dumy niepotrzebnej
oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz.*
Zbigniew Herbert, *Przesłanie Pana Cogito*

I zbiegli się wszyscy bliscy z Planty do pociągu naszego na stacji Narewka, na małym dworcu jak Mała

Narewka, którego już jednak nie było, jak nie było już wszystkich z tych narewzkowskich stron, bo ocalonych została tylko garstka, tym mocniej garnęli nas do serca. Wjeżdżaliśmy w ten nowy polski świat, tam dalej już nieznany, kierując się ku Ziemiom Odzyskanym, więc uzupełniali nam zapasy prowiantowe wędzonkami z wiejskich komór, ciesząc się, że będziemy znowu w tym samym kraju, martwiąc się, że jednak nie tak blisko siebie.

A tu, w zwykle gwałtownym domu dziadka zrobiło się pustawo. Ciocia Tania z mężem Kieroszą przeniosła się do swojego nowego domu po drugiej stronie drogi, wujek Antoni wyjechał z rodziną na ziemie zachodnie, wcześniej wujek Kola zginął w Białymstoku z rąk niemieckich, a wujek Alosza pożegnał się z ojcem na zawsze [„A szto ja zrabliu, synok, z twojej czastki ziemli?” „A rabiecie, szto хочzacie!”] i uszedł przed frontem, przed Ruskiemi, w głąb Europy... Tylko młyn wujka Filipa wciąż pykał swoją „fajkę” nad dachem motorowni...

A po domu Kabaców na Bieglukach czerniały tylko zgłiszczka: jednego Piotra, który za Niemców był wójtem w Narewce, ruscy deportowali do Omska, drugiego Piotra, który także po wojnie sekretarzował w gminie, zastrzelili Polacy... Cichym szeptem dzieliły te wieści ciocie z mamą, a słowo *b a n d y* pojawiało się w ich ustach jak w kokonie lęku.

Jak to Polacy? – wzdygnąłem na myśl o tym, że mój brat Jurek, polski żołnierz frontowy przecież, walczył teraz z bandami właśnie na południu kraju. Tam panoszą się upowcy, a tu kto? Akowcy? Miałem już szesnaście lat, wjeżdżaliśmy tym długim, towarowym pociągiem repatriacyjnym do polskiej ojczyzny, pociąg, choć stary i przepełniony ludźmi i zwierzętami, tocząc się po nowych szynach PKP, ułożonych niedawno ciężką pracą robotników na torowiskach niszczonej systematycznie przez cofających się Niemców, wioził nas do kraju już wolnego od wojny. Wkrótce, jak tylko minimy puszcę, w sklepiku przy stacji w Hajnówce, usłyszę po raz pierwszy skierowany do mnie zwrot „proszę pana”. W tym dorostaniu pojawiały się inne miary wydarzeń i jakby próba już rozumienia ich i ocena. Ba, nawet osądzania: to w tym wieku młody człowiek odnajduje w sobie ową pewność siebie, wspartą ideałem nabytym z lektur, komunikującym się teraz ze światem dorosłych negatywnie, czasem wręcz buntowniczo. Wszak to świat niesprawiedliwy, zarządzany głupio i okrutnie, ze skutkiem wojny i tych zniszczeń wokół... Kiedy mijaliśmy ten nasz most nad Narewką, a jeszcze nim pociąg z łoskotem zanurzył się w puszcę, przez szeroko rozsunięte ku wiośni drzwi wagonu, mogłem jeszcze spojrzeć ku spalonej wsi Kabaców; w stronę tego domu z pamięci, w którym już nigdy nie spotkam się ze swoimi w rodzinnym komplecie – i coraz wyraźniej traciłem tę cenną pewność siebie, która szczęśliwie pozwoliła mi przetrwać moje zielone, choć krwią znaczone lata. Nagle puszcza przestała być zrozumiała, także na drugim jej krańcu, w Hajnówce, choć ludzie mówili po polsku, strasznie się bali Polaków, tych leśnych, wciąż palących wsie, których nie zdążyli spalić Niemcy.

I oto powracam tu po roku, wjeżdżam do puszczy od zachodu, po wyborach i referendum, wioząc w sobie nową polskość, kształtowaną teraz w tej szczególnie patriotycznej szkole, jaką było liceum w Kwidzynie nad Wisłą. Powstało ono na kilka lat przed wojną jako

zdobycz mniejszości polskiej w Prusach Wschodnich, płacąc potem krwawym haraczem życia. Szlachetna to była polskość, nie mściwa... Tu, gdy pociąg z Warszawy wtaczał się na Podlasie, wagony w środku milkły, białoruskie uczucia, język tały w sobie i aż do końca, do granicy tutejsi wśród pasażerów lekko spoglądali za okna, niepewni czy pociąg nie zatrzyma się gdzieś w polu lub w lesie, a napastnicy nie zaczną wyławiać czerwonych i ruskich. „Bywa, bywa – poburkiwano półgębkiem. – Bandy z bronią chodzą, strzelają nie na wiwat. »Jak toj raz u Naroucy, pamiatajesz?«”

Odpowiada stryjenka Maria już w Narewce: „Pamiętaj”. Prowadzi mnie do mogiłki stryjka Pieti na prawosławnym cmentarzu za cerkwią. Mówi, powtarza, jakby moje wyrzuty sumienia i jej się udzieliły. Chce zagadać tę chwilę, tę swoją postawę niezbyt stanowczą, gdy szwagier zaczął zbierać się do wyjścia z domu, choć dnia było jeszcze tak mało. „Nie chadzi tam, Pietia, siedzi siodnia u chaci, prasiła, ale jon, dumny, służba, każa, biez mianie gminu razniesut! Mieszkał z nami, słuchał mnie czasem, czemuż ja jego wtedy nie zatrzymała?” „Przysliby po niego i nas by postrzelali”. Strzyjek Iwan macha z rezygnacją ręką i rozgląda się bezradnie po cmentarzu. „Za rzadko tu bywamy”, stwierdza ze smutkiem, bo nie od razu odnajduje grób brata.

Mieszkają teraz znowu na Bieglukach, powrócili wiernie na swoją ziemię w zgłiszczach, dziadek Konstanty wprzągnął do nowej roboty także swego najmłodszego, Pietię, który miał zatroszczyć się o przydział budulca z puszczy. Gdy się przenieśli, na cmentarz zrobił się niemały spacer. Ale zaniedbana pamięć ożywa i dokucza również po wojnie. Porządkujemy grób pełni gorzkich myśli wplątanych w obrazy ze wspomnień cioci Marii. Jesteśmy najbliższymi Piotra: strzyjek Jan to brat, stryjenka Maria – bratowa, ja – bratanek [od brata Aleksandra]. On, najmłodszy z rodzeństwa, kształcony na nauczyciela, usadowił się w końcu w gminie, przetrwał Polskę przedwojenną, sowieńców, Niemców, znowu sowieńców i nie zdążywszy założyć własnej rodziny padł z rąk maruderów z AK. Nie, nieprzypadkowo: to był z zimną krwią zaplanowany mord. Oszukany przez polskich terrorystów z lasu, którzy, przebrani w mundury czerwonej władzy zeszli z Świnorajów do kościoła, by stamtąd o świcie, konwojując rzekomych bandytów, wtargnąć na posterunek milicji i do urzędu gminy, a potem krwawo rozprawić się z przedstawicielami miejscowej administracji. Jeszcze raz tutejsi zapłacili za odwagę gospodarowania na swoim...

Trzeba było całej epoki w nieustannym wahadle wysokich i niskich czynów, by na kanwie splecionych i splątanych strzępów opowieści, sprzecznych opinii i komentarzy stworzyć własny obraz tamtego feralnego dnia i rozumieć sens dokonanych mordów. Szkopuł w tym, że tego nie da się zrozumieć, ta część polskiej historii była bez sensu. A Białorusini zawsze i przez wszystkich byli zdradzani jeszcze przed świtem...

Wojna miała się ku końcowi, daleko na zachodzie Niemcy gotowali się do kapitulacji, tu, wokół wiosennej puszczy, ludzie gotowali się do spokojnego życia i budowali nowe domy. Nad ranem 17 kwietnia 1945 roku, w najczarniejszej części nocy, karniacy z oddziału majora Łupaszki, wbrew rozkazom dowództwa AK przebijający się tędy z Wileńszczyzny, przebrali się w leśniczówce na skraj miasteczka za enkawudzystów i berlingowców,

by od kościoła, z pomocą miejscowych konfidentów, skierować się w stronę posterunku milicji.

O dalszym ciągu wydarzeń opowiada mi mój stryjeczny brat Wiktor, z którego pamięci – niechętniej powrotom – wydobyłem, co następuje:

„Przed oddziałem prowadzono trzech »bandytów« ze związanymi rękami. Do drzwi posterunku podeszło kilku akowców w mundurach ludowego wojska. Zażądano otwarcia posterunku i osadzenia w areszcie zatrzymanych »bandytów AK«. Milicjanci dali się nabrać. Rozbrojono ich, zamknęto...Niewielka grupa, już bez przebrania, wtargnęła do urzędu gminnego i do szkoły. Z gminy wyprowadzono Piotra Kabacę i Leszczyńskiego. Kierownika szkoły Wołkowickiego zabrano z lekcji. [...] W czasie wtargnięcia akowców do szkoły lekcje prowadziła nasza wychowawczyni pani Jadwiga Stulgich. Przez okno zobaczyła, że wyprowadzają Wołkowickiego – otworzyła drzwi i kazała nam uciekać. Nasza gromadka z Zabłotczyzny i Minkówki dobiegła do rzeki i jej brzegiem uciekaliśmy do mostu, przy którym był wodny młyn. Zatrzymaliśmy się, bo po drodze zgubiliśmy Gałę Biegluk i Zdanowską z Zabłotczyzny. Wtedy usłyszeliśmy serię wystrzałów z broni maszynowej i kilkanaście pojedynczych. Skazanym strzelano najpierw w nogi, a potem dobijano ich z pistoletu. Tak rozstrzelano wszystkich, także milicjantów... Kiedy dotarliśmy do mostu, oddział pośpiesznie wracał już do Świnoraj. Ale dostrzegł nas, pamiętam, taki jeden bardzo wysoki z automatem na ramieniu, podbiegł do nas, zabrał nam woreczki [tornistrów jeszcze nie mieliśmy] i wrzucił do rzeki ku ucieście kompanów. [Nie wiem dlaczego, ale nie poczuliśmy wtedy strachu i pewnie dlatego tak dobrze to zajęcie pamiętam.] W woreczkach mieliśmy po czarnej tabliczce, rysiku do pisania, po kawałku szarego papieru i chemicznym ołówku. Był tylko jeden zeszyt, w kratkę, do rachunków...

Po egzekucji na drewnianym słupie elektrycznym wywieszono wyrok: »Za zdradę Ojczyzny sąd polowy skazał na śmierć działaczy PPR i komunistów – wyrok wykonano«. Podpisał: »kpt. Burza«.

Relacja Jerzego Szymaniuka w książce *Piękno Ziemi Narewowskiej* niewiele się różni: „Por. Nowina w przebraniu sowieckiego kapitana prowadził grupę żołnierzy w berlingowskich mundurach, konwojujących sześć osób ucharakteryzowanych na ujętych członków organizacji AK i dezertów z LWP. Grupa »Nowiny« nie wzbudziła podejrzeń. [...] Została wpuszczona na posterunek MO, ponieważ wzięto ją za pododdział KBW. Milicjantów rozbrojono bez walki. Szeregowych puszczono wolno. W tym czasie przybyła pozostała część oddziału z mjr. Łupaszka. Przeprowadzono rewizję żywności w miejscowej spółdzielni. Zerwano linię telefoniczną, zniszczono centralę i aparaty telefoniczne. Przed opuszczeniem miasteczka przystąpiono do likwidacji sowieckich agentów i informatorów, zgodnie z opracowaną wcześniej listą, na której znaleźli się sekretarz GRN Piotr Kabac, wójt gminy Jan Leszczyński, gajowy Mikołaj Lewsza oraz nauczyciel Aleksander Wołkowicki, a także komendant milicji, który jednak zdążył uciec”.

A Zarząd Gminny w swoim raporcie z tych krwawych wydarzeń, opracowanym w dwa tygodnie później, donosi, że „W dniu 17 IV rb. między godz. 9 a 10 rano na os. Narewka napadła banda, która ukrywa się w miejscowych lasach. W czasie napadu dwóch z bandy napadło na lo-

kal Zarządu Gminnego i jeden z bandytów wpadając do kancelarii Zarządu Gminnego pytał się: »Banditow zdieś niet?« i zaczął plądrować po szufladach stołów, domagał się dokumentów partyjnych. Po splądrowaniu wybiegł na ulicę z powrotem wrócił, a z nim drugi z karabinem, którzy rozkazali pracownikom oraz wójtowi gminy zejść do gabinetu sekretarza i zaczęli legitymować, żądając dokumentów. Jeden z bandy stojąc w drzwiach z karabinem, a drugi przy biurku z automatem zapytał się na stojącą kasę – co to jest i podszedł z wójtą i rachmistrzem Kabacem do kasy, zabrał gotówkę w sumie 9.000 zł oraz spisy mężczyzn urodzonych w latach 1927-1911 włącznie. Po zabraniu gotówki obrewidował wójta gminy i Kabacę Piotra, i zabrali z sobą, których postrzelali w Narewce koło posterunku milicji, a pozostałym pracownikom powiedzieli, aby nie wychodzili do ich przyjsia. Oprócz wyżej wymienionych zostali zabici: Wołkowicki Aleksander – radny gminy i Lewsza Mikołaj – gajowy...”.

I jeszcze takie czyjeś znaki pamięci po wojnie na tej nieszczęsnej ziemi: „Il wojna światowa to dla nich kilka zagubionych na niebie bomb. Strach przychodzi w 1945 roku i ma oczy Żołnierzy Wyklętych. Dziadek Sulimy zamiast w polu, stoi z grabiami na krańcu wsi. Znają los Zaleszan, Potoki, Krasnej Wsi, gotowi są walić w krowie dzwonki, gdyby z lasy wyszli wyklęci”. To z najnowszej książki Marcina Kąckiego *Białystok, biała siła, czarna pamięć*, która nie zamyka spisanych i niespisanych scen, i obrazów z tej „siódmej pieczęci” bratobójczej historii. Cień rzuca cień. Najciemniej jest przed świtem, to wtedy rozum usypia najmocniej i rodzą się demony. I te czynów morderczych, i te późniejszych lęków. Coraz mniej jest świadków, krew na dokumentach płowieje, pamięć chroni się w dobrotliwym kokonie czasu. I gdy kultura życia zamienia przeszłość w historię, jej nieudana córa-polityka, niczym wiedźma nad tygłem trucizn budzi widma dalekiej wojny i ich ofiary. Aż po ofiary ofiar...

Z zimną krwią

Jakże demoniczny, podły sojusz zawiązał się między wrogimi sobie siłami, by wypędzić ze swojej ziemi „tutejszych”! Sprzęgły się ze sobą te dwa „patriotyczne” hasła: „Polska dla Polaków” i „Białorusini na Białoruś!”, choć jedno pod świętym ryngrafem, a drugie pod czerwoną gwiazdą. Uchodzili z Wileńszczyzny maruderzy partyzanci i zapadali na zimowe leże w puszczy, zakładając tu swoje bazy, szczując na siebie ludzi miejscowych, ściągając ku sobie katolicką młodzież i rozbijając posterunki czerwonej władzy. Nieśli nową wojnę umęczonej ludności, łudząc podwójnie oszukanych kolejną rozprawą ustrojową. „Anders na białym koniu” mieszał w głowach naiwnych romantyków krwawym zwycięstwem „świętej, kresowej polskości”, naruszając, niszcząc mieszkańcom tych trudnych ziem wypracowany przez lata, nieraz przez wieki, ład...

Sowieci odpowiadali tym samym. Mnożyły się wzajemne donosy, denuncjacje, oskarżenia, a więc i kary zarówno ze strony leśnych watażków, jak i sądów i bezsądów nowej władzy; tworzyła się świadomość kolejnego zagrożenia, miejscowa ludność znalazła się znowu między młotem a kowadłem losu. Bez nienawiści, tłumaczącej czasem krwawe konflikty, a choć katolicyzm i prawosławie wokół puszczy nie obcowały ze sobą w szczęśliwej harmonii, to pogodę ducha na co dzień dawało się osiągać. Jeszcze niecałe dziesięć lat wcze-

śniej cytowany już prze mnie ks. Kaliński w swoim opisie parafii w Narewce informował: „Innowiercy na terenie parafii stanowią znacznie przeważający procent. Ogólnie stanowią oni 90 proc. ludności. Pod względem wyznań ludność procentowo przedstawia się następująco: prawosławni – 84,7 proc., katolicy – 10 proc., żydzi – 5,1 proc., inne wyznania – 0,2 proc. W parafii poziom moralności i obyczajów, biorąc ogólnie, jest zadowalający”. Wprawdzie, donosi proboszcz Kaliński, polscy katolicy pod względem obyczaju „górują nad Rosjanami wyznania prawosławnego, ale z ubolewaniem trzeba zaznaczyć, że wśród Polaków ze sfer urzędniczych rzadko znajduje się człowiek o czystej, jasnej duszy, większość ich bowiem stoi na poziomie zbyt niskim i stanowi rozsądnik wszelkiego zła dla miejscowej ludności”.

Teraz pojęcie wspólnego chrześcijaństwa przegrywało na całego... Mój Boże, wszak i to jest tylko częstkową prawdą, bo oto wkracza w szranki owa głęboka pamięć, by wypomnieć człowiekowi każdy jego grzech, także tamten bunt tutejszych, o czym w tak bezwzględny sposób pisał Marek Wierzbicki w swojej książce *Polacy i Białorusini w zaborze sowieckim*. [Okrucieństwo odwetu jest deprymujące, „bunt rojstów”, że odwołam się do Józefa Mackiewicza, w ekspresji września 1939 niemal niezrozumiały, acz przydałoby się sięgnąć głębiej w czas dokonany, by zrozumieć ruskość tych ziem, ale i polskość, choć ruską. W tej materii nie tylko pies jest pogrzebany, chciałoby się wręcz zakrzyknąć „ciszej nad tą trumną!”, tak bolesne echa budzi od nowa i zapowiada kolejne bitwy pamięci. Ba, i czynów, a jakże. Jakby tamtych nie dość było. Jakby w tym chrześcijańskim kraju Bóg, który jest w trzech osobach, Sam w nich stanął przeciwko sobie.]

W dalekich dniach tej mojej osobistej opowieści krwawiło na naszym wschodnim pograniczu jeszcze długo. Płonęły wsie, z rąk leśnych straceńców ginęli niewinni mieszkańcy tych wsi. Byli zabijani nie w walce o coś, lecz z zimną krwią bezcelowej przemocy. Sens polskiej historii nie mieści jej w sobie, poświęcono temu niemało książek i słownych zmagani: polskiej przemocy, obcej nad tutejszymi, zbrojnej nawołoczy przeciwko bezbronnej autochtonii. Gorzki jest ciężar polskości, skarży się Poeta, cierpiąc za miliony, złorzecząc Panu Narodów, który jeden nad drugim stawia. Zmieniałem skórę niepewnie, ale uparcie, nie unikając winy porucznika-pisarza w uprowadzeniu harcerki obłokiem jej dziecinnych marzeń, nim zdążyła pojąć, kto spleta tę sieć przemocy. Białoczerwony krzyż miłosierdzia przechylił się w jedną stronę wśród morderczych strzałów narewczzańskich, gdy zabijano sąsiada, który nie chciał już pozostawać w niewoli swojego odwiecznego szarwarku...

Granica była na wyciągnięcie ręki. Granica czego? Granica czyja? Rozdzielono ziemię puszczańską mocą traktatów ponad głowami ludzi, nie pytając ich o zdanie. Wolno było zmienić miejsce zamieszkania, ale domu ni ziemi nie można było zabrać ze sobą. Nikt z rodziny Kabaców nie wybierał się w kolejne „bieżenstwo”, w to ponowne uchodźstwo, co tak bardzo naruszyło równowagę etnicznego bytu już podczas pierwszej wielkiej wojny. Ale...

Poczytajmy sobie, co zanotował w tej sprawie nasz niezastąpiony Wiktor, młodociany wówczas świadek wydarzeń:

„Pogrzeb zamordowanych był spokojny. Zapanował jednak popłoch i niepokój, co będzie dalej. Mieszkaliśmy

jeszcze w Narewce, ale już na Minkówce budowany był nowy dom. Zajmowaliśmy duże, pożydowskie mieszkanie, a w tym domu mieszkał jeszcze felczer Łuszczyński. Jego rodzina była katolicka, ale bardzo nam współczuła i pomagała. Rosjanie prowadzili szeroką akcję propagandową i namawiali prawosławnych do wyjazdu w okolice Świsłoczy i Wołkowyska. U nas nocował lejtenant z Brześcia i do mojego ojca mówił tak: »Iwan, sabirajsia do nas. Paliaki ubili twojego brata, ubjut i tiebia«. Ojciec usłuchał go i w tydzień po zabiciu Piotra pakował z matką na furę podstawowe rzeczy. Przyszła jednak żona felczera i zapewniła matkę, że nam nic się nie stanie. Powołała się na rodzinę W. ze Świnorojów, leśników z rodowodem puszczańskim od królów i carów. Namówiła matkę, żeby ojciec pojechał do Świsłoczy i zobaczył, gdzie nas wywiozą i co my tam będziemy mieli. Lejtenant, jak się dowiedział, wkurzył się i obruł ojca, że nie wierzy sowieckiemu oficerowi. Ojciec zniósł to dzielnie – i zostaliśmy. Ale wielu wyjechało, a potem przez kolejarzy przysyłali wieści, jak ta karteczka od Karpiuka z Bernackiego Mostu: – Iwan, szczęściarz z ciebie. Nas oszukano, zabrano nam konie i krowy. Żyjemy w kolchozie pod Brześciem. Traktują nas jak bydło.

Więc chyba mieliśmy trochę szczęścia. W Narewce w tym czasie nie było już Łupaszk i Jasienicy, ani Inki. Główny oddział ze sztabem przedzierał się w kierunku Bugu-Narwi i na Gdańsk. Oddział, który pacyfikował Narewkę został rozbity pod Borysówką na skraju Puszczy Ładzińskiej.

I tak oba trzony, choć splekane, moich klanów rodzinnych pozostały pod Puszczą. Pod polską Puszczą, co dla mnie miało szczególne znaczenie, gdy zwierzę rene-gactwa miotło się w moim sumieniu, jak w zardzewiałej klatce. Jeszcze ta ziemia krwawiła, ale coraz częściej to wrogie rozpołowienie społeczne utykało w pętlach politycznych układów, namiętności i szamańskich rozliczeń.

A przecież powoli wydobywaliśmy się z gruzów wojny i powojnia. Młodzież, także ta z lasu, ruszyła do szkół. Wzajemne polowania zdarzały się coraz rzadziej, amnestia, choć nie do końca uczciwa, uratowała wiele osób i rodzin. Urzędy Bezpieczeństwa pracowały jednak usilnie, by zgasić wszelki opór, także mentalny. Wschodnie pogranicze dłużej grzęzło w „kolaboracji”, przedstawiając sobie rachunki krzywd także z czasów „pańsko-polskich”, niemieckich i radzieckich. Docierały do mnie echa groźnych wydarzeń z puszczy wschodniego Podlasia, ale i serdeczne wieści o kształceniu się rówieśnych, znajdujących nowe miejsce awansu społecznego w trudnej, zdewastowanej pod każdym względem ojczyźnie. Polscyło się to młode pokolenie po swojemu: czasem zachowując białoruską i prawosławną tożsamość, ale też dzieląc nią pojednawczo i twórczo z polityczno-narodową rzeczywistością polskiego państwa. Pamięć o bolesnych ofiarach powojnia wliczona do tych strasznych kosztów wojny, nigdy nie przynoszącej prawdziwej sprawiedliwości dziejowej.

Kroniki bieżące tej niewątpliwiej, wielowątkowej rewolucji zapisały wydarzenia, fakty, opinie wedle różnych wyborów ideowych i historycznych. Z polityczną zimną krwią posiadacze władzy korzystają z ich zasobów dla swoich potrzeb mocy i przemocy.

EUGENIUSZ KABATC

(Koniec części pierwszej *Młyna nad Narewką*)

ADAM KULAWIK

MOJA ZABAWA LALKĄ

BOLESŁAWA PRUSA

Pro captu lectoris habent sua fata libelli.

Myślę, że tylko poematy K.I. Gałczyńskiego – *Poemat dla zdrajcy* także – były równie źle czytane jak *Lalka*. O ile jednak poematy Gałczyńskiego pisane były w kodzie języka poetyckiego, o tyle *Lalkę* Prus napisał rzetelną prozą bez podtekstów, persyflażu, ironii, metaforyki, a mimo to *Lalkę* czytano źle, *Lalkę* czytano naiwnie.

Przykład pierwszy z brzegu takiego czytania: W Paryżu Geist działając z Jumartem i Palmierim, zastawił na Wokulskiego i jego pieniądze pułapkę mirażem metalu lżejszego od powietrza. Tej pułapki nie dostrzegł ani Wokulski, ani badacze piszący o *Lalce* liczne rozprawy, także monografie. Geist nie jest chemikiem! Geist jest hipnotyzerem. Inny przykład: Wokulski w przedstawieniu Prusa nie jest postacią pozytywną, a czytano niekiedy *Lalkę* jako jego apoteozę. Paryż – to wcale nie ostatni przykład nieuważnego czytania tej powieści – nie jest, jak chce jeden z monografistów, realistyczną utopią, optymalnym miastem, „wzorem społeczeństwa możliwego do zrealizowania u nas”, lecz ludzką dżunglą, gdzie panuje w najbrutalniejszej postaci prawo doboru naturalnego. Wie o tym Wokulski i podoba mu się to panowanie – nie dostrzegłi tego autorzy monografii. Że Wokulski w niedalekiej przyszłości będzie ofiarą tego prawa, nie doczytano się.

To tylko kilka przykładów lekturowych uchybień, które prowadziły badaczy *Lalki* na interpretacyjne manowce. Czytano to arcydzieło Prusa mało uważnie, ale zarzucano mu błędy ideowe i artystyczne. Gdyby prawdą było to, co napisał jeden z autorów monografii *Lalki*, że jakkolwiek logika ideowa fabuły wymagała, aby Wokulski zginął z winy Izabeli, to Prus postanowił zachować go przy życiu, żeby zaistniał później w nie napisanej nigdy powieści – znaczyłoby to, że ani Prus nie był wybitnym pisarzem, ani *Lalka* nie jest powieściowym arcydziełem i czytelnik przy takim postawieniu sprawy powinien by powtórzyć za Gombrowiczem: „Koniec i bomba, / A kto czytał, tren trąba”, bo tak czytelnika traktować nie wolno. Zarzucanie takiej wolty Prusowi obraża go. Inny monografista stwierdził, że Prus postanowił, aby czytelnik *Lalki* nie wiedział, co się z Wokulskim stało. Jeszcze inny badacz, sądząc podobnie, napisał, że dzięki temu *Lalka* wychodzi naprzeciw poetyki dzieła otwartego. Miał się uklonić Umberto Eco, ale się nie uklonił. O tym,

co się stało z Wokulskim, nie wie doktor Szuman, nie wie Rzecki, nie wie Węgiełek. Wie, ale powiedzieć nie chciał, Ochocki, zapewne związany słowem z Wokulskim. A czytelnik nieco bardziej uważny też wie, bo Prus to napisał, tyle że nie na ostatniej stronie powieści.

Gdyby chodziło nie o *Lalkę*, jedno z najwybitniejszych dokonań w literaturze polskiej, moje krytyczne uwagi na temat jej recepcji krytycznej wyraziłbym dobierając łagodniejsze określenia.

* * *

Tą wielką powieścią Prusa bawiono się już dawniej, a Henryk Markiewicz napisał, że „zabawy takie są pośrednim dowodem jej (*Lalki* – A.K.) statusu arcydzieła: obiektem dociekań tego rodzaju są z reguły utwory wysokiej klasy i popularności”. W zabawach *Lalką* chodziło o uzgodnienie fikcji powieściowej z realiami albo realiów z powieściową fikcją. Ustalono więc, pod którym numerem na Krakowskim Przedmieściu mieszkał Wokulski, gdzie w Ogrodzie Botanicznym rozmawiał z Ochockim i gdzie miał wizję sięgającego Chmur pomnika Sławy. Przypomniał Markiewicz, że jeden z bawiących się *Lalką* badacz dostrzegł, że „obraz (powieściowy – A.K.) Warszawy, choć prawdziwy w szczegółach, jest fałszywy jako całość, gdyż Prus przemilcza przejawy obecności zaborcy. (...) Nie jest to sprawa obojętna dla całościowej interpretacji i oceny powieści”. Inny badacz konfrontował wyzwanie Krzeszowskiego na pojedynek z regulaminem pojedynkowania się, dzięki czemu lepiej zrozumiał postępowanie Wokulskiego. Bawiono się *Lalką* z lepszym bądź gorszym efektem poznawczym albo i bez żadnego efektu. Powieściowy obraz Warszawy zachęcał do takiej zabawy.

Powiem tak: Prawdziwy, zgodny z Warszawą jej powieściowy obraz potrzebny był Prusowi po to, żeby ówczesni czytelnicy *Lalki*, mieszkańcy stolicy Priwisłanskogo Kraja, nie mieli wątpliwości, że to ich miasto i że to właśnie oni zostali przedstawieni jako populacja kompletnie zdeintegrowana, populacja w społecznym rozkładzie. Prawdziwie przedstawiona Warszawa determinuje prawdziwość obrazu jej mieszkańców. A jeśli Prus zamierzył i tak, jak zamierzył napisać, napisał powieść o społecznym rozkładzie, dając dziesiątki przykładów tego rozkładu, to przemilczenie obecności zaborcy ani

niczego w obrazie Warszawy nie fałszuje, ani w żadnym stopniu nie może ważyć na interpretacji i ocenie *Lalki*, bo *Lalka* nie jest powieścią o Warszawie, ale – jak powiedział Prus – powieścią o naszych idealistach na tle społecznego rozkładu. A z przywołania regulaminu pojedynkowania się wynika rzeczywiście lepsze zrozumienie postępowania Wokulskiego, nie wynika jednak coś o wiele bardziej istotnego – dlaczego Wokulski chciał Krzeszowskiego zabić, a jego trupa rzucić pannie Izabeli do stóp, skoro Krzeszowski chciał Wokulskiego tylko zranić. Krwiożerczość Wokulskiego czytam jako Eliotowski korelat obiektywny jego stosunku do Izabeli.

* * *

Zabawa, każda zabawa, musi mieć ustalone zasady i reguły, a *homo ludens* musi tych reguł przestrzegać. Jako bawiący się *Lalką* przyjmuję za Michałem Głowińskim, że: „Świat w utworze realistycznym ukazany jest z perspektywy przeciętnego odbiorcy i oceniany w myśl reguł przyjętej moralności i zdrowego rozsądku”. Bawiąc się *Lalką* będę się tego trzymał, a to pozwoli mi stwierdzić przy jej uważnym czytaniu, że ta powieść nie do końca mieści się w rygorach powieści realistycznej, co ma niezwykle istotne konsekwencje w formułowaniu jej wykładni znaczeniowej.

* * *

Uważniejsze *Lalki* czytanie – a inaczej tekstów literackich czytać nie warto – pozwala wykazać, że postać Wokulskiego wyróżnia się na tle innych postaci nie tylko tym, że jest on bohaterem powieści, jej pierwszoplanową postacią, że inne postacie istnieją jakby po to, aby jego odmienność podkreślać. Żadnej innej postaci nie przydarza się to, co przydarza się Wokulskiemu, żadna inna postać *Lalki* nie wykracza poza normy prezentacji realistycznej. Prezentacja postaci Wokulskiego na różne sposoby wykracza.

* * *

Zabawa pierwsza

Wokulski zdecydował się pójść do kościoła na kwestę wielkanocną. Wielka Sobota. Stojąc przed kościołem zastanawia się: „Co to za ogromny gmach, który zamiast kominów ma wieże, w którym nikt nie mieszka (...). Na co ta strata miejsca i murów (...), w jakim celu schodzą się tłumy ludzi? Na targ idą po żywność, do sklepów po towary, do teatru po zabawę, ale po co tutaj?”

Znalazłszy się wewnątrz, rozważa Wokulski, kim on jest, obcy tym, którzy kościoły budowali, tym biedakom, którzy umieli się modlić, ale budowali tylko nędzne lepianki, obcy tym, którzy budowali pałace dla siebie, a „z domów Bożych zrobili miejsce schadzek”. I wtedy słyszy Wokulski głos: „Może jesteś okiem żelaznego przetaka, w który rzucę ich wszystkich, aby oddzielić stęchłe plewy od ziarna”. Reakcja Wokulskiego jest osobliwa: „Wokulski rozejrzył się. Przywidzenie chorej wyobraźni”. Wyras „przetak”, jeśli moja konkordancja jest dokładna, pojawia się w *Biblii* jeden jedyny raz w ustach jednego z proroków mniejszych, Amosa, przez którego mówi Jahwe: „Nie zgładzę jednak zupełnie domu Jakuba. (...) Gdyż oto ja rozkażę i przesieję pomiędzy wszystkimi narodami dom Izraela, jak się przetakiem przesiewa i żadne ziarno nie upada na ziemię”.

Jeśli się takie rzeczy, takie przypadłości bohatera powieści prześlepi, nie sposób uniknąć interpretacyjnych manowców. Ale to nie koniec metafizycznej przygody Wokulskiego w powieści realistycznej. W kościele zwraca jego uwagę modląca się prostytutka. Wychodzi za nią.

„Na ulicy zrównał się z nią i zapytał:

– Dokąd idziesz?

Na jej twarzy znać było ślady łez. Podniosła na Wokulskiego apatyczne wejrzenie i odparła:

– Mogę pójść z panem.

– Tak mówisz?... Więc chodź.

Nie było jeszcze piątej, dzień duży; kilku przechodniów obejrzało się za nimi.

Trzeba być kompletnym błaznem, ażeby robić coś podobnego – pomyślał Wokulski idąc w stronę sklepu. – Mniejsza o skandal, ale co u diabła za projekta snują mi się po łbie? Apostolstwo?... Szczyt głupoty.

Wreszcie – wszystko mi jedno; jestem tylko wykonawcą cudzej woli”.

Przymuszony Wokulski skierował tę młodą kobietę do magdalenek, spłacił rzekomy dług alfonsosem, dał jej szansę, z której późniejsza żona Węgiełka skorzystała. Ale już nie przymuszany, jakby w odwecie za tamten metafizyczny przymus, powie: „Nie widziałem jeszcze podobnego bydlęcia, chociaż znam dużo bydląt”. Mieszkaniec tego gmachu bez kominów, ale z wieżami, nie tylko nie potępił prostytutki, ale nawet wymusił na Wokulskim pomoc dla niej. A Wokulski nazwał ją bydlęciem! A zapisano w ewangelii: „Kto z was bez grzechu jest, niech pierwszy na nią rzuci kamień”. (Jan VIII 7). Wokulski uznał, że bez grzechu jest, i rzucił za nią nie kamieniem, pewnie dlatego, że go nie miał pod ręką, ale obelżywym słowem.

I powiem coś, czego nie powinienem powiedzieć, ale jeśli prześlepią się takie sytuacje fabularne, nie powinno się siadać do pisania o *Lalce*. Dixi.

I konkluduje Wokulski: „Wolę ja wyrzucać pieniądze na powozy i konie, aniżeli na takie – nieszczęścia!” Oto cały Wokulski na początku swojej drogi do zraty: Trzeba być błaznem, żeby pomagać tym, co pomocy potrzebują.

Dla uważnego czytelnika tak przedstawiony Wokulski nie jest wielkim zaskoczeniem. Poznaliśmy go wcześniej, kiedy bezpośrednio po powrocie z Bułgarii rozmawia z panem Ignacym Rzeckim. Oto fragment tej rozmowy. Rzecki pyta Wokulskiego, dlaczego zbroi się Austria? Na co Wokulski: „Bo chce zabrać Bośnię i Hercegowinę”, na co Rzecki:

– Za co?

– Za co? – uśmiechnął się Wokulski. – Za to, że Turcja nie może jej tego zabronić. (...)

– A sprawiedliwość? – Zawołał Ignacy.

– Sprawiedliwym jest to, że silni mnożą się i rosną w siłę, a słabi giną. Inaczej świat stałby się domem inwalidów, co dopiero byłoby niesprawiedliwością.

Ignacy posunął się z krzesłem.

I ty to mówisz, Stasiu?... Na serio, bez żartów? (...)

– Ja mówię – odparł. – Cóż w tym dziwnego? Czyliż to samo prawo nie stosuje się do mnie, do ciebie, do nas wszystkich?...

Prawo, o którym z takim przekonaniem mówi Wokulski, nosi miano doboru naturalnego, z którym etyka chrześcijańska nie ma nic wspólnego, a po to ją wypra-

cowano, żeby człowiek swoim postępowaniem działaniu tego prawa się przeciwstawiał. A zachnięcie się pana Rzeckiego wynika stąd, że o takiej sprawiedliwości mówi były powstaniec styczniowy, zesłany na Sybir na siedem lat. Wiele, jeśli nie wszystko wskazuje na to, że właśnie tam, na Syberii wbito mu do głowy takie pojęcie sprawiedliwości i złamano kręgosłup moralny.

Prus jest niezwykle konsekwentny w charakteryzowaniu tej postaci. Kiedy Wokulski wraca z nędzy i brudu Powiśla na swoje Krakowskie Przedmieście, dostaje od Prusa takie świadectwo: „Zrobię, co się da i komu trzeba, lecz osobistego szczęścia nie wyrzeknę się, to darmo...”. Ale zaraz się reflektuje: „Rozigrał się we mnie sentymentalizm i fantazja – myślał. – Zły to znak. Mogę ośmieszyć się, zbankrutować...” I nieco dalej: „Pracę dla szczęścia – rozumiem, ale pracy dla fikcji nazywającej się społeczeństwem czy sławą – już bym się nie podjął. Społeczność niech sama myśli o sobie (...) i dziwię się tylko mojej głupocie, że kiedyś myślałem inaczej”.

Jest w tym, co u Wokulskiego wygaduje, i w tamtej jego metafizycznej przygodzie wyartykułowana przez Prusa wyrazista teza: Aspołeczna postawa jest postawą amoralną. Rozkład społeczny wynika z rozkładu moralnego. Kiedy stwierdza się rozkład społeczny jakiejś populacji, stwierdza się fakt, paskudną przypadłość, ale kiedy mówi się, że rozkład społeczny jest prostą pochodną rozkładu moralnego, rozumiemy, że sformułowane zostało oskarżenie. Tak to chcę rozumieć.

Owszem, pomoże Wokulski temu i owemu, przekaże tysiące rubli instytucjom charytatywnym, ale nie zrobi tego powodowany odruchem serca, wrażliwością na potrzeby i nieszczęściami innych, poczuciem solidarności, lecz dla rozgłosu, żeby – jak napisał Prus – „uzyskać rozgłos”, który otworzy mu drzwi do salonu Łęckich. Jego filantropia – jak sądzi – jest dobrze skalkulowaną inwestycją.

Skoro Wokulski nie chciał w kościele słuchać napomnienia Boga, to może nie będzie z mojej strony interpretacyjnym nadużyciem, jeśli powiem, że Prus wymusza na mnie, ażebym ocenił postępowanie Wokulskiego odnosząc tę jego filantropię dla rozgłosu do ewangelii Mateusza, czyli do reguły przyjętej moralności: „Gdy czynisz jałmużnę, nie trąb przed sobą, jako obłudnicy czynią w bożnicach i po ulicach, aby czczeni byli od ludzi (...), ale gdy ty czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co prawica twoja czyni” (VI 2).

Zabawa druga

Nie sądzę, żeby w jakiegokolwiek powieści realistycznej bohater miał nie tylko wizję własnej śmierci, ale jeszcze śmierci z dokładnie wyznaczoną datą. Wokulski taką wizję ma. Ze świeżo poznanym Ochockim spaceruje po Łazienkach. Ochocki najzupełniej poważnie zadaje Wokulskiemu kilka najzupełniej głupich pytań, mówi o swoich naukowych mrzonkach i odchodzi. A Wokulski do siebie: „Co kto zrobi, jeszcze nie wiadomo. Ja tymczasem jestem dziś człowiek czynu, a on marzyciel... Zaczekajmy rok. Rok!... Wokulski wstrząsnął się. Zdawało mu się, że na końcu drogi nazwanej rokiem widzi tylko niezmierną otchłani, która pochłania wszystko, ale nie mieści w sobie nic”.

Jeżeli czytelnik *Lalki* przeoczył tę scenę, to nie przypomni mu jej następna. Mnie przypominała. Oto Wokulski, jak mu się zdaje, złapał Pana Boga za nogi,

bo zaproszony wreszcie do Łęckich zjadł z nimi obiad. Pożegnawszy ich, rozważył, jaką też będzie miał szansę na ożenek z Izabelą za rok. „Za rok?... – powtórzył Wokulski i znowu owionął go jakiś chłód surowy”. Ale Wokulski nie zareagował na to doznanie, tak jak nie zareagował w żaden sposób na głos Lokatora gmachu bez kominów, ale z wieżami i na wizję otchłani.

Zabawa trzecia

W kategoriach realizmu nie mieści się nie tylko wizja otchłani-śmierci, ale i wizje sławy, jakie miewał Wokulski w Łazienkach. Z tej ostatniej, rozstrzygającej o losie Wokulskiego, zdaje nam Prus dokładnie sprawę: „Ujrzał ją i teraz i ze wzruszeniem spostrzegł, że chmury otaczające jej głowę rozsunały się na chwilę. Zobaczył surową twarz, rozwiane włosy, a pod spiżowym czołem żywe, lwie oczy, które wpatrywały się w niego z wyrazem przytłaczającej potęgi. Wytrzymał to spojrzenie i nagle uczył, że rośnie... rośnie..., że już przenosi głowę najwyższe drzewa w parku i sięga obnażonych stóp bogini. Teraz zrozumiał, że czystą i wieczną pięknoscią jest S ł a w a i że na jej szczytach nie ma innej uciechy nad pracę i niebezpieczeństwa”.

Ta wizja zmusza mnie do postawienia dwóch pytań. Pierwsze: Czy można po tej relacji narratora autorskiego, Prusa, mieć wątpliwości w kwestii wyjazdu Wokulskiego do Paryża, do Geista? Ja ich nie mam. Nie mam i wiem, że ten wyjazd nastąpi jakoś mniej więcej po roku od wizji „otchłani, która pochłania wszystko, ale nie mieści w sobie nic”. Ta wizja nie miałaby racji bytu w powieści, jeśli Wokulski miałby do Geista nie pojechać. Ale równie ważny jest taki dowód: Wokulski żegnając się w Charenton z Geistem mówi: „Przyjdę tu”, na co Geist: „Przyjdiesz tu, kiedy ci już nic nie zostanie z dawnych złudzeń”, i daje Wokulskiemu skrawek metalu, blaszkę, jak go zapewnia, pięciokrotnie lżejszą od wody, odporną na działanie wszelkich odczynników chemicznych i – mówi Geist – prędzej zniknie, aniżeli zdradzi mój sekret”. No i blaszka, ofiarowania zaręczynowo Izabeli, zniknęła i Wokulskiemu nie zostało już nic z dawnych złudzeń i do Geista pojedzie po nowe, ostateczne.

Drugie pytanie jest takie: Z czyjej inspiracji miał Wokulski wizję Sławy? Kto mu ją narzucił? Skoro do Wokulskiego przemówił w kościele Bóg i wymusił na nim zajęcie się losem prostytutki, to dlaczego by teraz nie miał pojawić się Szatan? Ta sugestia zepchnęła mnie na pozycję manichejskie, ale wydaje się to lepsze niż twierdzenie, że inspiratorem tej wizji z Łazienek jest Ten, co mieszka w gmachu bez kominów, ale z wieżami, którego ludzie proszą „i nie wódź nas na pokuszenie”. Tak czy inaczej wychodzi na to, że jest Wokulski okiem żelaznego przetaka. Zresztą Szatan zaraz nam się w materiale fabularnym *Lalki* objawi, nie baczając, że to powieść realistyczna.

Zabawa czwarta

Jest Prusakiem, choć mieszka w Paryżu. Nazywa się Geist, co po polsku znaczy „duch”. A jeśli – biorąc pod uwagę, jakie bezceństwo proponuje ten Geist Wokulskiemu – określić go właściwym przymiotnikiem niemieckim „boese” i dodać właściwy niemiecki rodzajnik, zobaczymy *der boese Geist*, czyli Diabła albo, jak kto woli – *leibhaftiger Satan*, czyli diabła wcielonego.

Geist, może kiedyś i chemik, ale teraz magnetyzer, czyli hipnotyzer, szybko zapanował nad Wokulskim,

który „patrzył na Geista nieledwie z trwogą; w głowie zapalały mu się pytania: kuglarz czy tajny agent – wariat, a może naprawdę jaki duch?... Kto wie, czy szatan jest legendą i czy w pewnych chwilach nie ukazuje się ludziom?...” Wokulski podejrzewa, że Szatan może istnieć, że istnieje, a skoro do niego w kościele przemówił, to istnieje, Bóg, mieszkaniowiec owego gmachu bez kominów, ale z wieżami, Wokulski nie podejrzewa. Zafascynowany Geistem, Wokulski konkluduje: „Dawniej taki Geist byłby symbolem szatana, z którym walczy o duszę ludzką anioł w postaci kobiety. A dzisiaj... kto jest szatanem, a kto aniołem”. No właśnie!

Geist ma dla Wokulskiego kuszącą propozycję: pracę nad metalem lżejszym od powietrza i finansowanie tego przedsięwzięcia. Ale ten metal, jego wynalezienie, nie jest celem samym w sobie – będzie on materiałem do skonstruowania maszyny latającej, która w rękach „prawdziwych ludzi” pozwoli wyeliminować z powierzchni ziemi ludzką menażerię, tych, co nie pasują do matrycy człowieczeństwa sporządzonej przez Geista. W tym miejscu Monografista *Lalki* przywołuje Wstęp Balzaca do *Komedii ludzkiej*, gdzie jest mowa o zwierzęcych cechach natury człowieka, co ma mu sugerować, że w tym projekcie Geista, apostoła doboru naturalnego, nie ma nic, co by dyskwalifikowało moralnie Wokulskiego, który ten projekt z całym spokojem akceptuje. Warto zwrócić uwagę na fakt, że Geist nigdy nad wynalezieniem metalu lżejszego od powietrza nie pracował, nie pracuje i nie ma zamiaru pracować. Szatan głupcem nie jest. A Wokulski w drodze do Zasławka swoje: „na co zdałby się największy wynalazek Geista, gdyby nie miał być orężem, który zapewni ostatecznie zwycięstwo ludzi szlachetniejszych i lepszych?” Panie Wokulski, jeśli chce się poprawiać świat, trzeba zaczynać od siebie!

Kiedy Geist pokazuje Wokulskiemu próbki metalu, jednego cięższego od platyny, innego kilkakrotnie lżejszego od wody i jeszcze inne, Geist jest hipnotyzерem, ale nie musi Wokulskiego hipnotyzować, mówiąc o przeznaczeniu i zaletach przyszłego wynalazku. Wokulski słuchając tych bezceństw nie wyrzuca Geista za drzwi, bo takie bezceństwa dobrze rymują się z jego poglądami na świat i ludzi.

Zabawa piąta

Spotkaliśmy w tej realistycznej powieści Boga, Szatana, byliśmy świadkami fantastycznej wizji Wokulskiego, nie może więc nas zaskoczyć hipnoza, tyle że nie można nad nią przejść do porządku i trzeba się nad nią zastanowić. Władysław Kopaliński definiuje hipnozę tak: „Przejściowy stan świadomości podobny do snu, wywołany przez sugestię hipnotyzera, która u osoby hipnotyzowanej powodować może halucynacje, objawy anestezji, niepamięci, ślepoty, paraliżu”, a z Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN-u wiem, że bez jego zgody nikogo zahipnotyzować nie można.

Oto narrator zaprowadził nas do teatru. Rzecki przygląda się Wokulskiemu, Wokulski pannie Izabeli, Izabela zapatrzona w Rossiego na scenie. „Rzecki parę razy w życiu widział ludzi zamagnetyzowanych i zdawało mu się, że Wokulski ma taki wyraz fizjonomii, jak gdyby był zamagnetyzowany przez ową lożę. Siedział bez ruchu, jak człowiek śpiący, z szeroko otwartymi oczyma”. („Śpiący” znaczy tutaj „zahipnotyzowany”). Rzecz w tym, że nie występuje w tej scenie hipnotyzер.

Izabela zajęta Rossim na scenie nie zwraca uwagi na Wokulskiego. Między Izabelą a Wokulskim dystans: ona wysoko w łoży, on na parterze, co skądinąd jest symbolicznym przedstawieniem ich pozycji społecznej i nieosiągalności Izabeli. Izabela gardzi Wokulskim (zleca mu organizowanie klaki dla Rossiego, którym jest bardzo zainteresowana!), nie miałaby powodu do hipnotyzowania go. Mój domysł interpretacyjny tej sceny jest taki: Fascynacja Wokulskiego Izabelą doprowadza go do stanu, który można nazwać autohipnozą.

Podobnie będzie w Paryżu, jakkolwiek Wokulski zetknie się tam z hipnotyzерem. Lokaj anonuje: „Professor Geist” i Wokulski na samo brzmienie tego nazwiska „doznał szczególnego uczucia. Przyszło mu na myśl, że żelazo za zbliżeniem się magnesu musi doznawać podobnych wrażeń”. A Geist jeszcze za drzwiami! Potem, zahipnotyzowawszy Wokulskiego, Geist przekona go, że to, co mu dawał do rąk, rzeczywiście było metalami dużo cięższymi od najcięższych metali, lżejszymi od wody, przezroczystymi, a to, co dziwne i niemieszczące się w kategoriach realizmu powieściowego, to fakt, że Wokulski zachowuje wciąż świadomość rzeczywistości i nie jest wybudzany z tej nibyhipnozy. Pamięta wszystkie doznania a pamiętać nie powinien. Więc może to niekoniecznie hipnoza, a efekt intensywnego, maniakałnego pragnienia współuczestnictwa w dokonaniu rzeczy niezwykłej, która przeobrazi świat, a Wokulski zdobędzie sławę na miarę tamtego pomnika w Łazienkach.

Zabawa szósta

Z moją zabawą *Lalką* dotarłem wreszcie do tego metalu lżejszego od powietrza. Czy istnieje człowiek tak prymitywny, taki nieuk, tak nierozgarnięty, który da wiarę, że coś takiego może zaistnieć, a do tego nadać się do skonstruowania maszyny latającej? Kiedy według czasu powieściowego *Lalki* Wokulski znalazł się w Paryżu (sierpień 1878 roku) i kiedy dziesięć lat później Prus *Lalkę* pisał, znano 69 pierwiastków, tyle ich w swoim układzie okresowym umieścił Mendeleejew (1869 r.) i w tym wykazie umieścił Mendeleejew również najlżejszy z metali lit, którego gęstość wynosi 0.534 grama na centymetr sześcienny, natomiast gęstość powietrza wynosi 0.0000012 grama, a jeśli gęstość litu podzielić przez gęstość powietrza, to wynik tej arytmetycznej operacji powie nam, że gęstość litu jest dokładnie 445000 razy większa od gęstości powietrza, a to dopiero lit, który przydaje się głównie do utwardzania stopów, a przechowywać go należy w atmosferze gazów szlachetnych, żeby nie korodował. Czy Prus miał czytelników *Lalki* za tak nierozgarniętych, że – tak jak Wokulski – dadzą wiarę Geistowi? Nie! Zachęcał ich tylko do odpowiedzi na pytanie, dlaczego zrobił z Wokulskiego takiego durnia, który gotów jest zainwestować cały swój ogromny majątek w tak idiotyczne przedsięwzięcie. Otóż człowiek, którego jedynym celem w życiu jest uganianie się za szczęściem, za „czystą i wieczną pięknoscą” sławy, za największą uciechą, traci kontakt z rzeczywistością i zwyczajnie głupieje. Wynik tego dzielenia jest liczbowym symbolem rozmiarów głupoty Wokulskiego. Taka jest moja odpowiedź. Jeśli ktoś ma lepszą, bardziej przekonującą, słucham.

Monografiści *Lalki* też próbowali uporać się z tym metalem lżejszym od powietrza w powieści realistycznej. Pierwszy z nich napisał: „Prus szkicuje mit tech-

nicznego wynalazku, który umożliwiłby powstanie nowego sprawiedliwego porządku na całym świecie”. Drugi autor monografii *Lalki*, że to „ukochany przez Prusa pomysł rewelacyjnego wynalazku (niekoniecznie metalu lżejszego od powietrza – A.K.), który przeobrazi świat pod warunkiem, że zostanie się w powołane ręce, ręce ludzi szlachetnych”. Toż to są – wypisz, wymaluj – poglądy tego nieszczęsnika Wokulskiego! Jeśli przypisuje się je Prusowi, to mamy hermeneutyczny skandal.

Zabawa siódma

W ten sposób wyszliśmy z problematyki moralnej i społecznej *Lalki*, ale jest w tej powieści to i owo, co z perspektywy poetyki powieści realistycznej i zdrowego rozsądku przeciętnego odbiorcy jest mało bądź w ogóle niewiarygodne. Otóż mój zdrowy rozsądek przeciętnego odbiorcy nie daje wiary, że można w niespełna dziewięć miesięcy rozmnożyć trzydzieści tysięcy rubli do kwoty dwustu pięćdziesięciu tysięcy, nawet w tak szczególnych warunkach jak wojna i dostawy dla wojska. Wokulskiemu to się udało. A resztki mojej wiary tracę w momencie, gdy Wokulski powiada: „Miałem też szalone szczęście... Jak gracz, któremu dziesięć razy z rzędu wychodzi ten sam numer w rulecie”. Idę o zakład, że kroniki Monte Carlo i Las Vegas nie notują takiego przypadku. Musimy znaleźć powód, dla którego Prus postanowił wzbogacić Wokulskiego w sposób tak fantastyczny w powieści realistycznej.

Ale to nie koniec rozmnażania Wokulskiemu pieniędzy. Mraczewski w rozmowie z panem Ignacym przytacza słowa Suzina, moskiewskiego współnika Wokulskiego, który, jak mówi Mraczewski, „nie uspokoi się, dopóki Stanisław Piotrowicz nie odłoży sobie choć milion rubli”. Nawet biorąc pod uwagę, że oceniając Rosjan i ich postępy trzeba przykładać zupełnie inną miarę niż do współników innej narodowości, trudno taką postawę przyjąć zdrowemu rozsądkowi za wiarygodną. Ale Prus nie ustaje i Suzin włącza Wokulskiego do ekipy, z którą doprowadzi w Paryżu do zakupu okrętów dla Rosji i – tak jak obiecał – da mu dziesięć procent od swojego zysku, czyli tyle, że zwróci się naszemu szczęściarzowi wydatki warszawskie, w tym kupno kamienicy Łęckich. A ta szczodrość Suzina stąd, że nie znał francuskiego, a Wokulski znał, bo się go nauczył pewnie w gimnazjum. Gadaj zdrow! A jeszcze później dowiemy się od pana Ignacego, że wyjechał Wokulski na tydzień czy dwa do Moskwy i znów zarobił siedemdziesiąt tysięcy rubli.

Zabawa ósma

Pomysł zorganizowania i zorganizowanie spółki do handlu z cesarstwem jest powieściową ilustracją działania na rzecz programu pracy organicznej. Oto kupiec i arystokraci zrobili coś razem. Wokulskiego wkład do tej spółki to jej zorganizowanie i moskiewskie kredyty, arystokraci wnieśli pieniądze. Udziałowcy po roku uzyskali od swoich kapitałów dwadzieścia procent! Interes polegał na imporcie z Rosji tanich tkanin dobrze się sprzedających w Priwislanskim Kraju. Rzecz w tym, że to Rosja importowała produkty włókiennicze z tkaniny Żyrardowa i Łodzi. Tutejsi producenci robili kokosowe interesy, ale kiedy po upadku powstania styczniowego zniesiono granicę celną między Kongresówką a cesarstwem. Prusowi nie chodzi w tym przypadku o przystawanie przedsięwzięcia do realiów historycznych

i ekonomicznych, lecz o przykład pracy organicznej i o to, że Wokulski obrażony na cały świat wycofał się ze spółki, a spółkę przejęli Żydzi. A powód wycofania się Wokulskiego był taki, że narzeczona Izabela zdradziła go jeszcze przed ślubem. Akt pracy organicznej upadł, i musiał upaść, skoro Wokulski uznał, że wkład arystokratów do spółki to tylko pieniądze, a nie przede wszystkim Izabela. On się ze zobowiązań wywiązał, dywidendy rzetelnie wypłacił, a skoro Izabeli nie dostał, poczuł się oszukany. Taka to logika kupiecka! Węgiełek, prosty rzemieślnik, okazał się mądrzejszy – warsztatu nie zlikwidował, Żydom go nie sprzedał, choć jego relacje małżeńskie popsuł jak Wokulskiemu ten sam Starski.

Trudno mi przyznać rację Monografiście *Lalki*, który napisał, że klęska ideologii pozytywistycznej została przez Prusa zatarta. Przeciwnie – została przez Prusa w sposób dramatyczny wyeksponowana.

Zabawa dziewiąta

A z Paryżem u Prusa jest trochę tak jak z Warszawą, z tą jednak różnicą, że o ile obraz Warszawy i jej mieszkańców jest prawdziwy, o tyle powieściowy obraz Paryża jest wierny, ale jego mieszkańcy przedstawieni zostali w sposób niezwykle tendencyjny, czyli nieprawdziwy. W Paryżu Prusa nie istnieją ludzie uczciwi i rzetelni. W Paryżu ludzie żyją zgodnie z prawem doboru naturalnego. Pierwszą osobą, z jaką w Grand Hotelu zetknął się Wokulski, jest niejaki Miller. Ktoś z obsługi hotelowej. W rozmowie z Wokulskim, wiedząc doskonale, z kim rozmawia, gra on na antypruskiej nucie: „Naprawdę jednak jestem Alzatczyk, i na honor, zamiast brać od pana, jeszcze płaciłbym dziesięć franków dziennie, byleśmy raz skończyli z Prusakami”. Taka jest jego stawka i oczekiwania. I patriotyzm. A o panu Jumart mówi: „Bardzo zdolny człowiek i duże mógłby panu oddać usługi, gdyby był pewny tak... z tysiąc franków gratyfikacji”. I radzi ów Alzatczyk, żeby uważać na baronową, która, jak można domniemywać, ma do sprzedania tę samą informację, co pan Jumart. Sam Jumart mówi o sobie, że jest tym, w czyjej oborze mieszka: wołem między wołami, koniem między końmi. W słowniku języka francuskiego ani w Larroussie wyrazu jumart nie znalazłem, ale istnieje w dobrym słowniku angielskim z adnotacją, że to wyraz pochodzenia francuskiego i oznacza potomka byka i kłaczy, dokładnie to, co prezentuje sobą monsieur Jumart i do czego przyznaje się bez żenady.

Wokulski nie zrozumiał, że Jumart składa mu propozycję: gotów jest oddać usługi jemu albo komuś innemu. Nie dał Wokulski Jumartowi tysiąca franków, pójdzie Jumart na współpracę Geistem.

Taki wniosek nie jest nadużyciem interpretacyjnym, jeśli wziąć pod uwagę niemal natychmiastowe zjawienie się Geista i Palmieriego – hipnotyzera i kogoś, kto hipnotyzera będzie udawał. A jeden z monografistów napisał taką dla czytelnika przestrożę: „Analizując jednak powieść realistyczną tego rodzaju co *Lalka*, która daje czytelnikowi wyjaśnienia motywacyjne, nie mamy prawa uzupełniać jej swoimi przypuszczeniami”. Tak, Prus daje tu i tam wyjaśnienia motywacyjne, na przykład informując czytelnika, dlaczego Wokulski uprawia filantropię, ale daje też Prus czytelnikowi wiele okazji uzyskania satysfakcji czytelniczej, kiedy on sam doczyta się motywów postępowania postaci. Jako czytelnik *Lalki* chętnie z takich okazji korzystam.

Jumart, trzeba przyznać, ma bardzo paryski stosunek do ludzi. Sam będąc kosmopolitą bądź kosmopolitę udając, dzieli ludzi na cztery „narodowości”. Do pierwszej należą ci, o których Jumart wie, skąd biorą pieniądze i na co je wydają, i tylko tych szanuje; do drugiej ci, o których wie, skąd biorą pieniądze, ale nie wie, na co je wydają; do trzeciej ci, co mają znane wydatki, ale nieznane są źródła ich dochodów; do czwartej ci, o których dochodach i wydatkach Jumart się nie dowiedział. Do tej grupy zaliczył Jumart baronową, która zjawi się u Wokulskiego z propozycją sprzedania za dwadzieścia tysięcy franków tajemnicy, prawdopodobnie tej, wartość której Jumart wyliczył na tysiąc franków.

Kiedy Wokulski urażony tą antropologią Jumarta informuje go, że jest kupcem, ten odpowiada: „Wiem o tym. I jeszcze jest pan przyjacielem pana Siuzę, co także daje pewien procent”. No i przychodzą do Wokulskiego interesanci – oszuści, naciągacze, sprzedawcy tajemnic, orderów i tytułów, nawet metody wygrywania w ruletkę. A na końcu Geist.

O Paryżu mówi Wokulski na podstawie swoich obserwacji, że ludzie pracują tu po szesnaście godzin na dobę bez względu na niedziele i święta, że tylko najsilniejsi i najzdolniejsi mają prawo do życia i oni właśnie „znajdują tu zaspokojenie wszelkich potrzeb”. I uznaje Wokulski taki stan rzeczy za wzorcowy jako ten, który deklarował się jako wyznawca prawa doboru naturalnego. Dlaczego Monografista uważa taki Paryż za realistyczną utopię, za miasto optymalne – nie wiem.

Otóż takiego Paryża, jakiego obraz Prus nakreślił, nigdy nie było i nie ma, co nie znaczy, że Francuzi nie kochają pieniędzy. Właśnie taki Paryż był Prusowi potrzebny jako przykład populacji – populacji, bo przecież nie społeczeństwa – egzystującej na zasadach doboru naturalnego, żeby skompromitować Wokulskiego, a czytelnikowi dać do myślenia, co go czeka, gdy dostanie się w łapy Geista.

Zabawa dziesiąta

A cóż dobrego może Wokulskiego czekać? Zdeklarowany outsider powiedział nam, że jest kompletnie wyobcowany. Czy Wokulski kocha Izabelę? Chyba nie, na pewno nie! Pragnie, aby go ona, skądinąd do miłości absolutnie niezdolna, pokochała. Outsider też do miłości niezdolny, więc skończyło się tak, jak mogło się skończyć, czy jak musiało się skończyć. Jest to jeszcze jedna z wielu w *Lalce* manifestacji rozkładu społecznego. Kiedy w czasie tamtej pamiętnej wizyty w kościele usłyszał Wokulski napomnienie Boga: „Może jesteś okiem żelaznego przetaka, w który rzucę ich wszystkich, aby oddzielić stęchłe plewy od ziarna”, zamiast przemyśleć to, co usłyszał, stwierdził, że to przywidzenie chorej wyobraźni, a kiedy Szatan-Geist podsunął mu w Łazienkach przywidzenie chorej wyobraźni w postaci sięgającego chmur pomnika Sławy, Wokulski uznał je za obietnicę czystej i wiecznej piękności, za obietnicę największej uciechy – po które pojedzie do Paryża, żeby go więcej nikt nie zobaczył. Na zatrąte.

Zabawa jedenasta

Tak więc wiemy, co się musiało z Wokulskim stać, natomiast należy się zastanowić, skąd się taki Wokulski w *Lalce* wziął, bo przecież taka postać nie należy do garnituru pozytywistycznych powieści, do szeregu bohaterów

powieści realistycznej; nie sposób włączyć Wokulskiego do jakiegoś typu postaci. Odnacza się on wyrazistymi aż nadto cechami i odpowiadającym im – pozał się Boże – kodeksem moralnym. Człowiek wewnętrznie sprzeczny: niezwykle sprawny kupiec i przedsiębiorca, ale szalony idealista, naiwny, uparty marzyciel. Nie chce być subiektem w restauracji Hopfera, więc przygotowuje się do studiów, żeby poświęcić się nauce. Symbolicznym obrazem tych wysiłków jest wydobywanie się bez pomocy drabiny z piwnicznego składu win, ale niebawem rzuci studia i zdecyduje się przystąpić do powstania, co znowu wyobraża symboliczny, bardzo niebezpieczny skok z Nowego Zjazdu. Zesłany na Syberię, podejmuje tam jakieś badania naukowe, by po powrocie do Warszawy z konieczności ożenić się z wdową, właścicielką sklepu. Po jej śmierci zapatrzy się w teatrze na Izabelę Łecką i postanawia zdobyć majątek, który miałby sprawić, że Izabela go pokocha. Kiedy Izabela go zdradzi, zamarzy mu się sława, ale nie taka zwyczajna sława, lecz największa jakaś. Dominantą jego osobowości jest dążenie do osiągnięcia celów niemożliwych. Jest w tym dążeniu znamienity paradoks: Wokulski nazywa społeczeństwo fikcją, jest outsiderem, ale chce być sławny, więc niby kto miałby podziwiać i głosić wielkość i wiekopomność jego przyszłego dokonania?

Taką postać, tak przez Prusa uposażoną trzeba nazwać charakterem, charakterem dynamicznym, skoro w przebiegu akcji powieściowej Wokulski pod wpływem okoliczności zmienia cele swoich dążeń. Słownik terminów literackich podaje taką definicję charakteru: „Postać literacka wyraziście zindywidualizowana (w opozycji do typu), wyposażona w dobitne cechy osobowościowe i odpowiadający im kodeks norm moralnych oraz reguł postępowania”.

Nie wiem, czy Prus znał pisma siedemnastowiecznego pisarza francuskiego Jeana de La Bruyere albo osiemnastowiecznego N.S.R. Chamforta, którzy w swoich dziełach odświeżyli starożytny gatunek literacki należący do moralistyki, ale czy Prus znał ich dzieła, czy ich nie znał, stworzył charakter niepowtarzalny, tragiczny i wkomponował go w realistyczny obraz współczesnego mu społeczeństwa. Ale na tym nie koniec! Pod pewnymi względami Wokulski przypomina – przynajmniej mnie przypomina – postaci z późnośredniowiecznych moralitetów francuskich: *L'Homme pecheur* (Grzesznik) i *Bien avise, Mal avise*, co można tłumaczyć jako „dobrze/źle projektujący cele, które człowiek chce osiągnąć odpowiednio postępując”.

Lalka Bolesława Prusa, w której opowiedziana została historia Stanisława Wokulskiego, zawiera – jeśli z należytą uwagą tę wielką powieść czytać – naukę moralną, co prawda niewyartykułowaną *expressis verbis*, ale w sposób oczywisty wynikającą z klęski Wokulskiego. Jest więc *Lalka* rozbudowanym do rozmiarów trzech tomów rodzajem apologu.

Zabawa dwunasta, ostatnia

Skoro Prus nie sformułował – na szczęście – moralu, powinien to zrobić czytelnik *Lalki*. Na mój najzupełniej prywatny użytek odczytuję go tak: Jeśli, tak jak Wokulski, nie chcesz być podmiotem społecznie czynnym i społecznie użytecznym, możesz, tak jak Wokulski, zostać pomiotem doboru naturalnego. Rozważ to sobie!

ADAM KULAWIK

JANUSZ TERMER

SPEŁNIONE NIEISTNIENIE BOLESŁAWA LEŚMIANA

*Kiedys już Kartezjusz powiedział,
że myśli głębokie spotykamy raczej u poetów,
a nie filozofów.
Barbara Skarga*

Ta lektura przypomina coś znanego, ale nie pewne treści, tylko pewien gatunek wrażeń. Ten mianowicie, którego się doznawało niegdyś przy pierwszej lekturze klasycznych utworów poetyckich, kiedy to takie »szczęśliwe« utwory utożsamiały się jeszcze z poezją w ogóle. Jest to wrażenie dobrze ufundowane, pewne siebie, wrażenie szlachetnego kruszcu, wrażenie wysokiej rangi. Takie ballady jak oszałamiający Świdryga i Midryga, Dąb, Piła, Ballada dziadowska mogłyby od razu powędrować do wypisów gimnazjalnych.

Karol Irzykowski, 1920 r.

W 2017 r. przypadają dwie Leśmianowskie rocznice: 140 urodzin i 80 śmierci. Dobra to zatem okazja, by przypomnieć cały jego niezwykle dorobek literacki – eseistyczny i prozatorski, a zwłaszcza poetycki, nie zawsze, jak wiadomo, należycie doceniany za życia autora, należący obecnie do ścisłego kanonu klasyki współczesnej poezji polskiej XX w.

Bolesław Leśmian (właśc. Lesman, a pseudonim ponoć wymyślił mu sam Franz Fischer) urodził się w Warszawie (wedle zapisu metrykalnego 22 I 1877, acz na nagrobku na Powązkach widnieje data 1879) i tamże zmarł 5 XI 1937 r. Debiutował wierszami pisanymi po rosyjsku (zebrał je Marian Pankowski w książce *Wiersze rosyjskie*, 1956). Wczesne dzieciństwo i młodość spędził na Ukrainie. Studiował prawo w Kijowie, od 1901 w zamieszkał w Warszawie, przed pierwszą wojną światową przez kilka lat przebywał we Francji. Współpracował z „Chimerą” Zenona Przesmyckiego (Miriamy). W latach I wojny światowej był w Łodzi kierownikiem literackim Teatru Polskiego. Po wojnie notariuszem w Hru i Zamościu. Został wybrany do Polskiej Akademii Literatury w 1933 r. Opublikował tomy wierszy: *Sad rozstajny*, 1912, *Łąka*, 1920, *Napój cienisty*, 1936, pośmiertnie *Dzieńba leśna*, 1938, *Szkice literackie*, 1959, *Z pism Bolesława Leśmiana*,

1.1-2, komentarz i oprac. J. Trznadel, 1959–1965, oraz wznawiane potem prozatorskie *Klechdy sezamowe*, 1912, *Przygody Sindbada Żeglarza*, 1913, oraz *Klechdy polskie* (1956); *Wiersze wybrane*, wybór i wstęp M. Jastrun, 1955; *Poezje wybrane*, oprac. i wstęp J. Trznadel, Biblioteka Narodowa, 1974, 1983 i 1991; *Skrzypek opętany*, wstęp i oprac. R. H. Stone, 1985; *Zdżiczenie obyczajów pośmiertnych*, wstęp i oprac. J. Trznadel, 1998; *Poezje*, t. 1-2, 2017.

I.

Gdyby pewne charakterystyczne środki literackie, takie jak oksymorony czy tautologie, którymi w całej swej twórczości Leśmian posługiwał się z wielkim upodobaniem, trafiły (anonimowo oczywiście) jako – przypuśćmy – elementy szkolnego wypracowania do wielu naszych wspaniałych pań gimnazjalnych polonistek, to musiałyby one bez przerwy używać czerwonego ołówka i wykrzykników do podkreślania „błędów stylistycznych”. A na tych to „błędach” zbudowana jest w znacznej mierze poetyka, widzenia świata i filozofia tego poety!

Oto wiersze z pierwszego już zbioru Leśmiana *Sad rozstajny* (1912) były wyrazem owej bardzo jego tak oryginalnej postawy w ukazywaniu człowieczej doli, natury ludzkiej i jakże ważnego dla niego świata przyrody... Prezentował w nich stylistykę i postawę przewrotną, i głęboko ironicznie przekorną, wyraziście zdystansowaną wobec aktualnych prądów i mód panujących w poezji polskiej tamtych, jeszcze przed i międzywojennych, czasów (np. futurizm, Awangarda krakowska czy grupa Skamandra). Ale uznanie dla jego poetyckiego dorobku nie nastąpiło wcale tak szybko, jak mogłoby się to nam wydawać z dzisiejszej perspektywy historycznoliterackiej i zdobytej przez niego popularności czytelniczej oraz trwałego krytycznego zainteresowania. Długo bowiem oficjalnie nie doceniano (z wyjątkami) poezji Leśmiana. Zarzucano mu staroświeckość, archaiczność języka, niezrozumiałość, paseizm... Jeszcze w wiele lat po II wojnie światowej noblista Czesław Miłosz bił się z tego powodu w piersi (własne) – w swych wydanych w 1972 r. *Prywatnych*

obowiązkach, pisząc: „Ważną nauką powinna być pomyłka mojego pokolenia co do Leśmiana, bo przysłonił go nam język młodopolski, a więc staroświecki, i nie widzieliśmy myślowej precyzji, która jeżeli jest nie potrzebuje się obawiać późniejszych zmian stylu, czyli byliśmy jak sprzedawca, w sklepie konfekcji męskiej, który osądza dobro i zło, według kroju ubrania”.

Utwory liryczne, erotyki i ballady Bolesława Leśmiana, tak pełne zadumy nad podstawowymi sprawami, zagadkami i paradoksami istnienia świata i człowieka, są pełne owych charakterystycznych i rozpoznawalnych na pierwszy rzut oka cech jego poetyckiej dykcji. Tonacji skrytego w nich delikatnego humoru i ironii, a często nawet i rubasznego dowcipu czy też wykorzystywania gry słów oraz tworzenia słów nowych (stał się nawet mistrzem w tworzeniu neologizmów-„Leśmianów”). Jego wiersze, w których odwołuje się najczęściej do specyficznie wyimaginowanej (nie)rzeczywistości „zaświatowej”, mają zazwyczaj nastrój wyrafinowanej, złożonej z wielu pozornie kontradiktorycznych elementów, tak niby prostej bezpretensjonalnej zabawy słownej, kpin wręcz z języka i słów „napuszonych”, a które w gruncie rzeczy **się po niebie włóczą i łajdaczą (Poeta)**. A które przyciągają uwagę swoją niezwykłością, silnie zapadającą w naszą czytelniczą pamięć. Między innymi też dlatego, że w mniej lub bardziej poważny, czytelny i otwarty sposób mówią zawsze o sprawach istotnych. O sprzecznościach, ukrytych dramatach, niepokojach i niespodziankach towarzyszących byciu w świecie owego oksymoronicznego „spełnionego nieistnienia” bohaterów. Jak choćby, na przykład, w charakterystycznie dla znacznej części jego twórczości zbudowanej poetyckiej *Balladzie bezludnej z tomu „Łąka”*.

Ta tak swoiście Leśmianowska, pozornie niestychanie irracjonalnie „zaświatowa” rzeczywistość, ukazująca świat jako „jedność bytu i niebytu”, odwołująca się do ludowych wyobrażeń religijnych (mitologicznych), acz podlegających, jak zawsze u Leśmiana, znaczącej interpretacyjnej rewizji. „Egzaltowana wyobraźnia – pisał Artur Sandauer – kojarzy się u niego w stopniu rzadkim ze zdrowym rozsądkiem: pierwsze skłania go do tworzenia fantazmatów, drugie – do odsądzania ich od rzeczywistości”!

Jak zauważa wnikliwy interpretator tej poezji – Michał Głowiński w szkicach *Zaświat przedstawiony* (1981) ta rzeczywistość leśmianowska jednak „ma charakter bardzo konkretny, chciałoby się powiedzieć – materialny. I tutaj właśnie operuje duch opowieści (dodajmy, iż chodzi tu o termin Tomasza Manna z jego powieści „Wybraniec”, gdzie w średniowiecznym Rzymie po biją dzwony przez nikogo nie uruchamiane! – J.T.), który za pomocą słowa dokonuje cudów. Cudem zasadniczym jest to, że sama nicość (i jej pochodne) traktowana jest jak przedmiot materialny; dzieje się tak dlatego, że słowami ją określającymi postępuje poeta w ten sposób jakby należały do zupełnie innej kategorii... Zwróćmy uwagę, że buduje on opis z szeregu konkretnych wręcz namacalnych szczegółów... Ta bezludna łąka staje się przecież miejscem, na którym rozgrywa się dramat spełnionego nieistnienia. Jej ujęcie czasowe i przestrzenne staje się jednym z istotnych czynników jednolitości... Jest to przestrzeń w jakimś sensie nieskończona, skoro nazwana została bezmia-

rem – nieskończoność jest zresztą jednym z istotniejszych motywów, występujących w poezji Leśmiana”.

Pająk w nicość się nastawił, by pochwycić cień jej cienia, Bąk otrąbił uroczystość spełnionego nieistnienia, Żuki grały jej potrupne, świerszcze – pieśni powitalne, Kwiaty wiły się we wieńce, ach, we wieńce pożegnalne! Wszyscy byli w owym miejscu nasłonecznym, na obrzędzie Prócz tej jednej, co nie mogła, a nie była i nie będzie!

II.

Badacze zgodnie podkreślają znaczące dla tej poezji wpływy modernistycznej – literackiej i filozoficznej myśli europejskiej z przełomu XIX i XX w., szczególnie francuskich symbolistów – Charlesa Baudealaira’a, Stefana Mallarmé, Maurycego Maeterlincka, Paula Verlaine’a, Paula Valéry’ego oraz innych jeszcze poetów ówczesnych, takich jak Maurice Maeterlinck, Rainer Maria Rilke, a także bliskich Leśmianowi nie tylko podczas pobytu w Kijowie popularnych rosyjskich symbolistów (Walerij Briusow, Konstantin Balmont, Andriej Bielyj, Aleksander Błok) i bliskich im akmeistów (Osip Mandelsztam, Anna Achmatowa, Marina Cwietajewa). Podkreślane są też ważne dla poetyckich i teoretycznych koncepcji Leśmiana lektury takich filozofów jak Fryderyk Nietzsche, Søren Kierkegaard czy Henri Bergson (który fascynował go szczególnie, między innymi jako autor studium *O śmiechu*). Lecz są to jednak tylko jedne z wielu dla niego źródeł inspiracji; niejako wstępny punkt wyjścia do samodzielnych przemyśleń i zaskakujących własnych pomysłów literackich oraz ich obrazowych przywołań, które odnaleźć przecież można także i w jego własnych, ogromnie interesujących rozważaniach; studiach i esejach krytycznych, początkowo znanych częściowo z rozsypanych druków prasowych (zebranych pośmiertnie w tomach „*Szkice literackie*”, 1959 oraz „*Z pism Bolesława Leśmiana*”, t. 1-2, 1959-1965).

Zdaniem większości krytyków decydującymi czynnikami kształtującymi poglądy literackie Leśmiana oraz jego poetykę są inspiracje płynące z – przełomowego dla całej nowoczesnej literatury europejskiej – nurtu artystycznego, tak bardzo zróżnicowanego zresztą, zwanego symbolizmem – rodzącego się w reakcji i buncie wobec klasycyzmu. Leśmian – uważa jeden z jego zagranicznych interpretatorów Paul Coates, autor rozprawy *Identyfikacja i nieidentyfikacja w twórczości Bolesława Leśmiana. Studium o tautologii, paradoksie i lustrze* (1986) „pozostaje symbolistą nawet wtedy, gdy odrzuca symbolizm istoty, bo sugestywność symbolistycznego programu pozbawiła ten nurt określonego znaczenia; stał się azylem dla różnych twórczych dążeń. Julia Krysteva ma rację twierdząc, że symbolizm jest punktem odniesienia wszystkich nowoczesnych utworów”. Skostniałym tradycyjnym wzorcom poezjowania poprzedników, Mallarmé i inni bliscy mu ideowo poeci przeciwstawiali nowy rodzaj wrażliwości artystycznej i estetycznej: wizyjność, sugestywność, wieloznaczność, aluzyjność, muzyczność, rytmizację budowy strof i fraz poetyckich, fantastyczność obrazowania, wielką różnorodność ekspresyjnych form wyrazowych i swoistą „mitologizację” języka poetyckiego. Wiersz Leśmiana – zauważa Coates – „działa sugestią i wieloznacznością; wymaga od nas współpracy i czyni nas poetami”. Odwołania do wyobraźni, do świata obrazów i pojęć odbywają się tutaj doskonale bez we-

rystycznych, płasko racjonalnych uzasadnień. Także również i w sferze skomplikowanych i wielokształtnych konstrukcji, nazbyt, jak na gust klasyków, złożonych postaci literackich jego niezwykłych „bohaterów” (niekoniecznie osobowych, częstokroć nie pochodzących przecież tu ze świata ludzkiego, chociaż myślących i reagujących jak ludzie!). Bardzo odległych od tradycyjnych zasad kompozycji, związanych z tak zwanym życiowym prawdopodobieństwem sytuacyjnym, odstających też wyraziście, by nie rzec wręcz prowokacyjnie ostentacyjnie, od ścisłego rygoryzowania logicznego toku prezentowania konkretnych ich życiowych doświadczeń i przeżyć, jakie znamy z poetyckiego świata przedstawianego poprzedników czy z realistycznie fabularnych utworów prozatorskich. Widać to choćby w typowej balladzie Leśmiana *Pan Błyszczczyński z tomu „Napój cienisty”*:

Ogród pana Błyszczczyńskiego zielenieje na wymroczu,
Gdzie się cud rozrasta w zgrozę i bezprawie.
Sam go wywiódł z nicości błyszczydłami swych oczu
I utrwalił na podśnionym drzewem trawie.

III.

Takie kategorie jak czas i przestrzeń w wierszach Leśmiana są zawsze bliżej nieokreślone historycznie, ani nie są mierzalne żadnymi zegarami czy innymi znanymi ze świata realnego miarami. W poezji Leśmiana czas nie jest linearny, a „kolisty”, wszystko trwa w wiecznym „teraz”, nie ma tu przeszłości ani przyszłości; jak w filozofii hinduskiej, tak wtedy w Europie modnej. Świat poetycki Leśmiana wypełniają i zaludniają najczęściej byty z gatunku „fikcji realnej” (oksymoron to, jak się rzekło, istotny retorycznie i poznawczo nośny chwyt w jego poezji). Czerpane są ze starego repertuaru baśniowo-symbolicznych zasobów ludzkości, jak i dawnych folklorystycznych opowieści i eposów. Co tak bliskie jest myśleniu nowoczesnego poety symbolisty. Poety – jedynego obecnie, jego zdaniem, przedstawiciela tego „gatunku” człowieka, który nazywany jest przez filozofów badaczy antropologów i etnologów z początku XX w. (np. James-George Frazer, Gustaw Jung, Bronisław Malinowski, Claude Levi-Strauss, Mircea Eliade – „człowiekiem pierwotnym” (bez konotacji pejoratywnej oczywiście). Tego „naturalnego”, nieskażonego rozwojem cywilizacji i nauki reprezentanta wczesnej fazy ewolucyjnej człowieka historycznego, ukształtowanego w okresie „dzieciństwa ludzkości” – według koncepcji wywodzących się z myśli włoskiego myśliciela Giambattisty Vico (odkrytego dopiero w XIX w.), podejmowanych w filozoficznym dyskursie oświeceniowym (Jan Jakub Rousseau we Francji czy Johann Gottfried Herder w Niemczech). Idei rozwijanych w praktyce literackiej czasu wielkich twórców poezji romantycznej (Byron, Blake, Hugo, Mickiewicz, Słowacki...), a następnie pod koniec XIX wieku przejmowanych i podejmowanych na nowo przez Nietzschego czy Bergsona w ich intuicjonistycznej i witalistycznej idei życia ludzkiego, gdzie poezja i wszelka istotna twórczość artystyczna to próba odcinania się i ucieczki od nader racjonalnie uporządkowanej, pozytywistycznej rzeczywistości. Ucieczki wielu ówczesnych twórców nowej kultury i nowej wrażliwości, poszukujących własnej drogi do owej mitycznej i wyśnionej krainy nieba – „nieograniczonego królestwa możliwości”, jak pisał o tym sam Leśmian. Oto, jak po-

wiada w szkicu *Znaczenie pośrednictwa w metafizyce życia zbiorowego* (1910): „Ów człowiek pierwotny, dążył do tego aby obrazy, które widział, stały się jego myślami. My zaś przeciwnie – staramy się o to, aby myśli nasze stały się obrazami. My obrazujemy myśli. On – przemysliwał obrazy... Był bardziej ludzkim, bardziej sobą, bardziej antropomorficznym...”. Co dziś jest wedle niego dostępne wyłącznie w dziedzinie sztuki, szczególnie zwłaszcza w poezji. W podobnym duchu wypowiadali się niektórzy nasi poeci młodopolscy, jak Antoni Lange czy Stanisław Przybyszewski – bo w ich przekonaniu dawało to artyście możliwość zaniegowania świata mieszczańskiego, ujawniania ludzkiego konformizmu duchowego i neglizowanie obowiązującej „filisterskiej” – jak to wtedy nazywano – i kapitalistycznej logiki społecznych stosunków oraz stwarzało szansę dla artysty na omijanie w twórczości pułapek wąsko racjonalistycznego ujmowania świata poprzez ten właśnie „staro-nowy” sposób. Tego tak rzekomo – wedle potocznego wówczas przekonania – irracjonalnego sposobu widzenia rzeczywistości i obrazowania, wyboru owych „irracjonalnych” środków, jako elementów poetyckiej ekspresji. Oto jednak w praktyce poetyckiej Leśmiana, który tak świadomie symultanicznie i systemowo łączy skrajne przeciwieństwa, nijak się niby nie mające do realnej codziennej rzeczywistości elementy owego baśniowego, symbolicznego czy irracjonalnego obrazowania poetyckiego. Zawarte w tej osobliwie niby tak irracjonalnej strukturze jego wierszy, pozwalają mu, jak się okazuje w efekcie – o paradoksie epistemologiczny! – na opisywanie świata w efekcie ostatecznym i w wymowie ogólnej dalekiej od irracjonalności. Stwarzają szansę na poznawanie wielu „zakrytych” dotąd aspektów i przejawów rzeczywistości, szczególnie tych niedostępnych w inny sposób.

Zwolenników tej tezy jest pośród krytyków literackich zresztą wielu, m.in. Ireneusz Opacki w szkicu „Pośmiertna w głębi jezior maska” z tomu zbiorowego „Szkice o Leśmianie” (1971) podkreśla mocno te poznawcze dążności i aspekty w poezji Leśmiana. A sam poeta w szkicu „Rozmyślenia o poezji” tak mówi o zadaniach i funkcji poezji w życiu publicznym: „wiersz powinien przemawiać nie tylko do serca i umysłu, lecz i do pamięci. Śpiewak powierzał swe pieśni pamięci rapsodów i żonglerów...”. Bo poezja była kiedyś, jak wiadomo, tworem ustnym, anonimowym, recytowanym lub śpiewanym, zrozumiałym przez całą „pierwotną” wspólnotę, bo operującym znanym wszystkim materiałem i repertuarem baśniowym i magicznym. Wywierała przez to wielki wpływ na poglądy słuchaczy, widzenie, rozumienie oraz „oswajanie” otaczającego groźnego, nieprzyjemnego świata. Młody polski krytyk Ludwik Fryde już w latach 30. XX w. używał dla określenia poezji Leśmiana terminu „realizm metafizyczny”. Tak naturalne pytanie o transcendencję jako jedną z potrzeb człowieka, istotnie pojawia się często w wierszach i szkicach Leśmiana w rozmaitych konfiguracjach obrazowych, z tym iż – jak zauważa to Jacek Trznadel – sama możliwość transcendencji zostaje tu nieustannie podawana w wątpliwość, co „stanowi jeden ze składników tragizmu tej poezji”.

W szkicu „Rozmyślenia o Bergsonie” Leśmian tak oto formułuje to wprost: „Baśń po pewnym czasie zginąć musi (...) baśń ta jednakże gra rolę poważną w naszym

myśleniu: rolę tęczowego mostu, który nas łączy z dziedziną nielogicznego myślenia". Natomiast w wyjątkowo bezpośrednio i wprost wyrażonej w języku poetyckim puencie jednego z autotematycznych wierszy – *Zamyślenie z tomu „Łąka”*, bardzo charakterystycznego dla jego sposobu myślenia o poezji i jej uprawiania, wyznaje, że nie pociąga go wcale pisarstwo, które nazwać by można wytworem jego „własnej duszy”, a podkreśla z całą mocą swej poetyckiej „perswazji”, że podchodzi ono do niego ze „świata zewnętrznego”. Ale wcale nie za sprawą jakiegos romantycznego pozarozumowego, płynącego nie wiadomo skąd irracjonalnego poetyckiego natchnionego myślenia. „Nie działają tu irracjonalne moce – pisze Michał Głowiński – *Pieśń*, bo tym słowem zwykł Leśmian najczęściej określać w swych wierszach poezję, przychodzi ze świata natury, jest niejako zjawiskiem przyrodniczym – poeta w ów żywioł się wsluchuje... i występuje tutaj nie jako absolutny twórca nowych wartości i nowych form powstających z niczego, podległych tylko jego zdolnościom kreacyjnym, zarysowuje się raczej jako odkrywca zjawisk istniejących obiektywnie w przyrodzie i – następnie – ich tłumacz na ludziom dostępne słowo”.

IV.

Nic zatem dziwnego, że Bolesław Leśmian eksponujący tak mocno poznawcze funkcje poezji i wiarę w twórcze moce poetyckiego języka nawiązuje też tak często bezpośrednio do poezji polskiego baroku – do jego pociągających go „dziwactw” stylistycznych oczywiście także. Oraz do szczególnie go poruszających renesansowych humanistycznych tradycji filozoficznych i poetyckich – horacjańskich nut obecnych w twórczości największego mistrza poezji całej słowiańszczyzny Jana z Czarnolasu:

Niech się pieśni me same ze siebie wy gwarzą,
Obym ich nie dobywał, ale sobie dożył!
Nie chcę im górować ni barwić się twarzą,
Jeno być niewidzialnym, jak ten, co mnie stworzył.

V.

Bolesław Leśmian używa częstokroć słowa „pleciuga” jako synonimu Poety (np. narrator z poematu *Dwaj Macieje* – **Pleć, pleciugo!**). To jego autookreślenie uważane jest przez monografistę Leśmiana – Jacka Trznadla – za najtrafniejszy jego autorski wynalazek słowotwórczy. Bo, „jeśli on p l e c i u g a jest leśmianowskim śpiewakiem, to w tym określeniu wyjaśnia się i humor, i przesada narracji, jej wieloznaczność, pokretny charakter wyrażanych treści, częste pobliże paradoksu i nonsensu. Ani bard historyczny w rodzaju Wernyhora czy Bojana, ani autentyczny opowiadacz nie odpowiadałby wersji Leśmianowskiej. Odpowiadał jej *pleciuga*, u którego ludowy rozsądek, przemieszany był z nonsensem, powaga z drwiną i ironią, dobroduszość z chytrnością. Odpowiadał on leśmianowskiemu widzeniu świata, gdzie sensu trzeba się dobijać przez bezsens, groteska miesza się z powagą, natchnienie z emocjonalnym tokiem wyrazów łączonych tylko rymem”.

Nie od dziś wiadomo bowiem, że tak wieloznaczna kategoria literacka jak realizm i racjonalizm poznawczy przesłania ostatecznej wymowy dzieła, jest niezależny od używanych przez autora środków wyrazu, a osiągać może być niekoniecznie tylko, jak uważano kiedyś,

poprzez odwzorowywanie rzeczywistości historycznej, społeczno-obyczajowej czy psychologicznej środkami uznawanymi za realistyczne, jak to miało miejsce w dawniejszych, pozytywistycznej jeszcze proweniencji, teoriach literatury. Pokazał to dobitnie nie kto inny jak francuski lewicowy filozof, antropolog kultury, członek FPK i wpływowy publicysta Roger Garaudy w książce *Realizm bez granic. Picasso – Saint-John Perce – Kafka*, wydanej we Francji 1963 (tłum. pol. 1967), budząc wielką dyskusję pośród badaczy o tradycyjnych i uproszczonych dogmatycznie quasi-marksistowskich poglądach estetycznych, zwłaszcza tych związanych z koncepcją tak zwanego „realizmu socjalistycznego”, formułowaną i ściśle kodyfikowaną w latach 30. XX w. w Związku Radzieckim. Pisał Garaudy tak między innymi o prozie autora *Procesu* i *Zamku*, a co mogłoby dotyczyć, w ogólności rzecz jasna, także i autora *Dziejby leśnej*: „Jak wszyscy wielcy twórcy, Kafka widzi i konstruuje świat z obrazów i symboli, dostrzega i uświadamia nam związki między rzeczami, jednoczy w niepodzielną całość doświadczenie, sny, zmyślenie, magię nawet w tym nakładaniu się znaczeń ukazuje każdemu zarys spraw powszechnych, minionych marzeń, idei filozoficznych lub religijnych i wyraża pragnienie wyjścia poza zamknięty krąg świata”.

VI.

Głównym przedmiotem uwagi są w poezji Leśmiana podstawowe dylematy egzystencjalne jednostki; dramat poszukiwania sensu życia, działania i pracy ludzkiej człowieka zawsze uwikłanego w kontekstach idei swej epoki kulturowej, w jej sprzecznościach, bezładzie ideowym, chaosie teraźniejszości. I niech nas nie mylą wszystkie te specyficzne osobliwości i niezwykłości sztafażu poetyki leśmianowskiej. Tak pełnej owych niesamowitości „zaświatowych” i zaskakującej realistyczno-magicznej i baśniowej „cudowności” (znanej potem z prozy iberoamerykańskiej lat 50. i 60. XX wieku). Nigdy też w jego poezji to co dla niego najważniejsze, to na czym mu naprawdę zależy, nie jest wyrażane wprost, w języku pozapoetyckim, pozaobrazowym.

Ale owe główne u Leśmiana motywy problemowe: nieuchronności losu ludzkiego, oczekującej nieustannie, czyhającej na człowieka nicości, zagłady i biologicznej śmierci, są ujmowane przez niego – jakbyśmy dziś powiedzieli za pisarzami egzystencjalistami (Jean-Paul Sartre, Albert Camus, Antoine Saint-Exupéry) – w duchu lak zwanego laickiego tragicznego humanizmu. Na przykład w znanych i często przywoływanych wierszach, jak *Szewczyk*, *Garbus*, *Zakłęcie*, *Dziewczyzna*). Głównym „wrogiem” człowieka jest tu dla poety i myśliciela Leśmiana nie tylko ten niesamowity, obcy i często niepojęty, choć tak twórczo inspirujący i ważny dlań świat zewnętrzny, świat przyrody, ale także i drugi człowiek („piekło to inni” – J.P. Sartre).

Prof. Kazimierz Wyka, krytyk z pokolenia Ludwika Frydrego, analizujący w latach 60. bardziej może jeszcze niż inne wiersze Leśmiana tak wieloznaczny w swej wymowie utwór – *Dziewczyzna* – używał terminu „ballada filozoficzna”, przestrzegając zarazem przed odczytywaniem tej poezji jakby to nie były utwory wierszowane, poetyckie, czyli szczególnie zorganizowane językowo i wersyfikacyjnie tworzące ową „wartość dodaną”:

Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadało mur od
marzeń strony...

I pokochali głosu dźwięk, i chętny domysł
o Dziewczynie...

Mówili o niej: „Łka więc jest!” - I nic innego nie mówili...
Porwali młoty w twardą dłoń i jęli w mury tłuc
z łoskotem...)

Daje też przy tym sam taką oto próbę wykładni znaczeniowej tego znanego wiersza: „wprawdzie nasze dążenia do celów są dążeniami do złudzeń i snów, wprawdzie za tajemnicy murem nie ma żadnej Dziewczyny i nie posiadamy gwarancji, by kiedykolwiek ona tam była, ale nie sceptyczna rezygnacja stąd wynika. Wynika nakaz bezwzględny, nakaz bohaterski dążenia. Motyw sceptyczny zostaje przeważony położonym na drugiej szali motywem stoickim. Ostatni dwuwiersz nadaje temu barwę groźnego ostrzeżenia, przestrogi przed lekceważeniem celów, chociaż skądinąd są one **klamliwym snem, zmarniałym w nicłość cudem**. Identyczną jest wymowa trzeciego od końca dwuwiersza:

„I była zgroza nagłych ciszt! I była próżnia w całym niebie!
A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?”

VII.

Pogłębieniu ulega w późniejszej twórczości, w wielu leśmianowskich tekstach poetyckich tonacja elegijna, ciemna, poznawczo gorzka i posepną; następuje przechodzenie od rubasznego i witalnego humoru wielu wcześniejszych „naturalnych” liryków w stronę balladowej groteski o ironiczno-tragicznym zabarwieniu, jak *Dwaj Macieje*, *Sen wiejski*, *Dusiółek*. Ta ostatnia ballada, z tomu *Łąka*, to znamienity przykład nawiązywania i wykorzystywania przez poetę motywów ludowych. Bohater *Dusiółka* to baśniowy plebejski obieżyświat Bajdała (nazwisko to przywołuje długi ciąg etymologiczny: bajdurzyć, baj-baju, bając, bajka itp.), który zasnawszy, by **przespać upaść w upale**, ma sen, że dusi go diabeł zwany Dusiołkiem – **półbabeł**, co to **Ogon miał ci z rzemyka, / Podogonie zaś z tyka**. Obudziwszy się prowadzi żartobliwy, rubaszny i fantazyjnie przekorny, ludowej proveniencji, spór z towarzyszącymi mu **szkapą i wołu**, że go nie bronili oraz spór z samym Panem Bogiem: **Nie dość ci, żeś potworzył mnie, szkapę i woła, / Jeszcześ musiał takiego zmajstrować Dusiołka?** I tutaj znowu, jak pisze Wyka, od właściwego zrozumienia sensu wyrazu, jego kontekstów i intencji autorskich, zależy rozumienie całości: „Dusiółek” jest rodzaju męskiego, „ale ma też cechy starej baby, baby jędry. Wyobraźnia ludowa bywa w takich przypadkach antyfeministyczna i przyznając z jednej strony diabłu co diabelskie, całą resztę oddaje czarownikom, wiedźmom, strzygom, rodzajowi żeńskiemu”.

Natomiast w wierszu *Urszula Kochanowska* ze zbioru *Napój cienisty*, zastosował Leśmian formę bardziej klarowną językowo, ponieważ podmiotem lirycznym jest tutaj dziecko, Urszulka, córka słynnego poety, autora poetycko-filozoficznego renesansowego „pocieszenia” – *Trenów*. *Opowiada sama, jak trafiła w zaświaty, gdzie prowadziła rozmowę z Panem Bogiem wzruszonym jej bólem i tęsknotą. Jej miłość życia i rodziców okazuje się jednak tak wielka, że Urszulka nie marzy wcale o pięknie i wspaniałości raju, odrzuca łaskę boską, rozczarowana brakiem tam rodziców, chce tylko, żeby*

w niebie: Wszystko było tak samo, jak tam – w Czar-nolesie! „Próba ta tylko z pozoru się udała, skoro powstał dom w kubek w kubek jak nasz – czarnolaski, w istocie jednak rzeczywiście – zauważa Michał Głowiński – „zakończyła się klęską, gdy bohaterce nie udało się odzyskać tego, co było dla niej najcenniejsze, spotkała się z Bogiem, ale nie z oczekiwanymi rodzicami. Tradycyjny, wywodzący się z prastarych wyobrażeń religijnych, topos został tutaj odwrócony: niebiańska szczęśliwość nie stanowi rekompensaty tego co ziemskie, nie jest w stanie powetować utraty naszych ziemskich wartości. Urszula Kochanowska opowiedziała w tym wierszu nie o pocieszeniu w niebie, ale o rozczarowaniu”.

Podobnie w cenionym szczególnie przez znawców i czytelników wierszu Leśmiana *Don Kichot*, którego bohater słynny cevantesowski „rycerz smętnego oblicza” siedzi na marmurowej ławce, dumając nad tym, że dumać nie warto, zdobywa na koniec swego żywota taką oto „pocieszącą” go filozoficzną mądrość życiową:

**Biały anioł się schyla nad niewiary jeńcem
I całując go w czoło, przytłumianym głosem
Szepcze: „To także od niej”!... I nagłym rumieńcem
Zapłoniony odlata. A rycerz ukosem
W ślad jego napowietrzny nieufnie spoziera
I zachwiany w niewierze raz jeszcze umiera
Ową śmiercią, co wszelkim pocałunkom wzbrania
Budzić takich umarłych i w dniu zmartwychwstania!**

VIII.

Związek swoiście przetworzonego i wykorzystanego folkloru z wielką tradycją poezji polskiej (od Kochanowskiego po Norwida czy Staffa) wyraża się między innymi u Leśmiana także w oryginalnych, zaskakujących nawet niekiedy nawiązaniach do języka i tradycji obrazowania polskiej poezji sentymentalnej i romantycznie ludowej, jak np. w wierszu *Odjazd*, godnym notabene wpisywania do sztambuchów dziewczęcych (jeśli dziś, w dobie facebooka, jeszcze takie istnieją):

Gdym odjeżdżał na zawsze znajomym gościńcem
Patrzyły na mnie bratki wielkie, złote oczy...

W wierszu przesyconym nie tylko zaskakującymi neologizmami, ale i obrazową wizyjnością połączoną z realizmem szczegółu, baśniowością i groteskową fantastyką poeta zderza je po swojemu ze zmysłowością i konkretem, obserwacjami świata przyrody i swoistą „metafizycznością” rzeczywistości przedstawianej, pełnej rozlicznych, także i sentymentalno uczuciowych, erotycznych kontekstów (jak np. *W malinowym chruśniaku*). Jest wizjonerem i demiurgiem zaświatów, ale bywa i poetą społecznej nędzy, śpiewakiem wyklętych i wydziedziczonych przez życie i los, jak np. w wierszach: *Trupięgi*, *Poeta*, *Dwoje ludzików*, *Żołnierz*, *Garbus*... Ale i wówczas zachłanna na wszelkie przejawy życia wyobraźnia poety nie może pogodzić się ze śmiercią i nicością, nawiedza nieustannie krainy zmarłych, każąc bohaterom wsłuchiwać się w odgłosy życia, jak w niesamowitym wierszu *Pszczółki* czy *W zakątku cmentarza* z tomu *Napój cienisty*.

W wierszu *Szewczyk*, którego bohater należy do „nie wydarzonych” nędzarzy i włóczędów, próbuje Leśmian stawiać tragicznie heroiczny i głęboko humanistyczny opór pochłaniającej wszystko, w tym i ludzkie życie, naturze, brutalnej fizycznej entropii, rozpadowi materii, śmierci... Bohater *Szewczyka*, „szyjący nie-

ustannie, niczym mitologiczny Syzyf taszczący wiecz-
nie swój głaz pod górę, nigdy nie może skończyć szczy-
buta na miarę „nieobjętą”, boską – bo tylko w życio-
wej aktywności, w codziennym znojmym bytowaniu
i nieustającej nigdy pracy odnajduje owo dwuznaczne
poetycko „pocieszenie” oraz gorzki smak i sens życia”.
Leśmian, pisze Leszek Nowak, „wypowiada tu myśl
metafizyczną: w tzw. rzeczy nie ma nic poza cechami,
rzecz rozpiezcha się po cechach”:

W szyciu nie ma nic prócz szycia,
Więc szyjmy, póki starczy sity!
W życiu nie ma nic prócz życia,
Więc żyjmy aż po kres mogiły!

IX.

Nie będzie zatem wielkim nadużyciem przekona-
nie takie oto, że Leśmian był u nas niejako prekursorem
XX-wiecznego egzystencjalistycznego myślenia – w
najszerszym znaczeniu tego słowa – odległym od
wszelkiego doktrynalnego dogmatyzmu, gdyż ten typ
kultury, w której kręgu się wychowywał, działał i tworzył
autor Łąki (pamiętajmy o jego wieloletnich pobytach
studyjnych w Francji) rzeczywiście temu procesowi
intelektualnemu i artystycznemu sprzyjał (jak i, nawia-
sem mówiąc, w przypadku innych polskich twórców
tamtej epoki, z Witkacym i Gombrowiczem na czele).
W kontekście egzystencjalistycznym interpretuje po-
ezję Leśmiana wielu krytyków i badaczy, w tym Jacek
Trznadel – monografista poety i autor opracowania
jego Poezji wybranych – wydanych w serii Biblioteki
Narodowej (wyd. III 1991).

Osobliwością jednak i wyróżnikiem żywiołowej po-
stawy światopoglądowej, czyli panteizmu Leśmiana
jest to, że wychodził on od fascynacji kulturami pier-
wotnymi, zastanawiał się nad sposobami myślenia i od-
czuwania tego człowieka tamtej epoki – owego „poety
pierwotnego”. Zarazem jednak wychodził od tego wiel-
kiego zainteresowania bliskimi mu światami wyobraźni
kultury ludowej, poprzez które to między innymi czerpał
baśniowo-ludowe rekwizyty poetyckiej „pierwotnej” wy-
obraźni. I co najważniejsze wchodził on w ten sposób
by istotny i wyjątkowo oryginalnej natury i urody poetyc-
kiej spór z teizmem. „Jest to jedyny bodajże w dziejach
literatury i filozofii – pisał o tym Artur Sandauer – atak
na spirytualizm, skierowany nie z lewa, od strony mate-
rializmu, lecz właśnie z prawa – od samego spirytuali-
zmu, który sam siebie leczy przez własny nadmiar – jak
gdyby przez homeopatię. Z ruin bogów i Boga, marzeń
i wcieleń, wyłania się – jako wyraz ostatecznej mądro-
ści Leśmiana – bezbożny humanizm. Dwóch Maciejów,
którzy zdobywszy ziele nieśmiertelności obdarzają nim
Boga, by umrzeć – sami – jednocześnie i bezpowrot-
nie, po ludzku. Najwyższą wartością jest człowiek, któ-
ry ginie, stworzywszy wartości trwalsze od siebie”.

I jest to jest jedna z najważniejszych konsekwen-
cji Leśmianowskiego panteistycznego światopoglądu;
główna zarazem differentia specifica jego poezjowania,
niepowtarzalny w swym estetycznym kształcie wyróżnik
jego oryginalnego, tak mocno nadal, po wielu dziesię-
cioleciach od śmierci poety, przyciągającego odbiorców
jego poetyckiego słowa, razem z obecną w jego dziele
postawą estetyczną i życiową filozofią, choć może nie
zawsze i nie dla każdego w pełni zrozumiałą i atrakcyjną
tak kiedyś, jak i dziś. Ale też i podkreślić mocno trzeba,

że nie jest dla Leśmiana najważniejsza sama problema-
tyka światopoglądowa czy filozoficzna, bo zawodowym
filozofem przecież nie był. Podkreślał to zawodowy filo-
zof Leszek Nowak pisząc w szkicu (Unitarna) metafizy-
ka Bolesława Leśmiana (1996), że poeta ten „obmyślił
tak wiele rzeczy, o których (profesjonalnym) filozofom
nawet się nie śniło”. Gdzie mamy do czynienia ze swo-
istym „pluralizmem metafizycznym” – bliskim koncep-
cjom zapomnianego dziś filozofa, matematyka i pisarza
Leona Chwistka, mówiącego o „wielości rzeczywistości
w sztuce” (choć nie wiadomo do końca, czy Leśmian
miał rzeczywście okazję czytać Chwistka!).

Pamiętać także trzeba o tym, że filozofia – różne
jej synkretycznie przywoływane przez niego, niejako
w kontekście spraw innych i „przy okazji” – nurty (od
Vica, Rousseau, neokantyzmu, Bergsona, po laicki eg-
zystencjalizm), pojawiają się w jego poetyckim dziele
nie dość, że nigdy *expressis verbis*, nigdy w języku dys-
kursywnym, co przede wszystkim na zasadzie owego
zręcznego (choć z innej oczywiście okazji wywiedzone-
go) powiedzonka francuskiego poety Paula Valery, czyli
na tych samych prawach co witaminy w jabłkach, które
jemy dla smaku, a witaminy przyswajamy przy okazji!

X.

Pisał Leopold Staff, że Leśmian „...szukał w istnie-
niu sensu i nie znalazł go. *Napój cienisty* to woda zapo-
mnienia, nurt Lety, w której pogrąża się, wyrzekając się
wieczności i nieśmiertelności, z pełną smutku ironią”.
W szkicu *O Bolesławie Leśmianie* z 1939 r., napisał
inny sławny wówczas poeta – Kazimierz Wierzyński,
nie mniej proroczo niż niegdyś przed nim Karol Irzy-
kowski: „Leśmian umarł, lecz chwała jego jeszcze się
nie narodziła. Poeta ten będzie wracał i w przyszłości
znajdzie słuchaczy wdzięczniejszych niż miał za ży-
cia. Magnetyzm jego nie stracił na sile i przyciągnie ku
sobie pokrewne mu duchy. W przestrzeni czasu zyska
na wyrazie postawa pisarza, dumnego twórcy o szla-
chetnej dyscyplinie, oddającego sztuce całe swoje
życie. W piśmiennictwie polskim dzielić będzie sławę
najlepszych liryków, a na szczytowych wzniesieniach
dołączy do plejady nieśmiertelnych”.

I oto się stało! O życiu, poglądach i poetyce Leśmia-
na powstało w ostatnim półwieczu wiele cennych prac
monograficznych i szkiców poświęconych poszczegół-
nym okresom jego twórczości, a nawet pojedynczym
wierszom; wyszły one spod piór takich badaczy historii
literatury polskiej, poetów i krytyków literackich, pol-
skich i zagranicznych jak Ostap Orwin, Ludwik Fryde,
Mieczysław Jastrun, Marian Pankowski, Kazimierz
Wyka, Zbigniew Bieńkowski, Julian Przyboś, Wacław
Kubacki, Michał Głowiński, Janusz Sławiński, Artur
Sandauer, Edward Balcerzan, Zdzisław Łapiński, Eu-
geniusz Czaplejewicz, Tymoteusz Karpowicz, Jacek
Trznadel, Jan Prokop, Paul Coates, R. H. Stone, Ire-
neusz Opacki, Cezary Rowiński i wielu, wielu innych...

JANUSZ TERMER

(Z okazji tej podwójnej Leśmianowskiej rocznicy, Pol-
ski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC)
zorganizował 10 marca 2017 r. w Domu Literatury
w Warszawie uroczysty wieczór pamięci poświęcony
Poecie.)

ANDRZEJ ŚNIOSEK

NOWA, MŁODA, REWOLUCYJNA

O zapomnianej prozie

W tym roku mija czterdziesta rocznica wydania debiutanckiej powieści Donata Kirscha *Liście croatoan*. Po latach fraza ta (łącznie z egzotycznym imieniem i nazwiskiem) brzmi jak tajemnicze i niepokojące zaklęcie, jednak naprawdę był ktoś taki, a wspomniana powieść wywołała nawet w ówczesnym życiu literackim pewne zamieszanie. Zresztą nie tylko ona. Były też grube tomy Marka Słyka, o wiele cieńsze Ryszarda Schuberta, a także Jana Drzeżdżona i wielu innych, którzy spłynęli w zastanawiającą niepamięć. Ich dość wyraźne literackie istnienie trwało dziesięć lat. Wyraźne, ale od początku traktowane z przymrużeniem oka... O co tu chodzi? Wygląda na nieco przeterminowaną zagadkę kryminalną. Kogo jeszcze może zainteresować? Niżej podpisany jako fanatyk (z góry) przegranych spraw, pokłada nadzieję w Czytelnikach usposobionych sentymentalnie i o gustach nieoczywistych. Spójrzmy więc na chwilę wstecz, ku „czarnej dziurze” polskiej literatury, z której wciąż dobiegają odgłosy życia...

* * *

U zarania całej historii, a zatem w połowie lat siedemdziesiątych został ogłoszony ogólnopolski konkurs na najlepszy debiut powieściowy. Organizatorem było wydawnictwo „Czytelnik”, zaś przewodniczącym jury Jarosław Iwaszkiewicz, który jednak z różnych przyczyn powierzył część swoich obowiązków Henrykowi Berezie (w owym czasie Iwaszkiewicz był redaktorem naczelnym miesięcznika „Twórczość”, zaś Bereza szefem działu krytyki). W rezultacie obrad zwycięzcą konkursu ogłoszono Jana Komolkę, autora poruszającej *Ucieczki do nieba*, którą – poza przedstawieniem okrutnych stosunków panujących w domu poprawczym – można było odczytać w sensie alegorycznym jako obraz zniewolenia w rzeczywistości PRL-u. Drugie miejsce zajęła zmarła niedawno Krystyna Berwińska za powieść *Con amore* (znaną przede wszystkim dzięki wyreżyserowanej przez Jana Batorego ekranizacji), gdzie wątek miłosny rozgrywa się na tle zmagania konkursu chopinowskiego. Z kolei pośród laureatów trzeciego miejsca znaleźli się m.in. Jacek Natanson (*Mały bilard z grzybkami*), Marek Sołtysik (*Domiar złego*) i wspomniany już Donat Kirsch. Jedno z wyróżnień otrzymał Janusz Anderman (*Zabawa w głuchy telefon*).

Kulisy przyznawania nagród wspominał po latach Henryk Bereza: „W jury konkursu doszło do zderzenia tradycjonalistów w krytyce, jak Ryszard Matuszewski, ze mną jako zwolennikiem tych nowych rzeczy, które dostrzegłem w konkursowych utworach. Okazało się,

że niektóre z nich zostały odrzucone w selekcji redaktorskiej. Trafily do mnie jako jurora, i wśród nich znalazłem dwa ważne utwory Janusza Andermana i Donata Kirscha. Owe dwa odrzucone teksty ponownie przyniosłem na obrady jury. (...) Jeden z jurorów powiedział, iż Anderman dopiero po jego trupie będzie mógł uzyskać jakiegokolwiek znaczące wyróżnienie w konkursie. Podczas uroczystości swoje przemówienie miał Jarosław Iwaszkiewicz. (...) Iwaszkiewicz wówczas zwrócił się publicznie do mnie: Heniu, powiedz, co z konkursu »Twórczość« mogłaby drukować. Powiedziałem, że dla nas widzę tylko dwa tytuły: Donata Kirscha i Janusza Andermana”. Ale wróćmy do Berezę. W cytowanym fragmencie jest mowa o szacunku, jakim cieszył się w tamtych dekadach jego literacki smak. Warto przypomnieć, iż redaktor „Twórczości” dopomógł – poprzez heroiczny wysiłek krytycznoliteracki – w uznaniu i sławie takich pisarzy, jak Marek Hłasko, Edward Stachura (dziś coraz bardziej zapoznany), Marek Nowakowski czy Wiesław Myśliwski. Ten ostatni jest wybitnym przedstawicielem tzw. prozy chłopskiej w literaturze współczesnej, nurtu rozpoznanego i wspieranego od lat sześćdziesiątych przez Henryka Berezę.

I oto nieustający w działaniach promocyjno-reformatorskich krytyk po dziesięciu latach – w dużej mierze na bazie konkursowych debiutów – nazwie i określi kolejną grupę pisarzy, dostrzegając w ich utworach między innymi wspólny stosunek do języka (jako literackiego tworzywa), ale też abstrahowanie od bieżących uwarunkowań politycznych, a więc przeciwieństwo motywacji, które kierowały na przykład poetami spod znaku Nowej Fali (wszelako należy pamiętać, że słowo „grupa” jest tutaj umowne, bowiem poza bardzo ogólnym – ale istotnym – podobieństwem w zakresie „filozofii” literatury, pisarzy tych dzieliło niemal wszystko). Tą drogą z grona tzw. młodej prozy lat siedemdziesiątych (i osiemdziesiątych) wyłoniło się zjawisko o nazwie „rewolucja artystyczna w prozie”.

Jako że „młoda proza” jest do dziś mylnie utożsamiana z „rewolucją” (której z kolei odpowiada mniej więcej termin „nowa proza”), wymieńmy przykład Janusza Andermana, który bez wątpienia należał do młodych prozaików (jak zresztą każdy debiutujący w owych latach powieściopisarz), ale już nie do „rewolucjonistów”. Posłuchajmy raz jeszcze Berezę, wcześniej admiraatora jego twórczości, lecz „później Janusz Anderman dokonał podobnej przemiany jak kilku pisarzy, którzy na skutek dramatyzującej się sytuacji uznali wyższość po-

lityki nad literaturą. (...) Oczywiście, nie mam nic przeciwko pisaniu Andermana z okresu stanu wojennego. Była to dla mnie literatura o charakterze politycznym, antykomunistycznym, miała jakieś swoje znaczenie, ale artystycznej wartości już się w niej doszukać nie potrafię. Wydaje się, że niewątpliwie chwalebne decyzje polityczne autorów zemściły się na ich pisarstwie. Zapłacili jak gdyby zbyt dużą cenę tamtego upolitycznienia. Nie jestem od oceniania tej sprawy, wszakże z punktu widzenia literatury ona właśnie najwięcej straciła na tej przemianie”.

Podsumujmy. Jest przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, powstał już drugi obieg, w którym ukazują się dzieła ówczesnych i przyszłych klasyków polskiej literatury powojennej. Co bardziej wartościowy pisarz tkwi w podziemiu albo za granicą. Ugruntował swoją pozycję jeszcze przed wojną bądź gruntuje ją w chwili obecnej twórczą niezgodą na komunistyczny ucisk. Wszyscy lub zdecydowana większość tych autorów trafi po 1989 roku do szkolnego i akademickiego kanonu, który – mimo sporadycznych prób rewizji – wydaje się trwale niezagrożony. Twórczo przetworzony epizod podziemny, opozycyjny, antykomunistyczny stanowił więc w każdym niemal przypadku gwarancję obecności ponadczasowej, uświęconej chociażby niezliczoną liczbą komentarzy, profesjonalnych omówień i nabożnego szacunku. Tymczasem Henryk Bereza w tych jakże upolitycznionych okolicznościach ocenia poszczególne realizacje literackie w sposób wyjątkowy, całkowicie pomijając doraźny kontekst ideologiczny i wszelką „przypadkowość”. Postępowanie Berezy w nader trafnych słowach ujął Donat Kirsch: „(...) była to metodologia bardzo rygorystyczna i logiczna, oparta na podjęciu wyzwania, aby zrozumieć wstępne założenia tekstu lepiej chyba niż sam autor i ocenić tekst na podstawie tego, jak dobrze autor realizuje swoje własne obietnice. (...) Jako taka, siłą rzeczy, metodologia Berezy zawsze była niezależna od widzimisię krytyków i rozlicznych politycznych błaznad”.

Zasadnicza odmienność krytycznego pisarstwa Berezy rzuca się w oczy, gdy zestawić je z wieloma ówczesnymi recenzjami, a zwłaszcza podejmowanymi wręcz nałogowo dyskusjami na temat młodej prozy. Chyba każde czasopismo kulturalne gościło w swej redakcji – a później na łamach – kilkoro dyskutantów omawiających aktualną dyspozycję prozy, jej grzechy, szanse, społeczny odbiór. Krytyka sobie, a Henryk Bereza wytrwale analizuje kolejne utwory i publikuje „recenzje” (ujmuję w cudzysłów, gdyż słowo to nie oddaje charakteru jego wystąpień, momentami ocierających się o literaturę w jej wysokoartystycznej odmianie) w legendarnej rubryce „Twórczości” – *Czytane w maszynopisie*.

Aby przybliżyć istotę głoszonej przez Berezę postawy artystycznej (dostrzeżonej m.in. w pisarstwie „rewolucjonistów”) sięgnijmy do jego *Pryncypiów*, książki gromadzącej teksty metakrytyczne, metaliterackie, ale i metafizyczne. W części zatytułowanej *Niedyskursywność*, która nawiasem mówiąc stanowi przejmującą odpowiedź na tezy wynikłe ze sławetnej dyskusji w „Tygodniku Powszechnym” pt. *Czarna dziura lat osiemdziesiątych* (1990 rok), Bereza najpierw wymienia autorów, których nazwiska przeoczono w dyskusji „Tygodnika...” (tu – oprócz wspomnianych wyżej – Józef Łosiński, An-

drzej Łuczeńczyk, Krystyna Sakowicz, Roman Wysocki, Tadeusz Siejak, Dariusz Bitner i inni), a następnie charakteryzuje ich twórcze predylekcje. „Ci wszyscy pisarze – powiada Bereza – nie reprezentują grupowej postawy, są od samego początku nastawieni na kształtowanie własnej artystycznej indywidualności, rozpoznaje się ich po aktywnym stosunku do języka prozy, po poszukiwaniach indywidualnej formuły tego języka”. I dalej: „Niedyskursywność jest u nich naturalną konsekwencją indywidualnej poznawczości, która ma na celu szukanie własnej prawdy, nie zaś powtarzanie prawd cudzych”. W klimacie głębokiej wiary w autonomię literatury, w duchu surowych i nieprzejednanych dyrektyw moralnych Henryk Bereza regularnie komentował twórczość wybranych przez siebie pisarzy, towarzysząc im krytycznie – o ile nie wystąpili przeciw „własnym obietnicom” – do końca życia (zmarł w 2012 roku). Nigdy nie ulegał przejściowym modom ani wpływom żadnego środowiska, podobnie jak wielu spośród „jego” autorów. Cytowany wyżej rozdział *Pryncypiów* kończy ponura obserwacja: „Za odmowę udziału w doraźnej dyskursywności płaci ona [nowa proza – przyp. A.Ś.] wysoką cenę. Jest to cena, którą trzeba zapłacić, jeśli nie chce się dopuścić, żeby proza przestała być sztuką i stała się byle czym”.

Nadszedł już czas, by zapytać, czy prezentowaną w niniejszym artykule apologię stanowiska Henryka Berezy, a w konsekwencji książek niegdyśszych „rewolucjonistów”, da się obronić z punktu widzenia odczuć czytelnika. Słowem, czy lektura *W krupniku rozstrzygnięć* Słyka albo *Pasażu* Kirscha może dziś sprawiać przyjemność (choćby perwersyjną)? I czy kiedykolwiek sprawiała? Kto poza Berezą uznawał wartość tej literatury? Nagła zmiana tonu i prowokacyjna wymowa pytań zmierzają ku sprawie najważniejszej: dlaczego omawiani pisarze tak bardzo – i w dodatku hurtem – przepadli.

Istnieje zasadniczy podział na dwa sposoby wyrażania przyczyn historycznoliterackiej porażki prozy kojarzonej z patronatem Henryka Berezy. Pierwszy koncentruje swe wysiłki wokół szeroko rozumianego sztylerstwa, nie zawsze ugruntowanego merytorycznie. Na tym obszarze krytyki naczelnym winowajcą został ogłoszony redaktor „Twórczości”, zaś samych pisarzy mianuje się z dezaprobatą „pupilkami Berezy” lub „kompanią geniuszy”. Klasycznym przykładem wypowiedzi realizującej model szydery jest artykuł Jana Błońskiego pt. *Dwie groteski – i pół...*, który zainicjował jedną z ostatnich dyskusji o prozaikach debiutujących w latach siedemdziesiątych (dyskusja toczyła się w kolejnych numerach „Literatury” na przełomie 1987 i 1988 roku). Rację ma Krzysztof Uniłowski, kiedy stwierdza, że „w odniesieniu do tezy o »rewolucji artystycznej« dyskusja na łamach »Literatury« odegrała rolę kampanii likwidatorskiej”. Ciosem nokautującym był zwłaszcza tekst Błońskiego, cenionego profesora, który „załatwił” sprawę niezbyt rzetelnie, ale bardzo skutecznie. Utwory „nowej prozy” zakwalifikował jako upośledzoną odmianę groteski, zaś do potwierdzenia swych tez użył przypadkowych fragmentów książek Słyka, Drzeżdżona i innych. Ostateczne unicestwienie „rewolucji artystycznej” zbiegło się w czasie z promocją nowego otwarcia w polskiej literaturze, za czym również stał Błoński. Chodzi tu rzecz jasna o tzw. literaturę małych ojczyzn, prozę korzenną albo mitograficzną,

której symbolem ogłoszono Pawła Huelle i jego debiut – *Weiser Dawidek*. Błoński był autorem słynnej recenzji *Duch powieści i wąs Stalina*, oprócz tego przy różnych okazjach podkreślał wartość tej prozy, dezawuuując jednocześnie awangardowe próby z „obożu” Berezy.

Nadto, w duchu nie całkiem poważnego traktowania dorobku interesujących nas autorów ukute zostało pojęcie „sopcarnasizmu”. Pierwsi pisali o nim Michał Głowiński i Stanisław Barańczak. Socparnasizm wiązał się z podejrzeniem, jakoby zgoda władz ludowych na wysokonakładowe publikacje eksperymentalnych utworów w rodzaju *Liści croatoan* Kirscha była tylko cyniczną grą. Z jednej strony bowiem demonstrowano poparcie dla literatury o ambicjach artystycznych, lecz z drugiej – i to miało być sednem działania PRL-owskich decydentów – odwracano w ten sposób uwagę od realnych problemów w kraju. A więc młodzi autorzy byli poniekąd współwinni, gdyż nie przyłączyli się do jedynej słusznej wówczas opcji, którą „zarządzali” przywódcy Nowej Fali. W celnym komentarzu pisał Grzegorz Wołowicz: „Autotematyzm czy stylizację uznano za przejawy eskapizmu artystycznego, cechy charakterystyczne dla literatury zbędnej, pasywnej, konformistycznej, uprawianej przez uległych władzy bądź pozbawionych społecznych instynktów twórców”. Teza o socparnasizmie po dziś dzień rzutuje na odbiór utworów z kręgu „rewolucji artystycznej”. Ów stan rzeczy znakomicie odpowiada ogólnym tendencjom do masowego (a więc z pominięciem należytej refleksji) kwestionowania kulturalnego dorobku, którego nieszczerściem było zaistnieć – oficjalnie – w okresie PRL-u.

Z kolei drugi sposób eksplikowania przyczyn kłeski „nowej prozy” sytuuje się na przeciwnym biegunie, gdzie również od początku zdawano sobie sprawę z nadchodzącego kresu, jednak cała sprawa została potraktowana niezwykle poważnie i rzetelnie. Najważniejszy i bodaj jedyny taki głos pochodzi od wspomnianego już wielokrotnie Donata Kirscha, który był zarówno pisarzem, jak i krytykiem, autorem obszernego omówienia pt. *Elaborat – debiuty lat siedemdziesiątych. Elaborat* ukazał się w „Twórczości” – tuż przed wybuchem stanu wojennego. Jest unikalnym spojrzeniem na dzieje „nowej prozy”: źródła, przebieg i perspektywy, a raczej całkowity brak perspektyw. Kirsch już na początku lat osiemdziesiątych nie miał złudzeń co do przyszłości debiutantów minionej dekady. W tekście używa niemal wyjątkowo czasu przeszłego. Apogeum w pełni uzasadnionej (jak się okazało) rezygnacji przynosi punkt pierwszy części zatytułowanej *Dygresja*. Zacytujmy ten obszerny fragment w całości: „Nowa proza lat siedemdziesiątych pozostała obojętną na posłannictwa i cele wyznaczone literaturze w latach siedemdziesiątych (a tym bardziej teraz w drugiej połowie 1980 roku). Jej twórcy podjęli próbę ustalenia praw swego bytu obok dominującej prozy martwego języka. Nie atakowali niczego i niczego nie chcieli zmieniać, wtedy porzucili to, o co walczyła literatura dla całego wszechświata możliwych słów i znaczeń. Wybór wszechświata był obiecujący artystycznie, ale oznaczał zamknięcie drogi na Parnas. Dzisiaj zaczyna być inaczej i dlatego jestem skrajnym pesymistą, gdy wyobrażam sobie przyszłość prozy żywego języka (zresztą inaczej nie pisałbym elaboratu o sytuacji i znaczeniu debiutów lat siedemdziesiątych). Dlatego nie sądzę, żeby nowa proza miała być czymś więcej niż dygresją w dyskusję toczonym przez czas (bo nie

mogę inaczej na to patrzeć) lub zjawiskiem, o którym będzie się chciało jak najszybciej zapomnieć”.

Między szyderstwem Błońskiego a pesymizmem Kirscha rozciąga się obszar stanowisk pośrednich. Należą tutaj przede wszystkim opracowania naukowe, których śladowa liczba pojawiła się w polskim literaturoznawstwie po roku 1989 roku. Szczególną uwagę zwracają prace Jana Galanta i Krzysztofa Uniłowskiego. Zamiarem obu autorów było uwiarygodnić objęte swoistym zapisem dzieje omawianej literatury poprzez usytuowanie ich na oficjalnej mapie zjawisk. Galant rozpoznał w nich pierwociny rodzimej postmoderny. Uniłowski – etap na drodze ku postmodernizmowi, ale w przeważającej części należący jeszcze do nowoczesności (rozprawa Uniłowskiego pt. *Polska proza innowacyjna w perspektywie postmodernizmu* jest chyba najwnikliwszą i najciekawszą próbą naukowego opisanie interesującej nas kwestii). Warto dodać, że wobec takiego postawienia sprawy Bereza jako promotor „nowej”, a w tym ujęciu modernistycznej prozy „jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, urasta do roli obrońcy ciągłości życia literackiego. Byłbyż warszawski krytyk ostatnim błędnym rycerzem, don Kichotem nowoczesności w prozie? Wychodzi na to, że tak!”. Zdaniem Uniłowskiego „rewolucjoniści” lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych kontynuowali tradycję modernizmu poprzednich dekad, wyznaczoną nazwiskami Białoszewskiego, Buczkowskiego, Parnickiego. Tradycję, przypomnijmy, zepchniętą na boczne tory m.in. przez zwycięski nurt „piewów chwili dziejowej”.

Najnowszym, bo tegorocznym przejawem zainteresowania prozą ósmej i dziewiętej dekady jest rozprawa doktorska lubelskiego polonisty Przemysława Kaliszuka pt. *„Nowa” proza lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wobec późnej nowoczesności*. Nie ukazała się jeszcze drukiem, ale na podstawie recenzji można oczekiwać drobnego choć przełomu w odbiorze tamtej literatury. Dariusz Nowacki, jeden z recenzentów, w konkluzji stwierdza, że lubelski badacz napisał rzecz „w niektórych aspektach prekursorską i na swój sposób »wywrotową«, gdyż wymuszającą na znawcach polskiej prozy drugiej połowy XX wieku przemyslenie dotychczasowych stanowisk”. Czy przełom rzeczywiście nastąpi? *Aegroto dum anima est, spes esse dicitur*.

Na zakończenie tych rozważań przywołajmy słowa Tadeusza Komendanta, który kapitalnie uchwycił istotę „rewolucyjnych” wysiłków Henryka Berezy: „udało mu się połączyć absolutny słuch na wartości artystyczne i absolutną głuchotę na wymogi literackiego rynku”. Nic dodać, nic ująć.

* * *

Nie padła dotąd odpowiedź na pytanie, czy warto sięgać po utwory zapomnianych prozaików, czy mogą sprawiać przyjemność. Otóż zdecydowanie warto, zwłaszcza że niektórzy z nich nadal publikują. Czystą przyjemność sprawia lektura wydanej parę miesięcy temu książki Dariusza Bitnera – *Wciąż jesień, czyli inne majaki cynamonowe*. Z kolei nowy zbiór opowiadań Donata Kirscha – *Chronologia borealna* – to także przyjemność, choć innego rodzaju; nieco perwersyjna.

ANDRZEJ WILK

WIZYTA U TOMA HAYDENA

23 października 2016 roku w Santa Monica w wieku 76 lat zmarł Tom Hayden. Treścią pierwszej części jego życia było organizowanie oporu przeciwko rasizmowi i wojnie wietnamskiej. Część druga to praca stanowego parlamentarzysty w Kalifornii i publicysty zdobywającego poparcie wyborców dla postępowych przemian społecznych, które proponował. Zetknąłem się z nim w pierwszym okresie.

W lutym 1962 roku, pod koniec mojego pobytu w Minneapolis, gdzie byłem studentem University of Minnesota, reprezentant mojego sponsora – U.S. National Student Association (USNSA) – zapytał, co może dla mnie zrobić. Odpowiedziałem, że przed powrotem do Polski chciałbym odbyć podróż po Stanach Zjednoczonych. Moje życzenie zostało spełnione. Pierwszym etapem wędrówki był lot Minneapolis-Atlanta. Z zaśniewanej Minnesoty po sześciu godzinach znalazłem się w słonecznej Georgii. Na lotnisku czekał na mnie działacz studencki Tom Hayden, który zabrał mnie do swojego mieszkania i poinformował o programie kilkudniowego pobytu. W programie tym były spotkania ze studentami i profesorami Spellman College, udział w okupowaniu kawiarni „tylko dla białych” (sit-ins), zwiedzanie dzielnic Atlanty zamieszkiwanych przez czarnoskórych mieszkańców i wysłuchanie kazania Martina Luthera Kinga. Wszystko było bardzo interesujące. Jednakże największą wartość poznawczą miały dla mnie długie wieczorne rozmowy z moim gospodarzem. Tom Hayden łączył dar wnikliwego obserwatora z ogromnym czytaniem w literaturze z zakresu nauk społecznych. Obydwaj byliśmy gorliwymi czytelnikami Bertranda Russella. Hayden obawiał się, że napięcie wokół Kuby zagrażało pokojowi światowemu. Sądził,

że niepowodzenie inwazji w Zatoce Świń z 17 kwietnia 1961 roku może skłaniać do dalszych agresywnych działań. Popierał działalność studenckich Komitetów na rzecz Uczciwej Gry wobec Kuby (Fair Play for Cuba Committees)

Problemy ogólne, takie jak sprawiedliwość społeczną i pokój światowy były dla niego sprawami osobistymi, za które czuł się współodpowiedzialny.

Gdy rozmawialiśmy o Polsce, interesował się sytuacją wewnętrzną, pytał o możliwość nawrotu stalinizmu.

Przedstawiając sytuację społeczną stanów południowych, za sprawę pierwszoplanową uznawał położenie kresu segregacji rasowej. Było to zadanie takich jak on studentów z Północy – „jeźdźców wolności” (freedom riders) mobilizujących studentów miejscowych. Wśród tych ostatnich popularna była wówczas piosenka:

„Mój dziadek był rasistą, mój ojciec w Ku- Klux-Klanie,
A za to ja nie spocznę, aż wolność nie nastanie”.

Hayden zwrócił moją uwagę na fakt, że w południowych stanach zmniejszała się liczba firm będących własnością przedsiębiorców z Północy. W warunkach segregacji rasowej nie widzieli oni możliwości rozwoju działalności gospodarczej. Natomiast przybywających na ich miejsce przedsiębiorców niemieckich rasizm nie zrażał. Przestrzeganie przepisów i zwyczajów nakazujących dyskryminację czarnych pracowników było dla nich do zaakceptowania.

Tom Hayden sądził, że niezmiernie istotne są rozmowy ze zdeklarowanymi rasistami, aby zrozumieć ich mentalność i próbować dotrzeć do nich z argumentami, które – jak dotychczas – nie są dla nich do przyjęcia. Gdy wyraziłem zainteresowanie tego rodzaju rozmowa-

wami, Hayden zatelefonował do znanego w Atlancie przywódcy rasistów Lestera Maddoxa zapytaniem, czy chciałby porozmawiać z lewicowym studentem z Polski. Maddox odmówił. Potrzebne było inne podejście. Nazajutrz w towarzystwie dwojga amerykańskich kolegów – Boba Zellnera i Dorothy Casy poszedłem na lunch do restauracji Pickrick, której właścicielem był Maddox. W holu znajdował się długi stół wyłożony bezpłatną literaturą rasistowską. Wybraliśmy kilka publikacji. Jedna z nich głosiła, że „mieszanie ras to komunizm”. W restauracji gośćmi byli wyłącznie biali, a kelnerami – wyłącznie czarni.

Zagadywani dyskretnie kelnerzy mówili, że szef traktuje pracowników poprawnie, a płace są niezłe. Naturalnie nie byliśmy pewni, na ile te opinie były szczere. Po lunchu odwiedziliśmy Maddoxa, aby pochwalić jakość potraw i dobrą obsługę. Maddox przyjmował nasze komplementy z pogodnym uśmiechem. Korzystając z dobrego nastroju Dorothy – studentka teologii – zapytała, w jaki sposób Maddox, który zdążył podkreślić swą religijną żarliwość, godzi swe poglądy na kwestie rasowe z wiarą. Maddox odpowiedział, że w *Biblii* nie ma nic o równości ras. Ja wyraziłem pogląd, że w czasach biblijnych różnice rasowe były nieistotne. Świadczy o tym m.in. historia Salomona i Saby. Poirytowany Maddox odpowiedział, że to „komunistyczna propaganda”. Błyskawicznie gromadzący się wokół Maddoxa poplecznicy byli agresywni. Stukali pustymi butelkami dając nam do zrozumienia, że mogą one wylądować na naszych głowach. Przed odejściem Bob podkreślił, że cała nasza trójka zaopatrzyła się w literaturę, aby poznać inny punkt widzenia, a następnie na zasadzie rewanżu wręczył Maddoxowi egzemplarz antyrasistowskiej gazety „The Southern Patriot”. Maddox rzucił gazetę na podłogę. Bob ją podniósł. Do samochodu Boba wsiadaliśmy przy akompaniamencie wrogich, ordynarnych okrzyków. Dorothy spostrzegła, że zostawiła parasolkę w szatni. Poszedłem po nią. Wracając dowiedziałem się, że jako jankes z Północy nie powinienem wsadzać nosa w sprawy Południowców.

Wieczorem złożyłem Haydenowi sprawozdanie z tego spotkania. Tom był zdania, że warto obserwować Maddoxa, który ma ambicje polityczne i duże wpływy wśród zwolenników segregacji rasowej. Istotnie, cztery lata później Maddox został gubernatorem Georgii. Wygrał z Jamesem Carterem, który jednak w następnych wyborach okazał się zwycięzcą. Dla Cartera pozycja gubernatora (1971-1975) stała się trampoliną do prezydentury. Gubernator Carter w przemówieniu inauguracyjnym oświadczył, że era segregacji przeminęła.

Po wielu latach w prasie amerykańskiej ukazało się zdjęcie Cartera ściskającego dłoń Toma Haydena, którego działalność przyczyniła się do zmiany klimatu społecznego Georgii, co z kolei umożliwiło Carterowi realizację jego politycznych planów.

Kiedy żegnaliśmy się przed moim odlotem do Waszyngtonu, Hayden powiedział: „pamiętaj, że pokój jest najważniejszy”. Po wielu latach wspominałem to pożegnanie, kiedy w Genewie, Wiedniu i Nowym Jorku brałem udział w negocjacjach Wschód-Zachód. Na mikroskopijną skalę uczestniczyłem w wysiłkach służących zapewnieniu pokoju, tak jak tego oczekiwał ode mnie Tom Hayden.

* * *

Nazwisko Toma Haydena zyskało rozgłos światowy po raz pierwszy, gdy został mężem Jane Fondy, a po raz drugi, gdy przyjął go prezydent Ho Szi Min. Aktywna działalność na rzecz zakończenia amerykańskiej interwencji w Wietnamie przysporzyła obojgu małżonkom wielu sympatyków i wielu przeciwników. Ci ostatni kwestionowali patriotyzm Haydena i Fondy oraz ich kompetencje do zajmowania się trudnymi kwestiami międzynarodowymi. Prawica amerykańska operowała oskarżeniami o zdradę interesów narodowych i pomaganie nieprzyjacielowi. Istotna zmiana nastąpiła w 1995 roku, kiedy ukazała się książka Roberta McNamary *In Retrospect. The Tragedy and Lessons of Vietnam*. McNamara – jeden z głównych polityków odpowiedzialnych za tę okrutną i niszczyliską wojnę przyznał, że była ona wynikiem błędnych ocen i decyzji. „Gdy chodziło o Wietnam, my określaliśmy politykę wobec regionu, który był terra incognita.

Co gorsze, nasz rząd nie miał ekspertów, którzy mogli nam doradzać, aby zrekompensować naszą ignorancję. W 1961 roku, kiedy nastąpił kryzys berliński i w czasie kubańskiego kryzysu rakietowego 1962 roku prezydent Kennedy mógł zwrócić się do wyższych rangą osobistości, takich jak Llewellyn Thompson, Charles Bohlen i George Kennan, którzy dokładnie znali Sowie-tów.

Nie było natomiast wyższych rangą osobistości w Pentagonie lub Departamencie Stanu, które miałyby porównywalną wiedzę o Azji Południowo-Wschodniej. Ironia tej sytuacji polegała na fakcie, że zaistniała ona w dużej mierze dlatego, że czołowi eksperci od Azji Wschodniej i Chin w Departamencie Stanu, tacy jak John Paton Davies Jr., John Steward Service i John Carter Vincent stali się ofiarami czystek w trakcie historii McCarthy'ego w latach 1950”.

Mc Namara uznawany za jednego z the best and the brightest został szefem Pentagonu jako wybitny menedżer i ekonomista, który potrafiłby udoskonalić organizację systemu obrony i zrationalizować wydatki na zbrojenia. Tymczasem musiał decydować i oceniać sytuację polityczną w Azji Południowo-Wschodniej o której wiedział niewiele. Książka McNamary to kolejne i bardzo ważne potwierdzenie faktu, że przeciwnicy wojny wietnamskiej mieli rację. Książka ta nie daje wiedzy o charakterze i rozmiarach antywojennego protestu społecznego. W późniejszych publikacjach problematyka ta również nie została uwzględniona w takim stopniu, na jaki zasługuje. Dlatego też dobrze się stało, że Tom Hayden na kilka miesięcy przed odejściem zdołał ukończyć książkę *Hell No. The Forgotten Power of Vietnam Peace Movement*. Yale University Press ma ją udostępnić czytelnikom w końcu stycznia 2017 roku.

ANDRZEJ WILK

(Emerytowany profesor nauk politycznych, uczelni Techniczno-Handlowej w Warszawie. Dyplomata i publicysta zajmujący się stosunkami międzynarodowymi, zarządzaniem oraz historią myśli politycznej. Autor kilku książek naukowych.)

HENRYK SZLAJFER

BRONISŁAWA ŁAGOWSKIEGO

DIAGNOZA CHOROBY*

Nie ma sensu doszukiwanie się w felietonach pisanych przez Bronisława Łagowskiego dla tygodnika „Przegląd” precyzyjnie sformułowanych, klarownych programów i/lub alternatywnych koncepcji polityki zagranicznej Polski po 1989 r. A wężiej: wobec Rosji i innych wschodnich sąsiadów. Felietony te, publikowane przez niemal 20 lat, mówią bowiem przede wszystkim – zgodnie zresztą z regułą gatunku – o nastrojach autora, jego ulubieńcach i czarnych charakterach obecnych w polityce zagranicznej, ulotnych w dłuższej perspektywie okolicznościach. Jeśli jednak autor zdecydował się na ponowną, tym razem w zwartej formie, edycję tych ulotnych tekstów, zakładał, jak sądzę, że zawierają one treści warte przypomnienia po latach.

Każdy z zamieszczonych w zbiorze tekstów mówi o wybranym, ważnym w danej chwili wydarzeniu czy wypowiedzi, która wzbudziła zainteresowanie Bronisława Łagowskiego. W całości tworzą propozycję przyjrzenia się polskiej polityce (nie będę już powtarzał – zagranicznej, chyba że takie zaakcentowanie będzie miało znaczenie) jako wedle przekazu zawartego w zbiorze jako całości przykładowi braku realizmu, wraz z jego konsekwencjami (przyczynami?) – romantyzmem, nacjonalizmem i ksenofobią, peryferyjnością czy zaściankowanością. Już w pierwszym z zamieszczonych w zbiorze felietonie z 1999 r. czytamy: „nudzi mnie cała problematyka rosyjska w polskim ujęciu. Raz wydaje się, że mamy obiektywnych analityków polityki rosyjskiej, ale wystarczy, że Rosjanie urządzią jakąś marudną (*sic*) strzelaninę gdzieś na azjatyckich czy kaukaskich rubieżach, a już po obiektywnych analizach śladu nie ma” (s. 13). Ów brak realizmu w relacjach ze wschodnim sąsiadem (sąsiadami), ale także w sposobach widzenia jego (ich) historii i dnia dzisiejszego jest z pewnością

swoistym leitmotivem 59 felietonów, a także dołączonych jako integralna część zbioru czterech tekstów pióra Andrzeja Walickiego opublikowanych pierwotnie także na łamach „Przeglądu” w latach 2004–2015.

Leitmotiv ten wyrazi się przede wszystkim w zdecydowanej niechęci Bronisława Łagowskiego do wszystkich, którzy po 1989 r. znaleźli się u władzy i u steru polskiej polityki, pospołu prawicy (głównie „solidaruchy” vel „postsolidarnościowa ferajna”, jak to zgrabnie ujmuje Łagowski) i lewicy (jeśli za taką uznać różne mutacje post-PZPR-u). Gdy chodzi o polską politykę wobec Rosji w minionym ćwierćwieczu, ale także Ukrainy i Białorusi (zwłaszcza do pierwszej znajdziemy wiele odniesień), autor nie ma w istocie nic dobrego do powiedzenia. Piszę o ćwierćwieczu, aczkolwiek pierwszy felieton pochodzi z 1999 r. Nie znalazłem bowiem w zbiorze szerszej wzmianki czy choćby dobrego słowa o polityce wobec Rosji i sąsiadów w latach 1989–1998. Słowa Bronisława Łagowskiego charakteryzujące rosyjskiego dysydenta Sergieja Kowaliowa, po 1990 r. deputowanego do Dumy i przez kilka lat członka prezydenckiej Rady ds. Praw Człowieka jako „bezkompromisowego wroga wszelkiej realnej władzy” (s. 31) można z niewielkimi tylko zmianami odnieść do niego samego. Ale, jeśli nawet stańczykowski sarkazm i demonstrująca zatroskanie losami państwa zgryźliwość nie stanowią zwartej konstrukcji programowej, warte są, gdy interesujące, zainteresowania i uważnej lektury. Dlaczego „stańczykowski”? Ano dlatego, że matejkowski „Stańczyk na dworze królowej Bony po utracie Smoleńska” znalazł się na okładce zbioru.

Poniżej zatem kilka refleksji dotyczących tematów poruszonych w zbiorze i ich ujęcia przez Bronisława Łagowskiego. Z góry zastrzegam, że nie zamierzam silić się na obiektywizm (cokolwiek to w tym przypadku znaczy). Leitmotivami moich uwag będą trzy tezy. Pierwsza: podejmując polskie widzenie Rosji, polskie stereotypy, mity i uprzedzenia, Bronisław Łagowski

* Bronisław Łagowski, *Polska chora na Rosję*, Fundacja Oratio Recta, Warszawa 2016.

w wielu miejscach pisze trafnie, złośliwie, ale trzyma się ziemi. Druga: pisząc o polskiej polityce wobec Rosji, autor felietonów jest stronniczy, czasami skrajnie jednostronny, pomija na dodatek milczeniem ważne etapy, elementy i ewolucję tej polityki. Czas w jego felietonach zdaje się nie istnieć. I trzecia: pisząc o sąsiadach Polski w kontekście polityki wobec Rosji, z zadziwiającą wręcz zaciekleścią atakuje (słusznie i niesłusznie) nowopowstałą Ukrainę.

Benia (oficjalnie Bencjon) Krzyk, mój ulubiony odesko-żydowski gangster stworzony pod genialnym piórem Izaaka Babla (i w kongenialnym polskim przekładzie Jerzego Pomianowskiego), stąpał twardo po ziemi, a przede wszystkim oczekiwał, że sprawy oczywiste będą traktowane jako takie. Jednooki Froim Gracz usłyszał zatem od Beni Krzyka: „przestańmy rozmazywać białą kaszę po czystym stole”. Przypominam ten cytat, albowiem w zapalczywości, z jaką Łagowski podchodzi do polskich stereotypów Rosji, jej roli w trakcie II wojny światowej i próbując zrozumieć powody, dla których Julian Tuwim, wbrew przyjaciółom, opowiedział się zdecydowanie po stronie Związku Sowieckiego, przeciwieństwem realisty Tuwima uczynił nagle młodego żołnierza-poetę Józefa Szczepańskiego z batalionu „Parasol” AK. Ten na kilka dni przed otrzymaniem śmiertelnego postrzału na Starówce pisał w rozpacz, z nadzieją i w gniewie:

*Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam, kraj przedtem rozdarty na ćwierci,
była zbawieniem witanym z odrazą.*

Przeciwstawiając młodego poetę Tuwimowi, Łagowski pisze o „głupio ambiwalentnej postawie” (s. 152) autora powstańczych wierszy i piosenek. To bezrozumne stwierdzenie. W zaciętrzewieniu Bronisław Łagowski pomylił niemiłosierną instrumentalizację wiersza Szczepańskiego w ostatnich latach, zwłaszcza w prawicowych narracjach, z dramatycznym sensem symbiotycznego powiązania przez poetę trzech słów: „czekamy”, „wybawić” i „zaraza”. To nie była „głupia ambiwalencja”, lecz uderzający swoją trafnością skróty zapis historycznych wyborów, gdy każde rozwiązanie było obciążone ogromnym kosztem. Przekładając to na język „polityki historycznej”, polityka taka, by rzecz uprościć do maksimum, polegała i polega również dzisiaj na rozerwaniu tego symbiotycznego związku. Kiedyś, bez cytowania poety, akcentowano „czekamy” i „wybawić”, dzisiaj na pierwszym planie jest „zaraza”. Łagowski dokłada swoje pięć groszy przeciwstawiając Tuwima poecie, który dał głowę w powstaniu, choć obaj dostrzegali w nadchodzącej Czerwonej Armii szansę przeżycia, bezwarunkowo na dobre – w wydaniu Tuwima, a straszliwy koszt za uratowanie życia (co nie nastąpiło) – w przypadku żołnierza-poety. Przytaczam ten przykład, albowiem ukazuje on niejako mimochodem, że trafny zamysł krytycznej analizy polskiego wariantu „realizmu magicznego”, zwłaszcza w interpretowaniu historii i stosunków polsko-rosyjskich, może, gdy popada w emocjonalny, mentorski ton, prowadzić do zadziwiających rezultatów. Notabene zastanawiam się, jak należałoby interpretować głupio romantyczne zachowanie już zdeklarowanego lewicowca Władysława Broniewskiego, gdy w więzieniu NKWD miał pójść na współpracę przypomniał sobie, że jest kawalerem

orderu Virtuti Militari za walkę bolszewikami. Czysty bezsens, nieprawdaż?

Gdy chodzi o nasz „realizm magiczny”, pole do krytycznej refleksji jest szerokie. Obawy i czasami gniewne uwagi Bronisława Łagowskiego brzmią dzisiaj niezwykle aktualnie. Podzielać m.in. jego sprzeciw wobec manipulowania historią nie tylko Polski, ale i wydarzeniami, jak wojna światowa, które wykraczały poza polskie doświadczenie, dotykając innych. Uważam za samobójcze próby konstruowania na katyńskich grobach „polskiego holocaustu” jako alternatywy żydowskiej tragedii. W tej sprawie krytyk Łagowski stoi na mocnym gruncie, ukazując jednocześnie w felietonie z 2009 r. paradoksy z takim zabiegiem związane. Z jednej strony trafnie podkreśla, że w „żadnym razie nie można powiedzieć, że Polacy (mówię o lepiej wykształconych) lekceważą Holokaust”, z drugiej równie trafnie wskazuje, że „Holokaust nie ma w Polsce takiego znaczenia i takiej powagi jak w wielu innych krajach. Dlaczego? Ponieważ »my« mamy swój Holokaust. W wyniku 20-letniej nowej indoktrynacji Polacy są przekonani, że centralnym wydarzeniem II wojny światowej był Katyń. Nie może być dwu centralnych wydarzeń w jednej całości” (s. 154).

Okres po 2015 r., już nie ujęty w zbiorze, przyniósł radykalne wręcz uzupełnienia tego typu narracji. Okazuje się jednak, że walka o groby i na grobach kończy się zazwyczaj w momencie, gdy mowa o funduszach. Podobnie jak w czasach komunistycznego autorytaryzmu, również i dzisiaj, gdy pojawia się potrzeba, podział na groby polskie i żydowskie znika (tak jak kiedyś zniknęły, po rozprawie z „encyklopedystami” z PWN, notki o niemieckich obozach zagłady nastawionych wyłącznie czy głównie na wyniszczenie Żydów). Wyobraźnia podpowiadająca (złudną) perspektywę miliardów każe zapomnieć o takim podziale i w to miejsce mówić o sześciu milionach Polaków zamordowanych przez Niemców (Macierewicz, Mularczyk, tylko tytułem przykładu). Warto dodać, że ostatnie lata ukazały skalę dewastacji w tym zakresie. To że we wrześniu 2017 r. wszystkie partie przegłosowały w sejmie uchwałę gloryfikującą NSZ – wszyskie! razem z liberalnymi entuzjastami nowoczesności i peowskimi modernizatorami – jest świadectwem, w jakie bagno zabrnęliśmy. Żadnemu z działaczy tych opozycyjnych partii nie przychodzi do głowy pomysł, aby wycofać poparcie dla tej uchwały. Choćby symbolicznie. Zabrakło też Łagowskiemu (i nam wszystkim) wyobraźni aby przewidzieć, że po raz drugi, już w demokratycznej Polsce, nieliczni jeszcze żyjący żołnierze AK będą dopominać się o swoją prawdę. W tym kontekście zanik pamięci minister edukacji na temat pogromu w Kielcach czy uwagi wygenerowanego przez prawicę historyka z USA, że pomoc Żydom szukającym w czasie niemieckiej okupacji schronienia w lasach nie była w polskim interesie („Na beznadziejnej próbie pomocy Żydom straciliby ... niepodległościowcy, a zyskali komuniści” pisał w 2000 r. Marek Chodakiewicz), to tylko drobne przyczynki do już dostatecznie ponurego obrazu.

Interesująco i aktualnie brzmią też uwagi Bronisława Łagowskiego w felietonie z lutego 2008 r. na temat konstrukcji „narodu” we współczesnej Polsce. Pisze, że naród post-Solidarnościowy, elitarny i zasadzający się na wykluczeniu, „wyodrębnia się w stosunku do więk-

szości ludzi mieszkających w Polsce” i dodaje: „Ten Naród wchłonął wszystkie stereotypy antyrosyjskie, jakie się ukształtowały w przeszłości, i dodał do nich swoje własne (s. 111). Mamy tu do czynienia z dwoma względnie odrębnymi problemami: naród czasu po 1989 oraz polityka wobec Rosji implikowana przez specyficzną konstrukcję narodu post-Solidarnościowego. Pominę w tym miejscu pierwszą kwestię. Warto tylko dodać, że taki podział, w warstwie symbolicznej i werbalnej realny, choć o ograniczonej skali rażenia, nie zablokował drogi narodowi nie-Solidarnościowemu, drogi do władzy i to dwukrotnie. Nadto, z perspektywy po 2015 widać wyraźnie, że nie-Naród konstruowany jest jako wydestylowana z szerokiego narodu post-Solidarnościowego „frakcja” opisywana jako „drugi” czy „gorszy sort”. Na symboliczną gilotynę (miejmy nadzieję, że tylko symboliczną) idą dzisiaj nie „komuchy”, współcześni monarchiści, lecz zdeprawowani solidarnościowi żyrondyści. Inna dynamika podziału, inne potencjalne konsekwencje.

Druga kwestia, polityka wobec Rosji, jest bodaj najslabszym fragmentem zbioru felietonów Bronisława Łagowskiego. Brzmi to dziwnie, ale wszystkie uprzedzenia i pretensje pod adresem rządów minionego ćwierćwiecza pojawiają się z całą mocą. Czytelnik nie dowie się zatem, że w niezwykle umiejętny sposób, grając na wielu instrumentach (także prezydentem-generałem Jaruzelskim), rząd Mazowieckiego i następnie Bieleckiego oraz ministerstwo spraw zagranicznych pod kierownictwem Krzysztofa Skubiszewskiego były w stanie zapewnić w latach 1989–1991 nie tylko względnie dobre stosunki z rozpadającym się już Związkiem Sowieckim, ale także zabezpieczyć traktatowo polską granicę zachodnią (korzystając m.in. ze wsparcia Gorbaczowa i Szewarnadze). Jeśli jest to dowód tezy, że „w stosunkach z Rosją Polakom przede wszystkim brakuje rzeczowości” (s. 112), to oznacza to tylko, że słowa nie mają już żadnego znaczenia. Gwoli ścisłości, w ostatnim zamieszczonym felietonie z 2016 r. Łagowski dopuszcza jednak inną możliwość: „W polityce polskich rządów wobec Rosji z pewnością istnieje element racjonalnej kalkulacji”; dodaje jednak niezwłocznie: „niewiele jednak on waży w porównaniu z tym, co nazywamy rusofobią” (s. 281). Jeśli skonfrontujemy polską politykę wobec Rosji w czasach Borysa Jelcyna z twierdzeniem, że „Polska polityka wobec Rosji jest złośliwa” (s. 110), *ditto*. Nie ma większego sensu, abym rozwodził się w tym miejscu nad szczegółami polityki prowadzonej w tym okresie przez prof. Skubiszewskiego, a następnie Andrzeja Olechowskiego (w niektórych działaniach uczestniczyłem). Ponownie sięgam do mojego ulubionego gangstera, Bencjona Krzyka. Otrzymał oto od Mesje Tartakowskiego zwane „Półtora Żyda” liścik z następującym zakończeniem (pomijam mniej uprzejme określenia): „Ty chyba robisz ze siebie małe dziecko”.

Po wyborach w 1993 r. po „solidaruchach” dochodzą do władzy „komuchy”, po nich ponownie zrekonstruowane „solidaruchy” i następnie raz jeszcze „komuchy”. Trafnie zauważa Łagowski, że wszystkie te polityczne zmiany nie prowadziły do czasu objęcia po raz pierwszy przez PiS władzy (2005–2007) do zasadniczych zmian w polityce zagranicznej, w tym wobec Rosji. Odnotowuje to autor pisząc, że „między lewicą a prawicą nie ma istotnych różnic, jeśli chodzi o politykę

zagraniczną”, choć, zauważa: „Stroną dyktującą poglądy jest prawica, lewica akomoduje się do wszystkich faktów dokonanych” (s. 73).

Nie ma w tym jakiegóż szczególnej tajemnicy. Zasadnicze cele strategiczne sformułowane w latach 1992–93, wejście do NATO, członkostwo we Wspólnotach Europejskich (następnie Unia Europejska), były trudne do zakwestionowania, choć w przypadku NATO jeszcze w kampanii wyborczej 1993 r. lewica mówiła stanowczo „nie”. Te dwa cele w sposób oczywisty (nie będę ich tu zatem dowodził) stanowiły zasadniczy element polskiego interesu narodowego, choć jednocześnie ustawiały nas, zwłaszcza członkostwo w NATO, na kolizyjnym kursie, jeśli chodzi o Rosję. Kwestią było zatem złagodzenie bólu, nie rezygnacja z zabiegu, który mógł zabość rosyjskich decydentów. Sądzę, że operacja ta została wykonana jeszcze za czasów prezydentury Borysa Jelcyna profesjonalnie, bez zadęcia i zbędnych gestów. Z jednym wyjątkiem, kiedy to nagle, bez uprzedzenia szefa dyplomacji Bronisława Geremka podjęto decyzję o demonstracyjnym usunięciu z Polski kilku rosyjskich dyplomatów, którym zarzucano działalność wywiadowczą. Furia Geremka była w pełni zrozumiała, nie tyle z uwagi na opóźnioną informację o podjętej akcji, ile ze względu na jej kontrproduktywny z punktu widzenia prowadzonych negocjacji charakter. W każdym, razie jeśli wejście na kolizyjny kurs w związku z polskimi dążeniami do członkostwa w NATO było rusofobią, to jako członek powołanego przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego zespołu negocjującego członkostwo w NATO byłem (i jestem) zdeklarowanym rusofobem. Notabene, z tego punktu widzenia wszelkie uwagi cenionego przez mnie historyka (w mniejszym stopniu politycznego doradcy) Richarda Pipesa na temat tego co jest, a co nie jest w interesie Polski, przyjmuję z uprzejmości do wiadomości, ale traktuję sceptycznie. Do możliwości polskiego członkostwa w NATO Richard Pipes odnosił się zdecydowanie negatywnie.

Wyrazem czystych spekulacji, nie wiedzy, jest także opinia Bronisława Łagowskiego, że po wygranych przez PO wyborach, w 2008 r. „Polski rząd złagodził nieco stosunki z Rosją”, zaś jednym z ważnych powodów było to, że „takie było życzenie Unii Europejskiej i Waszyngtonu” (s. 109). Łagowski wie? Nie, spekuluje, dedukuje, implikuje. Nie sądzę, aby decyzja ministra Sikorskiego, aby na doroczną radę polskich ambasadorów zaprosić w charakterze specjalnego gościa ministra Ławrowa była konsultowana z Waszyngtonem czy Brukselą. Na marginesie, zaproszenie dość dyskusyjne i zaskakujące, świadczące o gotowości wyjścia naprzeciw Rosjanom. Podobnie w przypadku powołania mieszanej grupy do „spraw trudnych”. Na jej współprzewodniczącą polska strona wyznaczyła, podkreślając jej wagę, byłego ministra spraw zagranicznych (bez wzajemności ze strony Rosjan). Polski „reset” był ciekawą, choć w sumie nieudaną próbą. Katastrofa na smoleńskim lotnisku w 2010 r. stworzyła kompletnie nową sytuację, do której obie strony były kompletnie nieprzygotowane (nie dziwota). Ale o tym Bronisław Łagowski wspomina w swoich felietonach bardzo oszczędnie.

W sumie, rozprawa, niezwykle pożądana, z polską mitologią dotyczącą Rosji, rozbija się o przeszkody,

które wynikają z zacietrzewienia autora i swoistego krytycznego *overkill*. Na szczęście nie jest to totalna katastrofa. Uwagi poświęcone rosyjskiej kulturze, historii czy społeczeństwu uderzają w wielu miejscach trafnością. Trudno też nie podzielać oburzenia autora – choć nie dotyczy to wszystkich jego opinii na temat Rosji i Czeczenii – gdy pisze o niektórych polskich reakcjach na atak czeczeńskich terrorystów na szkołę w Biesłanie (s. 48–53). Ale nawet wtedy, gdy chcemy wyrazić solidarność z autorem, nie ułatwia nam tego zadania: „bestialstwo jako metodę widzimy po stronie Czeczenów, a nie Rosjan” (s. 12). Rosyjska kreatura Kadyrow wykonujący za zgodą Kremļa i z jego poparciem brudną robotę jakoś nie pojawił się w felietonach Bronisława Łagowskiego.

Uwagi na temat Rosji i polskich mitologii to jednak kaszka z mlekiem w porównaniu z uwagami na temat Ukrainy, relacji rosyjsko-ukraińskich i polskiej polityki wobec Kijowa. Momentami przecierałem oczy nie wierząc temu co czytam: Bronisław Łagowski to czy książkę Isakowicz-Zaleski? Kluczowe stwierdzenia, pojawiające się w wielu miejscach, to zaczerpnięte cytaty: od Emanuela Todda, błyskotliwego i niestychanie krytycznego wobec USA francuskiego analityka – „Polska ma dziś wybór: Europa albo Ukraina” (s. 79), oraz od Richarda Pipesa – „uważam, że Polska nie powinna flirtować z Ukrainą” (s. 98). Do cytatu z Pipesa Bronisław Łagowski dodaje: flirt taki „świadczy o polskiej ignorancji zarówno co do historii stosunków polsko-ukraińskich, jak tego, co się obecnie dzieje” (s. 99, tekst z 2007 r.).

Popuśćmy wodze fantazji. W 1990 r. rozpoczyna się stopniowo proces emancypacji Ukrainy, aby zakończyć się w 1991 r. formalną deklaracją niepodległości. Pouczeni przez Łagowskiego, że nigdy Polak nie był Ukraińcowi bratem (i *vice versa*), odnosimy się z dystansem do nowego sąsiada, nasi krajowi rewizjoniści z cichym poparciem rządu zaczynają mówić o statusie Lwowa, a może i Stanisławowa (Iwano-Frankiów, czy jak tam). Idealna recepta na „płonącą granicę”. Zatem nawet jeśli Łagowski i jego *gurus* mają rację (w co wątpię), elementarny instynkt zachowawczy dyktował tylko jedną politykę: za wszelką cenę, z zaciśniętymi zębami, bez rewizjonistycznych zadęć, bez upominania się, w tym właśnie momencie, o naszych poległych na Wołyniu, uspokoić i ustabilizować nową granicę.

Po raz ostatni powracam do ulubionego Beni Krzyka i jego lamentu, ze zmienionym dla potrzeb niniejszych uwag tekstem (zmiany zaznaczono kursywą): „czy ze strony Pana Boga nie było omyłką osiedlić Polaków w sąsiedztwie Ukraińców, żeby męczyli się jak w piekle? I co by w tym było złego, gdyby Polacy mieszkali w Szwajcarii, w otoczeniu pierwszorzędnym jezior, górzystego powietrza i samych Francuzów? Wszyscy są omylni, nawet Bóg!”. Benia Krzyk miał z pewnością rację, ale *Roma locuta* ... Polska „ukraińska polityka” zakładająca z definicji niejedno ustępstwo, nie była alternatywą Europy, nie była niebezpiecznym flirtem, była realizacją polskich dążeń do integracji z Europą (i NATO). Polska skonfliktowana z Ukrainą nigdy nie znalazłaby się w europejskich i atlantyckich strukturach. W kontekście tych strategicznych celów odpychanie Rosji od polskich granic

z pomocą niepodległej Ukrainy było celem drugorzędnym. Solidaruchy u władzy może nie byli najmądrzejsi, ale wystarczająco mądrzy, aby wiedzieć, że Rosja czasów Jelcyna nie mogła stanowić dla Polski bezpośredniego zagrożenia. Kropka.

Ukraińscy „nastalgicy UPA i ukraińskiego faszyzmu” (s. 202), tłumy zbuntowane przeciwko legalnej władzy (s. 203) wszyscy torowali drogę neobanderowskiej partii Swoboda. Zgodnie z prognozą polityczną Łagowskiego (rok 2013), w „nieprzewidywalnej Ukrainie jedno można przewidzieć, że mianowicie Swoboda będzie największą siłą wśród partii opozycyjnych” (s. 202). Wręcz przeciwnie, po Majdanie wpływy Swobody zaczęły się kurczyć. W przedterminowych wyborach prezydenckich w 2014 r. lider Swobody Oleh Tiahnybok uzyskał 1,16 proc. głosów, zaś w wyborach do Rady (parlamentu) Swoboda nie przekroczyła progu 5 proc. Rezultaty te nie oznaczają jednak zamknięcia rozdziału „banderowcy i UPA”. Wprowadzanie ich do panteonu narodowych symboli i bohaterów trwa, co trudno uznać za zjawisko korzystne. Jest też wątpliwe, aby obecny rząd w Polsce był w stanie skutecznie przeciwstawić się tej tendencji.

Powracając do Bronisława Łagowskiego, cytowana wyżej prognoza była kolejną, po równie przenikliwej ocenie sytuacji w 2008 r. W tekście z tego roku, gdy na szczycie NATO w Bukareszcie rozstrzygano (negatywnie) o sprawie otwarcia Ukrainie i Gruzji drogi do NATO, Bronisław Łagowski krytykując wsparcie ministra Sikorskiego dla idei członkostwa obu państw napisał: „Obawiam się, może przedwcześnie, że jeśli w następstwie przyjęcia Ukrainy do NATO część terytorium rosyjskiego razem z Sewastopolem znajdzie się w rękach Amerykanów, scenariusz może już nie być tylko gruziński. ...Minister Sikorski... obiecuje umierać za Sewastopol” (s. 140). Jak wiemy, kilka lat później inne oddziały, pod inną flagą znalazły się w Sewastopolu.

Andrzej Walicki w załączonym do zbioru tekście (integralna część książki) napisze: „Putin zdecydował się na pogwałcenie zasady nienaruszalności granic... Demagogią jest mówienie w tym kontekście o pogwałceniu »terytorialnej integralności« Ukrainy: Ukraina przecież dopiero dzięki Stalinowi zaistniała jako państwo rozciągające się od Lwowa do Donbasu, a Krym otrzymała w podarunku od Chruszczowa” (s. 329). Z takim fanatem nic już nie można zrobić. Afrykańscy przywódcy nowotworzonych w wyniku dekolonizacji państw wiedzieli jedno z pewnością: nawet sztuczne, dzielące narody i grupy plemienne granice ustanowione przez kolonizatorów muszą pozostać święte. W subsaharyjskiej czarnej Afryce reguła ta była i jest przestrzegana, choć niejednokrotnie jej konsekwencją były ludzkie nieszczęścia i tragedie. Takie bezpośrednie porównanie może być kwestionowane, sądzę jednak, że większym intelektualnym nadużyciem jest opisywanie krytyki agresji mianem „demagogii”.

Książka Bronisława Łagowskiego nie jest wzorcem do powielania. Jest natomiast, dzięki swej uderzającej wręcz jednostronności, niezłym materiałem na seminaryjne dyskusje i konwersatoria.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

„NAGI” KAPITALIZM

Kapitalizm jako system społeczno-ekonomiczny ma wymownych piarowców jak F. A. Hayek czy P. L. Berger. Ma również skrupulatnych kronikarzy swoich osiągnięć, jak ostatnio Angus Deaton. Problem polega na tym, że kapitalizm swój mechanizm akumulacji bogactwa, swoistą turbosprężarkę, dołącza do zdobyczy myśli ludzkiej ostatnich stuleci. Przyniosła ona nieznaną cywilizacji rolniczej postęp techniki, który z kolei umożliwił dotarcie do nowych materiałów i energii. Synergia rewolucji przemysłowej i kapitalizmu umożliwiła „wielką ucieczkę” ogromnej części populacji ludzkiej od nędzy, głodu, epidemii.

Wzrost wydajności pracy prowadzi do relatywnie wyższych płac realnych i standardu życia w krajach bogatych. Ale inna tendencja prowadzi do spadku udziału płac w dochodach. Dodatkowo „nowoczesność” przyniosła znaczne upodmiotowienie jednostki, większą ekspresję jej potrzeb bytowych i kulturowych. Jednak kapitalizm ma „ujemne koszty zewnętrzne” – ekologiczne, społeczne, zdrowotne. Można w związku z tym mówić tylko o jego **plusach ujemnych**, by odwołać się do rodzimego ludowego Dialektyka. Dlatego bilans funkcjonowania kapitalizmu w globalnym ekosystemie musi zawierać dwie pozycje – aktywów i pasywów. Począwszy od XIX wieku słyszymy codziennie o zbawiennym wpływie kapitalistycznej gospodarki na dzieje ludzkości. Odświętne bilanse nagradza szwedzki Bank Narodowy. Myślę o skądinąd znakomitej książce Angusa Deatona, nagrodzonego tzw. ekonomicznym Noblem w 2015 r. (tegoż *Wielka ucieczka. Zdrowie, bogactwo i źródła nierówności*, PWN 2016) czy niezrównanym w sile dowodu dziele Gregory Clarka *Pożegnanie z jałmużną*. Książki takie celowo bądź mimowolnie naturalizują ideologicznie kapitalizm. Stają się amunicją w ideologicznym ostrzale potocznej świadomości przez fundamentalistów rynkowych. Ostrzał ten prowadzi bezpośrednio medialni ekonomiści, będący w istocie dealerami wiary w potęgę prywatnej własności, konkurencyjności i błogosławionej roli przedsiębiorczych, najczęściej inaczej. Dlatego walka z hegemonią ideologii liberalizmu gospodarczego ma dużą wartość praktyczną, jeśli jej przezwyciężenie jest warunkiem wstępnym diagnozy, a następnie wniosków praktycznych co do istotnej korekty mechanizmów funkcjonowania stagnacyjnego, dojrzałego kapitalizmu.

„**Nagie życie**” w **turbokapitalizmie**. Do szerokiej publiczności nie przebijają się, niestety, wykazy pasywów. Dlatego z dużym uznaniem należy powitać dojrzały zarys bilansu kapitalizmu w perspektywie biopolityki, a więc władzy nad psychofizyczną egzystencją czło-

wieka, władzy nad życiem ludzkim jako całością bio-psycho-socjo-kulturową. Tym bardziej że książka Karolczuka odznacza się nie tylko świetną formą pisarską. Przede wszystkim zaskakuje czytelnika odwaga niezależnego myślenia, dociekliwość badawcza, wielość inspiracji oraz precyzyjna konstrukcja wyводу. Inspiracje czerpie autor zarówno z klasycznych rozważań Marksa o alienacji pracy ludzkiej, jak i pogłębiających klasyczne ujęcie rozważań M. Foucaulta, G. Agambena, i E. Traverso o biowładzy. Skonstruowany aparat analityczny pozwolił autorowi usytuować członka współczesnego społeczeństwa rynkowego w sieci stosunków, jakie stworzył kapitalizm bez granic.

A więc kapitalizm „nagi” – bez dotychczasowej przeciwwagi, jaką stanowił ruch pracowniczy zorganizowany w związki zawodowe, w różne instytucjonalne formy przetargów z pracodawcami o warunki pracy i płacy. W rezultacie doszło do powstania rezerwowej armii pracy, światowego arbitrażu pracy. Przy 1,4 mld pracowników etatowych, 1,7 mld pracujących na własny rachunek, liczba „rezerwistów” może przekraczać 2,4 mld (s.54-55). Jednych przytłacza nadmiar pracy, innych – jej brak. Efekt to uprzedmiotowienie właściciela *ergodynamis* w procesie pracy, a nawet w sposobie korzystania z czasu wolnego. Doszło bowiem do intensyfikacji procesu pracy, nie tylko montażowej, ale również „białych kołnierzyków”, zwanych dla niepoznaki klasą średnią. Zarząd korporacji życzyłby sobie, żeby stali się oni wirtuozami, artystami optymalizacji podatkowej, kreatywnymi poszukiwaczami nowych pól akumulacji czy zabójcami konkurencji. Ci, co gotują im taki los, uczniowie teflonowego Jacka Welch przypominają nazistowskich zbrodniarzy zza biurka (s.127).

Eksplatacja i zniewolenie pracownika przybrały obecnie postać wypalenia zawodowego i związanej z nim depresji. Niestabilne z kolei zatrudnienie przyniosło obok poczucia braku stabilności życiowej wiele upokorzeń, zwłaszcza posiadaczom dyplomów szkół wyższej. Szczególnie dolegliwe jest odklasowanie i apatia bezrobotnych. Rodzi je nie tylko automatyzacja procesów produkcyjnych, ale także rezerwowa armia pracy byłych rolników. „Naturalna” stopa bezrobocia jest pragnieniem każdego przedsiębiorcy, wbrew hipokryzji ich rzeczników. Takie odklasowane indywiduum, tracące zdolność do pracy, a w następstwie wartość rynkową, staje się podopiecznym opieki społecznej, niechcianym utrzymaniem pracujących. W skrajnej postaci przypomina „obozowego mułomana”.

Szeregi granicznych pracowników powiększają imigranci. Poszukują oni chleba i życia wolnego od bezpo-

średnich zagrożeń. Imigranci rozpoczynają nowe życie z najniższego poziomu płac i warunków zatrudnienia, najczęściej w gettach biedy. W jeszcze gorszej sytuacji życiowej są bezdomni, „ubodzy”, pensionariusze pozarządowych organizacji społeczeństwa obywatelskiego, przynoszących ulgę sumieniu pożeraczy nadwyżki. Bezdomni również podlegają społecznej degradacji. Cóż powiedzieć o niewolniczej pracy zadłużonych na Globalnym Południu! Ich liczba może nawet sięgać 30 milionów. To w większości przypadków niewolnictwo wymuszone przez głód, biedę, zadłużenie. Na świecie pracuje pod przymusem też 168 mln dzieci.

Ważnym współcześnie przyczynkiem do poznania społecznych granic gospodarki rynkowej jest czerpanie zysku z seksualnego niewolnictwa oraz seksbiznesu. To ważna branża gospodarki, ostatnio w UE włączona do PKB. Do tej listy trzeba dodać psychiczne następstwa społecznego przymusu wyścigu w symbolicznej konsumpcji dóbr - Brawo puste Ja. Z konsumpcjonizmem wiąże się pośrednio przesuwanie decyzji o rozdzielstwie.

Natomiast do degradacji biologicznej organizmu przyczyniają się szkodliwe dla zdrowia wyroby przemysłu spożywczo-chemicznego, które oferuje model biznesowy handlu wielkopowierzchniowego. Dlatego według autora istota totalitaryzmu tkwi w praktykach kapitalizmu, które „narzucają bezalternatywny, *jedynie możliwy* sposób istnienia i funkcjonowania w społeczeństwie. Dlatego kapitalizm nawet w swej demokratycznej szacie może być totalitarny, co ogranicza walory naukowe tej kategorii, jeśli zawęży się ją do rozpatrywania wynaturzeń *realnego socjalizmu*” (s.17). To ważne ustalenie autora. Realizuje się czarny scenariusz Karla Polanyi'ego. Ten wielki demaskator rynkowego społeczeństwa obawiał się poddania pracy i przyrody bezwzględnej logice akumulacji kapitału.

Autor poszukuje wspólnego mianownika dla psychicznych następstw pracy w globalnej gospodarce i klasycznego niewolnictwa, a także ekstremalnej sytuacji więźniów obozów koncentracyjnych i gułagów. Wspólnym mianownikiem okazuje się mechanizm wyzysku pracy i uprzedmiotowienie ludzi. Słowem, to biowładza, jaką nad życiem współczesnego człowieka ma dążący do akumulacji kapitału przedsiębiorca, inwestor, rentier, zarząd korporacji przemysłowej czy banku. Ma on na swoje usługi wielostronne organizacje jednostronne (MFW, BŚ, WTO, BIS), zdalnie kierowane przez Departament Skarbu USA, a także Komisję Europejską i elitę zarządzającą państwami narodowymi. Zwieńcza system militarna hegemonia amerykańskiego państwa. To sławetne *global governance*.

Ten system zarządzania globalnym kapitalizmem staje się praktycznie niezależny od kontroli narodowych instytucji demokratycznych. Jak mawia Wolfgang Streeck, dotychczasowy *Staatsvolk* zastąpił ważniejszy zbiorowy podmiot – *Marktvolk*, parlament rynków finansowych, operatorzy wielkiej maszyny kapitału pieniężnego. Ich nikt nie wybiera, poza akcjonariuszami, ma się rozumieć. Ich „zaufanie” jest najważniejszym kryterium racjonalności ekonomicznej i społecznej. System zbliża się do ściany zwanej TIPP. Co jest za tym murem? Tutaj powstaje piekło kapitalizmu dla *homo sacer* – „ludzi-odpadów” wedle określenia Zygmunta Bauman. Miliard ludzi głoduje, 3 miliardy mają na

dzienne utrzymanie mniej niż 2 dolary, a pół miliona kobiet umiera corocznie przy porodzie.

Mniej godnych nie będzie mogło bronić państwo. Ich potoczną świadomość w większości ukształtuje tradycyjna i narodowa prawica. Skieruje ona ich rozczarowanie i złość na lokalnych Innym, na imigrantów, uchodźców, lewaków. Nie dziwi więc, że obecna pauperyzacja i trwałe bezrobocie ożywiły także w Polsce ruchy radykalnej i narodowej prawicy. Łatwo znajdują ich przywódcy i zwolennicy winnych obecnej krzywiźnie swoich losów w III RP. Jak głoszą, to postkomunista, lewactwo, żydzi, muzułmanie, czarnoskóry domokracja z Afryki, pożeracz gołębi z Azji, wyzwolona kobieta, pasożytnicza biurokracja lokalna i unijna, partokracja, wszechmocne tajne służby, agenci wpływu wschodniego imperium.

Ci, co patrzą przez szybę na „szwedzki” stół III RP, stają się jednakowoż faktycznymi ofiarami wojny kulturowej. Rasa, religia, sprawy światopoglądowe odwracają wówczas uwagę od niewidocznych gołym okiem własnościowo-ekonomicznych uwarunkowań ich sytuacji życiowej. Skoro nie czytają książek, to nie łączą swego losu ze stagnacją kapitalistycznej gospodarki-świata, z turbokapitalizmem.

W ten sposób System po raz kolejny ukryje przed ofiarami swoje strukturalne sprzeczności oraz niewydolność ogólnospołeczną i planetarną. Ale autor sięga głębiej. Wskazuje bowiem, że konsument taniej żywności z całego świata, tanich stosunkowo gadżetów masowej elektroniki mimowolnie korzysta z wyzysku pracy Innym: robotników rolnych Globalnego Południa, z pracy wychodźców chińskiej czy indyjskiej prowincji, z pracy dzieci na afrykańskich plantacjach bawełny. On też daje się korumpować Systemowi.

Zarys „czarnej księgi” kapitalizmu. Książka, mimo stosunkowo niewielkiej objętości, przynosi wiele informacji o mało chwalebnej przeszłości kapitalizmu. W tej perspektywie stała się polemiką z „czarnymi księgami” dziejów komunizmu, rekonstruowanymi niezmiennie w duchu totalitaryzmu. Okazuje się, że liderzy zorganizowanej przedsiębiorczości nie tylko bili Murzynów. Nie da się sprowadzić dziejów obu systemów do dwóch czempionów przemocy – Hitlera i Stalina. Np. chętnie się przypomina „wielki głód” epoki kulturalnej rewolucji Mao, zapomina natomiast o wojnach opiumowych, które ostatecznie pogrążyły w chaosie największe ówczesnie mocarstwo gospodarcze świata. Według danych A. Maddisona, około roku 1820 w Azji nadal powstawała ponad połowa produkcji światowej.

Dodajmy na marginesie, że autor trafnie wydobywa jakościowe różnice między totalitarnymi fabrykami przemocy – gułagami i obozami koncentracyjnymi, tak beztrudno umieszczanymi na wspólnej „drodze do zniewolenia”. Liberałowie chętnie odrzucają drabinę, po której kapitalizm się wspinał do obecnego poziomu efektywności, okraszanej prawami jednostki (zwłaszcza demokracją), które go legitymizują. Trzeba im ciągle przypominać krwawą łaźnię 90 proc. tubylców obu Ameryk, których powaliła broń biologiczna Europejczyków. Trzeba im przypominać *Cultuurstelsel* VOC w holenderskich Indiach Wschodnich, podróże milionów Afrykanów w ładowniach angielskich i portugalskich statków. Europejczycy wywieźli z Afryki ok.

12,5 mln osób, głównie do pracy na karaibskich plantacjach trzciny cukrowej, później – bawełny. [...]

Ograniczenie się do wymiany rynkowej pokazuje podstawową słabość analizy liberałów gospodarczych. Rozpadły się bowiem wspólnoty oparte na pokrewieństwie i powstały różne formy darmowego, półdarmowego wykorzystania pracy tubylców, ich ziemi i bogactw naturalnych. Swego rodzaju rekord Guinnessa w hipokryzji pobili angielscy zwolennicy doktryny liberalizmu gospodarczego. Kiedy w 1846 roku Irlandia przeżywała katastrofalny kryzys żywnościowy, uważali oni, że Irlandczycy sami, bez pomocy rządu, wyciągną się za włosy z kipieli zgotowanej przez angielskich kolonizatorów. Kiedy 1,5 miliona z nich zabierała śmierć z powodu głodu i chorób, rząd nie był jednak bezczynny. Jak pisze historyk, „gdy trzeba było ściągnąć rentę z chłopów, gdy potrzebny był konwój militarny dla transportu zboża czy bydła wędrujących za granicę, wojsko stało do dyspozycji” (S. Grzybowski, *Historia Irlandii*, Wrocław 1998, s. 242).

Wielkie cierpienia prostemu człowiekowi przyniosły również totalne wojny. Wywołała je imperialna rywalizacja „nowych” przemysłowych mocarstw o rynki lokat kapitału, miejsce lokowania nadwyżek ludności odchodzącej z rolnictwa, wreszcie o źródła pożądanego surowców (kautuczku, ropy, surowców dla przemysłu przetwórczego). Karolczuk z dużą wnikliwością ukazuje psychiczne następstwa udziału w wojnach totalnych „amatorów”, nienawykłych do zadawania śmierci braciom w człowieczeństwie i ludności cywilnej. Dlatego następstwem przeciążenia „normalnej” psychiki stały się nowe jednostki chorobowe, zwane eufemistycznie syndromem stresu pourazowego, ale przede wszystkim dezercja z pola walki.

Książka Karolczuka daje polskiemu czytelnikowi szansę uzyskania zrównoważonego poglądu na współczesny kapitalizm. Jest zapowiedzią rekonstrukcji doktryny liberałów jako sekundantów budowniczych realnego kapitalizmu. Oni chwaliąc europejski *Herrenvolk*, oswajali sumienie liderów europejskiej przedsiębiorczości ze zbrodniczą w swojej istocie eksploatacją siły roboczej i zasobów lnych, barbarzyńców nieznających Pana i muszkietu, później karabinu Maksim. Autor dołącza do coraz liczniejszego grona odbrażawiającego panującego niemiłościwie Systemu. Do przenikliwych krytyk społeczeństwa rynkowego Marksa czy Polanyi’ego dołącza wielu współczesnych filozofów, jak Domenico Losurdo czy w Polsce Andrzej Walicki czy Andrzej Szahaj.

Kłęska liberałów gospodarczych. Karolczuk obnaża quasi-wolnościowe tradycje liberalizmu. Doktryna kładzie nacisk na prawa człowieka, pomija zaś prawa socjalne, w tym „prawo do hamaku po obiedzie”, jak się wyraził Ladislao Dowbor. Ideologia ta utrwała bałwochwalczy stosunek do „wolnego rynku”, który przecież nie istnieje w próżni społecznej. Charakterystyczne dla neoliberalizmu jest bowiem utożsamienie liberalnej wolności z wolnością gospodarczą, a tej ostatniej z wolnością rynku, czyli praktycznie brakiem przeszkód w gromadzeniu zysków przez posiadaczy kapitału pieniężnego.

W tej interpretacji prawo własności stało się narzędziem dominacji nad innymi ludźmi i uzasadnieniem bezwzględności w realizacji korporacyjnych interesów.

Patroni tej wolnorynkowej interpretacji tradycji liberalnej to F. Von Hayek, L. von Mises, M. Friedman, a głównym inspiratorem Jeremy Bentham, później Herbert Spencer. W ich ślady poszła wolnorynkowa „nowa prawica”. Autor pisze, że „neoliberalny wolny rynek okazał się ideologicznym i ekonomicznym taranem w służbie interesów wielkich korporacji i kajdanami nakładanymi na ręce zdecydowanej większości obywateli świata” (s.126). Najbardziej go obciąża obojętność (*rynek tak zdecydował*) na bezrobotnych, czyli „muzułmanów gospodarki towarowo-pieniężnej”.

Tymczasem naukowcy, weblenowscy inżynierowie, benthamowscy pionierzy, przedsiębiorcze państwa – stworzyli ogromny aparat produkcji społecznego bogactwa. Na statystyczną czteroosobową rodzinę mogłoby przypadać 4 tysiące dolarów miesięcznie. To pozwoliłoby na godne życie dla wszystkich Ziemi po dwóch stuleciach wzrostu gospodarczego, który obecnie musi być zrównoważony. W XIX wieku przeciętny pracownik spędzał przy maszynie około 3 tys. godzin, w XX wieku około połowy tej wielkości. Ile powinien spędzać, biorąc pod uwagę zwielokrotnione przez technikę ręce do pracy? Produktywność pracy w ciągu godziny jest 18 razy większa niż pod koniec XIX wieku!

Autor dołącza do coraz szerszego grona przedstawicieli nauk społecznych, w tym ekonomistów (H.-J. Chang, A. Shaikh, Y. Varufakis), a także psychologów i antropologów (H. Weltzer, D. Graeber, J. Urbański, S. Kowalik – autor książki o „uśpionym społeczeństwie” ery globalnego kapitalizmu), którzy uważają konkurencyjną akumulację kapitału według rzekomych reguł wolnego rynku za propagandowy humbug.

Władzę bowiem w istocie sprawują korporacje. Tworzą one oligopole w najważniejszych gałęziach gospodarki. To one mają władzę, a nie rynek – ciągle przypominał tę naukową prawdę John K. Galbraith. W egzekwowaniu tej władzy korporacje muszą brać pod uwagę ekologiczne i społeczne ograniczenia, w tym konieczność likwidacji dysproporcji rozwojowych między regionami i kontynentami, dokonanie rewolucji energetycznej itd. Dlatego swoistą zbrodnią przeciwko ludzkości jest pozostawienie gospodarki tzw. „wolnemu rynkowi”, czyli uznaniowości „neoliberalnych menegerów”, gdyż to oni „ponoszą osobistą odpowiedzialność za degradację i marginalizację całych grup społecznych i narodów, i na niewiele zdadzą się powoływania na *prawa rynku i ekonomiczne konieczności*” (s.127).

Lektura książki pozostawia czytelnika z pytaniem – co dalej? W książce nie znajdzie on łatwej odpowiedzi. Znalezienie pragmatycznej odpowiedzi to nowe zadanie dla progresywnie myślących badaczy, dla całej światowej lewicy. Nie może ona dalej wypierać się kategorii kapitalizmu i wyzysku, ekonomii politycznej. Musi stworzyć nowe narzędzia pomiaru dobrostanu ludzi, tworzących razem światową wspólnotę życia i pracy. To podstawowe kryterium, które pod brutalnym naciskiem faktów przypomina Edward Karolczuk wszystkim zainteresowanym korektą kapitalizmu bez granic. Czy polska lewica wyciągnie jakieś wnioski z analizy krytycznego intelektualisty? ■

Edward Karolczuk, *„Nagie życie” ofiar wyzysku i wojny*, Warszawa 2016, Agencja Wydawnicza CB, s.136.

LESZEK GORYCKI

TURKIEM BYĆ

Tematyka turecka, za sprawą ostatnich wydarzeń politycznych w Turcji i w Polsce stała się dość popularna. Tę popularność wzmacnia dodatkowo fakt emisji telewizyjnej kilku tasiemcowych seriali produkcji tureckiej. Jedną z takich publikacji jest wydana przez Wydawnictwo Poznańskie w serii „Początki państw” książka Jerzego S. Łątka, osmanisty i dziennikarza, zatytułowana *Turcja*.

Dla przeciętnego (nie intelektualnie, ale statystycznie) Polaka na dźwięk słowa Turcja wyłania się Sienkiewiczowski obraz XVII-wiecznych zmagania Rzeczypospolitej na wschodnich granicach z muzułmańską nawałą, zakończonych tryumfem Sobieskiego pod Wiedniem. Tymczasem Jerzy S. Łątka konsekwentnie, już od pierwszego wiersza książki, przypomina czytelnikowi, że Turcja jako państwo narodziła się dopiero na początku XX wieku. Z uporem podkreśla, że to, co my znamy pod pojęciem Turcji, to Imperium Osmańskie. Państwo, które – jak pisze Łątka – *nie stanowiło spójnego regionu geograficznego i kulturowego* (s. 18). Czynnikiem spajającym była osoba władcy. Wprawdzie islam był religią dominującą, ale nie jedyną. Słownictwo, którym posługiwali się mieszkańcy imperium, składało się w 90 proc. z języków ludów podbitych (s. 20). W takiej sytuacji upadek imperium był tylko kwestią czasu. Ten czas, to – jak pisze Łątka – ponad trzy wieki powolnego konania *chorego człowieka Europy*, jak metaforycznie określił imperium car Mikołaj I (s. 27).

Nie będąc (na szczęście) historykiem ani politologiem Łątka, opisując narodziny państwa tureckiego, zwrócił uwagę na dwa istotne elementy tego procesu. Sploty wydarzeń politycznych, konflikty zbrojne na dużą skalę, gra interesów zwycięzców, ambicje pokonanych *etc.*, to wszystko jest oczywiste, kiedy mowa o punktach zwrotnych w historii powstania lub upadku państw. Ale Łątka, z wykształcenia etnolog, pokazuje jak waż-

nym jest tworzenie się poczucia jedności narodowej. Na przykładzie Turcji widać to szczególnie wyraźnie. Wielomilionowe imperium rozciągnięte na trzech kontynentach składało się z narodowości i grup etnicznych, które niejednokrotnie miały wspólną historię, tradycję, język i religię. Mimo to o żadnej z nich nie można było powiedzieć: to są Turcy.

A jednak na przełomie XIX i XX wieku, w krótkim stosunkowo czasie udało się wykształcić grupę ludzi, która zaczęła o sobie mówić: „Jestem Turkiem”. I to nie tylko mówić, ale i czuć dumę z bycia Turkiem. Początkowo pejoratywne określenie, stało się określeniem narodu zamieszkującego tereny na styku Europy i Azji. Narodu, który powstał wokół idei panturkizmu. Co ciekawe, wprawdzie odwołującego się częściowo do dziedzictwa osmańskiego, ale sięgającego w swych ambicjach regionalnego mocarstwa, do terenów Azji Centralnej.

I drugi ze wspomnianych elementów procesu tworzenia się państwa, wynikający z lektury książki Jerzego S. Łątka. Mowa o roli imigrantów. O wzajemnych relacjach na przestrzeni wieków Polski i Imperium Osmańskiego, napisano wiele. Ale niewiele o polskiej imigracji w Imperium Osmańskim i jej wkładzie w narodziny państwa tureckiego. Łątka odkrywa czytelnikowi świat narodzin ideologii młodoturków i pokazuje rolę, jaką odegrali Polacy w jej narodzinach i rozwoju. Wkład doceniany przez Turków, niezauważany przez Polaków. Jak dużym był, świadczą słowa Kemala Atatürka, wypowiedziane o jednym z nich: „Ten Polak wart pomnika ze szczerego złota” (s. 89). Żeby się dowiedzieć o kim mowa, trzeba jednak tę książkę przeczytać.

LESZEK GORYCKI

Jerzy S. Łątka, *Turcja*, seria „Początki państw”, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2017.

Autokorekta

Proszę o umieszczenie autokorekty do mego artykułu *Zachowali się jak trzeba?* opublikowanego w wiosennym numerze (2017) „Zdania”. Napisałem tam: „**Żar od płonących zabudowań utrzymał się do rana.** Dzięki temu nie zamarzła nakarmiona mlekiem umierającej matki niespełna dwumiesięczna Wiśka. Nad ranem Ferencowa idąc do Wróblów po mleko usłyszała płacz już zgłodniałego dziecka. Znalazła je przy sztywnych zwłokach matki i zabrała pod swój dach”.

Taki był stan mej wiedzy, kiedy wysyłałem artykuł do druku. Pracując nad zapowiedzianą książką weryfikacji uległo stwierdzenie „zabrała pod swój dach”. **Śmiertelnie postrzelona matka** Wiśki faktycznie zmarła w ciągu nocy. Nad ranem, kiedy już było pewne, że nikt pożaru nie strzeże, niedopuszczona wcześniej przez jednego z podpalaczy Matylda Wróblowa ponownie udała się do spalonej zagrody. Usłyszała płacz dziecka leżącego przy martwej Pytlowej, Niemowlę uspokoić mógł tylko, w zastępstwie zmarłej matki, pokarm mamki. Wróblowa dziecku pomóc

nie mogła i zaniósła je do Zofii Ferenc. Ta zaś wiedziała, że bratowa ojca płaczącej sieroty miała synka w jej wieku i mogła płaczące maleństwo nakarmić. Toteż bez zwłoki udała się z dzieckiem do niej.

Najmłodsza ofiara najgłośniejszej akcji brzożowskich „wykłych” przeżyła, bo została przez najtrudniejsze miesiące swego życia wykarmiona przez swą ciotkę Helenę Wójcik. Ta zachowała się jak trzeba.

Ta autokorekta jest pretekstem do przekazania miłej dla mnie wiadomości, że zapowiedziana w artykule *Zemsta z za grobu Stanisława Pytla* ma szansę pojawienia się drukiem za sprawą Wydawnictwa Fundacji Oratio Recta na gwiazdkę Anno Domini 2017.

Z życzeniami dalszych sukcesów i dalszej współpracy także z niżej podpisanym. Nieskromnie przypomnę, że z inspiracji opublikowanego w „Zdaniu” artykułu *Osełka masła* powstała sztuka Anny Wakulik *Bohaterowie*, wystawiana w 2013 roku w Teatrze im. Ludwika Solskiego w Tarnowie.

JERZY S. ŁĄTKA

„Kowadło” dla Józefa Hena: JESTEŚMY MU WDZIĘCZNI ZA WSZYSTKO, CZYM NAS OBDARZYŁ

Czy nastoletni licealista, zafascynowany szkolną lekturą pod tytułem *Kwiecień*, autora o intrygującym nazwisku – Hen, mógł przed ponad pięćdziesięcioma laty wyobrazić sobie, że kiedyś pozna i zaprzyjaźni się z tym pisarzem, że będzie wydawać jego książki, że nawet będzie w nich wspomniany i wreszcie, że będzie miał honor ofiarować Mu laudację podczas uroczystości (w kwietniu!) temuż autorowi poświęconej. Tak oto zaskakująco dla ówczesnego, nowohuckiego licealisty spłotły się Józefie nasze losy; niemal jak w powieściach Józefa Hena.

„Kuznica” nieprzesadnie często przyznaje Nagrodę Kowadła, wyrażając w ten sposób swój szacunek wybitnym Polakom, twórcom i myślicielom, ludziom odważnie wypowiadającym się o teraźniejszości i przeszłości, o kulturze i jej perspektywach, o ludziach reprezentujących świat kultury i polityki. Ta lista najpiękniejszych postaci od dziś zyskuje jeszcze na wartości. Dopisujemy nazwisko pisarza niezwyklej formatu, wielkiego Obywatela, świadka i recenzenta historii. Głęboko przejętego losem Ojczyzny, wszystkimi przeszłymi jak i obecnymi meandrami Kraju i naszego świata.

Twórczość literacka Józefa Hena jest trudna do zaszufładowania, do prostej kwalifikacji i klasyfikacji. Tyle w niej nurtów, pól zainteresowań, form i gatunków. Analizując ją nie sposób nie przywołać stwierdzenia, iż obszarem owych zainteresowań, ich bogactwem i różnorodnością, wpisuje się Józef Hen na listę tych, których określamy mianem: Człowiek Renesansu...

Wspomnienia Józefa Hena, które najpełniej pojawiają się w *Najpiękniejszych latach* i *Nowolipiu* pozabawione są goryczy i pretensji, nie ma w nich rozrachunków i oskarżeń, a miałby Hen do tego prawo; jak na jednego człowieka doświadczył wiele. Jednak Jego pamięć nie jest pamiętliwa, zawiera wyrozumiałość dla przeciwników losu, nie ma w niej rozżalania się nad sobą, nad okrutnością wojny, której bezwzględ-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

ność poznawał bezpośrednio. Tolerancja i przyjaźń to uczucia jakimi Józef Hen obdarza ludzi, niezależnie od tego co On od tych ludzi otrzymuje. Doświadczenia najgorsze, najbardziej tragiczne potrafi zamienić w naukę, we wskazanie jak mimo to zachować dystans, żyć i umieć cieszyć się tym życiem.

Tematem pisarskich rozważań Józefa Hena są często zawitości historii, jest człowiek i historia, która dzieje się wokół niego, której on dotyka i która dotyka jego. Proza ta często jest przenoszona na ekran, najbardziej znane adaptacje dotyczą drugiej wojny lub czasów tuż po niej – zachowań, postaw, charakterów, emocji... Pamiętam łzy wzruszenia wychodzących z kina... *Prawo i Pięść, Nikt nie woła, Krzyż walecznych...*

Ale Józef Hen pisze nie tylko o Polsce czasów nieodległych i jej dylematach, ważne miejsce w twórczości zajmuje i I Rzeczpospolita, i Rzeczpospolita Obojga Narodów. *Królewskie sny* z czasów Jagiellły, czy *Crimen* – powieść z czasów Zygmunta III Wazy, są pretekstem do tego, by na tle wydarzeń europejskich ukazać problemy i różnorodność społeczno-etniczno-religijną Rzeczpospolitej – więcej niż – Obojga Narodów. Ukazać odwieczny i naturalny związek Polski z Europą. Jeden z najwybitniejszych historyków, jeden z niekwestionowanych autorytetów profesor Aleksander Gieysztor powiedział, iż Józef Hen uczy prawdziwej historii Polski. Ale równocześnie Europejczyk Hen mówi o przyszłości, mówi, że nasza przyszłość jest europejska, nie wyobraża sobie Polski zamkniętej w sobie i odgradzonej.

W jednym z wywiadów nasz Laureat przyznał: „Zajmuję się osobami skrzywdzonymi przez historię, przez opinię, przez oszczerstwa, ja po prostu przejmuję się ich losem”. Losy Michała de Montaigne, Stanisława Augusta Poniatowskiego, wreszcie Tadeusza Boya

Żeleńskiego stały się nam bliższymi i zrozumialszymi dzięki Henowi, talentowi Jego narracji, ale – co równie ważne – Jego wnikliwym studiom historycznym nad bohaterem i epoką, w której żył. Józef Hen nie tylko nam ich przybliża, tłumacząc motywacje ich działań, nie tylko opowiada nam o nich, ale opowiada się za nimi i za ich postawami, ich postrzeganiem świata, a wobec czytelnika staje się każdym z nich. Dzieli los każdego ze swoich bohaterów.

Jakiś czas temu Bronisław Łagowski na łamach tygodnika „Przegląd” podkreślił spostrzegawczość i przenikliwość Józefa Hena, ale co nawet istotniejsze, pozostawanie przez niego w zgodzie z prawdą i słusnością.

Nie sposób w krótkiej z założenia laudacji wymienić wszystkie tytuły powieści, nowel, scenariuszy czy adaptacji Laureata. Ale, jak sądzę, każdy z nas doskonale wie, że w twórczości Józefa Hena zawsze występuje wątek miłosny, motyw fascynacji kobietą. W tym kontekście przypomniał mi się telefon Józefa do mnie, to było przed laty, w czasie, gdy pracowałem w ministerstwie. Jeszcze nie byliśmy na ty, ale już mieliśmy za sobą kilka dłuższych rozmów. Wielki pisarz zapytał, czy nadzoruję kinematografię. Odpowiedziałem, że tak, sądząc, że zapewne zaraz poprosi o pieniądze na ekranizację którejś z powieści. Ale Józef Hen mówi: *pamięta pan, rozmawialiśmy kiedyś o mojej powieści, która się panu bardzo podobała, o Milczącej między nami, o Ludce, bohaterce utworu... ona, a w zasadzie nie ona, tylko jej pierwowzór, pracuje w pionie kinematografii... więc gdyby miały być jakieś zwolnienia, jakaś reorganizacja...* Który z autorów tak troszczy się o los swych powieściowych bohaterów?

Józef Hen całą swoją twórczością, także wypowiedziami w wywiadach, ocenami przeszłości i teraźniejszości udowadnia, że pisarz może być wciąż autorytetem, drogowskazem, może objaśniać świat, pomagać go rozumieć, oceniać i żyć w nim, dokonując właściwych wyborów.

Nie zapytałem nigdy, czy Józef Hen ceni twórczość Władysława Reymonta, ale myślę, że na pewno jedna myśl noblisty jest bliska Henowi. Powiedział bowiem Reymont: „Żyć to działać, to rozsiewać po świecie talent, energię, uczucie, pomagać w czasie teraźniejszym pokoleniom przyszłym”. Tak niewątpliwie postępuje Józef Hen, a Jego myśl pomaga nam żyć.

Jesteśmy wdzięczni Józefowi Henowi za wszystko, czym nas obdarzył, a przecież obdarzył nas nie tylko literaturą. Mądrze i dobrze wychował dzieci, zdolne dzieci. Jest nam dane cieszyć się razem z Józefem ważną publicystyką Magdy Hen i już nagradzanymi książkami Macieja Hena.

„Kuźnica” przyznaje „Kowadło” Józefowi Henowi w przekonaniu, iż trafia ono w ręce Dobrego Obywatela Rzeczypospolitej. Rzeczypospolitej jako Idei, jako Uniwersum i wizji świata wymarzonego, o idealnym kształcie i treści. Jej obraz Hen stworzył i w swej myśli, i w swym sercu, a tak bardzo chciałby móc razem z nami, razem ze swymi czytelnikami ujrzeć, objąć, poznać wszystkie zmysłami...

RAFAŁ SKĄPSKI

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

JÓZEFOWI HENOWI

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

- piękna i doniosłości Jego dzieł;
- szlachetności idei przyświecających twórczości, bogactwa i jasności języka;
- rzetelności świadectwa współczesnym i przeszłym, czym jest groza wojny, ludzka podłość i wzniosłość;
- Jego niezmiennej wiary w rozum.

Warszawa, 26 kwietnia 2017 r.

RAFAŁ SKĄPSKI

W MOSKWIE Z KSIĄŻKĄ KOZYRIEWA

W połowie roku 1994 objąłem wydawnictwo Univ-Comp. Był to maleńki fragment powoli upadającego koncernu Universal, niegdyś potężnej i silnej Centrali Handlu Zagranicznego. Wśród wielu tytułów, nad którymi trwały przedłużające się prace wydawnicze, były *Zapiski prezydenta* Borysa Jelcyna. Gdy książka wreszcie znalazła się w drukarni, na początku następnego roku poprosiłem o spotkanie z ambasadorem Rosji w Polsce Jurijem Kaszlewem, by uzgodnić z nim sprawy promocji książki.

Kaszlew przyjął mnie na terenie ambasady niemal od razu, propozycję zorganizowania spotkania zaaprobował, żałował, że dowiedział się o książce dopiero teraz, bo w grudniu (1994) Jelcyn zaprosił wszystkich wydawców tłumaczonych *Notatek* na spotkanie na Kremlu. Ominęły mnie poznanie tego barwnego polityka i zapewne smaczna kolacja. Dla poprawy nastroju ambasador sięgnął do barku. Wyjął kartonowe pudełko przypominające takie, w jakim zapakowane są popularne czekoladki z miętowym nadzieniem After Eight. Z pudełka wypadły dwie saszetki przypominające te właśnie czekoladki lub herbatę „na smyczy”. Jedną z saszetek podał mnie, drugą rozerwał i ... zawartość wlał do swej szklaneczki. Postąpiłem podobnie. W saszetce była wódka. Kartonik stanowił prezent z Republiki Południowej Afryki. Specjału próbował przede mną Adam Michnik i, jak twierdził Kaszlew, bardzo chwalił i formę, i treść. Sącząc trunek Kaszlew zaproponował, abym nawet w bardzo symbolicznym nakładzie wydał także eseje polityczne aktualnego ministra spraw zagranicznych Rosji, Andrieja Kozyriewa. Prośbę tłumaczył tym, że publikacja przyczyni się do poprawy stosunków.

Gdy szef Uniwersalu zaaprobował wydanie książki, przystąpiłem szybko do pracy. Kaszlew w imieniu Kozyriewa zaplanował mi na czerwiec trzydniową wizytę w Moskwie, bym na miejscu mógł omówić warunki umowy i od razu ją podpisać. Zapytał, czy potrzebuję tłumacza. Odparłem, iż o sztuce mogę rozmawiać sam, w sprawach biznesowych wolę mieć sprawnego pośrednika. – Będiesz miał najlepszego rosyjskiego tłumacza, zapewnił ambasador.

Na lotnisku w Moskwie czekał na mnie doradca Kozyriewa, jak się okazało upełnomocniony i do rozmów, i do podpisania umowy w imieniu szefa. Z samym Kozyriewem spotkać się nie miałem. Zostałem odwieziony do zarządzanej przez MSZ podmoskiewskiej rezydencji, w której w latach II wojny światowej mieszkał ówczesny przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, członek radzieckiego Politbiura Michaił Kalinin.

Wielki leśny teren, szczelnie i wysoko ogrodzony z dużą wielopokojową willą. Pozostawiono mnie na noc samego. W całkowitej ciszy położyłem się do snu w dwuosobowym łóżu Kalinina. Rano, po śniadaniu, odbyłem spacer wokół daczki, krążyłem po leśnych alejkach, natykając się kilka razy na niepłochę sarenki.

Okolo 11 przyjechały dwie limuzyny, z jednej wysiadł doradca Kozyriewa, z drugiej ambasador Kaszlew. – To

ja, twój tłumacz, oznajmił mi z uśmiechem na powitanie. Rozmawialiśmy godzinę, może troszkę dłużej, warunki umowy były dość proste, honorarium symboliczne, sprowadzające się do jednorazowej kwoty wypłaconej przed oddaniem książki do druku, bez względu na późniejszą jej sprzedaż. Kiedy zakończyliśmy negocjacje, wezwano administratora obiektu, który na pytanie Kaszlewa, czy wszystko gotowe, odpowiedział twierdząco. Przeszliśmy do jednego z budynków, które podczas rannego spaceru zakwalifikowałem jako zabudowania gospodarcze. Była to bania, czyli sauna poprzedzona pokojem z długim stołem, na którym stały butelki whisky, piwa, szklanki i słoje z kiszonymi ogórkami. Wypiliśmy, popiliśmy, zakąsiliśmy, a następnie trzech już nagich mężczyzn weszło do sauny, jeden z nich po raz pierwszy w życiu. Pocąc się, oklepując wtkami słuchałem rozmowy Kaszlewa z doradcą Kozyriewa. Kaszlew, mając w perspektywie finał swej dyplomatycznej misji w Polsce, zabiegał o dobrą posadę w Moskwie. Chciał uzyskać nominację na stanowisko rektora słynnej międzynarodowej szkoły dyplomatycznej MGIMO. Doradca Kozyriewa obiecał wsparcie. Wyszliśmy z sauny i jeden za drugim wskoczyliśmy do baseniku z lodowatą wodą. Dla nieznanego specyfiki „bani” był to szok, nie tylko termiczny. Owinięci w miękkie szlafroki zasiedliśmy za stołem, racząc się ogórkami i chłodnymi trunkami. Potem raz jeszcze nastąpiła sekwencja, już krótsza, sauny i lodowatego baseniku.

Następnego dnia przed południem, bezpośrednio przed wylotem miałem odbyć spacer po Moskwie i zjeść obiad w towarzystwie doradcy Kozyriewa. Zadał mi wcześniej pytanie, jaką kuchnię preferuję. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że mam ochotę na coś typowo rosyjskiego. Usłyszałem – wymyślę coś atrakcyjnego. Po spacerze siedliśmy do limuzyny, która zawiozła nas na jakiś plac, na którym wiła się długa kilkusetosobowa kolejka prowadząca do budynku z napisem, którego, przyznam, nie zauważyłem. Podjechaliśmy pod tylne wejście, legitymacja doradcy pozwoliła wejść do budynku omijając tę gigantyczną kolejkę, stolik dla nas był zarezerwowany. Była to Pizza Hut, pierwszy taki lokal w Moskwie, u nas już niestanowiący atrakcji. Nie okazałem rozczarowania, a liczyłem przecież na śledzia z parującymi ziemniakami, na jakieś kiszonki, soljanekę, pielmieni... Zauważyłem, że doradca zapłacił dość słony rachunek dolarami, rubli w tej „restauracji” nie przyjmowano.

Na przełomie października i listopada książka Kozyriewa był wydrukowana. W którejś z gazet przeczytałem, że Władysław Bartoszewski, minister spraw zagranicznych, udaje się z wizytą do Moskwy na rozmowy ze swym odpowiednikiem, Andriejem Kozyriewem. Wiedziałem, że zastępcą dyrektora gabinetu Bartoszewskiego jest Krzysztof, mój kolega z wydziału prawa, a co może ważniejsze – z kabaretu prawników w Hybrydach (Krzysztof komponował i akompaniował, ja pisałem teksty i coś recytowałem). Zadzwońnię, sekretarka połączyła, powie-

działem, że kilka dni temu wydałem książkę Kozyriewa, że chętnie dostarczę kilka egzemplarzy, by Bartoszewski mógł je przekazać autorowi. – Sam wręczysz, zadzwoni jutro po południu, to powiem czy udało mi się włączyć cię w skład delegacji, usłyszałem. – Udało się, lecisza, powiedział Krzysztof następnego dnia.

Czas w Polsce był gorący. Rozpoczęły się poważne rozmowy z państwami NATO w sprawie przystąpienia Polski do tej organizacji, kończyła się kadencja prezydenta Wałęsy, a kampania wyborcza osiągała swe apogeum. Aleksander Kwaśniewski 5 listopada uzyskał w pierwszej turze 35,11 proc. głosów, Lech Wałęsa 33,11 proc. Druga tura wyznaczona była na 19 listopada. Wizyta w Moskwie miała się odbyć w dniach 15-16 listopada, tuż przed historycznym starciem rywali. Czyżby ta wizyta, te rozmowy i jej efekty mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie dla kampanii, czy miały być dodatkowym argumentem wspierającym urzędującego prezydenta w uzyskaniu przewagi?

Późnym wieczorem 15 listopada wylądowaliśmy w Moskwie. W składzie delegacji (mam w domowym archiwum książeczkę Protokołu Dyplomatycznego MSZ z programem) byli między innymi: Stefan Meller wówczas wiceminister spraw zagranicznych, Jerzy Bahr, Andrzej Jankowski, Tomasz Lis – dyrektorzy departamentów, Jarosław Książek i Robert Smoleń – doradcy ministra oraz naczelnik wydziału w Departamencie Instytucji Europejskich Witold Waszczykowski. Do delegacji dołączył w Moskwie ambasador Stanisław Ciosek. Razem z delegacją leciało kilku dziennikarzy, w tym Ewa Drzyzga, wówczas z RMF FM, Marzena Piasecka-Dzbeńska z dziennika „Słowo”, Wiesław Dębski z „Trybuny”, Sławomir Popowski z „Rzeczpospolitej”, Tomasz Skłodowski, wtedy z TVP.

Następnego dnia najważniejszymi punktami wizyty było poranne zwiedzanie Moskwy (odwiedziliśmy odbudowywany Sobór Chrystusa Zbawiciela) rozmowy plenarne obu delegacji, śniadanie dla członków delegacji i wreszcie konferencja prasowa obu ministrów. Podczas rozmów, które toczyły się w pałacyku MSZ, ja siedziałem w bocznym saloniku, czekając na zakończenie obrad, by wejść do sali i wręczyć Andrejowi Kozyriewowi książkę. Dziennikarze mieli czas wolny, byli oczekiwani dopiero na konferencji prasowej. Rozmowy trwały dłużej niż zaplanowano, wreszcie otrzymałem sygnał, że mam wejść. Pokierowano mnie do stołu, usiadłem tuż przy naszej delegacji. Z zasad precedencji wynika, iż moim sąsiadem mógł być Witold Waszczykowski lub pracownik naszej ambasady, nieżyjący już Tomasz Giełdecki. Pofułe rozmowy w zasadzie dobiegły końca, po dwóch, trzech minutach zostałem wywołany, poszedłem do sali i wręczyć Andrejowi Kozyriewowi książkę. Dziennikarze mieli czas wolny, byli oczekiwani dopiero na konferencji prasowej. Rozmowy trwały dłużej niż zaplanowano, wreszcie otrzymałem sygnał, że mam wejść. Pokierowano mnie do stołu, usiadłem tuż przy naszej delegacji. Z zasad precedencji wynika, iż moim sąsiadem mógł być Witold Waszczykowski lub pracownik naszej ambasady, nieżyjący już Tomasz Giełdecki. Pofułe rozmowy w zasadzie dobiegły końca, po dwóch, trzech minutach zostałem wywołany, poszedłem do sali i wręczyć Andrejowi Kozyriewowi książkę, podsuwając drugi, by złożył w nim autograf.

Przeszliśmy do sali gdzie podano według protokołu śniadanie, a wedle zegarka i menu – obiad. Po stronie gospodarzy warto odnotować obecność ówczesnego wiceministra Nikołaja Afanasjewskiego, późniejszego ambasadora w Warszawie. Na poczęstunek dołączył gubernator Kaliningradu Jurij Matoczkin, został przedstawiony przez Kozyriewa i tematyka współpracy transgranicznej stała się pierwszym tematem tej fazy nieoficjalnych już rozmów przy stole.

Potem głos zabrał Bartoszewski. W pewnym momencie wystąpienia nawiązał do kwestii NATO. Zrozumiałem, że mimo aktualności temat nie był jednak przedmiotem rozmów plenarnych, a został poruszony dopiero przy posiłku. Utwierdziła mnie w tym reakcja Rosjan, którzy natychmiast sięgnęli po długopisy i w notesikach lub na rewersie kartoników z menu zaczęli błyskawicznie notować słowa Bartoszewskiego. A Bartoszewski mówił, iż do spraw NATO należy podejść w sposób całkowicie nowy, że potencjał NATO wypalił się i przed organizacją nie ma już perspektyw. Trzeba zbudować nowe NATO, kontynuował, od podstaw, z silnym udziałem Rosji. Pióra i długopisy Rosjan nie odrywały się od papieru. Zdąłem sobie sprawę, że biorę udział w niezwykłym wydarzeniu, w kreacji nowej sytuacji międzynarodowej. A przecież już trzy i pół roku wcześniej Lech Wałęsa zgłosił podczas wizyty w RFN koncepcję NATO-bis na bazie rozwiązanego Układu Warszawskiego. Pomysł ten wywołał natychmiastową konsternację w Europie, ale i w Polsce, był projektem całkowicie autorskim polskiego prezydenta, niezgodnionym także wewnętrznie. Ówczesny szef dyplomacji Krzysztof Skubiszewski wystosował natychmiast wyjaśnienie, że celem Polski pozostaje szybkie przystąpienie do NATO. Czy Bartoszewski mówił coś uzgodnionego z walczącym w kraju o reelekcję Wałęsą, czy też całkiem odwrotnie, działał impulsywnie, pod wpływem chwili? Do dziś nie znam odpowiedzi. Obiad dobiegł do końca.

Z niewielkim opóźnieniem rozpoczęła się konferencja prasowa, na której pojawiła się grupka naszych dziennikarzy i wielu rosyjskich. Wiedziałem, że nie mogę nawet znajomym zdradzić treści zasłyszanej wypowiedzi Bartoszewskiego. On sam podczas konferencji nie wspominał o tym, a Kozyriew bardzo enigmatycznie powiedział, że strona rosyjska uważnie będzie analizowała nowe ciekawe propozycje polskiego ministra. Czego ta propozycja dotyczyła, nie zdradził. Czas konferencji dobiegł końca, na Bartoszewskiego czekali jeszcze rosyjscy politolodzy, osobne spotkanie z polską prasą zostało odwołane, a tym, którzy wracali z delegacją samolotem zapowiedziano, że minister udzieli wywiadu już na pokładzie.

Kiedy wystartowaliśmy, dziennikarze (siedziałem z nimi w ogonie samolotiku) przypomnieli o obietnicy. Ktoś z delegacji odpowiedział, że minister udzieli wywiadu, ale za kilkanaście minut. Przeciągnęło się to do pół godziny z okładem. W tym czasie widzieliśmy, jak trwały gorączkowe rozmowy z Bartoszewskim. On siedział w fotelu, a nad nim pochylali się urzędnicy, Meller, Bahr, Waszczykowski, coś uzgadniali, o czymś rozmawiali. Wreszcie dziennikarze zostali poproszeni do czoła samolotu. Poszedłem za nimi. Ktoś, wydaje mi się, że był to głos kobiety, zapytał: – Podobno zgłosił pan dziś, panie ministrze nową inicjatywę w sprawie NATO? – Ja? W sprawie NATO? Ja w sprawie NATO dziś niczego podczas rozmów nie zgłaszałem – odpowiedział Bartoszewski. Zauważyłem ulgę na twarzach urzędników. Wróciłem na swoje miejsce, dalsza część konferencji już mnie nie interesowała. W okienku pojawiły się światła Warszawy.

A Jurij Kaszlew – zgodnie z obietnicą uczynioną, w mojej obecności, w saunie na terenie byłej rezydencji Kalinina – został w roku 1997 rektorem Akademii Dyplomatycznej rosyjskiego MSZ.

AKCJA REPARACJE

Domagamy się reparacji od Niemiec. Przytacza się trzy argumenty: Polska nigdy reparacji nie otrzymała (a na przykład Belgia – otrzymała), zniszczenia wojenne były olbrzymie oraz olbrzymie były też cierpienia ludzkie.

Pomysł, że można (i należy) przeliczać cierpienia ludzkie na pieniądze, jakoś mnie nie przekonuje. Tym bardziej że zwykle ktoś bierze pieniądze za swoje (albo nie swoje) cierpienia, a potem cierpi dalej. Opinia, że celem akcji jest wyłącznie odbiorca wewnętrzny, wydaje się trafna, ale nie jest pewne, iż autorzy akcji będą do końca panować nad tym, jak jest ona odbierana w Niemczech. Dlatego skoncentrujemy się właśnie na tym.

Na razie Niemcy zachowują się łagodnie i uprzejmie. Mówią, że reparacje się nie należą, bo Polska w 1953 roku się ich zrzekła. Na to nasi politycy, że w ONZ nie ma dokumentu potwierdzającego zrzeczenie się. I tu pojawia się patronka Polski – św. Urzędoła. Gdyby w ONZ był taki dokument, to patronka wymyśliłaby, że nie ma na nim pieczętki, a gdyby była, to że prostokątna, a nie okrągła.

Groźne jest, że w pewnym momencie Niemcy mogą przestać zachowywać się uprzejmie i postanowią te reparacje zapłacić. Zaproszą nas więc do rokowań w sprawie wysokości sumy. Minister Błaszczak mówi o 1 bln dolarów, padają też sumy wyższe. W wyniku rokowań suma ulegnie prawdopodobnie znacznej obniżce – na przykład do 10 procent sumy wyjściowej. Można tę redukcję jeszcze potem wzmocnić za pomocą inflacji – Niemcy jako kraj dominujący gospodarczo z łatwością mogą coś takiego zorganizować. Poza tym, znaczna jej część zostanie przyznana Żydom, a ściślej, osobom mającym papiery, że są wnuczkami Żydów (metoda „na wnuczka” wzięła się z obserwacji repriwatywacji!).

A kiedy już zapadnie decyzja o wypłacie Polsce tych kilku pozostałych miliardów, Niemcy zażądają zwrotu Ziem Odzyskanych. Obecnie te ziemie są główną, a właściwie jedyną rekompensatą za straty ludzkie i zniszczenia wojenne w Polsce. Prawda, że Niemcy zostały do niej zmuszone – ale to nie ma znaczenia. Przyjmując reparacje finansowe rezygnujemy z moralnego prawa do Ziem Odzyskanych. Stają się one typowym spornym rejonem przygranicznym, który posiada ten kraj, który jest silniejszy. Jak się tak bliżej przyjrzeć, to może się okazać, że silniejsze są jednak Niemcy (chodzi o siłę militarną, nie o siłę patosu!).

A regulacje międzynarodowe wprowadzone przez Unię Europejską już wkrótce dzięki naszym staraniom przestaną nas dotyczyć.

Czy więc mamy do czynienia z polityką głupców, którzy połaskali się na trochę pieniędzy nie zdając sobie sprawy ze skutków swoich poczynań? Niekoniecznie. Może to być działalność przemyślana, zmierzająca do ostatecznego pozbycia się tego „reliktu PRL”, jakim są Ziemie Odzyskane.

Obsesja antyPRL-owska jest najsilniejszym, najtrwalszym i łączącym prawie wszystkie partie motywem politycznym III RP. Zaraz po 1989 roku ta obsesja była jakoś trzymana w ryzach, ale stopniowo rozkwitała. Raz po raz rzucano pomysły, które w sumie tworzyły wrażenie, że przez te prawie pół wieku Polska znajdowała się w jakiejś czarnej dziurze z dobrego horroru. Pomysł delegalizacji PRL jako całości był już kiedyś w Sejmie, na szczęście przepadł, bo jacyś ludzie zrozumieli, że szkody z tego tytułu byłyby olbrzymie, a korzyści znaczne jedynie dla grupy polityków uważających, że jedyną sprawą ważną są symbole i propaganda. Prywatyzacja przemysłu również była pozbywaniem się miazmatów PRL, co było niemal jawnie mówione. I zostały jeszcze te Ziemie Odzyskane. Najlepiej się ich pozbyć i to tak, żeby można było mówić, że to Niemcy nam te ziemie zabrali.

Ziemie te stały się własnością Polski w wyniku konferencji poczdamskiej, bez decyzyjnego udziału samych Niemców. Teraz więc cztery mocarstwa też chyba zechcą się w tej sprawie wypowiedzieć. Ale to nie będzie problemem. Raczej pójdą nam na rękę i nie będą się upierać przy tym, żeby te ziemie pozostały polskie; Niemcy też się raczej zgodzą. Przecież obaliliśmy komunizm, więc warto nam pomóc w likwidowaniu pozostałości tego ustroju!

A poza tym, ci wszyscy zachodni politycy są – zdaniem naszych polityków – „niedoinformowani”, „czytają stare gazety”, „mają marnych ekspertów”, „niczego nie rozumieją”, są z zasady „antypolscy” i ogólnie jacyś tacy durnowaci. Może się więc zdarzyć, że postanowią być złośliwi. A wtedy uchwalą, że należy nam się zwrot tego wszystkiego, co Związek Radziecki wziął w 1939 roku w ramach paktu Ribbentrop-Mołotow (w ten sposób Włodzimierz Putin podkreślił przy okazji, że Rosja zerwała ze stalinizmem). Wtedy Nasz Dzielną Wódz na czele Wojsk Obrony Terytorialnej przekroczy wschodnią granicę, żeby co nasze wziąć siłą. I tak problem Polski w Europie definitywnie i na stałe się zakończy. Szkoda.

JÓZEF ROZWADOWSKI

BIAŁE RÓŻE GŁUPOTY I NIENAWIŚCI

15 Sierpień. Wniebowzięcie Matki Boskiej. Pogoda wymarzona. Nic nie przeszkodzi Jej drodze w górę. Mknij niczym sonda Cassini. Z naszego kościółka *made by Schinkel*, przybranego białymi różami miłości dochodzą dostojne pienia.

Niestety mam robić dziś w stercie świńskiego gówna, sortować arcydzieła myśli politycznej, przyznawać Pinokia, a nawet Rozciapaną Malinę. Taki był bowiem zamysł na ten *List z Wójtowic*. I nie zamierzam się z niego wycofać. *Facts Checking Committee* i miesięcznego Pinokia powołaliśmy do życia, zanim pojawił się po drugiej stronie wielkiej wody Donald Trump. Wójtowickie czarne owce, znani z tych łam: Rypsi, Bidera i Porwisiak już we wrześniu 2016 zaczęły zbierać do naszego albumu najbardziej smakowite „paski” z TV Info. Niemal na rok przed „Polityką”!

Serię konkursów zainaugurowała nagrodą specjalną Beata Kempa za niezwykle swe przemówienie w rocznicę Radia Maryja... Jej psalm na cześć Ojca Dyrektora doczekał się wielu przeróbek kabaretowych. Tylko Pietrzakowi zabrakło weny. Łza się w oku kręci, gdy wspomnimy chóralne w parędziesiąt osób *Żeby Polska była Polską* w czasie wójtowickich sylwestrów 81/82 i 82/83.

Całą kolekcję Pinokiów naraz otrzymała premier Szydło; za występ w Parlamencie Europejskim, gęstość bujda na minutę kwadratową – długo pozostanie niepokonana.

Za najzabawniejsze powiedzenie związane z tym występem: *Narodził się wielki europejski polityk – Szydło, Beata Szydło!* – *Oscar goes to minister Waszczykowski*. Wszyscy popatrzyliśmy po sobie podejrzliwie gdy prezes Kaczyński pojechał *NIEPEŁNOSPRAWNYMI UBEKAMI* osądzając tak protestujących wyłącznie z wyglądu. Jak to się można łatwo pomylić! Sam jakby miał trochę z jednego, trochę z drugiego, a przecież nie jest ani jednym ani drugim...

W miarę oglądania filmu *o końcu państwa Kiszczaka i Michnika* nadanego w przerwie konkursu skoków narciarskich salon przekształcił się w trującą garbarnię i wokół zaczęły wyrastać pokryte ohydny mi naroślami fioletowe paprocie – zwyczajna rzecz przy gwałtownym wzroście fetoru w pomieszczeniu zamkniętym (z czego to, koteczku?). Zrobiliśmy sobie przerwę, po której zaczęliśmy delikatnie – od popisu gyzmsa z Berlina. Uznał on *Pokot* za film promujący... ekoterror. Zacytowaliśmy to w dyskusji po pokazie filmu w Bystrzycy z udziałem Olgi Tokarczuk, Agnieszki Holland i wspaniałej Mandat proponując, by zbadać gyzmsa na obecność trotyle. Sala była „za”. W czasie kolacji patrzyłem na panią Agnieszkę i uszami duszy słyszałem Ją jako bohaterkę *Trzech na Jedną*. Łętowska, Hübnerowa, Lipińska, może Thun albo Labuda czy Olga... Na pewno któraś z nich pomogłaby przeżyć nam początki zbliżającego się matriarchatu. Ale póki co w naszej redakcji panuje patriarchy. No i bełtanie własnych jajek.

Za użycie słowa „jazgot” dla opisu ulicznych protestów Duda otrzymuje Rozciapaną Malinę. To jest prezydencka premiera światowa. O ileż bardziej eleganckie jest Trumpowe *to grab the pussy*. Nasz powiedziałby *złapał ją za dziada*.

Szyszek i Jurgiel – dwóch starsuszków z *Muppet show* i do tego Czarnecki, któremu nie powierzyłbym kiosku Ruchu, cała trójka jakby rysowana przez Lutczyka. Start Czarneckiego w wyborach na prezesa PKOl był nie tylko surrealistyczny, ale pomógłby Pietrzakowi odzyskać wenę twórczą. Boże, ów Rysio-mądrała mógłby prezesować klubowi LZS Moszna, dorzuciłbym kierowanie miesięcznikiem „Głos Moszny”. Nie mamy natomiast pojęcia, jak nagrodzić tweeta Saryusza-Wolskiego po tym, że on *sprzeciwia się donoszeniu na własny kraj*. Megaloman ze szkółki Beaty Kempy, która też nie donosiła. *Wysiadam na przystanku POLSKA*. Marszałek nie pozwoliłby mu nawet na poniesienie swego nesesera.

Menażeria PiS zdobyła komplet nagród komentując *samobójstwo dyplomatyczne Polski* (cytat za „Observerem”), czyli przekuwając katastrofę 27:1 w zwycięstwo. (*wstajemy z kolan, odzyskujemy podmiotowość*, etc.)

Poza jakimikolwiek kategoriami pozostaje list poślanki Pawłowicz do przewodniczącego Junckera. Cenię sobie ludzi, którzy zaczynają dzień od małej szklaneczki. Łatwiej wtedy szefowi UE poklepać szefa państwa Watykan po ramieniu, zamiast całować Go w pierścień. Poślanka P. wali na kolana i dobrze, że zdążyła przełknąć tę bułkę z białym serem (twarogiem), który jej wypadł z ust. Czekalem, aż se zrobi kulkę i rzuci nią w opozycję...

Uwaga prezydenta Dudy w wywiadzie dla *Kanału Historia* o dzieciach i wnukach zdrajców ojczyzny, które zajmują dziś eksponowane stanowiska, śmiechu nie wywołuje, budzi raczej grozę. A więc ani powód do nagrody, ani rzecz dla *Pod Egidą II*. Hańba 68 do kwadratu, Panteon czeka.

Nagrody również nie ma za zawstydzające wybryki młodzieży w czasie posiedzenia Sejmu w Dniu Dziecka (!). Są kary dla rodziców, bo ktoś inny może być winien za publiczne darcie flagi UE przez jakiegoś spoconego onanistę czy otumanionego przez dopalacz chyba wrzeszczącego z trybuny *Liberałowie w białych kołnierzykach prowadzą lokomotywę Unii Europejskiej w kierunku przepaści...* Kto to mu napisał? Tatusz? Mamusia? O karze za demoralizowanie maluczkich „stoi” wyraźnie w Biblii...

Tę koncepcję informacji podsumowuje elegancko nieodżałowany Głowacki: *Attyla ciekawie rozwiązał sprawę wierzeń, wierzyło się mianowicie... Attyli*.

A za wrzask poza trybem *zdradzieckie mordy, kanelie, za zamordowanie brata* można pójść do supermarketu Macrona i w szerokim wachlarzu asortymentu dobrać sobie – od kija baseballowego do nadstawienia drugiego policzka.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

TOMASZ GOBAN-KLAS

REWOLUCJA, KTÓREJ NIE BYŁO!

Wzorem Kapuścińskiego po świecie jeżdżę z książkami. Na podróż do Pitra wybrałem trzy lektury, między nimi Johna Reeda i jego *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem* z 1919 roku. Reed notował: „A wiecie, jak został zdobyty Pałac Zimowy? – pytał jeden z marynarzy. – O jakiejś jedenastej spostrzegliśmy, że od strony Newy nie ma ani jednego junkra, wytłumaliśmy więc drzwi i wchodzimy po schodach pojedynczo lub małymi grupkami. Na górze stali junkrzy, którzy nam zabierali karabiny, ale naszych wciąż przybywało, aż gdy zebrało się nas więcej, rzuciliśmy się na junkrów i odebraliśmy im broń...”.

Dodajmy, że gdy lud wdarł się do pałacu, to proletariusze zaczęli różne carskie drobnostki chować pod płaszcze czy do kieszeni. Jednak dzielni bolszewicy wówczas matrosi wkrótce zaprowadzili porządek – odbierano łupy, rozbijano zdobyczne butelki z alkoholem, plombowano piwnice pałacowe.

Rewolucja październikowa w Pitrze stała się bardziej krwawa dopiero w listopadzie i później, po przejęciu pełni władzy przez bolszewików, obaleniu legalnie wybranego rządu i rady miejskiej, i w konsekwencji działania Czeki, która rozkwitła najbardziej po stłumieniu powstania tych, którzy wydatnie pomogli w 1917 roku bolszewikom, czyli buntu marynarzy z Kronsztadu w 1921 roku. Ich postulaty jako żywo przypominają te przyjęte przez stoczniovców w Gdańsku 1980 roku. Rezolucja z 1 marca 1921 domagała się m.in. przeprowadzenia nowych tajnych wyborów rad robotniczo-chłopskich ze swobodą agitacji przedwyborczej, zapewnienia wolności słowa i druku dla „robotników, chłopów, anarchistów i lewych partii socjalistycznych”, wolności zebrań, związków zawodowych i organizacji chłopów, uwolnienia więźniów politycznych, zniesienia przywilejów partii komunistycznej w propagandzie przez likwidację oddziałów politycznych, dania pełnego prawa chłopom do dysponowania ziemią, dopuszczenia produkcji rzemieślniczej”.

Dla prawdziwych leninowskich bolszewików był to znak anarchistycznego rozpasania; dla jego powstrzymania szturm na Kronsztad podjął skutecznie Tuchaczewski. Morze i Newa spłynęły krwią. A Czecha po zmianie nazwy (jak kameleon – w NKWD, GPU, OGPU, KGB, wreszcie FSB) zajmuje tzw. Bolszoj Dom (Litejny Prospekt 4) wygodnie skomunikowany z sąsiednim aresztem.

Przypomina on, że rewolucja w Piotrogradzie istotnie się wydarzyła. Jednak pół roku wcześniej, w lutym, a właściwie 8 marca 1917 r. To wówczas upadł carat i w miejsce samodzierżawia feudalnego wprowadzono liberalno-demokratyczną władzę kapitalistycznej republiki. Szukając sprzymierzeńców w wojnie z Niemcami (którzy wysłali do Petersburga w zaplombowanym wa-

gonie ówczesną bombę atomową – Lenina z trzydziestoma towarzyszami) 29 marca 1917 roku Rząd Tymczasowy Rosji przyjął rezolucję pióra Pawła Milukowa, która głosiła, że utworzenie niepodległego państwa polskiego, złożonego z ziem o większości polskiej jest gwarancją pokoju w odnowionej Europie.

Rewolucji październikowo-listopadowej może nie było, ale był i pozostał Piter, niezwykle miasto i stolica powstałe z kaprysu, ale i wyrachowania autokraty Piotra nazwanego wielkim, i to nie powodu wzrostu. Powstało na wyspach i bagnach, na skraju ogromnego państwa, zbudowane według planów cudzoziemskich architektów i budowniczych, wyposażone we wspaniałe kolekcje dzieł sztuki zakupione u najlepszych marszandów Europy.

Było zatem i oknem na Europę tego wschodniego mocarstwa, ale i pokazem rosyjskiej mocy w przełamywaniu niewyobrażalnych trudności i cierpień, jak i erupcji wspaniałej rosyjskiej kultury w XIX wieku, z Puszkinem, Dostojewskim, Gogolem, Turgieniewem i wieloma innymi. Wspaniały teatr i balet działał niemal bez przerwy, nawet w czasach biedy porewolucyjnej petersburskie teatry dawały 40 przedstawień dziennie.

Jak powiedział Wissarion Bielinski „nowe miasto w starym kraju” miało być i było miejscem westernizacji Rosji, zwrotu na zachód. Jednak po r.1918 wróciło w stare siedlisko, do Moskwy. To był koniec zamachu bolszewickiego w Piotrogradzie, a początek ... kontrrewolucji w Rosji. Zdobył lutowej, prawdziwej rewolucji – demokracja, wolność prasy, itd.. – zostały bowiem odkręcone w imię prawdziwego suwerena-ludu czy proletariatu (miast i wsi), a faktycznie dyktatury partii i jej przywódcy. Najpierw Lenina, potem Stalina, i dalej, aż do Gorbaczowa.

Poza tragedią 900 dni oblężenia w II wojnie światowej, wielka bieda przyszła po Gorbaczowskiej *piestrojce* i rozpadzie ZSRR. Z czerwonego Petersburga zostały tylko kolory na gmachach i pałacach dawnej Rosji. Restauracja kapitalizmu przynosiła – i przynosi – kontrasty na miarę bolszewickiego NEP-u, elementów gospodarki wolnorynkowej w latach 1922-1928. I dzisiaj sylwetki neoNEPmanów są widoczne są za szybami niemal pancernych limuzyn i okien wytwornych restauracji. A jednocześnie z dala od Newskiego Prospektu, od galerii handlowych, od Pałacu Zimowego i Smolnego, nadal są brudne ulice, odrapane kamienice i mieści się tam siedziba mocno humorystycznej partii Komunistów Petersburga i Obwodu Leningradzkiego (KPOL). Ale to już żart historii.

Leningrad obit, natus est Sankt Petersburg. Dla przyjaciół – Piter.



WYKLĘCI Z NARODOWEJ PAMIĘCI

W początkach lat 50., stalinizm trzymał się mocno, a w literaturze panoszył się socrealizm. Prezesem Związku Literatów Polskich w owym czasie marnym był Leon Kruczkowski, z zawodu inżynier-chemik, przedwojenny socjalista, podobnie jak dziadek prezesa Kaczyńskiego ze strony matki, skądinąd też inżynier, tyle że architekt. Kruczkowski wojował w 1920 roku z bolszewikami, w 1939 z Niemcami, okupację przesiedział jako jeńiec w oflagu, a po wojnie został – wedle dzisiaj obowiązującej terminologii – komunistą, bo wstąpił do partii, choć ta miała w nazwie polska, robotnicza, a później zjednoczona. Należało do niej kilka milionów Polaków, w tym sporo „pisiorów”, ale jakoś nie słysząc, żeby IPN zamierzał dekomunizować kumpla pana Jarka, niejakiego Jasińskiego, aktualnie prezesa Orlenu, albo byłego prokuratora Piotrowicza, który zasiadał w partyjnej egzekutywie, a teraz wprowadza „dobrą zmianę” w sądach, Konstytucyjnego i Najwyższego nie wyłączając. Radzie Mediów Narodowych przewodniczy Czabański, też komuch, próbujący zrobić onegdaj karierę w peerelowskich mediach, jednak bez powodzenia, mimo że antyszambrował często po pokojach w warszawskim „Białym Domu”. Ponieważ bohaterowie naszych czasów mają kłopoty z pamięcią, pisarka Nurowska postanowiła im te i inne „epizody” z biografii przypomnieć, sporządzając listę byłych komuchów zajmujących dzisiaj eksponowane stanowiska w samym PiS-ie, bądź gdzie indziej dzięki rekomendacji tej partii. A nie jest to lista krótka.

* * *

Kruczkowski w PRL-u kontynuował karierę pisarską, zaczęłą z powodzeniem jeszcze przed wojną głośnym powieściowym debiutem *Kordian i cham*, której kolejne szczyble wyznaczały takie utwory, jak *Niemcy*, *Pierwszy dzień wolności* czy *Śmierć gubernatora*, wszystkie przeznaczone dla teatru. Największy rozgłos i uznanie przyniosła mu sztuka *Niemcy*, przetłumaczona na wiele języków i wystawiana z powodzeniem w Polsce, jak i poza jej granicami. Przyczyniły się do tego znakomite kreacje aktorskie, m.in. Aleksandry Ślaskiej i Gustawa Holoubka. Znany i doceniany przez władze autor do działalności literackiej się nie ograniczył: pisał, reprezentował, zasiadał w rozmaitych krajowych i międzynarodowych gremiach i z tego głównie powodu znalazł się na czołowym miejscu wśród pisarzy podpadających pod ustawę dekomunizacyjną. A w niej chodzi przede wszystkim o to, żeby usunąć z przestrzeni publicznej pamięć o osobach, które kojarzą się z PRL-em wedle dzisiaj obowiązującej wykładni ipleenowskiej jak najgorzej. I z tego powodu jeśli taki osobnik doczekał się ulicy swojego imienia lub patronatu nad jakąś szkołą, biblioteką czy nawet alejką, należy go tego zaszczytu pozbawić. Ustawa wyznaczyła bodaj dzień 2 września 2017 roku jako ostateczny termin przeprowadzenia takowej opera-

cji, czyniąc za to odpowiedzialnym samorządy. W przypadku jakichkolwiek wątpliwości, a zwłaszcza sprzeciwu tzw. miejscowej ludności, instancją ostateczną i rozstrzygającą jest IPN powołany – dla przypomnienia – zbiorowym wysiłkiem intelektualnym i imperatywem moralnym PO-PiS-u, czyli dwóch prawicowych partii walczących dzisiaj ze sobą na śmierć i życie. Niech hańba okryje ich za to na wieki.

Orły-sokoły z IPN-u, nierzadko z tytułami profesorskimi, wytypowały 943 ulice w Polsce, których nazwy samorządy mają obowiązek ustawowy zmienić. Nie trzeba być specjalnie domyślnym, żeby znaleźć na tej liście ulice sygnowane nazwiskiem Kruczkowskiego. Ale nie tylko jego. W Krakowie do odstrzału wyznaczono – co było do przewidzenia – Lucjana Szenwalda, bo ten czuł się komunistą już przed wojną wstępując do KPP. Natomiast przewodniczący Klubu Radnych PiS-u w Radzie Miasta z całą powagą proponuje rozważyć zmianę nazw ulic, którym patronują Karol Bunsch, Stefan Otwinowski, Julian Przyboś czy Tadeusz Śliwiak. W przypadku wymienionych pisarzy jeszcze żrą go jakieś wątpliwości, natomiast ulice Komuny Paryskiej i Kościuszkowców zmieniłyby natychmiast. W pobliskim Oświęcimiu imię Ignacego Fika, który tu się urodził, nosi jedna z ulic, miejscowe liceum i grupa literacka. IPN sprzeciwu miejscowej społeczności nie bierze pod uwagę, bo dla niego liczy się wstąpienie znanego przed wojną lewicowego krytyka do PPR-u w czasie okupacji, a nie jego dorobek i śmierć z rąk hitlerowców. Heroldom totalitarnej demokracji należy przypomnieć tę myśl lustrzanego krytyka:

„Nawet olbrzymia większość, która by realizowała swoją wolę drogą terroru nad mniejszością, wykroczy kardynalnie przeciwko istocie demokracji. W demokracji ma większą rację dziesięć procent pokrzywdzonych niż dziewięćdziesiąt procent krzywdzących”.

* * *

Los Kruczkowskiego jako patrona ulic, szkół, bibliotek lub innych instytucji wydaje się być też przesądzony. Ale lustratorzy z IPN-u być może nie wiedzą, bo przykładów swojego nieuctwa i ignorancji dali już wiele, że słabość do tego pisarza miała Jadwiga Kaczyńska, ukochana mamusia Jarosława, polonistka, która jako etatowy pracownik Działu Dokumentacji Instytutu Badań Literackich opracowała pierwszą i na razie jedyną monografię bibliograficzną autora *Niemców*. Na bohatera drugiej wybrała sobie Jana Józefa Lipskiego, kolegę profesora z pracy, ale też socjalistę, który w przeciwieństwie do Kruczkowskiego został w PRL-u czołowym opozycjonistą. Dokonując takich wyborów pozostała wierna tradycji rodzinnej reprezentowanej przez dziadka-socjalistę. Czego nie można powiedzieć o żyjącym wnuku, taplającym się w narodowym kiczu.

SCEPTYK

Przekazując 1% od podatku na „Zdanie” i „Kuźnicę”

KRS 0000300613

wspomagasz polską lewicę

Przypominamy, że „Zdanie” jest dostępne w sieci **empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (Kraków, ul. Miodowa 41) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

„Zdanie” jest też w **internecie**: w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2016) oraz w internetowym Katalogu Czasopism (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

**PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW GMINY MIEJSKIEJ KRAKÓW**



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,

Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski,

Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Neurokwiat, 30-057 Kraków, ul. Chocimska 7/4

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



Mural „Witkac”. Fot. Grzegorz Kozakiewicz